ŻYWOT
ŚW. FRANCISZKA Z ASYŻU

R. P. CUTHBERT
O. F. S. C.

ŻYWOT
ŚW. FRANCISZKA Z ASYŻU

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
ANNY SZOTTOWEJ

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN
1 9 2 7

NIHIL OBSTAT.

Posnaniae, 15 Martii 1927.

Stephanus Zwolski,
Censor.

IMPRIMATUR.

Posnaniae, die 17 Martii 1927.

Ceslaus Meysner,
Vicarius Generalis.

(L. S.)
L. Dz 2551/27. *St. Darzyński.*

TŁOCZONO W DRUKARNI SW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA“

SŁOWO WSTĘPNE.

O. Cuthbert, kapucyn z Oxfordu, nie jest obcy czytelnikom polskim. Przed kilkunastu laty w „Bibljotece Dzieł Chrześcijańskich" ukazał się zbiór jego artykułów i odczytów pod wspólną nazwą „Ideały katolicko-społeczne". Była to książka na dobie, gdyż omawiała tak ważne zagadnienia jak wolności i odpowiedzialności osobistej lub współdziałania kół tercjarskich w rozwiązaniu kwestji społecznej. Oryginalnością i śmiałością sądów powinna była wywołać szerszą dyskusję i wywrzeć głębszy wpływ w umysłowości katolickiej. Książki tej nie doceniono.

Co uderza w niej dzisiaj, gdy się ją weźmie do ręki, to duch apostolstwa, którym autor pragnie natchnąć pracowników-tercjarzy. Tak jako niegdyś ubodzy franciszkanie nawracali możnych tego świata i całe rzesze, tak i dziś tercjarze robotnicy i robotnice mieliby szczytne zadanie nawracać towarzyszów otumanionych mrzonkami socjalizmu lub pogrążonych w odmęcie niewiary i rozpusty. Ten duch apostolski franciszkański przebija i z pracy O. Cuthberta poświęconej św. Franciszkowi i ubóstwu. Aż oto po latach samemu najwierniejszemu słudze Pani Ubóstwa Anglik poświęca wielki żywot, owoc żmudnych poszukiwań, badań sumiennych i krytycznych porównań aktów oraz legend średniowiecznych.

I powstało dzieło pierwszorzędnej wartości. W Anglji rozeszło się już w 4 wydaniach, we Francji kardynał Luçon pisze płomienną przedmowę do tłumaczenia.

Jest bo za co chwalić autora.

Dzieło jego to przedewszystkiem historja, nie utwór literacki, parafrazujący legendy, lub subjektywny obraz człowieka w pryzmacie widzeń poety, mistyka czy publicysty.

Historja Biedaczyny w dziele Anglika jest jasna i przejrzysta. Dziejopis umie historycznie oddzielić każdą przemianę duchową w życiu Świętego, tak iż wiemy doskonale, kiedy się one dokonały, a jednocześnie — z talentem — umie określić ich znaczenie, tak, iż oglądamy Świętego na coraz wyższych i wyższych szczeblach postępującego ku wrotom niebieskim. A ten Święty jest zawsze żywy, gdyż bezprzestannie działa, choć coraz mniej zgodzić się może z innymi, nawet najbliższymi sobie, jak np. bratem Eljaszem lub kardynałem Hugolinem.

Rozdział między św. Franciszkiem a światem mu bliskim jest znamienny. Z jednej strony działa człowiek Boży dla wieku tamtego i dla wszystkich wieków późniejszych, z drugiej strony działają ludzie wprawdzie nieprzeciętni, lecz synowie tamtego wyłącznie stulecia, owiani duchem swego czasu i z zawodu niejako zmuszeni do ugody między całkowitą ideą Chrystusową, wypełnianą przez Świętego, a praktyką cząstkową cnót ewangelicznych.

O. Cuthbert nikogo nie sądzi. Z niepospolitą równowagą historyka oddaje sprawiedliwość papieżom i współpracownikom Franciszka. Ale właśnie dzięki temu olbrzymieje sama postać Biedaczyny, jedyna na przestrzeni tylu wieków.

Jeżeli autor potrafił aż do końca utrzymać wizerunek Świętego w przepychu plastyki, udało mu się to dzięki podkreśleniu także, czem była doba ówczesna, jakie ruchy polityczne i społeczne przewalały się przez Italję i jakie dążenia religijne nurtowały umysły. A wśród tej zawieruchy dążeń i ruchów, wśród burz wojennych i niesnasek, pośród błędnowierców i ludzi złej woli przechodzi mąż, o którym autor mówi, że „nie był z tego świata, lecz mimo to świat go ukochał i czcił na swój nieudolny sposób".

Umniejszylibyśmy wartość dzieła O. Cuthberta, gdybyśmy pominęli doskonale skreślone pierwociny zakonu franciszkańskiego, działalność zgromadzenia za życia Świętego z charakterystyką osób głównych.

Sądzić należy, że dzieło O. Cuthberta, zwłaszcza w kołach inteligencji, zyska żarliwych czytelników i przyczyni się do odtworzenia w ich umysłach prawdziwej postaci św. Franciszka, tak jak ona się wyłania z pod pyłu ksiąg i dokumentów średniowiecznych — wielka, czysta, seraficzna i w pewnym sensie — zbawcza.

M. P.

Jeżeli autor potrafił aż do końca utrzymać wizerunek Świętego w przejrzystym opisaniu, udało mu się to dzięki podkreśleniu także tego, czem była doba ówczesna, jakie ruchy polityczne i społeczne przewalały się przez Italię, i jakie dążenia religijne nurtowały umysły, a wśród tej zawieruchy dążeń i walk, wśród burz wojennych i wstrząsów, pośród niespokojnych i żądz, szedł i przechodził ten, o którym autor mówi, że „nie był z tego świata, lecz mimo to kochał go i kochał na swój niezwykły sposób”.

Umiejętny wybór wartość dzieła O. Cuthberta: pisarz pozwolił dokładnie określić pierwotny zakon franciszkański, dzięki zestawieniu za życia Świętego z charakterystyką osób głównych.

Sądzić należy, że dzieło O. Cuthberta, zwłaszcza w kołach inteligencji, żywo zainteresuje czytelników i przyczyni się do odtworzenia w ich umysłach prawdziwej postaci św. Franciszka, tak jak ona się wyłania z pod pyłu legend i dokumentów średniowiecznych — wielkiej, czystej, niezłomnej i w pewnym sensie — tragicznej.

M. B.

PRZEDMOWA.

W książce niniejszej usiłowałem przedstawić św. Franciszka z Asyżu tak, jak go poznałem po wieloletnich badaniach pierwszych zapisków, dotyczących jego historji. Dotychczas nie napisano w języku angielskim dobrego życiorysu Świętego, jakkolwiek kanonik Knox Little dał nam istotnie wartościowe studjum o jego charakterze. Również żadna współczesna biografja nie daje nam, mojem zdaniem, wiernego wizerunku świętego Franciszka, jaki zjawia się przed nami na podstawie zapisków historycznych, które do nas doszły.

Znany Żywot św. Franciszka z Asyżu Pawła Sabatier jest prześlicznem dziełem literackiem; gdyby jednak autor posiadał pełniejsze wiadomości, jakich dostarczyły nam badania po roku 1894, — badania, w których sam odegrał przodującą rolę, — sądzę, że dzieło jego nabrałoby charakteru historji bardziej autentycznej[1]). Późniejsza praca J. Jörgensena, znana mi tylko z przekładu francuskiego, jest bezwątpienia silniej przeniknięta duchem i atmosferą umysłową św. Franciszka; poza tem autor korzystał z badań i źródeł nieznanych P. Sabatier'owi. Tem niemniej zdaje mi się, że ostateczny życiorys Świętego będzie dopiero napisany w przyszłości.

Nie jestem tak zarozumiały, bym przypuszczał, że osiągnąłem ów cel upragniony. Być jednak może, że ta książka przyczyni się do tego choć cokolwiek; z takiem życzeniem ogłaszam ją drukiem.

Muszę wyrazić na tem miejscu wdzięczność tym licznym pisarzom, którzy przede mną poświęcili się badaniu historji świę-

---

[1]) Dzieło Pawła Sabatier'a, protestanta i racjonalisty, krytycznie omówił Franciszkanin Nicolo Dal-Gal w broszurze p. t. „S. Francesco d'Assisi e Paul Sabatier", Roma 1906. (Przyp. tłum.)

tego Franciszka. Nie wywołam niczyjego sprzeciwu, jeśli podkreślę specjalnie zasługi franciszkańskich wydawców Quaracci, O. Edwarda d'Alençon i Pawła Sabatier, których cierpliwym poszukiwaniom winni hołd wdzięczności i uznania wszyscy badacze spraw franciszkańskich. Składam również podziękowanie tym wszystkim, z czyich prac korzystałem i czyje nazwiska zamieściłem w pracy niniejszej. Winienem wreszcie wyrazić pełne szacunku uznanie Najprzewielebniejszemu Bratu Pacyfikowi z Sejano, Ministrowi Jeneralnemu Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów za jego łaskawą aprobatę niniejszego „Życia" Franciszka Serafickiego.

Fr. Cuthbert, O. S. F. C.

St. Anselm's House,
Oxford, 1912.

KSIĘGA PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Zaranie życia.

Gdy idziemy obecnie białą drogą, wiodącą z Porcjunkuli do Asyżu, ogarnia nas uczucie wielkiego spokoju, którym tchnie cała okolica. Stary gród, rozłożony na zboczach Monte Subasio, spoczywa jak weteran po latach walki. Nawet w promiennym blasku umbryjskiego słońca zachowuje on w swym wyglądzie charakter jakiejś surowości; powoduje to może szara, naga płaszczyzna wznoszących się poza niem gór, albo może samo położenie miasta, opartego o wzgórza, a zwróconego obliczem ku przybyszom — przyjaciołom czy też wrogom. Ów odcień surowości uwydatnia jednak tylko silniej nastrój wielkiego spokoju, którym tchnie miasto. Ten spokój — to spokój odpoczywającej siły; ta cisza — to ukojenie po burzach życia.

Lecz Asyż żyje jeszcze, choć życie to nie rozbrzmiewa sporami i utarczkami zbrojnemi. Gwar życia, płynącego wartkim potokiem, poza otoczoną wąwozami doliną, rozlega się tu echem w ochrypłym głosie woźniców, ściągających do miasta na jakowąś f e s t ę; wrzawa interesów ludzkich dochodzi tu dzięki żądnej zysku krzątaninie sprzedawców różnych o b j e t s d e p i é t é i jaskrawej reklamie nowych hoteli; ale nie te właściwie odgłosy napełniają łagodne powietrze Asyżu. Unosi się w niem coś, co nie mówi ani o sprawach ludzkich i o zysku ani o sporach i walkach, ani o żadnych marnościach tego świata, lecz o niewysłowionym pokoju, płynącym z głębszego życia, z głębszych radości, i, niestety, z głębszych cierpień ducha. Bowiem Asyż nawet w swem uduchowieniu jest bardzo ludzki. Głosy, unoszące się w powietrzu, to głosy nie aniołów, lecz ludzi, ludzi, którzy zanim znaleźli spokój, przeszli przez wielką zawiłość ludzkiego doświadczenia.

W roku 1199 nie było jednak pokoju w atmosferze Asyżu. Wzburzone miasto gotowało się wówczas do powstania politycznego; którego wyniku nikt nie mógł przewidzieć; tem bardziej nie przewidywał go Franciszek, lekkomyślny syn kupca Piotra Bernardone, którego życie pod wpływem ówczesnych wypadków w niemałym stopniu uległo zmianie.

Podobnie jak większość włoskich miast handlowych, Asyż oddawna buntował się w duchu przeciwko władzy cesarzów niemieckich. Entuzjastyczna miłość wolności, o którą rozbiła się ambicja Barbarosy, a która musiała jednak załamać się pod energją jego następcy, Henryka VI, odżyła na nowo z chwilą, gdy śmierć położyła kres zwycięskiemu jego pochodowi w r. 1197. W kilka miesięcy później, w styczniu 1198 r., na tron papieski wstąpił Inocenty III. Inocenty przystąpił niezwłocznie do zaszachowania polityki cesarskiej w sprawach dotyczących stosunku cesarstwa do Kościoła i miast włoskich. Świadomym celem tej polityki za czasów Barbarosy i jego następcy było poddanie Włoch koronie cesarskiej i podporządkowanie Kościoła zwierzchności cesarstwa[1]). Polityka Inocentego polegała na tem, aby przeciwstawić się temu niebezpieczeństwu przez wzmocnienie władzy świeckiej papiestwa i przez połączenie wszystkich państw chrześcijańskich w konfederację pod zwierzchnictwem papieża.

Zaledwie zasiadł na stolicy Piotrowej, postanowił wypędzić zwycięzców niemieckich z prowincyj, podlegających dawniej zwierzchności Stolicy świętej; na zasadzie tej polityki wezwał on Konrada z Lutzen do opuszczenia Rocca Assisi i do poddania wszystkich podbitych przez siebie prowincyj papieżowi. Konrad, Szwab, zamiłowany w przygodach, otrzymał dwadzieścia lat przedtem od Barbarosy tytuł księcia Spoleto i hrabiego Asyżu; w ostatnich latach rezydował przeważnie w Rocco Assisi. Był to człowiek dość szerokich poglądów o swobodnem uprzejmem obejściu, zarazem jednak dzielny wojownik. Lud nadał mu przezwisko „Kapryśnika"; mawiano o nim, że posiada zaletę niezwykłą w niemieckim baronie: mianowicie wzgląd na opinję

---

[1]) Por. Huillard Bréholles, „Vie de Pierre de la Vigne", część III, X.

publiczną. To też o tyle, o ile pozwalała na to wierność zaprzysiężona cesarzowi, pozwalał ludowi rządzić się według własnej woli[1]). Ale obce jarzmo jątrzyło miasta włoskie, spragnione niezależności i swobody. Konrad, wiedząc, że jest bezsilny wobec Inocentego, udał się na wiosnę tegoż roku do Narni na spotkanie posłów papieskich i podpisał kapitulację. Na wieść o tem mieszkańcy Asyżu zgromadzili się tłumnie i w szlachetnym zapale zrównali z ziemią fortecę Rocca. Postanowili, że już nigdy więcej znienawidzona twierdza nie będzie panowała nad miastem. Wprawdzie posłowie papiescy protestowali, mówiąc, że Rocca przeszła na własność Stolicy Apostolskiej i grozili miastu interdyktem[2]). Asyżanie jednak nie wzięli do serca tych protestów, natomiast przystąpili do budowy muru obronnego dokoła miasta, używając na ten cel kamieni ze zburzonej twierdzy. Byli zdecydowani bronić swej niepodległości.

Po zrzuceniu niemieckiego panowania Asyż, jakkolwiek zyskał wiele, nie osięgnął jednak pokoju. Przekonał się bowiem rychło, że musi umocnić swoją władzę komunalną, gdyż inaczej stanie się wasalem swej możnej sąsiadki, Perugji, miasta wznoszącego się na wzgórzu u północnego wylotu doliny umbryjskiej, jakgdyby przeznaczeniem jego było stać na straży Umbrji, bronić jej od wrogich przybyszów z północy i czuwać nad bezpieczeństwem kraju. Perugja posiadała pełną świadomość dostojeństwa i potęgi, jaką jej to położenie zapewniało w stosunku do umbryjskich sąsiadów; żywiła też pewną ambicję co do rozszerzenia swej suwerenności na doliny okoliczne. Zmusiła już Arezzo do ustąpienia jej terytorjów w okolicy jeziora Trazymeńskiego i zagarnęła okręg Umbertydy; panowała stąd nad drogami wiodącemi do Gubbio i Città di Castello w najbardziej na północ wysuniętej dolinie Umbrji. Z miastami temi Perugja zawarła przymierze, które było równoznaczne prawie z ich podbojem. Skorzystała skwapliwie z zamieszek wewnętrznych wśród swoich sąsiadów: biorąc rzekomo stronę jednej partji, potrafiła zagarnąć je wszystkie pod swoją władzę. Tak

---

[1]) Ant. Cristofani, „Storie di Assisi", (wyd. 1902), str. 49.

[2]) Inocenty III, *Regestrorum*, Lib. I, LXXXVIII: *„Mirari Cogimur"*.

więc, gdy w styczniu r. 1200 część szlachty na terytorjum Asyżu w walce z gminą udała się pod jej opiekę. Perugja skwapliwie wzięła ich w obronę. Ta interwencja nie wróżyła nic dobrego mieszkańcom Asyżu, wiedzieli o tem dobrze; ponieważ jednak byli odważni, a nawet ambitni, nie myśleli poddać się żądaniom Perugji.

Pierwotna przyczyna zatargu wynikła z postanowienia gminy Asyżu, dotyczącego wzmocnienia obrony miasta a stąd zmuszenia feudalnych właścicieli gruntów na terytorjach poza obrębem murów, aby poddali się prawu komunalnemu. Niektórzy ze szlachty nie chcieli uznać władzy gminy, wskutek czego mieszkańcy Asyżu napadli na ich zamki, zrównali je z ziemią i zabrali przemocą grunta i budynki, potrzebne do obrony miasta. Wówczas to Perugja wzięła pod swoją opiekę oporną szlachtę, żądając zadośćuczynienia; Asyżanie atoli nie chcieli ani zwrócić ich własności, ani przyznać przywilejów. Zatarg ciągnął się dwa lata i skończył się bitwą pod Ponte San Giovanni, na połowie drogi pomiędzy obu miastami[1]). Mieszkańcy Asyżu zostali pobici; wśród jeńców, wziętych dnia tego przez Perugję, znajdował się syn Piotra Bernardone, jednego z najbogatszych kupców Asyżu.

Tak więc Franciszek zjawia się w historji po raz pierwszy, jako zwykły statysta w jednej z tych małych wojen, tak licznych w wielkiej walce Włoch średniowiecznych o niepodległość. Liczył on w tym czasie około lat dwudziestu[2]), był pełen zapału młodości. Z postaci był wzrostu poniżej średniego, zbudowany

---

[1]) Cristofani, *Op. cit.* str. 57; W. Heywood, *A History of Perugia*, str. 53; Bonazzi, *Storia di Perugia*, I. str. 257.

[2]) Żadna legenda nie podaje daty urodzenia Franciszka; z tego jednak, co pisze Tomasz Celano, wynika, że przyszedł na świat w roku 1181 lub 1182. Mówiąc o śmierci Franciszka dnia 4 października 1226 roku, Celano dodaje: „Skończyło się lat dwadzieścia, odkąd najdoskonalej oddał się Chrystusowi“ (I, Celano, 88), a dalej mówi, że Franciszek umarł „w dwudziestym roku od swego nawrócenia“ (I, Celano, 119). A zatem nawrócenie Franciszka przypada na rok 1206 (por. także *Leg. 3 Soc.* 68; *Spec. Perfectionis*, cap. 124). Ale Celano mówi dalej, że miał on wówczas „blisko dwadzieścia pięć lat“ (I, Celano, 2). Albert von Stadt podaje jako datę urodzenia Franciszka rok 1182 (*Mon.*

delikatnie i cery śniadej. Ogólna subtelność rysów, prosty, kształtny nos, gładkie czoło, drobne ręce o smukłych palcach — znamionowały skłonność do idealizmu; usta nieco wąskie zdradzały tkliwość przy pewnym uporze; z ciemnych oczów biła nieskazitelna prawość i niezwykła skłonność do entuzjazmu. Niskie czoło świadczyło o umyśle bardziej intuicyjnym niż logicznym. Trzymał się prosto i poruszał szybko. Głos miał czysty, melodyjny i mocny[1]). Ubiór jego był wyszukany o barwach jaskrawych, zdradzających pewne zamiłowanie do barbarzyńskiego przepychu. Szczycił się popularnością, zdobytą wśród wesołej młodzieży miasta. Umysł żywy, dowcip bystry, niezmordowana energia, niezmienna uprzejmość — czyniły zeń wesołego towarzysza, kochanego przez wszystkich. Pewna kapryśna fantazja i oryginalność[2]), przy wielkiej śmiałości zjednały mu sympatję grona młodzieży oddanej wesołym wybrykom i swawoli. Niekiedy, poza zwykłą wesołością można było dostrzec w nim jakąś utajoną powagę duchową i skłonność do cichej melancholji, w której filozof mógłby się może dopatrzeć przyczyny jego wpływu na niesforną młodzież. Jednakże popularność swą zawdzięczał głównie hojności, z jaką rzucał pieniędzmi. Ojciec jego, zamożny kupiec, zostawiał mu pod tym względem nieograniczoną swobodę, a Franciszek nie pozwalał, by pieniądze leżały w sakiewce. Płynęły tak łatwo, jak przychodziły. Przyjaciele i znajomi zdziwieni jego rozrzutnością, mawiali: „żyje jak książę, a nie jak syn Piotra Bernardone"[3]).

Germ. Script., Tom XVI, str. 350), ale jego ścisłość nie jest bez zarzutu. Co do chronologji życiorysu Franciszka por. *de Gubernates Orbis Seraphicus*, t. I, str. 15. *Panfilo de Magliano, Storia Compendiosa*, t. I, str. 5 i nast.); O. Leon Patrem w *Miscellanea franciscana*, t. IX, fasc. 3, *Boehmer Analekten*, str. 123; Golubowich, *Biblioteca Bio-Bibliographica*, str. 85 i nast.; F. Paschal Robinson w *Archivum Franc. Hist.*, roczn. I, fasc. I, str. 23—30; Montgomery Carmichael w *Franciscan. Annals*, paźdz. 1906.

[1]) I, Celano, 83. por. *ibid.* 73.

[2]) Por. *Leg. 3 Soc. 2*: *„In curiositate etiam tantum erat vanus quod aliquando in eodem indumento pannum valde carum panno vilissimo consui faciebat.*

[3]) 3 Soc. 2; I Celano 2.

Piotra jednak nietylko nie martwiła rozrzutność syna, lecz go raczej cieszyła. Sam był ambitny i być może widział w popularności Franciszka wśród młodzieży miejskiej zapowiedź przyszłych godności syna w radzie miasta, spodziewał się, że zostanie kiedyś konsulem a nawet podestą: była to ambicja bardzo chwalebna w owym czasie, gdy dostojnicy napoły niezależnego miasta traktowali z książętami i legatami papieskimi jak równi z równymi.

Franciszek jednak sięgał w swych marzeniach jeszcze wyżej. W tym czasie nie wiedział sam jeszcze dokładnie, do czego dąży. Marzył o sławie i zaszczytach, nie posiadał jednak określonego pojęcia, w jaki sposób tę sławę zdobędzie. Narazie żył jeszcze w świecie romantycznych legend i śnił o tem, by stać się jakimś wielkim przywódcą ludzi, olśnić świat blaskiem swych czynów, wzbudzić jego podziw i zdobyć hołdy[1]). Wesoły szacunek, jakim otaczała go młodzież, stanowił dlań przedsmak tego, co go czeka na szerokim świecie, gdzie królowie utrzymują dwory, a bohaterowie sławę zdobywają. Uroczystości miejskie, na których rej wodził, miały w przyszłości zamienić się na turnieje rycerskie i miłosne, gdzie rycerze walczą na kopje, a poeci śpiewają słodkie pieśni. Franciszek był pewien, że zarówno w jednych jak i drugich przewyższy wszystkich współzawodników.

Ten idealizm stanowił właśnie różnicę pomiędzy nim a towarzyszami jego zabaw. Dla nich te nocne rozrywki były tylko przemijającym szałem, którego pospolitość zachwycała ich, a zmysłowość — upajała. Franciszek znajdował w nich przedsmak walki życia, jak ją sobie wyobrażał na podstawie romansów rycerskich. Być może to właśnie zachowało mu moralną czystość i zdrowie pośród zabaw, w których się lubował. Tam, gdzie inni tonęli, Franciszek dzięki swej naturze, radował się tylko subtelniejszemi i bardziej wytwornemi stronami tego życia, nie pogrążając się w brutalnem poniżeniu. Lubił śpiewy i przepych zewnętrzny, uwielbienie tłumu, ruch, życie; cieszyło go poczucie przewodniczenia innym. Wrodzona wybredność ratowała go od większych niebezpieczeństw. Brutalność, ordy-

---

[1]) Por. *3 Soc.* II, 5.

narność — były jego naturze obce: Miał smak wytworny, to też za lada nieprzystojnem słowem popadał w milczenie[1]).

Tego rodzaju natura nie mogła znaleźć podatniejszego gruntu do rozwoju niż Asyż w latach następujących bezpośrednio po zrzuceniu jarzma niemieckiego. Życie miasta biło przyspieszonem tętnem. Wolność długo tłumiona nawet pod łagodnymi rządami Konrada von Lutzen[2]), obecnie wybujała w całej pełni i podsycała patrjotyzm nawet w dziedzinie wytwórczości miasta. Budowano wolną ojczyznę z takim zapałem, jakgdyby wznoszono dom własny. Panowanie niemieckie miało dla Asyżu jedną stronę dodatnią; oto zapewniło małemu miastu okres względnego pokoju, co pozwoliło mu wzmocnić się materjalnie, a kupiectwu dało możność rozwinięcia handlu i nagromadzenia bogactw. Asyż, podobnie jak wszystkie miasta Włoch środkowych, handlował wełną i tkaninami, a kupcy, w poszukiwaniu rynków zbytu, odbywali dalekie podróże.

Pietro Bernardone prowadził ożywiony handel z Francją. Właśnie w czasie jednej takiej podróży do Francji przyszedł na świat jego syn najstarszy, Franciszek. Dla upamiętnienia tej okoliczności uradowany ojciec po powrocie do domu nadał dziecku przezwisko „Francesco", — „Francuz"; odtąd nazywano chłopca stale tem przybranem imieniem, zarzucając zupełnie imię chrzestne „Giovanni".

Podczas podróży kupcy nie poprzestawali na zajmowaniu się wyłącznie interesami; zbierali i rozpowszechniali po świecie wszelakie wiadomości. Byli to prawdziwi siewcy myśli religijnej i politycznej, którą przenosili w swych podróżach z miejsca na miejsce, a umysły chciwe wieści zgłębiały je i roztrząsały namiętnie; w żadnej bowiem epoce historycznej nie istniał taki

---

[1]) We wczesnych legendach znajdujemy twierdzenia pozornie sprzeczne. (Celano.) Św. Bonawentura (*Leg. Maj.* I.) mówi z drugiej strony: „Jakkolwiek w młodości Franciszek był wychowany w próżności, nie łączył się z rozpasaną młodzieżą w pogoni za rozkoszami ciała". Tę sprzeczność tłumaczy temperament Franciszka. *Legenda 3 Soc.* podaje wniosek: *„Erat tamen quasi naturaliter curialis"*, etc.

[2]) Konrad pozwolił nawet Asyżowi przyłączyć się do ligi miast umbryjskich i marchji dla obrony swobód municypalnych. Por. Cristofani, op. cit. str. 49.

kult i entuzjazm dla idei, jak w tym właśnie okresie średniowiecza. Wszystko, co dotyczyło życia politycznego, umysłowego, religijnego, poruszało do głębi miasta, ogarnięte żądzą zmiany i ewolucji. Panował wówczas jakiś ogólny niepokój, któremu nikt nie mógł się oprzeć; każde miasto, każda osada nawet stanowiła mniejszy lub większy ośrodek niezadowolenia i rewolucji, skąd promieniowały ideje wywrotowe.

Duch ten nie był nigdzie żywszy niż we Włoszech, gdzie każde miasto, posiadające połowiczną niezawisłość, stanowiło typowy mikrokosmos świata chrześcijańskiego. Gdy mieszkańcy Asyżu zburzyli i zrównali z ziemią twierdzę Rocca, gdy otoczyli swoje miasto mocnemi murami, gdy usiłowali złamać opór panów feudalnych i poddać ich władzy komunalnej, mieli to przekonanie, że pracują dla dzieła rewolucji wszechświatowej, gdyż biorą udział w powstaniu życia municypalnego przeciwko zwierzchności feudalnej. Wszystkie wielkie zagadnienia z dziedziny religijnej czy świeckiej, poruszające w owym czasie półwysep i państwa chrześcijańskie, odbijały się głośnem echem w izbach obrad i na ulicach.

Pomimo swej wszechwładzy Kościół podlegał ostrej krytyce; Włochy całe marzyły o reformach religijnych, heretyckich i innych. Catarrowie i pataryni[1]) zalewali Włochy północne i środkowe i zakładali konwentykle w najludniejszych centrach prowokując wprost władze kościelne. Głosili oni powrót religji do apostolskiej prostoty, piętnowali Kościół za jego bogactwa i świeckie ambicje, napadali na duchowieństwo, odrzucali sakramenty. Byli to purytanie wieków średnich. Równorzędnie z tym ruchem heretyckim nurtowało w łonie świata katolickiego poczucie, że w Kościele nie wszystko jest bez zarzutu. To niezadowolenie w społeczeństwie ortodoksyjnem wyraziło się zwłaszcza w Lombardji i w północnych Włoszech w postaci ruchu humiljatów[2]).

---

[1]) Por. G e b h a r d t, *L'Italie mystique,,* str. 26 i nast. F e l i c e, T o c c o, *L'eresia nel Medio Evo,* str. 73. Patarynowie byli początkowo popierani przez Stolicę św.; lecz Armand z Brescji nadał ruchowi temu kierunek przeciwny Kościołowi.

[2]) Por. T i r a b o s c h i, *Vetera Humiliatorum monumenta;* Gebhard, op. cit., str. 34.

Humiljaci byli to ludzie świeccy, którzy zobowiązywali się żyć z pracy rąk, unikać wszelkiego zbytku w jedzeniu i odzieży. Musieli wystrzegać się wszelkich sporów i walk i służyć ubogim. Humiljaci poruszyli sumienia, ale nie oddziałali na wyobraźnię.

Wręcz odmiennie na południu[1]) działał opat Cystersów, Joachim. On również głosił pokorę i ubóstwo; nie dążył jednak do odrodzenia zapomocą przepisów i dekretów, ale przez wzmożone życie duchowe. Niby nowy Izajasz wzywał lud, by się gotował do odnowienia królestwa bożego przez pokutę, modlitwę, badania Pisma świętego. Gdy duch Boży nań zstąpił, usunął się do pewnej groty na Sycylji, przygotował się do nowego posłannictwa wylewając łzy obfite nad grzechami ludzkiemi i wzywając dla nich miłosierdzia bożego. Wstąpił potem do Cystersów w Sambucina w charakterze brata świeckiego. W następstwie otrzymał święcenia duchowe i został wybrany na opata. Niebawem jednak zrzekł się tej godności i zamieszkał w puszczy Pietralta. Tam napisał swoje księgi prorocze o nowem Królestwie Ducha Świętego, poczem opuścił pustelnię i idąc od klasztoru do klasztoru począł głosić swoją reformę, zyskując wielu uczniów. W r. 1189 założył we Flori, w Kalabrji, klasztor, który niebawem zwrócił na siebie uwagę duchowieństwa i wiernych. Od samego prawie początku klasztor ten był uważany przez wszystkich za Nowy Syjon, skąd miało wyjść tak gorąco upragnione odrodzenie świata chrześcijańskiego. Łagodny i pełen miłosierdzia Joachim głosił ewangelję miłości Boga i bliźniego. Wielu widziało w nim prawdziwą figurę Chrystusa. Proroctwa jego wstrząsnęły całe Włochy katolickie, oczekujące nadejścia nowej ery. Ludzie, pełni nadziei, wznosili oczy ku niebu, ale drżeli z lęku, Joachim bowiem przepowiadał, że królestwo Ducha Świętego poprzedzi okres niewysławionej trwogi, gdyż Antychryst pojawi się na ziemi[2]).

Przepowiednie Joachima sprowadziły skutki głębokie i trwałe. Długi czas po jego śmierci lud upatrywał w następujących

---

[1]) Por. Felice Tocco, op. cit., str. 261 i nast.; Gebhard, op. cit, str. 49 i nast.

[2]) Ta epoka Antychrysta miała się rozpocząć, według Joachima, w r. 1199. Por. Felice Tocco, op. cit., str. 290.

po sobie wypadkach z zakresu życia religijnego i politycznego — wypełnienie proroctw cysterskiego zakonnika[1]). Jednym ze skutków tych było pojawienie się w różnych okolicach pobożnych i pełnych zapału pielgrzymów, którzy wzywali do pokuty i przepowiadali przyszłość. Któryś z nich dotarł nawet do Asyżu i chodził po ulicach, wołając: „Pax et bonum — Pokój i dobro"[2]). W następstwie poczytano go za zwiastuna ewangelji pokoju, którą z tak znakomitym skutkiem głosił Franciszek. Jest rzeczą pewną, że ruchowi franciszkańskiemu w jego początkach sprzyjała wielce nadzieja zbudzona w sercach przez proroctwa Joachima.

Innym dowodem ciężkiego kryzysu religijnego, jaki przeżywał Asyż, jest fakt, że w r. 1203 na najwyższy urząd publiczny wybrano heretyka, Giraldo di Gilberto. Wybór ten zatwierdzono pomimo energicznych protestów Stolicy świętej[3]). Franciszek wiedział niewątpliwie o tych wszystkich wypadkach, które odbiły się w jego mieście bardzo głośnem echem.

W ścisłem kole średniowiecznej jednostki komunalnej, było rzeczą zgoła niemożliwą, aby syn bogatego kupca, znający doskonale interesy ojca, nie wiedział nic o tem wzburzeniu opinji publicznej, które wciągało wszystkich mieszkańców w wir zawrotny. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że brał on czynny udział w zdobyciu niezawisłości. Ale w walkę przeciwko Perugji cisnęło go nietyle postanowienie powzięte na podstawie dojrzałej rozwagi, ile raczej ślepe poczucie lojalności, naturalna skłonność do szukania przygód.

Był on jeszcze w tym okresie młodzieńczego zapału, kiedy umysł ocenia fakty wedle ich większej lub mniejszej zgodności z subjektywnemi pragnieniami. Mądre wyrachowanie magistratury Asyżu miało dla niego bez kwestji o wiele mniejsze znaczenie niż wesołe zabawy, w których upatrywał odległe podo-

---

[1]) Tak n. p. Fryderyk II był uważany przez licznych katolików za Antychrysta; z drugiej zaś strony jego zwolennicy oddawali mu cześć niemal boską i przyrównywali go do Jezusa Chrystusa. Por. Huillard Bréholles, *Hist. diplomat.* IV, str. 378. *Vie de P. de la Vigne.* Prèces justificatives, No. 107 i passim.

[2]) Tres Soc., 26.

[3]) Cristofani, op. cit., str. 63.

bieństwo z życiem, jakiem je widział w swych czarownych marzeniach. Co zaś do dysput pomiędzy katolikami, patarynami itp. nie przejmował się niemi ani trochę. Jego zdaniem wszystko to była strata czasu, puste słowa, zmniejszanie radości. Jeśli przypadkiem zwrócił przez krótką chwilę uwagę na te utarczki, to pomyślał zapewne, że wszyscy heretycy to psujący zabawę mąciwody, którzy najlepiejby uczynili, gdyby się nie wtrącali w nieswoje rzeczy. Słowem marzenia wysnute z wyobraźni zajmowały umysł jego zbyt silnie, by mógł być bardzo gorliwym i zapalonym politykiem, lub potrafił się mocno przejmować sprawami dogmatycznemi.

Coprawda nie opuścił on nigdy całkowicie dziedziny swych marzeń, nawet wówczas, gdy zmienił życie. Aż do końca ujawniał pewną niecierpliwość w stosunku do heretyków, w stosunku do ludzi, co wdają się w to, co ich nie dotyczy. Blizkie przyjście Antychrysta ani zapowiedź nowego objawienia się Ducha Świętego nie wywarły na nim głębszego wrażenia. On tak inaczej zapatrywał się na życie! Kochał świat taki, jaki jest; oczywiście miał mu do zarzucenia to i owo, ale mimo to było w nim tyle radości! Instynktowo garnął się do radości, unikając widoku cierpienia, niby niezbadanej tajemnicy, „która rodzi niepokój, gdy staramy się ją zgłębić“[1]).

Wśród tej wrzawy, która rozchodziła się z placów publicznych, był jednak głos, któremu Franciszek przysłuchiwał się z prawdziwą przyjemnością: głos trubadura. Na dwadzieścia lat przed przyjściem na świat Franciszka śpiewający poeci Prowancji znęceni swobodą i porwani wirem życia poczęli napływać do Włoch. Przybywali, śpiewając radości i smutki młodości, wysławiając w swoich strofach chwałę rycerstwa. Potrafili grać na wszystkich strunach uczuć ludzkich. W pieśniach ich, jakkolwiek niefrasobliwych, tkwiła głębia i siła wiary. Sławili namiętnie odwagę i wytrwałość; zawsze przytem ich bohaterowie poświęcali się jakiejś wielkiej sprawie, bądź walce za wiarę chrześcijańską, bądź też obronie słabych i uciśnionych. Opiewali też

---

[1]) Por. *Testamentum S. T. Nimis mihi videbatur amarum videre leprosos.*

miłość, miłość oskrzydloną przez ofiarę i poświęcenie[1]). Nutą dominującą ich poematów epickich zarówno jak i pieśni miłosnych była chwała poświęcenia, zaparcia się siebie na rzecz nmiłowanej sprawy lub istoty. Tradycje ludowe i legendy były dla nich niewyczerpanem źródłem natchnienia: król Artus, rycerze Okrągłego Stołu, Karol Wielki i jego paladynowie — oto ulubione tematy ich pieśni.

Minstrel prowansalski ze swemi romansami rycerskiemi i pieśniami miłosnemi odwiedzał dwory panów włoskich[2]). Jego głos czarodziejski budził wzruszenie w sercach młodzieży, orzeźwiał jak łagodny powiew wśród przygnębiającego pesymizmu, który tak długo ciążył nad półwyspem i tamował rozwój jego życia. Jest rzeczą na pozór dziwną, że ten syn kupca, uważany następnie za świętego patrona demokracji, kształcił się na miłosnych pieśniach minstreli. Jednakowoż jest to fakt nie ulegający wątpliwości: opowieści przygód i czynów bohaterskich błędnych rycerzy ukształtowały umysł i charakter Franciszka; pieśni miłosne rozwinęły jego naturalną skłonność do miłości doskonałej.

Nie miał on wielkiego zamiłowania do wiedzy książkowej; przekładał życie czynne pod otwartem niebem; niemniej przeto uczył się z zapałem romansów o Okrągłym Stole, o bohaterskich czynach Rolanda, Oliwera i innych sławnych rycerzy[3]). Był przekonany, że ci bohaterowie byli istotnie tacy, za jakich ich przedstawiano, myślał, że może jeszcze są na świecie

[1]) Por. M. Fauriel, *Dante et les Origines de la langue et de la littérature italiennes*, str. 279. Por. Karl Bartsch, *Chrestomathie Provençale Ern. Monaci. Testi antichi provenziale.*

[2]) Najdawniejsi poeci prowansalscy, jak Bernard de Ventadour, Cadenet, Raimbaud de Vaguerras, Piotr Vidal, przebywali często we Włoszech przy końcu w. XII-go. Fauriel, op, cit., str. 257.

[3]) *Vide Spec. Perf.*, rozdz. 4 i 72; podobnie F. Paschal Robinson, *The Golden Sayings of Brother Giles*, str. 61. Legendy łacińskie o Artusie i jego rycerzach były już ogłoszone we Włoszech pod koniec XII w., podobnie jak wersje prowansalskie o Arturze i Karolu Wielkim. Por. Fauriel, op. cit. I, str. 286. Wpływ miłosnych pieśni trubadurów zaznacza się bardzo silnie we wczesnej literaturze franciszkańskiej, zwłaszcza zaś w pieśniach religijnych Jacopone de Todi. Franciszek jednak, zdaje się, czerpał natchnienie raczej z *Chansons et Gestes.*

podobni, i że w ich gronie on zająłby niepoślednie miejsce. Istotnie, czyż na Wschodzie nie spotykano walecznych rycerzy na usługach sprawiedliwości i prawdy? Czyż we Włoszech południowych, gdzie Niemcy walczyli przeciwko Kościołowi, nie widziano walecznych, którzy codziennie dokonywali czynów bohaterskich? W ten sposób Franciszek snuł dalej swoje marzenia; tymczasem zaś dokoła niego wrzały zacięte spory o reformę Kościoła, a prorocy przepowiadali straszne kataklizmy i świt nowej ery.

Franciszek zachował do końca życia swoje rycerskie marzenia; rys ten będzie stanowił główny pierwiastek wpływu świeckiego na rozwój jego życia. Przerośnie on i zwycięży jego pierwotne pospolite ambicje co do karjery światowej, zmieni jego dążenia i cel; walczyć on będzie inną bronią, jego pogląd na życie przybierze formy zgoła nieoczekiwane, ale do śmierci uważać się będzie za błędnego rycerza, i prawem, rządzącem jego postępowaniem, będzie rycerski kodeks nieustraszonej odwagi, miłość pełna uwielbienia i dworna grzeczność. Do śmierci będzie on również poetą-śpiewakiem i z wrażliwością poety odnosić się będzie zarówno do promiennych stron jak i do cieniów życia. Odczuwać będzie zawsze dumną pogardę dla wszelkich kompromisów i krętych dróg dyplomacji. Usłucha bez wahania głosu Boga: w jego oczach najcięższym grzechem będzie brak wierności.

Niektórzy wyrażają przypuszczenie, że romantyczne usposobienie zawdzięcza on swojej matce. Pani Pica, żona Piotra Bernardone, była, jak mówią, szlachetnie urodzona i pochodziła z Prowancji[1]) Jest to możliwe, ale niema na to żadnych pewnych

[1]) Pierwsze legendy nie mówią nic o pochodzeniu matki Franciszka. Przypuszczano, że pochodziła z Prowancji, gdyż Franciszek władał językiem francuskim. (Por. I, Celano, 16; II, Celano, 13, 127; *Spec. perfect.*, rozdz. 93). Ale Franciszek mógł doskonale nabyć znajomość tego języka, jako niezbędnego dla syna kupca, handlującego z Francją. Co do tradycji, przypisującej pani Pica pochodzenie szlacheckie, to współczesny dokument prawny, ogłoszony przez Cristofaniego, op. cit., str. 50—51, tytułuje ją *Domina Pica;* stąd P. Sabatier wnioskuje (*Vie de St. François*, str. 8, n. 2), że musiała być pochodzenia szlacheckiego. Ale w Europie południowej najbogatsi kupcy owej

dowodów. Natomiast niema najmniejszej wątpliwości o jej dodatniem wpływie na wychowanie i wykształcenie Franciszka. Pomiędzy matką a synem istniała ścisła, pełna zrozumienia sympatja, jaka ujawnia się częściej w postaci atmosfery wpływu, któremu się ulega, niż w faktach konkretnych. Wpływ tej atmosfery jest subtelniejszy i przenikliwszy, niż bezpośrednie rady lub zakazy. Gdy sąsiedzi wyśmiewali się z książęcych manier i ambicyj Franciszka, pani Pica, ku ich zdumieniu, odpowiadała: „Ja wam powiem, czem będzie ten mój syn: zostanie synem Boga"[1]). W swej macierzyńskiej spostrzegawczości zauważyła, że Franciszek nie odmawiał nigdy jałmużny ubogiemu, że przybierał zawsze wyraz czci i skupienia, gdy wymawiano w jego obecności imię Boga. Może się domyślała, odczuwając duszę syna, co wróżyły te oznaki.

Tak tedy ojciec Franciszka, budując na przyszłej karjerze swego syna, liczył na stanowisko, jakie zdobędzie on w mieście dla utrwalenia swego własnego majątku i dlatego ciskał pieniądze pełnemi garściami. Sąsiedzi i przyjaciele wydawali o młodzieńcu sądy bardzo różne: dla jednych — był on rozrzutnikiem, dla innych — człowiekiem pełnym ambicji, który wie, czego chce i którego powodzenie jest zapewnione. Pośród tych sprzecznych sądów pani Pica kryła zazdrośnie w głębi serca słodką nadzieję, opartą na tajemnem przeczuciu. Była to wizja, rozpływająca się w mglistych zarysach, gdzie świętość łączyła się z bohaterskiemi czynami rycerza, z niebiańską pieśnią radosnego trubadura. Kto wie, w jakiej mierze marzenia matki wpłynęły na życie syna?

---

epoki mieli pretensje do równości ze szlachtą. Por. Fauriel, *Preuves de l'histoire de Languedoc,* III, str. 607. Według dokumentu, odkrytego przez biskupa Spadera w XVIII w., rodzina Bernardone wyemigrowała z Luki do Asyżu. (Por. Marcellino da Civezza, *San Francisco Oriundo dai Moviconi di Lucca.*)

[1]) II, Celano, 3. Później zobaczymy, że Pica umacniać będzie Franciszka w jego misji religijnej.

[2]) *Leg. Maj.* I, por. *Leg. Tres. Soc.* 9.

ROZDZIAŁ II.

Sny o sławie.

Jakeśmy już powiedzieli, w bitwie pod Ponte San Giovanni Franciszek został jako jeniec internowany w Perugji[1]).

Dla podróżnego, który zwiedza obecnie Umbrję, niema drugiego miasta tak pełnego królewskiego majestatu jak Perugja. Dumna, wzniesiona na wzgórzu, u północnego wejścia do dolin umbryjskich, przykuwa wzrok i wywołuje podziw wspaniałością swego położenia. Przy wjeździe do miasta uderzają przedewszystkiem surowe linje gmachów publicznych, których monumentalne piękno wywiera wrażenie tej siły brutalnej, która sprawiła, że ambitna Perugja u szczytu swej chwały była postrachem sąsiadów i przedmiotem zawziętej nienawiści. Za czasów Franciszka nie istniał jeszcze Palazzo dei Priori, symbol dziwnej mieszaniny brutalnej siły i zamiłowań artystycznych, ale unosił się już w powietrzu duch, który natchnął budowniczych tego gmachu.

Perugja odniosła zwycięstwo nad Asyżem, lecz zwycięstwo to nie było tak decydujące, by mogła ona od pokonanego miasta żądać kapitulacji bez zastrzeżeń. Z drugiej strony Perugja była zbyt przezorna, by upierać się przy walce, której wynik mógł być wątpliwy. Wszczęto zatem pertraktacje, które prowadzono z mądrą przewlekłością, a jeńcy tymczasem, trzymani w surowem więzieniu, byli strzeżeni bardzo ściśle przez rok blisko.

Franciszek, jak się zdaje, nie brał swego uwięzienia zbytnio do serca. Śpiewał i żartował, gdy jego towarzysze podlegali

---

[1]) Jako syn bogatego kupca był on umieszczony w więzieniu razem ze szlachtą, nie zaś z żołnierzami. *Tres. Soc.* 4.

wybuchom gniewu lub napadom przygnębienia; jątrzyło ich bowiem ściśle odgrodzenie od świata. Franciszek snuł dalej swoje marzenia.

Według niego, bitwa pod Ponte San Giovanni razem z jej przykremi skutkami była tylko początkiem życia rzeczywistego. Walka i niewola to wszakże tylko epizody w szeregu przygód rycerskich tak bardzo przezeń upragnionych. Jego współtowarzysze nie widzieli tego światła, które przenikało przez mury więzienia, to też przypuszczali, że mają do czynienia z człowiekiem chorym na umyśle. Jeden z nich odezwał się nawet: „Jesteś chyba niespełna rozumu, że możesz się radować w więzieniu". — „Czy chcesz wiedzieć, czemu się raduję?" — odrzekł Franciszek. — „Oto, ponieważ widzę dzień, gdy świat cały pokłoni mi się w hołdzie"[1]).

Nic nie mogło zmącić jego wesołości. Wśród więźniów znajdował się pewien rycerz o charakterze tak zgorzkniałym i przykrym, że wszyscy unikali jego towarzystwa. Franciszek stał się nieodłącznym towarzyszem tego nieszczęśliwego człowieka; dobrocią swoją złagodził jego rozgoryczenie, a wreszcie słodyczą i uprzejmością pojednał go ze współwięźniami[2]).

Po roku blisko, w listopadzie 1203, podpisano pokój. Jeńcy odzyskali wreszcie wolność[3]). Długotrwałe więzienie w połączeniu z przymusową bezczynnością, podkopało silnie zdrowie Franciszka. Po powrocie do domu rodzinnego uległ silnemu atakowi febry, który omal nie położył końca jego życiu. Wypadek ten stał się przeciwnie właściwym jego początkiem. Choroba przeciągała się; w ciągu długich tygodni, gdy Franciszek leżał złożony niemocą, nawiedziła go po raz pierwszy myśl o życiu zgoła odmiennem od tego, o jakiem dotąd marzył, o życiu, poświęconem Bogu, o zdobyciu rzeczy wiecz-

---

[1]) *Tres. Soc.*, 4. II, Celano, 4.

[2]) Ibid.

[3]) Leo Patrem (*Misc. Franc.*, Tom IX, fasc. 3, str. 84) przeczy, aby rok 1203, podany przez Ant. Cristofani, miał być datą podpisania pokoju pomiędzy Perugją i Asyżem, i obstaje za r. 1202. Dokument oryginalny został odkryty w r. 1910 w bibljotece municypalnej w Perugji; jednak wszystkie moje starania w celu uzyskania jego kopji pozostały bezskuteczne.

nych[1]). Był to jakgdyby poszum przelewających się woddali fal morskich; on sam nie potrafiłby rozróżnić wyraźnego głosu w tym odległym szumie; wniósł on jednak niepokój do jego myśli i serca, a niepokój ten miał trwać tak długo, dopóki nie zdał sobie sprawy skąd on płynie i nie poszedł za jego nakazem. Ale miało to jeszcze nierychło nastąpić.

Wraz z powrotem do zdrowia opanowały go na nowo dawne marzenia o przygodach i sławie. Ogarnął go znowu zapał do życia, do świata, który w wyobraźni malował sobie jako krainę czarów.

Pierwsze rozczarowanie spotkało go, gdy po raz pierwszy udał się na przechadzkę. Wyszedł pewnego dnia przez jedną z bram miejskich, pragnąc nacieszyć się widokiem pięknej przyrody. Zatrzymał się więc, wsparty na kiju, patrząc chciwie na rozległą dolinę, skąd wznosi się opar świetlany, otaczający pagórki mistyczną aureolą, i na złociste miasta, przytulone do zboczy wzgórz, które we mgle wydają się bardziej odległe, niż w rzeczywistości. Patrzył na wijącą się w dolinie wstęgę rzeki. I po raz pierwszy ta żywa przyroda, ta ziemia — zawiodła go. Głucha cisza była odpowiedzią na jego wołanie; nie doznał żadnych wrażeń: jakgdyby znajdował się w czterech ścianach pokoju, który przed chwilą opuścił: „Piękno pól, radosny widok winnic i to wszystko, co raduje oczy, nie zdołało go zachwycić“, mówi Tomasz Celano; „zdziwił się zaszłą w nim tak nagle zmianą i pomyślał, że szaleni są ci, co mogą kochać te rzeczy“[2]).

Stopniowo odzyskiwał siły. Ruch i świeże powietrze budziły w nim na nowo potrzebę czynu.

Różnorodne wypadki, związane z walką przeciwko Perugji, ciężka próba choroby, pogłębiły jego charakter. Nie zadowalniało go już życie młodzieńcze, jakie wiódł dotychczas; zapragnął rozpocząć życie godne człowieka dojrzałego.

Nadarzyła się wreszcie potemu sposobność[3]). Od roku 1198 całe Włochy śledziły z namiętnem zainteresowaniem toczącą

---

[1]) Celano, 3; *Leg. Maj.* I, 2.

[2]) Celano, 3.

[3]) *Post paucus vero annos* — „po niewielu latach“, mówi Legenda o Trzech Towarzyszach we wstępie do historji podróży do Apulji, po opowiedzeniu wypadku uwięzienia Franciszka. Wypadki, które następują, miały prawdopodobnie miejsce w r. 1205.

się pomiędzy papieżem a Niemcami walkę o panowanie nad Obojgiem Sycylji. Zrazu wojska papieskie musiały ustępować; lecz walka przybrała inny obrót z chwilą, gdy Inocenty III powierzył w r. 1202 sprawę swoją Walterowi de Brienne, księciu Tarantu. Była to jednakże walka zacięta, toczona po obu stronach przez dzielnych i nieustraszonych wodzów. Dla śpiewaków prowansalskich Walter de Brienne stał się czemś więcej, niż walecznym żołnierzem; był to prawdziwy bohater, który walczył za Kościół, za wolność Włoch przeciwko znienawidzonym Niemcom[1]). Trubadurowie rozgłosili tak daleko sławę tego wodza normandzkiego, że ze wszystkich okolic półwyspu przybywali pełni zapału żołnierze, aby zaciągnąć się pod jego sztandary. Przyciągały ich najrozmaitsze przyczyny. Jednych nęciła sława uczestniczenia w takiej walce; innych sprowadzała nadzieja bogatego łupu, który miał przypaść w udziale armji zwycięskiej. Niektórzy z tych wojowników pozyskali sławę i podziw aspirantów do rycerskich honorów.

Często zapewne myśl Franciszka ulatywała ku tym polom bitew na południu, gdy usiłował wprowadzić w czyn swoje marzenia rycerskie. Otóż w tym czasie pewien niewiadomego nam nazwiska szlachcic z Asyżu wybierał się do Apulji dla połączenia się z armją papieską. Ta okoliczność przyśpieszyła decyzję Franciszka, który postanowił mu towarzyszyć.

On również zapragnął iść na wojnę i być z boską pomocą pasowanym na rycerza, odbywając kampanję pod wodzą hrabiego Gentile. Był to zapewne jakiś znany dowódca, lecz biografowie Franciszka nie podają nam jego czynów wojennych[2]).

---

[1]) Włosi południowi cierpieli jednak nad tem, że rządził nimi cudzoziemiec, gdyż Walter de Brienne był nietylko wodzem, ale i wykonawcą sprawiedliwości w Apulji. Por. A. Luchaire, *Innocent III, Rome et l'Italie*, str. 190 i nast.

[2]) *Leg. Tres. Soc.* mówi wyraźnie, że hrabia, przez którego Franciszek pragnął być pasowanym na rycerza, nazywał się Gentile. Lemonnier i Jörgensen przypuszczają, że nazwisko Gentile było jedynie tytułem honorowym i że był to zapewne sam Walter de Brienne. Było jednakże kilku hrabiów Gentile, których nazwiska znajdujemy we współczesnych dokumentach; jeden z nich, hrabia Gentile de Manapelli, przyczynił się do klęski Niemców w Palermo w lipcu 1200 r. Por. P. Sabatier, *Vie de St.François d'Assise*, str. 19, n. 2.

Powziąwszy to postanowienie, Franciszek pomyślał o ekwipunku rycerskim. Lubił czynić wszystko na wielką skalę, ze wspaniałością równą conajmniej jego ambicji; to też rynsztunek Franciszka zaćmił całkowicie jego towarzysza broni, jakkolwiek był to człowiek bogaty i hołdujący modzie[1]).

Gdy nadszedł dzień wyjazdu, Franciszek nie posiadał się z radości, widząc, jak pięknie wygląda. Nagle jednak spotkał rycerza, którego wytarta odzież znamionowała wielkie ubóstwo. Franciszek uznał, że nie wypada, aby ktokolwiek z rycerstwa był tak nędznie odziany; to też bez zwłoki ofiarował ubogiemu rycerzowi swój płaszcz i tunikę wraz ze wspaniałym rynsztunkiem[2]).

Udając się na spoczynek tego wieczoru Franciszek był upojony przyszłą sławą. We śnie miał widzenie, które go wprawiło w najżywszy zachwyt. Ktoś zawołał nań po imieniu, ujął go za rękę i poprowadził do wspaniałego pałacu, ozdobionego jedynie zbrojami rycerskiemi. W pałacu tym przebywała młoda narzeczona przedziwnej urody i wdzięku. Przebiegając ten pałac ze wzrastającym zachwytem, zapytywał siebie, kto też być może jego szczęśliwym posiadaczem. Jego przewodnik odparł: „Należy on do ciebie i do tych, co po tobie przyjdą"[3]). Franciszek zbudził się, przekonany, że sen ten jest przepowiednią przyszłości. Radość jego była tak widoczna, że zaciekawieni przyjaciele zapytali go o jej przyczynę. „Wiem z pewnością — odrzekł Franciszek — że będę możnym księciem"[4]). Z sercem przepełnionem najświetniejszemi nadziejami, zrodzonemi przez ów sen, udał się w drogę do Apulji.

Pierwszego wieczoru przybył do Spoleto, miasta położonego u południowego wejścia do doliny, skąd wzgórza obniżają się ku zachodowi. Zatrzymał się tam na noc. Głos tajemniczy

---

[1]) I, Celano, 4.

[2]) II, Celano, 5; *Tres. Soc.*, 6; *Leg. Maj.*, I, 2.

[3]) *Tres. Soc.*, ; I, Celano, 5. II, Celano, 6; *Leg. Maj.*, I, 3. Celano w swojej *Legenda Prima* mówi, że Franciszek widział dom swego ojca pełen zbroi rycerskich. Ale w *Legenda Secunda* podaje ten sam opis, co *Tres Socii*. S. Bonawentura mówi o pięknym pałacu, nie wspomina jednak o urodziwej narzeczonej.

[4]) *Tres. Soc.*, 5.

znowu dał mu się słyszeć. Tym jednak razem był pogrążony w półśnie. Głos mówił: „Franciszku, komu lepiej służyć, panu, czy słudze?“ Zdziwiony Franciszek odpowiedział: „Oczywiście lepiej służyć panu“. „Czemuż tedy — zapytał głos — czynisz pana ze sługi?“ Nagle światło spłynęło do jego duszy i zapytał z pokorą: „Panie, co chcesz, bym czynił?“ „Wróć — rzekł głos — do miejsca twego urodzenia; tam dowiesz się, co masz czynić, gdyż znaczenie snu, który miałeś, jest zgoła odmienne“. Zupełnie już rozbudzony Franciszek począł rozmyślać nad tym wypadkiem. Nie mógł wątpić dłużej; głos ten był oddźwiękiem tych niepokojących myśli, jakie nawiedzały go w czasie choroby. Były one zbyt realne, by je można było lekceważyć. Wstał o świcie, a potem bez zwłoki, ze spokojną powagą i zimną krwią wsiadł na konia i wrócił do Asyżu. Zostawiał poza sobą wszystkie marzenia o światowej sławie. Nie miał żadnych planów na przyszłość: wiedział, że musi czekać na przyrzeczone słowa, które mu wszystko miały wyjaśnić. Wiedział narazie tylko tyle, to też z przedziwną prostotą — zaczął czekać.

Powrót nie zasmucał go wcale. Zachwyt, który wczoraj jeszcze przepełniał mu duszę, ustąpił jakiejś nowej pogodzie i cichej radości. Pragnienia jego serca nie zostały jeszcze zaspokojone, wiedział jednak, że to się stanie w owej tajemniczej przyszłości, która go czeka[1]).

Najlepszym dowodem rozwagi i spokoju Franciszka jest fakt, że czekał cierpliwie i nie myślał zrywać nagle z dotychczasowem życiem[2]). Powrócił poprostu do przerwanego przez wyjazd trybu codziennego. Zaczął się na nowo zajmować sprawami swego ojca, nie wykazując zresztą większego niż dotychczas w tym względzie zainteresowania. Zajął poprzednie miejsce wśród młodzieży miejskiej, która go wybrała na prowodyra wszystkich zabaw. Szczegół ten czerpiemy z pism Celana, który równocześnie wyjaśnia, że był to wyraz uznania za hojność, jaką Franciszek odznaczał się podczas uczt wspólnych. Zabawy jednak nie dawały mu już dawnej pełni uciechy i przyjemności.

Prezydował on dalej na ucztach, wyprawianych przeważnie dzięki jego hojności, w których uczestniczyła cała wytworna

---

[1]) *Tres Soc.*, 6; II, *Leg. Maj.*, I, 3.

[2]) II, Celano, 7.

i bawiąca się młodzież Asyżu. Gdy się najedli i napili dosyta, wychodzili na miasto i przechadzali się gromadkami po ulicach, śpiewając na całe gardło. Franciszek postępował na przedzie: stosownie do zwyczaju trzymał w ręku niby berło laseczkę prowodyra[1]). Tymczasem w ciemnych i krętych uliczkach miasta żył tłum nędzarzy zgłodniałych i obdartych, których jedyną przyjemnością było przypatrywanie się pochodowi wspaniale postrojonych i sytych synów kupców i szlachty; od czasu powrotu ze Spoleto Franciszek zaczął uświadamiać sobie coraz bardziej kontrast pomiędzy życiem tych nędzarzy a życiem swego bezpośredniego otoczenia. Widok żebraka wywoływał w nim cały splot sprzecznych uczuć, które przyprawiały go samego o zdumienie.

Czuł, że z dniem każdym wśród przyjaciół staje się coraz bardziej obcym. Żył wprawdzie pomiędzy nimi, żartował i dowcip dopisywał mu pozornie podawnemu, ale sercem był już od nich daleko. Zdarzało się częstokroć, że zasiadał do stołu roztargniony lub szedł na czele hałaśliwego pochodu pogrążony w zadumie, z której budził go dopiero jakiś rubaszny żart towarzyszów. Zczasem te jego zamyślenia zaczęły się stawać coraz dłuższe i coraz poważniejsze. Niekiedy nawet myśli tak go pochłaniały, że nie mógł wymówić słowa, ani wykonać żadnego ruchu. Towarzysze zabaw, zauważywszy ten dziwny stan Franciszka, mieli gotowe na to wyjaśnienie: młodzieniec musiał się zakochać.

Razu pewnego, gdy pogrążony w zamyśleniu, pozwolił się wyprzedzić rozbawionej gromadce, przyjaciele jego zawrócili, a połączywszy się z nim, zaczęli mu czynić wymówki: „Czy zakochałeś się, Franciszku? — zawołali — czy znalazłeś wreszcie pannę, którą chcesz pojąć za żonę, i rozmyślasz bezustanku o piękności i wdziękach swojej wybranej?“ Franciszek wyrwany z zadumy, odparł z niespodziewaną powagą: „Istotnie, myślę o osobie, którą pragnę pojąć za żonę, a nie widzieliście nigdy szlachetniejszej od niej, piękniejszej ani bogatszej“. Nie uwierzyli mu i wybuchnęli rubasznym śmiechem. Franciszek

---

[1]) II, Celano, 7. Najwidoczniej Celano opisuje te zabawy miejskie na podstawie osobistego doświadczenia.

miał na myśli ideał swych marzeń, który następnie zjawił mu się w postaci „Pani Ubóstwa"[1]). Narazie ideał ten poczynał mu się ukazywać w mglistych jeszcze zarysach. Było to pierwsze wyznanie miłości, której sam sobie jeszcze nie uświadomił. Począwszy od tej chwili, z pokorą prawdziwie zakochanego, uznał, że sam nie ma żadnej osobistej wartości. Myślał z bólem o latach straconych na rozrywki, które przeszkodziły mu wniknąć w istotne pragnienia własnego serca.

Odtąd stał się jeszcze bardziej milczący i zadumany, bardziej wrażliwy na przejawy życia wewnętrznego. Częstokroć usuwał się od towarzystwa swych przyjaciół i wymykał się za miasto, aby modlić się w samotności. Nie śmiał jeszcze zdradzić przed nikim swej tajemnicy, ale wstręt do dawnego życia zaczął mu ciążyć ponad wszelką miarę. Należał do natur, szukających instynktowo towarzystwa ludzi, pewnego zrozumienia i sympatji, i ta potrzeba wewnętrzna skłaniała go częstokroć do odwiedzania ubogich. Teraz już nie czekał, aż oni przyjdą doń po jałmużnę; sam szedł do nich z pomocą. Do darów materjalnych jednak dodawał coś cenniejszego jeszcze: serdeczną życzliwość dla tych wydziedziczonych. Był to naturalny odruch duszy samotnej i udręczonej.

W tym okresie przemian wewnętrznych Franciszek żył w wielkiem osamotnieniu moralnem. W Asyżu był jeden tylko człowiek w jego wieku, któremu miał odwagę zwierzyć się ze swych przeżyć wewnętrznych; ale i z tym nawet mówił bardzo nieśmiało, alegorjami, dając do zrozumienia, że znalazł skarb wielkiej wartości i że szuka sposobu zdobycia go. Niekiedy zabierał swego przyjaciela ze sobą na zamiejską przechadzkę i w zagadkowych słowach usiłował podzielić się z nim nurtującemi go myślami. Idąc krok za krokiem, dochodzili zazwyczaj do starożytniego grobowca etruskiego, znajdującego się w miejscu odległem i odosobnionem. Franciszek prosił, by przyjaciel czekał nań, a sam wchodził do wnętrza.

Były to dla Franciszka chwile najpoufniejszego obcowania z Bogiem i z duszą własną. Przyjaciel, który na niego czekał, słyszał, jak zwyczajem południowców, jęczy i krzyczy głośno.

[1]) *Tres Soc.*, 7 i 13; I. Celano, 7.

Wówczas to światło Boże przenikało duszę Franciszka, ukazując mu jego własne ja; stawał wtedy twarzą w twarz ze swem przeznaczeniem. Chwile te były dla niego istną agonją. Owładnęły nim nowe pragnienia, a czuł się niezdolnym do ich zrealizowania.

W tych warunkach nadmierne naprężenie nerwowe potęgowało jego udrękę; wyobraźnia stwarzała mu nieistniejące przyczyny niepokojów i tortur wewnętrznych. Zdawało mu się, że popadnie w kalectwo lub w jakąś straszną chorobę, jak niektórzy żebracy na ulicach, na których widok odwracał się zawsze, przejęty odrazą. Myśli takie odpędzał modlitwą żarliwą i wytrwałą, dopóki nie osiągnął względnego spokoju. Lecz po modlitwie zmieniał się fizycznie pod wpływem wewnętrznego cierpienia.

W tym zamęcie duchowym zarysowywała się przed nim coraz wyraźniej jedna myśl: oto musi porzucić wygody, zbytek, ambicję, i udać się, jak Abraham, pomiędzy obcych. Myśl ta stopniowo owładnęła nim do tego stopnia, że stała się jakiemś natrętnem i tajemniczem wołaniem. Franciszek walczył z nią jeszcze; nie chciał się poddać; węzły, łączące go ze światem, nie były całkowicie zerwane; nie wiedział jeszcze dokładnie, co ma czynić[1]).

Nie wiemy nic o młodzieńcu, którego towarzystwo krzepiło go w tych godzinach zmagań wewnętrznych i którego przyjaźń pocieszała go w duchowych smutkach. Niektórzy autorzy przypuszczają, że mógł to być ów Eljasz, późniejszy jenerał zakonu[2]), który uważany w legendzie franciszkańskiej za osobistość, stanowiącą absolutny kontrast z Franciszkiem. Jeśli to jest prawda, to zrozumiałem jest przywiązanie, jakie Franciszek okazywał mu w ostatnich dniach swego życia, jakkolwiek wtedy był on przyczyną poważnych trosk świętego Założyciela zakonu. Jest to jednak tylko fantastyczne przypuszczenie. Kim-

---

[1]) Por. *Tres. Soc.*, 8; I, Celano, 6; II, Celano, 9.

[2]) P. Sabatier, *La vie de St. François d'Assise*, str. 22. Przypuszczenie to jest mało prawdopodobne. Gdyby Eljasz był pierwszym przyjacielem Franciszka, Celano byłby nadmienił o tem w swojej *Legenda Prima*, gdzie podkreśla bardzo wyraźnie wszystkie zasługi Eljasza.

kolwiek on jednak był, niech pamięć jego będzie błogosławiona za pociechę, jaką niósł Franciszkowi w owych pierwszych dniach próby.

Dręczony niepokojem wewnętrznym Franciszek postanowił odbyć pielgrzymkę do grobu apostołów Piotra i Pawła. Corocznie tłumy pielgrzymów podążały białemi drogami, wiodącemi do Rzymu. Szli oni z ufnością złożyć swoje troski, obawy i pragnienia u grobu pierwszych pasterzy owczarni Chrystusowej na wzgórzu Watykańskiem.

Franciszek przyłączył się do pobożnych wędrowców; nie wątpił, że i on znajdzie u grobu apostołów światło i ukojenie. Wziął ze sobą bogate dary, gdyż w swej nieznajomości głębi duszy ludzkiej przypuszczał, że wszyscy zamożni pielgrzymi czynili podobnie.

Jakież jednak było jego zdziwienie i oburzenie, gdy się przekonał, że te ich ofiary były bardzo skromne. Uważał takie skąpstwo za zniewagę świętych apostołów. To też odwrócił się ze wstrętem od tych pielgrzymów i zajął się licznymi i bardzo natrętnymi żebrakami, którzy oblegali drzwi świątyni, i wysypał na ich wyciągnięte dłonie wszystko, co miał. Oddawna już żebracy dziwnie go pociągali. W ich obecności poczynał doznawać nowego uczucia wyzwolenia.

Razu jednego, gdy szedł pomodlić się do Św. Piotra, przyszła mu do głowy myśl, która odrazu zamieniła się w postanowienie. Oto sam na dzień jeden stanie się żebrakiem i przekona się, czem jest takie życie. Łatwiej mu było to uczynić wśród obcego tłumu; w Asyżu byłby się zawahał wobec śmieszności, jakąby go to okryło w oczach ludzi z jego świata, gdyż nie był jeszcze panem swojej duszy. Niejednokrotnie, w okresie poprzedzającym pielgrzymkę do Rzymu, Franciszek uważał siebie za tchórza, gdyż skrępowany przesądami swojej sfery ukradkiem tylko odwiedzał ubogich.

Tu, w Rzymie, sprawa nie wymagała tak wielkiej odwagi. Poza tem podlegał wpływowi środowiska; pielgrzymka sama nadały nowy kierunek jego myślom — był to pierwszy rzut oka na świat szeroki i nieznany, poza horyzontem kraju rodzinnego. To wszystko dało mu większą pewność siebie. Zacięta walka, tocząca się w jego duszy, poczynała się wyjaśniać.

Wzamian za sute wynagrodzenie, jeden z żebraków zgodził się pożyczyć mu swoje łachmany. Przez dzień cały stał u drzwi bazyliki św. Piotra, prosząc o jałmużnę. Przy pewnym wysiłku wyobraźni, poczuł się istotnie prawdziwym żebrakiem, który od szczodrobliwości bliźniego spodziewa się zaspokojenia najkonieczniejszych potrzeb, dzieląc z towarzyszami niedoli zarówno hojność jak i opryskliwość przechodniów[1]).

Wieczorem stał się znowu synem bogatego kupca, Piotra Bernardone; w ciągu całego dnia jednak należał do wzgardzonego bractwa ubogich. Wracając do domu na noc, Franciszek uczuł, że oddalił się od domu ojcowskiego i że znalazł nowe węzły rodzinne. Uczuwał także coś jakgdyby dumę, jak człowiek, który pokonał własną słabość i stał się panem samego siebie. Istotnie pycha jego buntowała się w dniu tym nieraz przeciwko łachmanom, w które się odział dobrowolnie; myśl o stanowisku społecznem, jakie zajmował, nieraz go nawiedziła w ciągu tych godzin, spędzonych wśród żebraków[2]). To też po powrocie do Asyżu zachował w głębi duszy uczucie, że odtąd jakieś nici pokrewieństwa łączą go z ubogimi. Uważałby za czyn nielojalny wobec swojej nowej rodziny, gdyby jak dawniej, rozdawał jałmużnę ukradkiem: uznał, że ma obowiązek ujawnienia wobec wszystkich stosunków, łączących go z żebrakami.

Na szczęście ojciec Franciszka był podówczas nieobecny; bawił prawdopodobnie wtedy we Francji. Jego obecność byłaby może przyśpieszyła bieg wypadków, ale historja Franciszka straciłaby wdzięk idylliczny, który charakteryzuje początek jego działalności. Natomiast młodzieniec mógł liczyć na sympatję i wyrozumiałość matki. Pewnego dnia zastała ona ku swemu zdziwieniu stół zastawiony jak na przyjęcie licznych gości. Zapytała tedy o nazwiska i liczbę zaproszonych. Franciszek odrzekł, że wyprawił ucztę dla wszystkich głodnych, poczem rozdał ubogim, oczekującym przed drzwiami, przygotowane potrawy. Uważał, że prawdziwe miłosierdzie i uprzejmość sąsiedzka wymaga, aby oddał im to, co się znajduje na jego własnym stole.

---

[1]) II, Celano: *Tres. Soc.*, 10; *Leg. Maj.*, 1—6.

[2]) Por. II, Celano, 23.

Wreszcie nadeszła chwila, gdy mógł ujawnić w pełni uczucia, które go ożywiały. Był na przejażdżce i wracał konno do miasta, gdy spotkał na drodze trędowatego, proszącego o jałmużnę. Na widok jego ohydnej szpetoty, Franciszek zadrżał ze wstrętu, jakiego doznawał zawsze wobec tej strasznej choroby. Dawniej byłby cisnął mu pieniądz i odjechał czemprędzej; ale teraz serce jego przeniknęła nieskończona litość, która nie pozwoliła mu tego uczynić. Zsiadł z konia, wręczył biedakowi jałmużnę i ucałował jego rękę. Potem objął go i ucałował go po bratersku.

W tym momencie Franciszek zerwał ostatecznie wszystkie więzy, które go jeszcze krępowały. Pocałunek, który wycisnął na czole trędowatego, był hołdem, złożonym nowej władzy jego życia: ubóstwu i cierpieniu; od tej chwili stał się ich sługą. Nie spotkał był jeszcze na swej drodze „Pani-Ubóstwa", ale wstąpił już w granice jej posiadłości, stał się sługą ludu tej królowej, i narazie odzyskał spokój. Przez pamięć dla tej znamiennej chwili uważał, że ma szczególny obowiązek opiekowania się trędowatymi. Odwiedzał ich, pocieszał, zanosił im jałmużnę. Ilekroć wręczał im datek, całował im ręce[1]).

---

[1]) *Tres. Soc.*, 11; II, Celano, 9; *Leg. Maj.*, I, 5. Por. *Testamentum S. Franc.* w *Seraph. Legisl. Texstus Originales* (Quaracchi), str. 265.

ROZDZIAŁ III.

Jak Franciszek spotkał Panią Ubóstwo.

Upłynęło już kilka miesięcy od owej nocy w Spoleto, kiedy Franciszek usłyszał głos tajemniczy: od tej chwili oczekiwał ciągle wezwania swego mistrza, Jezusa Chrystusa. Przyjmował, jako pochodzące od Boga, wszystko, co go spotykało, nie dając ze swej strony żadnej inicjatywy; w tej epoce nie działał prawie według własnej woli. Nie wątpił, że sam Chrystus pozwolił mu spotkać trędowatego, że skłonił go do ucałowania tego biedaka i w ten sposób skierował go na właściwą drogę. Wiedział, że jego całkowite wtajemniczenie jeszcze się nie dokonało, że koniec jego prób jest jeszcze daleki, mimo to jednak doznawał niezwykłej błogości „duszy i ciała" na myśl, że wreszcie zaciągnął się w poczet sług Bożych[1]. Odtąd czuł wewnętrzną potrzebę okazywania niezachwianej wierności swemu boskiemu Panu. Uczucie to łączyło się u niego z nieśmiałym kultem dla tego życia nowego i tajemniczego, które otwierało się przed nim przez obcowanie z ubogimi i nieszczęśliwymi.

Czuł wyraźnie, że nowe życie, które się mu objawiało, było darem Boga i że powinien oddać mu się bez zastrzeżeń. Było to istotnie królestwo, które Bóg dzielił ze swymi sługami. W królestwie tem jaśniejąca postać Chrystusa odbijała się we wszystkich istotach. Żebrak i trędowaty byli obleczeni majestatem boskim: ziemia, po której stąpali, była również uświęcona przez to, że oni sami byli przepojeni chwałą Chrystusa.

---

[1]) Patrz Testament Świętego Franciszka, I: „Pan udzielił mnie, Bratu Franciszkowi, bym w ten sposób zaczął czynić pokutę. Pan sam wprowadził mnie pomiędzy nich (trędowatych) i okazywałem im litość. A gdy ich opuszczałem, to, co zdawało mi się gorzkiem, zamieniało się na słodycz dla ciała i duszy".

W tym zwrocie Franciszka ku religji było to szczególne, że przemiana owa, jakkolwiek głęboka, nie otwierała przepaści pomiędzy nim a światem ziemskim. Przeciwnie, ziemia przeistaczała się w jego oczach, stając się źródłem nowej radości. Niegdyś żywił wielki szacunek dla świata, jako dla widowni wspaniałych czynów rycerstwa. Teraz cześć ta wzmogła się jeszcze, gdy odkrył na ziemi nowe życie, to też i radość jego wzrosła. Reformatorzy religijni z profesji nie tolerowaliby zapewne takiego stanu duszy. Potępiali bowiem bezwzględnie wszelkie uczucia radości w życiu doczesnem. Według nich winna istnieć jedna tylko radość, a mianowicie radość mająca być kiedyś nagrodą w życiu przyszłem. Franciszek instynktowo rad ich unikał. Rzeczywistość, która uderzyła jego umysł, stała w zupełnej sprzeczności z ich teorjami.

Gdy niepokój dręczył silniej jego duszę, udawał się do biskupa i prosił go o radę. Wracał stamtąd uspokojony i pokrzepiony na duchu. Biskup wnosił ze wszystkiego, że Franciszek zostanie zakonnikiem lub wstąpi do stanu duchownego. Jakkolwiek wszakże miał o tem zdanie, nie usiłował nigdy wywierać nacisku na postanowienie Franciszka, okazywał mu zawsze najżywszą sympatię i był dlań niezmiennie dobrym i gotowym udzielić mu pomocy. Przeważnie zresztą Franciszek nie pytał nikogo o radę, słuchając tylko głosu wewnętrznego. Czynił to z całą pokorą, unikając gwałtownego przeciwstawiania się sposobowi postępowania innych. Żył pogrążony w tajemnicy własnego życia, oczekując rozkazów boskiego Mistrza. Ta prostota była właśnie gwarancją i zarazem dowodem jego szczerości.

Zbliżamy się teraz do momentu decydującego, kiedy Franciszek poweźmie wielkie postanowienie[1]).

Jest w okolicach Asyżu zbudowany na stoku pagórka mały kościółek pod wezwaniem św. Damjana. Kaplica ta znajduje się

---

[1]) Por. *Tres Soc.*, 10; *Spec. Perfect.*, cap. 10. W *Spec. Perfect.* Franciszek przytacza jako przyczynę swego szacunku dla biskupów tę dobroć, jakiej doznał od biskupa Asyżu „od początku mego nawrócenia". Por. *Acta SS. octo,* II, str. 584. Biskup Gwido był wybrany w r. 1204. Por. Ughello, *Italia sacra,* I, str. 479 XV.

niedaleko „Via Francesca", w kierunku Spello[1]). Razu jednego Franciszek przechadzał się w pobliżu małej budowli, patrząc ze wzruszeniem na kościółek, rozpadający się w gruzy[2]), o który nikt nie dbał. Nagle uczuł chęć wejścia do środka. Wszedłszy, ukląkł przed wielkim ołtarzem. Wtem usłyszał głos, jakgdyby wychodzący z krucyfiksu: „Franciszku, widzisz, — mówił — mój kościół rozpada się w gruzy: napraw go". Franciszek bardzo zdziwiony a nawet przestraszony brzmieniem tego głosu, zdał sobie wreszcie sprawę, że to jego Mistrz doń przemawia. Ogarnęło go wzruszenie tak silne, że przez czas jakiś nie mógł wymówić słowa ani wykonać żadnego ruchu. Chrystus przemówił do niego... Wreszcie przyszedł do siebie i przypomniawszy sobie, że Pan zażądał od niego usługi, odrzekł: „Chętnie naprawię Twój kościół, Panie". Uczuł wtedy dla Chrystusa przedziwny poryw miłości; podobnego uczucia nie doznawał nigdy przedtem. Zrozumiał, że odtąd dla miłości Jezusa gotów jest na wszystko — nawet na śmierć.

Wstał z klęczek i udał się do księdza, opiekującego się kościołem. Siedział on właśnie opodal. Franciszek wręczył mu znaczną kwotę pieniędzy i rzekł: „Oto pieniądze na oliwę; proszę o utrzymywanie zapalonej lampy przed krucyfiksem. Gdy pieniędzy zabraknie, dam więcej." Potem poszedł dalej; lecz uniesienie jego trwało; miał ciągle przed oczyma Ukrzyżowanego, słyszał Jego słowa. Wszystko inne przestało dlań istnieć; krucyfiks stał się istotą żyjącą, centrem wszystkiego, co żyje. Jego Pan, Władca jego istnienia, Ten, który miał do niego wszelkie prawa, — to Ukrzyżowany. Sam dał mu się poznać w tym zrujnowanym kościele, a Franciszkowi polecił naprawić go.

---

[1]) *Via Francesca* była jedną z głównych dróg, wiodących za czasów św. Franciszka od Św. Damjana do Porcjunkuli. Obecnie jest to tylko wąska ścieżka. Zwracamy uwagę, że nazwa nie pochodzi od św. Franciszka, gdyż istniała przed nim.

[2]) Według Thode'go *Saint François d'Assise et l'art italien.*, II, str. 13, istniał on już w r. 1030. Był to jeden z tych małych kościołów, jakich jest wiele we Włoszech; mają one tylko jedną nawę bez bocznych skrzydeł i są zgruba zbudowane z kamieni. Kościołek Św. Damjana istnieje dotąd w swej pierwotnej prawie prostocie. W wieku XVII dobudowano boczną kaplicę dla umieszczenia w niej słynnego krucyfiksu, rzeźbionego przez Innozencio di Palerma.

Wszystko się wyjaśniało, ujawniało, stawało wyraźnem. Rycerz-sługa Chrystusowy nie pytał o nic, nie sprzeciwiał się; odpowiedzią jego była miłość i posłuszeństwo.

Tego wieczoru, gdy Franciszek powrócił do Asyżu, oddał się tak bezwzględnie swemu Mistrzowi, że tak jak On, był jakgdyby w duchu ukrzyżowany[1]). Bez zwłoki rozpoczął służbę u nowego Pana. Wziął ze składu swego ojca dość znaczny zapas tkanin, wsiadł na konia i, uczyniwszy znak krzyża, udał się do Foligno. To miasto, położone na równinie, słynęło z ożywionego handlu. Towar, który tam dostarczano, znajdował szybko chętnych nabywców. W Foligno Franciszek sprzedał nietylko tkaniny, ale i wierzchowca. Potem przeszedł zpowrotem pieszo dziesięć mil, które go dzieliły od Asyżu, niosąc pieniądze za sprzedany towar, celem doręczenia ich księdzu z San Damiano. Oddał mu woreczek, skłoniwszy się przytem głęboko i ucałowawszy jego rękę. Potem poprosił jak o największą łaskę o pozwolenie zamieszkania w pustelni. Zapragnął bowiem zamieszkać tam, gdzie jego usługi były potrzebne; z drugiej zaś strony przestało mu się podobać życie, jakie prowadzono w domu rodzicielskim.

Wypadki przybierały obrót, jakiego ksiądz się nie spodziewał. Był to człowiek dobry i bardzo rozważny: zgodził się udzielić Franciszkowi schronienia, lecz nie przyjął ofiarowanej sobie znacznej sumy pieniężnej. Musiał już prawdopodobnie słyszeć o dziwnem zachowaniu się Franciszka od chwili jego powrotu z Rzymu i zadawał sobie z pewnym niepokojem pytanie, jak to wszystko się skończy. Może myślał, że zgoła zbytecznem jest poświęcać tyle pieniędzy na naprawę kościoła w stanie zupełnej ruiny, zdala od siedzib ludzkich. Być może także, iż wolał w dalszym ciągu żyć spokojnie, jak dotychczas. Jakkolwiek było, Franciszek nie zdołał go skłonić do przyjęcia pieniędzy, to też wziął sakiewkę i wrzucił ją przez okno do kościoła[2]). Nie wrócił jednak do domu, lecz pozostał u księdza.

Tymczasem ojciec Franciszka, powróciwszy do Asyżu, zaniepokoił się nieobecnością syna. Gdy upłynęło dni kilka,

---

[1]) II. Celano, 10; *Tres. Soc.*, 13, 14; *Leg. Maj.*, 1—5.

[2]) I. Celano, 8, 9; II, Celano, 11; *Tres. Soc.*, 16; *Leg. Maj.*, II, 1.

a Franciszka nie było, wszczął poszukiwania i dowiedział się prawdy. Dowiedział się o sprzedaży tkanin w Foligno, o zamieszkaniu w San Damiano w charakterze akolity czy pustelnika. Wiadomości te zarówno zmartwiły jak i rozgniewały Piotra Bernardone. Zebrał kilku przyjaciół i udał się do Franciszka, aby położyć kres tym szaleństwom. Franciszek, uprzedzony prawdopodobnie przez kogoś z domowników, znikł przed przybyciem ojca; niepodobna było go odnaleźć. Szczegół ten dowodzi, że Franciszek nie był jeszcze bohaterem; nie przyszło mu na myśl ustąpić gwałtowności ojca ani wyprzeć się wiary, którą ślubował Ukrzyżowanemu, ale obawiał się śmieszności. Lękał się porywczości ojca, na którą sumienie i miłość synowska wzbraniały mu odpowiedzieć.

Nadewszystko jednak bał się przekleństwa ojcowskiego, które, jak wiedział, spadnie nań niechybnie przy najmniejszej próbie oporu. W dzisiejszych nawet czasach Włoch lęka się najbardziej klątwy. Z tem wszystkiem łączyła się pewna nieśmiałość, która wstrzymywała go od publicznego wyznania nowej przysięgi wierności, złożonej Ukrzyżowanemu, który go powołał; podobnie człowiek honoru doznaje wielkiego onieśmielenia na myśl o wyznaniu miłości, którą ma w sercu. Był jeszcze tylko neofitą, nie posiadał ani siły, ani pewności siebie dojrzałego mężczyzny. Gdy tylko zamieszkał w San Damiano, w obawie przed ojcem szukał na wszelki wypadek schronienia; znalazł też głęboką grotę, gdzie mógł się bezpiecznie ukryć. Tam się właśnie schronił, gdy go ostrzeżono o przybyciu ojca. Ukrywał się tam przez cały miesiąc; obawa jego była tak wielka, że w biały dzień lękał się wyjść z groty. Jedyny przyjaciel, który znał jego kryjówkę, przynosił mu w największej tajemnicy pożywienie.

Mimo to te dni niedoli nie były pozbawione swoistej radości. W mroku samotności żył w ścisłem zjednoczeniu ze swym boskim Mistrzem; nowe światło rozjaśniało mu umysł, nowe siły krzepiły mu serce. Niekiedy trwożył się na myśl o burzy, która go czeka; chwilami upajał się swojem nowem szczęściem. Lecz nadszedł dzień, gdy uczuł, że niegodnem Majestatu boskiego Pana, któremu służył, jest ukrywanie się w ciemnej jaskini przed gniewem ludzi. Prawdziwy rycerz nie ucieka w godzinie walki, nie wstydzi się swych przysiąg. Musi więc żyć jawnie,

aby dać świadectwo Panu i cierpieć w razie potrzeby. To też zdając się na Mistrza, któremu służył, wyszedł z groty i ukazał się na ulicach Asyżu.

Różnił się on teraz bardzo od wesołego młodzieńca, jakim był tak niedawno. Walka wewnętrzna, którą stoczył, posty, umartwienia — wyczerpały jego siły fizyczne; był wychudzony, a twarz jego nabrała martwej bladości. Ludzie, których napotykał po drodze, odnosili wrażenie, że musiał postradać zmysły; z bezmyślnem okrucieństwem tłum począł wyśmiewać jego mniemane szaleństwo, zasypywać go przezwiskami i drwinami. Franciszek znosił wszystko w imię Ukrzyżowanego i nie odpowiadał. Wtedy tłum rozzuchwalony, począł weń ciskać błotem i kamieniami. Franciszek nie zdradził żadnego zniecierpliwienia. Doznawał dziwnej radości podczas tego chrztu ogniowego, tem żywszej, że lęk przed tą próbą dręczył go w ciągu całego ubiegłego miesiąca.

Asyż jest małem miasteczkiem, to też Piotr Bernardone dowiedział się zaraz o powrocie syna i o zgotowanem mu przez współobywateli przyjęciu. Upokorzyło go to głęboko i wzmogło jeszcze jego gniew. Wybiegł na ulicę, a schwyciwszy Franciszka, przywiódł go do domu, nie szczędząc mu po drodze gwałtownych wyrzutów i wymysłów. Przyszedłszy do domu. wymierzył mu surową karę, poczem zamknął go w ciemnej komorze. W ten sposób Piotr Bernardone kładł, jak sądził, tamę wybrykom Franciszka, który okrył dom jego śmiesznością. Gdy w kilka dni potem musiał wyjechać, przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, a mianowicie okuł nogi i ręce więźnia w kajdany. Spodziewał się, że przez czas jego podróży Franciszek przyjdzie do rozumu. W przeciwnym razie Piotr wiedział, co ma czynić. Miał wszakże innych synów o mniej fantastycznych skłonnościach, którzy mogli wyrosnąć na zręcznych kupców i znakomitych obywateli; nadewszystko najmłodszy, Angelo[1]), młodzieniec zdrowo myślący, rokował wielkie w tym

[1]) Angelo, jak się zdaje, utrwalił istotnie tradycje rodzinne i zaliczał się do wybitnych obywateli. Miał syna, który wstąpił do bractwa penitencjarzy, jak to wynika z aktu prawnego, ogłoszonego przez Cristofaniego, gdzie go oznaczają mianem „*Picardus continens*“. Por. Cristofani, op. cit., str. 50—51.

względzie nadzieje. Mimo to Piotr bolał głęboko nad tem, że najstarszy syn, jego duma, tak zawiódł jego ambitne plany.

Ponieważ nie odznaczał się żywą wyobraźnią, nie mógł zrozumieć takiego charakteru czy usposobienia, któreby mogło wpłynąć na zmianę poglądu na życie. Postępowanie Franciszka było według niego jedynie systematycznym oporem przeciwko jego planom, lekceważeniem honoru rodziny, odepchnięciem nadzwyczajnej okazji zrobienia świetnej karjery. Nie przyszło mu na myśl, że postępuje jak egoista i że traktuje syna z nadmierną surowością; przeklinał natomiast los za to nieszczęście, które dotknęło jego i rodzinę. Jako głowa rodziny czuł się zranionym w swej dumie; a był to cios bardzo bolesny dla Piotra, który dążył do wyniesienia rodziny Bernardone i zdobycia dla niej powszechnego szacunku.

Pani Pica natomiast widziała sprawy jaśniej, gdyż kobiety, a zwłaszcza matki, mają w tym wypadku więcej intuicji. Rozumiała, że mąż jej doznał zawodu, ale znała również romantyczne usposobienie syna i serdecznie mu współczuła; w głębi serca była rada, że Franciszek zerwał z pustem życiem światowem i poświęcił się służbie Boga i ubogich. Nie pochwalała wprawdzie tego, że syn porzucił dom rodzinny; mógł służyć Bogu i ubogim, mieszkając pod dachem rodzicielskim. Jako uległa żona, bolała nad troską męża i szukała gorliwie sposobu pojednania ojca z synem.

Gdy Piotr wyjechał, udała się do Franciszka, do ciemnej komory, w której przebywał, przedstawiła mu swoje zapatrywanie na całą sprawę i błagała ze łzami, aby spełnił życzenie ojca. Nie włożyła w swoją perswazję wielkiej siły przekonania ani zapału: coś ją powstrzymywało; oto bezpośrednie powołanie Franciszka. To też wkrótce przeszła całkowicie na stronę syna: czyż mógł bowiem nie pójść za głosem Boga?

Gdy Piotr Bernardone powrócił z podróży, nie zastał Franciszka. Pani Pica wypuściła go z więzienia, pobłogosławiła go i wysłała z domu, aby wykonał rozkaz Boży. Franciszek powrócił do San Damiano. Piotr Bernardone, ciężko dotknięty, przeklął żonę; zaślepiony gniewem, udał się ponownie na poszukiwanie syna. Miał nadzieję, że sprowadzi go do domu i wyleczy z szaleństwa. Gdyby się to nie powiodło, miał zamiar wypędzić

go z Asyżu i zakazać mu pobytu w okolicach miasta. Zbliżając się do San Damiano, ku swemu niewypowiedzianemu zdumieniu ujrzał Franciszka, który szedł najspokojniej, nie zdradzając żadnej obawy. Piotr chciał jednakowoż dowieść, że posiada władzę nad synem: zasypał go gwałtownemi wymysłami, a nawet uderzył go silnie. Franciszek nie próbował uniknąć wyzwisk ani razów; dla miłości Mistrza, który go powołał, zniósł to z zupełnym spokojem. Zresztą gotów był wycierpieć wszystko raczej, niż zatracić duszę przez powrót do świata. Piotr Bernardone spostrzegł wreszcie, że ani bicie, ani groźby nie odnoszą skutku. Postanowił zatem uciec się do innego sposobu. Zaproponował Franciszkowi, że pozostawi mu swobodę postępowania pod warunkiem, że zrzeknie się spadku i zwróci pieniądze za sprzedane w Foligno towary. Ale tutaj napotkał przeszkodę. Franciszek godził się chętnie na zrzeczenie się praw do spadku po ojcu, pieniędzy jednak oddać nie mógł, gdyż ofiarował je na naprawę kościoła św. Damjana i na wspomożenie ubogich.

Piotr Bernardone wracał do Asyżu z gotowym planem. Oto odbierze swoje pieniądze do ostatniego grosza i wyrzeknie się syna. Udał się też niezwłocznie do domu komunalnego na wielkim placu w Asyżu i wniósł na ręce konsulów skargę, w której żądał zwrotu pieniędzy zabranych przez syna. Złożył równocześnie wniosek o pozwolenie na wydziedziczenie Franciszka. Konsulowie wiedzieli o jego utrapieniach; z drugiej strony pragnęli gorąco oddać przysługę tak możnemu obywatelowi. Wyprawili tedy herolda z wezwaniem, aby Franciszek stawił się przed trybunałem konsularnym. Ale herold powrócił z wiadomością, że Franciszek stawia opór i odmawia stawiennictwa; twierdzi bowiem, że poświęcił się stanowi duchownemu i że zatem nie podlega prawom świeckim, lecz jedynie kurji biskupiej. Konsulowie nie chcieli wchodzić w zatarg z władzą duchowną, to też zaniechali sprawy. Piotr zwrócił się tedy do biskupa i doręczył mu swoją skargę.

Biskup Gwido niezawsze był usposobiony pokojowo; nie wahał się nigdy stanąć w obronie praw Kościoła przeciwko uroszczeniom obywateli. W danym wypadku jednak postępowanie jego cechowała roztropność i delikatność bez zarzutu. Gdy Franciszek otrzymał wezwanie biskupa, odpowiedział:

„Stanę z radością przed trybunałem biskupa, gdyż jest on ojcem i władcą dusz“. Biskup osądził, że Franciszek winien zwrócić ojcu pieniądze, ofiarowane kościołowi San Damiano. Wynosząc ten wyrok, dodał motyw, tchnący arystokratyczną pogardą: „Bóg nie pragnie, aby wspomagano jego Kościół dobrem źle nabytem“. Zwrócił się następnie do Franciszka, dodając mu otuchy i radząc, by pokładał ufność w Bogu i nie lękał się niczego. „Gdyż — powiedział — wzamian za usługi, jakie oddajesz kościołowi, Bóg przyjdzie ci z pomocą.“ Franciszek, przejęty wdzięcznością, uznał te słowa biskupa za obietnicę Boga, iż zaopiekuje się On swoim sługą.

Postąpił tedy naprzód, niosąc w ręku pieniądze, przedmiot zatargu, i wyrzekł te słowa: „Panie, oddam memu ojcu nietylko pieniądze, ale również i ubranie, które mam na sobie, a które do niego należy“. To mówiąc, zdjął ubranie i złożył je przed biskupem. Ujrzano wtedy, że pod kosztownem strojem Franciszek miał włosiennicę. Potem obnażony, zwracając się do tłumu, który cisnął się przed trybunałem, rzekł: „Słuchajcie, wy wszyscy, i zrozumiejcie: do dnia dzisiejszego nazywałem Piotra Bernardone swoim ojcem; ale ponieważ mam zamiar poświęcić się służbie bożej, zwracam te pieniądze, które przyczyniły mu tyle zmartwienia i niepokoju, zwracam mu ubranie, które mi dał. Chcę móc powiedzieć teraz: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, a nietylko: Mój ojcze, Piotrze Bernardone“.

Nigdy prawdopodobnie kurja biskupia nie była widownią takiego aktu. Biskup był rozczulony do łez; obecnych ogarnęło silne wzruszenie. Prostota tego czynu, jego oczywista szczerość, wzbudziła we wszystkich podziw i współczucie dla Franciszka, Piotr Bernardone nietylko nie wzruszony, lecz bardziej zawzięty, niż kiedykolwiek, miał zamiar opuścić trybunał, zabierając ubranie i pieniądze. Tłum nie spuszczał go z oczu; gdy ujrzał, że bierze ubranie, począł hałaśliwie okazywać niezadowolenie. Ale, jak opowiada stary kronikarz: „ojciec Franciszka był uniesiony gniewem i gryzła go gorzka troska“. Nie było triumfu w sercu Piotra Bernardone, gdy wychodził z trybunału. Miał on świadomość, że świetne nadzieje zajęcia kiedyś wśród współobywateli wysokiego stanowiska, — zostały pogrzebane na zawsze. Mógł wprawdzie przekazać pozostałym synom kwit-

nące przedsiębiorstwo handlowe, stanowisko w mieście; ale było to dalekie od ambicyj, które budził w jego sercu widok Franciszka, bawiącego się w księcia wśród młodzieży miejskiej. Musiał się z tem pożegnać. To marzenie nigdy się ziścić nie miało. Wracał do domu rozgoryczony, bardziej zawzięty, niż przedtem, z głębokim ponadto smutkiem w sercu.

Biskup przyjął Franciszka jak nowo narodzonego dla Kościoła syna; współczuciem wiedziony wziął młodzieńca w ramiona i okrył go swoim płaszczem; niebawem przyniesiono mu odzież jednego ze służących biskupa. Franciszek uczynił na tem skromnem odzieniu kredą znak krzyża, przywdział je i pożegnał biskupa, który nie usiłował go zatrzymywać; Franciszek był mu za tę delikatność nieskończenie wdzięczny[1]).

W rzeczywistości był to dzień jego ślubu; znalazł bowiem wreszcie i poślubił ubóstwo — panią swego serca — której szukał wiernie i wytrwale od chwili, gdy usłyszał tajemny głos w Spoleto. Dziwił się może, — a jest to uczucie bardzo ludzkie — że poznał ją tak późno, gdy w ostatnich czasach była tak blisko, Nie rozumiał, że fakt ten był dziełem samej właśnie owej wybranej, która kierowała postępkami swego rycerza. Istotnie, trzeba przedewszystkiem poznać szczególne łaski i wartość ideału, do którego się dąży, następnie wypróbować, do czego się jest zdolnym w obliczu różnorodnych nastręczających się sytuacyj; należy również potrafić zrozumieć zaparcie się siebie, poświęcenie, jakich wymaga bezwzględne oddanie się jednemu celowi. Wtedy dopiero można się całkowicie poświęcić wymarzonemu ideałowi.

Przez całe zresztą życie Franciszek nieświadomie służył „Pani-Ubóstwu“, jakkolwiek w sposób niedoskonały. Chodząc za trubadurami i śpiewając ich radosne pieśni — oddawał poniekąd cześć oderwaniu się człowieka od świata, co później w stosunku do ubóstwa stało się jedną z radości jego życia. Nawet hojna rozrzutność podczas uczt, wyprawianych niegdyś, miała w sobie coś z tej wspaniałomyślności ubóstwa, którą

[1]) I, Celano, 13, 15; II, Celano, 12; *Tres. Soc.*, 16—20; *Leg. Maj.*, II, 2—4; Legenda *Anonymusa Perusinus* mówi, że wydziedziczenie Franciszka miało miejsce 16 kwietnia 1207 r. Por. *Acta SS. Octob.*, II, str. 572.

Franciszek określał następnie jako „swobodę dawania"[1]). W stosunkach z ubogimi, gdy stał się ich bratem bardziej niż protektorem, podziwiał ducha solidarności, który ich ożywiał, gotowość zrozumienia nędzy bliźniego i poznał w tych objawach cechy charakterystyczne swego ideału.

Te różnorodne przejawy ducha ubóstwa budziły w nim głębokie wzruszenie. Ale całą wielkość ubóstwa ocenił dopiero w chwili, gdy został wydziedziczony, gdy opadły zeń więzy bogactwa i ambicji. Wewnętrzna swoboda, której wówczas doznał, pozwoliła mu ocenić doświadczalnie, że najtajniejsze pragnienia jego serca zostały wreszcie zaspokojone. „Pani-Ubóstwo" — to dla jego duszy była wolność, ziszczenie wszystkich pragnień, przystań, do której zawsze dążył. „Pani-Ubóstwo, ona i nic więcej!" Zrozumiałem jest teraz, dlaczego ubóstwo, — idealna miłość Franciszka, — nazwane zostało „Panią Ubóstwem".

Ona to wycisnęła na życiu Franciszka piętno szlachetności i szczególnej wielkości. Z tą szlachetnością łączyła się następnie pełna prostoty miłość Boga i jego stworzenia, wspaniałomyślność, litość, uczucie braterstwa względem wszystkich, którzy uznawali „Naszego Ojca w niebie". Są to myśli, które nie nawiedzają nigdy ludzi żądnych bogactw i zaszczytów, gdyż nie budzą w nich żadnego zainteresowania[2]).

W oczach świata Franciszek stał się panem siebie; w rzeczywistości jednak zaprzedał się w niewolę swego ideału, pani swych myśli, Ubóstwu.

---

[1]) Por. I, Celano, 17.

[2]) Co do znaczenia ubóstwa franciszkańskiego por. *Lady Poverty*, tłumaczenie angielskie przez Montgomery Carmichael z *Sacrum commercium S. Francisci cum Domina Paupertate;* por. również *S. Francis and Poverty*, przez autora pracy niniejszej.

ROZDZIAŁ IV.

Franciszek pasowany na rycerza krzyża.

Franciszek wrócił do San Damiano, nie mógł jednak narazie zamieszkać tam na stałe. Musiał na czas pewien opuścić Asyż i jego okolice i znaleźć się sam na sam ze swoją duszą. Był jeszcze oszołomiony nową wolnością i pełnią życia, którą ze sobą niosła. Musiał mieć czas, aby pojąć swoje szczęście i przywyknąć do wolności. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z nowego położenia. Wiedział tylko jedno, że odtąd staje się sługą Chrystusa. Kościół przyznał mu ten tytuł, a Chrystus powołał go do życia w błogosławionem ubóstwie, do życia nieznanego ludziom światowym, którzy częstokroć wyrzekają się wolności duszy, aby uganiać się za bogactwem lub zadowolnić próżne ambicje.

Prawda, że kościół św. Damjana czekał na naprawę; czekali na niego trędowaci, jego nowi przyjaciele. Ale tak narazie być musiało.

Udał się w drogę na północ i przebył wzgórza, które piętrzą się za Monte Subasio. Był to czas wiosny, gdy lasy, pola i ziemia tchną nowem życiem; w powietrzu, oczyszczonem zimowym mrozem i deszczami, unosi się woń świeżej zieloności. Tu i owdzie na wyniosłych szczytach, w rozpadlinach skalnych, w głębokich szczelinach, gdzie mrok wieczysty drwi z żaru słońca, połyskiwały jeszcze olśniewające plamy śniegu. Ale na równinie i na zboczach wzgórz panowało łagodne ciepło. Franciszek szedł więc raz szybciej, raz wolniej z sercem lekkiem i radosnem.

Ziemia nie mąciła jego radości; była ona równie młoda, swobodna i jak on pełna nowego życia. Instynktownie poznawał przyjaciół w tych górskich szczytach, głębokich dolinach, w cienistych lasach, w tych nagich zboczach, jakgdyby poro-

zdzieranych miejscami przez skały, gdzie indziej znów tulących tkliwie do łona więzie polnego kwiecia. A idąc śpiewał, nie w języku ojczystym, lecz w słodkiej mowie trubadurów prowansalskich.

W ten sposób doszedł do wzgórza na lewym brzegu Chiago, gdzie pagórki spadają stopniowo ku Gubbio. Było to w owym czasie miasto oddalone, o dostępie trudnym i niebezpiecznym. Podrożny, który zapuszczał się w te strony, musiał wystrzegać się rozbójników, grasujących w okolicy; żądali oni okupu od każdego, kto miał odwagę pojawić się w miejscowości, leżącej pomiędzy granicami Marchij Ankońskich a miastami umbryjskiemi. Oddział takich bandytów napadł na Franciszka, który szedł, śpiewając. Zapytali go, kim jest. „Co wam do tego — odparł — wiedzcie, że jestem heroldem Wielkiego Króla!“ Ujawniał w ten sposób myśl, która opanowała jego umysł. Rozbójnicy z właściwą podobnym ludziom okrutną złośliwością zaczęli drwić z niego, ściągnęli zeń ubogą odzież rolnika i cisnęli go do rowu, jeszcze pełnego śniegu. — „Leż tu, błazeński heroldzie!“ — rzekli, a zasypawszy go brutalnemi żartami, odeszli[1]).

Franciszek powstał uradowany; była to pierwsza przygoda w jego nowem życiu. Był jednak prawie zupełnie nagi, to też musiał się starać o jakieś odzienie. Niedaleko stamtąd znajdował się klasztor; udał się więc tam i ofiarował pracę w charakterze służącego, w nadziei, że otrzyma odzież i pożywienie. Zakonnicy użyli go do posług kuchennych, lecz nie dali mu nawet łachmana do okrycia ciała. Z konieczności Franciszek opuścił ich, nie mając jednak do nich najmniejszego żalu[2]).

Przypomniał sobie wówczas o dawnym przyjacielu, który mieszkał w Gubbio. Tam się też udał. Przyjaciel przyjął go ser-

---

[1]) I, Celano, 16; *Leg. Maj.*, II, 5. — Według tradycji miejsce, gdzie zaszedł ten wypadek, leży w Caprignone. Por. Lucarelli, *Memorie et Guida Storica di Gubbio*, str. 589 i nast. P. Nicolas Caanna, *L'Umbria Franciscana*, 194 i nast.

[2]) Nie można stwierdzić, jaki to był klasztor, gdyż było ich parę w tej okolicy: San Varecundo w Vallingegno, Ś. Piotra w Vigneti; miejscowa tradycja mówi, że wypadek ten zdarzył się w Santa Maria della Rocca, pod Valfabricca. Należy zauważyć, że później przeor tego klasztoru tłumaczył się ze swego postępku, gdy imię Franciszka stało się sławne (I, Celano, 16).

decznie. W owych czasach zdarzało się często, że ktoś porzucał życie światowe i oddawał się pokucie, przyjaciel zaś, patrząc na fakty z pewnego oddalenia, mógł lepiej ocenić postępowanie Franciszka, niż codzienni jego towarzysze i najbliżsi sąsiedzi. W każdym razie Franciszek dostał odzież podobną do tej, jaką nosili pielgrzymi i pustelnicy: tunikę z pasem skórzanym, obuwie i kij[1]). Wówczas wrócił do Asyżu.

W San Damiano ksiądz przyjął go radośnie i z uprzejmą prostotą poprosił, aby Franciszek podzielił z nim dach i pożywienie[2]). Franciszek przystąpił tedy do wykonania zadania, które nakazał mu Głos tajemniczy. Nie rozumiał jeszcze całej doniosłości wezwania: „Idź i napraw Mój Kościół". Zrozumie on to dokładnie później i pojmie, że ma dopomóc do przywrócenia Kościołowi wojującemu jego pierwotnej siły i piękności. Narazie bierze ten rozkaz dosłownie w odniesieniu do walącej się w gruzy świątyni, gdzie Głos usłyszał.

Gdy przebiegał myślą okres, dzielący go od dnia, w którym otrzymał rozkaz boży, wydawało mu się, że cała ta epoka jego życia przemknęła tak szybko, jak chwila w wieczności; w życiu bowiem duszy bywają przeżycia, które zdają się chwilami wieczności, — zdarza się to wtedy, gdy po długich latach błądzenia w ciemnościach, rozbłyśnie nagle światło i rozjaśni wszystko. Dziwił się teraz, że przyszło mu na myśl nabywać materjał na odbudowę kościoła za pieniądze ojca. Zarówno te pieniądze jak i całe życie, w którem brał udział, zdawały mu się czemś nierzeczywistem. Musiał istotnie być zaślepiony, skoro chciał wypełnić swoją misję, rozpoczynając ją w ten sposób. Jego dzieło i życie całe winno być hołdem dla szlachetnego Ubóstwa, które raczyło go nawiedzić.

Z radością tedy, odziany jak żebrak, wstąpił po raz pierwszy w mury swego rodzinnego miasta. Przybywał po oliwę do lampy, zapalonej za jego staraniem przed krucyfiksem. Gdy zbliżał

---

[1]) I, Celano, 16; *Leg. Maj.*, II, 6. Według tradycji, przyjacielem, o którym mowa, był niejaki Frederico Spaladunga. Mówią, że na miejscu, gdzie stał jego dom, zbudowano później wielki kościół Świętego Franciszka. Por. G. Mazzatinti w *Miscel. Franc.*, t. V, str. 76 i nast.

[2]) Por. *Tres. Soc.*, 21.

się do domu, gdzie miał nadzieję dostać oliwy, ujrzał gromadkę swych dawnych przyjaciół, którzy zabawiali się przed bramą. Na ten widok zabrakło mu odwagi; wszystka godność i męstwo z jakiemi wstępował w nowe życie, opuściły go całkowicie. Cofnął się i skręcił w inną ulicę. Była to słabość przemijająca. Zawstydzony własnem tchórzostwem wrócił, i stając bez wahania wśród grona dawnych towarzyszów poprosił, by przypatrzyli się tchórzowi, który uciekał. Potem ośmielił się nawet prosić ich o oliwę, posługując się przytem językiem Prowancji. Wrócił do San Damiano z oliwą tak drogo zdobytą, radosny i upokorzony zarazem na skutek przeżytych tego dnia wypadków[1]). Odtąd widywano go często w Asyżu, żebrzącego o kamienie, o wapno, jednem słowem o wszystkie materjały potrzebne do odbudowy kościoła. Przebiegał ulice miasta recytując śpiewnie w języku prowansalskim: „Kto da kamienie na odbudowę San Damiano? Kto da jeden kamień, otrzyma jedną nagrodę, kto da dwa — otrzyma dwie nagrody, kto da trzy kamienie, otrzyma trzy nagrody." Niektórzy nazywali go szaleńcem, inni, o sercu mniej zatwardziałem, dawali mu to, o co prosił. Następnie Franciszek, uginając się pod ciężarem użebranych kamieni, powracał do San Damiano[2]).

Z pomocą życzliwych wieśniaków, przystąpił do naprawy kościoła. Nie nawykł do tej ciężkiej pracy, lecz niemniej jednak wykonywał ją z wielkiem rozradowaniem wewnętrznem. Niekiedy mieszkańcy miasta lub podróżni przechodzący mimo, zatrzymywali się, aby pozdrowić pracowników i zamienić z nimi kilka słów przyjaznych. Franciszek zapraszał ich uprzejmie, aby pomogli przy pracy. „Chodźcie nam dopomóc — mawiał — gdyż ten kościół św. Damjana będzie kiedyś klasztorem pobożnych niewiast, a ich dobra sława będzie roznosiła na świat chwałę naszego Ojca niebieskiego[3]). Ze słów tych widać, że Franciszek podczas samotnych rozmyślań lub w czasie pracy, otrzymywał już wskazania co do szerszego zakresu działania,

---

[1]) *Tres. Soc.*, 24; II, Celano, 13, 2.

[2]) *Tres. Soc.*, 21; II, Celano, 13.

[3]) *Tres. Soc.*, 24; *Testamentum Sanctae Clarae* w *Seraph. Legisl. Textus originales*, str. 274.

jaki go czekał; przyszłość jednak była w ręku Boga, a Franciszek znajdował szczęście w swej obecnej pracy.

Codziennie pracował przy odbudowie murów kościoła; nie nie zapominał jednak o swoich przyjaciołach trędowatych i poświęcał im znaczną część czasu. Odwiedzał ich bądź w schroniskach dla trędowatych w Santa Maddalena, bądź też w szpitalu San Salvatore, gdzie pielęgnowali ich Bracia Krzyżowi. Szacunek i miłość dla trędowatych wzrastały w nim z dniem każdym. Razu jednego napotkał na drodze trędowatego, który powracał z Rzymu; odbył on pielgrzymkę do grobu Świętych Apostołów, aby uprosić uzdrowienie. Widok jego był straszny: twarz całą stoczyła mu zupełnie okropna choroba. Wzruszony braterskiem współczuciem Franciszka, nieszczęśliwy ten padł na ziemię, aby ucałować ślady stóp swego przyjaciela, unikając najstaranniej dotknięcia jego samego. Franciszek wzruszony tym objawem miłości, schylił się, objął trędowatego i ucałował go w usta. Natychmiast — mówi św. Bonawentura — trąd znikł[1]).

Zdarzało się często, że za nadejściem wieczoru Franciszek, przemęczony pracą, był zupełnie wyczerpany. Wychowany w największych wygodach nie posiadał wytrzymałości, jakiej wymagała obecna ciężka praca, i ani poczucie wewnętrznego szczęścia, ani miłość nadprzyrodzona, nie zdołały podtrzymać jego sił fizycznych. Ksiądz z San Damiano, widząc, jak jest wyczerpany, niepokoił się i obawiał o los rozpoczętej odbudowy. To też pełen troskliwości o młodego neofitę począł mu przyrządzać pożywienie posilniejsze i smaczniejsze. Miał nadzieję, że skłoni go do odpowiedniego pokrzepienia się po ciężkiej całodziennej pracy. W pierwszych dniach Franciszek przyjmował tę zmianę pożywienia z prawdziwą a pełną prostoty wdzięcznością, dopatrując się w tem jedynie dowodu dobroci względem siebie. Aż w pewnym momencie zdjęła go obawa, że w tej troskliwości o jego osobę może kryć się poważne niebezpieczeństwo dla jego powołania; wspomniał na swoją naturalną skłonność do rzeczy wykwintnych i smacznych. Porzucił przepych świata, a teraz mógł popaść w niewolę skromnego dobrobytu pod dachem księdza, postradać wolność duszy i zdradzić ideał

---

[1]) *Leg. Maj.*, II, 6; por. I, Celano, 17.

ubóstwa, który umiłował. „Niezawsze, Franciszku — mawiał sam do siebie — znajdziesz ludzi, którzy będą dbali o twoje potrzeby tak, jak ten dobry kapłan; takie życie nie przystoi temu, kto ślubuje ubóstwo; nie przystoi ci również przywykać do takich rzeczy, gdyż niebawem wrócisz do tego, coś porzucił i będziesz gonił za wygodami. Wstawaj, próżniaku, i idź żebrać od domu do domu o resztki ze stołu".

Jakgdyby istotnie groziło mu niebezpieczeństwo zaparcia się swego ideału, następnego zaraz dnia udał się do miasta, niosąc w ręku misę. Mieszkańcy pośpieszyli chętnie na jego wezwanie i dali mu resztki jedzenia; naczynie było wkrótce pełne. Ale gdy przyszło do spożycia tej dziwnej mieszaniny, zbuntowały się w nim wszystkie nabyte przez wychowanie przyzwyczajenia i nie mógł zrazu przezwyciężyć wstrętu. Opanował się wreszcie, wspomniawszy na ubóstwo Chrystusa, na niedostatek biedaków, a także na złożony ślub ubóstwa, poczem spożył, nawet z apetytem, tę mieszaninę rozmaitych odpadków, doznając żywej radości wewnętrznej. Ten posiłek był dla niego jakgdyby jakąś komunją, łączącą go ściślej z ubogimi, którzy chleba powszedniego wyglądają od wspaniałomyślności innych, z litościwymi ludźmi, którzy mu dali pożywienie, z Chrystusem, który był panem bogatych i biednych.

Ponad tą ogromną rodziną, której czuł się obecnie członkiem, jaśniała przed jego oczyma tajemnicza wizja Opatrzności boskiej, której oddał się w opiekę w dniu, w którym go ojciec wydziedziczył. W ludzkiej dobroci, do której nie miał innego prawa prócz konieczności zaspokojenia swych własnych potrzeb, widział symbol a zarazem dowód troskliwości Tego, czyja dłoń sprawiedliwa spuszcza rosę zarówno na grzesznika jak na sprawiedliwego. Uważał, że winien się zdać na dobrą wolę i na wspaniałomyślność ludzi i całego stworzenia, tak jak zdał się co do pieczy nad sobą na Dobroć bożą. Rola hojnego dawcy nie była dlań nową; wypełniał ją przez całe życie i pełnić będzie nadal w miarę możności. Uważał to za cechę szlachetności, za obowiązek honoru, któremu podlegają wszystkie dzieci Boga[1]).

---

[1]) Por. I, Celano, 17.

Uzależniając się całkowicie od dobrej woli ludzi, nadawał on głębsze znaczenie ojcostwu bożemu, zacieśniał węzeł, który świat cały łączy w jedną rodzinę. Z tego też powodu, im więcej jakiś żebrak był zdany na łaskę innych ludzi, tem więcej miłości i szacunku okazywał mu Franciszek, gdyż w tych warunkach ubogi nastręczał sposobność do praktykowania czynnego miłosierdzia, które daje człowiekowi pełnię praw obywatelskich w rodzinie bożej i sprawia, że świat cały staje się jednem olbrzymiem ogniskiem domowem. Niewątpliwie system ekonomji społecznej, zasadzający się na tym szacunku dla żebraka, tak jak to rozumiał i praktykował Franciszek, byłby trudny do zrealizowania. Należałoby w rzeczywistości założyć go na wierze, na najszlachetniejszych przymiotach serca, na płomiennym entuzjazmie, który tłumaczył ten szacunek i był jego usprawiedliwieniem. Nie trzeba zapominać, że jakkolwiek Franciszek doznawał prawdziwego zadowolenia, gdy prosił o jałmużnę, to zarazem posiadał w najwyższym stopniu zmysł hojności; jest to połączenie cnót, które niezawsze idą w parze.

Jakby wam powiedział sam Franciszek, ten, kto po bratersku przyjmuje jałmużnę, nie może zagarniać jej dla siebie. Winien stać się sługą innych, zanim będzie miał prawo przyjąć jakąkolwiek usługę dla siebie. Gdy się prosi o jałmużnę, należy oddać jej równowartość w usługach, inaczej bowiem oszukuje się ofiarodawcę, popełnia się pewnego rodzaju kradzież, ciężki występek przeciwko Opatrzności, która natchnęła duszę wspaniałomyślną. Franciszek był zawsze bardzo surowy w stosunku do próżniaków, żyjących wygodnie z otrzymywanej jałmużny. Później, gdy miał uczniów, nalegał energicznie na konieczność pracy i na moralny obowiązek oddawania usług bliźniemu. Tak też postępował od pierwszych chwil, gdy zaczął prosić o jałmużnę, wracając z pracy przy odbudowie kościoła św. Damjana lub od trędowatych. Tylko, że gdy oddawał usługę, nie prosił wzamian o nic, zdając się całkowicie na wspaniałomyślność bliźniego i na Opatrzność Bożą[1]). Z jego punktu

---

[1]) Por. *S. Francis and Poverty*, przez autora; również *St. François d'Assise réformateur social*, przez brata Leona Dubois.

widzenia byłby mógł niewątpliwie przyjąć posiłek, który ofiarował mu z miłosierdzia ksiądz z San Damiano. Ale Franciszek był istotnie żądny najbezwzględniejszego ubóstwa, a równocześnie dbał bardzo o wolność swojej duszy. Jakeśmy powiedzieli, lękał się, aby względne wygody w domu księdza, zapewniony chleb powszedni, nie stały się dlań przeszkodą do zdobycia dóbr duchowych i nie pozbawiły go świeżo pozyskanej wolności. To też z prawdziwą odwagą zgodził się na ciężki zawód ulicznego żebraka. Czyż byłby tym Franciszkiem, którego kochamy, gdyby był się na to nie zdobył?

Począwszy od tego dnia Franciszek żebrzący od drzwi do drzwi stał się znaną postacią na ulicach Asyżu. W tej codziennej wędrówce nie obywało się wszakże bez cierpień i upokorzeń. Najcięższy ból zadawało mu wrogie stanowisko ojca. Ilekroć Piotr Bernardone spotkał syna, tylekroć zasypywał go przekleństwami. Ta żebranina o kawałek chleba była zaiste najcięższą zniewagą, jaką Franciszek mógł wyrządzić dumnej rodzinie Bernardone. W rzeczywistości położenie Piotra było ciężkie. Jego własny syn pogwałcił wszystkie zasady godności, podeptał wszystkie najświętsze dla mieszczaństwa przesądy. Wydziedziczył go wprawdzie, wyparł go się nawet, ale wszyscy wiedzieli, a on lepiej niż ktokolwiek, że to jego syn. Choć pozbawił go publicznie przypadającej nań części dziedzictwa, nie mógł o nim zapomnieć, ani wyrugować go z serca. Jak dobrze mówi stary kronikarz: „dlatego właśnie, że bardzo był kochał swego syna, wstydził się za niego teraz i rozpaczał z jego powodu“[1]).

Pewnego dnia, pod świeżem wrażeniem przekleństw ojcowskich, drżący jeszcze po spotkaniu z nim, Franciszek zwrócił się do ubogiego żebraka. „Pójdź ze mną — rzekł — udajmy się zaraz po prośbie; oddam ci część jałmużny, którą użebrzę, a gdy ojciec mnie będzie przeklinał, ja ci powiem: „Pobłogosław mnie, ojcze“ — i ty w zastępstwie ojca uczynisz nade mną znak krzyża“. Gdy ojciec i syn spotkali się znowu twarzą w twarz, w chwili, gdy Piotr wypowiadał zwykłe przekleństwo, żebrak uczynił nad Franciszkiem znak krzyża, tak jak to było

¹) *Tres. Soc.*, 23.

umówione. Franciszek, zwracając się do ojca, rzekł: „Czy myślisz, że Bóg nie może mi dać ojca, który mnie będzie błogosławił, pomimo twoich przekleństw?“

Inni członkowie rodziny udawali, że biorą tę sprawę nie tak poważnie. Pewnego chłodnego ranka zimowego jeden z braci Franciszka, idący z przyjacielem, zbliżył się do niego, ledwie okrytego i drżącego z zimna, i rzekł do swego towarzysza: „Poproś Franciszka, aby ci odstąpił kroplę swego potu“. Franciszek, który usłyszał te drwiny, zaczął się śmiać i odrzekł po francusku: „Nie, sprzedaję ją znacznie drożej memu Panu, Chrystusowi“.

Czas płynął. Franciszek uczył się stopniowo pojmować swoje powołanie. W zetknięciu z surową rzeczywistością nowego życia, pod wpływem niewygód, trudów fizycznych i upokorzeń opadały zeń ostatnie przesądy wychowania. Musiał zdobywać doświadczenie, które posiadają ubodzy i nieszczęśliwi. Wzamian za to w długich godzinach wewnętrznego obcowania z boskim Mistrzem doznawał słodkiej pociechy: przykre doświadczenia i próby otoczone były niebiańską aureolą. Zaczynał odnajdywać ślady Zbawiciela w cierpieniach i pięknie, w smutku i radości. Myśl ta czyniła mu nowe życie słodkiem niemal, gdyż we wszystkich jego przejawach widział obecność Mistrza. To przeistoczenie ziemi w dniach próby dawało mu radość, budziło podziw i uwielbienie[1]).

Gdy ukończono wreszcie naprawę kościoła św. Damjana, Franciszek postanowił dźwignąć z gruzów inną świątynię, pod wezwaniem św. Piotra. Znajdowała się ona w niejakiej odległości od Asyżu, nieznane nam jest wszakże dokładnie jej położenie[2]). Gdy i tego dzieła dokonano, Franciszek podjął nową pracę. Tym razem chodziło o odosobnioną kaplicę, którą szczególnie ukochał, gdyż była poświęcona Bogarodzicy. Opowiadano o tej skromnej świątyni rzeczy nadzwyczajne: mówiono, między innemi, że nawiedziły ją anioły. W okolicy znana była pod nazwą „Santa Maria della Porziuncula“, N. M. P. Małej

---

[1]) Por. *Fioretti*, rozdz. 12.

[2]) I, Celano, 21; *Leg. Maj.*, II, 7. Celano mówi, że kościół był blisko miasta, ale św. Bonawentura twierdzi, że znajdował się on dalej od miasta niż kościół św. Damjana.

Części. Niepodobna z pewnością stwierdzić, skąd pochodzi ta nazwa[1]), mimo wszystko, co w następstwie pisano o rzekomem jej pochodzeniu od tradycji miejscowej.

Oto co opowiadają. Za czasów św. Cyryla, biskupa jerozolimskiego, czterej pielgrzymi z Palestyny przybyli do Rzymu dla odwiedzenia grobu świętych Apostołów. Za radą papieża zapuścili się aż do Umbrji w poszukiwaniu pustelni, gdzieby mogli modlić się w spokoju. Przybyli więc do lasu w pobliżu Asyżu, wznieśli kaplicę i zbudowali cztery chaty. Kaplicę poświęcono św. Marji Jozafatowej, na pamiątkę kraju, skąd przybyli pobożni pustelnicy. Byli to święci ludzie, a miejsce, które obrali, zasłynęło świętością. Częstokroć z małej kapliczki rozchodziły się głosy aniołów, które śpiewały chwałę bożą. Pustelnicy przebywali tam czas jakiś, a potem, nawiedzeni tęsknotą do kraju rodzinnego, postanowili wrócić do Palestyny. Przed opuszczeniem pustelni zakopali pod ołtarzem w kaplicy relikwje grobu Najśw. M. Panny. Aniołowie nie przestali nawiedzać kaplicy i śpiewać w niej na cześć Najwyższego. Od czasu do czasu jakiś pustelnik zamieszkiwał w pobliżu kaplicy, która w zwykłym czasie była zupełnie opuszczona. Tak było aż do św. Benedykta.

Ojciec zakonników, przechodząc przez Umbrję, natrafił na ten mały kościołek, uznał jego świętość i kazał go naprawić. Poprosił następnie o skrawek ziemi w pobliżu kaplicy i zbudował tam celę. Ziemi dano mu bardzo niewiele, i dlatego św. Benedykt zmienił nazwę kaplicy, która odtąd otrzymała miano „Najświętszej Marji Panny Małej Części". W jakiś czas potem posłał do Porcjunkuli kolonję zakonną, oddzieloną od wielkiego klasztoru z Monte Cassino.

---

[1]) Pochodzenie nazwy „Porziuncula" jest sporne. Jedni mówią, że nadano ją kaplicy z racji szczupłości miejsca, ustąpionego benedyktynom, którzy ją zbudowali. Inni utrzymują, że nazwę tę zapożyczono od innej kaplicy, zbudowanej w okolicy Subiaco. Por. O. Edward d'Alençon: *Des origines de l'église de la Portioncule.* Pierwsza znana wzmianka o Porcjunkuli znajduje się w dokumencie prawnym, odkrytym przez Frondiniego w archiwach katedry w Asyżu. Por. O. Edward d'Alençon: *L'abbaye de Saint Benoit au mont Soubase,* str. 18, n. 1.

Nieco później zakonnicy założyli nowy klasztor na Monte Subasio i zaniedbali zupełnie kaplicę[1]).

Nie będziemy kwestjonowali autentyczności tej historji. Jeden fakt jest pewny, a mianowicie starożytność kaplicy, wznoszącej się na równinie w odległości dwóch mniej więcej mil ang. od miasta, od którego oddzielała ją połać gęstego lasu. Było wtedy bardzo łatwo ukryć się w lesie, błądzić po cienistych ścieżkach, biegnących od „Via Francesca“, gościńca, który ciągnął się wzdłuż wałów. Ta mała kaplica, tak bliska od miasta, a przecież tak odległa dzięki swemu odosobnieniu, musiała być ulubionem schronieniem Franciszka w pierwszych czasach jego usunięcia się od świata. Obecnie, gdy pracował przy jej naprawie, stała się dla niego czemś niesłychanie pociągającem. Ten ubogi kościółek, ukryty w gęstwinie leśnej, był dla niego jakgdyby ogniskiem domowem. Uosabiał on w jego mniemaniu „Panią Ubóstwo“.

Kaplica posiadała niezwykle korzystne położenie; w odległości pół godziny drogi pieszej znajdowało się schronienie trędowatych; kilka minut drogi dalej, — a dochodziło się do miasta. To podwójne sąsiedztwo było wymarzone dla Franciszka: mógł bowiem nadal służyć trędowatym, uprawiając rze-

---

1) Por. O. Edward d'Alençon: *Des origines de l'église de la Portioncule.* O legendzie wzmiankuje po raz pierwszy *Paradisus Seraphicus,* napisany przez O. Salvatora Vitalisa, a ogłoszony w Medjolanie w r. 1645, dzieło, nie posiadające wartości krytycznej. Niema zresztą w historji śladu bytności św. Benedykta w Asyżu, ani też rzekomego pobytu pustelników. Tem niemniej kaplica była bardzo starożytna, nawet już za czasów św. Franciszka. Celano mówi, że była „zbudowana w czasach starożytnych“ — *antiquitus constructa* — (I, Celano, 21), a św. Bonawentura pisze, że była nawiedzana często przez anioły i że „od najdawniejszych czasów nazywano ją kaplicą Najśw. M. P. Anielskiej“ (*Leg. Maj.,* II, 8; por. II, Celano, 19). Należała ona również do zakonników z Monte Subasio. Legenda była prawdopodobnie osnuta przez lud dokoła tych faktów przedtem, nim rozwinęła się w opowieść, zamieszczoną w pracy Vitalisa. Niema nic niemożliwego w przypuszczeniu, że w miejscowości tej mieszkali zakonnicy, gdyż musiała być ona bardzo odludna na długi czas przed epoką św. Franciszka. Dzisiaj na miejscu dawnego lasu znajdują się ogrody oliwne i winnice; ślady jego jednak widać jeszcze za bramą Mojano, idąc w kierunku San Damiano.

miosło dobrowolnego żebraka. Tak tedy wśród lasu, niemal w odległości głosu ludzkiego, znajdował to, co było dlań źródłem niezmiernego szczęścia: przyrodę jeszcze dziewiczą, niezeszpeconą przez człowieka. Lubił on skargę wiatru w gałęziach drzew, harmonijny szum liści, słodki śpiew ptasząt. Lubił patrzeć na szybki bieg zwierząt w ostępach leśnych. Miał głęboką sympatję dla wszystkich zwierząt, kochał wszystkie ptaki. Patrzył z przyjemnością na grę świateł i cieni; podziwiał cudowny rozwój roślin od najmniejszego źdźbła trawy do drzew wyniosłych, zdobnych w potężne konary. Zdawało mu się, że to wszystko jest bardzo bliskie ręki Stwórcy, źródła życia.

Widok tych wspaniałości rozgrzewał mu duszę, napełniał ją miłością Boga. Cuda stworzenia, podobnie jak żebracy i nieszczęśliwi, znajdowały się w jego mniemaniu w granicach państwa „Pani Ubóstwa", gdyż nie mają w sobie nic ze sztucznego życia wybrańców losu, a w prostocie swej są nieodpartym dowodem Opatrzności Boskiej. Kaplica ukryta w lesie była dla niego niezaprzeczonem świadectwem obecności Boga w pobliżu maluczkich i słabych. Nie dziwił się wcale, że głosy anielskie uczestniczyły w koncercie leśnym, który głosił chwałę Stworzyciela. Uważał za dowód szlachetności Pani Ubóstwa, swego ideału, że ludziom przyszło na myśl poświęcić to miejsce Matce Zbawiciela. Najśw. M. Panna — myślał — chciała w ten sposób oblec jego „Panią" w płaszcz utkany ze swej własnej chwały[1]).

Z początkiem roku 1209 kaplica Porcjunkuli została wreszcie odrestaurowana; od tej pory co czas pewien odprawiano tam mszę św. Franciszek czekał na dalsze rozkazy swego boskiego Mistrza; nie czuł już teraz powołania do odnawiania kościołów, jak to miało miejsce z trzema opuszczonemi świątyniami, które dźwignął z gruzów. Dusza jego czekała na nowe wezwanie Mistrza, jedynego przewodnika, a czekała cierpliwie. Wiedział, że głos ów usłyszy w chwili przeznaczonej od Boga,

---

[1]) Patrz *Salutatio Virtutum (Opuscula S. P. Franc.*, wyd. Quaracchi, str. 20—31) na cześć Ubóstwa i jego sióstr, cnót, które święty Franciszek łączył zawsze w sposób szczególny z cnotą ubóstwa. Pozdrowienie to znajdujemy w kilku rękopisach jako modlitwę do Najświętszej Marji Panny. Por. F. Paschal-Robinson, *The Writings of St. Francis*, str. 20, No. 6. Boehmer, *Analekten*, str. VI i XVIII.

czuł też, że moment ten jest niedaleki. Ta chwila uroczysta, tak pełna rzeczy tajemnych, dotyczących jego nowego życia, że utkwiła mu w pamięci na zawsze, przyszła o świcie dnia św. Macieja, pod koniec zimy.

Franciszek słuchał mszy w kaplicy Porcjunkuli. Ewangelja na dzień ten zawierała słowa: „A szedłszy, przepowiadajcie, mówiąc, iż się przybliżyło królestwo niebieskie... Nie miejcie złota, ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych, ani tajstry w drodze, ani dwóch sukien, ani butów, ani laski. Albowiem godzien jest robotnik strawy swojej. A do któregokolwiek miasta albo miasteczka wnijdziecie, pytajcie się, kto w niem jest godzien; i tam mieszkajcie, póki nie wynijdziecie. A wchodząc w dom, pozdrawiajcie go, mówiąc: Pokój temu domowi... Oto ja was posyłam jako owce między wilki: Bądźcie tedy mądrymi jako węże, a prostymi jako gołębice... A gdy was wydadzą, nie myślcie, jako, albo cobyście mówić mieli: Bo wam będzie dano onej godziny, cobyście mówili"[1]). Według swego zwyczaju Franciszek słuchał uważnie czytania ewangelji; księga ta była dla niego rzeczywiście księgą Żywota. Ale w dniu tym słowa, które usłyszał, skruszyły ostatnie jego więzy. Była to właśnie prawda oczekiwana! Ponieważ jednak obawiał się, że niedość dobrze zrozumiał, poprosił po mszy kapłana, by odczytał ten ustęp i wytłumaczył mu jego znaczenie. Poczem bez cienia wahania począł wołać: „Tego właśnie szukałem, tego właśnie serce moje oddawna pragnie!"

Gdy tylko wątpliwości jego zostały rozproszone, z właściwą sobie bezpośredniością zrzuca obuwie, ciska laskę, zdejmuje z siebie drugą suknię, a ponieważ chce zbliżyć się bardziej

---

[1]) Mat. X, 7—19. Jest to ewangelja na dzień św. Macieja, jak ją zawierają stare mszały. Stąd bolandyści wnioskują, że w dniu tym właśnie św. Franciszek otrzymał stanowcze powołanie. (Por. *Acta SS. 4 oct.*, t. II, str. 574; Boehmer, *Analekten*, str. 124; P. Sabatier, *Vie de St. François*, str. 78.). Spader w *Lumi Seraphici* odnosi ten wypadek do dnia św. Łukasza, 12 października 1208 r.; powtarza to za nim O. Gratien w *Etudes Franciscaines*, t. XVIII, No. 106, oct. 1917, str. 388. Celano mówi, że odnowienie Porcjunkuli przypada na trzeci rok po nawróceniu Franciszka. Por. I. Celano, 2, i Bernard de Besse utrzymuje to samo (*Lib. de Laudibus* w *Anal. Franc.* III, str. 687); podobnie Giordano da Giano (*Chr. Jordani* w *Anal. Franc.*, I, str. 2).

do swego boskiego Mistrza ukrzyżowanego, przeto sporządza sobie odzież w kształcie krzyża. Zamiast pasa owiązuje się sznurem dokoła bioder[1]). Dla niego było to uroczyste pasowanie na rycerza Chrystusowego.

W owej chwili, dzięki jego wierności i pomocy boskiej, marzenia o rycerskich przygodach wchodziły na drogę urzeczywistnienia. Istotnie, myślał, że niema na świecie szlachetniejszego zakonu rycerskiego, ponieważ suwerenem jego jest Chrystus, a Ubóstwo, jego ideał, panią jego myśli. Pójdzie więc w świat, szukać dusz, wyglądających ratunku: niewierni, których pokona — to będą złe moce, które dzielą człowieka od Boga i człowieka od człowieka. Stanie się heroldem Chrystusa i pokoju. W miłości dla „Pani Ubóstwa" czerpać będzie siłę i odwagę do godnej służby Jezusa.

W ten sposób Franciszek wziął na ramiona brzemię swego życia. Promień słońca, który oświecał sny jego młodości, rozjaśnia mu drogę; serce jego płonie żarem miłości. Przyszłość przyniesie mu na pewno nieuniknione przygody, smutki, rozczarowania i radości, ale Franciszek nie myśli o przyszłości: udaje się w drogę pełen wewnętrznego wesela i zapału: pragnie tylko żyć w posłuszeństwie z dnia na dzień.

---

[1]) I, Celano, 22; *Tres. Soc.*, 25; *Leg. Maj.*, III, 1.

ROZDZIAŁ V.

Początki nowego zgromadzenia zakonnego.

W kilka dni po owej pamiętnej ewangelji Franciszek udał się wąską ścieżką, wiodącą pod lasem, do Asyżu. Był do głębi przejęty duchem Bożym, który go unosił. Po drodze napotkał ludzi pochłoniętych codzienną pracą. Zatrzymał się przy nich, pozdrowił ich gorąco i rzekł: „Bracia, niechaj Pan Bóg obdarzy was pokojem!" Zrazu ludzie owi nie mogli go poznać bosego, w dziwacznem odzieniu, opasanego sznurem; ale miał on wygląd człowieka nie z tego świata, którego wzrok tonie w niebie[1]). To nakazało im szacunek i powstrzymało od żartów. Ludzie przywykli już do jego sposobu postępowania. Widoczna jego szczerość, stałość postanowień zaczynały budzić uznanie i nakazywały szacunek. Śmiano się jeszcze z niego niekiedy; zdarzało się, że przy spotkaniu rzucano mu jakieś żartobliwe słówko, pozbawione zresztą złośliwości. Ale nikt nie mógł się oprzeć dziwnemu urokowi, który promieniował od jego postaci, ani czarowi jego wesołej rozmowy; wszyscy byli pod wrażeniem jego gorliwości w odnawianiu kościołów i jego niestrudzonego poświęcenia dla trędowatych.

Ludzie średniowiecza byli skorzy do ujawniania zarówno pogardy jak i podziwu dla jednostki, w zależności od zasług i postępowania: cenili bezwzględnie odwagę i śmiałość. Owego dnia, gdy Franciszek głosił z zapałem pokój między ludźmi i miłość dla Boga, było w nim coś, co powstrzymywało żarty[2]). Nie po raz pierwszy słyszano w Asyżu z ust Franciszka takie poselstwo pokoju. Liczni zakonnicy wędrowni dawniej je już powta-

---

[1]) *Totus alter videbatur quam fuerat: et coelum intuens dedignabatur respicere terram* (II, Celano, 23).

[2]) *Tres. Soc.*, 25; *Leg. Maj.*, III, 2.

rzali; nawet legaci papiescy w epoce zamieszek wewnętrznych, które usiłowali załagodzić, powtarzali je często. Kaznodzieje głosili je również z ambon katedralnych; lecz to wezwanie, tak często powtarzane, wydawało się ludziom nieziszczalnem, choć słusznem. Istotnie, czyż możliwem było zachować stanowisko pomiędzy równymi sobie, przestrzegając zasad pokoju, nie biorąc udziału w zatargach własnej rodziny i środowiska społecznego, w którem się żyło? Lepiej było odrazu zostać mnichem! A jednak słowa Franciszka wywierały na słuchaczach głębokie wrażenie, gdyż znamionowały prawdziwą świętość. To też mieszkańcy Asyżu pod ich wpływem w większym niż kiedykolwiek stopniu uświadamiali sobie własne winy. Oczywiście, nie byli zupełnie przekonani o ich głębokiej prawdzie, lecz gdy nowy apostoł odchodził i udawał się w dalszą drogę, — dłuższy czas milczeli, jakgdyby pod wpływem niepewności czy zmieszania. A wróciwszy znowu do zajęć codziennych, zachowywali w pamięci przynajmniej przez czas jakiś słowa, które usłyszeli. Po tej pierwszej próbie Franciszek chodził często do miasta, aby prowadzić dalej rozpoczęte dzieło. Nie wygłaszał właściwie przemówień; poprzestawał na tem, że zwracał się do napotkanych ludzi ze swem pokojowem pozdrowieniem, poczem bronił gorąco sprawy pokoju. Niebawem poczęto wyglądać z upragnieniem jego przybycia i usłyszenia słów jego.

Wystąpienie syna Piotra Bernardone w roli ewangelisty budziło niemałe zaciekawienie. Prawdę powiedziawszy, jest prawdopodobne, że mieszkańcy Asyżu byli z tego trochę dumni. W owej epoce liczne miasta posiadały kaznodziejów świeckich, co stanowiło sensacyjną atrakcję. Taki kaznodzieja miał zapewnione audytorjum; ale po niejakim czasie dokoła jego osoby poczynały się tworzyć stronnictwa, a wtedy nie był pewien życia. Franciszek, w przeciwieństwie do większości kaznodziejów świeckich, nie atakował ani urzędników ani duchowieństwa. Nie ciskał klątw na grzeszników; nie ujawniał żadnej pogardy dla ułomności ludzkich. Mówił jak ktoś, kto działa pod wpływem cudownej wizji. Stwierdzał prawa tego idealnego piękna do życia ludzkiego; ubolewał z goryczą nad ogólnem zaślepieniem, które nie pozwala ludziom podziwiać tego cudu. Był jak

człowiek, który, znalazłszy skarb, pragnie podzielić się nim z innymi. Odczuwało się wyraźnie, że jest szczęśliwy, szczęśliwy szczęściem wewnętrznem, szczęśliwy, że może nieść światu radosne poselstwo. I tem także różnił się od innych reformatorów.

Wraz ze zmianą odzieży przyoblókł się jakgdyby w szczególną moc i władzę, która sprawia, że człowiek staje się przewodnikiem innych. Jest to właściwość tych, co mają wiarę, wiarę niezwyciężoną, która opanowuje ich wszechwładnie, i którą pragną szerzyć wśród innych. Ludzie ci nie starają się koniecznie przyciągnąć uczniów, jednakże siła ich przekonania jest tak wielka, że sprowadza ten skutek poniekąd bez udziału ich świadomości. Siłą rzeczy, nie pragnąc tego, stają się przywódcami.

W połowie wiosny Franciszek nie był już samotny w Porcjunkuli. Jego pierwsi uczniowie — Franciszek nazwał ich braćmi w rycerskim zakonie Pani Ubóstwa — już się dokoła niego zebrali. Byli to Bernard da Quintavalle, Piotr Cathanii i Idzi[1]), trzej dzielni ludzie, jak tego dowiodła później ich historja.

---

[1]) Celano, *Tres. Soc.* i *Leg. Maj.* wspominają Bernarda z imienia, ale jest wymieniony po raz pierwszy jako Bernard da Quintavalle przez Bernarda de Besse w *Liber de Laudibus*, wyd. Hilarinusa z Lucerny, str. 5. Por. *Chron. XXIV Gen.* w *Anal. Franc.*, III, str. 667. *Actus S. Francisc.*, I, 10—44. Piotr jest wymieniony w *Tres. Soc.* i z pewnością wspomniany w I, Celano, 25: *Statim autem vir alter... qui valde in conversatione laudabilis exstitit et quod sancte coepit sanctius post modicum consummavit.* — Istnieje niezgodność co do Piotra; jedni utrzymują, że jest to Piotr Cathanii, który był później Wikarjuszem Jeneralnym i umarł w r. 1221. Jest to prawdopodobne na zasadzie opisu Celano i jego wzmianki z racji śmierci Piotra. Według *Chron. Jordani* (*Anal. Franc.*, I, str. 4), Piotr Cathanii był prawnikiem i Franciszek bardzo go cenił. — Bartłomiej z Pizy mówi, że był on kanonikiem katedralnym (*De conformit*, w *Anal. Franc.* IV, str. 472). Słowa „*valde in conversatione laudabilis*" oznaczają coś więcej niż prawość charakteru, zwłaszcza ze strony Celano, który okazuje zawsze wielką cześć dla wiedzy. Jeśliby ktoś zarzucił, że słów „*post modicum*" nie można zastosować do śmierci Piotra, który umarł w r. 1221, — to trzeba pamiętać, w jakiem znaczeniu Celano używa tego rodzaju wyrażeń: mówi n. p. o otrzymaniu stygmatów, jako o fakcie, który nastąpił „niedługo potem" (paulo post), jak Franciszek usłyszał głos krucyfiksu w San Damiano. (Por. II, Celano i I, 11.)

Bernard da Quintavalle pierwszy szukał towarzystwa Franciszka i zamieszkał przy nim[1]). Podobnie jak Franciszek, pochodził ze stanu kupieckiego[2]); jak on, był zamożny, lecz posiadał zgoła odmienny charakter. Z natury rozważny, oceniał wartość rzeczy; entuzjazm występował u niego rzadko. Odznaczał się wielką trafnością sądu; we wszystkiem zachowywał rozważną powściągliwość. Obdarzony niezwykłą przenikliwością umysłu, potrafił powstrzymać się od wydania opinji do chwili, gdy jego intuicyjne przeczucia znajdowały potwierdzenie faktów. Przezorność nie wykluczała u niego prawości, a powściągliwość nie tamowała uniesień. Przez czas pewien obserwował Franciszka, przypatrywał się bacznie jego postępowaniu, wystawiał na próbę jego stałość. Bez ukrytej myśli podziwiał jego szczerość, odwagę, z jaką brał życie w ubóstwie, sprawność, jakiej złożył dowody przy naprawianiu opuszczonych kościołów. Mimo wrodzonej przezorności uczuł żywą ku niemu sympatję i niebawem poszedł za nim. Będąc głęboko religijnym, chciał zbawić swoją duszę; czuł, że świat jest marnością. Jednakże nie chciał się kompromitować wobec współobywateli i początkowo odwiedzał Franciszka w największej tajemnicy.

Nieomieszkał on zaofiarować mu gościny w swoim domu. Franciszek, który lubił towarzystwo, chodził często do niego na noc[3]). Z początku Bernard kazał umieścić łóżko Franciszka

---

[1]) Tak przynajmniej czytamy w *Tres. Soc.*, 27 i w *Leg. Maj.*, III, 3. Ale w Celano I, 24, jest wzmianka o kimś innym, czyjego nazwiska nie wymieniono. Celano mówi o nim, że przyłączył się do Franciszka jeszcze przed trzema osobami, nazwanemi w tekście. Kim był ten nieznany człowiek i dlaczego żadna legenda o nim nie wspomina? Pozostawił on doskonałą po sobie opinję. Celano mówi o nim z pochwałą: *pium ac simplicem, spiritum gerens;* czy Celano czyni tu wzmiankę o żebraku, którego Franciszek zabrał ze sobą, aby go błogosławił, gdy go ojciec przeklinać będzie, czy też był to ktoś, kto przebywał z nim czas jakiś, a potem odszedł? Tego punktu stwierdzić niepodobna.

[2]) Celano daje to do zrozumienia, gdyż używa słów: *ad mercandum regnum coelorum* (I, Celano, 4). Kronikarz ten chętnie posługiwał się tego rodzaju zwrotami.

[3]) Dom Bernarda da Quintavalle istnieje dotąd na „via Sbaraglini", opodal pałacu biskupiego.

w swoim pokoju. Zamiarem jego było niewątpliwie wyrażenie przez to szacunku gościowi, ale był zarazem rad, że może go obserwować zbliska. Gdy nadeszła chwila udania się na spoczynek, poszli do sypialni razem. Bernard, któremu natłok myśli nie dawał zasnąć, udał jednak, że śpi; w ten sposób mógł podpatrzyć coś z tajemnic Franciszka. Ten po krótkotrwałym śnie wstał i ukląkł do modlitwy. Często w porywie zapału mówił półgłosem, sławiąc Boga i Najśw. Marję Pannę. Bernard, który słuchał, musiał przyznać: „Doprawdy, ten człowiek pochodzi od Boga". Wreszcie jednego wieczoru Bernard zapytał swego przyjaciela: „Co winien uczynić człowiek, który przez długi czas zatrzymywał dobro swego pana i chce się go pozbyć?" Franciszek odpowiedział: „Powinien zwrócić je swemu panu". Na to rzekł Bernard: „Przez miłość Boga i Pana naszego Jezusa Chrystusa, pragnę oddać dobra, któremi mnie Bóg obsypał, uczyń więc z nich użytek, jaki uważasz za najsłuszniejszy". Franciszek odrzekł: „Jutro wczesnym rankiem udamy się do kościoła i w Ewangelji zobaczymy, jak o tem nauczał Pan swoich uczniów".

W tym samym czasie Piotr Cathanii, który studjował w Bolonji i który był doktorem praw, usłyszał również głos Ducha. Podobnie jak św. Bernard, zapytał o radę Franciszka i powierzył mu całkowicie kierownictwo swego życia z taką samą uległością, z jaką uczeń poddaje się kierunkowi nauczyciela. Franciszek był niezmiernie szczęśliwy, że człowiek wykształcony, erudyta chce wstąpić na proste drogi ewangelicznego ubóstwa. On sam posiadał wiadomości dość elementarne, ale miał głęboki szacunek dla tego człowieka wykształconego, który był równocześnie pełny bojaźni bożej.

O świcie Franciszek i Bernard poszli po Piotra, poczem we trzech udali się do kościoła św. Mikołaja[1]). Ewangelja leżała przy ołtarzu do użytku każdego, kto chciał ją czytać. Franciszek i Bernard nie byli uczeni; Piotr zaś, jakkolwiek mocny w prawie, nie znał się wcale na tłumaczeniu Pisma św., to też byli w wielkim kłopocie. Jak znaleźć ustęp, który zawiera radę,

[1]) Są tam obecnie koszary żandarmerji: ale sam ołtarz został przeniesiony do katedry, gdzie się dotąd zachował. Jest on wmurowany w ołtarzu kaplicy bocznej na prawo od chóru.

o jaką im chodzi? Wtedy Franciszek ukląkł, błagając Boga, by za otwarciem księgi raczył im objawić swoją wolę. Potem wstał i otworzył księgę. Oczy jego padły na te słowa św. Mateusza: „Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj co masz, i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie: a przyjdź, pójdź za mną". Otworzył księgę powtórnie i odczytał te słowa św. Łukasza: „Nie bierzcie nic w drodze, ani laski, ani tajstry, ani chleba, ani pieniędzy, ani po dwie suknie miejcie". Otworzył księgę po raz trzeci i przeczytał: „Jeśli kto chce za mną iść, niech sam siebie zaprze i weźmie krzyż swój, a naśladuje mnie"[1]). Na te słowa Franciszek, płacząc z radości, zwrócił się do swoich towarzyszów: „Bracia moi — zawołał — oto życie i reguła dla nas i dla tych wszystkich, którzy się do nas przyłączą. Idźcie więc i wypełnijcie przykazanie, któreście usłyszeli."

Dwaj neofici odeszli: Bernard, aby sprzedać swój majątek, który był znaczny; Piotr, aby się pozbyć swej skromnej ojcowizny[2]). W kilka dni potem, 16 kwietnia, Bernard rozdawał ubogim Asyżu, zebranym na Piazza San Georgio[3]), pieniądze, uzyskane ze sprzedaży swego majątku. Franciszek był przy tem obecny i śpiewał głośno chwałę Panu. Ta niezwykła scena ściągnęła wiele osób, które przyglądały się widowisku i dziwiły się takiej pogardzie bogactw tego świata. Wśród ciekawych znajdował się ksiądz, imieniem Sylwester; dał on był niegdyś Franciszkowi kilka kamieni na odbudowę jego kościołów. Widząc, że rozdaje żebrakom tyle pieniędzy, zbliżył się do Fran-

---

[1]) Mat. XIX, 21; Łuk. IX, 3; Mat. XVI, 24.

[2]) *Tres. Soc*,. 27—29; I, Celano, 24—25; II, Celano, 15; *Leg. Maj.*, III, 3. Ani Celano ani św. Bonawentura nie łączą z tym wypadkiem Piotra i Bernarda; I, Celano mówi, że Piotr przyszedł bezpośrednio po Bernardzie: *statim autem*, etc. Opowieść w *Tres. Soc.* jest jednak prawdopodobnie autentyczna, a trzeba zaznaczyć, że I Celano wspomina o jednem tylko otworzeniu księgi i że II Celano opowiada o trzech próbach, podobnie jak *Tres. Soc.* Zapewne Bernard pierwszy zbliżył się do św. Franciszka z myślą przyłączenia się do niego. Nawet *Tres. Soc.* wśród trzech towarzyszów św. Franciszka dają pierwszeństwo Bernardowi.

[3]) *Vita B. Fratris Aegidi* (wyd. Lemmens), I, w *Documenta antiqua,* I (Quaracchi, str. 38). Obecnie plac ten nosi nazwę Piazza Santa Chiara, odkąd zbudowano kościół św. Klary częściowo na miejscu kościoła San Georgio.

ciszka i rzekł: „Bracie, nie zapłaciłeś mi wcale za moje kamienie, dajże mi trochę tych pieniędzy". „Otrzymasz, co ci się należy, księże", odpowiedział Franciszek z uśmiechem. Wziął dwa naręcza ubrań Bernarda, dał je księdzu, dodał jeszcze dwie suknie i zapytał: „Czy jesteś zadowolony?" Sylwester dał do zrozumienia, że otrzymał sute odszkodowanie, poczem odszedł do domu[1]). Dnia tego i następnych mieszkańcy Asyżu po domach i na ulicach czynili różne uwagi o rozdaniu całego majątku przez obywatela tak znakomitego, jak bogaty Bernard da Quintavalle[2]).

Tymczasem Franciszek, Bernard i Piotr usunęli się do Porcjunkuli[3]). Franciszek był do głębi rozradowany, gdyż Bóg dał mu przyjaciół i wiernych towarzyszów.

Po tygodniu przybył do nich Idzi; on również był dzieckiem Asyżu, lecz ubogim i skromnego pochodzenia; ojciec jego był drobnym gospodarzem czy dzierżawcą. Jednakże choć nie posiadał dóbr tego świata, był obdarzony wielką wzniosłością umysłu. Skłonny do zamknięcia się w sobie, poświęcał znaczną część czasu na rozmyślanie o rzeczach duchowych; miał zdrowy sąd i bystrą inteligencję. Później, gdy stał się znanym, wielu ludzi wykształconych zwracało się do niego, aby z ust jego usłyszeć słowa pełne siły i mądrości. Studenci, profesorowie uniwersytetu nawet, starali się usilnie o to, aby się nie narazić na jego krytykę; obawiali się bowiem przenikliwości jego zdrowego rozumu. Wielki Bonawentura uważał go za mistrza w dziedzinie spraw duszy[4]). Jego przybycie do św. Franciszka było charakterystyczne dla mądrej prostoty jego charakteru.

---

[1]) *Tres. Soc*,. 30; II, Celano, 109; *Actus S. Franc.* I, 38—10.

[2]) Por. *Vita B. F. Aegidi*; loc. cit.: *Cum audiret a quibusdam consanguineis et ab alliis, etc.*

[3]) *Tres. Soc.*, 32, mówi wyraźnie, że Franciszek i jego dwaj towarzysze udali się do Porcjunkuli, gdzie, jak oświadcza Celano, Franciszek zaczął przebywać stale. (Por. I, Celano, 21.) Franciszek mieszkał również w Porcjunkuli w epoce, gdy Masseo od braci krzyżowych przybył do niego. Zdanie św. Bonawentury w *Leg. Maj.*, IV, 8; *Cum oleo accepto de lampade quae aram Virginis ardebat altum*, odnosi się, jak przypuszczam, do kaplicy Porcjunkuli.

[4]) Co się tyczy brata Idziego, por. F. Paschal Robinson, *The Golden Sayings of Brother Giles;* O. Gisbert Menge, *Der Selige Aegidius*

W tym czasie, gdy Bernard rozdawał swój majątek na Piazza San Georgio, Idzi, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, pracował w polu; dopiero po powrocie do domu, do rodziny lub sąsiadów dowiedział się o tem wydarzeniu. Podnieciło to jego wyobraźnię i zbudziło gwałtowne pragnienie wstąpienia w ślady Franciszka. Niezwłocznie też postanowił go odszukać i prosić o pozwolenie zamieszkania przy nim. W dzień św. Jerzego udał się na wczesną mszę do kościoła pod wezwaniem tego męczennika, być może, w nadziei, że spotka tam Franciszka; ponieważ go tam nie było, poszedł do Porcjunkuli, gdzie, jak mu powiedziano, miał zamieszkiwać. Nie znał tej kaplicy, ukrytej w lesie, nie wiedział nawet dokładnie, gdzie się ona znajduje; szedł tedy wzdłuż Via Franciscana aż do miejsca, gdzie droga się rozdziela w pobliżu szpitala trędowatych San Salvatore[1]); tutaj jednak nie miał pojęcia, którą ścieżkę wybrać. Zatrzymał się tedy i w modlitwie prosił Boga, by mu wskazał właściwą drogę. Gdy się tak modlił, Franciszek wyszedł z lasu. Idzi podziękował Bogu, pobiegł na jego spotkanie, padł przed nim na kolana i rzekł poprostu: „Bracie Franciszku, pragnę być z tobą dla miłości Boga".

Franciszek, czytający bystro w duszach ludzkich, poznał, że ma przed sobą prawdziwego towarzysza, to też serce zabiło

---

von Assisi. Legenda o nim została ogłoszona przez Lemmensa w *Doc. Antiqua Franciscana,* część I, i w *Anal. Franc.*, t. III, str. 74 i nast. Por. *De Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 205—213. Włoską wersję legendy znajdujemy w kilku wydaniach *Fioretti. Dicta B. Aegidi* są ogłoszone przez bolandystów: *Acta SS.*, 23 kwietnia, str. 227 i nast., a także w *Anal. Franc.*, str. 214 i nast.

[1]) Miejsce, gdzie się znajduje obecnie Casa Gualdo. Sabatier (*Vie de Saint François,* str. 66) sądzi, że Idzi nie wiedział, gdzie mieszka Franciszek, i wyprowadza stąd wniosek, iż w owej chwili Franciszek nie miał stałego miejsca zamieszkania. Ale *Vita B. F. Aegidi, loc. cit.*, mówi wyraźnie, że Idzi zmierzał do kościoła N. M. Panny w Porcjunkuli, do miejscowości, *której brat Idzi nie znał.* Najwidoczniej nie miał on żadnej wątpliwości co do miejsca, gdzie miał
widocznej nie miał on żadnej wątpliwości co do miejsca, gdzie miał
Salvatore był obsługiwany przez krzyżowców, zakon braci szpitalnych, który był bardzo rozpowszechniony w Italji i w łacińskich posiadłościach na Wschodzie. Por. *Régistres de Grégoire IX,* Luc Auvray, II, 209, str. 123.

mu żywo pod wpływem braterskiej tkliwości. „Czy wiesz — zapytał Franciszek — jak wielką łaskę Pan ci wyświadczył? Gdyby cesarz przybył do Asyżu i zapragnął z pośród mieszkańców wybrać sobie rycerza lub szambelana, wieluby ubiegało się o ten zaszczyt. O ileż więcej cenić winieneś to, że Bóg wybrał ciebie z pośród tak wielkiej liczby ludzi, aby cię powołać na swój dwór." A pochyliwszy się nad klęczącym, Franciszek podniósł go, zaprowadził do Porcjunkuli i zapoznał z bratem Bernardem. „Patrz, jakiego dobrego brata Pan nam zesłał!" — zawołał. Potem zasiedli razem do pierwszego wspólnego posiłku; jedząc rozmawiali wesoło[1]). Gdy się posilili, Franciszek zabrał Idziego do miasta, aby mu kupić odzież podobną do swojej. Nowicjusz szedł z rozradowanem sercem; pełen był wszakże czci i bojaźni, jaką go natchnęły wypadki dnia tego.

Po drodze spotkali ubogą kobietę, która prosiła o jałmużnę. Franciszek nie miał jej co dać, to też minął ją w milczeniu; ale kobieta nalegała. Idzi wzruszony pragnął dać jałmużnę żebraczce, ale czekał na rozkaz Franciszka. Gdy kobieta poprosiła o jałmużnę po raz trzeci, Franciszek zwrócił się do swego towarzysza: „Dajmy twój płaszcz tej biednej kobiecie". Idzi z wielką radością zdjął płaszcz i dał go żebraczce. Gdy to czynił, uczuł głęboką radość wewnętrzną, której żadne słowa wyrazić nie zdołają. W tym samym dniu Franciszek nadał mu szatę Ubóstwa: było to drugie wielkie szczęście, które go spotkało[2]).

Niepodobna powiedzieć ściśle, w jakim porządku przybywali inni uczniowie, którzy w tym czasie poddali się kierownictwu Franciszka[3]). W ich liczbie znajduje się Filip, przezwany

---

[1]) *Vita B. Fr. Aegidi*, loc. cit. str. 39—40.

[2]) Ibid., str. 40—1; *Anon. Perus* w *Acta SS.*, 4 października, t. II, str. 587. por. *Tres. Soc.*, 44.

[3]) Trudno uzgodnić porządek pierwszych towarzyszów, podawany w legendach. Legenda *Tres. Soc.* podaje imiona sześciu pierwszych, jak nast.: Bernard, Piotr, Idzi, Sabbattino, Morico i Jan de Capello. To samo czytamy w *Anon. Perus. Acta SS.*, loc. cit. str. 58—60; Celano podaje Bernarda, Piotra i Idziego jako drugiego, trzeciego i czwartego. Potem wspomina o Filipie, jako o siódmym zkolei. Nie jest jednak pewne, czy zamieszcza w tej liczbie i Franciszka, jakkolwiek zdawaćby się mogło, że tak jest. Św. Bonawentura, powie-

Długim, którego wymowa stała się następnie tak sławna, że mówiono o nim: „Bóg dotknął ust jego ogniem oczyszczającym, aby mógł mówić o Nim w słowach słodkich, jak miód; a jakkolwiek nie badał Pisma św. w szkołach, jednak tak je rozumie i tłumaczy, że stał się prawdziwym uczniem tych, którzy choć prości i nieuczeni, byli przeznaczeni na książąt żydowskich"[1]).

Prócz nich był jeszcze Sylwester, ksiądz, którego poznaliśmy przy rozdawnictwie majątku Bernarda. Rola jego w owym wypadku nie wskazywała go specjalnie na godność przyszłego szambelana dworu Pani Ubóstwa; w rzeczywistości jednak Sylwester był szlachetny i życie jego było bez zarzutu. Pochwalał on gorliwość Franciszka w odnawianiu kościołów, jednakowoż uważał za niedorzeczne łączenie się z żebractwem i odrzucanie wszelkich różnic społecznych. Był przekonany, że takie postępowanie to kuszenie Boga; może myślał, że to tylko kaprys młodzieńczy ze strony Franciszka[2]). A może także żywił instynktową odrazę do kaznodziejów świeckich. Oni bowiem bywali często istotnie przyczyną zaburzeń, a nierzadko stawali się heretykami. Widząc, z jak lekkiem sercem rzucają pieniądze, pomyślał, że dobrze będzie uzyskać zapłatę za kamienie, które początkowo ofiarował bezinteresownie. Sylwester nie był pozbawiony ducha nadprzyrodzonego; mimowoli poniekąd doznał pewnego wstydu, że przyjął hojne wynagrodzenie od Franciszka; wrócił do domu zmieszany. Nie mógł pozbyć się myśli, że ta niedorzeczna wspaniałomyślność była o wiele bliższa ducha Jezusowego, niż jego własna przezorność. Ta rzekoma przezorność była bardzo podobna do ukrytego przywiązania do pieniędzy, — do uczucia, które częstokroć ganił u innych. Pew-

---

dziawszy o Bernardzie, mówi, że pięciu ludzi jeszcze zostało powołanych i że w ten sposób liczba synów Franciszka wzrosła do sześciu. Czy powtarza ten szczegół za *Tres. Soc.*, czy za Celano, czy też podaje go niezależnie od tamtych? Bartłomiej z Pizy w *De Conformit. (Anal. Franc.*, IV, str. 177) wymienia uczniów w porządku następującym: Bernard da Quintavalle, Piotr Cathanii, Idzi, Sabbattino, Barbaro, Morico, Jan de Capella, Filip Długi, Jan de San Constanzo, Bernard de Viridante, Angelo Tancredi, Sylwester.

[1]) I, Celano, 25; *Actus S. Franc.*, I, 6. Co do Filipa Długiego por. *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.*, I, str. 5.

[2]) *Leg. Maj.*, III, 5.

nej nocy miał sen. Śniło mu się, że straszny smok oplótł miasto skrętami swego cielska i groził mu zagładą; on zaś, Sylwester, był przejęty strachem na myśl o tem, co nastąpi. Nagle zjawił się Franciszek; z ust jego wychodził krzyż złoty, który dosięgał nieba, a ramiona jego rozpościerały się aż po krańce ziemi. Na ten widok smok zemknął przerażony. Sen ten powtórzył się trzykrotnie, i Sylwester musiał widzieć w tem przestrogę Bożą; udał się więc do Franciszka i opowiedział mu wszystko; w jakiś czas potem przyłączył się do małej gromadki[1]). Ukochał samotność i oddał się żarliwie modlitwie i rozmyślaniu.

W liczbie pierwszych neofitów znajdował się jeszcze Morico, który przyszedł ze szpitala trędowatych w San Salvatore. Należał on do zakonu szpitalników krzyżowców; Franciszek miał sposobność doglądania go w chorobie[2]). Był tam także Angelo Tancredi, pochodzący z Rieti. Przedtem nim został rycerzem Pani Ubóstwa[3]), był w świecie wytwornym kawalerem. Następnie przybył Barbaro, ten sam, który w kilka lat później miał towarzyszyć Franciszkowi w jego podróży misjonarskiej na Wschód[4]). Był jeszcze jeden, Jan de Capella, którego nazwisko samo było nauką dla braci, gdyż popełnił apostazję i smutny miał koniec. Ten Jan de Capella lubił nowości i uznawał tylko własną wolę[5]).

Upłynęło zaledwie kilka miesięcy od chwili, gdy Franciszek zmienił życie, a już stał na czele małej gromadki uczniów. Nie szukał ich, wszyscy sami do niego przyszli, natchnieni jednym duchem. Gdy ktokolwiek przyłączał się do Franciszka, ten radował się, widząc w tem początek podboju świata przez Chrystusa i przez Panią Ubóstwo.

---

[1]) *Leg. Maj.*, III, 5; *Tres. Soc.*, 31; Celano, 109; *Actus S. Franc.*, I, 41—43.

[2]) *Tres. Soc.*, 35; *Leg. Maj.*, IV, 8; por. *De Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 59 i nast.

[3]) Por. *Speculum perfectionis* (Sabatier), rozdz. 85, str. 167.

[4]) *De Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 177; por. II, Celano, 155; *Spec. perfect.*, rozdz. 51.

[5]) *Tres. Soc.*, 35; por. *Actus S. Franc.*, I, 3, XXXV, 10. *De Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 494, 178, 440, 193. Niektórzy autorzy myślą, że jest to ten sam Jan de Compello, o którym wspomina *Chron. Jordani*; *Anal. Franc.*, I, str. 5.

ROZDZIAŁ VI.

Pierwsze misje.

Od dnia św. Mateusza wypadki szybko po sobie następowały; potoczyły się jeszcze szybciej od chwili, gdy Bernard rozdał swój majątek ubogim na Piazza San Georgio. Stało się, jak to bywa na wiosnę, gdy po śnie zimowym żywopłoty obsypują się odrazu bujnem kwieciem. Z pustelnika Franciszek przemienił się w apostoła. Był teraz wodzem mężnego oddziału w służbie świętego Ubóstwa. Ogarnęła go żarliwość apostolska, która skłaniała go do niesienia dobrej nowiny w świat i zdobywania dusz dla Chrystusa. Zaledwie Bernard, Piotr i Idzi przywdziali barwy Ubóstwa, gdy Franciszek wysłał ich aby wypełnili swoją misję. On sam wraz z Idzim udał się poprzez góry do marchji Ankońskiej; nie znajdujemy wzmianki o tem, dokąd poszli dwaj inni bracia. W drodze Franciszek śpiewał głośno w narzeczu prowansalskiem pieśni, w których wielbił dobroć Najwyższego. Ujawniał on na swój sposób radość, jaką go przepełniała miłość ubóstwa. Oczyma ducha widział już, jak ten orszak Pani Ubóstwa, niby waleczny zakon rycerski, złożony z dusz szlachetnych, przebiega świat cały, niosąc wszędy posłannictwo Pokuty, Miłosierdzia i Pokoju. „Ten nasz zakon — mówił do swego towarzysza — jest podobny do rybaka, który zarzuca sieć i wyciąga obfitą zdobycz; wypuszcza zpowrotem drobne płotki, a zatrzymuje tylko duże ryby i układa je w koszach.“ Idzi rozumiał znaczenie tych słów, a mianowicie, że jedynie szlachetni i wielkoduszni są zdolni do tego nowego życia.

Właściwie dwaj towarzysze nie wygłaszali kazań ani przemówień. Przechodząc przez miasteczka i osady, zatrzymywali się, gdy ujrzeli ludzi; Franciszek zwracał się wtedy do audy-

torjum w słowach prostych i poufałych, zalecając tym, co go słuchali, aby dla bojaźni bożej czynili pokutę za grzechy. Idzi stał zwykle na uboczu i zachęcał zebranych, by słuchali z największą uwagą słów Franciszka, gdyż on dobrze mówi. Bardzo często nikt nie chciał słuchać, kazanie ludzi nudziło, niecierpliwiła ich obecność nieznanych przybyszów. Jedni patrzyli na nich jak na nieszczęśliwych szaleńców; inni uważali ich za fanatyków. Byli tacy, co kręcili głowami, nie wiedząc, jak o tem myśleć, jak n. p. ten człowiek, który się wyraził: „Albo to są święci, albo też niebezpieczni szaleńcy". Ich odzież niezwykła, ich zaniedbanie zewnętrzne wywoływały pewną obawę. Na ich widok młode kobiety uciekały pośpiesznie. Brały ich za czarowników, albo za ludzi o „złem oku", mogących rzucić urok.

W rezultacie podróż misyjna rozpoczynała się pod złą wróżbą; wszystko zapowiadało, że wyniki jej będą wprost ujemne. Coprawda Franciszek nie liczył się nigdy ze skutkami; szedł jedynie za porywem wiary; co do powodzenia, to jego zdaniem, przyjdzie ono, kiedy Bóg tak zrządzi. W ten sposób Franciszek i Idzi przeszli marchję Ankońską, poczem wrócili do Porcjunkuli[1]). W tej też epoce Sabbattino, Morico i Jan de Capella, wszyscy pochodzący z Asyżu, przyłączyli się do małej gromadki.

Wstąpienie ich do nowego zgromadzenia wywołało w Asyżu wzburzenie opinji publicznej przeciwko Franciszkowi i jego towarzyszom. Fakt, że czcigodny obywatel, jak Bernard da Quintavalle, rozdał cały swój majątek ubogim, był wypadkiem niezwykłym i nie dawał powodu do śmiechu. W rezultacie, jeśli dwie lub trzy osoby chcą postąpić wbrew zdrowemu rozsądkowi i zabawić się w świętych, — cóż to komu może szkodzić? Stanowiło to tylko urozmaicenie w ciężkiej pracy dnia powszedniego. Oczywiście, że rodziny tych jednostek były oburzone

---

[1]) *Tres. Soc.*, 33. Żadna inna legenda nie przytacza tej podróży do marchji Ankońskiej: niema jednak racji podawać jej w wątpliwość. Prawda, że Celano (I, Celano, 28) przytacza alegorję o rybaku w związku z późniejszemi wydarzeniami; ale widocznie Celano nie przestrzega tu porządku chronologicznego. Opowiada on tylko w ogólnych zarysach wypadki, które poprzedziły zatwierdzenie reguły, z tą myślą, aby podkreślić ducha proroczego św. Franciszka.

ich postępowaniem, ale jedna czy dwie rodziny nie stanowią całego miasta. Poza tem w całkowitem wyrzeczeniu się przez Bernarda było coś, co w nieokreślony, nieuchwytny sposób poruszyło sumienie ludności Asyżu. Powołanie się na Pismo św., wcielenie w życie rad ewangelicznych, tak dramatycznie rozwijające się przed ich oczyma, zagłuszyło chwilowo światowy rozsądek i nakazywało szacunek. Żądza wrażeń, szacunek i cynizm wytworzyły w mieście nastrój tolerancyjny. Czas jednak płynął; nowość traciła stopniowo swój urok i stawała się czemś, co przenikało życie mieszkańców, opanowywało ich domowe ogniska, działało nietylko na ich wrażliwość, lecz i na sumienie. Wtedy nastąpiła reakcja.

Oto Franciszek i jego towarzysze wprowadzili zamęt w pojęciach, zburzyli istniejący porządek rzeczy, doprowadzili do zerwania wielu związków znajomości i przyjaźni. Co więcej, ich interwencja występowała zawsze w niewłaściwej chwili: to odciągali kogoś od hałaśliwej zabawy, to zapobiegali przyłączeniu się do jakiegoś aktu rodzinnej zemsty. Siali niepewność i zwątpienie w stosunku do pojęć, posiadających dotychczas niezaprzeczone prawo obywatelstwa. Niebawem poczęto mówić w mieście, że bardzo to dobrze rozdawać majątek ubogim, ale niedopuszczalnem jest żądać potem od współobywateli środków na własne utrzymanie. Gdy do grona nowych żebraków przybyli jeszcze Sabbattino i dwaj inni towarzysze, niechęć, głucha dotąd, zamieniła się na burzliwy protest. Mieszkańcy Asyżu odmówili im kategorycznie wszelkiej jałmużny. To też gdy Franciszek przybył swoim zwyczajem do miasta po jałmużnę, przyjęto go najgorzej, obrzucono wyzwiskami i obelgami. Gdyby mniej był pewnym swego posłannictwa, prawdopodobnie w owym okresie byłby się cofnął. W imię sprawiedliwości należy przyznać, że oburzenie mieszkańców miało pozory słuszności. Franciszek wyrywał ludzi z ich środowiska, odciągał ich od obowiązków społecznych; rzucał ich w świat bez grosza, bez domu, roztrwoniwszy ich rodzinne dziedzictwo. On i jego towarzysze stawali się istotnym ciężarem dla społeczeństwa, które porzucili. Ogół żywił przekonanie, że taki idealizm jest czemś podobnem do obłędu. Wobec tych faktów nawet ci, co dotychczas popierali Franciszka, poczynali wątpić i doradzali kompromis. Ich zdaniem

postępowanie Franciszka mogło rozpętać burzę, której niepodobna będzie potem opanować. Czas był zatrzymać się i przypatrzeć dalszemu biegowi wypadków.

Biskup wezwał Franciszka i poradził mu, aby wejrzał w siebie i zadecydował o dalszem postępowaniu. Jest rzeczą nierozsądną — mówił — gromadzić ludzi, nie zapewniwszy im środków do życia. Praktykowanie ubóstwa jest bez kwestji bardzo piękne; czynią to zakonnicy, ale i ci mają się z czego utrzymać. Przypuściwszy, że ludność nie zechce ich żywić, co poczną? Czy skażą się na śmierć głodową? Poza tem, co się stanie z tymi ludźmi, którzy nie mają nawet własnego dachu nad głową? Franciszek przeżył wówczas chwilę bardzo ciężką. Biskup Gwido był od początku jego przyjacielem i doradcą. Podał mu rękę w niedoli, i w głębi serca Franciszek żywił dla niego gorącą wdzięczność. Mimo to jednak nie zawahał się ani przez chwilę. „Panie — odrzekł, — gdy będziemy posiadali majątek, to musimy mieć i broń, aby go przed innymi zabezpieczyć; będziemy mieli ustawiczne procesy, co nas często odwodzić będzie od miłości Boga i bliźniego; dla tej też przyczyny nie chcemy posiadać żadnych dóbr tego świata". Odpowiedź była trafna; biskup Gwido wiedział bowiem z własnego doświadczenia, że dobra kościołów i opactw stanowiły wieczną i ciągle nową przyczynę zatargów bądź pomiędzy duchowieństwem a ludem, bądź też w łonie samego kleru. Jego własne biskupstwo było stale widownią gwałtownych utarczek pomiędzy gminami a domami zakonnemi diecezji[1]). To też nie nalegał bynajmniej. Przekonany zapewne w głębi duszy, że jest w tem wola Boża, działająca poza utartemi drogami, uznał, iż należy te nowe pomysły poddać próbie czasu. Franciszek powrócił więc do braci, swobodny nadal co do sposobu postępowania, uzyskawszy błogosławieństwo biskupa, który wszakże poczynił w swojej aprobacie pewne zastrzeżenia[2]).

W ciągu następnych miesięcy żaden ważniejszy wypadek nie zmącił jednostajności życia braci. Starali się pozyskać ducha powołania i przyzwyczajali się do pracy, której to powołanie

---

1) Horoy Honorii, III, *Opera*, t. I, zb. 163, 200.
2) I Celano, 28.

wymagało. Nie posiadali domu we właściwem tego słowa znaczeniu: Porciunkula była ich schronieniem, miejscem zebrań; posiadali tam schronisko szczupłe i prowizoryczne, zbudowane przez Franciszka w pierwszych czasach, gdy Bernard, Piotr i Idzi przyłączyli się do niego[1]). Pędzili czas, służąc bliźnim. O ile nie byli w drodze, aby dać świadectwo Ewangelji, pielęgnowali trędowatych po szpitalach, pomagali wieśniakom w pracach rolnych, oddawali przeróżne usługi wzamian za pożywienie[2]).

Zanim podjęli pracę dzienną, dokonali już byli innej pracy nocą: oto służyli wyłącznie duchowi w jego łączności z Bogiem. Na sen poświęcali zaledwie parę godzin. Gdy cała ziemia pogrążona jeszcze była w śnie, oni wstawali i oddawali się modlitwie wewnętrznej, płynącej z serca. W tych chwilach rozmyślań wnikali, o ile mogli, w wieczne tajemnice, badali własne ułomności i czerpali siły w radości i w niebiańskich pociechach. Byli słabymi ludźmi, wiedzieli o tem sami najlepiej. Ale na znak Pana rzucili się w odmęty i płynęli odważnie; prawda, że często lęk szarpał im serca. W miarę, jak pojmowali lepiej szlachetność, wzniosłość otrzymanego posłannictwa, odczuwali silniej liczne ułomności własnej duszy. Bernard drżał, czy mu starczy wytrwania[3]); brat Piotr lękał się, by skuszony ludzką przezornością, nie zatrzymał się na obranej drodze[4]); Idziego, mistyka, olśniewały również ponęty ziemskie[5]). Każdy miał swoje niepokoje osobiste, na drodze każdego z nich leżał kamień, o który mogli się potknąć. I zdarzało się rzadko, by przejawiali nazewnątrz oznaki swych walk wewnętrznych: nie zdradzali w obcowaniu pomiędzy sobą z postronnymi ludźmi ani smutku, ani zmęczenia, wynikającego ze stanu duszy. Jeśli znali wzajemnie swe przeżycia duchowe, to pochodziło to z sympatji, jaką żywili jedni dla drugich, i wynikało z braterskiej pomocy, z jaką sobie

---

[1]) *Tres. Soc.*, 32. *„Et fecerunt ibi unam domunculam in qua aliquando pariter morarentur."*

[2]) Co do pierwotnego życia braci por. I, Celano 39—41 i nast.: *Tres. Soc.*, 36—44; *Spec. perfect.*, rozdz. 55. *Vita B. F. Aegidi*, str. 40—9; *De Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, 207, 20.

[3]) Por. II, Celano, 48.

[4]) Por. II, Celano, 67.

[5]) Por. *De Conformit.*, w *Anal. Franc.*, IV, 209 i nast.

ochotnie śpieszyli, a także z pokornej szczerości, z jaką zasięgali u siebie wzajemnie rady. Lecz zachowując dla siebie tajemne troski i smutki, dzielili się ze sobą radością i pokojem, któremi, pomimo pokus, przepełniona była ich dusza.

Łączyła ich ściśle miłość ubóstwa; uczucie to potęgowało się jeszcze dzięki serdecznemu wzajemnemu przywiązaniu. Jest zresztą zupełnie naturalne, że ludzie, zjednoczeni we wspólnej wierze, i których przytem nie dzielił żaden interes, żywili względem siebie podobne uczucie. To też wielka była ich radość, gdy po podróży spotykali się znowu. Ktoś, kto ich znał dobrze, powiedział: „Byli tak szczęśliwi, gdy się zobaczyli, że zapominali o wszystkiem, co od złych ludzi wycierpieć musieli[1]). Bardzo możliwe, że sprzeciw, jaki napotykali u świata, wpływał na to, że cenili bardziej serdeczne przyjęcie, którego doznawali we własnem środowisku.

Wśród nich Franciszek był niby anioł domowego ogniska, zawsze myślący o tem, by pomóc lub zachęcić, stosownie do indywidualnych potrzeb każdego z braci; on myślał także o dążeniu do wspólnego celu. Troszczył się bezustanku o ludzi, których miał w swej pieczy[2]). Z drugiej strony bracia zwierzali mu się z pełną prostoty ufnością. Bez najmniejszego wahania wyjawiali mu swe pokusy i myśli najtajniejsze. Zresztą przeważnie nie potrzebowali mówić: Franciszek czytał w ich duszach jak w otwartej księdze.

Gdy szli nauczać w sąsiednich krajach, postępowali podobnie, jak w swem schronieniu w Porcjunkuli. Wszędzie, gdzie byli, oddawali się pielęgnowaniu trędowatych, pomagali w pracy ubogim. Na noc szukali schronienia w szopach, w oficynach, przeznaczonych dla służby, w podsieniach domów lub pod portykami kościołów[3]). Gdy nie dostali nic wzamian za pracę, chodzili od domu do domu, żebrząc o kawałek chleba. Wzywali niezmordowanie ludzi do dobrego, do miłości Bożej; na modlitwę wybierali miejsca ustronne. W tych podróżach apostolskich brakowało częstokroć braciom radości i zachęty, jaką dla nich sta-

[1]) *Tres. Soc.*, 41.

[2]) *Felici semper curiositate in subdituis ferebatur.* Oto nieporównane zdanie, użyte przez Celano (I, Celano, 51).

[3]) *Tres. Soc.*, 38: Anon. Perus., loc. cit., str. 584.

nowiła obecność Franciszka. Niekiedy brano ich za szaleńców lub włóczęgów i odpowiednio z nimi postępowano; wówczas przywodzili sobie na pamięć nauki Franciszka i ćwiczyli się w cierpliwości, rozmyślając o cierpieniach Chrystusa. Praktykowanie tej cnoty ułatwiało im to, że za natchnieniem Franciszka życie całe stało się w ich przekonaniu rzeczywiście podróżą w towarzystwie Boskiego Mistrza. Dzieje ewangeliczne nie stanowiły dla nich historji dawnej; były to wypadki aktualne, przeżycia, w których sami brali udział. W świetle wiary widzieli świat cały, skupiony dokoła Zbawiciela. Gdy im okazywano życzliwość, przypisywali jej źródło Temu, który był ich życiem; gdy się spotykali z niechęcią, przyjmowali to tak, jakby to On sam przyjął. Widzieli świat w promieniach Jego czystości i Jego miłosierdzia; pojmowali Jego miłość dla wszystkiego, co żyje. Grzech sprawiał im ból głęboki, gdyż był zniewagą, wyrządzoną Jego Boskiemu Majestatowi. Uważali się za służebników i heroldów Boga, to też myśleli tylko o tem, by podzielić z Nim, w miarę możności, ciężar odkupienia świata. Ich umysł i serce były zajęte wyłącznie takiemi myślami, to też stopniowo zatracili zupełnie obyczaje świata. Ich słowa i pragnienia stanowiły jedno z dążeniami duszy. Wszystkie wysiłki Franciszka zmierzały właśnie do tego celu, gdyż miał niezachwiane przekonanie, iż w ten sposób jedynie bracia znajdą jakąś radość w swem surowem życiu.

Lato i spokojne dni jesieni upłynęły na modlitwie, w praktykowaniu zaparcia się siebie, na służbie bliźniego. Nadeszła zima[1]), gdy Franciszek za natchnieniem ducha zgromadził braci i przedłożył im projekt długiej misji w dalekich krajach. Tymczasem przyłączył się do nich nowy towarzysz. Było ich teraz ośmiu. Bracia, gotowi do drogi, zebrali się wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w kaplicy Porcjunkuli. Franciszek przemówił do nich. W głosie jego dźwięczała tkliwość ojca, zwracającego się do synów, udających się w świat dla zdobycia fortuny sobie i swej rodzinie. Przedsiębrali podróż dłuższą, niż jaka-

---

[1]) Okres roku, w którym działy się następujące wypadki, określa historja podróży braci Bernarda i Idziego, opowiedziana w *Tres. Soc.*, 39—40. *„Licet esset magnus frigus"*, etc. w *Vita B. Aegidi,* loc. cit., str. 41. *„In quo itinere... frigus et tribulationem perpessus est."*

kolwiek z dotychczas dokonanych. Z właściwym sobie zapałem i zwięzłością mówił im o Królestwie Bożem, którego są dziedzicami, szczególnie od chwili, gdy stali się synami Ubóstwa. Przypomniał im, że za żadną cenę nie powinni pozwolić sercu swemu popaść w niewolę doczesnych rzeczy tego świata, lecz że zawsze mają mieć oczy zwrócone ku wieczności. Powiedział im jeszcze, że do tego rodzaju życia powołani zostali nietylko dla własnej korzyści, lecz także dla zbawienia świata, że zatem winni nawoływać ludzi do pokuty i do przestrzegania w życiu przykazań boskich. Zalecał im łagodność, cierpliwość, ufność w Ojcu Niebieskim. Zachęcał ich, by mimo prostoty i pokory, mimo pogardy świata działali odważnie i śmiało. „Gdyż — dodał — Duch Boży przez wasze usta przemawiać będzie. Spotkacie ludzi, którzy wam uwierzą, będą dla was dobrzy i uprzejmi, przyjmą was i słuchać będą z radością słów waszych. Spotkacie też i innych — a będzie ich większość, którzy nie uwierzą, przepełnieni pychą, bluźnić będą, gniewać się na was, opierać się wam, — będziecie musieli ich karcić[1]). Krzepcie więc wasze serca, aby znieść to wszystko z cierpliwością i pokorą. Idźcie, moi najdrożsi; przebiegajcie ziemię po dwóch, zwiastujcie pokój, wzywajcie ludy do pokuty i do skruchy. Gdy was będą pytali, odpowiadajcie z pokorą. Błogosławcie tych, którzy prześladować was będą, dziękujcie tym, którzy wam będą złorzeczyć i lżyć was będą, gdyż dla tych właśnie prób zgotowane wam jest królestwo wieczne.“ Gdy skończył, bracia jeden za drugim klękali przed nim, prosząc o błogosławieństwo. Co uczyniwszy, Franciszek podnosił każdego z nich i mówił: „Zdaj twój ciężar na Pana, On ci przyjdzie z pomocą“[2]). Poczem mała gromadka rozproszyła się w różnych kierunkach.

Jak im to był nakazał, bracia udali się w drogę po dwóch, na północ, na południe, na wschód i na zachód. Franciszek i jego towarzysz skierowali się na południe, w stronę doliny Rieti[3]), gdzie podczas zimy śnieg okrywa grubym całunem górskie szczyty. Zobaczymy potem, co ich spotkało. Bernard i Idzi udali

---

[1]) Znaczy to, że admonicje, z któremi się do nich zwracać będziecie, staną się dla nich sądem i przestrogą.

[2]) *Tres. Soc.*, 36; I. Celano, 29; *Leg. Maj.*, III, 7.

[3]) Wadding, *Annales ad an.*, 1209.

się do Hiszpanji, gdzie mieli odwiedzić świątynię św. Jacka w Kompostelli[1]). Nie posiadamy żadnych wiadomości o celu podróży innych. O tej podróży braci opowiadają, że gdy dochodzili do jakiegoś kościoła, klękali i modlili się żarliwie, mówiąc: „Wielbimy Cię, o Chryste, i błogosławimy Ci we wszystkich kościołach, gdyż przez Twój święty krzyż świat odkupiłeś"[2]). Czynili to w przekonaniu, że miejsce, gdzie się znajduje krzyż, jest miłe Bogu[3]). Widok ich budził wszędzie niesłychane zdziwienie; ich odzież, sposób życia różnił się całkowicie od przyjętych zwyczajów; przypominali oni górali. Wszędzie, gdzie przybyli, do miasta, zamku warownego, wioski lub zwykłego domu, nieśli słowa pokoju, nakłaniali ludzi do bojaźni i miłości Boga, Stwórcy nieba i ziemi, do zachowania przykazań. Byli ludzie, co słuchali ich z radością; inni, przeciwnie, wyśmiewali ich. Pytano, skąd przybywają, do jakiego zakonu należą. Trudno było dać odpowiedź na te pytania. Niemniej jednak bracia wyznawali z prostotą, że są pokutnikami, pochodzącymi z Asyżu. Co do ich zgromadzenia, to nie było ono jeszcze uznane jako „zakon"[4]). Wielu miało ich za oszustów lub szaleńców; nie chciano ich przyjmować w obawie, że mogą okraść. W wielu miejscach musieli znieść ciężkie zniewagi i szukać schronienia w podsieniach domów lub kościołów[5]).

Ten opis przyjęcia, z jakiem bracia spotykali się w swoich podróżach, znajduje potwierdzenie w opowieściach o wielu podróżach następnych, jak będziemy mieli sposobność przekonać się w dalszym ciągu pracy niniejszej. Nie należy przypuszczać,

---

[1]) Celano, 30; *Vita B. Fr. Aegidi*, loc. cit.

[2]) Według Celano odmawiali tę modlitwę razem z Ojcze nasz, gdyż nie znali jeszcze oficjum (I, Celano, 45). Fryburski kodeks *Liber de Laudibus* mówi, że bracia odmawiali trzy Ojcze nasz na każdą godzinę oficjum, i dodaje, że Franciszek ustanowił ten przepis, aby nie przeszkadzać modlitwie osobistej lub wewnętrznej. Por. Bern. a Bessa, *Liber de Laudibus*, wyd. Hilarinusa, Lucerna, str. 9, n. 1; Wadding, *Annales ad an.* 1210.

[3]) W ten sposób tłumaczę *„locum Dominum"*, zgodnie z językiem zakonnym średniowiecza.

[4]) „Religio" w języku średniowiecznym oznacza formę życia religijnego, zatwierdzoną przez Kościół.

[5]) *Tres. Soc.*, 37—38.

że mieszkańcy krajów, przez które przechodzili, wzięli odrazu braci za bohaterów. Kronikarz, którego wspomnieliśmy wyżej, opowiada, co spotkało we Florencji braci Idziego i Bernarda, gdy przechodzili przez to miasto w drodze do Hiszpanji.

„Około tego czasu dwaj z nich (braci) byli we Florencji i szli przez miasto, prosząc o schronienie, ale nie mogli nic znaleźć. Przybywszy tedy do pewnego domu, w którego podsieniu znajdował się piec, rzekli jeden do drugiego: „Moglibyśmy się tu schronić". Poprosili właścicielkę mieszkania, by ich przyjęła do domu, a gdy odmówiła, rzekli z pokorą, że możeby im przynajmniej pozwoliła spędzić noc przy piecu. Przystała na to; lecz gdy przyszedł jej mąż i zastał ich w podsieniu, przywołał żonę i rzekł: „Czemu pozwoliłaś tym nicponiom nocować w naszem podsieniu?" Ta odparła, że nie chciała ich przyjąć do domu, lecz pozwoliła im położyć się na dworze pod sienią, gdzie prócz drew na opał nic niema do ukradzenia. Mąż nie chciał słyszeć o tem, by im miano udzielić jakiegokolwiek schronienia, choć chłód był bardzo przejmujący. Brał ich bowiem za nicponiów i złodziei. Tak więc całą tę noc aż do rana spędzili w pobliżu pieca, śpiąc dość źle, ogrzewani jedynie ogniem miłości bożej, nie mając innego schronienia prócz dachu Pani Ubóstwa. A potem udali się do sąsiedniego kościoła, aby wysłuchać mszy porannej.

Gdy nadszedł dzień, kobieta owa poszła do tego samego kościoła, gdzie ujrzała braci, zatopionych w żarliwej modlitwie. Wtedy pomyślała: gdyby ci ludzie byli tacy, za jakich ich ma mój mąż, nicponie i złodzieje, nie modliliby się tak bogobojnie. Gdy tak rozmyślała, człowiek pewien, imieniem Gwido, rozdawał jałmużnę ubogim, którzy czekali w kościele. Podszedłszy do braci, chciał im również dać pieniądze, lecz oni odmówili. Gwido rzekł: „Skoro jesteście ubodzy, czemu nie przyjmujecie pieniędzy, jak inni?" Bernard odpowiedział: „Jesteśmy ubodzy, to prawda, ale ubóstwo nie jest dla nas tak przykre, jak dla innych ubogich, gdyż z łaski Boga, którego głosu słuchamy, staliśmy się ubogimi z własnej woli". Człowiek ów zdziwił się wielce i zapytał, czy rzeczywiście posiadali niegdyś majątek. Dowiedział się, że mieli znaczne bogactwa, lecz że dla miłości Boga rozdali je biednym. Słysząc to, kobieta, która widziała, że odmówili przyjęcia pieniędzy, zbliżyła się do nich i rzekła,

że byłaby bardzo szczęśliwa gdyby mogła ich przyjąć u siebie, o ile zechcą być jej gośćmi. Odrzekli pokornie: „Niech Pan ci wynagrodzi twą wspaniałomyślność". Gwido, dowiedziawszy się, że bracia nie mają mieszkania, zabrał ich do swego domu: „Oto mieszkanie, które wam zostało zgotowane przez Pana, mieszkajcie tu, jak długo zechcecie". Bracia złożyli dziękczynienie Bogu i zgodzili się pozostać dni parę. Skorzystali z tego czasu, aby słowem i przykładem utwierdzić Gwidona w bojaźni bożej, tak że później rozdał on ubogim znaczną część swego majątku"[1]).

Opowiadają jeszcze, że brat Idzi spotkał raz nędznie odzianego żebraka, który drżał z zimna. Na ten widok Idzi, który posiadał jedno tylko okrycie, dał mu swój płaszcz i w ciągu dwudziestu dni cierpiał dotkliwie z powodu ostrego zimna[2]).

Jakeśmy powiedzieli, Franciszek udał się w stronę doliny Rieti, położonej na południe od Spoleto[3]). Otrzymał tam łaskę nadzwyczajną. Od chwili nawrócenia dręczyła go myśl o latach straconych dla duszy. Troska ta wzrastała z dniem każdym. Coprawda w ostatnich miesiącach Franciszek doznawał bardzo silnego uczucia własnej niegodności, które to uczucie dręczy zawsze serca ludzi, powołanych do rzeczy wyższych. Przy całkowitem zapomnieniu o sobie radował się, że dzięki przyłączeniu się doń towarzyszów, rozwija się dzieło Boże. Niekiedy z serca przepełnionego wdzięcznością śpiewał chwałę Najwyższego: drżał z radości na myśl o niesłychanej łasce, jakiej dostąpił. Potem, gdy uświadamiał sobie stan własnej duszy, popadał w zdumienie i obawę, przytłoczony poczuciem swej niegodności. Bolał tedy w głębi serca, a niekiedy zalewał się łzami na wspomnienie zmarnowanych lat, których mógł był użyć na przygotowanie się do misji, jaką Bóg mu powierzył. Nadto dręczyła go troska, że ten czas stracony odbije się na jego przyszłości i może ostatecznie stać się przyczyną jego zguby.

---

[1]) *Tres. Soc.*, 39—40. Opuściłem w tem opowiadaniu jako zbędny ustęp, zawierający następujący opis brata Bernarda: *„Qui primo pacis et poenitentiae legationem amplectens, post sanctum Dei cucurrit"*. Czytelnicy Dantego rozpoznają źródło wierszy *Boskiej Komedji, Canto XI*, wiersz 79—81. Por. Anon. Perus w *Acta SS.*, loc. cit., str. 585.

[2]) *Vita B. Fr. Aegidi,* loc. cit., str. 41.

[3]) Wadding, *Annal. ad an.* 1209.

Razu jednego, gdy trwał na modlitwie, doznał znowu takiego gwałtownego uczucia samoponiżenia. Znajdował się wówczas w miejscu samotnem, położonem na wzgórzu, górującem nad miastem Poggio-Bustone, na granicy Abruzzów, dokąd zawiodły go wędrówki po okolicy Rieti. Miejscowość ta, kąt zapadły wśród wysokich gór, zdala od ludzi, zamknięty ciemną ścianą sąsiednich pagórków, tchnie smętkiem i skłania do poważnych rozmyślań[1]). Franciszek w ucisku ducha zdał się na miłosierdzie Boże: z sercem pełnem smutku powtarzał ciągle: „O Boże, zmiłuj się nade mną, biednym grzesznikiem". Miał nadzieję, że miłosierny Odkupiciel będzie dlań pobłażliwym i nie dozwoli, by niegodność sługi naraziła na szwank Jego dzieło.

Dnia tego czara jego upokorzenia była pełna, a pragnął spełnić ją do dna. Nagle doznał uczucia bezwzględnej pewności, że wszystkie dawne grzechy są mu darowane i że za łaską Boga nie upadnie w ostatniej chwili. Równocześnie miał wyraźne widzenie, że zakon Ubóstwa staje się wielką armją i podbija ziemię całą. Zrozumiał, że posłannictwo jego wyda owoce, i że ruch, na którego czele stanął, nie będzie bezpłodny. Cała jego istota przobraziła się wewnętrzne. Powstał od modlitwy jako człowiek nowy, jak ktoś, kto oglądał oblicze Boga. Pierwszą jego myślą było podzielić się swą radością z braćmi. Wiedział, jak byli narażeni na pokusy, wiedział również, jakby ich pokrzepiło, gdyby mogli poznać treść jego widzenia. W modlitwie zwrócił się do Boga z prośbą, aby ich natchnął myślą przerwania podróży i powrócenia do Porcjunkuli. I stało się, że tej samej chwili wszyscy bracia doznali uczucia, że powinni zawrócić z drogi.

Zanim Franciszek oznajmił im o swem wielkiem pragnieniu ujrzenia ich i o swojej o to modlitwie do Boga, bracia nie domyślali się wcale, jakiemu natchnieniu ulegli, wracając do Porcjunkuli. Zebrali się więc znowu, a wówczas Franciszek opowiedział im swoje widzenie. Mówił jak ktoś, kto jest jeszcze

---

[1]) Grota, w której się modlił Franciszek, znajduje się na stromem zboczu ponad miastem; jest to również cel pielgrzymek; w drugi dzień świąt Wielkanocy mieszkańcy wiosek sąsiednich przychodzą z procesją do groty i słuchają tam mszy.

pod wrażeniem wielkiej radości. „Moi najdrożsi — rzekł — bądźcie pocieszeni, radujcie się w Panu, nie smućcie się, że jesteście nieliczni, nie lękajcie się z powodu mojego lub waszego pospolitego obejścia. Pan mi objawił, że staniemy się wielką mnogością i że rozszerzymy się po krańce ziemi. Aby was zachęcić do wytrwania, jestem zmuszony powiedzieć wam, com widział. Wolałbym zamilczeć, ale miłość moja dla was zmusza mnie do mówienia. Widziałem tłum ludzi, którzy szli ku nam, ożywieni pragnieniem przywdziania habitu naszego świętego powołania. Słyszę jeszcze hałas, jaki czynili idąc, aby zaciągnąć się pod prawo świętego posłuszeństwa. Widziałem drogi wszystkich krajów pełne ludzi, dążących do nas. Przybywają Francuzi, śpieszą Hiszpanie, Niemcy i Anglicy, tłumy ludzi, mówiących innemi jeszcze językami, są ogromne."

Na wiadomość o tem widzeniu radość małej gromadki była niezmierna. Każdy z braci wziął do siebie zapał mówcy i jego śmiałą ambicję ustanowienia wszędzie królestwa Ukrzyżowanego Odkupiciela[1]). Nikomu z nich nie przyszła myśl o sławie osobistej. Kochali Jezusa i pragnęli gorąco ujrzeć Go w Jego ubóstwie i pokorze — Panem świata. Dla bliźnich żywili uczucie najżywszej miłości i chcieli podzielić się z nimi doznawaną radością.

Mimo zapału Franciszek patrzył na wszystko przenikliwym wzrokiem przywódcy. W towarzystwie braci radował się beztroskliwie na myśl o bliskiem przyłączeniu się do nich tłumów ludzkich. Przewidywał jednakże, że w miarę wzrostu liczebnego w umysłach dokona się pewna praca i że nastąpi okres próby. Nie można postępować z tłumem tak, jak z małą gro-

---

[1]) I, Celano, 26, 7. Celano przytacza fakt uzyskania przez Franciszka pewności, że otrzymał przebaczenie, oraz jego przemówienia do braci, przed podróżą misyjną ośmiu braci, ale, jakeśmy to już zaznaczyli, nie przestrzega on prawie wcale porządku chronologicznego. Wadding (*Annales ad an.* 1209) przyjmuje tradycję, według której zapewnienie o przebaczeniu otrzymał Franciszek w Poggio Bustone. Nadto Celano przytacza, że nagłe odwołanie braci było wynikiem widzenia Franciszka: *„Convenientibus vero in unum, de visione pii pastoris magna gaudia celebrant"*, i dalej: *„Beatus Pater coepit eis suum aperire propositum"* (I, Celano, 30—31).

gromadką, która stanowi niby rodzinę, zjednoczoną sercem i podlegającą jednej woli. „Moi najdrożsi — rzekł do towarzyszów — te pierwsze dni naszego wspólnego życia są niby słodki i miły aromat jabłek. Później jabłka, które nam podadzą, nie będą ani miłe, ani słodkie. Wkońcu będą między niemi tak gorzkie, mimo ich pozoru, że zjeść ich nie będziemy w stanie"[1]).

Te słowa, jak zobaczymy, były prorocze. Ale narazie przewidywanie mających nastąpić trudności nie sprawiało niepokoju ani Franciszkowi ani jego braciom; żyli pod urokiem nowego powołania, i to im wystarczało. Ten pierwszy zachwyt jest istotnie prawdziwem błogosławieństwem; dopóki trwa, przypomina orzeźwiającą rozkosz dnia letniego, przenika świat marzeń żywem światłem. Jest także podobny do upajającego bezmiaru nieba na Wschodzie, gdy o zachodzie słońca chmury się rozproszą. Taki zachwyt jest podarkiem zaręczynowym prawdziwej miłości, czy to gdy idzie o miłość mężczyzny do kobiety, czy też gdy w grę wchodzi mistyczna miłość duszy do jej powołania. Z tego zachwytu rodzi się siła i radość życia. Opromienia on zarówno pierwsze szczęśliwe etapy ku powodzeniu, jak i nieuniknione czasy trudności i rozczarowań, które przetrwać musi najdoskonalsza nawet wiara, zanim osiągnie triumf ziszczenia. Franciszek nie doznawał smutku, posiadał ufność niewzruszoną; pomimo to uczuł konieczność przestrzeżenia swej gromadki przed przyszłemi niebezpieczeństwami.

To bractwo ubóstwa miało się rozszerzyć po całej ziemi; potrzebowało zatem jakiegoś ściśle określonego poręczenia, pochodzącego od władzy, której powagę uznawałby świat cały. Nowe zgromadzenie składałoby przysięgę posłuszeństwa tej władzy widzialnej, co byłoby symbolem poddania świata Chrystusowi. Instynktowo Franciszek zwrócił się do papieża, namiestnika Chrystusowego na ziemi. On w imieniu Chrystusa przyjmie przysięgę od braci, nada im prawa, będzie ich panem na ziemi i obrońcą przeciwko złośliwości świata.

Zdarza się często, że wypadki, brzemienne w doniosłe skutki, wynikają z faktów samych przez się mało znacznych: fakty te posiadają wagę tylko o tyle, że dały początek innym,

---

[1]) I Celano, 28.

o wielkiem znaczeniu. Tak tedy przybycie czterech nowych postulantów stało się dla Franciszka bodźcem do zwrócenia się do papieża z prośbą o zatwierdzenie i wzięcie w opiekę rodzącego się zgromadzenia. Wraz z nowoprzybyłymi towarzystwo Ubóstwa liczyło dwunastu członków: była to liczba apostołów. Franciszek uważał, że brakowało im tylko jednego, aby stać się podobnem do grona apostolskiego: wyraźnej sankcji Chrystusa, a tego udzielić mógł tylko jego zastępca. Franciszek i jego towarzysze szukali rady w modlitwie, poczem postanowili udać się do Rzymu i starać się o posłuchanie u papieża.

Czterej nowi bracia byli to: Jan z San Constanzo, Barbaro, Bernard de Vigilanzio[1]) i szlachetny rycerz Angelo Tancredi, który towarzyszył Franciszkowi od doliny Rieti[2]).

---

[1]) Nazywają go różnie: Bernardonem de Vigilanzio, Bernardem Vigilanzo de Vida i Bernardem de Viridante.

[2]) Wadding (*Annales ad an.* 1210) opowiada o przybyciu Angelo Tancredi historję, zgodną zupełnie z tem, co wiemy o charakterze Franciszka: spotkawszy Angela w dolinie Rieti, Franciszek zbliżył się do niego i rzekł: „Już dość dawno nosisz szyszak, miecz i ostrogi świata; pójdź ze mną, a pasować cię będę na rycerza wojska Chrystusowego“.

Źródłem tej historji jest *Actus S. Franc. in Valle Reatina,* kompilacja z XIV w. wątpliwej autentyczności. Wydał go świeżo profesor Permacchi w *Miscellanea Francescana,* T. XIII, str. 6—21.

ROZDZIAŁ VII.

Papież Inocenty aprobuje regułę zakonu.

Budząca się wiosna przenikała łagodnem tchnieniem powietrze, prześwietlane radosnemi promieniami słońca. Dłuższe dni ułatwiały podróż ubogim braciom, którzy, zaledwie odziani, śpieszyli do Rzymu. Serce Franciszka było przepełnione radością. Miał w ręku spisaną regułę życia, dokument związku swego z Panią Ubóstwem. Nie wątpił o uzyskaniu aprobaty papieża. Czyż bowiem Ubóstwo nie było na ziemi oblubienicą Zbawiciela? Czyż możliwe, aby papież, namiestnik Chrystusa, mógł tego nie uznać?

Pewnej nocy Franciszek miał sen: oto szedł drogą, przy której rosło wyniosłe drzewo przedziwnej piękności. Gdy się do niego zbliżył, zatrzymał się zachwycony. Nagle on sam urósł tak, że dosięgnął szczytu drzewa i mógł w ten sposób bez trudu zgiąć je do ziemi[1]). Franciszek opowiedział ten sen braciom. W jego mniemaniu pochodził on z natchnienia bożego i był przepowiednią, zwiastującą triumf Ubóstwa. Ludzie ci o płomiennej duszy uważali, że wszystko w niebie i na ziemi odnosiło się do ich Pani Ubóstwa. Władza idei Ubóstwa nad nimi była tak silna, że nie rozumieli innego sposobu postępowania.

Przed wyruszeniem do Rzymu Franciszek nalegał gorąco na to, aby wybrano na kierownika podróży nie jego, lecz innego z braci. „Będzie on naszym kapitanem — mówił do nich — będzie w naszych oczach namiestnikiem Chrystusa. Pójdziemy, dokąd on pójdzie; zamieszkamy, gdzie on się zatrzyma.“ Wybór padł na Bernarda da Quintavalle. Udali się tedy w drogę; idąc

[1]) I Celano, 33; *Tres. Soc.*, 59; *Leg. Maj.*, III, 8.

szli i śpiewali, wielbiąc Boga, lub też rozmawiali o rzeczach duchowych, jedynych, o jakich mówić uważali za właściwe. Czasami zatrzymywali się w jakiemś ustronnem miejscu i modlili się w milczeniu. Za nadejściem wieczoru szukali schronienia na noc tam, gdzie się znajdowali. W ten sposób zeszli w dolinę Spoleto, przebyli wysokie płaskowzgórza Rieti, przeszli Kampanję rzymską i przybyli do Rzymu. Większość braci widziała wieczne miasto po raz pierwszy. Zważywszy, jak silna w owym czasie była wiara ludu katolickiego, jest bardzo prawdopodobne, że pierwszą myśl po przybyciu do celu podróży poświęcili grobom świętych Apostołów w bazylice św. Piotra na wzgórzu Watykańskiem. Grób ten uczynił z Rzymu miasto istotnie święte. Na widok braci, przechodzących ulicami, ludzie pytali, kim są ci wędrowcy, tak dziwnie odziani, i skąd przybywają. Ani przez chwilę nie przyszło im na myśl, że ci, którym się tak ciekawie przypatrują, wstrząsną niebawem całym światem chrześcijańskim, że staną się narzędziem rewolucji moralnej, która zmusi do szacunku i podziwu sam Rzym nawet. Narazie Rzymianie nie interesowali się wcale tymi przybyszami, jakkolwiek ich odzież i zachowanie były zadziwiające. Mieszkańcy Wiecznego Miasta widywali już wielu dziwnych pokutników, wielu reformatorów, którzy przybywali do ich miasta, a potem popadali w zapomnienie lub niesławę. To też dwunastu braci mogło dotrzeć do bazyliki św. Piotra, budząc tylko chwilowe zainteresowanie. Zresztą wzniosłość ich posłannictwa, szacunek dla ziemi świętej, po której stąpali, przejmował ich do tego stopnia, że nie zwracali najmniejszej uwagi na otaczających ich ludzi.

Gdyby byli mniej zatopieni we własnych myślach, to i tak nie czuliby się obcymi w Rzymie. Oba miasta, Asyż i Rzym, niezbyt się zresztą różniły co do charakteru. Kontrast pomiędzy niemi, dziś tak jaskrawy, wówczas nie dawał się odczuć. Pielgrzym, udający się dziś z Wiecznego Miasta do Asyżu, miałby wrażenie, jakgdyby z miejsca, gdzie świat i duch toczą ze sobą zaciętą i nieuniknioną walkę, przeniesiono go nagle do starożytnego zakątka, w czasy, kiedy duch królował w pokoju. Za naszych czasów Rzym jest niby duchem, walczącym z materją; było tak zresztą zawsze od początków jego dziejów. Asyż,

przeciwnie, jest jak duch, spoczywający po triumfie. W XIII wieku Asyż był niespokojną małą republiką, świadomą swych praw i bardzo napastliwą, gdy o te prawa chodziło. Dwór biskupi, senat, rynek nadawały mu wiele życia, wzmożonego jeszcze przez działalność stronnictw politycznych. Stronnictwa te do pewnego stopnia rywalizowały z instytucjami rzymskiemi i z ambicjami Rzymu.

Prawda, że życie Rzymu było zakrojone na szerszą skalę, nie różniło się jednak od życia Asyżu, tak że mieszkaniec miasta umbryjskiego mógł z łatwością przystosować się do zwyczajów Wiecznego Miasta i brać udział w jego życiu. Tem niemniej już w tej epoce Rzym posiadał znaczenie o tyle wybitne, że mógł podziałać na wyobraźnię mieszkańców miast większych nawet niż Asyż. Było tak zwłaszcza za panowania Inocentego III. Ten papież bowiem potrafił zmusić znaczną liczbę państw chrześcijańskich do uznania zwierzchnictwa Stolicy Apostolskiej. Nic w życiu chrześcijaństwa nie działo się takiego, o czemby w ten lub inny sposób nie decydowała ostatecznie rada papieska. Taką swego rodzaju kontrolę roztaczała ona na postępki panujących i narodów, jak i na sprawy intelektualne, a także czysto kościelne. Inocenty używał swej wzmagającej się z dniem każdym władzy bardzo szlachetnie. Troszczył się o rzeczy najdrobniejsze zarówno jak o najważniejsze[1]). Nikt może w tej mierze co on nie był panem świata. Strofował królów, narzucał narodom rządy, trzymał na wodzy herezję. Czynił wszystko, co może czynić prawodawca dla odrodzenia moralnego. Działalność jego ujawniała się widocznie na dworze papieskim. Spotkać tam można było wszystko, co w świecie chrześcijańskim jakąkolwiek przedstawiało wartość. Przybywał tam każdy, kto zamierzał bronić się, dyskutować lub złożyć hołd władzy papieża.

W mniemaniu wielu jednostek Inocenty III uchodzi przedewszystkiem za ambitnego męża stanu, za teokratę, trawionego namiętnością rozciągnięcia zwierzchnictwa papieskiego na sprawy doczesne. Wyobrażają go sobie jako człowieka, który umiał przeciwstawiać zręcznie stronnictwa polityczne, który bądź

---

[1]) Por. A. Luchaire: *Innocent III. Rome et l'Italie,* str. 333 i nast.

przez wolę żelazną, bądź też z umiejętnością wytrawnego polityka potrafił zmusić do uległości władzę świecką. Na szczęście jest to tylko jedna strona charakteru Inocentego. Był to człowiek wielkiej i szczerej pobożności, prawdziwy asceta w życiu prywatnem. Jego najgorętszem pragnieniem było odrodzenie świata chrześcijańskiego, najżywszą troską skłonienie tych, którymi rządził, zarówno narody jak jednostki, do ściślejszego stosowania w życiu prawa Chrystusowego[1]). Poza ambitnemi celami politycznemi wyczuwało się w nim chęć pozostawienia świata chrześcijańskiego lepszym, niż go zastał. Można zatem twierdzić bez wahania, że dla niego rozszerzenie władzy papieskiej na dziedzinę spraw doczesnych było środkiem, prowadzącym do uświęcenia świata. Mylił się może, przypuszczając, że potęga świecka da papieżowi większą władzę w kierunku urzeczywistnienia jego posłannictwa; kwestja ta do skończenia świata będzie stanowiła przedmiot namiętnych sporów. Nie ulega jednak wątpliwości, że ów wielki papież chciał poprostu stworzyć teokrację narodów chrześcijańskich, coby ułatwiło przenikanie praktyki ewangelicznej do wszystkich środowisk świata.

On pierwszy zdał sobie sprawę, że uzdrowienie winno się zacząć od duchowieństwa. Oceniał sprawiedliwie siłę sekt reformatorskich, jakkolwiek przyczyniały one niekiedy kłopotu władzom i częstokroć wpadały w herezję, piętnowały one bowiem fakt niezaprzeczony: wielkie zło, jakie wyrządzał zbytek i świeckie ambicje najwyższych warstw duchowieństwa i ludzi świeckich[2]). Jakkolwiek rzeczywistość ta była bardzo przykra,

[1]) Był on autorem traktatu ascetycznego: „De contemptu mundi", który przez długi czas cieszył się wielką poczytnością. Jego kazania tchną duchem płomiennej pobożności.

[2]) W r. 1201 Inocenty zatwierdził regułę humiliatów, towarzystwa ortodoksyjnego, które wszakże dla wielu biskupów było podejrzane. Przyjął również w r. 1209 rewokację Duranta Huesca, a w roku 1210 rewokację Bernarda Prunusa i udzielił im pozwolenia na dalsze nauczanie. Por. A. Luchare, *Innocent III: La croisade des Albigeois*, str. 105; Migne: *Innocentii III, Regest.* Lib. XII—LXIX. Pokojowe stanowisko Inocentego w stosunku do heretyków stanowi jaskrawy kontrast z postępowaniem niektórych biskupów. Por. Migne, op. cit., lib. II. CCXXVIII, A. Luchaire, op. cit., str. 58 i nast.

jednak trzeba było ulec wymowie faktów i znaleźć na zło lekarstwo. Inocenty uświadamiał sobie, że istnieje słaba nadzieja dokonania poprawy. Była to jego stała i głęboka troska. Czynił jednak wytrwale wszystko, co mógł, i wybrał na kardynałów ludzi, którzy podzielali jego zapatrywania na tę drażliwą sprawę. Jakkolwiek przez poparcie wojsk swoich przyczynił się do zgniecenia albigensów, to nie należy zapominać, że ta sekta polityczno religijna zagrażała zasadom zarówno władzy świeckiej jak duchownej. W tym zresztą wypadku Inocenty III nie poprzestał na zastosowaniu świeckiej siły zbrojnej. Usiłował wzmóc gorliwość zakonów religijnych, żądając, aby uciekały się przedewszystkiem do broni duchownej celem zatamowania postępu herezji. Nadto wysłał do krajów, gdzie się herezja szerzyła, kaznodziejów, których nauka i doświadczona prawowierność opierała się na najsurowszym ascetyzmie, na życiu bez skazy[1]).

Tymczasem nad wszystkiemi wysiłkami papieża, zmierzającemi do zatamowania rosnącej fali reform heretyckich, ciążył ciasny i zabójczy formalizm. Fala ta, pomimo pochodów krzyżowych i misjonarzy urzędowych, wznosiła się bezustannie. W samem nawet państwie kościelnem heretycy ciskali wyzwania papieżowi[2]). Należy przyznać, że wszystkie te usiłowania reform heretyckich czy też prawowiernych (a były one przeważnie heretyckie lub co najmniej podejrzane) były wyrazem głębokiego niezadowolenia najlepszych katolików i samego papieża. Ale ani dyskusje, ani represje nie są w stanie usunąć takiego niezadowolenia. Dopóki ono trwa — trwa i herezja w stanie czynnym czy też ukrytym. Choroba ta ustępuje albo na skutek zadośćuczynienia w dziedzinie duchowej, albo też za-

---

[1]) Inocenty byłby chętnie uniknął zastosowania pomocy siły zbrojnej, lecz gdy się przekonał o znikomości skutków działania pokojowego, zachęcał do wyprawy krzyżowej z właściwą swemu charakterowi energją. Por. A. Luchaire, loc. cit.

[2]) W Viterbo i w Orvieto pataryni byli tak potężni, że zdołali przeprowadzić wybór konsulów z pośród członków swojej sekty. Por. Migne, *Innocentii III, Regest.* Lib, II, CCVII; Lib. VIII, CCLIII. Por *Acta SS. Mart.*, t. V, str. 86 i nast.; A. Luchaire, *Innocent III, Rome et l'Italie*, str. 99, 91.

nika wśród obojętności religijnej. Oddawna już Kościół nie był w stanie wskazać na fakt, zdolny przekonać ludzi, że jest on w posiadaniu prawdy, tej prawdy, której spragnione było całe chrześcijaństwo i która jedynie mogła zaspokoić głód ludzkości. W owej epoce nie określano jej pozytywnie, stwierdzano tylko, czem ta prawda nie jest. Ludzie nie znajdowali jej w żadnej ówczesnej instytucji kościelnej, ani w żadnym ze znanych im prądów religijnych. To też nie znajdując jej nigdzie, wyprowadzali wniosek, że cały system kościelny jest fałszywy, a jego wyłącznym celem jest rzekome zakucie ducha ludzkiego w kajdany niewoli.

Najulubieńsi kaznodzieje oficjalni nie zdołali wpoić w swoje audytorjum odmiennego przekonania. Mówcy ci, jakkolwiek lubiani przez ogół, mogli jedynie ubolewać nad złem, które trapiło Kościół. I to wynikało, ich zdaniem, wyłącznie z ran, zadanych przez ludzi niepokalanemu ciału Chrystusa. Ale te rany były widoczne, rzucały się w oczy każdemu. Wśród wiernych niektórzy podzielali ze szczerem przekonaniem wiarę kaznodziejów i oczekiwali, trwając na modlitwie, wyświetlenia tej bolesnej tajemnicy. Ci jednak byli niestety bardzo nieliczni. Większość słuchała kazań z ironiczną obojętnością. Tymczasem heretycy stawali się coraz śmielsi i zapuszczali wśród chrześcijaństwa coraz głębsze zagony.

Być może, że wierni w oczekiwaniu odrodzenia religijnego przeczuwali bliskie nadejście proroka, który obdarzy ich dusze radością i pokojem; może przeczuwali, że będzie to człowiek o szerokim poglądzie, nieskrępowany ciasnemi tradycjami, które tamowały swobodę ortodoksyjnych kaznodziejów i zacieśniały ich horyzonty; człowiek o duszy prostej i prawej, który potrafi wyłuskać prawdę ze skorupy rutyny i ukaże ją w olśniewającym blasku prawowiernym i heretykom jako naturalny owoc wiary katolickiej. Ale jak się pojawi ten prorok? Jak się ukaże światu? Było to tajemnicą nawet dla tych, co intuicyjnie jego nadejście przeczuwali. Nikt nie wiedział, że brzask był już tak bliski.

Papież Inocenty przeczuwał może bliskie przyjście reformatora. Był to mistyk i zarazem człowiek genjalny. Takie umysłowości posiadają szerokość poglądów i przenikliwość, prze-

wyższającą owoc duchowy ogółu społeczeństwa. A jednak, gdy przyszła chwila rozpoznania oczekiwanego reformatora, papież nie zrozumiał go zrazu, i Franciszka spotkało niepowodzenie.

Spotkali się oni po raz pierwszy w korytarzu pałacu Lateraneńskiego. Inocenty przechadzał się wzdłuż i wszerz, zamyślony o swoich projektach. Nagle Franciszek, który w prostocie ducha sądził, że może się zwrócić wprost do papieża, stanął przed nim i zaczął mu przedkładać swoją prośbę. Papież wziął go za pospolitego fanatyka i w szorstkich słowach kazał mu odejść[1]). Franciszek usłuchał. Ale niebawem udało mu się spotkać biskupa Asyżu, który właśnie przybył w odwiedziny na dwór papieski. Biskup nie wiedział o podróży Franciszka do Rzymu, to też doznał pewnego wzruszenia, spotykając go w Wiecznem Mieście. Przypuszczał zrazu, że pokutnicy opuścili zupełnie Asyż. Dowiedziawszy się od Franciszka o celu jego przybycia do Rzymu, przyrzekł mu pomoc i poparcie.

Biskup Gwido wiedział, na jakie przeszkody natrafi Franciszek w osiągnięciu zamierzonego celu. Zdawał sobie sprawę, że aby uzyskać posłuch na dworze, trzeba mieć koniecznie poparcie potężnego przyjaciela. Znał również niechęć, jaką budziły te nowe bractwa pokutnicze. Liczba ich wzrastała z dniem każdym, a rozwijały się szybko z krzywdą dla istniejących dawnych zakonów[2]). To też Gwido, jako człowiek przezorny i zręczny, zaczął naprzód szukać protekcji wpływowego kardynała. Wybór jego padł na kardynała Jana de Santo Paulo, biskupa Sabiny. Prałat ten wiódł życie prawdziwie świątobliwe. Oderwanie od świata, wzniosłość umysłu wyróżniały go na dworze Inocentego i zapewniały mu zawsze wśród żądnych reform kardynałów miejsce wybitne. Przedstawiono mu Fran-

---

[1]) Patrz dodatek do *Leg. Maj.*, III, 9 (Wyd. Quarracchi, 1898, str. 28, No. 1, przez Hieronima Ascoli). Hieronim był następcą św. Bonawentury jako generał zakonu. Mówią, że dowiedział się o tym wypadku od siostrzeńca papieża. Por. *Anal. Franc.*, III, 365. Mateusz z Paryża (*Hist.*, wyd. Wattsa, str. 340) opowiada ciekawą historję, według której papież miał przy pierwszem spotkaniu powiedzieć Franciszkowi, aby poszedł „tarzać się w błocie z wieprzami".

[2]) W pięć lat później IV sobór lateraneński zabronił tworzenia nowych zakonów.

ciszka; kardynał był dobrze dlań usposobiony, gdyż biskup opowiedział mu o zdumiewającem poświęceniu i przedziwnej gorliwości nowego reformatora. Musiał on też słyszeć o szacunku, jaki Franciszek okazywał biskupowi i duchowieństwu, co w owym czasie było objawem wśród nowatorów niezwykłym.

Mimo to, z wrodzonym konserwatyzmem męża stanu, kardynał nie widział potrzeby tworzenia nowego zakonu; jego zdaniem ludzie ci powinni byli wstąpić do któregoś z istniejących zakonów; byłoby to najlepsze rozwiązanie kwestji; a przytem ich płomienna żarliwość wpłynęłaby na przywrócenie innym zakonom pierwotnej doskonałości. Kardynał radził zatem braciom, by wyrzekli się swego zamiaru i wstąpili do klasztoru. Franciszek jednak był nieugięty; pokornie i łagodnie obstawał jednak niezłomnie przy swojem zdaniu, był bowiem przekonany, że Bóg go powołał nie do życie klasztornego ani pustelniczego w istniejącej już postaci, lecz do życia nowego, polegającego na prostem stosowaniu nauki Ewangelji. W kilka dni potem jednak i kardynał zmienił przekonanie. Stwierdził bowiem u tych ludzi ducha zgoła odmiennego, niż u wszystkich, jakich znał, i zrozumiał, że Bóg ma jakieś nowe zamiary względem swego Kościoła. W tem przeświadczeniu postanowił przedstawić Franciszka papieżowi i poprzeć jego sprawę.

Tak więc Franciszek znalazł się powtórnie u stóp papieża Inocentego; teraz jednak grunt był przygotowany. Papież, pomimo surowego zachowania, był gotów wysłuchać tego, co Franciszek miał do powiedzenia w swojem i braci imieniu. Franciszek przedstawił poprostu regułę życia, jakie za sankcją papieża prowadzić zamierzał. Wyraził postanowienie, że żyć będzie w bezwzględnem ubóstwie, bez żadnych zasobów poza ufnością w Opatrzność Boską i miłosierdzie ludzkie; wyraził zamiar niezabierania ze sobą niczego w wędrówkach po świecie, niestawiania oporu zniewagom, mogącym go spotkać, służenia bliźniemu i oddawania się pracy za przykładem ludzi ubogich; zaznaczył swą wolę wyrzeczenia się wszelkiej władzy i wszelkiego zwierzchnictwa nad innymi. Wydało się niektórym kardynałom, że jest to niebezpieczne naśladownictwo reformatorskich inowacyj; wszyscy uznali, że reguła przechodzi granice

sił ludzkich. Jeden człowiek nie podzielał tylko ogólnej opinji: był to kardynał Jan de Santo Paulo, który zabrał głos, aby odeprzeć zarzuty. „Jeśli — rzekł — odrzucimy prośbę tego biednego człowieka, jako coś nowego, zbyt trudnego do wykonania, to strzeżmy się, byśmy się nie sprzeciwili Ewangelji Chrystusowej. Wszakże on prosi jedynie o pozwolenie stosowania ewangelicznej reguły życia. Kto bowiem utrzymuje, że wprowadzanie w życie rad ewangelicznych, a nawet usiłowanie tylko ich stosowania, jest rzeczą nową, nierozumną lub niemożliwą, ten bluźni przeciwko Chrystusowi, Autorowi Ewangelji." Na te słowa papież, aby oddać hołd świątobliwości kardynała, rzekł do Franciszka: „Idź, mój synu, i proś Boga, aby raczył nam objawić swoją wolę; skoro ją wyraźnie poznamy, zatwierdzimy z większą pewnością twoje pobożne zamierzenia"[1]).

Były to dla braci chwile wielkiego niepokoju, ale Franciszek ufał. „Udał się z zaufaniem do Chrystusa i zaczął się modlić, zalecając braciom uczynić to samo" — mówi kronikarz. Podczas modlitwy, jakgdyby pod wpływem wewnętrznego natchnienia, przyszła mu na myśl następująca parabola. Na pustyni żyła kobieta bardzo uboga, ale obdarzona wielką pięknością. Ujrzał ją pewien król, pokochał i poślubił z radością. Miał z nią piękne dzieci. Gdy te dzieci, wychowane z wielką starannością, dorosły, rzekła im matka: „Moje dzieci, nie wstydźcie się waszego ubóstwa; jesteście bowiem synami wielkiego króla. Udajcie się więc na jego dwór i z całem zaufaniem proście go o wszystko, czego wam potrzeba." Wielkie było zdziwienie i radość tych dzieci. Ośmieleni ujawnieniem swego królewskiego pochodzenia, wiedząc, że są dziedzicami króla, poczęli uważać nędzę swoją za bogactwo. Odważnie stanęli przed królem i nie stracili śmiałości przed obliczem tego, czyje podobieństwo wyryte było w ich obliczach. Król, widząc w nich własne podobieństwo, zapytał zdziwiony, czyimi są synami. Na co ci odrzekli: „Jesteśmy dziećmi ubogiej kobiety z pustyni". Na te słowa król uściskał ich i powiedział: „Nie lękajcie się niczego.

---

[1]) *Leg. Maj.*, III, 9; *Tres. Soc.*, 47—49; I, Celano, 32, 33; Celano, 16; *Anon. Perus.*, loc. cit., str. 590.

jesteście mojemi dziećmi i dziedzicami. Jeśli przyjmuję na swoim dworze obcych, tem bardziej winienem żywić tych, którym wszystkie moje dobra prawnie się należą." A potem król wydał rozkaz, aby kobieta przysłała na dwór królewski wszystkie swoje dzieci, które się nadal przy boku królewskim chować miały[1]).

Gdy Franciszek stawił się na audjencji u papieża, do którego został niebawem wezwany, opowiedział tę parabolę i zakończył swoje opowiadanie w sposób następujący: „Ojcze święty, jam jest tą ubogą kobietą, którą Bóg tak ukochał i w swojem miłosierdziu tak uczcił". Papież Inocenty słuchał ze zdziwieniem tego trubadura w szatach pokutnika. W życiu jego, tak bogatem w przeżycia, był to jednak wypadek zupełnie nowy. Umysł jego rozjaśniło światło prawdy; zrozumiał, że do odrodzenia świata potrzebny był właśnie duch trubadura w służbie Chrystusa. Uczuł dziwną sympatję do tego człowieka, którego zrazu szorstko odepchnął. Przypomniał mu się dawny sen, i zdawało mu się, że sprawdza się w obecnych okolicznościach. Oto pewnej nocy śniło mu się, że kościół św. Jana Lateraneńskiego, matka kościołów chrześcijańskich, miał się rozpaść w gruzy; lecz jakiś zakonnik małego wzrostu i wątłej postaci podtrzymywał budowę na swych barkach. Stało się dlań teraz jasne, że tym zakonnikiem był Franciszek[2]). To też bez najmniejszego wahania okazał mu swą dobrą wolę, udzielając słownej aprobaty dla reguły, którą mu przedłożono. Wtedy Franciszek przyrzekł posłuszeństwo papieżowi, poczem papież kazał braciom przyrzec posłuszeństwo Franciszkowi. W ten sposób rodzina franciszkańska została oficjalnie ustanowiona i przyjęta prowizorycznie do hierarchji kościelnej.

Jako przezorny mąż stanu, Inocenty wstrzymał udzielenie ostatecznej aprobaty do chwili, gdy nowe zgromadzenie przetrwa próbę czasu. Uznawszy braci, Inocenty dał pozwolenie nawoływania do pokuty. O dogmatach mówić im nie było wolno; ta materja należała do kaznodziejów, którzy studjowali teologję.

---

[1]) II, Celano, 13; *Tres. Soc.*, 50; *Leg. Maj.*, III, 10; *Anon. Perus.*

[2]) II, Celano, 17; *Tres. Soc.*, 51; *Leg. Maj.*, III, 10.

Ich misją było przemawianie do ludu w celach zachęcenia do życia chrześcijańskiego w miłości Boga i w bojaźni grzechu. „Idźcie z Bogiem, bracia — rzekł im — a skoro Bóg raczy was natchnąć, wzywajcie ludzi do skruchy. Gdy Bóg Wszechmocny pomnoży was w liczbę i w łaskę swoją, przybądźcie w radości do mnie, a wtedy dam wam więcej, niż dziś, i z większą pewnością udzielę wam większych przywilejów."

W dniu tym był na dworze papieskim człowiek, szczerze uradowany pomyślnem załatwieniem prośby braci. Kardynał Jan de Santo Paulo przez krótki czas pobytu braci w Rzymie nabrał dla nich szacunku i sympatji; zamierzał wziąć tych pokornych w swoją szczególną opiekę wobec dworu rzymskiego i stać się dla nich po Bogu prawdziwym ojcem[1]). Przed ich wyjazdem z Rzymu udzielił wszystkim małej tonsury[2]), oznaki stanu duchownego, co im dawało większą swobodę i powagę w nauczaniu ludu. W głębi duszy żywił on pragnienie pozyskania tych pokornych pokutników dla hierarchji kościelnej, gdyż chciał ich stawić za przykład innym duchownym i w celu odrodzenia stanu duchownego[3]).

Czytelnik pragnąłby może poznać tę regułę, zatwierdzoną przez Inocentego III, i wiedzieć, jak była pierwotnie zredagowana. Reguła bowiem braci mniejszych doznała wielu zmian, zanim uzyskała w r. 1223 uroczystą aprobatę Honorjusza III. Reguła ostateczna jest wynikiem wielu prób i doświadczeń, nabytych wskutek liczebnego rozwoju zakonu. Początkowo Franciszek nie przewidywał tej okoliczności. W tej regule ostatecznej wzniosły idealizm pierwotnego natchnienia zbladł nieco pod wpływem wymagań praktycznych. To samo dzieje się ze złotem; można go używać jedynie z przymieszką mniej szlachet-

---

[1]) *Tres. Soc.*, 48: *Volebat ex tunc sicut unus de fratribus reputari.*

[2]) *Fecit coronas parvulas fieri,* mówi św. Bonawentura (*Leg. Maj.*, III, 10). Tonsura zwana małą w odróżnieniu od wielkiej tonsury zakonnej. Do końca życia Franciszek nie chciał nosić wielkiej tonsury. Por. Celano, II, 193. Niektórzy twierdzą, że św. Franciszek otrzymał wtedy diakonat. Por. Wadding, *Ann. ad an.* 1210.

[3]) Podobną myśl miał kardynał Hugolino, gdy później zaproponował wybieranie biskupów z łona nowych zakonów franciszkańskich i dominikańskich. Por. *Spec. Perf.* (wyd. Sabatier, rozdz. 43).

nego metalu. Okazało się koniecznem połączyć z wzniosłym i bohaterskim duchem założyciela zakonu — pewną mądrość ziemską ze względu na tłumy, które wstępowały w ślady Franciszka, gdy pierwotny zapał utracił nieco swą płomienność. W ten jedynie sposób idealiści zapewniają sobie zwolenników, bez względu na to, czy należą do Kościoła, czy też znajdują się poza nim. Lecz ci, co kochają pamięć Franciszka, wracać będą zawsze do tych pierwszych dni powołania, zanim świat rzucił cień niepokoju na jego duszę, i wspominać je z taką serdeczną tkliwością, z jaką człowiek na schyłku życia wspomina lata młodości.

Niestety pergamin, na którym była spisana ta pierwotna reguła, nie dochował się do naszych czasów; następnie Franciszek uznał za potrzebne napisać ją powtórnie, dodając pewne szczegóły do pierwotnego tekstu. Obecnie, dla zaznajomienia się z regułą pierwotną, zatwierdzoną przez Inocentego za wstawiennictwem kardynała de Santo Paulo, należy wydzielić tekst pierwotny z pośród późniejszych dodatków, które doń przypisano w regule, zwanej Regula Prima, albo regułą z r. 1221. W obecnej formie reguła była zredagowana przez Franciszka przy pomocy brata Cezara ze Spiru w r. 1221. Jest to kompilacja reguły pierwotnej, dekretów kapituły i rozporządzeń papieskich[1]). W pracy niniejszej czytelnik znajdzie na innem miejscu rozbiór tej kompilacji z wyszczególnieniem różnych części, które się na nią składają. Obecnie wymieniamy ustępy, które bez wahania mogą być uznane jako należące do tekstu pierwotnego dokumentu. Istniały, być może, inne przepisy, ale niepodobna dziś ich odtworzyć. Doniosłość ich zresztą musiała być znacznie mniejsza, i reguła, którą podajemy, jest wiernem odbiciem życia pierwszych braci, jak je podaje historja. Żadnego szczegółu tego życia nie brak w regule — jedno jest wiernem zwierciadłem drugiego. Reguła pierwotna rozpoczynała się zwyczajem ściśle katolickim od inwokacji do Trójcy Świętej. Deklaracja wstępna zawierała przyrzeczenie posłuszeństwa papieżowi, poczem następowała reguła właściwa:

---

[1]) Nie należy mieszać reguły pierwotnej z r. 1221 z regułą z roku 1223, o której wspomniano wyżej.

Reguła i życie braci są następujące; a mianowicie: żyć w posłuszeństwie, czystości, ubóstwie, iść za nauką i śladami Pana naszego, Jezusa Chrystusa, który mówi: „Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj, co masz, i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie, a przyjdź, pójdź za mną[1]); a także: „Jeśli kto chce za mną iść, niech sam siebie zaprze, i weźmie krzyż swój, a naśladuje mnie“[2]); a także: „Jeśli kto idzie do mnie, a nie ma w nienawiści ojca swego i matki i żony i dzieci i braci i sióstr, jeszcze też i duszy swojej, nie może być uczniem moim[3]); i wszelki, którzyby opuścił dom, albo braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo syny, albo rolę dla imienia mego: tyle stokroć weźmie i żywot wieczny odzierży“[4]).

Jeśli z natchnienia Bożego ktokolwiek zapragnie tego życia i przybędzie do naszych braci, niechaj będzie przez nich życzliwie przyjęty. Poczem sprzeda wszystko, co posiada, i odda pieniądze ubogim. Wszyscy bracia będą odziani w odzież bardzo ubogą i z pomocą boską naprawiać ją będą płótnem i innemi szmatami, gdyż Pan nasz mówi w Ewangelji: „Oto, którzy są w szacie kosztownej i w rozkoszach, w domach królewskich są“[5]).

Nikt z braci nie będzie miał specjalnej władzy ani zwierzchnictwa nad innymi, bowiem Pan mówi w Ewangelji: „Książęta narodów panują nad nimi, a którzy więksi są, rozciągają władzę nad nimi. Nie tak będzie między wami, ale ktobykolwiek między wami chciał pierwszym być, będzie sługą waszym. Który jest większy z was, będzie sługą waszym[6]). Żaden z braci nie wyrządzi zła drugiemu, nie będzie mówił źle o nim; przeciwnie, niechaj przez miłość ducha bracia służą sobie wzajemnie i słuchają chętnie jedni drugich. Jest to prawdziwe i święte posłuszeństwo Pana naszego Jezusa Chrystusa.

---

[1]) Mat. XIX, 21.
[2]) Mat. XVI, 24.
[3]) Łuk. XIV, 26.
[4]) Mat. XIX, 29.
[5]) Łuk. VII, 25.
[6]) Mat. XX, 25—27; XXIII, 11.

Bracia, którzy umieją pracować, będą pracowali i uprawiali rzemiosło, które znają, jeśli to się nie będzie sprzeciwiało zbawieniu ich duszy i jeśli mogą uczciwie je uprawiać. Bowiem prorok mówi: „Pracę rąk twoich że pożywać będziesz, szczęśliwyś jest, i dobrze się mieć będziesz"[1]); a Apostoł mówi: „Jeśli kto nie chce robić, niech też nie je"[2]); „i każdy, w czem jest wezwan, bracia, w tem niech trwa przed Bogiem"[3]). Za pracę bracia ci przyjmować będą wszystko, co jest pożyteczne, za wyjątkiem pieniędzy. A jeśli to będzie potrzebne, mogą iść prosić o jałmużnę, jak inni bracia.

Niech wszyscy bracia usiłują naśladować w pokorze i ubóstwie Pana naszego Jezusa Chrystusa i niechaj pamiętają, że przystoi im nie posiadać nic na świecie, prócz tego, co wskazuje Apostoł: „Mając żywność i czem się odziać, na tem poprzestawajmy"[4]). I winni się radować, gdy się znajdą z prostaczkami i ludźmi pogardzonymi, z ubogimi i ze słabymi, i z chorymi, i z trędowatymi, i z tymi co żebrzą po drogach. A jeśli to się okaże potrzebnem, będą żebrali.

A wszyscy bracia będą się wystrzegali, aby nikogo nie oczerniać; niech pomiędzy sobą nie spierają się słowy[5]); zachowają raczej milczenie, ilekroć Pan da im tę łaskę. Nie będą się sprzeczali między sobą ani z innymi, lecz będą odpowiadali pokornie: „Słudzy nieużyteczni jesteśmy"[6]).

Gdy bracia będą szli w świat, nie zabiorą ze sobą nic w drogę, ani sakiewki, ani torby, ani chleba, ani pieniędzy, ani laski. Gdy wnijdą do jakiegokolwiek domu, niechaj powiedzą przedewszystkiem: „Pokój temu domowi". A pozostając w tym domu, będą jedli i pili to, co im dadzą[7]). Niech się nie sprzeci-

[1]) Psalm CXXVII, 2.
[2]) 2, Tess. III, 10.
[3]) I, Kor. VII, 24.
[4]) I, Tymot. VI, 8.
[5]) Por. 2, Tymot. II, 14.
[6]) Łuk. XVII, 10.
[7]) Łuk. IX, 3; X, 4—8.

wiają złu[1]); ale jeśli ktoś ich uderzy w jeden policzek, niechaj nadstawią drugi. Jeśli ktokolwiek zabierze im odzież, niech nie odbierają mu nawet tuniki. Powinni dawać każdemu, kto ich poprosi o jałmużnę; jeśli im zabiorą to, co posiadają, niech nie upominają się.

Niechaj wszyscy bracia będą katolikami, niech żyją i mówią jak katolicy. Ale jeśli ktokolwiek z nich sprzeniewierzy się wierze lub życiu katolickiemu słowem lub uczynkiem, a nie odwoła tego, niech będzie wypędzony z naszego bractwa. Uważajmy kapłanów i zakonników jako naszych zwierzchników we wszystkiem, co dotyczy zbawienia duszy, i nie oddalajmy się od naszej religji[2]). Szanujmy wobec Boga ich zakon, ich urząd, ich powołanie.

Niech wszyscy moi bracia głoszą wraz z błogosławieństwem te nauki, te pochwały i inne rzeczy podobne, ilekroć im się będzie to podobało i wobec jakichkolwiek słuchaczy: „Lękajcie się i cześć oddawajcie, chwalcie i błogosławcie, czyńcie dziękczynienie i wielbijcie Pana Boga Wszechmogącego w Trójcy Jedynego, Ojca, Syna i Ducha Świętego, Stworzyciela wszystkiego. Czyńcie pokutę[3]), wydawajcie owoce godne pokuty[4]), wiedzcie bowiem, że wszyscy rychło pomrzecie. Dawajcie, a będzie wam dano[5]), odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczono[6]). Jeśli nie odpuścicie grzechów ludziom, Pan nie odpuści wam grzechów waszych[7]). Spowiadajcie się z grzechów waszych[8]). Błogosławieni ci, którzy pomrą, pokutę czyniąc, gdyż wejdą do królestwa niebieskiego. Biada tym, co nie pomrą w pokucie, będą dziećmi djabła, którego dzieła czynią[9]), i pójdą w ogień wieczny. Strzeżcie się i unikajcie wszystkiego złego, a trwajcie w dobrem do końca.

---

[1]) Mat. V, 39.
[2]) Wyraz „religia“ oznacza tu regułę zakonu.
[3]) Mat. III, 2.
[4]) Łuk. III, 8.
[5]) Łuk. VI, 38.
[6]) Łuk. VI, 37.
[7]) Marek, XI, 26.
[8]) Jakób, V, 16.
[9]) Jan. VIII, 44.

Potem następowało krótkie upomnienie dla braci, aby dochowali i strzegli tych słów wiernie. Reguła kończyła się następującą doksologją: „Chwała Ojcu, Synowi i Duchowi Świętemu, jak była na początku, tak teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen."

Teraz może czytelnik zrozumie lepiej i podzieli niepewność prałatów, którzy słuchali tej reguły, jako statutu nowego zgromadzenia. Aby jednak pojąć należycie ich wahanie i opór, trzeba sobie uprzytomnić, kim byli ci ludzie, żądający zatwierdzenia reguły, z której chcieli uczynić prawidło swego życia. Nie byli to wytrawni badacze prawa, którzyby potrafili interpretować i stosować do słabości ludzkiej proste i surowe bohaterstwo przepisów ewangelicznych; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa rozumieli je oni w sensie dosłownym, bez komentarzy. Dowiedli, do czego są zdolni, gdy, wyrzekając się wszystkiego, co posiadali, stali się żebrakami. Tytuły i zaszczyty dla nich nie istniały, odmawiali przyjmowania wszelkiej władzy. W wielu okolicznościach godzili się bez skargi na krzywdy, które im chciano wyrządzić. Otóż, według jednogłośnej opinji, niemożliwe było całkowite stosowanie takich zasad. A na nich właśnie Franciszek chciał założyć nowy zakon.

Dziewięćset dziewięćdziesiąt osób na tysiąc byłoby się zawahało przed zatwierdzeniem podobnego projektu. Inna rzecz bowiem stanowić prawa bohaterskie, które są raczej radami, przeznaczonemi ku osiągnięciu doskonałości osobistej, inna zaś — zmuszać mocą władzy liczną grupę ludzi do przestrzegania bezwzględnej doskonałości. A zdawało się, że tego właśnie żądał Franciszek. Politycy, ludzie interesu, niełatwo godzą się na środki ostateczne, leżące poza utartemi drogami; odrzucają oni również metody, zamykające wszelki odwrót. Podobne metody i środki przystoją jedynie poetom, prorokom i innym idealistom, lub też mistykom i świętym.

Szczęściem dla Franciszka poetą i świętym był świątobliwy kardynał St. Paulo; co więcej, zarówno papież Inocenty jak i wielu jego doradców byli to ludzie, u których pierwiastek mistyczny i religijny łączył się z wytrawnością polityczną.

Reguła pierwotna stanowiła w rezultacie program nowego zgoła życia duchowego. Papież zatwierdził ją dlatego, by dać sposobność wykazania jej wykonalności w praktyce. Ale sam Inocenty był zwolennikiem śmiałych poczynań, gdy szło o wiarę, którą żywił w sercu; przekonali się o tem jego następcy, gdy stanęli u steru pozostawionego im przezeń dziedzictwa, aby nawę Kościoła prowadzić bezpiecznie wśród mielizn świeckiej dyplomacji. Ten najwyższy kapłan surowy, wyniosły i wspaniały, poczuł może, iż pomiędzy nim a słodkim i pokornym Franciszkiem z Asyżu istnieje jakiś węzeł duchowego pokrewieństwa. Obaj byli obdarzeni duchem wiary posuniętej aż do zuchwalstwa.

KSIĘGA DRUGA.

ROZDZIAŁ I.

Rivo-Torto.

Po audjencji u papieża Franciszek i jego towarzysze opuścili Rzym, ożywieni jedną tylko myślą: okazać się godnymi zaufania papieża. Łaskawość jego dodała im odwagi i zrodziła zapał w sercach: doznawali radości żołnierza, który otrzymał pierwszy rozkaz.

Przed opuszczeniem miasta udali się do grobu ŚŚ. Apostołów, następnie puścili się w drogę do Umbrji. Zamiast jednak przejść przez dolinę Rieti, skierowali się wzdłuż równin, ciągnących się nad Tybrem aż do doliny Nery. Idąc, rozmawiali o wypadkach dni ubiegłych, o miłosierdziu bożem, którego doznali, o regule, której obowiązali się przestrzegać. Przemyśliwali nad najlepszym sposobem wypełnienia misji, powierzonej im przez Chrystusa i jego namiestnika.

Szli od świtu; znużenie i głód dawały im się srodze we znaki: miejscowość, w której się znajdowali, była pustynna, to też zadawali sobie pytanie, jak zdobyć pożywienie na tem bezludziu, gdy nagle ukazał się człowiek, niosący kilka bochenków chleba; chlebem tym chętnie podzielił się z braćmi. W ten sposób posileni, upatrywali w zjawieniu się owego nieznajomego nowy dowód, że Bóg będzie im zawsze pomagał w potrzebie[1]). Doszli wreszcie do Orte, gdzie Nera wpada do Tybru. W nieznacznej odległości od miasta znaleźli miejsce, tchnące niezmąconym spokojem. Był to starożytny cmentarz etruski. Groby, teraz puste, tworzyły pieczary, w których można było znaleźć schronienie; bracia postanowili schronić się tam czasowo, aby się oddać modlitwie i rozmyślaniu. W chwili, gdy zostali jak-

---

[1]) I, Celano, 34; *Leg. Maj.*, IV, I.

gdyby powtórnie powołani, uczuli potrzebę zaczerpnięcia sił duchowych w zjednoczeniu z Bogiem.

Zatrzymali się tam około dwóch tygodni: codziennie jeden z nich szedł do miasta i żebrał o pożywienie. Po każdym posiłku dawali przechodzącym ubogim resztki jedzenia, albo też składali je w jakimś grobowcu na dzień następny. Po piętnastu dniach postanowili udać się w dalszą drogę. W ciągu tego okresu odosobnienia nawiedziła ich bardzo zdradliwa pokusa. Oto pociągał ich szczególny urok samotności: rozkoszowali się nią tak, że przyszło im na myśl, czy nie wypełniliby lepiej swego powołania, gdyby zamieszkali zdala od ludzi, oddając się modlitwie i kontemplacji. Franciszek odczuwał najsilniej urok samotności. Lecz gdy trwał na modlitwie, rozmyślając o tej sprawie, nabrał przekonania, że obierając ten sposób życia, sprzeniewierzyłby się swemu prawdziwemu powołaniu. Ubogi rycerz Chrystusowy nie powinien mieć mieszkania na ziemi; zadaniem jego było błądzić po świecie, aby zdobywać dusze dla Jezusa. To też zwinięto obóz[1]). Mała gromadka poszła wzdłuż burzliwego biegu Nery i przez zalesioną nizinę, wiodącą ku dolinie Spoleto, skierowała się w stronę Asyżu.

Tym razem bracia nie zamieszkali w Porcjunkuli; możliwe że nie mogli się teraz pomieścić w szczupłem schronieniu, zbudowanem przez Franciszka. Była potemu i inna przyczyna. Nauczony doświadczeniem na pustyni w Orte, Franciszek lękał się wystawiać braci na pokusę i nie chciał obrać stałego miejsca zamieszkania. Jakkolwiek było, bracia za powrotem swoim schronili się w napół rozwalonej szopie w Rivo-Torto[2]), miejscowości leżącej o pół godziny drogi od miasta w kierunku Cannarra. W pobliżu znajdowała się osada trędowatych św. Marji Magdaleny. Leżała ona mniej więcej na połowie drogi pomiędzy miastem a Porcjunkulą[3]).

---

[1]) I Celano, 34-5.

[2]) „Quoddam tugurium ab hominibus derelictum", czytamy w *Tres. Soc.*, str. 55.

[3]) Położenie schronienia w Rivo-Torto było przedmiotem licznych sporów. W XVI w. na miejscu, gdzie się ono przypuszczalnie znajdowało, wybudowano kościół; istnieje on jeszcze obecnie, a jego dozorcy nie mają żadnych wątpliwości co do autentyczności jego po-

Schronienie to jednak nie było zbudowane dla pomieszczenia dwunastu ludzi, było ono bardzo szczupłe. Bracia, wiedzeni wzajemnem przywiązaniem i dbałością o wygody towarzyszów, przebywali chętnie na powietrzu, aby dać więcej swobody tym, co się znajdowali wewnątrz. Franciszek postanowił naznaczyć kredą na ścianie miejsce, gdzie każdy po ukończeniu pracy dziennej mógł oddać się modlitwie.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa mała gromadka przebyła w Rivo-Torto większą część zimy, a nawet dłużej. Brak wygód fizycznych dawał im się niekiedy dotkliwie we znaki, nietylko ze względu na ciasnotę pomieszczenia, ale i na brak żywności, choć przywykli obecnie poprzestawać na małem; niekiedy byli zmuszeni zaspokajać głód burakami, pokarmem zwierząt[1]).

W owym czasie nie przedsiębrali, jak się zdaje, dłuższych podróży misyjnych. Być może, iż Franciszek uważał za potrzebne, aby jego mała gromadka poczyniła dalsze postępy na drodze ćwiczenia się w ubóstwie, które ślubowała, w pracy ręcznej, w pielęgnowaniu trędowatych, w karności wewnętrznej i modlitwie[2]). Istniała zresztą w owej epoce przeszkoda prawie nie do pokonania, uniemożliwiająca misje na szerszą skalę. W Umbrji, szarpanej nieustannemi zamieszkami politycznemi, panował zupełny chaos. Cesarz Otton IV, ukoronowany

---

chodzenia. M. Sabatier (*Spec. Perfect.*, str. 95, n. I) twierdzi, że szopa znajdowała się w pobliżu szpitala dla trędowatych pod wezwaniem św. Marji Magdaleny. Twierdzenie swoje opiera na słowach Bartholiego, który opisuje to schronisko jako *„ultra Sanctam Mariam (i. e. de Portiuncula), per spatium parvis miliaris juxta hospitale leprosorum"*. Ale opinja Bartholiego nie może być uważana za miarodajną. Niemniej jednak, wedle *Tres. Soc.*, 55: *„reliquerunt igitur dictum tugurium ad usum pauperum leprosorum"*. Jest prawdopodobne, że schronisko leżało bliżej szpitala trędowatych niż obecna kaplica w Rivo-Torto. Pragnąłbym, aby kaplice Św. Marji Magdaleny i Św. Rufina były otaczane większem niż dotychczas staraniem i poszanowaniem. Niema w całej okolicy miejsca, w któremby wspomnienia o Franciszku były liczniejsze i żywsze, niż tu, gdzie tak często pielęgnował trędowatych. Czy możemy się spodziewać, że w przyszłości będą one otoczone staranniejszą opieką?

[1]) *Tres. Soc.*, 55.

[2]) I Celano, 45.

w poprzednim roku przez papieża, złamał przysięgę wierności Stolicy Apostolskiej. Jego wojska, rozproszone w dolinie Spoleto, rabowały na terytorjum Perugji; cała Umbrja jęczała pod jarzmem cesarskiem. W tych warunkach niedoświadczeni misjonarze popełniliby wielką nieostrożność, gdyby próbowali nauczać. Z początkiem roku Otton nadał księstwo Spoleto jednemu ze swych wodzów, Dipoldowi Acerra. Księstwo to nie miało władcy od czasu wypędzenia Konrada z Lutzen. Gdy 28 lutego Perugja zobowiązała się bronić dziedzictwa św. Piotra. Otton wypuścił niezwłocznie swoje bandy na Umbrję. Miał nadzieję, że w ten sposób zagarnie miasta tego kraju pod swoje panowanie; to też w ciągu całego roku nieszczęsna Umbrja nie zaznała spokoju. W jesieni Otton wyruszył przeciwko Rieti. W owym prawdopodobnie momencie Franciszek wysłał jednego z braci naprzeciw cesarza, aby oznajmił tyranowi, że koniec jego panowania jest bliski[1]). To też w czasie pobytu w Rivo-Torto bracia pełnili swoje misjonarskie obowiązki, nauczając przechodniów albo lud, wśród którego pracowali.

Franciszek czynił więcej. Po powrocie z Rzymu zaczął kazać na placach publicznych i w kościołach. Pierwszym kościołem, w którym głosił słowo Boże, był mały kościół św. Jerzego[2]), ten sam, w którym Bernard da Quintavalle rozdał swoje mienie ubogim. Wkrótce potem kanonicy katedralni zaprosili go, by miewał kazania co niedzielę w katedrze[3]). Kazania te od-

---

[1]) I Celano, 43, gdzie jednakowoż kronikarz daje do zrozumienia, jak się zdaje, iż wypadek ten zaszedł w czasie, gdy Otton jechał do Rzymu na koronację *(ad suscipiendam coronam)*. Otton prawdopodobnie w drodze do Rzymu nie przejeżdżał przez Asyż, lecz przez Viterbo. (Por. F. Boehmer, *Regesta imperii*, str. 96). Po koronacji jednak Otton przejeżdżał przez Asyż w grudniu 1209 r., a także w drodze do Rieti w r. 1210. Był on w Rieti w listopadzie tego roku i był ekskomunikowany przez papieża. (Por. Boehmer, ibid., str. 103 i 126-67). Gregorius, *Hist. of the City of Rome* (przekł. ang.), Tom V, część I, str. 88—93. Nie jest nieprawdopodobne, że właśnie haniebne rabunki, jakich dopuszczał się Otton na ziemiach papieskich, ściągnęły nań prorocze ostrzeżenie Franciszka.

[2]) *Chron. Jordani*, No. 50 *(Anal. Franc.*, I, str. 16); *Leg. Maj.*, IV, 4.

[3]) *Leg. Maj.*, IV, 4.

bywały się wczesnym rankiem, gdy lud włoski tłoczy się najtłumniej do kościoła na mszę. Franciszek, być może, aby skupić się bardziej, przybywał do Asyżu w sobotę wieczorem i spędzał noc w domu, położonym w ogrodzie kapituły i sąsiadującym z katedrą. Zażywał tam krótkiego spoczynku, poczem wstawał i przygotowywał się do kazania długotrwałą modlitwą[1]).

Trudno opisać wrażenie, jakie wywoływało ukazanie się Franciszka na ambonie. Aby sobie dobrze odtworzyć tę scenę, trzeba widzieć tłum włoski, zawisły oczyma na ustach ulubionego kaznodziei. Jest to lud niesłychanie wrażliwy, skłonny zarówno do łez jak do śmiechu, do drwin jak do oklasków. Odczuwa nieomylnie brak szczerości u mówcy, gardzi wszystkiem, co wymuszone. Ażeby go przekonać, trzeba mu przemówić do serca; lubuje się on w przemówieniach, pełnych dramatyczności, z żywą gestykulacją. Słucha dopiero wtedy, gdy mówca przemawia całym sobą, ciałem i duszą. Gdy się wzruszy, odpowiada całkiem po ludzku: chwali lub gani bądź słowami, bądź gestem, lub wyrazem twarzy.

Franciszek był typowym Włochem z temperamentu i charakteru. Pod wpływem silnego wzruszenia w całej jego istocie ujawniało się doznawane uczucie. Nieświadomie bez wysiłku tłumaczył swoje myśli ruchami. Słowa jego tchnęły zapałem, gorejącym w sercu; ramionami, rękoma, nogami, całem ciałem podkreślał treść tego, co mówił[2]). Posiadał w stopniu najwyższym cechę właściwą mówcy, który ma dar wzruszania ludzi: głos harmonijny, podatny do modulacji, naginający się w brzmieniu do charakteru wyrażanych uczuć[3]). Wątła postać, niezwykłe wychudzenie czyniły go niepozornym; wrodzona subtelność rysów niknęła przy grubej i prostaczej odzieży: ona to przedewszystkiem rzucała się w oczy[4]). Ale skoro usta otworzył, zapominało się o jego wyglądzie: wewnętrzny ogień ducha płonął w jego słowach i olśniewał blaskiem prawdy umysły słuchaczy.

---

[1]) Obecnie jeszcze zwiedzający Duomo w Asyżu mogą oglądać pokój, w którym mieszkał Franciszek.

[2]) Por. I, Celano, 73—86; II, Celano, 107.

[3]) *Vox vehemens, dulcis, clara atque sonora.* I, Celano, 83.

[4]) Patrz list Tomasza Spalatro.

Nie uczył się retoryki; mówił prosto, z przepełnionego serca, językiem jędrnym, zwięzłym i mocnym. Mówił, jak mówi lud, nieuczonemi słowy. Często prostota mowy podnosiła jedynie szczerość mówcy, niekiedy zaś ożywiała ją dramatyczna obrazowość myśli lub też gorące odczucie piękna przyrody, cechujące jego pełną poezji duszę. Zdarzało się nieraz, że gdy po kazaniu usiłowano przypomnieć sobie jego słowa, przekonywano się, że były one blade i pospolite, gdy brakło im ognia, z jakim były wypowiedziane. Moc Franciszka tkwiła w nim samym, a nie w jego słowach. Nie porywał nowością nauki; był jako płomień, który podsyca gasnącą wiarę słuchaczy: na chwilę unosił ich w jasność niebieską, gdzie mogli przejrzeć własną duszę, gdzie serce ogarniało nadprzyrodzone pragnienie wyższego życia. W takich chwilach „zdawało się tym, co nań patrzyli, że jest człowiekiem z innego świata. Serce jego tkwiło w niebiosach, oczy zwracały się wzwyż; chciał cały świat porwać w górę za sobą"[1]). Roztrząsał nieubłaganie sumienia swych słuchaczy; ale w głosie jego drgało tak żywe współczucie, iż wyznaniu prawdy nie towarzyszyło żadne uczucie goryczy. Ci, co słuchali jego nauk, doznawali uczucia, że znaleźli się nagle przed obliczem Boga.

Przykład sposobu, w jaki kazał, znajdujemy w listach i naukach pobożnych, które miał zwyczaj pisać do ludu za pośrednictwem braci, gdy choroba zatrzymywała go w domu. Możemy go więc sobie wyobrazić, jak stoi przed tłumem w katedrze asyskiej, cały drżący ze wzruszenia, z twarzą nacechowaną powagą, i przemawia w takie mniej więcej słowa: „Nie powinniśmy być mądrzy i przezorni według ciała, lecz raczej prości, pokorni i czyści. Powinniśmy poniżać nasze ciało, mieć dla niego tylko pogardę, wszyscy bowiem przez własną winę jesteśmi nędzni i zepsuci. Jesteśmy jak zgniłe owoce i robaki ziemne, wedle słów, które Pan wypowiada przez swego proroka: „Jam jest robak a nie człowiek; pośmiewisko ludzkie i wzgarda pospólstwa"[2]). „Nie powinniśmy nigdy pragnąć, aby się wynieść ponad innych, lecz przeciwnie, win-

---

[1]) *Leg. Maj.*, IV. Por. II, Celano, 107.

[2]) Psalm XXI, 7 (Vulgata).

niśmy dla miłości Boga służyć i podlegać wszelkiemu stworzeniu ludzkiemu. Duch Pański spocznie na tych, co tak postępować będą. Uczyni w nich swe mieszkanie i staną się dziećmi naszego Ojca Niebieskiego, którego dzieła czynią; i staną się oblubienicami, braćmi i matkami naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Jesteśmy Jego oblubienicami, gdy wierna dusza jednoczy się z Jezusem Chrystusem przez Ducha Świętego. Jesteśmy Jego braćmi, czyniąc wolę Ojca Jego, który jest w niebiesiech. Jesteśmy Jego matkami, gdy nosimy Go w naszem sercu i ciele przez miłość i czyste oraz szczere sumienie, a wydajemy Go na świat w świętych czynach, które winny jaśnieć jako przykład dla innych. O jakże chwalebną, jakże świętą, jakże wielką rzeczą jest mieć Ojca w niebie! O jakże świętą, jakże piękną, jakże słodką rzeczą jest mieć oblubieńca w niebie! O, jakże świętą i cudowną jest rzeczą, jaką radością i pokorą, jakim spokojem i słodyczą, jaką radością i utęsknieniem przejmować nas winna myśl, że mamy Brata, który oddał życie za swoje owieczki i modli się za nas do Ojca, mówiąc: „Ojcze święty, zachowaj w imię moje tych, których mi dałeś!"

Albo też maluje szaleństwo skąpstwa i lichwiarstwa, zła które stanowi źródło tylu niechęci i rozgoryczeń, które wykopuje przepaść pomiędzy klasami społecznemi, pomiędzy rodzinami. Te rany społeczne powodowały istotnie częste walki, w których znajdowała ujście nienawiść i zawziętość.

„Otwórzcie oczy, o zaślepieńcy, wy, których zwiedli wasi nieprzyjaciele, ciało, świat i szatan. Ani w tem ani w przyszłem życiu nic dobrego nie zaznacie. Myślicie, że użyjecie marności tego świata, ale się zawiedziecie; gdyż nadchodzi dzień i godzina, o której nie myślicie, której nie znacie i nie spodziewacie się. Ciało słabnie, śmierć się zbliża. Krewni i przyjaciele przybywają i mówią wam: „Uporządkuj swoje sprawy..." A żona i dzieci jego, krewni i przyjaciele udają, że płaczą. Widzi on ich łzy, i ulegając złemu natchnieniu, patrzy na nich i po chytrej rozwadze mówi: „Składam w wasze ręce moje ciało i duszę i wszystko, co posiadam". Zaprawdę, przeklęty jest ten człowiek, który w takie ręce składa z ufnością swoją duszę i ciało i wszystko, co posiada. Czyż bowiem nie rzekł Pan przez usta proroka: „Biada człowiekowi, który w człowieku ufność po-

kłada?" Wtedy czem prędzej sprowadzają kapłana, a ten mówi mu: „Czy chcesz otrzymać przebaczenie wszystkich grzechów?" A ten odpowiada: „Chcę". „Czy chcesz — pyta dalej ksiądz — wynagrodzić z majątku swego wszystkie oszustwa i krzywdy, jakich się dopuściłeś?" — „Nie" — mówi umierający. — „Czemu?" — zapytuje kapłan. — „Bowiem — rzecze ten — oddałem już całe swoje mienie krewnym i przyjaciołom." W owej chwili poczyna tracić mowę i umiera najgorszą śmiercią[1]).

Po wysłuchaniu tego dramatycznego przedstawienia śmierci lichwiarza lub nieuczciwego kupca, niejeden ze słuchaczy wracał do domu wewnętrznie przemieniony. Bardzo częste po takich kazaniach były wypadki szczerych nawróceń; źle nabyte dobra rozdawano ubogim. Zdarzało się nawet, że liczni kupcy porzucali ten niebezpieczny zawód, obierając pracę mniej dla duszy ryzykowną, jak np. rolnictwo[2]).

We wszystkich kazaniach Franciszek nie omieszkał nigdy przedstawić swym współobywatelom dobrodziejstw pokoju i wzajemnej miłości. Piętnował on surowo nienawiść i zazdrość, które wprowadzały w życie stały ferment. Gromił ambicję szlachty i mieszczan, ich nadmierną żądzę władzy, która wywoływała zawiść mniej możnych obywateli. We wszystkich zresztą małych republikach włoskich działo się to samo. Gdy tylko wyzwoliły się z pod obcego jarzma, możni panowie zagarnęli samowolnie władzę i poczęli uciskać klasy uboższe.

---

[1]) Oba te ustępy są wyjęte z *Epistola I (Opuscula,* Wyd. Quaracchi str. 93, 94, 96, 97). Według Wadding'a list ten był napisany w r. 1212 lub 1213; inni sądzą, że datuje on z wiosny r. 1215, gdy Franciszek chorował na febrę. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że streszcza naukę jego apostolstwa. Jak wiemy, Franciszek nie wahał się powtarzać tych samych nauk. Ustępy z tego listu zostały wyjęte z *Regula Prima*, rozdz. XXII. Por. Fr. Paschal Robinson: *„The Wrightings of St. Francis"*, str. 96—97.

[2]) Póżniej zdarzało się to często wśród tercjarzy lub świeckich uczniów św. Franciszka. Było to zapewne zalecane przez Franciszka tym, co się do niego po radę zwracali. Nie szczędził nigdy skąpstwa, które wynikało z ożywionego ruchu handlowego w jego czasach. Dlatego też nalegał, aby jego uczniowie rozdawali swoje mienie ubogim, nie zaś krewnym, sądził bowiem, że pieniądz, zdobyty na krzywdzie, może być oczyszczony jedynie przez obrócenie go na jałmużnę.

Stronnictwa walczyły ze stronnictwami, dobro publiczne schodziło na plan ostatni dopóty, dopóki Niemcy nie zagrozili znowu niezależności miasta. W tych walkach bratobójczych krew płynęła często. Franciszek bez wytchnienia powtarzał swoje hasło: „Pokój!“ Gdy przedstawiał, jak chwalebną ze stanowiska chrześcijańskiego rzeczą jest oddawanie usług, dobrowolne przyjęcie wzajemnej zależności, słuchacze wiedzieli nieomylnie, że ma on na myśli zatargi polityczne. Energiczne i stałe napomnienia kaznodziei osiągnęły ostatecznie skutek, jakkolwiek trudno było zerwać z głęboko zakorzenionym zwyczajem, który pobudzał tych i owych do popierania własnych interesów i ambitnych planów, lub też interesów i planów krewnych i rodziny. Odtąd dawne hasła, tchnące nienawiścią i pychą, rozlegać się poczęły nie tak głośno i zuchwale.

Niedzielne kazania w katedrze, poparte przykładem życia, jakie w Rivo-Torto prowadzili bracia, poruszyły sumienie asyżan. Nie ulega żadnej wątpliwości, że miasto zaczynało uznawać w swym synu proroka i ulegać jego dobroczynnemu wpływowi.

Na początku zimy 1210—1211 roku zdarzył się wypadek, w którym historycy widzą dowód wpływu Franciszka. 9 listopada obywatele Asyżu zebrali się w celu podpisania traktatu jedności i zgody. Na mocy tego traktatu obywatele pierwszej klasy, czyli Majores, i Minores, którzy stanowili klasę niższą, zobowiązali się uroczyście, że będą pracowali zgodnie dla dobra i chwały Asyżu. Każde stronnictwo przyrzekło, że nie zawrze przymierza ani z papieżem, ani z cesarzem lub królem, ani z żadnem miastem bez zgody wszystkich obywateli. Poza tem zobowiązali się, że będą szanowali wzajemnie swoje prawa i żyć będą nadal w doskonałej harmonji. Postanowiono zapewnić powrót wygnańcom i dać mieszkańcom terytorjum Asyżu te same prawa, z jakich korzystali mieszkańcy właściwego miasta. Szlachta zgadzała się zrezygnować z swych pretensyj feudalnych; ustalono wysokość podatków, których odtąd nie wolno było arbitralnie rozkładać z czyjąkolwiek krzywdą. W ten sposób miał zapanować pokój[1]).

[1]) A. Cristofani, op. cit., str. 79-82.

Bardzo możliwe, że obecność band cesarskich pod bramami Asyżu wywarła pewien nacisk na zawarcie tego paktu przyjaźni, przynajmniej w stosunku do tych, którzy pozostali głusi na słowa Franciszka; tem niemniej słusznie wnioskują ci, co upatrują związek pomiędzy tym traktatem a kazaniami Franciszka.

Franciszek zaś przygotowywał tymczasem swoich uczniów w Rivo-Torto do udziału w apostolacie, który rozpoczął; praca w mieście nie odrywała go od tkliwej pieczy, jaką otaczał ludzi, którzy porzucili wszystko, aby iść za nim. Jakeśmy już powiedzieli, bracia byli nieraz w wielkim kłopocie, aby zaspokoić swoje najkonieczniejsze potrzeby. Nie osłabiało to jednak ich odwagi. Ogarnięci zapałem, wyrzekali się dobrowolnie wielu rzeczy, aby przywyknąć do poprzestawania na najmniejszem: mieli bowiem przekonanie, że nie są prawdziwie ubodzy, jeśli prosili bliźnich o więcej, niż im było koniecznie potrzeba. Uważali za nadużycie i okradanie ubogich, jeśli dostawali coś ponad to, co niezbędne. Franciszek musiał niejednokrotnie powściągać ich nadmierną w tym względzie gorliwość. Pewnej nocy małą gromadkę zbudziły krzyki jednego młodego brata, który myślał, że umiera. Franciszek wstał i przekonał się, że cierpienie wynikło poprostu z braku pożywienia. Zebrał więc wszelkie produkty, jakie były pod ręką, i sam przygotował mu posiłek. Potem, siadając przy zgłodniałym bracie, jadł z nim razem, aby mu oszczędzić wstydu. Gdy się posilili, Franciszek powiedział zgromadzonym braciom, co myśli o tym wypadku: „Moi najmilsi, mówię wam, że każdy z was musi zaspokajać swoje potrzeby zależnie od swej natury. Są dość silni, którzy mogą żyć, jedząc mniej niż inni. Moją wolą jednak jest, aby ten kto potrzebuje więcej pożywienia, nie naśladował koniecznie tych, co mniej potrzebują; niech każdy da swemu ciału to, czego ono wymaga, aby mogło służyć duchowi. Winniśmy powstrzymać się od wszelkiego nadużycia w jedzeniu i piciu, byłoby to ze szkodą dla ciała i dla duszy; ale należy także bardziej nawet jeszcze unikać zbyt surowej wstrzemięźliwości, ponieważ Pan żąda miłosierdzia, nie ofiary[1]).

---

[1]) II, Celano, 22; *Spec. Perfect.*, rozdz. 27; *Leg. Maj.*, V, 7; patrz również *Eccleston: De adventu FF. Min.* (wyd. Little), t. XV, str. 106,

Innym razem, zauważywszy, że jeden z braci jest niezdrów, Franciszek wstał wczesnym rankiem, zaprowadził go do sąsiedniej winnicy. Tam wyszukał szczep okryty owocem, usiadł przy nim wraz z bratem i poczęli razem jeść winogrona[1]). Długi czas potem bracia opowiadali chętnie te fakty młodemu pokoleniu, ażeby dać pojęcie, jakim człowiekiem był Franciszek.

Nic może w owym pierwszym okresie nie wywierało większego wrażenia na umysły zgromadzenia, jak ciągła troska Franciszka o braci, pieczołowitość macierzyńska niemal, z jaką odgadywał ich potrzeby. Był jakby duszą ich własną. Pojmował i czuł ich pokusy, rozumiał trudności te lepiej niemal niż oni sami, a słowo jego zawsze niosło pociechę.

Najbardziej pospolite troski nie uchodziły jego bacznej uwagi. Znał doskonale z własnego doświadczenia, jakie przeszkody napotyka na początku człowiek, który idzie wąską drogą, powołany głosem z góry. Znał on radość i smutek, podniosłą nadzieję i przygnębiające zniechęcenia, które znaczą pierwszy okres życia duchowego i czynią zeń okres szczęścia i cierpienia.

Z drugiej strony bracia nie posiadali jeszcze wewnętrznego spokoju, jaki jednostka czerpie z ustalonego porządku rzeczy. Bractwo zdobywało dopiero świadomość zbiorową; w schronieniu w Rivo-Torto bracia nie mieli uczucia ustalenia się; przeciwnie w Porcjunkuli uczucie to rozwinęło się następnie bardzo szybko. Jedynym łącznikiem między braćmi był Franciszek. To też byli do niego przywiązani, jak dzieci do matki w poczuciu ślepej, instynktowej ufności. Był on ich wyrocznią i prawem, rękojmią, że Bóg jest z nimi. W tej wierze częstokroć czerpali siłę, której bardzo im było potrzeba w tych dniach krytycznych, gdy wstępowali chwiejną stopą na twardą drogę życia duchowego. Jak silnie przeświadczenie to tkwiło w ich duszy, dowodzi niżej opowiedziane zdarzenie.

Stosownie do zwyczaju Franciszek udał się pewnego sobotniego wieczoru do katedry w Asyżu, aby przygotować kazanie na niedzielę. Tymczasem w Rivo-Torto jedni bracia pogrążeni

---

gdzie czytamy, jak Franciszek zmusił Alberta z Pizy do spożycia dwa razy większej ilości pokarmu niż zazwyczaj.

[1]) II, Celano, 176; *Spec. Perfect.*, rozdz. 28.

byli we śnie, inni zaś czuwali. Nagle zerwali się wszyscy i oczom ich ukazał się wóz ognisty, który krążył po ich schronieniu. Ponad wozem unosiła się kula ognista przedziwnej jasności. W tej samej chwili dusze ich rozjaśniło światło nadprzyrodzone, i sumienie każdego z braci stało się widnem dla wszystkich. Bracia zgromadzili się, usiłując wytłumaczyć ten cud: doszli do wniosku, że za pośrednictwem tego wozu ognistego i kuli jaśniejącej duch Franciszka dał im poznać swą nieustanną pośród nich obecność. Utwierdził ich w tem przekonaniu fakt, że za powrotem swym nazajutrz Franciszek wiedział już o tem, co zaszło w nocy[1]). Przenikliwa miłość Franciszka, ujawniająca się zarówno w kazaniach do ludu, jak i w kształtowaniu wewnętrznem młodej społeczności zakonnej, podobna była do Ducha, unoszącego się nad wodami, który oddzielił światło od ciemności, a z nicości życie wydobył.

[1]) I, Celano, 47; *Leg. Maj.*, IV, 4.

ROZDZIAŁ II.

Porcjunkula.

Miejsce to miało mieć później w historji Franciszka i jego braci znaczenie mistyczne. Wedle powszechnej opinji w świątyni tej przechowywał się ogień święty; było to, jak sądzono, miejsce, gdzie zstępował na ziemię duch Franciszka.

„Miejsce to jest świętem świętych i zasługuje na cześć niezwykłą.
„Piękna jest jego nazwa: „Anielska“,
„Piękniejsza jeszcze nazwa „Święta Marja“.
„Trzecia nazwa zawiera prawdziwą wróżbę:
„Mała Cząstka“ dla Małych Braci;
„Tutaj podczas nocy obecność aniołów,
„Śpiewających słodkie hymny, umila czuwanie.

. . . .

„Tutaj szeroki gościniec starego świata stał się wąską drogą.
„Tutaj dla „Wybranego Ludu“ ścieżka stała się szerszą,
„Tu wzrosła Reguła: tutaj Ubóstwo, Pani nasza,
„Krusząc pychę umocniła Krzyż pomiędzy nami“[1]).

W poemacie tym wyraziło się następnie przekonanie wewnętrzne większości braci. Jeszcze i obecnie Kościół katolicki uważa Porcjunkulę za miejsce święte. Stawia on je bezpośrednio po Ziemi Świętej, katedrze św. Piotra w Rzymie i kościele św. Jakóba w Kompostelli.

Stare kroniki opowiadają, że gdy Franciszek i jego bracia zamieszkali w tem miejscu, pewien pobożny człowiek miał widze-

---

[1]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 84.

nie. Ujrzał on mianowicie wielki tłum ludzi, klęczących dokoła małej kapliczki. Ludzie ci byli ślepi. Ze złożonemi rękoma, z oczyma zwróconemi wzwyż, modlili się głośno, aby Bóg im wzrok przywrócił. Wtedy z nieba trysnęła olśniewająca światłość, i oczy ich się otwarły[1]). Istotnie z Porcjunkuli miało spłynąć światło na wielu ludzi, błądzących przedtem w ciemnościach. Fakt to niewątpliwy dla wszystkich, którzy znają historję Franciszka.

Franciszek żywił szczególne przywiązanie do tej kaplicy wśród lasów. Tutaj wraz z pierwszymi swymi uczniami znalazł, jak wiemy, schronienie. Dziwnem się też wydaje, że gdy przyszła chwila założenia nowicjatu dla młodego zakonu, nie pomyślał przedewszystkiem o Porcjunkuli. Jednak zdarza się tak w życiu często. Osoby i rzeczy, które w przyszłości mają być ściślę związane z naszym losem, z naszemi najcięższemi walkami i uczuciami, narzucają się nam dopiero po rozwadze, lub w drodze przypadku, decydującego o naszem postanowieniu. Bardzo możliwe, że zrazu Franciszek nie miał wcale zamiaru obrać stałego miejsca zamieszkania, i dopiero przybycie nowych uczniów wykazało konieczność wybrania miejsca, gdzieby mogli odbywać nowicjat. Miał nadzieję, że duch Ubóstwa przemieni to miejsce w twierdzę przeciwko zakusom świata. Następnie, gdy znalazł schronienie w Rivo-Torto niezajętem, mógł zgodnie ze swym sposobem myślenia uznać w tem objawienie Opatrzności Boskiej i nie szukał już dalej.

Zresztą Franciszek wahałby się przed wyrażeniem jakiegokolwiek upodobania ku miejscu bardziej nawet pociągającemu niż Porcjunkula. Upodobanie takie stanowiłoby w jego mniemaniu już pewne wewnętrzne objęcie w posiadanie: a wszakże jego reguła — to było przyjmowanie tego tylko, co mu było dobrowolnie ofiarowane, nie zaś upominanie się o cokolwiek.

Jednakże Rivo-Torto nie miało być długo gniazdem młodego zakonu franciszkańskiego. Wydarzenie bardzo pospolite, grubjaństwo jakiegoś wieśniaka, stało się powodem opuszczenia go przez braci. Dnia pewnego, gdy się modlili, nadszedł chłop, prowadzący osła. Zatrzymał się przy schronisku, a ujrzawszy, że

---

[1]) II, Celano, 20; *Leg. Maj.*, II, 8; *Tres. Soc.*, 56.

jest zajęte i myśląc, że bracia wzięli je w posiadanie na stałe, wpadł w gniew. Dowodził zuchwale i brutalnie, że podobnie, jak każdy przechodzień, ma on prawo szukać schronienia w tem miejscu. Zaczął więc krzyczeć na swego osła: „Wchodźże! Zrobimy tu sobie wygodne mieszkanie". Przemawiał dalej w tym samym tonie i wyrzucał osłu, że chce zająć dla siebie coś, co należy do wszystkich, aby żyć w lenistwie. Odnosiło się to do braci, których nie chciał wprost znieważać. Te grubjańskie wymysły przejęły silnie Franciszka, zwłaszcza przez wzgląd na braci. Ci bowiem znosili chętnie obelgi osobiste, ale byli bardzo czuli na przykrości, wyrządzane innym[1]). Z drugiej strony, myśląc o tej sprawie, zasmucił się, że można go było posądzić o sprzeniewierzenie się zasadzie Ubóstwa. Przyszło mu też na myśl, że podobne wypadki mogą się powtarzać i sprawiać braciom roztargnienie. Dbał on zawsze o to, aby nie stawać pomiędzy Bogiem i duszą, trwającą na modlitwie. To też nie zwlekając dłużej, kazał braciom opuścić schronienie i udać się wraz z nim na poszukiwanie przytułku gdzie indziej. Rzekł więc z odcieniem złośliwości, przypominającej jego dawny dowcip: „Bóg nie powołał nas nato, abyśmy przygotowali stajnię dla osła, ani abyśmy przyjmowali w gościnę każdego przechodnia, lecz abyśmy modlili się i wskazywali ludziom drogę do zbawienia"[2]).

Lecz dokąd iść? Wiedziony zwykłym sobie szacunkiem dla biskupa Asyżu, Franciszek udał się przedewszystkiem do niego z prośbą o wyznaczenie jakiejś kaplicy, gdzieby bracia mogli się oddawać modlitwie bez obawy, że im ktoś przeszkodzi. Lecz biskup nie rozporządzał taką kaplicą. Wówczas Franciszek zwrócił się do kanoników katedralnych, ale i tam nic nie uzyskał. Wreszcie udał się do księdza na Monte Subasio, który odrazu wskazał mu Porcjunkulę. Stawiał jednakże jeden warunek, a mianowicie: jeśli młode zgromadzenie stanie się zczasem wielkim zakonem, aby Porcjunkula była zawsze uważana za jego gniazdo macierzyste. Franciszek przystał na to chętnie. Miał uczucie, że ten warunek czynił ze zgromadzenia wiecznego wa-

---

[1]) Por. *Tres. Soc.*, 42.

[2]) *Tres. Soc.*, 55; I, Celano, 44.

sala Matki Bożej, „po Synu swym głowy wszystkich Świętych“[1]).

Tak więc bracia udali się do Porcjunkuli i pobudowali dokoła kaplicy małe chatki z gałęzi i z ziemi[2]), podobne do szałasów, jakie budują podróżni dla czasowego schronienia. Franciszek przywiązywał wielką wagę do tego, aby te mieszkania nie miały charakteru stałego, nawet w tych miejscowościach, gdzie młode zgromadzenie miało przebywać w ciągu dłuższego czasu. Chciał, by bracia byli każdej chwili gotowi do drogi, gdyby Bóg ich powołał.

Działo się to na długo przedtem, zanim przy Porcjunkuli wzniesiono budowle. Dom, który zbudowano wówczas, wzniesiony był przez mieszkańców Asyżu wbrew woli Franciszka. Obawiał się on, że zczasem bracia mogą zacząć uważać kaplicę za swoją własność prywatną, i tym sposobem rościć sobie pretensje do posiadania czegokolwiek na świecie. To też aby wyłączyć możliwość takiej pokusy, Franciszek postanowił, że zgromadzenie zanosiło corocznie opatowi w Monte Subasio kosz ryb, złowionych w rzece, jako czynsz dzierżawny. Zwyczaj ten był praktykowany w ciągu długich lat, aż do zburzenia słynnego opactwa. Przez grzeczność opat ze swej strony posyłał franciszkanom butlę oliwy jako pokwitowanie[3]).

W stuleciu, następującem po śmierci Franciszka, opowiadano śliczną legendę o tem, w jaki sposób bracia otrzymali Porcjunkulę. Pewien pobożny wieśniak — mówi opowieść — zatrzymawszy się raz w pobliżu kaplicy Matki Boskiej, usłyszał śpie-

---

[1]) II, Celano, 18; *Tres. Soc.*, 56; *Spec. Perfect.*, rozdz. 55. Że Porcjunkula była oddana Franciszkowi do użytku braci, a nie na własność, dowodzi bulla Inocentego IV, pod datą 11 marca 1244, gdzie wśród posiadłości Monte-Subasio jest wymieniona kaplica Porcjunkuli. Por. Sabatier, *Spec. Perfect.*, Studjum specjalne, rozdział 55, str. 269.

[2]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 9—10.

[3]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 55. Opactwo zostało zburzone w r. 1399. Jednakże zwyczaj ofiarowywania corocznie kosza ryb benedyktynom został niedawno wskrzeszony. Ryby otrzymują teraz zakonnicy od św. Piotra z Asyżu, tam bowiem schronili się mnisi z Monte Subasio po zburzeniu ich opactwa.

wające tam anioły. Zdumiony, pobiegł do księdza, który obsługiwał kaplicę, opowiedział mu o tem i zapytał: „Czemu nie prosicie brata Franciszka i braci, co mieszkają w Rivo-Torto, aby tu osiedli?“ Kapłan postąpił w myśl wyrażonego przez wieśniaka życzenia. Franciszek i jego towarzysze przybyli do Porcjunkuli. Gdy Franciszek tam wszedł, zjawił mu się Chrystus i Jego Matka. Franciszek zapytał śmiało, skąd przybywają. Jezus odrzekł: „Przybywam z za morza“[1]). „A czemu?“ — zapytał Franciszek. A Pan Jezus odpowiedział znowu: „Abym tu zamieszkał“. Przyszedłszy do siebie Franciszek zawołał: „Nigdy tego miejsca nie opuszczę“. Udał się niezwłocznie do opata w Monte Subasio, aby go prosić o oddanie mu kaplicy[2]). Legenda ta zawiera część prawdy, w tem przynajmniej, co dotyczy ducha Porcjunkuli oraz tej szczególnej miłości i szacunku, jaki żywił dla niej Franciszek. Dla niego Porcjunkula była naprawdę miejscem, poświęconem Chrystusowi i Jego Uwielbionej Matce[3]); w murach tej kaplicy śpiewały anioły i niebo objawiało mu swoje tajemnice.

Radość Franciszka z racji zamieszkania przy tej leśnej kapliczce można porównać jedynie z radością nowożeńca, wprowadzającego małżonkę-oblubienicę do wybranego przez nią domu. Nawet nazwa kaplicy miała dla niego urok niewysłowiony; zdawało mu się, że nadane jej ono zostało w przeczuciu przybycia Pani-Ubóstwa[4]). Z pełnym miłości szacunkiem starał się uczynić z tego miejsca zwierciadło życia doskonałego, do jakiego bracia byli powołani. Otoczył je ogrodzeniem, poza które nie wolno było wchodzić osobom świeckim. W ten sposób rozlegać się w jego obrębie mogły jedynie słowa, odnoszące się do życia duchownego. Nawet braciom wolno tam było mówić wyłącznie o Bogu i o zbawieniu duszy.

---

[1]) Jest to widocznie aluzja do pochodzenia, jakie tradycja przypisuje kaplicy.

[2]) Bartholdi: *Tractatus de Indulgentia S. M. de Portiuncula.* Rozdz. I.

[3]) Por. *Spec. Perfect.*, rozdz. 55: *„licet enim locus iste sit sanctus et proelectus a Christo et a Virgina gloriosa“.*

[4]) Por. *Spec. Perfect.*, rozdz. 55; II Celano, 18.

Lenistwo było stamtąd wygnane; jeśli bracia nie modlili się, to pracowali. Każdy musiał znać jakieś rzemiosło, które uprawiał w czasie wolnym od ćwiczeń duchownych[1]). Modlitwa trwała nieprzerwanie dzień i noc. Początkowo, nie mając książek do oficjum kanonicznego, odmawiali „Ojcze nasz" na każdą godzinę liturgiczną.

Porządek wewnętrzny zgromadzenia tchnął również duchem ubóstwa. Zasadzał się on na wzajemnych usługach i miłości braterskiej[2]). Władza w zwykłem rozumieniu była zbyteczna w tem środowisku, gdzie każdy pragnął zapomnieć o sobie, wyrzec się własnej woli, aby stać się sługą innych, gdzie wszyscy byli ożywieni jednym duchem i dążyli do jednego ideału.

Według Franciszka sprawować władzę to znaczyło przewodniczyć na trudnej drodze powołania, służyć tym, którzy poddali się jego kierownictwu, roztaczać nad nimi opiekę. Pojęcie to starał się wpoić w braci. W zwykłych warunkach życia potocznego Franciszek uciekał się rzadko do władzy, której mu udzieliła Stolica Apostolska; wybrał wszakże jednego z braci, którego uważano nietyle za przełożonego, ile raczej za matkę wszystkich domowników. Ten jego zastępca miał zlecone staranie o rzeczach doczesnych, chronienie braci przed wtargnięciem świata zewnętrznego w ich zacisze i zapewnienie im przez to niezbędnego do skupienia spokoju. Do obowiązków jego należało również wyznaczenie każdemu właściwej roli w zgromadzeniu. Franciszek sam dbał o to, aby każdy z braci miał dłuższe okresy czasu, kiedy mógł się bez przeszkody oddawać doskonaleniu duszy w skupieniu i modlitwie; w tym czasie pracę czynną wykonywali inni[3]).

---

[1]) Tak więc Franciszek rzeźbił czary drewniane, prawdopodobnie do użytku braci. (Por. Celano, II, 97.) Później wyrabiał hostje do Eucharystji. W Greccio zachowała się forma, której używał. Brat Idzi miał niejaką zręczność w wyplataniu koszyków. (Por. *De Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 206.) Brat Jałowiec miał szydło do naprawy sandałów. (Ibid. 245.)

[2]) Por. *Regula prima*, rozdz. V. *Per caritatem spiritus voluntariae serviant et obediant invicem. Et haec est vera et sancta obedientia Domini Nostri Jesu Christi..*

[3]) Tę metodę rządzenia zachowano długi czas w pierwotnej prostocie w pustelniach zakonu, po ustanowieniu bardziej prawidłowego

Oczywiście, aby zdobyć chleb powszedni, bracia musieli zarabiać pracą albo żebrać. Nie gardzili żadną pracą, o ile nie sprzeciwiała się ich sumieniu lub duchowi powołania. Pracowali w polu, pomagali robotnikom rolnym przy żniwach lub w orce. Godzili się nawet do służby; jednakże wykonywali zawsze tylko prace najpośledniejsze, nie przyjmując żadnego stanowiska odpowiedzialnego. Po ukończeniu pracy dziennej wracali do Porcjunkuli, przynosząc pożywienie, które zdobyli i które służyło dla wszystkich. Jeśli się zdarzyło, że nie mogli dostać pracy, lub gdy pracodawca źle się z nimi obszedł i odprawił ich bez zapłaty, wówczas musieli z konieczności iść od domu do domu i żebrać[1]).

Taki porządek zaprowadził Franciszek w Porcjunkuli, aby jego Pani-Ubóstwo mogła tam zamieszkać i wycisnąć po wszystkie czasy piętno swego ducha na zgromadzeniu. Tam właśnie nowicjusze pobierali pierwsze nauki i przyuczali się do sposobu życia i obowiązków zakonu. W owej epoce czas trwania nowicjatu nie był określony. Znacznie później dopiero ustanowiono co do tego przepisy. Skoro ktoś wyrażał pragnienie wstąpienia do zgromadzenia, prowadzono go do Franciszka, który poddawał postulanta pewnemu egzaminowi; jeśli interesowany złożył dowody prawdziwego powołania, otrzymywał habit i pozwalano mu złożyć profesję. Wkładano nań jednak obowiązek rozdania całego mienia ubogim; niedość było przekazać je rodzinie. Bóg powołał tych rycerzy ubóstwa, aby zaprowadzili w świecie porządek, zalecany przez mądrość ewangeliczną; nie wolno im więc było dbać o dobrobyt własnej rodziny i schlebiać tym sposobem próżności swoich krewnych. Misja ich polegała na tem, że mieli na przykładzie własnym

---

zarządu w klasztorach i liczniejszych zgromadzeniach. Wynika to z reguły, którą Franciszek nadał następnie tym, co żyli w pustelniach. (Por. *De religiosa habitatione in eremo* w *Opuscula* (Quaracchi), str. 83-4.

Później, gdy ustanowiono urząd przełożonych, Franciszek usiłował utrzymać to pojęcie, że charakterystyczną cechą przełożonego w zgromadzeniu jest oddawanie usług. Chciał, by nazywali się „ministrami“, zarządzającymi, a nie „przełożonymi“. Por. *Regula Prima*, rozdz. VI.)

[1]) Por. *Testamentum S. Franc.*

dowieść światu, jak piękna jest litość i miłość względem wszystkich ludzi. Na zasadzie Chrystusowej miłości ubodzy mieli najpierwsze prawa do mienia braci: odmawianie im tego było według Franciszka wyzuciem Chrystusa z jego dziedzictwa. Tylko w tym wypadku, gdy ich rodzina znajdowała się w potrzebie, wolno było postulantom oddać im swoje mienie. Zdarzyło się, że pewien postulant zgłosił się z prośbą o przyjęcie go do zakonu. W odpowiedzi otrzymał zwykły nakaz rozdania ubogim tego, co posiadał. Zamiast ściśle wypełnić polecenie człowiek ten zrzekł się swego majątku na korzyść rodziny, poczem powrócił i opowiedział Franciszkowi, w jaki sposób postąpił. Franciszek roześmiał się i kazał mu wrócić do wzbogaconej przez niego rodziny. „Rozdałeś — rzekł — to, coś posiadał, braciom twoim według ciała, skrzywdziłeś ubogich, nie jesteś godzien wstąpić w szeregi ubogich bożych. Idź swoją drogą“[1]).

Franciszek wpajał w braci gotowość do niesienia wszelkich usług sąsiedzkich, największy wszakże nacisk kładł na pielęgnowanie trędowatych. Miłość względem nich posunął do tego, że nie używał wyrażenia „trędowaci“, lecz „moi bracia chrześcijanie“. Bracia naśladowali go z zapałem. Ze wszystkich dzieł miłosierdzia była to może praca, którą lubili najbardziej, gdy raz pokonali wstręt do tej strasznej choroby. Opuszczenie trędowatych pociągało silnie rycerskie serca braci. Niekiedy nawet współczucie tłumiło w nich wszelkie względy ostrożności. Jednemu z braci, zwanemu Jakóbem Prostym, powierzono pieczę nad pewnym trędowatym, który był w ostatniem stadjum choroby: wygląd jego był tak wstrętny, że zabroniono mu wychodzić ze szpitala. Litościwy brat, który opiekował się chorym, cierpiał bardzo nad tym zakazem, skazującym nieszczęśliwego na zupełne osamotnienie z powodu stanu jego zdrowia, to też pewnego dnia przyprowadził go do Porcjunkuli w odwiedziny do braci. W chwili, gdy trędowaty przyszedł, Franciszek był nieobecny. Zastał go jednak, gdy wrócił, i rzekł do brata Jakóba w obecności trędowatego: „Nie powinieneś wyprowadzać tych braci chrześcijan: to jest niewłaściwe dla ciebie i dla

---

[1]) II, Celano, 81.

nich". Z chwilą jednak, gdy wymówił te słowa, pożałował ich, zdjęty litością, gdyż trędowaty je słyszał. Natychmiast więc rzucił się do nóg Piotra Cathanii, który sprawował podówczas obowiązki „matki" zgromadzenia, oskarżając się o brak miłości względem trędowatego, i dodał: „Pozwól mi wypełnić taką pokutę, jak pragnę". A brat Piotr odrzekł: „Cokolwiek podoba ci się uczynić, uczyń". „A więc za pokutę będę jadł z tej samej misy, co mój brat chrześcijanin". Przy najbliższym posiłku Franciszek i trędowaty siedzieli razem i jedli z jednej miski[1]).

Najtrudniejszą może dla nowicjusza rzeczą było nauczyć się żebrać. Przypuścić należy, że przed przyjęciem profesji od nowicjuszów poddawano ich również i tej próbie. Był bowiem pewien nowicjusz, który, wedle lapidarnego wyrażenia legendy — modlił się bardzo mało, nie pracował i nie chciał prosić o jałmużnę, ale jadł dzielnie". Franciszek potraktował go z pewną ironją: „Idź swoją drogą, bracie mucho, skoro chcesz się żywić potem innych i skoro sam nie chcesz przyłożyć ręki do pracy Boga. Podobny jesteś do bezużytecznego szerszenia, nic nie zarabiasz, nie pracujesz, lecz pożerasz pracę pilnych pszczół"[2]). Z temi słowy wydalił go.

Mimo to Franciszek współczuł zawsze początkującym, którym kazano żebrać; wiedział z doświadczenia, jakie to ciężkie umartwienie, to też sam dawał im przykład. Nie uważał za oznakę świeckiego ducha, jeśli jakiś młody brat wstydził się żebrać; inaczej rzecz się miała z tymi, którzy przez wstyd nie chcieli żebrać[3]).

Na skutek częstych rozmyślań o ubóstwie Jezusa Chrystusa on sam doszedł do tego, że uważał za szczególny przywilej życie z jałmużny, zwłaszcza zaś z datków, uzyskanych przez że-

---

[1]) *Spec. Perfect.*, wyd. Sabatier, rozdz. 58; wyd. Lemmens, XXXII. W dawnem wydaniu Piotr Cathanii jest nazwany ministrem jeneralnym; lecz w wydaniu Lemmensa powiedziano poprostu, że Piotr był obecny. Nie nadano mu żadnego tytułu. Ponieważ Piotr nie był nigdy ministrem jeneralnym, przeto jest widoczne, że wydanie Sabatiera jest późniejsze i mniej zasługuje na wiarę. Jest prawdopodobne, że Piotr pełnił funkcje przełożonego, czyli „matki", skoro Franciszek zwrócił się do niego o zatwierdzenie pokuty.

[2]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 24; II, Celano, 45.

[3]) II, Celano, 71.

branie od domu do domu. Jałmużna taka uchodziła w jego oczach za bardziej zaszczytną dla ubóstwa, niż ofiary, dawane dobrowolnie, gdyż wymagała ona większej pokory[1]).

Dla młodszych braci ta kwesta po domach była probierzem powołania. Raz jeden z braci, być może należący do tych nieśmiałych, co musieli zbierać na to całą odwagę, został wysłany po prośbie. Wracał, niosąc pełną sakwę na plecach, i śpiewał głośno po drodze. Franciszek, słysząc ten śpiew, wychodzi na jego spotkanie, odbiera mu sakwę, przyciska brata do serca, całuje ramię, na którem spoczywał ciężar i woła: „Niech będzie błogosławiony mój brat, który bieży ochoczo, żebrze w pokorze i wraca radośnie"[2]).

Ażeby zachęcić braci, Franciszek rozmawiał z nimi często o ubóstwie Chrystusa Pana: „Moi najmilsi — rzekł im raz — Syn Boży był większym Panem, niż ktokolwiek z was. Jednakże stał się ubogim dla nas, gdy przyszedł na świat. Przez miłość dla Niego właśnie obraliśmy drogę Ubóstwa, i nie powinniśmy się wstydzić żebrać. Nie przystoi nam wstydzić się rękojmi naszego dziedzictwa niebiańskiego, jesteśmy bowiem dziedzicami królestwa. Powiadam wam, wielu ludzi szlachetnych i mądrych przyłączy się do nas i będą uważali za zaszczyt żebrać o jałmużnę. Wy zatem, którzy jesteście pierwsi w zgromadzeniu, winniście się uważać za szczęśliwych i radować się, a nade-

---

[1]) II, Celano, 71.

[2]) II, Celano, 76; por. *Spec. Perfect.*, rozdz. 25. Świadectwo wszystkich legend pierwotnych jest tak wyraźne, że nie dopuszcza żadnej wątpliwości co do tego, że bracia mniejsi w pierwszych czasach żebrali, gdy zawodziły ich wszystkie inne sposoby zapewnienia egzystencji. Jednakowoż dwaj świadkowie współcześni poza zakonem oświadczają, że pierwsi franciszkanie nie żebrali. Burkarth mówi w swojej Kronice (*Mon. Germ. Hist. Scriptores*, t. XXIII, str. 376): *Pauperes Minores... neque pecuniam nec quicquam aliud praeter victum accipiebant et si quando vestem necessariam quispiam ipsis sponte conferebat non enim quisquam peterent ab aliquo.* A Jakób de Vitry w swoim znanym liście (por. Sabatier, *Spec. Perfect.*, str. 300), mówi o ubogich klaryskach: *Nihil accipiunt, sed de labore manuum vivunt.* Wyjaśnienie tej sprzeczności leży zapewne w tem, że bracia prosili o jałmużnę tylko w koniecznej potrzebie, aby nie być ciężarem dla innych. Tłumaczy to również wielką radość, jakiej doznawał Franciszek wobec użebranej jałmużny; świadczyła ona bowiem o największem ubóstwie.

wszystko wykonywać bez wahania to, co macie przekazać świętym, którzy po was przyjdą"[1]). Franciszek przez przykład własny, przez często powtarzane nauki, potrafił pokonać odrazę braci do tego przykrego obowiązku; zdarzało się, iż kwestarze, wracający z żebraniny, urządzali pomiędzy sobą jakgdyby żartobliwe konkursy, aby przekonać się, kto z nich wywiązał się najzręczniej ze swojej funkcji[2]).

Nie wolno im było nigdy pod żadnym pozorem przyjmować pieniędzy, nawet wtedy, gdy im je dobrowolnie ofiarowywano. Pod tym względem Franciszek był zawsze nieugięty. Jedynie w wypadkach bardzo rzadkich, gdy chodziło o chorych, których potrzeb w inny sposób nie można było zaspokoić, Franciszek pozwalał przyjmować pieniądze[3]); lecz i ten wyjątek czynił niechętnie. W jego bowiem przekonaniu pieniądz był symbolem świata, od którego Ubóstwo wyzwoliło braci, świata handlu i zysków, skąpstwa i lichwy, źródeł nienawiści. Według niego pieniądz stanowił jakgdyby tytuł własności w stosunku do dóbr ziemskich. Wytwarza on związek pomiędzy człowiekiem i temi bogactwami i przywiązuje go silnie do świata materjalnego. Człowiek, posiadający pieniądze, jest panem ziemi, która staje się jego niewolnicą; majątek stawia go pomiędzy Bogiem a Jego stworzeniami. Częstokroć ten, co posiada pieniądze, hańbi ziemię, której Bóg jest jedynym Panem, każąc jej służyć jedynie ku zadowoleniu własnych egoistycznych zachcianek. W oczach Franciszka była to bezbożność. „Ziemia należy do Boga." Zdanie to wyraża w sposób bardzo indywidualny jego pogląd na to, jak człowiek winien używać dóbr ziemskich. Z bezpośredniością gorącej wiary odrzucał wszystko, co mogło się sprzeciwiać jego pod tym względem przekonaniu. Nie należy stąd wnosić, by głosił on teorje przeciwko prawu własności prywatnej; w rzeczywistości uznawał to prawo dla innych, lecz nie dla siebie ani dla swego zgromadzenia: była to sprawa ludzi, których dotyczyła, i sprawa Kościoła. Ubolewał jednak nad nadużywaniem tego prawa; to też gdy ludzie światowi zwracali się

---

[1]) Celano, II, 74; *Spec. Perfect.*, rozdz. 18.

[2]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 18.

[3]) Ten wyjątek zawiera się w *Regula Prima* z r. 1221, rozdz. VIII, nie jest jednak zamieszczony w Regule z r. 1223.

do niego o radę w tym względzie, starał się usilnie przekonać ich, że Opatrzność powierzyła im depozyt, którego powinni używać nietylko wyłącznie dla siebie, lecz na pożytek wszystkich ludzi, będących w potrzebie. Uważał, że jego samego i braci Bóg zwolnił od tego depozytu w tym celu, aby mogli skutecznie dowieść światu, zarówno słowem jak czynem, że bogactwo przedstawia ryzyko i niebezpieczeństwo.

Istnienie zgromadzenia, którego życie materjalne zależało od wspaniałomyślności ludzi, powinno być, jego zdaniem, stałym wyrzutem sumienia dla skąpców, a zarazem dla możnych tego świata — zachętą, by w stosunku do ubogich i potrzebujących spełnili swoją misję miłosierdzia. Dlatego też wysyłając braci po jałmużnę, mawiał do nich: „Idźcie, gdyż bracia mniejsi zostali w ostatniej godzinie postawieni w świecie, aby wybrani mogli wypełnić te rzeczy, za które pochwali ich Sędzia Najwyższy, mówiąc: „Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili“[1]). Nie miał nic do zarzucenia ludziom światowym, jeśli uważali swój majątek za depozyt i pozwalali zeń korzystać bliźnim. Protestował jedynie przeciwko chciwości i skąpstwu, które widział w politycznem społeczeństwie swego czasu. Charakterystyczną cechą, symbolem tej chciwości i skąpstwa, był według niego pieniądz.

W owej epoce pieniądz nie był, tak jak dziś, powszechnym środkiem handlowym. W bardziej pierwotnym ustroju społecznym wzamian za pracę dawano zazwyczaj pożywienie i przedmioty pierwszej potrzeby. Pieniądz stanowił raczej zapas na przyszłość; w znacznej mierze był dowodem nadmiaru. Z tego stanowiska był czynnikiem, wytwarzającym sztuczne potrzeby i mogącym spowodować zmaterjalizowanie człowieka. Niebezpieczeństwo to istnieje w każdej epoce, ale w owym czasie było ono jaskrawe i widoczne. Franciszek sam uległ mu w młodości; znał urok wygód i zbytku; wiedział, że pełna sakiewka zaćmiewa często u człowieka światło ducha. Zauważył w świecie, w którym żył dawniej, że pieniądz rodzi u tych, co go posiadają, żądzę władzy i brutalną butę. Z tej też racji uważał pieniądz za rzecz szczególnie niebezpieczną, nietylko krępującą

[1]) II Celano, 71; por. Mat. XXV, 40.

porywy ducha, lecz wpływającą na znieczulenie serca i umysłu. Stąd jego pogarda dla pieniędzy i odraza, z jaką się do nich odnosił.

Franciszek nie należał do ludzi, patrzących na świat zgóry i traktujących go jak zagadnienie teoretyczne. Filozofja, jego powołanie i obowiązek stanowiły dla niego jedno: przeznaczeniem jego było wyzwolić świat z jarzma chciwości i skąpstwa. Ponieważ pieniądz był narzędziem tej tyranji, widział w nim przeto de facto sidła szatana. Należy dobrze wniknąć w poglądy Franciszka na tę sprawę, jeśli chcemy zrozumieć go i pojąć dokładnie powody, dla których nie pozwalał braciom nawet dotknąć pieniędzy. Razu jednego brat, który miał staranie o kaplicy w Porcjunkuli, znalazł na ołtarzu pieniądz, złożony przez jakiegoś pobożnego człowieka, i schował go do skrzynki przy oknie; jak można wnosić z legendy, uczynił to niezupełnie przez pogardę, lecz w przewidywaniu zrobienia z niego w przyszłości użytku. Franciszek, dowiedziawszy się o tem, rozgniewał się bardzo, a brat, zatrwożony, padł przed nim na kolana, „ofiarowując się dobrowolnie nawet na otrzymanie dyscypliny". Franciszek unikał zazwyczaj ostrych słów, lecz w tym wypadku „czynił bardzo gorzkie wyrzuty". Za karę kazał bratu wziąć pieniądz w zęby, jak to czynią zwierzęta, wynieść go poza ogrodzenie Porcjunkuli i cisnąć na kupę gnoju[1]).

Bracia przejęli się szybko ideą Franciszka. Dowodzi tego jaskrawo opowieść o pewnym młodym bracie, który próbował ośmieszyć poglądy innego, starszego brata w tym względzie. Idąc do szpitala dla trędowatych, dwaj towarzysze spostrzegli na ziemi pieniądz. Starszy szedł dalej, nie zwracając nań uwagi; młodszy podniósł go, mówiąc, że można go będzie użyć na potrzeby trędowatych. A rzekł to nie przez współczucie dla trędowatych, ale aby zadrwić ze skrupułów swego towarzysza. Zaledwie jednak dotknął monety, gdy przyszły mu na pamięć przestrogi Franciszka; zdjęty obawą, począł drżeć na całem ciele. Chciał coś przemówić, ale język, obezwładniony przez lęk, odmówił mu posłuszeństwa; wydało mu się, że pieniądz jest złym duchem. Przemógłszy się, odrzucił precz monetę i natych-

---

[1]) I Celano, 56; *Spec. Perfect.*, rozdz. 15.

miast urok prysnął. Wówczas przejęty skruchą padł na kolana przed swym towarzyszem, prosił go o przebaczenie i odzyskał pokój[1]).

Najcudowniejszą może jednak w Porcjunkuli rzeczą była przedziwna prostota ducha tych, co tam zamieszkiwali. To święte miejsce tchnęło atmosferą bezwzględnej prawdy, w której nie było miejsca na udawanie ani kłamstwo. Bracia dążyli do poznania siebie i do okazywania się wobec ludzi za takich, jakimi byli. Nie istniało wśród nich żadne pobożne udanie, jakie osoby religijne usprawiedliwiają niekiedy pod pozorem budowania bliźniego. Byli tak dalecy od myśli budowania innych przez udawanie, że posuwali aż do skrupułu staranie ujawniania wobec ludzi swych słabości i błędów, zwłaszcza, gdy zaczęto ich uważać za świętych. Tak więc raz, gdy Franciszek zachorował, bracia uprosili go, aby zjadł kawałek kurczęcia, które dla niego dostali. Następnie jednak Franciszek popadł w obawę, że przez zjedzenie kurczęcia dał dowód zbytniej względem siebie pobłażliwości, a wiedząc, że ludzie uważali go za człowieka prowadzącego bardzo surowe życie, uczuł wyrzuty sumienia. W towarzystwie jednego z braci udał się do miasta. U bram Asyżu odpasał swój sznur, włożył go na szyję i kazał swemu towarzyszowi, by go wiódł przez miasto, ciągnąc za sznur, jak to czynią z przestępcami, i by wołał jak najgłośniej: „Patrzcie na żarłoka, który tuczy się wykwintnym drobiem, gdy wy myślicie, że on pości!“[2]).

Niezwykłe objawy szacunku, z jakiemi spotykali się bracia, przejmowały ich obawą i odrazą. Pewien brat, wysłany do Bolonji dla założenia tam domu, powrócił śpiesznie do Porcjunkuli, gdyż mieszkańcy owego miasta uważali go za świętego[3]). Innego zaś, który udał się do Rzymu, powitała u bram Wiecznego Miasta delegacja, złożona z najznakomitszych obywateli, przybyłych na jego spotkanie dla wyrażenia mu hołdu. Ujrzawszy ich, brat zatrzymał się, a widząc grupę dzieci, bawiących się na huśtawce, przyłączył się do nich, aż dopóki srodze zawiedzeni

[1]) II, Celano, 66.

[2]) I, Celano, 52.

[3]) *Actus S. Franc.*, rozdz. 4; *Fioretti*, rozdz. 4.

dostojnicy nie odeszli[1]). Zdarzało się często, że bracia w ciągu kazania spowiadali się ze swych grzechów, bądź w obawie, że ich poczytają za świętych, postępujących ściśle według tego, czego nauczają, bądź też prosząc w prostocie ducha lud, by modlił się o ich zbawienie. Jeśli czasami który z nich pomyślał złe o innym, spowiadał się głośno z tej myśli, i prosił o przebaczenie brata, przeciw któremu w ten sposób zawinił[2]).

Byli oni tak prości, że nie mogli wierzyć, by inni ludzie nie byli równie jak oni szczerzy w słowach i czynach. Myśleli dobrze o wszystkich i z trudem dawali się przekonać, że ktoś mógł mieć złe intencje. Kilku braci spowiadało się u pewnego kapłana świeckiego, używającego bardzo złej opinji; powiedziano im o tem, oni jednak spowiadali się u niego dalej, nie mogąc uwierzyć, by człowiek ten był w rzeczywistości inny, niż się napozór wydawał[3]). Przekonanie to wypływało głównie z głębokiego szacunku, jaki żywili dla kapłaństwa. W każdym kapłanie widzieli przedewszystkiem godność kapłańską, w której przebijał majestat Chrystusowy. Z prawdziwą też czcią całowali rękę, która piastowała Ciało Chrystusa w Najświętszym Sakramencie Ołtarza[4]). Nie sądzili nikogo; posiadali zbyt głębokie przeświadczenie własnych braków wobec doskonałości Boga, aby mieli krytykować postępowanie innych. W czynach ludzkich widzieli jedynie to, co było dobre i korzystali z tego z wdzięcznością ku zbudowaniu swojej duszy. Mieli tak wielki szacunek dla kapłana, że uważali jego słowa za wyraz prawa Bożego. Tak więc raz, gdy pewien ksiądz powiedział jednemu z braci: „Strzeż się hipokryzji" — był on tem wielce poruszony, w przypuszczeniu, że kapłan odkrył w nim skłonność do tej wady. Towarzysze usiłowali go pocieszyć, lecz on odparł: „Kapłan nie może kłamać"[5]).

---

[1]) *Fioretti, Vita di Fratre Ginepro,* rozdz. 9.

[2]) I, Celano, 56; *Tres. Soc.*, 43. Por. również to, co mówi Eccleston o szczerości, jaka cechowała braci angielskich w *De adventu,* wyd. Little, zb. V, str. 30.

[3]) Celano, 46.

[4]) Por. *Testamentum S. Franc.*: *nolo in ipsis considerare peccatum,* etc.

[5]) Celano, 46; por. *Vita Fr. Aegidi* w *Chron. XXIV., Gen., Anal. Franc.*, str. 79.

W ten sposób bracia ćwiczyli się w duchu ubóstwa; Porcjunkula stała się w pojęciu ludzi siedliskiem nowego pokoju. Zdawało się niektórym, że przenieśli się do czasów Betleem i Nazaretu, zdawało im się, że bijące stamtąd promienie przebiły ponownie ciężkie chmury, które zgromadziły się nad światem, i że zalewają dolinę Asyżu swym łagodnym i dobroczynnym blaskiem.

ROZDZIAŁ III.

Porcjunkula.

(Ciąg dalszy.)

Te pierwsze lata Porcjunkuli były to istotnie czasy bohaterskie. Naogół biorąc, ludzie, którzy się tam w tym okresie urabiali, byli bohaterami. Nie znali, co to wątpliwość lub wahanie: życie, jakie prowadzili, uważali za mądre. Słowo Franciszka było ich prawem; zagadnienia i trudności, jakie miał później nastręczyć wszechświatowy rozwój zakonu, nie mąciły jeszcze harmonji zgromadzenia. Myśli ich na skrzydłach duchowych porywów unosiły się wysoko ponad ziemię. Nie dbali o rozum świata ani o jego sądy, nie dlatego, by mieli wypowiadać mu walkę na jego własnym gruncie, lecz ponieważ żyli w innej sferze myśli, gdzie te rzeczy nie mają dostępu. Ktokolwiek rościł pretensje do miejsca w zwykłej ekonomji świata, nie mógł postępować tak, jak oni. Potwierdzenie ich sposobu życia we wszystkich szczegółach było oczywistym dowodem tkwiącego w duchu Kościoła idealizmu. Przekonamy się później, jakie powstały trudności z chwilą, gdy zjawiła się konieczność ustosunkowania zakonu do ustalonych tradycyj i zharmonizowania go z szerszą polityką Stolicy Apostolskiej. Lecz trudności te narazie jeszcze nie istniały, i bracia z Porcjunkuli żyli tam jeszcze w niezmąconej swobodzie ducha. Świat patrzył i podziwiał. Niekiedy lżył zakon, którego istnienie było przeciwne jego przekonaniom i mniemanej mądrości; czasami padał przed nim na kolana, błagając o przebaczenie, pod wpływem jakiegoś nieuchwytnego uroku, któremu się oprzeć nie był w stanie.

Cóż np. mógł świat wobec takiego człowieka, jak brat Jałowiec? Mimowoli szanował go i kochał. Brat ten należał do typów, urobionych w Porcjunkuli, jeśli wogóle można mówić

o typie w zgromadzeniu, gdzie każdy z członków zachowywał wybitną świeżość i indywidualizm charakteru. Jałowiec był żywym przykładem tej dziecięcej niemal naiwności, jakiej w mniejszym lub większym stopniu nabywali bracia w swem nowem powołaniu. U niektórych łączyła się ona bądź z przenikliwą znajomością świata, bądź też z pewną wrodzoną godnością, bądź też z głęboką inteligencją. Ale wszyscy posiadali trochę tej naiwności, wszyscy mieli w sobie coś, co znamionuje dzieciństwo: zdziwione spojrzenie i intensywne przeżywanie chwili obecnej, co jest cechą charakterystyczną wczesnej młodości.

Brat Jałowiec posiadał sporo naiwności wrodzonej. Żar uczucia górował u niego nad chłodnym rozsądkiem. Bardzo impulsywny, działał pod nastrojem chwili, nie myśląc nigdy o sobie. Byłby oddał życie dla zadokumentowania swojej wiary lub dla oszczędzenia cierpienia innym, a byłby to uczynił z uśmiechem na ustach, nie domyślając się nawet, że to jest zasługą. Z tego względu Franciszek uważał go za perłę zgromadzenia. „Czemuż nie mam całego lasu takich jałowców!“ — zawołał raz, gdy Jałowiec popełnił jakąś niezręczność. Swoje drobne błędy i omyłki wynagradzał bezwzględną szczerością i bezinteresownością. Stary kronikarz, który nam o nim opowiada, zatrzymuje się z przyjemnością nad jego historją, jakgdyby chciał powiedzieć: „Patrzcie, jaki to prostaczek, a jednak jak bardzo kochamy go i czcimy!“ Czyż zresztą można nie kochać człowieka, który, monitowany surowo przez przełożonego, nie dba o własne upokorzenie, lecz troszczy się tylko o to, że przełożony, upominając go, zachrypł? Zdarzyło się to Jałowcowi po śmierci Franciszka z przełożonym, który nie cenił tak, jak Święty, prostoty brata. Wieczorem tego dnia, gdy otrzymał naganę, Jałowiec udał się do miasta i uprosił wszystko, czego było potrzeba do zgotowania dobrej zupy z mąki i z masła. Noc już była, gdy zastukano do drzwi przełożonego. Na progu stał Jałowiec z świecą w jednej ręce i z miską dymiącej zupy w drugiej. „Mój ojcze — rzekł — gdyś mnie upominał za błąd popełniony, usłyszałem, że zacząłeś chrypnąć; sądzę, że pochodzi to z przemęczenia. To też pomyślałem o lekarstwie i przyrządziłem dla ciebie tę zupę.“ Przełożony, bar-

dziej jeszcze zagniewany, że mu przeszkodzono, kazał bratu odejść. Ale Jałowiec, wiedziony współczuciem, nie ustępował, usiłując, napróżno zresztą, skłonić przełożonego do zjedzenia zupy. Wreszcie, wobec stanowczej odmowy, Jałowiec odrzekł: „W takim razie, mój ojcze, skoro nie chcesz jeść, uczyń to dla mnie i potrzymaj świecę, a ja ją zjem." Kronikarz dodaje: „Wzruszony tą wielką miłością, połączoną z taką prostotą, przełożony usiadł i razem z Jałowcem zjadł zupę".

Podobne wypadki zachodziły często między braćmi z Porcjunkuli a światem zewnętrznym; ludzie mogli krytykować te lub inne czyny, ale musieli podziwiać ducha, który je ożywiał. Ten sam brat Jałowiec zabawiał się huśtawką z dziećmi u bram Rzymu, aby pokrzyżować program pochodu, którym miano uczcić jego przybycie. Jałowiec wprowadzał ściśle w czyn naukę, otrzymaną również w Porcjunkuli. Uczono go, że nie powinien nigdy odmawiać jałmużny, gdy ma cośkolwiek do dania. Później, gdy bracia mieszkali w klasztorach, nie można było przekonać Jałowca, że nie należy rozdawać należących do klasztoru książek i sprzętów. Zdarzało się tak często, że oddawał ubogim swoją odzież, iż ostatecznie przełożeni zakazali mu surowo ściągania habitu dla ofiarowania go żebrakowi, choćby proszący wzbudzał największą litość. W kilka dni po tym zakazie Jałowiec napotkał ubogiego, któremu nie mógł nic dać. Rzekł tedy doń: „Przełożony zakazał mi oddać habit, ale jeśli mi go zabierzesz, nie będę się opierał". Żebrak niezwłocznie ściągnął zeń odzież.

W niewstrzemięźliwem dawaniu jałmużny miał Jałowiec towarzysza w osobie samego Franciszka. Raz bowiem, gdy do Porcjunkuli przybyła żebraczka, prosząc o jałmużnę, Franciszek oddał jej jedyny przedmiot, który posiadał jakąś wartość, a mianowicie Księgę Ewangelij.

O duchu, jaki panował w Porcjunkuli, świadczy najlepiej następujące zdarzenie z życia Jałowca. Pod koniec życia miał on towarzysza o zupełnie podobnem do swego usposobieniu. Brat ten nosił imię Amazialbene, a Jałowiec kochał go serdecznie za jego przedziwną cierpliwość i posłuszeństwo. Otóż, mówi kronikarz — Amazialbene umarł. Dowiedziawszy się o tem, Jałowiec zmartwił się tak, jak nigdy w życiu. Wołał w bólu swo-

im: „Biada mi, nieszczęsnemu, nic mi już teraz nie pozostaje dobrego i świat cały dla mnie zginął wraz ze śmiercią mego słodkiego i najdroższego brata Amazialbene!" A potem, rozmyślając o poniesionej stracie, dodawał: „Gdyby mi tylko bracia pozwolili, poszedłbym do jego grobu, wziąłbym jego głowę, sporządziłbym z niej dwie miseczki: z jednej jadłbym zawsze przez pamięć na niego i dla zaspokojenia mojego przywiązania; z drugiej piłbym, mając pragnienie i chcąc pić!"

Takim był Jałowiec, jeden z rycerzy Franciszka, przezwany przez Klarę, która go otaczała wielką czcią, „zabawką Boga"[1]).

Inny typ rycerza w kompanji Ubóstwa stanowił brat Masseo. Franciszek uważał go za prawdziwego brata mniejszego z racji jego „wdzięcznego wyglądu, wrodzonego rozsądku, pięknej i pobożnej wymowy"; był to, jak widzimy, charakter zgoła odmienny od brata Jałowca, który był wcieloną prostotą. Franciszek zabierał często brata Masseo ze sobą w podróż, gdy bowiem pragnął się skupić i modlić, Masseo odciągał tłum nieco dalej i mówił kazanie. Ponieważ miał ujmującą powierzchowność i łatwość wymowy, lud słuchał go chętnie. Była w nim dziwna mieszanina praktycznego rozsądku i uległej pokory. Raz mistrz i uczeń będąc w drodze, doszli do rozstaju; jedna wiodła do Florencji, druga do Arezzo, trzecia do Sienny. Masseo szedł naprzód, gdyż Franciszek pragnął być sam i modlić się. Niepewny, jaki obrać kierunek, zatrzymał się i zapytał Franciszka: „— Ojcze, jaką drogę mamy obrać? — Tę, którą Bóg zechce — brzmiała odpowiedź. — Ale w jaki sposób dowiemy się tego? — pytał dalej Masseo. — Zaraz ci powiem, w jaki sposób — odparł Franciszek. — W imię świętego posłuszeństwa rozkazuję ci na rozstaju, gdzie się w tej chwili znajdujesz, kręcić się wkółko, jak to czynią dzieci. Zatrzymasz się, gdy ci powiem." Masseo wykonał rozkaz, a Franciszek prosił Boga, by pokierował jego kroki zgodnie ze swoją wolą. Nagle Franciszek zawołał: — Stój i powiedz mi, w jakim kierunku jesteś w tej chwili zwrócony? — W kierunku Sienny — rzekł Masseo. — Drogę tę Bóg nam wskazuje — odpowiedział Franciszek. I poszli dalej.

---

[1]) Co do życia brata Jałowca, patrz *Vita F. Juniperi* w *Chron. XXIV. Gen. Anal. Franc.*, III, str. 54—65; *Fioretti, Vita de Fratre Ginepro; De conformit.*, w *Anal. Franc.*, IV, str. 245—48.

Masseo szedł znowu naprzód, ale zadawał sobie pytanie, czemu Franciszek kazał mu udawać dziecko w obecności ludzi, którzy drogą przechodzili.

Gdy przybyli do Sienny, dano im mieszkanie w domu biskupa. W owym czasie wrzała w mieście wojna domowa; dowiedziawszy się o tem, Franciszek wyszedł na ulicę i kazał do ludu. Zaklinał mieszkańców, by dla miłości Boga zawarli pokój pomiędzy sobą. Pod jego wpływem obywatele pogodzili się. Za powrotem do domu biskupa obu braci przyjęto z największemi honorami. Te oznaki szacunku zatrwożyły pokorę Franciszka; nazajutrz o świcie zbudził brata Masseo i nie mówiąc słowa nikomu, wymknął się z domu i udał się w dalszą drogę. Postępek ten zaniepokoił brata Masseo, jako wykroczenie przeciwko grzeczności. Idąc buntował się w głębi serca przeciwko Franciszkowi za wczorajsze potraktowanie go w drodze na rozstaju, a także za brak grzeczności wobec biskupa. Nagle przyszły mu na myśl cudowne wyniki kazania Franciszka; uczuł więc wyrzuty sumienia i rozmyślał: „Gdyby anioł zstąpił z nieba, nie dokonałby cudowniejszych rzeczy, niż to, czego dokazał wczoraj brat Franciszek; gdyby więc kazał mi rzucać kamienie, uczyniłbym to przez posłuszeństwo, gdyż szczęśliwy wynik podróży dowodzi, że wszystko, co czyni, pochodzi od Boga."

Tak więc pomimo krytyki „wrodzonego zdrowego rozsądku" Masseo był w istocie pokorny i prosty. Niezawsze mógł zrozumieć postępowanie Franciszka i pomieścić je w ramach mądrości ludzkiej, ale słuchał z uległością dziecka, gdyż czuł, że jest on bliżej Boga niż większość ludzi.

Tak myśleli wszyscy w Porcjunkuli. Bracia byli przekonani, że Bóg objawia im swoją wolę w drodze nowej i tajemniczej, i że Franciszek ma misję prowadzenia ich po niej.

W pewnym wypadku Masseo zbudował zgromadzenie, dając niezwykły przykład pokory. Cnota ta jaśniała u niego tem świetniej, że pochodził z dobrej rodziny. Franciszek rzekł mu raz w obecności wszystkich braci: „Bracie Masseo, wszyscy twoi towarzysze posiadają łaskę kontemplacji i modlitwy, ty zaś masz dar głoszenia słowa bożego ku zbudowaniu ludu; odtąd, aby im umożliwić oddawanie się rozmyślaniu, chcę, abyś wziął na siebie obowiązki furtjana, jałmużnika i kucharza. Gdy bracia

zasiądą do posiłku, ty jeść będziesz na progu, abyś mógł budować przechodniów, mówiąc im o Bogu."

W ciągu kilku dni Masseo wykonywał te obowiązki, stając się sługą domowników. Inni bracia, rozumiejąc, jak wielkiem to dla niego było upokorzeniem, prosili Franciszka, by wszystkim im pozwolił wykonywać te ciężkie prace. Wówczas Franciszek przywołał brata Masseo i oświadczył, że na prośbę towarzyszów zwalnia go z jego różnorodnych obowiązków. Masseo odrzekł: „Ojcze, cokolwiek na mnie włożysz, czy to wszystkie obowiązki, czy też część ich tylko, uważam to za wolę Boga". Na te słowa wielka radość napełniła duszę Franciszka; niezwłocznie powiedział braciom kazanie o pokorze, które ich głęboko wzruszyło.

Podają jeszcze następujące powiedzenie brata Masseo. Zauważył, że niektórzy bracia odbywali stale pielgrzymki do świątyń, przechowujących relikwje świętych. Uczynił więc uwagę, że jego zdaniem lepiej i pożyteczniej jest odwiedzać świętych żywych niż umarłych, gdyż, jak mówił: „od świętych żywych można się nauczyć poznania niebezpieczeństw i pokus, przed któremi muszą się bronić i z któremi walczą". Innym razem ułożył piosenkę, którą ciągle powtarzał. Bracia, słysząc ją tak często, zapytali, czemu jej nie zmieni. On odrzekł: „Dlatego, że gdy człowiek znajdzie rzecz dobrą, nie powinien jej zmieniać"[1]).

Przeciwstawieniem Massea był brat Rufin, pochodzący z rodziny Scefi z Asyżu. Był to człowiek nieśmiały, cichy, zamknięty w sobie, skłonny do zrzędliwości. Zdawałoby się, że nie pasował wcale do radosnego towarzystwa w Porcjunkuli. Ale pod temi pozorami kryła się wielka słodycz i szczerość bezwzględna. Nieśmiałość wypływała u niego z wielkiej wrażliwości nerwowej; to też Franciszek, który wiedział z doświadczenia, na jakie tortury i smutki skazuje nadmierna wrażliwość nerwowa, był zazwyczaj bardzo dobry dla Rufina. Franciszek jednak nie poddawał się nigdy długo przygnębieniu i odprężenie

---

[1]) Co do brata Masseo, por. *Fioretti*, rozdz. XI—XII itd.; *Chron. XXIV. Gen.*, *Vita Fra Massei*, *Anal. Franc.*, III, str. 115—121; *Spec. Perfect.*, rozdz. 85; *De conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 193—197.

następowało u niego szybko; tej żywotnej reakcji brakowało właśnie Rufinowi. Jednakże ten człowiek nieufny i bojaźliwy posiadał pewną siłę bierności i szczerość intencji, która w danym wypadku stanowiła podłoże skłonności do rzeczy duchowych. W jego nieobecności Franciszek nazywał go „świętym Rufinem".

Rufin lękał się najbardziej tego, by mu nie polecono mówić kazań. Gdy w czasie podróży kazano mu przemawiać do ludu, tracił odrazu zdolność wymowy i nie mógł wyrzec ani słowa. Franciszek pragnął go wyleczyć z tego braku wiary we własne siły, to też raz kazał mu udać się do pewnego kościoła w Asyżu i nauczać tak, jak Bóg go natchnie. Rufin błagał, by mu oszczędzono tej próby; powoływał się uporczywie na swoją nieudolność. Franciszek zgromił surowo jego wahanie i za karę kazał mu iść natychmiast do kościoła bez habitu, tylko w spodniach. Łatwo sobie wyobrazić, czem ten rozkaz był dla Rufina, poszedł jednak tak, jak mu kazano.

Gdy mieszkańcy Asyżu ujrzeli go na ulicy w tym stroju, pomyśleli, że oszalał; dzieci wyśmiewały się z niego. Rufin szedł naprzód po bohatersku, chcąc wykonać nałożony nań obowiązek. Odarty z habitu, wszedł do kościoła i począł kazać. Franciszek tymczasem, tknięty wyrzutami sumienia z powodu surowości tego postępku, począł zwyczajem południowców czynić sobie wymówki: „Synu Piotra Bernardone, nędzny człeczyno, jakżeś mógł kazać Rufinowi, jednemu z najznakomitszych obywateli Asyżu, nauczać lud w podobnem odzieniu? Na Boga, musisz doświadczyć sam tej przykrości, na jaką wystawiłeś innych." Z temi słowy zrzucił habit i w samych tylko spodniach udał się do miasta. Brat Leon szedł wślad za nim, niosąc odzież obydwu kaznodziejów. Franciszek wszedł do kościoła. Rufin mówił kazanie. Wyrażał myśli z trudnością, znać było w jego słowach naprężenie nerwowe: zachęcał wiernych, by unikali oszustwa i udawania, by oddawali każdemu, co mu się należy. Franciszek zaczekał do końca kazania, poczem wszedł na ambonę; mówił o ubóstwie i opuszczeniu Chrystusa tak przekonywająco, że wszyscy słuchacze płakali. A gdy obaj bracia wyszli z kościoła okryci habitami, lud cisnął się do nich, aby dotknąć rąbka ich szaty.

Niezawsze jednak Rufin składał dowody takiej uległości; raz nawet doszedł do przekonania, że życie, pędzone na usługach u ludzi obcych oraz kaznodziejstwo, jest nie dla niego i że służyłby Bogu znacznie lepiej i wierniej, gdyby oddawał się modlitwie w samotności, idąc za własnem natchnieniem, nie zaś pod kierunkiem Franciszka. Franciszek usiłował odwieść go od tego postanowienia, ale Rufin nie chciał słuchać i odrzucał wszelkie napomnienia, mówiąc, że ukazał mu się anioł Boży i wskazał mu właściwą drogę. Franciszek począł się modlić. Zrazu Rufin doznał pewnej ulgi, a gdy Franciszek się oddalił, uczuł radość prawdziwą. Zdawało mu się, że stoi przy nim Duch światłości; uznał to widzenie za zachętę do postępowania drogą, którą obrał. Nagle anioł zmienił się na ducha ciemności. Rufin, zdjęty obawą i pomieszaniem, wrócił pędem do Franciszka, padł mu do nóg i zemdlał. Ten zaś podniósł go i uspokoił, mówiąc napoły żartobliwie, napoły ze smutkiem: „O bracie Rufinie, biedny prostaku, powiedz mi teraz, w kim ufność położyłeś?“ Od tej pory Rufin zbliżył się bardziej do Franciszka i przyrzekł mu posłuszeństwo.

Tak tedy szedł Rufin drogą Ubóstwa; bojaźń i wahanie napełniały mu duszę częściej niż radość. Wkońcu jednak zdobył spokój. Żył on długie lata po śmierci Franciszka; w chwili śmierci zjawił mu się jego przewodnik duchowy i złożył na jego czole „najsłodszy pocałunek“. Pokrzepiony tym uściskiem, Rufin umarł w radości[1]).

Duch Porcjunkuli objawia się widocznie jako miłość macierzyńska, miłość czuła i cierpliwa w stosunku do tego brata o trudnym charakterze; ta miłość jedynie może zbawić dusze, podobne do Rufina, wyrwać je z toni tajemnej rozpaczy, przemienić ich brzemię na wytrwałość bohaterską i wreszcie obdarzyć je pokojem.

---

[1]) Por. *Fioretti*, XXIX, XXX; *Chron. XXIV. Gen.*, *Vita Fr. Rufino, Anal. Franc.*, III, str. 46—54. *De conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 197—202 i nast. Rufin należał do towarzyszy, wezwanych przez ministra jeneralnego Crescentiusa w r. 1244 do spisania swoich wspomnień o św. Franciszku. Wadding (*Annal. ad an. 1210)* podaje rok 1210 jako datę wstąpienia do zakonu Jałowca, Massea i Rufina.

Brat Idzi miał szczęśliwsze, śmielsze usposobienie. Mówiliśmy już o nim. Przyłączył się on do małej gromadki wślad za Bernardem da Quintavalle i Piotrem Cathanii. Pod pewnym względem ze wszystkich uczniów Franciszka on posiadał charakter najwybitniejszy; niewątpliwie wysuwa się na pierwszy plan z pomiędzy tych, co w pierwszych latach obrali drogę Ubóstwa. Franciszek miał do niego bezwzględne zaufanie i gdyby nie opór Idziego, byłby mu ulegał bez zastrzeżeń we wszystkich swych podróżach apostolskich i w wyborze miejsca zamieszkania. Wbrew opinji brata Masseo, który wolał żywych świętych od świętych umarłych, Idzi w ciągu pierwszych sześciu lat swego życia religijnego odbywał nieustannie pielgrzymki do różnych miejsc świętych. W ten sposób zwiedził kolejno kościół św. Jakóba w Kompostelli, św. Michała w Monte Gargano, św. Mikołaja w Bari i Ziemię Świętą, a także był kilkakrotnie u grobu śś. Apostołów w Rzymie. Gdziekolwiek szedł, apostołował Ubóstwo. Zawsze, nawet w podróży, zarabiał na chleb pracą rąk własnych. W podróży do Ziemi Świętej musiał zatrzymać się dni kilka w Brindisi, oczekując na odjazd okrętu. Pożyczył sobie konwie i roznosił wodę w mieście. Innym razem wyplatał koszyki trzcinowe i zamieniał je na chleb lub też grzebał umarłych. Pomagał również rolnikom w robotach na polu. W czasie pobytu w Rzymie codziennie po wysłuchaniu mszy św. udawał się do lasu, gdzie zbierał chróst, który następnie sprzedawał w mieście. Raz, gdy wracał obarczony wiązkami chróstu, spotkał kobietę, która chciała je kupić. Ugodzono się o cenę, a Idzi zaniósł jej chróst do domu. Kobieta, widząc, że ma do czynienia z zakonnikiem, zapłaciła mu więcej, niż się umówiła, na co Idzi rzekł: „Dobra kobieto, nie chciałbym, aby mię opanowała chciwość, przyjmę więc tylko tyle, ileśmy się umówili". Odszedł, wziąwszy tylko połowę umówionej ceny. „Kobieta owa — dodaje kronikarz — była pełna wielkiego dlań szacunku."

Idzi jednak posiadał pewną przenikliwość, a jego poświęcenie nawet miało pewien odcień niezależności. Pewnego razu w Rzymie na placu targowym człowiek jakiś szukał robotnika do strącania orzechów z drzew. Idzi ofiarował swoje usługi; tegoż wieczora wracał do domu braci, niosąc na plecach orzechy, które zsypał do swego habitu. Oczywiście musiał go przed-

tem zdjąć z siebie. Był to jego całodzienny zarobek. W porze żniw szedł w pole razem z ubogimi i zbierał pokłosie, lecz zbiór swój dawał innym biedakom, nie chciał bowiem zatrzymać nic ponad to, co było mu niezbędne do opędzenia codziennych potrzeb. Gdy kardynałowie i inni dostojnicy dworu papieskiego zaczęli szukać towarzystwa skromnych braci, wówczas Idzi, o ile przypadkowo był wraz z innymi braćmi zaproszony do pałaców tych znakomitych osób, nalegał, by mu pozwolono wychodzić codziennie, aby zarobić na chleb. Raz, podczas jego pobytu u kardynała biskupa z Tusculum w Rzymie, padał deszcz ulewny. Kardynał rzekł do niego żartem: „Dziś przynajmniej będziesz zmuszony jeść przy moim stole". Nie znał jednak pomysłowości swego gościa. Idzi bowiem udał się do kuchni, uznał, że nie jest dość czysta i poprosił, by pozwolono mu ją umyć wzamian za dwa bochenki chleba. Mimo nieustannej pracy znajdował zawsze czas na modlitwę.

Po spędzeniu pięciu lat w Porcjunkuli Idzi zamieszkał w pustelni pod Perugją. Odtąd żył w okolicy tego miasta w jednej z samotni, nazwanych jego imieniem, a mianowicie w Fabrione, Monte-Ripido i Cetona. Pozostał jednak wierny swej zasadzie utrzymywania się z pracy rąk. Sława mądrych rad jego rozeszła się daleko, to też ludzie przybywali licznie do pustelni, by czerpać z ust jego mądrość. Ci, co go słuchali, zapisywali jego słowa, aby je wiernie zachować. Wszystkie te zapiski zostały później zebrane pod tytułem: „Złote słowa brata Idziego".

Tacy ludzie gromadzili się w pierwszych czasach w Porcjunkuli. Jest wielu innych, godnych wymienienia. Niektórych znamy już z niniejszej historji, jak n. p. „czcigodnego brata Bernarda"; poznamy ich więcej w miarę dalszego rozwoju wypadków. Najwybitniejszym był niezaprzeczenie brat Leon, „pecorello di Dio" — „jagniątko boże", jak go nazywał Farnciszek dla jego szczególnej czystości i prostoty. Była to dusza dziecięca. Był on jednak zarazem zręcznym pisarzem i użytecznym sekretarzem. Zachowano nikłe tylko wspomnienie o innych braciach, choć byli to ludzie, za których zesłanie na świat winniśmy dziękować Bogu. Jednym z nich był brat Szymon. Mówił on o miłości Boga tak słodko, że ktoś, kto słuchał go przez noc całą, zdziwił się, że już świta: godziny minęły jak jedna chwila. Brat

Szymon odznaczał się także wielkiem współczuciem dla tych, których dręczyły pokusy[1]).

Porcjunkula gromadziła ludzi różnorodnego charakteru i temperamentu. I rzecz przedziwna, nadawała ona braciom pewne cechy wspólne, nie ścierając zarazem osobowości. Rozwijała właściwości specjalne każdego, wzmagając szlachetność duszy. Porcjunkula była istotnie podobna do ogrodu, w którym ogrodnik uprawia wielką różnorodność kwiatów. Nie próbowano wtłaczać wszystkich w jedną bezduszną formę. Panował tam nastrój szczególnego upodobania do nowości, oryginalności, jaką każdy charakter wnosił do bogactwa całości, i do pielęgnowania go jak skarbu, stanowiącego cząstkę radości zbiorowej.

Franciszkowi nie zależało bynajmniej na tem, aby wszyscy bracia byli do siebie zewnętrznie podobni. „Prawdziwy brat mniejszy — mawiał, rozważając wszystkie cnoty, do których zgromadzenie winno dążyć — to brat Bernard ze swoją mocną wiarą i miłością; to brat Leon ze swoją prostotą i czystością; brat Anioł ze swą wykwintną uprzejmością; brat Masseo, obdarzony miłą dystynkcją, wymową i wrodzonym rozsądkiem; brat Idzi ze swą zdolnością do życia kontemplacyjnego; brat Rufin z nienasyconem umiłowaniem modlitwy; brat Jałowiec, który zupełnie zapomina o sobie; brat Jan, posiadający siłę fizyczną i przenikliwość umysłu; brat Roger, ze swą niezmienną miłością dla duszy bliźniego; brat Lucyd, który za przykładem Pana naszego nie chce mieć mieszkania na ziemi"[2]).

Ta szerokość poglądów Franciszka była niewątpliwie jedną z tajemnic, które nadały siłę i piękność temu umbryjskiemu odrodzeniu wiary.

---

[1]) Por. *Fioretti*, XL; Wadding (*Annal. ad an. 1210)* podaje rok 1210 jako datę wstąpienia do zakonu braci Leona i Szymona.

[2]) Por. *Spec. perfect.*, rozdz. 85. Rozdział ten jest widocznie kompilacją ze słów, które tradycja przypisuje św. Franciszkowi.

ROZDZIAŁ IV.

Święta Klara.

Wczesną wiosną r. 1212 Klara opuściła dom ojca swego i przybyła do Porcjunkuli, aby poświęcić się Chrystusowi i ubóstwu w obecności Franciszka i jego braci.

Niektórzy pisarze z lat ostatnich dali temu wydarzeniu tło nieco romantyczne, upatrując w niem cechy uczucia ludzkiego, choć w istocie oczyszczonego z wszelkich pierwiastków ziemskich, które mogłyby je kazić. Nie znali oni jednak ani Franciszka, ani Klary. Punkt styczności tych dwu dusz, węzeł, który jednoczył ich wspólne uczucie, leżał ponad nimi: był nim Chrystus. Jego to kochali umiłowaniem tak gorącem, że wyłączało ono wszelkie inne uczucia mniej duchowe i święte.

Oboje miłowali Chrystusa w Jego ubóstwie ziemskiem, w Jego miłości dla świata. Kontemplacja życia Chrystusowego zaspokajała w całej pełni ich własne pragnienia. Ona to sprawiła, że stali się jakgdyby bratem i siostrą; ona to wytworzyła między nimi tak niezmąconą harmonję i sympatję; ona to połączyła ich węzłem intuicyjnego wzajemnego zrozumienia.

Jeszcze przed poznaniem Franciszka Klara czuła wielką miłość dla ubogich, których uważała jakgdyby za rodzinę. Gdy spotkała Franciszka, ich pokrewne dusze poznały się odrazu. Po raz pierwszy spotkali się według wszelkiego prawdopodobieństwa w adwencie 1212 r. Franciszek wracał z misyj apostolskich w Toskanji i w okolicach Perugji i kazał w Asyżu. Zmiana nastroju u mieszkańców jego miasta rodzinnego była zupełna; byli oni teraz dumni ze swojego proroka i lud płynął tłumnie na jego kazania. Klara znajdowała się wśród słuchaczy. Być może, iż była na jego kazaniu już dawniej; w każdym razie musiała o nim słyszeć.

W owej epoce liczyła osiemnasty rok życia[1]), jej rodzina posiadała zamek pod miastem i dom w mieście. Dom ten był położony w odległości kilku kroków od kościoła świętego Jana i od katedry. Ojciec Klary uważał, że powinna już była oddawna wyjść zamąż; lecz ilekroć jej wspominał o małżeństwie, odmawiała wręcz, lub zmieniała przedmiot rozmowy. Nie miała jeszcze wyraźnego pojęcia o tem, co ją czeka w przyszłości, czuła jednak w głębi duszy, że powinna zachować wolność. Myślała już o poświęceniu dziewiczego życia Chrystusowi. Od wczesnego dzieciństwa pociągała ją dziedzina przeżyć religijnych; duch jej przebywał w atmosferze wyższej ponad rozrywki i zainteresowania właściwe młodemu wiekowi. Chroniła się zwykle do jakiegoś odosobnionego miejsca i tam, zdala od gwaru i obowiązków życia rodzinnego, odmawiała „Ojcze nasz", zacieśniając w ten sposób słodkie węzły, łączące ją z Ojcem Niebieskim i zastępami świętych. W miarę wzrastania w lata życie jej nabierało coraz bardziej charakteru oczekiwania. Brała udział w zwykłych codziennych zatrudnieniach, uczyła się wypełniać obowiązki panny z dobrej rodziny, przyjmowała usługi przydanej sobie pokojowej. Przeciwko temu wszystkiemu jednak podnosił się w niej protest wewnętrzny, zwłaszcza od chwili, gdy zrozumiała, że wszystko świadczyło o pragnieniu jej otoczenia, aby dla wzmocnienia stanowiska rodu zapewnić jej odpowiednie zamążpójście przez świetne wychowanie. Klara nie miała zamiaru podnosić przez swoje małżeństwo splendoru rodziny; a gdy raz powzięła postanowienie, przejęła się niem całem sercem, serce jej zaś nie znało wahania ni trwogi.

Wychowanie jej odpowiadało wymaganiom epoki i klasy społecznej, w której się urodziła. Posiadała więc elementarną znajomość sztuki czytania i pisania i najwykwintniejszych robót kobiecych, umiała zarządzić wewnętrznemi sprawami domu feo-

---

[1]) Według Mariano z Florencji, Klara urodziła się 16-go lipca 1194 r. Tradycja głosi, że ojciec Klary należał do znakomitej rodziny asyskiej Scefi lub Scifi i był panem Sasso Rosso, zamku na stokach Monte Subasio. (Por. V. Locatelli, *Vita di S. Chiara,* str. 334.) Jednakże związek rodziny tej z Sasso Rosso jest kwestją sporną. Ortolana, matka Klary, jest w legendzie wymieniona z imienia, przyczem wspomniano, że pochodziła ona ze znakomitego i rycerskiego rodu. Por. *Legenda St. Clarae,* wyd. Franc. Pennacchi, str. XXIX i nast.

dalnego. Prawdopodobnie ze słuchania minstrelów, którzy odwiedzali dom jej ojca, śpiewając i opowiadając romanse rycerskie, obznajmiła się z literaturą swojej epoki. Z obcowania z ludźmi, interesującymi się rozlicznemi zagadnieniami owych burzliwych czasów, gdy ideje polityczne i religijne napływały zewsząd i nabierały wartości w pulsującem życiu miasta — nabrała rozległej znajomości spraw bieżących. Klara zatem, jakkolwiek nie była „biegłą w piśmie", jak mawiano wówczas, przedstawia nam się jako kobieta wykształcona. „Lubiła słuchać dobrze przygotowanej i uczonej mowy, uważała, iż łatwiej się rozumie jądro nauki, lepiej się w niem smakuje, gdy zawarte jest w łupinie słów dobrze dobranych"[1]).

Upodobanie do mów „uczonych i dobrze przygotowanych" było nietyle rysem wybitnie intelektualnym, ile cechą ogólnej wrażliwości jej natury. Instynktownie szukała w życiu rzeczy najwznioślejszych, rzeczy, posiadających wartość istotną; świadczyło to o szlachetnej szczerości jej duszy, o żywotności umysłu. Nie poprzestawała nigdy na nędznych kompromisach, gdy w grę wchodził obowiązek, nie dbała jednak także o szczegóły postępowania, nie posiadające zasadniczego znaczenia. Z tą trafnością sądu co do rzeczy o istotnej, rzeczywistej wartości, łączył się temperament emocjonalny, wrażliwość na piękno, może raczej na piękno duchowe niż zewnętrzne.

Kochała kwiaty, gdyż były w jej oczach symbolem duszy doskonałej. W ogrodzie swoim hodowała lilję, która mówiła jej o czystości, różę — symbol miłości, i fiołek — kwiat pokory[2]). Muzyka pogrążała ją w prawdziwą ekstazę rozkoszy duchowej[3]). Ale jej uczuciowość podlegała zawsze władzy rozumu,

---

[1]) *Leg. S. Clarae*, wyd. Pennacchi, 37. Legendę ogłosili bolandyści, *Acta SS.* die 12 Augusti, III, str. 742 i nast. Wydanie krytyczne ogłoszone zostało w r. 1910 przez prof. Fr. Pennacchi, według rps. asyskich. Por. również Fr. Paschal Robinson, *Life of St. Clare*, i Mrs. Balfour, „*The Life and Legend of the Lady Saint Clare*", ze wstępem autora niniejszej pracy.

[2]) Dawna tradycja mówi, że Klara hodowała te kwiaty w swoim ogrodzie w San Damiano, ponieważ symbolizowały trzy najmilsze jej cnoty.

[3]) *Leg. S. Clarae*, 29; *Actus S. Franc.*, rozdz. 42; *Fioretti*, rozdział 35.

nacechowanego wybitną praktycznością, i woli, która przywiązywała się wiernie do każdego, kto potrafił zasłużyć na szacunek. Wierność była zasadniczą formą, w której kształtowała się jej wielka siła charakteru. Nawet mężczyźni w jej rodzinie patrzyli z pewną czcią na tę kobietę ze swego rodu o niezłomnej woli. A byli to przecież zahartowani żołnierze, potomkowie ludzi zawsze gotowych bronić swoich praw siłą miecza i usunąć przemocą wszelkie przeszkody, stojące im na drodze do urzeczywistnienia zamiarów.

Być może, że ten szacunek rodziny wypływał z tajemniczej przyszłości, która, jak się zdawało, miała czekać Klarę. Na krótko bowiem przed jej urodzeniem, gdy matka jej modliła się o szczęśliwe rozwiązanie, usłyszała głos, który mówił: „Nie lękaj się, kobieto; gdyż dasz życie światłu, którego promienie rozradują ziemię". To też, gdy dziecię przyszło na świat, dano mu imię Klary, „jaśniejącej"[1]). Ten znak przyszłego przeznaczenia zapewniał względną swobodę Klarze, jako osobie wybranej przez Opatrzność; z tej racji wymykała się nieco z pod rodzicielskiego despotyzmu. Dlatego też pozostawiono jej swobodę, gdy zczasem okazywała wielką skłonność do ćwiczeń pobożnych, do służenia ubogim. Bardzo wcześnie ujawniała się w niej zdolność do poświęceń, właściwa naturom silnie kochającym. Dawała ubogim nietylko to, co jej zbywało, ale odmawiała sobie koniecznego pożywienia, aby nakarmić zgłodniałych[2]). Ubodzy kochali ją, a całe miasto mówiło o jej miłosierdziu, o którem świadczyło jej szczere współczucie dla biedaków i pełne zrozumienia postępowanie z nimi.

W ten sposób Franciszek usłyszał o Klarze; dowiedział się, jak serce jej ukochało ubogich, i jak wszędzie wnosiła ze sobą światło niebiańskie. Instynktowo poczuł dla tej dzieweczki szacunek, jaki rodzi obecność istoty czystej. Zapragnął gorąco poznać tę, w której jaśniała tak wyraźnie czystość i dobroć boża, aby przemówić do niej i pozyskać ją całkowicie dla służby Chrystusowej. „Pragnął bowiem — jak powiada kronikarz —

---

[1]) *Leg. S. Clarae, 2.*

[2]) Ibid., 3.

wyrwać tę szlachetną zdobycz z kręgu zepsutego świata i złożyć jako chwalebną ofiarę na ołtarzu Boga.“

Klara ze swej strony, gdy usłyszała Franciszka każącego, nabrała przekonania, że znalazła jedynego kierownika, za którego radą może iść z pełnem zaufaniem; modliła się też z głębi serca o sposobność, któraby jej pozwoliła otworzyć przed nim serce. Kazania bowiem jego ukazały Klarze cel jej dążeń i pragnień. Poczęła myśleć o życiu w ubóstwie, pełnem miłości Bożej, o życiu, jakie wiódł Franciszek i jej bracia w Porcjunkuli. Trudno jednak było znaleźć potemu sposobność, nie wzbudzając podejrzenia w rodzinie, czego o ile możności należało unikać. Klara wiedziała doskonale, że mimo swobody, z jakiej korzystała, dopóki nie wychodziła poza obręb swej pozycji światowej i dopóki spodziewano się, iż przyczyni się ona do podniesienia świetności rodu, zamiar, jaki żywiła w sercu, byłby uważany za zdradę interesów i zamach na cześć rodziny. Co innego było odgrywać rolę miłosiernej damy i rozdawać jałmużnę ubogim: był to uznany przywilej córy możnego rodu. Nawet wstąpienie do któregoś z istniejących zakonów nie natrafiłoby może na nieprzezwyciężone trudności; były klasztory, które do pewnego stopnia stanowiły apanaże bogatych rodzin i zapewniały błogosławieństwo boskie tym rodom, których córy zamykały się w ich murach. Co innego jednak było zerwać wszelkie przyjęte i uświęcone tradycje, stanąć w szeregach biedaków, pracować na życie lub prosić o jałmużnę niby przydrożni lub uliczni żebracy, jak to czynili bracia z Porcjunkuli. Klara nie łudziła się co do stanowiska, jakie zajmie jej rodzina wobec takiego zamiaru. A jednak do takiego życia rwało się serce dziewczęcia.

Franciszek sam dał inicjatywę do spotkania. Przyjął on już, jako obowiązek nałożony przez Boga, misję kierowania tej wyjątkowej duszy. Nie szukał tej misji. Narzuciła mu się ona w chwili objawienia jako nakaz wewnętrzny, którego zaniedbanie równałoby się zdradzie sprawy bożej. W owej chwili głęboka cześć, jaką żywił dla Klary, zagłuszyła wszelką obawę w jego sercu. Od chwili swego powołania do życia duchowego Franciszek zachowywał najbardziej drobiazgową przezorność w obcowaniu z kobietami. Nie pozwalał sobie nawet na najnie-

winniejsze upodobanie w ich towarzystwie; wystrzegał się wszelkiej przyjaźni nawet z najcnotliwszemi. Nawet wtedy, gdy jako posłannik Ewangelji zmuszony był udzielać im rady ku zbudowaniu duszy, czynił to w krótkich słowach. Jakiś instynkt wewnętrzny ostrzegał go przed tem; postępowanie jego wynikało jednak poczęści także ze szczególnej czci, jaką żywił dla kobiety. „Każda kobieta — mawiał do braci — jest oblubienicą Chrystusa: pomyślcie więc, z jakim szacunkiem, z jaką obawą winniśmy na nie patrzeć"[1]).

Dla niego czystość kobiety była skarbem ludzkości, była emanacją czystości Odkupiciela ludzi, nakładała piętno Chrystusowe na uczucia i stosunki ludzkie. Nie chciał za nic ani narazić ich czystości, ani splamić swojej, nawet przez obojętne spojrzenie, w które mogłoby się mimowolnie wślizgnąć zdradzieckie pożądanie. Dlatego też nie patrzył im nigdy w twarz i mówił do nich zawsze ze spuszczonemi oczyma.

Od tej reguły odstąpił Franciszek jedynie w stosunku do dwóch kobiet: do Klary i do pani Giacomy di Settesoli[2]). Jedna z nich stała się gospodarną Martą dla braci, jak się o tem w dalszym ciągu tej historji przekonamy; lecz Klara czuwała nad duchem zgromadzenia. Od początku instynktowo odgadła tak nieomylnie powołanie braci, żywiła dla tego powołania cześć tak wielką, każda jej myśl była przeniknięta tak głęboką mądrością, że Franciszek i bracia uważali ją nie za ucznia, lecz za świadka, zesłanego przez Boga dla potwierdzenia w nich samych prawdziwości i świętości ich powołania. Z tej też przyczyny czcili ją bardzo i żywili dla niej najczystsze przywiązanie.

Klara nie przypisywała sobie żadnej zasługi; cześć, jaką jej bracia okazywali, składała na karb ich własnej szlachetności. Mówiła o sobie ze słodką pokorą, jako o roślinie, hodowanej przez Franciszka w ogrodzie Ubóstwa[3]).

---

[1]) Por. II, Celano, 113-14.

[2]) II, Celano, 112. Celano nie stwierdza wyraźnie, że dwiema kobietami, o których wspomina Franciszek, były Klara i pani Giacoma; ale nie może być wątpliwości co do tego: były to jedyne dwie kobiety, z jakiemi łączyła go przyjaźń.

[3]) Por. *Reg. S. Clarae* i jej Testament, gdzie znajduje się wyrażenie: „*plantula B. P. Francisci*".

Klara nie była tedy dla braci zwykłą kobietą. To też Franciszek nie widział w niej niebezpieczeństwa ani dla siebie, ani dla braci. Uważał on ją za święty depozyt, którego samo istnienie na ziemi mogłoby, zdaniem jego, natchnąć ludzi miłością i czcią dla Chrystusa.

Po pierwszem spotkaniu Klara odwiedzała Franciszka często. Z konieczności czyniła to bez wiedzy rodziny. W danym wypadku nie można było się wahać. Skoro człowiek jest zmuszony zdobywać swobodę przemocą, to odpowiedzialność za to spada zawsze na tych, którzy podobne postępowanie spowodowali. Zresztą krewni jej byliby postąpili w ten sam sposób, gdyby wchodziły w grę ich interesy materjalne. Od szeregu pokoleń ród jej wykuwał własną fortunę energją i utrzymał stanowisko, broniąc swych praw i interesów: była to ustalona tradycja wszystkich rodów feodalnych. To też w tej przełomowej chwili życia Klara postąpiła jak nieodrodna córka swego ojca. Powzięła postanowienie samodzielnie, na własną odpowiedzialność. Przez skromność jednak zwierzyła się ze swego zamiaru krewnej, ciotce, posiadającej podobny, jak ona sama, charakter. Ciotka ta towarzyszyła jej, gdy udawała się w odwiedziny do Franciszka, i dodawała jej odwagi[1]).

Z odwiedzin tych Klara powracała do domu ze wzmożoną tęsknotą do wolności, do oswobodzenia się od świata, z sercem przepełnionem „wizją radości wiecznych, wobec których świat wydawał jej się godnym pogardy; dusza jej tajała w świętej tęsknocie poślubienia Króla Niebieskiego". Gdyż „Franciszek postępował jak wierny przyjaciel Oblubieńca", a Klara „słuchała z żarliwością serca, gdy mówił o miłości Jezusa"[2]).

Wielki post miał się ku końcowi, gdy Klara powzięła ostateczną decyzję.

Nadeszła Niedziela Palmowa[3]). Rodzina Klary, nic nie przeczuwając, udała się do katedry na sumę, podczas której biskup miał święcić i rozdawać palmy. Dla Klary była to jej ślubna msza, to też ubrała się z większem niż zazwyczaj staraniem.

---

[1]) Por. Wadding, *Annales ad an. 1238*; A. Cristophani, op. cit., str. 92.

[2]) *Leg. S. Clarae*, 6.

[3]) W r. 1212 Niedziela Palmowa przypadała 18 marca.

Rozpoczęło się rozdawanie poświęconych palm; Klara, ogarnięta silnem wzruszeniem, pozostała na miejscu, gdy jej rodzina podeszła do ołtarza. Wówczas biskup zeszedł ze stopni i wręczył jej sam palmę. Być może, że był wtajemniczony we wszystko i chciał w ten sposób dodać jej otuchy.

Tejże nocy, gdy cała rodzina udała się na spoczynek, Klara w towarzystwie swej wiernej przyjaciółki opuściła dom ojcowski.

Nie chcąc wychodzić zwykłą bramą, przeszła przez zdawna nieużywaną furtkę w dziedzińcu. Furtka ta była założona ciężkiemi kamieniami, nagromadzonemi pomiędzy potężnemi słupami. Ale Klara nocy tej była silna, to też własnemi rękoma odwaliła kamienie, by uwolnić przejście. Przybyły do Porcjunkuli, gdzie Franciszek i bracia, odmówiwszy jutrznię, oczekiwali na nią z zapalonemi pochodniami. Tejże samej nocy Klara poświęciła się Bogu, a Franciszek ściął jej włosy na świadectwo złożonego ślubowania. O świcie Franciszek zaprowadził ją do klasztoru benedyktynek w San Paolo, w Bastji, położonego wśród bagien. Zakonnice ofiarowały jej schronienie do chwili, gdy Franciszek znajdzie dla niej dom odpowiedni[1]).

W ten sposób Klara uciekła z domu rodzinnego i udała się do Porcjunkuli, pokładając ufność w Bogu, którego szukała, i powierzając przyszłość swoją kierownictwu Franciszka. Od tej chwili Klara stała się członkiem zgromadzenia. Odwaga jej jednak była wystawiona na jeszcze jedną, ostatnią próbę. Nazajutrz w spokojne mury San Paolo wtargnęli krewni Klary, żądając jej powrotu i grożąc, że zabiorą ją siłą. Klara schroniła się do kościoła; gdy chcieli ją porwać, zerwała welon ze swej ostrzyżonej głowy i schwyciwszy oburącz za ołtarz, oświadczyła uroczyście, że ślubowała służyć Jezusowi. Być może, iż dawna wiara w przeznaczenie, a także spokojna moc ducha Klary uśmierzyła ich gniew rozszalały: odeszli bowiem, pozwalając jej wieść takie życie, jakie sobie obrała.

---

[1]) Klasztor został zburzony w XIV wieku. Na jego miejscu zbudowano twierdzę; kościół jednak istnieje jeszcze. Błoto jest oddawna osuszone. Bastja, na skutek swego położenia wśród bagien, była dawniej znana pod nazwą Isola Romana.

Po kilku dniach Klara pożegnała mniszki z San Paolo i zamieszkała w klasztorze Sant' Angelo w Panzo, położonym na zboczu Monte Subasio, o milę niespełna od miasta[1]). Po dwu zaledwie tygodniach od chwili jej ucieczki przybyła tu do niej siostra jej, Agnieszka, która również postanowiła porzucić świat, by poświęcić się Bogu. Przybycie Agnieszki było dla obu sióstr serdeczną radością, łączyło je bowiem tkliwe przywiązanie. Agnieszka okazywała Klarze miłość pełną uwielbienia dla niezwykłego hartu i energji, które w sobie potem również wyrobiła; Klara zaś kochała dziewczę, które udało się pod jej opiekę, za jej pełną słodyczy prostotę i za wesołe towarzyskie usposobienie[2]). Od czasu opuszczenia domu rodzicielskiego nie było dnia, by Klara nie zatęskniła do młodszej siostry; Agnieszka czuła, że od chwili ucieczki Klary życie straciło dla niej radosny powab i w modlitwach obie prosiły Boga, by je znowu połączył. To też w dwa tygodnie potem Agnieszka poszła za przykładem siostry, uciekła potajemnie i przybyła do klasztoru w S. Angelo.

Gdy tylko jednak odkryto w domu jej ucieczkę, dwunastu krewniaków wpadło w pościgu za nią do klasztoru. Wszedłszy do kaplicy, gdzie się schroniły obie siostry, usiłowali zrazu skłonić dzieweczkę łagodnością do powrotu pod dach rodzicielski, gdy jednakże wszelkie perswazje nie pomogły, nie hamując już gniewu, schwycili ją za włosy, oderwali przemocą od ołtarza i wywlekli na dziedziniec, a wziąwszy na ręce, chcieli ją

---

[1]) Zakonnice z St. Angelo parę lat później przeniosły się do miasta, do klasztoru położonego na miejscu obecnego seminarjum; w owym jednak czasie przebywały w starym klasztorze za miastem: dotychczas jeszcze istnieją jego ruiny. Znajdował się on niedaleko od Sasso Rosso, który to zamek był należał przypuszczalnie do przodków Klary. Por. Vinc. Locatelli, *Vita di S. Chiara,* str. 40—1; Fr. Paschal Robinson *Life of St. Clare,* str. 139—40. W r. 1238 zakonnice z St. Angelo przyjęły Regułę Ugolińską Sbaralea, *Bull. Franc.* I, str. 258).

[2]) Charakter Agnieszki maluje doskonale jej śliczny list do Klary, znajdujący się w *Chron. XXIV Gen. Anal. Franc.* III, str. 175. W epoce swojej ucieczki Klara liczyła około lat piętnastu (Wadding, *Annales ad an. 1253; Anal. Franc.* III, str. 177), należy jednak pamiętać, że w owym czasie był to wiek, w którym dziewczęta wychodziły zamąż.

zabrać w ten sposób do domu. Nad ich krzykiem i przekleństwami zapanował jednak głos Agnieszki, wzywającej Klarę na ratunek. Klara w pierwszej chwili padła na kolana przed ołtarzem, błagając Boga, aby dodał sił siostrze i aby ją uratował. Potem jednak w porywie wiary wstała z klęczek i pośpieszyła na pomoc Agnieszce.

Dogoniła ich niedaleko, na zboczu górskiem. Agnieszka leżała na ziemi. Ci, co ją porwali, — bądź, że gniew odebrał im siły, bądź dla jakiejś innej przyczyny, — ludzie silni, poczuli, że ciężar, który nieśli, przechodzi ich siły i z przekleństwem cisnęli dzieweczkę na ziemię. Jeden z nich, rozwścieczony, chciał ją uderzyć, lecz w tej właśnie chwili nadbiegła Klara i poczęła błagać, by zaniechali gwałtu i pozostawili siostrę jej opiece.

I znowu dziwna władza naginania wszystkich do swojej woli oddziałała skutecznie na tych zapamiętałych w gniewie ludzi, którzy ulegli jej prośbom. Wtedy Klara zabrała Agnieszkę zpowrotem do klasztoru[1]). Od tej pory już się nie rozstawały aż do chwili, gdy Anieszka w jakieś siedem lat potem została wysłana w charakterze przeoryszy do klasztoru w Monticelli pod Florencją. Przebyła tam lat trzydzieści, tęskniąc stale do Klary. Klara, umierając, wezwała ją do siebie. Śmierć nie na długo je rozdzieliła, gdyż Agnieszka umarła w trzy miesiące po Klarze i została pochowana obok siostry[2]).

Klara pozostała w Sant' Angelo do roku następnego. W tym czasie Franciszek uzyskał dla niej od benedyktynów z Monte Subasio pozwolenie użytkowania kościółka San Damiano oraz przyległego doń małego domku. Był to szczupły, niewygodny budynek[3]); dla Klary był on upragnionym domem. Przez cały czas pobytu swego w Sant' Angelo niby młoda narzeczona ma-

---

[1]) *Leg. S. Clarae.*

[2]) Por. *Życie św. Agnieszki* w *Chron. XXIV Gen. Anal. Franc. III*, str. 137 i nast.; *De conformit.* w *Anal. Franc.* IV., str. 357.

[3]) Klasztor w San Damiano zachował coś ze swego pierwotnego wyglądu; można dziś jeszcze oglądać refektarz, dormitarz i inne pokoje, zajmowane przez Klarę i jej siostry. Niskie i małe pomieszczenia świadczą wymownie o tych pierwszych czasach franciszkańskiego powołania. Por. Ant. Cristophani, *La Storia della Chiesa e Chiostro di S. Damiano.*

rzyła o własnym domu. Miała ona bardzo wysokie wyobrażenie o ideale ubóstwa, które ślubowała, i pragnęła mieć pełną swobodę w jego praktykowaniu. Jeden szczegół czynił San Damiano jeszcze droższem w jej oczach; oto, gdy Franciszek odbudowywał kościołek z gruzów, przepowiedział, że stanie się on mieszkaniem ubogich pań, poświęconych służbie Bożej. Klara ceniła wielce podobne dowody troskliwości Franciszka o nią samą i o jej przyszłe siostry[1]). Dawało to Klarze przedziwne poczucie bezpieczeństwa; gdyż pomimo swego śmiałego postanowienia uznawała potrzebę zewnętrznej siły, któraby nadawała jej własnej energji niezbędną giętkość i swobodę. Potrzebę takiego moralnego oparcia przyznaje każda szczera kobieta; u dusz wyższych stanowi ona światło, rozjaśniające głębie dusz ludzkich, które pozwala odróżnić to, co w nich jest silne i słabe, prawdziwe i niestałe.

Osiedliła się tedy w San Damiano, szczęśliwa, że się tam za sprawą Franciszka znalazła; dzięki niej dom w San Damiano stał się siostrą Porcjunkuli. Pomiędzy temi dwoma klasztorami istniała tylko ta różnica, jaką wprowadza do swego otoczenia serce i ręka kobiety. Niebawem kilka szlachetnych pań z Asyżu obrało za schronienie klasztor św. Damjana.

Franciszek nie nadał Klarze żadnej reguły; natchnął ją jedynie duchem bezwzględnego ubóstwa i bezgranicznego zaufania Opatrzności Bożej[2]). Co do szczegółów, to Klara ustanowiła sama ćwiczenia codzienne, wzorując je na życiu braci, o tyle, o ile kobieta mogła się do tego wzoru zastosować. Oddawała się

---

[1]) Vide: *Testamentum S. Clarae* w *Textus orig.* (Quarracchi, str. 274).

[2]) W swojej Regule (rozdz. VI.) Klara pisała: *Scripsit nobis formam vivendi in hunc modum*, i t. d. Ale ta „*forma vivendi*" nie może właściwie nazywać się regułą w zwykłem znaczeniu tego słowa. Jest to tylkó obietnica Franciszka co do szczególnej pieczy nad siostrami. Wskazuje jako motyw tej obietnicy, że siostry „*postanowiły* żyć zgodnie z doskonałością zalecaną przez Ewangelję". W duchu św. Franciszka ta „doskonałość ewangeliczna" oznacza zawsze bezwzględne ubóstwo. Co do rozwoju Reguły Ubogich Klarysek por. *The Life and Legend of the Lady S. Clare.*

modlitwie i pracy ręcznej[1]); pielęgnowała chorych, którzy przybywali do niej po ratunek[2]); przyjmowała braci, ilekroć odwiedzali siostry, aby rozmawiać o Chrystusie i o życiu duchowem[3]). Posiłku codziennego dostarczał jej poczęści mały ogródek, który sama uprawiała[4]), poczęści jałmużna, którą bracia zbierali dla niej i dla sióstr, gdy żebrali dla siebie.

W San Damiano życie było proste i skromne, wypełnione silnemi porywami duchowemi i żywą radością poświęcenia się ubóstwu. Ubóstwo było dla sióstr rękojmią wielkiej swobody duszy. A wszakże w swobodzie dusza raj znajduje. Klasztor św. Damjana był szczupły, ściśle wymierzony, ale cóż to znaczyło dla dusz, które tam żyły, unoszone na skrzydłach radosnej wiary, i dla których duchowe widnokręgi nie miały granic, gdyż miłość boża napełniała ich serca.

Nawet świat wydawał im się nie tak dziwny, jak wówczas, gdy przebywały w domu rodzicielskim; był to świat, który ewangelja Ubóstwa miała oczyścić i odzyskać dla Chrystusa. Z za murów swych śledziły czynne apostolstwo braci z nieustanną uwagą i żywem zajęciem, zrodzonem z miłości Chrystusa i świata, który pragnęły dlań pozyskać. W miarę możności brały udział w misjach braci; nie przystało im iść między ludzi i nauczać, ale modliły się i strzegły w swej samotni tego ognia świętego, który bracia nieśli w świat z żarliwością i zapałem. Klara zazdrościła niekiedy braciom, prag-

---

[1]) Patrz list Jakóba de Vitry, pisany w r. 1216, gdy przejeżdżał przez Italję. Pisał on o ubogich klaryskach: *Mulieres vero juxta civitates in diversis hospitiis simul commorantur nihil accipiunt sed de labore manuum vivunt"* (Sabatier, *Spec. Perfect.* str. 295). Słowa „nihil accipiunt" odnoszą się prawdopodobnie do ofiar i kwest, z jakich utrzymywały się inne klasztory. Nie mogą oznaczać, jakoby siostry nie miały przyjmować jałmużny w postaci pożywienia i innych rzeczy niezbędnych. Vide *Leg. S. Clarae*, 37.

[2]) W *Leg. S. Clarae*, 32, powiedziano, że Franciszek zazwyczaj posyłał chorych Klarze z poleceniem, aby przeżegnała ich znakiem krzyża. Lecz błog. Agnieszka z Pragi, która ściśle naśladowała św. Klarę, miała zwyczaj przygotowywania pokarmów dla ubogich i naprawiania odzieży trędowatych (*Acta SS. Mart.*, t. I, str. 510). Jest więc prawdopodobne, że Siostry od św. Damjana tak postępowały.

[3]) *Leg. S. Clarae*, 37.

[4]) *Reg. S. Clarae*, VI.

nęła za ich przykładem głosić dobrą nowinę niewiernym i tym, co nie znali Chrystusa; być może, iż gdyby żyła w innych czasach, stałaby się założycielką zgromadzenia kobiet-misjonarek[1]). Ale czas tych organizacyj jeszcze nie nadszedł[2]). W każdym bądź razie świat winien Klarze wdzięczność za to, że pozostała w San Damiano, aby podsycać tam ogień miłości bożej przez swe heroiczne porywy nadprzyrodzone i czystą duchową tęsknotę. Każdy, kto zna jej życie, przyzna, że nie mogła ona inaczej urzeczywistnić swego ideału i „stać się sługą Boga, podporą i zachętą braci, członków jego niewysłowionego ciała"[3]).

Często, gdy przeglądamy dzieje zgromadzenia, nasuwa nam się pytanie, w jaki sposób ukształtowałaby się ta historja, gdyby nie istniał klasztor w San Damiano? Wówczas skłonni jesteśmy w tej samotni na zboczu górskiem widzieć latarnię morską, stojącą wśród oceanu i wysyłającą wdal swoje światło jako przestrogę lub zachętę dla zbłąkanych wśród burzy łodzi. Po tych bowiem latach młodych nadziei i nieustraszonej wiary, która podsyca w duszach braci ogień zapału, muszą w zwykłej kolei rzeczy ludzkich nastąpić czasy burz, gdy wiara zetrze się z ziemskiem doświadczeniem. Zgromadzenie bowiem, które wciela pewien ideał życiowy, jest podobne do jednostki ludzkiej; ma ono swoją młodość, gdy unoszone porywem ideału, nie dotyka prawie ziemi; świat pozostaje najczęściej na uboczu, bądź przez obojętność, bądź przez podziw i obawę, aby nie wstrzymać jego polotu; gdy jednak ideały młodości przyobloką się w ciało, gdy ta rodząca się siła staje się realną wartością, z którą trzeba się liczyć, wówczas świat zaczyna stawiać opór

---

[1]) Por. Wadding, *Annales ad an. 1251*; gdzie opowiada, jak Klara, dowiedziawszy się o męczeństwie braci w Maroku w r. 1220, zapragnęła udać się tam również i „przelać krew za Chrystusa". Franciszek odwiódł ją od tego zamiaru.

[2]) Kościół w owym czasie nie sprzyjał czynnej pracy zakonnic, — miały one być do niej dopuszczone dopiero w kilka wieków później. W danych okolicznościach klauzura stawała się coraz powszechniejszem prawem klasztorów kobiecych. Kardynał Hugolino uważał klauzurę za jedną z podstawowych zasad swojej reformy klasztorów kobiecych.

[3]) Vide list do błog. Agnieszki z Pragi, *Acta SS. Mart.*, tom I, str. 502; Mrs. Balfour, op. cit.

i żądać praw sobie należnych. Co zaś ważniejsza, to fakt, że serce, w miarę, jak przenika doń świadomość spraw tego świata, traci stopniowo zapał, postronne i sprzeczne interesy zaciemniają blask ideału. Jest to nieunikniony los człowieka lub instytucji, pragnącej podporządkować świat własnemu swemu ideałowi. Te lata próby są bliskie; niebawem bractwo ubóstwa dozna ich ucisku. Wtedy właśnie jasny pogląd Klary, jej niezłomne przywiązanie do wszystkiego, co dotyczy zgromadzenia, wywrą wpływ zbawienny. San Damiano będzie stale świadczył o czystości ducha franciszkańskiego.

Z chwilą swego zamieszkania w San Damiano Klara stała się w pewnej mierze sędzią rozstrzygającym o losach zgromadzenia, zarówno przez stanowcze ujęcie w ścisłe formy życia własnego i życia sióstr, jak i przez rozumne rady, udzielane od czasu do czasu Franciszkowi i jego towarzyszom. W swoim klasztorze nie uznawała żadnych kompromisów z zasadami, stanowiącemi podstawę powołania, przynajmniej w sprawach ważniejszych. Zrazu było to łatwe, lecz nowy zakon, zwłaszcza zaś zakon, który z biegiem okoliczności został powołany do tego, by stać się światłem i wzorem dla innych zgromadzeń zakonnych, nie mógł istnieć bez nadzoru Kościoła: wówczas zaczęły się trudności.

Klara, z właściwym sobie zdrowym sądem o rzeczy, uzyskała od samego początku od papieża Inocentego III „przywilej" — jest to użyty w danym wypadku termin — bezwzględnego ubóstwa[1]), w myśl nauki Franciszka. Było to w r. 1215, w którym to czasie zgromadzenie stało się kanonicznem zgromadzeniem zakonnem[2]). Trudno obecnie powiedzieć, w jaki ściśle sposób dokonał się ten rozwój, a także, czy stało się to z inicjatywy Franciszka, biskupa Asyżu, lub innego prałata. Do tego czasu Klara, za przykładem Franciszka, nie chciała przybrać tytułu ani roli przełożonej klasztoru. W roku 1215 była zmuszona przyjąć stanowisko przeoryszy, jakkolwiek ze słodką pokorą błagała, by inna z sióstr otrzymała zwierzchnictwo.

---

[1]) *Testamentum S. Clarae, in Seraph. Legislat, Textus* (Quaracchi), str. 277.

[2]) Por. *Life and Legend of the Lady St. Clare.* Introduction, str. 20.

Troski jej rozpoczęły się na cztery lata przedtem, gdy kardynał Hugolino, legat papieski dla Środkowej i Północnej Italji, usiłował narzucić siostrom w San Damiano i pokrewnym zgromadzeniom — klasztor w San Damiano bowiem stał się wzorem dla innych zgromadzeń kobiecych — regułę własnego układu[1]).

W dalszym ciągu pracy niniejszej rozpatrzymy te Konstytucje Hugolińskie, jak je nazwano następnie; narazie wystarczy zaznaczyć, że zlekceważyły one „przywilej absolutnego ubóstwa" i stanowiły prawo własności nie dla jednostek, lecz dla zgromadzenia. Dążyły nadto do przeobrażenia sióstr w nowy zakon, zgoła różny od zakonu franciszkańskiego. Od tej chwili aż do przedednia śmierci całe życie Klary było jedną walką o uzyskanie dla niej i dla jej sióstr pierwotnych prerogatyw franciszkańskich: bezwzględnego ubóstwa i przyłączenia do zakonu franciszkańskiego.

Dzięki spokojnej rozwadze, wolnej od gniewu, a także dzięki niezachwianej stanowczości, zmusiła władze duchowne do uznania jej stanowiska; z niezmordowaną wytrwałością zdobywała krok za krokiem utracone pozycje. W chwili ogłoszenia Konstytucyj Hugolińskich Franciszek znajdował się na Wschodzie, dokąd się udał dla nawracania niewiernych; ciężar pierwszego przeciw nim protestu spadł więc wyłącznie na barki Klary. Kardynał Hugolino wziął siostry pod swoją osobistą jurysdykcję i wyznaczył im wizytatora czy też kierownika w osobie zakonnika cystersa; jednakże jeszcze przed powrotem Franciszka miejsce jego zajął Filip Długi, jeden z pierwszych towarzyszów Franciszka[2]).

Z tego, co wiemy o tej sprawie, wolno nam z niejakiem prawdopodobieństwem przypuścić, że Filip został mianowany na usilne prośby Klary. Po powrocie ze Wschodu Franciszek objął osobiście kierownictwo zgromadzenia w San Damiano[3]). Odtąd, jakkolwiek nie miały potemu ściśle biorąc prawa, siostry mogły

[1]) Por. Ibid. Introduction, str. 17 i nast. Konstytucje Hugolińskie znajdują się w Sbaralea, *Bull. Franc. I*, str. 263—7; także ibid. str. 394—9; a również ibid. str. 476—83, ze zmianami Inocentego IV.

[2]) Por. Sbaralea, *Bull. Franc.* I, str. 46; *Chron. Jordani*, no. 13 w *Anal. Franc.* I, str. 5.

[3]) Por. Wadding, *Annales ad an. 1219*.

praktykować bezwzględne ubóstwo. Co do innych zgromadzeń ubogich pań, Franciszek nie uczynił nic, aby je objąć pod swoją jurysdykcję; ku wielkiemu żalowi Klary musiały się więc one poddać Konstytucjom Hugolińskim.

Był to może okres, kiedy Klara cierpiała najbardziej i kiedy zmuszona była zebrać całą swoją odwagę. Sam Franciszek nawet w owym czasie jakgdyby uginał się pod ciężarem trosk, które spadły na rozwijający się zakon. Zdaje się, że zrażony trudnościami, był w owej epoce bliski zerwania węzłów, łączących San Damiano z zakonem franciszkańskim. Klara w swem głębokiem dla niego współczuciu zrozumiała położenie i przez swą niezachwianą wierność potrafiła naprawić sprawę[1]). Franciszek zgodził się odwiedzać siostry na nowo, czego nie czynił już oddawna. W ciągu następnych lat swego życia, aż do śmierci nie odmawiał nigdy Klarze swej rady i pociechy. Umierając, nakazał jej po raz ostatni, aby przestrzegała zawsze ubóstwa, które ślubowała[2]).

W duszy jej drgało jeszcze echo tego nakazu, gdy w dzień kanonizacji Franciszka zwróciła się do papieża Grzegorza IX, dawniejszego kardynała Hugolina, z prośbą o potwierdzenie „przywileju najświętszego ubóstwa", udzielonego jej przed trzydziestu laty przez Inocentego III; Grzegorz spełnił jej prośbę[3]). Poprzednio nalegał on, aby przyjęła niewielką własność, któraby zabezpieczyła zgromadzenie od niedostatku. W przypuszczeniu, że Klara z uwagi na ślub ubóstwa nie zechce się na to zgodzić, oświadczył, że ją od tego ślubu zwolni. Klara odpowiedziała: „Ojcze święty, nie zapragnę nigdy być zwolnioną od naśladowania Chrystusa"[4]). Również i przy innej sposobności szybka decyzja Klary zmusiła papieża Grzegorza do odwołania jego dekretu. Zarządził on mianowicie, aby na przyszłość bracia przestali nawiedzać siostry w San Damiano, jak to mieli we zwyczaju, za wyjątkiem braci, którzy dla nich kwestowali. Dowiedziawszy się o tem, Klara wyszła na spotkanie kwestarzy

---

[1]) Por. II. Celano, 205; patrz także *Fioretti*, rozdz. XIV.

[2]) Por. *Leg. S. Clarae*, rozdz. VI.

[3]) Por. *Seraph. Legislat. Text.* — str. 97—8. Sbaralea, *Bull. Franc.*, I, str. 771; *Life and Legend of the Lady St. Clare*, str. 23—4.

[4]) *Leg. S. Clarae*, 14.

i kazała im wrócić do ich przełożonego i oświadczyć mu: „Ponieważ braciom nie wolno odtąd nawiedzać sióstr dla oświecania ich w pobożnych rozmowach i posilać w ten sposób ich duszc, to zbytecznem jest, by bracia zbierali jałmużnę dla posilenia ich ciała". Papież w odpowiedzi na to odwołał dekret[1]).

Wiele jednak lat upłynęło, zanim inny papież, Inocenty IV, zatwierdził dla wszystkich zgromadzeń Ubogich Pań przywilej, który Klara uzyskała dla siebie. Do tego czasu Klara nie miała spokoju. Ostatnie lata jej życia były jakgdyby przeznaczone nato jedynie, by wywalczyć dla tych zgromadzeń prawo franciszkańskiego pochodzenia; umarła bowiem w dwa dni potem, gdy papież Inocenty IV położył swój podpis pod regułą, napisaną pod jej dyktandem, jako pod kartą ich swobód[2]).

We wszystkiem, co nie było sprzeczne z istotnym charakterem franciszkańskim, Klara ulegała z całą słodyczą woli papieży. Przyjęła Konstytucje Hugolińskie z wyjątkiem jedynie kwestji ubóstwa; dla sióstr słabszych złagodziła z całą względnością zbyt surowe przepisy, dotyczące dodatkowych umartwień. Była jednak niezłomna, gdy chodziło o prawo sióstr do podlegania duchowemu kierownictwu braci i do stanowienia wraz z nimi jednej rodziny franciszkańskiej. Nieomylny instynkt mówił jej, że ta łączność stanie się jedynym środkiem utrzymania istotnego charakteru instytucji i wytrwania w pierwotnym sposobie życia; instynktowo może również czuła, że w tej łączności jedynie bracia zachowają czysty ideał świętego Założyciela. Nikt bowiem nie widział równie jasno, jak ona, jak silny nacisk będzie wywierał na zakon rozsądek świata i prze-

---

[1]) *Leg. S. Clarae*, 37. — Jest jednak wątpliwe, by Grzegorz chciał zakaz nawiedzania przez braci domów ubogich klarysek bez pozwolenia apostolskiego rozciągnąć również na San Damiano. W liście swoim *Quoties Cordis* (Sbaralea, *Bull.* I, str. 36), już 14 grudnia 1227 r. powierzył pieczę nad siostrami w San Damiano Ministrowi Jeneralnemu Janowi Parenti i jego następcom, z wyraźnem zaleceniem, by mieli o nich taką pieczę i staranie, jakiemi dobry pasterz otacza swoją trzodę. Szybkość, z jaką papież pospieszył załatwić sprawę, gdy św. Klara zaprotestowała, pozwala przypuszczać, że Jan Parenti interpretował niedość szeroko Bullę *Quo elongati*.

[2]) Por. Sbaralea, *Bull. Franc.* I, str. 671—8; *Seraph. Legislat. Text.* str. 49—95.

zorność ludzka. Wiedziała także, iż z chwilą, gdy zgromadzenie utraci wiarę we własne siły, gdy zabraknie mu podstawy gorącej i silnej miłości wzajemnej, wówczas w jego łonie wybuchnie niezgoda. To też gdy nastał okres sporów w zgromadzeniu, Klara nie należała bynajmniej do tych, co je zaostrzali przez nieopatrzne dyskusje. Z całą prawością stanęła w obronie czystego ideału franciszkańskiego; nie zawahała się nigdy, nigdy nie omieszkała dać mu świadectwa, nigdy nie wprowadziła do rodziny zakonnej ducha stronniczości.

Jakkolwiek nie podzielała poglądów brata Eljasza i nie solidaryzowała się z jego polityką świecką, pragnęła jednak, aby go szanowano i słuchano jako jenerała całej rodziny franciszkańskiej[1]). Jej wzniosły umysł był wyższy ponad gwar zatargów i walk ziemskich. Temu prawdopodobnie przypisać należy wpływ i władzę, jaką posiadała, oraz podziw, jaki wywoływała u tych nawet, którzy zmuszeni byli ulegać jej woli. Niewątpliwie kardynał Hugolino żywił dla przeoryszy z San Damiano uczucie ojca względem najukochańszej córki, przywiązanie człowieka nabożnego do ukochanego świętego[2]). Inocenty IV, który po długim oporze przystał wreszcie na wszystkie jej życzenia, byłby ją kanonizował w dniu jej śmierci, gdyby kardynałowie nie byli się oparli temu pośpiechowi z uwagi na to, że mógł się wydać niewłaściwym[3]). Klara, umierając w dwadzieścia cztery lata po śmierci Franciszka, pozostawiła zgromadzenie sióstr zakonnych utwierdzone w ścisłem przestrzeganiu ubóstwa i w praktykowaniu istotnych zasad życia franciszkańskiego; bracia tymczasem wiedli jeszcze spory co do mądrości napisanej przez Franciszka reguły.

Wyprzedziliśmy cokolwiek bieg historji Franciszka, aby pokazać, jaką kobietą była Klara, czem dla braci z Porcjunkuli było jej wstąpienie do zakonu i czemu wniosła ona do rodziny franciszkańskiej nowy pierwiastek siły.

---

[1]) Patrz drugi list Św. Klary do Agnieszki z Pragi, w *Actus SS. Mart.* I, str. 505; *Life and Legend of the Lady S. Clare*, str. 144.

[2]) Patrz list Grzegorza IX do św. Klary w *Chron. XXIV. Gen. Anal. Franc.* III, str. 188.

[3]) *Leg. S. Clarae*, 47.

W oczach świata zewnętrznego przyłączenie się Klary do ruchu umbryjskiego dodało nowego blasku tej aureoli, jaką nad odrodzeniem religijnem rozpalili bracia św. Franciszka przez swe nauczanie. W jej świetle zaparcie się siebie i wytrwałość braci, które wzbudziły szacunek społeczeństwa, nabrały subtelnego, przedziwnego uroku. To, co w Porcjunkuli było bohaterstwem, stało się w San Damiano godnem czci i uwielbienia. W historji nie znajdujemy żadnej wzmianki o jakichkolwiek nieprzyjaznych wystąpieniach ludu wobec Klary i jej sióstr; czytamy jedynie o miłości dla niej i podziwie. Oczy wszystkich zwracały się ku klasztorowi na wzgórzu, niby ku domkowi w Nazaret, a lud oddawał Klarze chętnie wszelkiego rodzaju usługi, aby wyrazić jej w ten sposób cześć swoją. Czyż bowiem samo jej dotknięcie nie uzdrawiało chorych? Czyż jej obecność nie czyniła atmosfery czyściejszą i moralnie zdrowszą?

Był to istotnie cud wielki. Z klasztoru w San Damiano czystość promieniowała jak słońce na całą okolicę. Złe myśli i pragnienia ginęły w tem świetle. Kobiety pragnęły być równie czyste, jak klaryski, mężczyźni uczyli się szanować czystość w kobiecie i dążyć do czystości. „Zewsząd — mówi jej pierwszy historyk — niewiasty biegły do wonności jej olejków“[1]). Za jej przykładem panny poświęcały się Chrystusowi, kobiety zamężne wiodły czyściejsze życie; młodzieńcy, zachęceni przykładem płci słabszej, coraz liczniej i częściej odrzucali pokusy ciała[2]).

Dla tej przyczyny najbardziej miłowano Klarę; w tej bowiem epoce rycerskiej ona i jej towarzyszki były wzorem kobiet silnych wiarą, niezachwianych w stałości.

---

[1]) *Pieśń nad pieśniami*, I, 3.
[2]) *Leg. S. Clarae*, 10.

ROZDZIAŁ V.

Pierwsze próby dotarcia do niewiernych.

Klara i jej siostry przebywały od kilku zaledwie miesięcy w Sant' Angelo in Panso, gdy wieść o wielkiem zwycięstwie Hiszpanów wstrząsnęła dreszczem zapału cały świat chrześcijański. Panowanie Maurów zostało wreszcie złamane pod Las Navas w dniu 16 lipca 1212 r. Przyszła polityka Stolicy Świętej zależała w znacznej mierze od wyniku kampanji, to też Inocenty III[1]) oczekiwał wieści z pewnym niepokojem. Dzięki temu zwycięstwu było możliwe obwołanie w krótkim czasie nowej wyprawy krzyżowej dla oswobodzenia miejsc świętych. Trudno sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarła wiadomość o tem zwycięstwie na najbardziej bogobojnych umysłach świata chrześcijańskiego. Upatrywano w niem zakład opieki bożej i przyjęto je z wdzięcznością. Uznano je również za zachętę do czynnej służby chrystusowej. Niewierni byli plagą zesłaną przez Boga na świat chrześcijański jako kara za grzechy i obojętność religijną. Zwycięstwo poruszyło nawet obojętnych, gdyż zrozumieli, że zwycięstwo pod Las Navas podniecało ruch sprzyjający wyprawie krzyżowej, zamierzonej przez papieża.

Dla Franciszka w szczególności ta radosna nowina stała się hasłem przystąpienia do czynu. Zwycięstwo Krzyża wznieciło w nim, podobnie jak i w duszy wszystkich dobrych chrześcijan, zapał niewypowiedziany, radość jego jednak mąciło żywe współczucie dla niewiernych, którzy walczyli przeciwko Bogu. W swej prostocie przypuszczał może, iż taka klęska otworzy im oczy i zmusi do poznania własnych błędów. W każdym razie uczuł wewnętrzny popęd, by głosić im wiarę Krzyża. W tem

---

[1]) Por. Inocenty III, *Regest. Lib.*, XV, 15, wyd. Migne, *Epist. Quanta nunc necessitas.*

sposób bitwa pod Las Navas stała się przypadkowo czynnikiem rozwoju w apostolacie franciszkańskim.

W dotychczas przedsiębranych podróżach bracia nie zapuszczali się daleko poza granice Umbrji. Sam Franciszek spędził większość roku poprzedniego, nauczając w Umbrji i Toskanji. W Toskanji założył kilka pustelni i pozostawił parę niewielkich kolonij braci. We Florencji przyjął do zgromadzenia pewną liczbę nowicjuszów; wśród nich znajdował się Jan Parenti, doktór praw, który w długi czas potem miał być jego następcą jako jenerał zakonu. W mieście tem założył dom braci, jeden z pierwszych poza granicami Umbrji. Mieszkańcy Florencji przyjęli go całem sercem i ofiarowali mu niedaleko od miasta w pobliżu kościoła San Gallo mały domek, mogący jednak pomieścić kilku zakonników. W swych wędrówkach apostolskich dotarł do Pizy, gdzie po wysłuchaniu jego kazania zapragnęli wstąpić do zgromadzenia dwaj młodzieńcy. Byli to Agnellus, przyszły kierownik misji braci w Anglji, i Albert, który został po Agnellusie ministrem prowincji angielskiej, a następnie otrzymał godność jenerała zakonu[1]).

Franciszek pracował jednak w owym roku głównie w okolicy jeziora Trazymeńskiego. Spędził czas wielkiego postu w samotności na Isola Maggiore[2]); stamtąd wyruszył, by nauczać w okolicy.

Tak więc kazał raz w Cortonie. Po kazaniu zbliżył się doń młodzieniec, imieniem Gwido, i ofiarował mu mieszkanie w swym domu. Pochodził on ze znakomitego rodu i był bardzo bogaty, lecz bogactwo go nie zepsuło; uważał, że majątek jest tylko depozytem w jego ręku, to też rozdawał ubogim wszystko, co mu pozostawało po zaspokojeniu skromnych potrzeb. Tego wieczoru młodzieniec przyjmował Franciszka i jego towarzy-

---

[1]) Por. Wadding, *Annales ad an. 1211.*

[2]) Patrz *Fioretti*, rozdz. VI; por. I Celano, 90. Tradycja wskazuje jeszcze na Isola Maggiore cudowne źródło, które trysnęło na skutek modlitw Franciszka. „To pomaga na bóle głowy" — mówią rybacy z nad jeziora. Następnie zbudowano na wyspie klasztor franciszkanów; od czasu wygnania braci w r. 1862 kościół stopniowo popada w zaniedbanie i zapomnienie. Mury świątyni zdobią freski, przypisywane Gozzoliemu, zacierają się one jednak coraz bardziej.

sza jako znakomitych gości; obmył im z największym szacunkiem nogi i nie chciał ustąpić nikomu zaszczytu usługiwania im przy stole. Po skończonym posiłku prosił braci, by uważali, że jego majątek należy do nich, a także, by pozwolili mu ofiarować sobie odzież i wszystko, czego im potrzeba. Wspaniałomyślność młodzieńca, jego wykwintna uprzejmość ujęły wielce Franciszka. Gdy wraz z towarzyszem udał się na spoczynek, rzekł do niego: „Mój drogi bracie, ten młodzieniec, który ma bojaźń bożą, który wdzięczny jest Panu za dobra, z jego ręki otrzymane, który jest tak pełen miłości i uprzejmości dla ubogich, nadawałby się bardzo do naszego życia i do naszego zgromadzenia. Wiedz bowiem, bracie mój, uprzejmość jest jednym z przymiotów Boga, który przez uprzejmość daje słońce i deszcz zarówno sprawiedliwemu jak i grzesznikowi. Uprzejmość jest siostrą miłości, ona gasi nienawiść i każe kochać miłość. Ponieważ widzę tak wiele boskiej cnoty w tym człowieku, przeto chciałbym bardzo mieć go za towarzysza". Poczem Franciszek zaczął się modlić, aby Gwido mógł należeć do zgromadzenia. Gwido równocześnie uczuł żywe pragnienie, aby nietylko zaspokoić wszystkie potrzeby swoich gości, lecz aby podzielić ich sposób życia. To też niebawem przyszedł do Franciszka, padł przed nim na kolana i prosił o przyjęcie do zgromadzenia. Rozdał cały swój majątek ubogim, a następnie w jednym z kościołów przyjął publicznie habit Ubóstwa.

W niewielkiej odległości od Cortony, u stóp wysokiego wzgórza, na którem zbudowane jest miasto, po przeciwnej stronie od nizin ciągnących się do jeziora Trazymeńskiego, płynie szumiący strumyk, który bierze początek w górach i spada do skalistego wąwozu. Nad tym strumykiem znajduje się kilka pieczar skalnych. Franciszek i Gwido udali się tam i założyli małą pustelnię tak blisko szumiącego potoku, że fale jego rozbijały się o ściany ich pieczar[1]). Gwido zamieszkał tam i pozostał aż do

[1]) W obecnym klasztorze Cella pokazują jeszcze grotę, która stanowiła pierwotną pustelnię. Ale brat Eljasz, wikary jeneralny św. Franciszka, dokonał tam pewnych przeróbek. Przerabiali też Cellę kapucyni w XVI w. W każdym razie i w obecnym stanie klasztor ten jest jednym z niewielu, które zachowały charakter „loci" franciszkańskich. Ostatnie przybudówki harmonizują nawet z dawnemi budynkami.

śmierci, która nastąpiła po wielu latach. Dzielił czas pomiędzy modlitwę i pracę ręczną, której oddawał się stale, nawet po otrzymaniu — przez posłuszeństwo — święceń kapłańskich. Co czas pewien odrywał się od życia kontemplacyjnego, aby wejść na wzgórze i kazać do ludu w Cortonie. Ale najwymowniejszą nauką był przykład jego życia. Cella, — groty, zamieszkane przez Gwidona i jego towarzyszy — stała się wkrótce dla mieszkańców okolicznych prawdziwym wzorem życia nadprzyrodzonego[1]).

W Cortonie również — jak mówią, — w tym samym mniej więcej czasie, w którym wstąpił do zgromadzenia Gwido, przyjął Franciszek drugiego postulanta; imię jego stanie się słynnem w następnych latach: słynniejsze, niż imię Gwido, ale mniej błogosławione. Postulantem tym był brat Eljasz, o którym będziemy mówili jeszcze wiele w ciągu pracy niniejszej[2]).

Franciszek opowiadał ewangelję również w całej okolicy, położonej na południo-wschód od jeziora, i pozostawił pamiątki swego tam pobytu w postaci pustelni[3]), w których osadzał braci, między innemi w Cortonie i w Sarteano w górach. W Sarteano właśnie, nawiedziła Franciszka silna pokusa, którą pokonał. Pewnej nocy, gdy trwał na modlitwie, doznał pokusy żalu, że się poświęcił umartwionemu życiu. Opanował się niezwłocznie i odrzucił tę myśl, ale natychmiast wystąpiła nowa pokusa. Nie ustępowała, choć Franciszek biczował się z taką siłą, że ciało jego było pokryte sinemi pręgami. Była to zima, na wzgórzu leżał śnieg; nie mogąc poskromić ciała dyscypliną, Franciszek wybiegł nago na śnieg i uczynił z niego siedem kup. Potem, zwyczajem południowców, począł karcić się surowo:

---

[1]) Por. *Acta SS. Vita B. Guidonis die 12 junii,* t. II, str. 601 i nast. Prawdopodobnie, jak twierdzi Joergensen, Gwido jest bohaterem historji, przytoczonej w rozdz. 36 *Fioretti*.

[2]) *Vita B. Guidonis, loc. cit.* mówi, że w Cella Franciszek przyjął również do zakonu Eljasza z Villa Uraria. Wadding, *Annales ad an. 1211*, bierze tego Eljasza za brata Eljasza tak słynnego w historji franciszkańskiej. Jest to wszakże wątpliwe, gdyż Eljasz, wikary jeneralny, był prawdopodobnie urodzony na terytorjum asyskiem.

[3]) Według tradycji, pustelnie te zostały założone na początku r. 1212. Por. Wadding, *Annales ad an. 1212*.

„Ta wielka kupa — to twoja żona; te cztery — to twoi dwaj synowie i dwie córki; tamte dwie — to twoi służący i służąca. Spiesz ich przyodziać, gdyż umierają z zimna". W ten sposób drwił dzielnie ze swej pokusy, aż wreszcie przemarznięty do kości, zwrócił się do siebie z następującemi słowami: „Skoro troszczenie się o innych jest ci tak niemiłe, myśl tylko o tem, by służyć Bogu". Wreszcie pokusa ustąpiła i Franciszek wrócił do swej celi, składając dzięki Panu[1]).

Gdy Franciszek opowiadał Ewangelję w Sarteano, kilku braci udało się do innych miast i okolic, aby tam głosić apostolstwo ubóstwa. Bernard da Quintavalle był wysłany do Bolonji, miasta słynnego w całej Europie ze swych szkół prawa. Młodzież, przybyła ze wszystkich krańców Włoch, tłoczyła się literalnie w mieście, aby słuchać wykładów. Trzeba było mieć istotnie sporo odwagi, by głosić Ewangelję prostoty i zaparcia się siebie w tem środowisku młodocianych ambicyj intelektualnych i wszelkiej próżności. Musiał w tym wypadku działać u braci instynkt równie silny, jak rozpęd armji najezdniczej, zdobywającej twierdzę zajętego kraju. Bardziej niż gdziekolwiek duch szkół w Bolonji stanowił bezwzględne przeciwieństwo z duchem zakonu. W Bolonji mądrość serca, która słucha z uległością nauk Chrystusa, jedyna mądrość, ceniona przez Franciszka, była w najgłębszej pogardzie. Młodzież uczęszczała do szkół bynajmniej nie poto, aby nauczyć się prawdy o życiu, albo dowiedzieć się, jak żyć winni chrześcijanie, dbający o zbawienie duszy nieśmiertelnej; podobna myśl wywołałaby wśród studentów wybuch śmiechu. Nauka była dla nich tem, czem dla kupca skrzynia towaru, t. j. takim samym środkiem, jak każdy inny, do utorowania sobie drogi w życiu, choćby z krzywdą bliźniego. Sama nawet atmosfera szkoły tchnęła subtelnym materjalizmem; kwitła w niej bujnie pycha i pedantyzm. Pretensja do wyższości umysłowej szła u młodzieży w parze z oschłą brutalnością i rozwiązłością obyczajów.

Do Bolonji więc udał się poważny i wykwitny Bernard da Quintavalle, poleciwszy się przed podróżą Chrystusowi, swemu Panu i Mistrzowi. Stał się zrazu pośmiewiskiem studentów

[1]) II Celano, 116.

i obywateli. Popychano go i poniewierano, skoro tylko pojawił się na ulicach miasta. Pewien znakomity obywatel, który był również doktorem prawa, nazwiskiem Mikołaj di Popoli, ujęty widoczną świętością poniewieranego zakonnika, zaopiekował się nim i ofiarował mu mieszkanie. Po niejakim czasie umieścił braci w jednym domu za miastem. Niebawem lud począł uważać Bernarda za świętego, co go tak przestraszyło, że ratował się ucieczką, bowiem bardziej lękał się czci niż poniewierki. Przybył tedy do Franciszka i rzekł: „Dom jest założony pod miastem Bolonją: każ braciom, ażeby go utrzymali i zamieszkali w nim; ja nie odniosę tam żadnej korzyści z powodu czci, jaką mi okazują; obawiam się bowiem, że mogę stracić więcej niż zyskam". Franciszek wysłał zatem do Bolonji innych braci; zczasem rozsławili oni zakon w całej Lombardji[1]).

W ten sposób Franciszek i jego bracia zakonni zaprawiali się do swego powołania, gdy zwycięstwo pod Las Navas zwróciło wszystkie umysły ku nowej wyprawie krzyżowej; Franciszek począł myśleć o nawracaniu niewiernych.

Czynienie starannych przygotowań przed jakąkolwiek wyprawą nie leżało w jego usposobieniu. Jak prawy rycerz śpieszył posłusznie z chwilą, gdy go wzywał rycerski obowiązek. Zresztą długie przygotowania były zbyteczne; oręż miał zawsze w pogotowiu: gorącą wiarę i głębokie współczucie dla ludzi, nie znających Boga. Jego posłannictwo, jak zawsze powtarzał, było misją herolda lub posła Boskiego Zbawcy: skoro wywiązał się z tego posłannictwa, skoro pozyskał ludzi dla życia wedle nauki Chrystusa, rola jego była skończona. Organizowanie tego Królestwa Chrystusowego i rządzenie niem pozostawiał innym: duchowieństwu i władzom świata.

Puścił się w tę daleką drogę tak, jakgdyby się udawał na wędrówkę po katolickiej Italji, zaopatrzony tylko w wiarę i miłość. Wszakże — myślał — Bóg będzie z nim zawsze, zarówno wśród chrześcijan jak i wśród niewiernych. A jeśli nie pozyska niewiernych słowem, jeśli — co jest wielce

---

[1]) *Vita Fr. Bernardi* w *Chron. XXIV. Gen. Anal. Franc.* III. str. 36—7; *Actus S. Franc.*, rozdz. 4; *Fioretti*, rozdz. 4; Wadding, *Annales ad an. 1211*; Vide *Acta SS. mense oct.* tom II, str. 843 i nast.; Hilarin de Lucerne, *Histoire des Etudes*, str. 132.

prawdopodobne, Bóg dozwoli mu ponieść męczeństwo za wiarę, to umrze tem lepiej, że usłuchał poprostu głosu powołania.

Tym, co nie znają Franciszka, może się wydawać dziwnem, że puścił się w drogę do odległych krajów, gotowy umrzeć w trakcie wykonywania swej misji, gdy zakon był zaledwie założony. Ale Franciszek nie uważał, aby on sam był niezbędnie potrzebny dla zgromadzenia. Bóg mógł, jego zdaniem, zachować swe własne dzieło i wybrać innego przewodnika do kierowania braćmi: najważniejszą rzeczą było, aby on sam ulegał woli bożej i dał braciom z siebie przykład rycerskiej wierności powołaniu, które wślad za nim obrali.

Franciszek wsiadł na okręt, płynący do Syrji, w Ankonie, prawdopodobnie w r. 1212. Ale to prawdziwe posłannictwo ducha — gdyż jak się później przekonamy, było to natchnienie boże — nie miało się dokonać tak prosto i łatwo. Zaledwie rozpuścili żagle, gdy zerwała się gwałtowna burza, która zepchnęła statek z drogi i wyrzuciła go na wybrzeże Dalmatyńskie. Franciszek i inni jadący z nim podróżni zmuszeni byli tam wylądować. Niemożliwem było jechać dalej do Ziemi Świętej, nawet powrót do Italji nastręczał trudności. Franciszek nie miał pieniędzy na opłacenie przejazdu, a właściciele statków w tej okolicy nie chcieli się zadowolnić tem, że Franciszek ślubował ubóstwo. Gdy nie pomogły żadne perswazje, Franciszek uciekł się z konieczności do podstępu. Po porozumieniu z jednym z marynarzy Franciszek i jego towarzysz ukryli się na mającym odpłynąć okręcie. Marynarz zaopatrzył ich również w znaczny zapas żywności, dostarczonej mu przez usłużnego jakiegoś przyjaciela. Ta przezorność stała się dla nich w następstwie ważniejszą, niż zrazu przypuszczali. Morze było jeszcze wzburzone, co przedłużyło znacznie czas trwania podróży, tak że załoga poczęła odczuwać brak pożywienia. Franciszek podzielił się swojemi zapasami z marynarzami, co ich ujęło. Zanim okręt przybił do Ankony, Franciszek pozyskał sobie pełnych szacunku słuchaczy, którzy chętnie słuchali jego pełnych żarliwości nauk[1]).

W ten sposób jego pierwsza próba dotarcia do niewiernych skończyła się tylko na opowiadaniu Ewangelji załodze okrętu:

[1]) Celano, 55: *Tract. de Mirac.* 33. *Leg. Maj.* IX, 5.

był to przynajmniej jedyny widoczny narazie rezultat. Otóż w tym wypadku, jak w wielu innych sprawach, wartość czynu nie polegała na otrzymanym wyniku, lecz na idei, która go natchnęła. Przez całe życie Franciszek czuł dziwną sympatję do tych obcych ludów, żyjących poza Królestwem Chrystusa. Kilkakrotnie, zawsze bezskutecznie, usiłował nieść im naukę Ewangelji; próby te nie pozostały całkiem bezpłodne. Dzięki nim świat chrześcijański zajął inne stanowisko wobec ludów, uważanych przedtem za nieprzyjaciół Krzyża.

Konieczność obrony przed niewiernymi narzuciła narodom chrześcijańskim myśl wojen krzyżowych; to właśnie usprawiedliwia pierwsze wyprawy. Trudno jednak wojować z jakimś narodem, zachowując dlań równocześnie miłość, przyniesioną na świat przez Boskiego Zbawcę. W ciągu trwania wojen krzyżowych świat chrześcijański począł uważać niewiernych za lud przeklęty, który należało bądź wytępić, bądź też podbić siłą miecza. Był to pogląd ogólny. Prawda, były odosobnione próby przekonania ich o ich błędach. Nawet papieże zwracali się do sułtana z listami w tym duchu. Ale wszystkie tego rodzaju poczynania miały charakter podobny do odezw, jakie wódz armji przesyła nieprzyjacielowi w tej niepewnej nadziei, że uda się może uzyskać kapitulację bez krwi rozlewu.

Zgoła o czem innem marzył Franciszek: myślał on o ich nawróceniu. Wszakże ci niewierni posiadali dusze, dusze, za które umarł Chrystus; chciał więc dla ich własnego zbawienia nieść im słowa Chrystusa. Myślał z czułością o nich; wyobrażał sobie, że gdyby im głoszono słowo boże nie w ogniu wojen, bez praktycznych argumentów rozumu ludzkiego, możeby je wzięli do serca. Pragnął iść do nich w duchu Zbawiciela, a jeśli będzie trzeba, ponieść cierpliwie śmierć z ich ręki, jak Chrystus, ofiarując życie swoje za ich zbawienie.

Taką wyprawę krzyżową, krucjatę ducha, pragnął w prostocie swej wiary i miłości podjąć Franciszek. On sam, jak to się zwykle zdarza siewcom najpłodniejszych idei, miał niewiele uczynić dla bezpośredniego nawrócenia niewiernych. Podobny ideał, zanim zostanie urzeczywistniony, musi zostać przeniesiony na grunt mniej żywy i ruchliwy niż podłoże, na jakiem się zrodził. Idee Franciszka, dotyczące powołania zakonu, po-

siadały istotną żywotność prawdy idealnej. Częstokroć były one zbyt wzniosłe, zbyt uduchowione dla zwykłych śmiertelników; ale działały jak ogień, oczyszczały ogólnie przyjęte reguły od przyziemnych pierwiastków. Niekiedy ciskały światło szczerego przekonania na nowe i wzniosłe drogi, na które wstępował Franciszek, a przez to czyniły je bardziej przystępnemi. Tak się też stało z jego ideą co do nawracania niewiernych siłą Ewangelji jedynie. Ta myśl Franciszka stała się istotnym pierwiastkiem życia zakonu, ona to gnała braci w następstwie do odległych krajów, poza światem chrześcijańskim, ona to słała ich w najdalsze krańce świata, zbrojnych jedynie w ubóstwo i wiarę, bez pomocy ziemskiego oręża lub dyplomacji; szli oni, jak Apostołowie w pierwszych czasach ewangelicznych[1]). Jedną z zasług Franciszka dla chrześcijaństwa było właśnie zbudzenie w łonie Kościoła nowego zapału do nawracania niewiernych „nieprzyjaciół krzyża", a nie do ich podbijania. Tak więc pierwsza próba Franciszka dotarcia do niewiernych dla opowiadania im Ewangelji, zakończona na wybrzeżu Dalmatyńskiem, nie była właściwie chybiona; był to pierwszy posiew ziarna, które z końcem zimy miało zakiełkować.

Po powrocie do kraju Franciszek podjął cały szereg podróży apostolskich po Umbrji i Marchjach Ankońskich. W tym czasie przebył okres wątpliwości co do tego, czy jest powołany osobiście do czynnego apostolstwa, czy też do skupionego apostolstwa modlitwy. Nie możemy jednak powiedzieć, czy ten okres wątpliwości nastąpił bezpośrednio po nieudaniu się misji u niewiernych, czy też nieco później, na skutek innego wypadku, który później opowiemy.

Pod koniec wiosny r. 1213 Franciszek, nauczając w Romanji, doszedł do Montefeltro, w Apeninach, na granicy Toskanji. Był to niewielki gród warowny, stojący wysoko w górach na skalnem urwisku. Rządził nim pan zamku, dokoła którego zbudowane było miasto. Gdy Franciszek przybył do Montefeltro, pasowano właśnie na rycerza krewnego owego pana; zdarzenie

---

[1]) Listy Grzegorza IX dowodzą przedziwnej działalności braci franciszkanów jako zwykłych misjonarzy wśród niewiernych. Por. Sbaralea, *Bull. Franc.* I str. 93, 100, 102, 106, 155, 233, 269.

to obchodzono śpiewem i turniejami, z całą paradą średniowiecznych uroczystości; przyjaciele rycerza przybyli zewsząd, aby go uczcić. Podnieciło to wyobraźnię Franciszka, który był zawsze wrażliwy na rzeczy, dotyczące rycerstwa. Liczne tłumy zebrały się na dziedzińcu zamkowym, bądź aby przypatrzeć się zabawom rycerskim, bądź aby słuchać turnieju minstrelów. Franciszek przedostał się przez tłum, wszedł na wzniesienie i poprosił, aby mu pozwolono przemówić. Dostrajając się do charakteru sceny, roztaczającej się przed nim, obrał za tekst przemowy te dwa wierze śpiewu minstrelów:

„Tanto è il bene ch'aspetto,
„Ch'ogni pena m'è diletto.

„Tak wielkie jest dobro, którego oczekuję, że wszelki trud jest mi rozkoszą". Poczem zaczął opisywać służbę Chrystusową, przeplatając swoje opowiadania przykładami bohaterskiej cierpliwości apostołów, męczenników, świętych mężów i niewiast. Dowodził, że ci bohaterowie uważali cierpienie, a nawet śmierć, za cenę niezbyt wielką dla pozyskania nagrody oglądania Boga wiecznie, twarzą w twarz.

Wśród słuchaczy znajdował się rycerz, imieniem Orlando dei Cathani pan Chiusi w Casentino. Przemowa Franciszka wywarła na nim takie wrażenie, że gdy ten skończył i zmieszał się z tłumem, Orlando odnalazł go i prosił o rozmowę duchowną. „Bardzo chętnie, odrzekł Franciszek, ale teraz należysz do twoich przyjaciół; zjedz z nimi obiad, a potem porozmawiamy". Orlando tedy zjadł obiad z przyjaciółmi, poczem miał długą rozmowę z Franciszkiem. Po owej rozmowie rycerz ofiarował Franciszkowi schronienie dla braci na górze Alverno, wysoko w samotności Apeninów; miejsce to, jak mówił, położone zdala od drogi, nadawało się do kontemplacji i życia pokutnego. Franciszek przyjął z wdzięcznością, obiecał przysłać tam braci i przybyć do nich po powrocie z Asyżu, dokąd się udać zamierzał[1]). Jest bardzo możliwe, że ofiara rycerza Orlando, bezpo-

[1]) *Fioretti I Conside. Stim.*, *Actus*, rozdz. 9. O dacie nadania Alverna świadczy *Instrumentum donationis Montis Alverne*, że przypada ona na 8 maja 1212 r. Por. Sbaralea, *Bull. Franc.* IV, str. 156, no. 5. Z cha-

średnio po nieudanej misji do niewiernych była przyczyną, iż zadał sobie pytanie, czy istotnie natchnienie do przedsięwzięcia podróży tak napozór bezużytecznej pochodziło z nieba i czy rola misjonarza w zgromadzeniu jest dla niego odpowiednia. Istotnie, nie wszyscy bracia byli powołani do kaznodziejstwa; niektórzy wykonywali lepiej swoje powołanie zakonne przez życie kontemplacyjne. W samotności, oddani modlitwie, mogli skupiać w sobie tę energję ducha, która łatwo ulega rozproszeniu na drogach świata. Byli oni płomieniem, który podsycał u kaznodziejów żar ducha.

W chwili, gdy w duszy Franciszka zbudziły się w tym względzie wątpliwości, znajdował się on w Porcjunkuli, czy to jednak było przed spotkaniem pana Orlando, czy też potem, nie możemy dokładnie powiedzieć[1]).

Franciszek nie chciał polegać na własnym sądzie. Przywołał brata Masseo i zwierzył mu się ze swych wątpliwości. Następnie polecił mu udać się do siostry Klary, przedewszystkiem z prośbą o modlitwy, poczem miała ona mu powiedzieć, jak Bóg ją natchnął co do tej sprawy. Następnie Masseo miał się udać do brata Sylwestra, który żył w samotności, i postąpić podobnie. Gdy Masseo powrócił, Franciszek przyjął go uroczyście, jak wysłańca bożego; umył mu nogi i przyrządził posiłek. Potem udali się obaj do lasu. Tam Franciszek padł na kolana, rozkrzyżował ręce i w tej pozycji wysłuchał słów brata Masseo. „Siostra Klara i brat Sylwester, rzekł Masseo, są oboje jednego zdania, a mianowicie, że winieneś iść w świat głosić Ewangelję

---

rakterem *Fioretti*'ch zgodne jest zupełnie pomieszanie historji nadania z historją stygmatów, głównem zdarzeniem z życia Franciszka, związanem z Monte Alverno: jednak opis kazania posiada wszelkie cechy autentyczności. Por. I Celano, 23; *Tres. Soc. 25*; *Leg. Maj.* III, 2; a także opis sposobu kazania Franciszka w liście Tomasza ze Spalatro.

[1]) Jest możliwe, że miało to miejsce po nadaniu Alverna, gdy św. Klara była już w San Damiano z siostrami, które do niej przybyły. Taki przynajmniej wniosek wyciągnąłem z tekstu *Leg. Maj.* XII, 1. Sabatier umieszcza ten fakt odwołania się do św. Klary i do brata Sylwestra po podróży do Hiszpanji, ale słowa Celana wskazują, że zdarzenie to miało miejsce w okresie, który nastąpił bezpośrednio po powrocie ze Sławonji (Dalmacji) przed podróżą do Hiszpanji.

ku zbawieniu dusz, gdyż łaska powołania nie jest ci dana dla ciebie samego, ale również dla zbawienia innych". Wówczas Franciszek powstał i rzekł z głębokiem przekonaniem: „Dobrze, więc idziemy w imię Boga". Ani chwili nie zwlekając, wraz z braćmi Masseo i Angelo Tancredi wyruszył w nową podróż. Szedł drogą, która przecina dolinę i wiedzie do Spoleto. Gdy tak szedł z umysłem oswobodzonym od natrętnych wątpliwości, miał uczucie, jakgdyby cała przyroda wtórowała radosnej wdzięczności ku Bogu, którą przepełnione było jego serce. W tym momencie nagle zacieśniły się węzły pomiędzy nim a przyrodą.

Przeszli przez Cannarę, leżącą o dwie godziny drogi od Asyżu; znajdowali się obecnie na drodze do Bevagna. Szli jeszcze dwie godziny w tym kierunku umiarkowanym krokiem, gdyż znużenie poczynało dawać się im we znaki, i doszli do miejscowości zwanej obecnie Pian d'Arca. Wzdłuż białego szlaku drogi na prawo i na lewo rozścielają się zieleniejące pola, usiane gdzieniegdzie grupami drzew, dających miły cień wśród żaru słońca. Uwagę Franciszka zwróciło mnóstwo wszelkiego rodzaju ptaków; zebrały się one zwabione dojrzałem już zbożem. Na ich widok, słysząc gwar ich zmieszanych głosów, uczuł w sercu wielką ku nim tkliwość i chęć stania się bratem tych radosnych stworzeń bożych.

Kazał więc zatrzymać się swym towarzyszom i pobiegł do ptaków, obawiając się wszakże, iż odlecą. Ku wielkiemu jego zdziwieniu, nie ruszyły się one z miejsca, jakgdyby na niego czekając. Franciszek, ożywiony większą jeszcze ku nim czułością i wdzięcznością, powitał je zwykłem swem pozdrowieniem: „Moi bracia, niech Bóg wam ześle pokój!" A potem zaczął przemawiać do nich serdecznie: „Bracia moi, ptaki, winniście słusznie chwalić i miłować Stwórcę. Dał wam on pióra na odzienie, skrzydła do lotu i wszystko, czego wam potrzeba. Bóg uczynił was szlachetnymi pomiędzy wszystkiemi stworzeniami, dając wam mieszkanie w czystości przestworza, a choć nie orzecie ani zbieracie, On ma o was pieczę i kieruje wami, nie potrzebujecie się o nic troszczyć". Tak mówił Franciszek do ptasząt; a one na dźwięk jego głosu nabrały ufności, przyfrunęły bliżej, przechylały główki, aby go widzieć. Okazywały zado-

wolenie trzepotaniem skrzydeł, a szczebiotem swym wyrażały mu swe zaufanie. Widząc, że się go nie lękają, Franciszek uczynił kilka kroków wśród nich; i tym razem nie zdradzały żadnej obawy. Pobłogosławił je znakiem krzyża, a potem kazał im odlecieć; posłuszne ptaszęta wzbiły się w górę[1]).

Franciszek i jego towarzysze udali się w dalszą drogę do Bevagna. Spotkało go coś, co sam niezupełnie zrozumiał. Ziemia otwarła przed nim nową swą tajemnicę. Raz już przedtem rozdarła się przed nim tajemnicza zasłona życia, i poczuł się w duchu bratem parjasa i trędowatego; był to stanowczy zwrot w jego życiu. Podobny wypadek zdarzył mu się obecnie: pobiegł do ptaków, poruszony żywą sympatją, jaką czuł zawsze do istot niższych, z tem gorącem współczuciem, które tak często wystarcza do zdobycia ich zaufania[2]).

Gdy tak szedł drogą, zdał sobie sprawę, że doznaje nowego uczucia tkliwości, uczucia zgoła odmiennego od wrażeń, jakich dotąd doświadczał. Budziło się w nim coś nowego, w sercu jego zrodziło się lepsze zrozumienie wewnętrznego życia zwierząt, ptaków i żywych stworzeń. W stosunku do nich doznawał nietylko uczucia szczególnej życzliwości, ale uczuł, że przestał być w stosunku do nich obcym choć sympatycznie usposobionym człowiekiem: stały się one jakgdyby życiem jego życia, podobnie jak przedtem ubodzy.

Wraz z tem nowem rozumieniem zstąpiła nań dziwna władza nad całem tem wolnem, dzikiem życiem na ziemi, w wodzie i w przestworzu. Zwierzęta najbardziej lękliwe nabierały wobec niego ufności, najdziksze się uspokajały. Ci, co znali Franciszka, opowiadają liczne fakty, odnoszące się do tej dziwnej jego władzy. W Alviano n. p. gdy mówił kazanie, jaskółki, budujące sobie gniazda, przeszkadzały mu swym szczebiotem. „Siostry moje, jaskółki, — rzekł im Franciszek — teraz na mnie kolej mówić: wy mówiłyście już dosyć“. Jaskółki uciszyły się na-

---

[1]) I Celano, 58; *Leg. Maj.* XII. 2—3; *Fioretti*, rozdz. XV; *Actus*, rozdz. 16.

[2]) Podczas postu nad jeziorem Trazymeńskiem na dwa lata przedtem, królik przywiązał się do Franciszka tak, że nie chciał się z nim rozłączać. Por. I. Celano, 60.

tychmiast i nie odzywały się aż do końca kazania[1]). Innym razem, gdy był w Porcjunkuli, zdarzyło się, że konik polny obrał sobie mieszkanie na drzewie figowem w pobliżu celi Franciszka. Gdy go zawołał, siadał mu na dłoni, a Franciszek mówił: — „Śpiewaj, bracie koniku, i chwal Pana swą radosną piosenką". Konik polny natychmiast zaczynał ćwierkać, aż wreszcie Franciszek przyłączał się do jego śpiewu. Odlatywał dopiero, gdy mu Franciszek rozkazał. Po tygodniu kazał konikowi opuścić to miejsce, nie chciał bowiem z dzikich stworzeń czynić nawet dobrowolnych jeńców; konik polny nie wrócił już więcej[2]).

Najbardziej jednak charakterystyczną jest historja o wilku z Gubbio. Odnosi się ona do ostatnich lat życia Franciszka, gdy brak sił nie pozwalał mu chodzić. Po nocy spędzonej w klasztorze San Verecondo, położonym na wzgórzu, jechał na ośle do Gubbio. Przed wyjazdem wieśniacy prosili go, by odstąpił od tego zamiaru, gdyż zgłodniałe wilki grasują w okolicy i mogą go pożreć wraz z osiołkiem. Franciszek odrzekł im wesoło: „Ale jakąż krzywdę wyrządziłem braciom moim, wilkom, aby miały nas zjeść, mnie i mego osła? Pojadę więc w imię Boga." Gdy Franciszek przybył do Gubbio, zastał miasto ogarnięte paniką. Przemówił więc do mieszkańców. Rzekł im, że utrapienie to przyszło na nich jako kara za grzechy; nakłaniał ich, by odtąd starali się wieść lepsze życie, jeśli chcą stać się przyjaciółmi Boga i jego stworzeń. Po skończonem kazaniu udał się na poszukiwanie wilka, który dla swej drapieżności stał się postrachem Gubbio. Dzięki swej przedziwnej władzy obłaskawił zwierzę, przywiódł je uległe i łagodne do miasta i kazał mu dać jeść. Od tej pory oswojony wilk aż do śmierci przebywał w mieście. Tradycja podaje, że został pogrzebany z honorami w miejscu, które obrał sobie za schronienie. Później, dla upamiętnienia tego wypadku wzniesiono kościoł pod wezwaniem San Francesco della Pace[3]).

---

[1]) I Celano, 59; *Leg. Maj.*, XII, 4.

[2]) II Celano, 171.

[3]) Długi czas chciano w rozdz. 20 Fiorettich i w Actus, 23 widzieć zwykły myt lub alegorję. Ale w ostatnich latach dwa świadectwa poparły istotną autentyczność tej historji. Mam na myśli *Passio S. Verecundi*, kronikę współczesną niemal, wydaną przez Mgr. Falocci

Gdy Franciszek odkrył w sobie po raz pierwszy owo braterstwo z ptaszkami, nie uświadamiał sobie zrazu władzy, która mu została udzielona. Idąc drogą ku Bevagna, czuł jedynie jakąś nową swobodę ducha wśród stworzeń boskich, co sprawiło mu wielką radość. Jednakże na radość tę padał cień żalu; była to myśl, że tak długo był obcy w tym świecie przyrody żywej, że tak długo ociągał się z głoszeniem braciom swym ptakom słowa bożego.

Podróż przez dolinę Spoleto i przez Marchje Ankońskie, dokąd Franciszek udał się również w tym czasie, stała się prawdziwym pochodem triumfalnym. Ludzie zbierali się dokoła niego tłumnie, przynosząc chorych, których miał uzdrowić, uradowani, gdy mogli dotknąć kraju jego szaty; szczęśliwi, gdy zdołali oderwać strzępek jego habitu, by go zachować jako relikwję: groziło mu niebezpieczeństwo, że zostanie bez odzienia. Przedmioty nawet, których dotykał, stawały się w ich oczach poświęcone; przechowywano je potem w tem przekonaniu, że przynoszą ulgę w chorobach.

W niektórych miejscowościach lud z duchowieństwem na czele, na wieść o jego zbliżaniu się do miasta wychodził na jego spotkanie; dzwony biły radośnie, dzieci szły w pochodzie i klaskały w dłonie, lub niosły palmy i towarzyszyły mu ze śpiewem. Kazania jego miały niesłychane powodzenie w Marchjach Ankońskich i na granicy Romanji. W Ascoli trzydziestu ludzi, z których kilku posiadało niejakie wykształcenie, wstąpiło do zgromadzenia. Nawet heretycy patarynowie, bardzo liczni w tych stronach, uszanowali jego kazania i nie stawiali Franciszkowi żadnej opozycji, jakkolwiek on powstawał przeciwko ich nauce i starał się usilnie wszczepić w słuchające

---

Palignani w *Miscell. Franc.* X, str. 6—7. Kronika ta podaje jako fakt nie podlegający wątpliwości, że Franciszek przybył do Gubbio w czasie, gdy w okolicy grasowały wilki. Por. *Archiv. Franc. Hist.* an. I fasc. I, str. 70. Co do tradycji o zamieszkaniu i śmierci wilka w Gubbio, jak podaje tekst, to znaleziono pod staremi murami kościoła San Francesco della Pace zakopaną czaszkę wilka. Dokładną wiadomość o tem znajdujemy w „*Gubbio, Past and Present*“ przez L. Mc. Craken (Dent) str. 283.

go tłumy obowiązek posłuszeństwa względem Kościoła katolickiego i poszanowania dla duchowieństwa[1]).

Na tem miejscu pragniemy zaznaczyć, co przyczyniło się częściowo do wielkiego wrażenia, jakie wywierały kazania Franciszka. Było mu obojętne zgoła, czy mówi do licznych tłumów czy też do jednej lub dwóch osób; mówił zawsze z jednakową swobodą i z równym zapałem[2]). Zapominał zupełnie o sobie i głosił swoje posłannictwo pokuty, pokoju i miłości z płomienną wymową, choćby go słuchała jedna tylko osoba. Pobudki, które zmuszały go do mówienia, były niezależne od liczby ani od jakości słuchaczy; był to bowiem jego własny podziw dla tajemnic przedwiecznych i gorliwość w wypełnieniu powierzonej mu misji apostolskiej. Mówił, gdyż musiał, z przepełnionego serca; a mówić mógł jedynie wtedy, gdy uczuł konieczność mówienia. W przeciwnym razie, gdy proszono go, by przemawiał, błogosławił lud i odchodził[3]). Nie mówił nigdy dla formy jedynie. Nie potrafił również przygotowywać naprzód kazań, jak to czynią zwykli kaznodzieje. Kilkakrotnie próbował wygłosić kazanie, starannie przygotowane, ale mu się to nie powiodło. Przygotowana mowa tamowała swobodny polot jego myśli, uczuwał w mózgu zupełną próżnię[4]). To też gdy przemawiał, mowa jego czyniła wrażenie potoku, który rwie tamy, była gwałtowna i szybka, groźna w swej mocy, nacechowana rozpierającem zewnętrzną formę natężonem życiem wewnętrznem. Mimo to słowa jego były dźwięczne, miłe dla ucha, kojące dla duszy słuchaczy, jak powierzchnie wielkich wód.

Franciszek powrócił wreszcie do Porcjunkuli, ale w głębi serca czuł zawsze pragnienie dotarcia do niewiernych: to też przed nadejściem zimy puścił się znowu w drogę, aby uskutecznić swój zamiar[5]).

Tym razem postanowił opowiadać Ewangelję Maurom, pokonanym całkowicie przed rokiem pod Las Navas; to też udał się

---

[1]) I Celano, 62.

[2]) *„Populorum maximam multitudinem quasi vivum unum cernebat et uni quasi multitudine diligentissime praedicabat"* (I. Celano, 72).

[3]) I, Celano, 72.

[4]) Por. II, Celano, 107.

[5]) Por. *Chron. XXIV* w *Anal. Franc.*, III, str. 189.

do Hiszpanji w zamiarze przedostania się stamtąd do Maroka. W liczbie jego towarzyszów znajdował się Bernard da Quintavalle, ten sam, który uciekł z Bolonji w obawie przed czcią, jaką go tam otaczano, jakeśmy to opowiedzieli wyżej. Franciszek tak gorąco pragnął znaleźć się u celu podróży, że towarzysze drogi z trudem zdołali dotrzymać mu kroku. Biegł tak szybko, że jak mówi święty Bonawentura, czynił wrażenie człowieka „odurzonego w duchu“. Ale i tym razem wyprawa jego nie miała się udać. Po przybyciu do Hiszpanji wskutek trudów podróży i surowej zimy zapadł na zdrowiu i nie mógł iść dalej. Po przyjściu do zdrowia postanowił wrócić do domu w przekonaniu, że bezpośrednim jego obowiązkiem było nauczanie współbraci w Italji[1]). Niektórzy jednak utrzymują, że w powrotnej drodze zatrzymał się u grobu Św. Jakóba Apostoła w Compostelli; gdy się tam modlił, otrzymał wewnętrzne zapewnienie, że podróż jego nie będzie daremna, gdyż w drodze powrotnej znajdzie miejscowości, w których założy domy zakonne i przyjmie wielu braci do zakonu[2]).

¹) I, Celano, 56; *Leg. Maj.*, IX, 6.

²) *Chron. XXIV. Gen.* w *Anal. Franc.*, III, str. 9; patrz także str. 189—90, gdzie opowiedziane są rozliczne wypadki, dotyczące tej podróży. Tradycja mówi, że Franciszek założył domy w Burgos, Logrono i t. d. i że przepowiedział założenie domu zakonnego w Montpellier. Por. Wadding, *Annales ad an. 1213*. Z drugiej strony bolandyści utrzymują, że wszystkie domy założono później. Por. *Acta SS. mense octob.*, II, str. 603.

ROZDZIAŁ VI.

Franciszek na IV-tym soborze lateraneńskim.

Od czasu pierwszej próby Franciszka w celu dotarcia do niewiernych zakon rozwijał się szybko. Liczba jego członków wzrosła, działalność zataczała coraz szersze kręgi. Pod koniec r. 1215 znano już braci w całej Italji środkowej i północnej; zapoczątkowano również apostołowanie w Hiszpanji i w południowej Francji.

W Italji zdziwienie, połączone w ciekawy sposób z gotowością do drwin i z popędem do uwielbienia, wywołane zrazu przez pojawienie się braci, ustąpiło czci głębokiej. Istnienie Franciszka i jego braci stało się faktem przyjętym i uznanym w reformatorskim ruchu owego okresu. W całej Umbrji, Toskanji, w Marchjach Ankońskich i w Lombardji domy zakonne powstawały jak gniazda w gęstwie drzew na wiosnę. Były to ubogie pustelnie na krańcach miast lub na zboczach górskich. Lud bowiem, zbudowany przykładem życia i naukami zakonników, nie chciał się rozstawać z nimi i starał się zatrzymać ich w sąsiedztwie. Bracia ze swej strony, jakkolwiek dla miłości Chrystusa obrali życie wędrowne, z radością przyjmowali schronienie, w którem mogli wytchnąć przed nową pracą, gdzie w modlitwie znajdowali upragniony dla duszy odpoczynek, tem milszy, że dzielili go z towarzyszami zakonnymi.

Osiedlenie się braci w danej miejscowości stanowiło dla całej okolicy wielkie wydarzenie w najlepszem tego słowa znaczeniu. Stawali się oni niebawem jednym z niezbędnych w życiu społecznem czynników. Zazwyczaj osiedlali się w miejscach samotnych, szczególnie przez siebie ulubionych. Przebywanie ich wszakże tam zależne było wyłącznie od właściciela gruntu lub od miasta. Brali oni udział w trudach ludu okolicznego,

w pracy domowej obywateli, otrzymując od nich chleb powszedni. Byli apostołami tego ludu, który nauczali nowego życia, a zarazem jego synami. Obecność ich ożywiała krajobraz a zarazem wnosiła nowy pierwiastek wewnętrznego zainteresowania w życie społeczeństw i rodzin.

Było coś dziwnego w tych nowych zakonnikach. Zdobywali wpływ nie dzięki przewadze społecznej czy umysłowej, lecz tak, jak to czynią dzieci, przez swą słabość i zależność od innych. Przez swe zupełne ubóstwo, nadewszystko zaś przez swą niewyczerpaną dobroć i głęboką miłość dla wszystkiego, co ludzkie, bracia zdawali się całkowicie na życzliwość bliźnich. Ta właśnie zależność od ludzi stanowiła ich siłę. Ludzie, którzy zachowywali się cynicznie lub podejrzliwie wobec prób narzucenia im praktyk religijnych, łagodnieli i uspokajali się, gdy to życie religijne stawało przed nimi bezbronne, ogołocone ze wszelkich pozorów ziemskich korzyści i ambicyj. Co więcej, widocznem było, że ludzie ci nie uczynili z ubóstwa oręża politycznego w celu przeciwstawienia się Kościołowi, ani dla jego obrony. Obrali życie w ubóstwie dlatego jedynie, że miłowali je jako skarb najcenniejszy. Dla tych, co na nich patrzyli, było tajemnicą, dlaczego żyją w bezwzględnem ubóstwie i jaką stąd czerpią korzyść; wszyscy odczuwali jednak instynktowo, że dobrze jest to ubóstwo mieć wśród siebie. Ta cnota była dla nich symbolem czystości, miłości, szlachetnej wytrwałości, radosnej wiary w przyszłe szczęście nieba. W ten sposób zakon zdobywał serca ludu Italji: dawał mu własne skarby duchowe, będąc równocześnie na jego łasce pod względem życia materjalnego.

Nietylko ludzie świeccy przyjmowali w ten sposób braci i udzielali im pomocy. Duchowieństwo okazywało im równą życzliwość a nawet uwielbienie. Zdarzało się wprawdzie niekiedy, że jakiś ksiądz potraktował ich jako intrygantów i hipokrytów[1]); naogół jednak duchowieństwo odnosiło się do nich przyjaźnie i otwierało im chętnie drzwi, gdy do nich zapukali, prosząc o nocleg w drodze. Nie mogło zresztą być inaczej, gdyż bracia okazywali wielki szacunek duchownym, ucząc lud, by

[1]) Por. I, Celano, 46.

ich szanował. W przeciwieństwie do innych reformatorów Franciszek i bracia nie tolerowali żadnych wystąpień przeciwko kapłanom; byli oni dla nich bowiem przedstawicielami i namiestnikami kapłaństwa Chrystusa. Tym, co źle mówili o kapłanie, Franciszek odpowiedział: „Nie wiem, czy jego życie zasługuje na szacunek, czy też nie; wiem jednak, że ręce jego rozdają sakramenta wielu ludziom i wiodą do zbawienia ich dusze; dlatego całuję jego dłonie z uszanowaniem"[1]). Pod żadnym pozorem nie było wolno braciom kazać w parafjach wbrew woli proboszczów; nie wolno im również było mieszać się do ich spraw parafjalnych[2]). W ten sposób pokorą i łagodnością bracia zdobywali szacunek ludzi świeckich i duchowieństwa[3]).

Jedną z przyczyn, dla których władze kościelne sprzyjały braciom, był fakt, że gdziekolwiek się osiedlili, przygasał antagonizm stronnictw, zanikał duch herezji, ludzie zapominali o przyczynach niezadowolenia, zatargach i kłótniach. Rodziło się w nich nowe rozumienie życia, wobec którego kwestje polityczne i spory partyjne przestawały ich interesować.

Wielu z tych, co pragnęli reform dla zaprowadzenia porządku u swych sąsiadów, obecnie poczęli pożądać ich przedewszystkiem dla siebie: to właśnie stało się zadatkiem pokoju. Ponadto to odrodzenie religijne, o którem mówimy, nie dotyczyło samego Kościoła. Franciszek i jego towarzysze uważali Kościół za instytucję powszechnie uznaną i nie dyskutowali o jego prawach. O ile się zdarzyło, że heretycy atakowali ich na tym terenie, bracia stwierdzali swoją wiarę i poszanowanie, ale nie wdawali się w spory. Lud zauważył rychło, że bracia zakonni uważali Kościół za coś wyższego, stojącego poza drobnemi sporami ludzkiemi, że widzieli w nim obecność Boga na ziemi. Ta prosta wiara sprawiła więcej dla utwierdzenia lojalności wśród ludu, przywiązanego w gruncie do Kościoła, niż najuczeńsze dysputy.

---

[1]) Por. *Admonit.* 26 w *Opuscula* (Quaracchi), str. 18. Co do szacunku Franciszka dla księży, por. II, Celano, 8, 146, 201; *Spec. Perfect.*, rozdz. 54; *Regula Prima*, rozdz. 19; *Testamentum S. F.*

[2]) Por. *Testamentum S. F.*; *Scripta Fr. Leonis*, (Lemmens) II, 6; *Spec. Perfect.*, rozdz. 50.

[3]) Por. *Scripta Fr. Leonis; Spec. Perfect.*, rozdz. 10.

Wiara ta mówiła sama za siebie. Takim był wpływ, jaki zdobyli na wyobraźnię ludu.

Corocznie około Zielonych Świątek bracia, rozproszeni po prowincjach, zbierali się w oznaczonem miejscu[1]) dla otrzymania wskazówek od swego Ojca duchownego i naradzenia się z nim o sprawach, dotyczących zakonu; zebrania utrzymywały ścisłą łączność zarówno pomiędzy braćmi, jak pomiędzy nimi a Franciszkiem.

Zdaje się, że niezawsze zbierali się w Porcjunkuli: w jednym przynajmniej wypadku kapituła odbyła się w pobliżu klasztoru San Verecondo w okolicach Gubbio. Opat dostarczył żywności dla trzystu zgromadzonych tam wówczas braci[2]).

Na zebrania te bracia śpieszyli z wielką radością; panowało bowiem wśród nich silne poczucie łączności rodzinnej. Franciszek korzystał z tej sposobności, aby wszczepić im w dusze podstawowe zasady powołania i aby ostrzec ich przed niebezpieczeństwami, na jakie z konieczności narażeni byli w swych podróżach. Przypominał im szczególnie o szacunku, należnym kapłanom i instytucjom kościelnym, inaczej bowiem mogliby łatwo zboczyć na manowce pod wpływem reformatorów heretyckich. Zakazywał im wydawania sądów o ludziach, ubierających się wytwornie lub żyjących w zbytku, zalecał im natomiast, by uważali wszystkich za swych panów i braci. Gdzie-

---

[1]) *„Semel in anno cum multiplici lucro ad locum determinatum conveniunt"*, pisze Jacques de Vitry w 1216 (Vide jego list, ogłoszony przez Sabatiera w *Spec. Perfect.*, str. 296 i nast.; również u Boehmera *Analekten zur Geschichte des Franciscus von Assisi*, str. 94 i nast.). Wiemy również od Celano, że św. Franciszek od początku zwoływał często braci dla naradzenia się z nimi co do spraw zakonu. (Por. I, Celano, 29.) Prawdopodobnie od pierwszych czasów istnienia zgromadzenia najważniejsza doroczna kapituła odbywała się na Zielone Świątki na pamiątkę zebrania się Apostołów. *Tres. Soc.*, rozdz. XIV, mówi o kapitułach na Zielone Świątki i na Św. Michała; nie jest jednak pewne, czy kapituła na św. Michała została ustanowiona przed założeniem prowincyj w r. 1217. Père Mandonnet O. P. *(Les Règles et le Gouvernement de l'Ordo de Poenitentia*, rozdz. III, str. 201, nota) utrzymuje, jak się zdaje, że obie kapituły są instytucją wcześniejszą.

[2]) *Leg. de Passione S. Verecundi*, w *Miscell. Franc.* X, str. 6. Por. *Archiv. Franc., Hist.* an. I fasc. I, str. 69—70.

kolwiek szli, mieli się starać wnosić ze sobą pokój i harmonję. a stanie się tak, o ile pokój i dobrą wolę posiadać będą sami. Przypominał im wreszcie, że zadaniem ich było „pielęgnować rannych, nieść pociechę strapionym, oświecać błądzących". „Członkami szatana — dodawał — wydawać się nam będzie wielu z tych, którzy mimo to staną się uczniami Chrystusa." Niekiedy włączano rady i napomnienia Franciszka, udzielane podczas tych kapituł, do reguły w celu lepszego ich zapamiętania. Po odbytej kapitule bracia wracali do swych domów, lub też udawali się na nowe misje z sercem pełnem żarliwości i z duszą pokrzepioną.

Były to dla zakonu lata radości i rozwoju. Bracia walczyli wprawdzie z trudnościami osobistemi, z pokusami, które hartowały ich męstwo, — nie były to wszakże fakty, któreby miały zaważyć w historji; naogół biorąc, z wyjątkiem wypadków, opowiedzianych w poprzednim rozdziale, trzy albo cztery lata, następujące po „nawróceniu" Klary, przedstawiają skąpy materjał dla historyka pierwszych czasów zakonu franciszkańskiego. Historja tworzy się nie w promieniach słonecznej pogody, lecz w burzach, zawiejach i znojnym skwarze; historja bowiem nie jest życiem samem, lecz wyrazem jego ogólnych zmian i gwałtownych wstrząsów.

Miało nastąpić wydarzenie, które odegrało ważną rolę w życiu Franciszka i jego braci i związało jeszcze ściślej ich losy z ruchem religijnym epoki; w danej jednak chwili nie zdawali sobie prawie wcale sprawy z tego, że coś niezwykłego dzieje się w ich życiu, wypełnionem spokojną pracą.

W listopadzie r. 1215 Franciszek został wezwany do Rzymu. Inocenty III zwołał sobór jeneralny do Lateranu na dzień św. Marcina. Franciszek był obecny na soborze[1]) jako założyciel nowego zakonu. Sobór był istotnie przeglądem wszystkich sił duchownych i świeckich świata chrześcijańskiego.

[1]) Faktycznie bracia tak dalece nie uświadamiali sobie istnienia jakiegokolwiek związku pomiędzy obecnością Franciszka na soborze a dalszemi wypadkami jego historji, że pierwsi biografowie nie wspominają nawet o tem wcale. Na szczęście posiadamy co do tego świadectwo dominikanina, autora *„Vita fratrum"* i Angela Clareno.

Arcybiskupi i biskupi, przedstawiciele królów i książąt, przełożeni klasztorów i kierownicy uniwersytetów, reprezentanci wszystkich praw i interesów Kościoła, petenci, proszący o prawa lub przywileje, które miały dopiero być zatwierdzone — wszyscy przybyli do Rzymu, jako do „wyniosłej twierdzy, z której sąd opinji publicznej epoki wydawał dekrety ku organizacji narodów chrześcijańskich"[1]).

Zgromadzeni na soborze prałaci i reprezentanci wiedzieli dobrze, że jest to rada wojenna. Papież zwołał ich w jawnym celu przeciwstawienia religijnych aspiracyj epoki rozpaczliwemu zmaterjalizowaniu i powstającemu duchowi niewiary. Całą swoją politykę rzucił na szalę, usiłując zgrupować przy sobie wszystko, co odpowiadało ideałowi Kościoła, wolnemu od zła, które podkopywało podstawy życia chrześcijańskiego. Miał zamiar zwrócić się do wszystkich narodów katolickich z wezwaniem, by dobyły wszystkich sił dla zwalczenia zarówno herezji jak bardziej jeszcze niebezpiecznego materjalizmu, który toczył życie Kościoła. Chciał on zarazem wyrwać narody chrześcijańskie z apatji, która sprawiała, że niewierni byli nadal panami miejsc najświętszych dla chrześcijan.

Inocenty nie zdawał sobie może bardzo dokładnie sprawy ze stanu umysłów narodów chrześcijańskich, który słabą dawał rękojmię powodzenia nowej krucjaty, a jeżeli sobie położenie uświadamiał, to jako mistyk, obdarzony bardzo subtelnym zmysłem politycznym, uważał, że mimo wszystko ma obowiązek obwołać to hasło ku zawstydzeniu świata, który się zaparł wiary. Był to zresztą człowiek, który nie porzucał projektu, skoro doń raz rękę przyłożył. W potędze swego ducha czuł się na siłach aby skłonić wahające się państwo do czynnego wystąpienia. Jakkolwiek mógł nie mieć złudzeń co do wyników swojej polityki, kojarzył jednak myśl o wewnętrznem odrodzeniu chrześcijaństwa z akcją w celu odzyskania miejsc świętych. Krucjata miała jego zdaniem rozpalić wiarę i przyczynić się do odrodzenia moralnego narodów. Inocenty III zwołał sobór w celu zasięgnięcia jego opinji, głównie jednak dla wydania rozkazów.

---

[1]) Baronius, *Annales ad an. 1215.*

Tak więc w dniu św. Marcina ojcowie i delegaci, uczestniczący w soborze, zebrali się w kościele św. Jana Lateraneńskiego na pierwsze posiedzenie. Inocenty wypowiedział mowę inauguracyjną. Słowa jego były dźwięczne, głos znamionował płomienną szczerość. Tym razem mąż stanu zamilkł: przemawiał prorok. Jakgdyby wiedział, że jego dni są policzone i że winien się spieszyć, jeśli chce swój zamiar doprowadzić do skutku. Silną dłonią kierował pracami soboru, nad któremi unosiło się tragiczne przeczucie bliskiej jego śmierci. Przeczucie to podyktowało mu nawet tekst kazania inauguracyjnego. „Pożądaniem pożądałem pożywać tej Paschy z wami pierwej, niżbym cierpiał"[1]). „Oby — mówił papież — ten sobór mógł być nazwany Paschą, gdyż wyraz pascha oznacza przejście". Wiedział on, że narody są powołane do odbycia potrójnego przejścia: przejścia do miejsc świętych, przejścia od występku do cnoty i przejścia od życia doczesnego do życia wiecznego. Nie dla ziemskiej ambicji wezwał on Ojców, lecz dla zreformowania Kościoła i dla przywrócenia chrześcijanom Ziemi Świętej. Jeśli Bóg nie dozwoli mu oglądać urzeczywistnienia swych pragnień, nie odtrąca przeto kielicha męki Chrystusowej, przyjmuje śmierć jakkolwiek pragnąłby żyć do czasu dokonania dzieła, które ma się rozpocząć. „Nie moja wola niech się stanie, lecz wola boża!"

Potem nakreślił pokrótce obraz opuszczenia miejsc świętych, deptanych stopą niewiernych. „Jeruzalem, miasto utrapienia, wzywa wszystkich, przechodzących drogą, by spojrzeli, czyli istnieje ból, do jego bólu podobny; biada, hańba temu, kto przejdzie, nie zwróciwszy uwagi na jego skargę". Inne jeszcze cierpienie woła do nich, roznosząc głos pośród ohydy, panującej w narodach chrześcijańskich, cierpienie Kościoła, znieważonego przez grzechy ludzkie. Tu papież wziął za tekst i wyjaśnił rozdział dziewiąty z proroka Ezechjela, stosując do ówczesnego położenia zawarte w nim przepisy reformatorskie. Tłumaczył, że on sam, jako najwyższy pasterz Kościoła Bożego, jest człowiekiem obleczonym w płócienne szaty z kałamarzem pisarskim za pasem. Temu rzekł Pan: „Przejdź przez ośrodek miasta w pół Jeruzalem; a naznacz Thau na czołach mężów wzdycha-

---

[1]) Łuk. XXII, 15.

jących i żałujących nad wszystkiemi obrzydłościami, które się dzieją w pośrodku jego". Stosując dalej porównanie, widział w swojem audytorjum sześciu mężów, którzy przybyli „z drogi bramy wyższej". Do nich odnosił się rozkaz Pana: „aby szli przez miasto za przewodnikiem swym i zabijali, nie szczędząc nikogo, prócz tego, na którym ujrzą znak Thau": winni uderzać z całą siłą, jaką rozporządzają — interdyktem, suspensą, ekskomuniką, złożeniem z godności, aż dopóki miasto nie będzie oczyszczone. Winni jednak uderzać, aby uzdrowić, zabijać, by odrodzić, zgodnie ze słowami Pana: „Nie chcę, aby grzesznik zginął". Główną uwagę zwrócić mieli na duchowieństwo; tu surowe i stanowcze słowa Inocentego stały się jeszcze ostrzejsze: „Gdy kapłan grzeszy, przywodzi lud do grzechu". „Jak może kapłan, który źle żyje, upominać tych, co żyją w nieprawości? Ci mogliby mu tylko odpowiedzieć: syn może czynić to jedynie, co widzi, iż czyni jego ojciec; dosyć dla ucznia, gdy staje się podobnym do mistrza; i w ten sposób spełni się proroctwo: jaki kapłan, taki lud"[1]).

Ta mistrzowska mowa, pełna odwagi i szczerości, zaważyła na postanowieniach soboru i skłoniła Ojców do rozważenia środków heroicznych. Postanowiono ogłosić nową krucjatę; postanowiono oczyścić kurję rzymską, położyć kres świeckim jej ambicjom i skąpstwu jej członków; reforma duchowieństwa, rozpoczęta od góry, miała być dokonana na wszystkich szczeblach hierarchii. Tak postanowił sobór, niestety krucjata się nie udała, a oczyszczenie kurji rzymskiej zostało udaremnione przez nieufność narodów[2]).

A jednak czwarty sobór lateraneński otrzymał słusznie nazwę Wielkiego Reformatorskiego Soboru Średniowiecza. Nie mógł wprawdzie wprowadzić w czyn swych postanowień najpilniejszych i najszlachetniejszych zarazem, ale wyraził publicznie, poparte najwyższym autorytetem powszechne pragnienie owych czasów, aby zarówno duchowni jak świeccy poczęli wieść życie bardziej chrześcijańskie, oraz wprawił

---

[1]) Labbaeus: *Sacrorum Conciliorum Collectio* (wyd. 1778), tom XXII, str. 968-73.

[2]) Por. Abbot Gasquet, *Henry III and the Church*, rozdz. V.

w ruch nowe siły, które miały odrodzić zwątlałą wiarę i stępione poczucie moralności. Ogłoszenie nowej krucjaty zostało przyjęte bez zapału, lecz dekrety nakazujące biskupom, by wyznaczali do kazania w swych parafjach tylko ludzi zasługujących na szacunek, nadewszystko zaś ostateczne uznanie ruchu pokutniczego i zgromadzeń w ogólnej organizacji Kościoła stało się zbawieniem świata katolickiego.

Czwarty sobór lateraneński zajmuje nas jednak w tej pracy jedynie w związku z Franciszkiem i jego zakonami. Wezwany on został do Rzymu bądź przez samego papieża, bądź przez kardynała protektora Jana od Św. Pawła, aby reprezentował sprawy zgromadzenia. Istniał bowiem zamiar skierowania nowo powstających zgromadzeń pokutniczych na ścieżki już wytknięte życia zakonnego lub kanonickiego[1]). Chciano tym sposobem poddać je bezpośrednio władzy Kościoła i pohamować fanatyzm, który nierzadko przejawiał się w konstytucjach tych zgromadzeń. Rzeczywiście sobór postanowił, że odtąd nie otrzyma zatwierdzenia żadna nowa reguła, i że wszystkie w przyszłości zakładane zakony muszą przyjąć za podstawę swej organizacji jedną z istniejących reguł tradycyjnych.

Szczęściem dla Franciszka i dla jego zgromadzenia, ich reguła była już zatwierdzona przez Stolicę Świętą. W trakcie dyskusji nad sprawą nowych zakonów, papież Inocenty podał do wiadomości soboru, że udzielił aprobaty braciom mniejszym[2]). Jest widoczne, że papież nie miał zamiaru cofać swej pierwotnej decyzji; nietylko bowiem potwierdził uroczyście swoją aprobatę w obecności przedstawicieli Kościoła, lecz w tym samym czasie rozciągnął na Klarę i siostry z San Damia-

---

[1]) Tradycyjne zgromadzenia religijne dzieliły się na dwie grupy: zakonników, których obowiązywała głównie reguła św. Benedykta, i kanoników regularnych, którzy przyjęli regułę św. Augustyna. Liczne kongregacje zakonne lub kanonickie różniły się jedynie co do konstytucji i zwyczajów, posiadały jednak wszystkie bądź regułę zakonników, bądź też regułę kanoników. Reguła franciszkańska stanowiła coś *sui generis*, i bracia mniejsi nie byli ani zakonnikami ani kanonikami. Byli oni tylko poprostu przedstawicielami nowego zgromadzenia pokutniczego.

[2]) Por. Angelo Clareno w Ehrle, *Archiv für Litteratur- und Kirchengeschichte*, tom I, str. 557.

no „przywilej" bezwzględnego ubóstwa, nadany poprzednio braciom.

To uroczyste potwierdzenie było dla zgromadzenia faktem pierwszorzędnego znaczenia, bowiem w chwili krytycznej zabezpieczało ono indywidualność rodzinie franciszkańskiej. W rzeczywistości jednak nie wniosło nic nowego do samego życia zgromadzenia, nie wpłynęło na wzmożenie jego żywotności. Mimo to, jakeśmy już powiedzieli, sobór poruszył do głębi serce Franciszka i wycisnął niezatarte piętno na zgromadzeniu.

A stało się to prawie bez wiadomości papieża i soboru, bez premedytacji ze strony Franciszka. Dzieje się zresztą podobnie w najważniejszych wypadkach.

Franciszek udał się na sobór tak, jak człowiek, idący do miejsca świętego, przejęty czcią dla Majestatu Bożego. To zebranie wszystkich biskupów chrześcijaństwa czyniło na nim wrażenie nowych Zielonych Świątek, miał bowiem przekonanie, że gdzie zgromadził się cały Kościół, tam Duch Święty jest obecny. Gdy wchodził do olbrzymiej katedry pierwszego dnia soboru, miał wrażenie, że za chwilę niebo się otworzy. Pod tem też wrażeniem oczekiwał kazania Kapłana Najwyższego. Słów proroka należy słuchać w odpowiedniem usposobieniu ducha; w całem tem licznem zgromadzeniu nikt nie posiadał go w wyższym stopniu niż ten braciszek o wychudłej twarzy i w zaniedbanej odzieży. Kazanie to zawierało dlań w sobie coś osobistego. Czyż nie czuł on już przedtem, że nad grzesznym i niewdzięcznym światem jedynie miłosierdzie boże powstrzymuje wymiar sprawiedliwego sądu? Teraz papież, jako namiestnik Boga na ziemi, ogłaszał ów wyrok i ofiarowywał przebaczenie. Franciszek przyjął chciwie tę obietnicę miłosierdzia, którego w bliskim sądzie dostąpią ludzie, mający na czole *Thau*, znak życia pokuty, nowego życia w Chrystusie. Znak ten położy na sobie i na braciach i na tych wszystkich, co słuchać będą słów jego. Wydało mu się, że ten znak *Thau* jest właściwie symbolem przeznaczonym dla synów Ubóstwa. „*Thau* — mówił papież — jest ostatnią literą alfabetu hebrajskiego, (Franciszek zachował troskliwie w pamięci te słowa, wskazujące, że Ewangelja jest założona na pokorze) przed-

stawia kształt krzyża taki, jaki był przedtem, zanim Piłat Poncki umieścił nad nim napis. Człowiek, którego każdy czyn podlega władzy krzyża, nosi ten znak na czole, według słów apostoła: „ukrzyżowali swe ciało występkami i pożądliwościami“, a dalej: „Niech mnie Bóg strzeże, bym miał szukać chwały poza krzyżem Pana Naszego Jezusa Chrystusa, przez który świat jest ukrzyżowany dla mnie, a ja jestem ukrzyżowany dla świata“. Taki człowiek zaiste płacze i jęczy nad obelżywościami, napełniającemi miasto, ponieważ grzechy bliźniego są piekłem dla sprawiedliwego“.

Każde słowo papieża rozlegało się w duszy Franciszka niby echo tej myśli, która go ożywiała od lat dziewięciu. Słowa te jednak posiadały moc nową, były pełne mądrości, wskazującej kierunek i wyzwalającej ukryte siły. Od tej chwili przyjął znak Thau za symbol powołania braci. Znak ten stał się jego podpisem; znaczył nim miejsce swego spoczynku, kładł go na swych listach jako zbawczy talizman[1]).

Głównie jednak nosił znak Thau w duszy swojej. Opłakiwał on grzechy świata z większą niż kiedykolwiek żarliwością, odczuwając zarazem dla tego świata głęboką litość na myśl, że spotka go surowa kara boża, jeśli nie będzie pokutował. Od tej chwili zaczął szukać sposobów niesienia duszom, żałującym za grzechy, przebaczenia boskiego. Dopiero teraz zrozumiał wyraźnie słowa, przesłane mu przed dwoma laty przez siostrę Klarę i brata Sylwestra, że Bóg powołał go nie dla jego własnego zbawienia, lecz dla zbawienia innych. Nabrał teraz głębokiego przeświadczenia, że bracia są istotnie „heroldami Wielkiego Króla“, wysłanymi w świat przez papieża nato, by zwiastowali sąd i przebaczenie, nadewszystko jednak przebaczenie; jak bowiem oświadczył Inocenty w zakończeniu swego kazania: „Bóg nie pragnie śmierci grzesznika“[2]).

---

[1]) Celano, *Tract. de Mirac.*, 3; *Leg. Maj.*, IV, 9.

[2]) Nie wiem, czy ktokolwiek zestawił już cześć Franciszka dla znaku Thau z kazaniem papieża Inocentego; mojem jednak zdaniem związek pomiędzy temi dwoma faktami nie ulega wątpliwości. Niema żadnego dowodu historycznego co do używania znaku Thau przed

U ludzi, w których duszy żyje szczere dążenie do urzeczywistnienia pewnego ideału moralnego czy duchowego, zdarza się często, że jakieś nieoczekiwane słowo lub nieprzewidziane wydarzenie pogłębia nagle ich najdroższe przekonania. Takie wypadki rzucają w ich duszę nowe światło, utwierdzają ich pewność, podsycają pragnienie zewnętrznego zrealizowania tego ukochania, które w nich żyje. W pierwszym okresie życia duchowego pragnienia tego nie odczuwają tak gorąco, gdyż porywa ich odkrywanie coraz nowych rzeczy, przedtem pomijanych, które budzą w nich cześć i przywiązanie. W następstwie pragnienie to wynika nietyle z nowych idei lub z pobudek umysłowych, ile raczej z woli i z samej zdolności afektywnej. Jakieś usłyszane przypadkiem słowo ukazać może sercu przedmiot jego nowej miłości nie w innem, lecz w żywszem, jaśniejszem świetle; pod wpływem takich objawień życie ludzkie nabiera rozpędu i polotu ku ostatecznej doskonałości.

Słowa papieża uczyniły do pewnego stopnia na Franciszku to wrażenie, że jest jednem z narzędzi mających służyć do zamierzonego przez Kościół celu. Niewątpliwie bowiem zarządzenia Inocentego, wydane zgromadzonym na soborze, dotyczące oczyszczenia społeczeństwa chrześcijańskiego z występków i z miłości zbytku, były odpowiedzią Najwyższego Pasterza na ruch pokutniczy. Franciszek nie uświadamiał sobie

---

soborem; wiemy jednak, że Franciszek używał go wkrótce potem Możemy być zupełnie pewni, że ta cześć miala źródło w jakimś wypadku zewnętrznym, podobnie jak to się stało wielokrotnie w jego życiu. Poza tem istnieją dwa widzenia brata Pacyfika. W pierwszem widzeniu, które miało miejsce przed soborem, w r. 1213 lub 1214, widział Franciszka naznaczonego dwoma ognistemi mieczami w kształcie krzyża, czyli czwororamiennym krzyżem. (II, Celano, 106; *Leg. Maj.*, IV, 9). W drugiem widzeniu, które miał po soborze, zanim został wysłany jako minister zakonu do Francji, Pacyfik widział Franciszka ze znakiem Thau na czole (ibid.). W inauguracyjnem kazaniu Inocentego III uderza nas tchnąca zeń głęboka sympatja dla ducha pokutnego, który zrodził zakony pokutne owego czasu. Słysząc to kazanie, Franciszek musiał nabrać przekonania, że papież całym swym autorytetem popiera ewangelję pokuty, głoszoną przez niego i przez pokutników. Papież również ogłosił znak Thau za symbol ducha pokuty.

zgoła, że w oczach papieża był przedstawicielem tego ruchu w jego najczystszej formie.

Wraz z Franciszkiem był obecny na soborze człowiek, który miał w przyszłości zużytkować ten ruch ku obronie dogmatów Kościoła. Człowiekiem tym był Dominik Guzman, który przybył prosić papieża o pozwolenie założenia nowego zakonu kaznodziejskiego. Bezpośrednim celem Dominika była obrona wiary wobec napaści heretyków; Franciszek natomiast pragnął podniesienia moralnego, doskonalszego stosowania w życiu zasad Ewangelji. Do tego zresztą celu dążył początkowo ruch pokutniczy. Czy papież domyślał się, że w tych dwóch ludziach, Franciszku i Dominiku tkwi siła, umożliwiająca misję proroczą, o której mówił na soborze, a która polegała na moralnem odrodzeniu świata? Czy ich obecność natchnęła jego słowa, gdy witał w Lateranie przybyłych na sobór Ojców? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, zwłaszcza, gdy się wie, że umysły tak potężne jak umysł Inocentego III, rzadko posiadają świadomość swej zależności od innych. Jednakże papież posiadał charakter tak wzniosły, że nie mógł znać tych ludzi, nie myśląc równocześnie o ich użyciu ku obronie Kościoła, bez względu na to, jaką miała być ich przyszłość.

To przyjęcie zgromadzenia franciszkańskiego do kadrów hierarchji katolickiej będzie miało wielkie znaczenie zarówno dla jego rozwoju jak i konstytucji. Odtąd zgromadzenie będzie ściślej związane z ogólną polityką Kościoła: nie będzie już mogło rozwijać się odrębnie, będzie zmuszone przystosować swoją indywidualność do zwykłego życia i systemu hierarchji katolickiej, której się stanie ściślejszym organem. To uznanie przez Kościół dwóch zgromadzeń: Franciszka i Dominika będzie miało jeszcze inny rezultat, a mianowicie, że przyciągnie wszelki ortodoksyjny ruch pokutniczy. Oba zgromadzenia rozwijać się będą nietylko dzięki swym siłom wewnętrznym, ale także dzięki stale czuwającej nad niemi opiece wyższego autorytetu; zaważy to również na ich przyszłej historji.

Narazie jednak dalsze skutki tego wydarzenia kryją się poza zasłoną czasu; nie zatrzymuje się też na nich myśl Franciszka; jego jedyną troską jest wykonać najbliższe swoje zadanie. Miał on jednak świadomość, że ograniczony horyzont jego

działalności rozszerzył się nagle. Po raz pierwszy jednoczył się on w sposób określony z szerszą polityką Kościoła i z innemi siłami, które z nim współdziałały ku odrodzeniu chrześcijaństwa.

Tak tedy przed zakończeniem soboru Franciszek stał się towarzyszem Dominika Guzmana, o którym mówiliśmy wyżej. Pierwsze ich spotkanie miało pewien odcień romantyczny. Nie znając się wcale spotkali się twarzą w twarz w owych dniach tak wypełnionych pracą na jednej z ulic Rzymu. W trakcie swej podróży przez Italję Dominik musiał niezawodnie słyszeć o braciach mniejszych. Był ciekawy poznać ich założyciela, o którym wszyscy wyrażali się z podziwem. Pewnej nocy w Rzymie Dominik miał sen. Śniło mu się, że Najśw. Marja Panna wskazała Chrystusowi jego i innego jakiegoś człowieka jako zwiastunów zmiłowania bożego nad światem. Następnego dnia, spotkawszy Franciszka, poznał w nim owego człowieka, którego widział we śnie; podszedł więc do niego, wyraził chęć zawarcia z nim znajomości, opowiedział mu swój sen, poczem uściskał go i rzekł: „Jesteś moim towarzyszem, idźmy więc naprzód razem. Wspierajmy się wzajemnie, a żaden wróg pokonać nas nie zdoła"[1]).

W owym czasie Dominik Guzman miał lat czterdzieści trzy, czyli że był starszy od Franciszka o lat jedenaście. Gdy Franciszek marzył jeszcze o chwale rycerskiej i przewodniczył na zabawach i ucztach w swem mieście rodzinnem, Dominik zwalczał już herezję w kazaniach swych na południu Francji. Sumienia jego nie trapiły wspomnienia wesołej przeszłości. Od dzieciństwa miał skłonności religijne i wcześnie począł uczęszczać do szkół pod kierunkiem kanoników regularnych.

Posiadał on umysł jasny i logiczny, kilka lat później będzie on wykładał na dworze papieskim listy św. Pawła z biegłością wytrawnego profesora. Nawet za swych studenckich czasów prowadził życie surowe i ascetyczne; przez całe lata nie pokosztował kropli wina. Mimo to był pełny współczucia dla tych, co się znajdowali w potrzebie. Razu jednego, w czasie głodu, sprzedał swoje książki, aby za otrzymane pieniądze kupić żyw-

[1]) *Vitae Fratrum* w *Monumenta Ord. FF. P. P.* tom I, cz. 1 str. 10.

ność dla ubogich. Kiedy indziej znowu ofiarował się zamienić na miejsce z jeńcem, który wpadł w ręce Maurów, ponieważ ten nieszczęśliwy człowiek był żywicielem rodziny.

O przyszłem jego powołaniu zdecydowała przyjaźń z Diego, biskupem z Osima. Biskup w r. 1205 zabrał ze sobą Dominika do Rzymu. Inocenty III zamierzał właśnie wysłać trzech delegatów i dwunastu zakonników do Langwedocji, gdzie herezja albigensów czyniła znaczne postępy. Wysłał z tą misją biskupa z Osima i jego przyjaciela.

Razu jednego miała się odbyć dysputa pomiędzy biskupem i Dominikiem z jednej strony a albigensami — z drugiej. Biskup w nadziei olśnienia przeciwników postanowił udać się na dysputę z wielką ostentacją; Dominik jednak przekonał go, by odłożył wszelkie oznaki swego dostojeństwa i stanął wobec przeciwnika boso, uzbrojony tylko w ewangeliczną łagodność i pokorę[1]).

W r. 1206 ustąpili z pola cystersi, udając się na kapitułę jeneralną swego zakonu w Citeaux. W rzeczywistości misja ich nie miała wielkiego powodzenia. Dominik i biskup pozostali sami, aby dalej bronić zasad wiary; po dwóch latach biskup zmarł, a Dominik został w rzeczywistości kierownikiem propagandy katolickiej. W r. 1209 odmówił uczestnictwa w krucjacie przeciwko albigensom, okazując przez to dowodnie, jaki miał charakter; poprzestał na mówieniu kazań, miał bowiem przekonanie, że herezję wykorzeni nie oręż świecki, lecz słowo boże, wykładane przez ludzi, którzy nieskazitelnem życiem popierają głoszone zasady.

Około r. 1215 Dominik zgromadził dokoła siebie grupę księży, ożywionych tym samym duchem, i otrzymał od Fulka, biskupa Tuluzy, pozwolenie na zorganizowanie ich w towarzystwo kaznodziejskie; udał się tedy do Rzymu, by uzyskać od papieża sankcję dla swego nowego zakonu. Zrazu Inocenty III wahał się; sprzyjał on zawsze raczej idei odrodzenia istniejących zakonów w duchu apostolskim, nie zaś zakładaniu nowych, ale gdy sobór się skończył, kazał Dominikowi wrócić do Tuluzy

---

[1]) *Vitae Fratrum*, loc. cit. cz. 2, str. 67—8.

i po naradzie z towarzyszami ułożyć regułę zgromadzenia, opartą wszakże na regule św. Augustyna, zgodnie z dekretem soboru odnośnie do nowych zakonów[1]).

Niektórzy nowsi historycy wydali bardzo surowy sąd o założycielu braci kaznodziejów; przedstawiono go jako chłodnego inkwizytora, dbającego żarliwie nietyle o dusze ludzkie, ile raczej o system teologiczny; ci jednak, co go w ten sposób oceniają, nie czytali zapewne dziejów jego życia.

Niewątpliwie był on w pierwszym rzędzie obrońcą wiary katolickiej przeciwko zachłannej herezji i praca w tym kierunku wypełniła całe jego życie, była cechą istotną jego charakteru, jego racją bytu. O Dominiku powiedzieć można, że był to raczej człowiek idei, niż idealista; to właśnie spowodowało, że w następnych latach Dominik utrwalił się w pamięci potomnych nie dla swej osobowości, lecz dla dzieła, którego dokonał jako założyciel zakonu[2]). Istotnie bowiem nie posiadamy dokładnego portretu człowieka, te jednak rysy, które podają nam kronikarze, ukazują go nam jako sumiennego, żarliwego obrońcę wiary, posiadającego jaśniejszy niż ktokolwiek inny w jego epoce pogląd na to, w jaki sposób zwalczyć herezję, jako człowieka obdarzonego potężną wolą, zdolną osiągnąć cel, który sobie postawił. Rozumiał on bezskuteczność zwalczania herezji orężem, gdy umysł zostawał pogrążony w ciemności i nieprzekonany; widział również, że argumenty rozumowe okażą się zawodne, o ile kaznodzieja nie stwierdzi przykładem własnego życia prawdy głoszonej ewangelji. Na podstawie doświadczenia i głębokiego przekonania wewnętrznego powziął myśl stworzenia zakonu pokutników czynnych, którzyby zwalczali herezję zarazem przez oświecanie religijne i przez życie ascetyczne.

Jako indywidualizm zgoła odmienny od Franciszka, był myślicielem a zarazem człowiekiem wielce praktycznym. Mimo to jednak posiadali obaj wspólną cechę: bezwzględną szczerość, wolną od wszelkiej ambicji osobistej, od cienia interesu prywatnego. Byli oni duszą i ciałem oddani służbie Chrystusowej: nie

---

[1]) Por. *Acta SS. Augusti*, tom I, str. 358 i nast.

[2]) Por. P. Sabatier, *Vie de St. François*, str. 248.

widzieli nic poza tem; jedynem dążeniem było sprowadzenie królestwa Chrystusowego na ziemię. Na podstawie tej wspólnej idei opierała się ich przyjaźń. Punktem stycznym między nimi była prostota zamiarów; oceniali się nawzajem wedle słusznej wartości, to też nie mogli się nigdy stać sobie obcy, choć powołanie każdego z nich mogło ich od siebie oddalić. Cześć Dominika dla Franciszka była tak wielka, że przez pewien czas myślał o połączeniu obu zakonów pod jedną regułą i pod jednym przełożonym. To połączenie nie doszło do skutku; każdy z tych zakonów miał odegrać w dramacie życia własną rolę, a ról tych nie można była zamienić. Tradycja uznała jednak ich przyjaźń za szlachetne braterstwo broni; współcześni widzieli w nich współzawodników, którzy żywili dla siebie wzajemnie najgłębszy szacunek i przywiązanie najszczersze, ponieważ obaj dążyli tylko do tego, aby pracować każdy na swój sposób dla Boskiego Mistrza. Po pierwszem spotkaniu w Rzymie nastąpiły prawdopodobnie inne, których liczby ustalić niepodobna. Jedyne autentyczne spotkanie, podawane przez legendy, znosi doskonale próbę krytyki historycznej.

Dwaj założyciele zakonów spotkali się na naradzie u kardynała Hugolina. Wyraził on mianowicie życzenie wybierania przyszłych biskupów z łona obu zgromadzeń. Założyciele byli odmiennego zdania; mieli bowiem przekonanie, że ich zakony oddadzą Kościołowi większe usługi, zachowując ubóstwo ewangeliczne, jakie im przystało, niż zajmując wysokie stanowiska w hierarchji. Pod koniec narady, gdy obaj bracia wychodzili z pałacu kardynała, Dominik prosił Franciszka, by mu dał na pamiątkę sznur, którym się opasywał. Franciszek przystał na to, aczkolwiek niechętnie, świadczyło to bowiem o wielkiej czci, jaką żywił dla niego przyjaciel. Dominik wziął sznur, opasał się nim, a potem obaj, pod wpływem jednego porywu, uścisnęli sobie ręce i rozmawiali przez pewien czas. „Bracie Franciszku — rzekł wreszcie Dominik — chciałbym, aby nasze dwa zakony złączyły się w jeden i abyśmy mogli żyć w Kościele pod jedną regułą". Gdy się wkońcu rozstali i rozeszli każdy w swoją drogę, Dominik powiedział do swoich towarzyszów: „Zaprawdę powiadam wam, że wszyscy zakonnicy winni naśladować tego

świętego człowieka, Franciszka, tak bowiem doskonała jest jego świętość"[1]).

W trzy stulecia potem Andrea della Robbia wziął ten uścisk ręki dwóch założycieli zakonów za temat do jednej ze swych rzeźb nieśmiertelnych. Gdy się na nią patrzy, wspomnienie życia tych dwóch ludzi unosi myśl daleko poza to osobiste zdarzenie; rzeczywiście, Franciszek i Dominik uosabiają dwa typy duchowe, spotykane zazwyczaj u ludzi, którzy zajmują w stosunku do siebie stanowisko czynnej opozycji: duch prawa i duch wolności.

Wolność ducha, znaleziona przez Franciszka w służbie Chrystusa, była istotą, tchnieniem jego życia: piękno ewangelji polegało według niego na wolności duchowej, stanowiącej dziedzictwo ludzi, co wiernie jej zasad przestrzegają[2]), tej właśnie wolności łaknął i szukał w całem swem pełnem płomiennych porywów życiu. Dominik walczył głównie o prawo, które Kościołowi nadał Chrystus; przestrzegał żarliwie dogmatów wiary i ustanowionej władzy, bez której wiara nie ma podstaw. Tylko fanatyzm może utrzymywać, że te dwa kierunki nie są samą istotą życia, czy przejawiają się one w religji, czy też w innych dziedzinach. W ich różnorodności tkwi ukryta harmonja, którą jedynie natury wybrane pojąć są zdolne. Ludziom o niższym poziomie duchowym wydaje się, że wykonywanie przeciwstawnych obowiązków pochodzić może jedynie ze sprzeczności zasad; stąd wynika rzeczywisty rozłam, który

---

[1]) II Celano, 150. *Spec. Perfect.* rozdz. 43. Niepodobna ściśle ustalić daty tego spotkania. Musiało to być potem, jak kardynał Hugolino poznał Franciszka we Florencji w r. 1217. Dominik był w Rzymie, (gdzie nastąpiło poznanie) zimą r. 1217, potem w r. 1218, w grudniu r. 1220 i w pierwszych miesiącach r. 1221. *(Acta SS* loc. cit. *Comment. Praev.)* Prawdopodobnie jednak było to w zimie r. 1217—18. Wiemy, że kardynał Hugolino był w owym czasie w Rzymie. Por. Potthast, nr. 5629 i nast.; o spotkaniu Dominika z Franciszkiem w r. 1216 wspomina *Umbria Serafica, Miscell. Franc.* II, str. 47 i Galvagno de la Flamma w *Mon. Ord. FF. P. P.* t. II, fasc. I, str. 7. Co do spotkania obu świętych podczas Kapituły Namiotów w r. 1219 vide *Acta SS.* loc. cit.

[2]) Patrz kazanie Franciszka o zaletach ubóstwa w *Fioretti* rozdz. 12; *Actus* rozdz. 13.

niweczy tę ukrytą harmonję, bez uszczerbku dla intencji obu stron działających.

Ta rozbieżność ujawniła się poniekąd w późniejszych czasach pomiędzy uczniami Dominika i Franciszka. Jednakże najwybitniejsze w obu zakonach jednostki pamiętały zawsze o przyjaźni, która łączyła tych świętych, i pozostawały jej wierne[1]).

W ostatnich latach niektórzy historycy podkreślali jaskrawo ten antagonizm; istniał on, rzeczywiście, nie różnił się jednak od faktów, spotykanych zwykle w dziejach ludzkości. Bywały momenty znacznie donioślejsze, trudności cięższe do przezwyciężenia, niż te dysputy, o których mowa, kończące się nagół zapewnieniami przyjaźni. Zdarzało się częstokroć, że pod płaszczykiem religji duch współzawodnictwa budził czysto świeckie ambicje, jak n. p. gdy brat Eljasz podzielił zakon franciszkański na siedemdziesiąt dwie prowincje, rzekomo na cześć siedemdziesięciu dwóch uczniów Chrystusa. Jego istotnym celem było uzyskać przewagę nad dominikanami, którzy utworzyli dwanaście prowincyj na cześć dwunastu apostołów[2]).

Te rzeczy szkodziły zakonom i można było ich uniknąć. Należy jednak wziąć pod uwagę nieunikniony wpływ, jaki z konieczności wywierały na siebie wzajemnie te dwie grupy ludzi, częstokroć sprzymierzone, a stojące tak blisko najwyższej w Kościele władzy.

Nie będziemy na tem miejscu roztrząsali szczegółów, które jeden zakon zapożyczył od drugiego, zarówno w organizacji

[1]) Tak Tomasz Celano, wspomniawszy o sporach pomiędzy dwoma zakonami, mówi o szczerej miłości ich założycieli. (II Celano, 149.) W r. 1255 Jan z Parmy i Humbert z Romanji, dwaj superjorzy generalni, wydali łączny list pasterski, nakazujący braciom obydwu zakonów zachowanie pokoju i zgody. Według kronik ówczesnych można przytoczyć liczne fakty, w których ujawniła się braterska sympatja obydwu zakonów, znajdujemy w nich jednak wiele zatargów. Eccleston przytacza nietylko spór dwu zakonów w sprawie nowicjuszów, (Coll. XIV. Wyd. Little, str. 101—2), ale także fakt, że za przybyciem do Londynu bracia mniejsi zostali przyjęci przez dominikanów jak członkowie rodziny. (Coll. II, str. 11—12.)

[2]) Eccleston, wyd. Little, *coll. IX*, str. 54.

materjalnej jak w dziedzinie kierunku moralnego. Niektórzy utrzymują, że Dominik wziął od Franciszka regułę żebractwa, którą nadał braciom; jest prawdopodobnem, że przykład dominikanów poddał franciszkanom myśl studjów teologicznych. Poruszamy odrazu te kwestje, z któremi spotkamy się później w historji Franciszka i jego zakonu dlatego, aby wykazać, że wypadki, jakie zaszły podczas soboru lateraneńskiego, były źródłem wielu późniejszych wydarzeń w dziejach franciszkańskich. Odtąd przyszłość zakonu rozwijała się nietylko pod natchnieniem Franciszka, lecz pod naporem sił, unoszących świat katolicki naprzód w rozpędzie życia, które się budzi i nabiera pełnej świadomości.

ROZDZIAŁ VII.

Odpust Porcjunkuli.

W drodze powrotnej do Umbrji serce Franciszka było przepełnione litością dla świata, na który spaść miał wyrok Kościoła. Namiętna miłość dla dusz ludzkich, która w nim żyła od chwili, gdy usłyszał wezwanie do apostolstwa, stała się trawiącem cierpieniem. Za każdorazowym powrotem z misji do Porcjunkuli czuł coraz gorętsze pragnienie nawracania niewiernych, chcąc nadewszystko, aby świat cały dzielił z nim radość, jaką mu sprawiało służenie Chrystusowi. Wierzył głęboko, że największy grzesznik żałować będzie serdecznie swych występków i stanie się wiernym wyznawcą Ewangelji, gdy tylko pozna piękno prawa Chrystusowego i zrozumie, ile stracił, że go nie znał[1]). Prognął wszystką mocą duszy, by ziemia cała połączyła się przez wiarę i miłość z Bogiem-Człowiekiem, kładąc tym sposobem kres nienormalnemu rozdziałowi, który ją z Nim rozłączał.

Z dniem każdym obraz Boskiego Mistrza, któremu ślubował wiarę, występował przed nim wyraźniej poprzez wszystko, na co patrzył. Wszystko zwracało myśl jego ku Panu: baranek, wiedziony na targ, przypominał mu Chrystusa pojmanego przez oprawców; w trędowatym widział Jezusa, uginającego się pod brzemieniem cudzych grzechów; maleńkie dzieci przywodziły mu na myśl Betleem; robak pełzający po ziemi mówił mu o upokorzeniach Chrystusa. Piękne barwy i wonie kwiatów opowiadały mu o tem, jak słodko jest żyć w łączności z Jezusem. Ilekroć stawiał stopę na gruncie skalistym, myśl jego wznosiła się do Chrystusa, jako do opoki niewzruszonej, na której się wspiera nadzieja chrześcijanina[2]). To wszystko nie było dla niego fanta-

---

[1]) Por. II Celano 133.

[2]) Por. I Celano, 77—81; II Celano, 165; *Spec. Perfect.* 116—18.

stycznym symbolem Tego, którego miłował. Czuł on, że tkwi w tem odblask życia Chrystusa, podobnie jak dzieła artysty są odbiciem jego istnienia. Wszelkie cierpienie, w jego pojęciu, było w tajemny sposób złączone z cierpieniem Chrystusa, wszelka czysta radość — z Jego radością, wszelkie życie — z Jego życiem.

Teolog wyjaśniłby to w ten sposób, że wszystko jest stworzone na obraz i podobieństwo Słowa Przedwiecznego Boga, którem jest Chrystus w swem Bóstwie i że On przez swe człowieczeństwo ogarnął życie stworzone w swem własnem najwyższem dziedzictwie. Ale Franciszek nie był teologiem: wypowiadał swoje wierzenia tak, jak się w nim budziły pod wpływem natchnienia, nie dbając o logiczne wyjaśnienia. Częstokroć nawet wyrażał, co czuł, nie w słowach, lecz stanem umysłu, wzruszeniem serca. Gdy go zapytano, czemu raduje się widokiem ziemi i nieba, odpowiadał, że są obrazem Chrystusa, który je stworzył[1]); gdy go pytano, czemu okazuje szacunek ubogiemu, żebrzącemu przy drodze, mówił: „Bracie, gdy widzisz ubogiego, masz przed sobą obraz Pana i jego ubogiej Matki". Albo na widok chorego: „W chorym widzimy cierpienia, które On przyjął dla naszego zbawienia"[2]). Ilekroć służył ubogim lub chorym, uważał, że w ich osobie służy Panu: służąc im, szukał swego Mistrza[3]).

Tę pełną uwielbienia tkliwość ujawniał i w inny sposób. Tak n. p. nie pozwalał braciom wykopywać drzewa ani ścinać go tak, aby nie mogło odrosnąć. Nie pozwalał im również tak otaczać płotem ogrodu, aby przeszkadzało to naturalnemu rozwojowi roślin, które się w nim znajdowały. Zbierał robaki i owady, które mogły ulec zgnieceniu na drodze i przenosił je w bezpieczne miejsce. Opowiadają, że raz, w czasie silnego mrozu postawił w pobliżu ula słodkie wino i miód, aby pszczoły nie umarły z głodu[4]). Wszelkie życie było dla niego święte, gdyż pochodziło z ręki Boga.

---

[1]) Celano, 80 i nast.

[2]) II Celano, 85.

[3]) Ibid. 90.

[4]) Ibid. 165.

Jego nieograniczona litość dla grzesznika płynęła z tego samego poszanowania. Nie troszczył się o stopień wiedzy człowieka; był on ciałem i krwią, ludzkością, stworzoną przez Chrystusa, człowieczeństwem, które na siebie przyjął. Miłość boskiego Zbawiciela i Jego chwały sprawiała, że pragnął gorąco zbawienia dusz odkupionych. Z jego zazdrosnej troski o panowanie Odkupiciela płynęła gorąca żądza zbawienia istot odkupionych. Nie mógł czcić swego Boskiego Mistrza, nie czcząc równocześnie pierwiastka życia Chrystusowego, tkwiącego w tych, co mogli stać się uczniami Chrystusa; poza winą grzesznika widział w nim zawsze tę szlachetność. Stąd płynęła jego niezachwiana ufność i nadzieja w stosunku do grzeszników. Ta wiara sprawiła wiele cudów nieprawdopodobnych nawróceń. Ludzie przywykli, że sądzono ich jedynie wedle zła, które uczynili; z racji takiego sądu bądź przez cynizm, bądź z rozpaczy, ludzie ci uważali się za potępionych. Zrazu z niedowierzaniem słuchali, gdy Franciszek dowodził, że nie są z gruntu źli i że mogą uczynić wiele dobrego. Powoli uspokajali się, łagodnieli, ogarniało ich zawstydzenie i onieśmielenie, gdy święty — za jakiego uważali Franciszka — twierdził, że każdy z nich posiada w naturze coś dobrego, w co sami już prawie wierzyć przestali. Stopniowo jednak poczynali godzić się z tą myślą; dla niektórych był to początek życia bohaterskiego, przez które usiłowali stać się takimi, za jakich ich Franciszek uważał.

Tak się stało z bandą rozbójników z Monte Casale w górach, za Borgo San Sepolcro. W pobliskiej pustelni żyło kilku braci, którzy sądzili zbójców z nieubłaganą surowością, uważając ich za zbrodniarzy, skazanych na potępienie. Franciszek wszakże nie podzielał ich zdania. Kazał braciom zaprosić rozbójników do pustelni i przedewszystkiem zaspokoić ich głód chlebem i winem. Gdy się najedli, kazał im mówić o miłości Boga. Ponieważ zbójcy nie nawrócili się odrazu, polecił braciom, by zaprosili ich powtórnie na bardziej wytworną ucztę, złożoną z jaj i sera, a potem przedstawili im korzyści cnotliwego życia, wzywając ich do pokuty i poprawy. Ten objaw braterskiej życzliwości pokonał ich opór; wzamian za otrzymywane pożywienie zaczęli braciom przynosić drzewo na opał. Nakoniec wszyscy zobowiązali się utrzymywać na przyszłość

z pracy rąk i żyć uczciwie. Trzej z nich poprosili o przyjęcie do zakonu, na co Franciszek przystał z radością. Stali się oni w następstwie ludźmi prawdziwie świętymi[1]).

Słodycz i miłość Franciszka wyrwały w ten sposób wielu braci ze szpon grzechu i z najbezwzględniejszego materjalizmu. Ale jakkolwiek ufność w ukrytą dobroć natury ludzkiej czyniła cuda nawróceń, przyczyniała się jednak bardzo do głębokiego smutku, jakim napawała go myśl o grzechach świata. W istocie bowiem, gdyby nie widział tak wyraźnie pierwiastków dobra, tkwiącego w duszy człowieka, nie bolałby tak nad grzesznikami, nie odczuwałby tak żywo zniewagi, jaką grzech wyrządza miłości Boga Stwórcy i Odkupiciela, ani jakiem jest nieszczęściem dla człowieka. Ból Chrystusa go przenikał i stał się wkońcu jego męczeństwem.

Obecnie należy opowiedzieć, w jaki sposób niezmierne współczucie dla ludzi-braci skłoniło Franciszka do proszenia papieża o zdumiewający na owe czasy przywilej. Chcemy mówić o wielkim odpuście Porcjunkuli. Rzecz szczególna, że o wypadku tym w ciągu półwiecza po śmierci Franciszka nikt nie wspomina; ani oficjalni biografowie świętego, ani ówcześni kronikarze nie mówią nic o tym odpuście, który wszakże miał postawić Porcjunkulę w rzędzie czterech najgłówniejszych świątyń chrześcijańskich. To dziwne milczenie sprawiło, że niektórzy autorzy zaprzeczają autentyczności tego faktu. Pierwsze pisane świadectwo dotyczące tego odpustu spotykamy coprawda dopiero w sześćdziesiąt lat po jego zatwierdzeniu. Należy jednak zaznaczyć, że w owej epoce żyli jeszcze współcześni Franciszka, których pamięć przechowała to zdarzenie. Co do mnie, to dla motywów, które podane zostaną w dalszym ciągu pracy niniejszej, wierzę w autentyczność tej historji, jak ją na tem miejscu przytoczono, jakkolwiek wspomniane świadectwo pisane daje słuszne podstawy do dyskusji co do jej wiarogodności. Co więcej, mam zamiar wykazać, dlaczego Franciszek prosił o ten odpust i czemu przez tak długie lata pomijano go milczeniem.

---

[1]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 66; *Fioretti*, rozdz. 25; *Actus*, rozdz. 29.

Przedewszystkiem historja autentyczna. Pewnej nocy w r. 1216[1]), gdy bracia pogrążeni byli we śnie, Franciszek wstał z posłania i udał się do kaplicy Porcjunkuli na modlitwę. Podczas modlitwy objawiła mu się Obecność Boża. W widzeniu ujrzał Chrystusa, który kazał mu iść do papieża i prosić o odpust zupełny czyli o udzielenie odpuszczenia wszelkiej kary doczesnej za grzechy dla tych, co wyspowiadawszy się ze skruszonem sercem odwiedzą kościół Porcjunkuli[2]). Franciszek wedle zwyczaju nie ociągał się z wypełnieniem rozkazu bożego. O świcie wezwał brata Masseo i wyruszył z nim w drogę do Perugji, gdzie wówczas przebywał Ojciec św. Nie możemy oznaczyć z pewnością, czy podróż ta była podjęta przed śmiercią Inocentego III, ale Franciszek był obecny w Perugji w chwili śmierci Inocentego, w dniu 16 lipca. Znajdował się nawet wśród nielicznych osób, które były obecne przy ostatnich chwilach papieża, gdyż większość członków jego dworu uciekła w obawie zarazy i śmierci[3]).

W każdym bądź razie Franciszek zwrócił się ze swą prośbą do Honorjusza III. Honorjusz, obrany w dwa dni po śmierci Inocentego, był człowiekiem prostym, duchem bardzo dalekim od świata, nie dbającym o bogactwa, hojnym dla ubogich. „Ojcze Święty — rzekł Franciszek, stając przed papieżem —

---

[1]) Datę tego wydarzenia ustala twierdzenie Benedykta d'Arezzo, że Honorjusz III był obecny w Perugji w czasie, gdy Franciszek uzyskał odpust. Ale Honorjusz przebywał w Perugji z pewnością od daty swojego oboru w d. 30 lipca do zimy r. 1216. Nie mamy żadnej wskazówki, aby znajdował się tam później podczas swego pontyfikatu, jakkolwiek Wadding utrzymuje, że przejeżdżał przez Perugję w drodze do Bolonji w październiku r. 1221. Ale świadectwo Waddinga jest w tym względzie sprzeczne z tem, co mówi następnie, a mianowicie gdy mówi, że Franciszkowi towarzyszył Piotr z Katanji, który faktycznie zmarł w marcu roku poprzedniego.

[2]) Czytelnik, nie znający nauki katolickiej, musi zrozumieć, że „odpust" nie oznacza przebaczenia winy grzechu, ale jedynie darowanie kary doczesnej, należnej jako zadośćuczynienie nawet potem, gdy wina uzyskała przebaczenie. Nie można uzyskać odpustu, zanim wina nie zostanie zmazana przez szczerą skruchę.

[3]) Eccleston (wyd. Little) *coll. XV*, str. 119.

niedawno właśnie odnowiłem dla ciebie[1]) kościół na cześć Najświętszej Panny, Matki Chrystusa, i błagam Waszą Świątobliwość o udzielenie mu odpustu bez jałmużny". Papież odrzekł, że nie może udzielić odpustu bez jałmużny, gdyż słusznem jest, by ci, co pragną otrzymać taką łaskę, ponieśli pewną ofiarę. Chciał jednak wiedzieć, na ile lat Franciszek pragnie taki odpust uzyskać: na rok, na trzy lata, czy na siedem lat i o jaki odpust prosi. Franciszek odparł błagalnie: „Ojcze święty, daj mi nie lata, lecz dusze". Na te słowa drgnęło coś w świątobliwem sercu papieża. — Jakże chcesz mieć dusze? — Jeśli łaska Waszej Świątobliwości, pragnąłbym, aby każdy, kto wejdzie do tego kościoła, wyspowiadany, żałujący za grzechy, rozgrzeszony, przez kapłana, został zwolniony od winy i kary za nią tak w niebie jak na ziemi, od dnia chrztu aż do chwili wejścia do tego kościoła. — Prosisz o wielką łaskę — rzekł papież — i Kościół rzymski nie ma zwyczaju udzielać takiego odpustu. — Panie mój — odparł niezwłocznie Franciszek — to, o co proszę, nie pochodzi ode mnie, lecz od Tego, który mnie posłał, od Pana naszego Jezusa Chrystusa". Honorjusz, jakeśmy powiedzieli, był człowiekiem nie z tego świata, to też prosta wiara Franciszka zwyciężyła głos oficjalnej rozwagi. „Moją wolą jest, abyś otrzymał, czego żądasz", rzekł papież i powtórzył te słowa dwukrotnie.

Słysząc to, niektórzy z obecnych kardynałów usiłowali sprzeciwić się temu. Przez udzielenie takiego odpustu, odpusty przywiązane do wypraw krzyżowych i do grobów apostołów stracą wartość w oczach ludu, — to też próbowali wpłynąć na papieża, aby odwołał swoje słowa. Ale Honorjusz nie chciał tego uczynić. Wszelako przez wzgląd na kardynałów ograniczył ten odpust do jednego dnia w roku, rocznicy konsekracji kościoła. Uroczysta konsekracja kościoła została naznaczona na dzień następujący po święcie św. Piotra

[1]) Zdanie „odnowiłem dla ciebie" — jest bardzo ciekawe. Może ono oznaczać, że Franciszek nie rościł sobie żadnego prawa do świątyni, którą odnowił, należała ona do Kościoła, ponieważ była poświęcona służbie bożej, i do benedyktynów, jako pełnomocników Kościoła. Albo też słowa te mogą się odnosić do przyszłej konsekracji świątyni, co uczyni z niej w szczególnem znaczeniu własność Kościoła.

w Okowach[1]). Franciszek prosił, aby odpust trwał przynajmniej przez oktawę święta, ale papież nie chciał się na to zgodzić. Udzielił łaski wbrew woli swych doradców, nie da już nic więcej. Franciszek poddał się temu wyrokowi i odchodził, gdy papież przywołał go znowu. „Prostaczku, dokąd idziesz — rzekł — i jaki masz dowód, że udzielono ci istotnie tego odpustu?“ — „Ojcze święty — odparł Franciszek — słowo twoje mi wystarcza. Jeśli to jest dzieło Boga, to Jego rzeczą jest je objawić. Nie pragnę żadnego innego dokumentu. Najświętsza Marja Panna będzie przywilejem, Chrystus — notarjuszem, a anioły — świadkami“.

Z temi słowy odszedł, udając się niezwłocznie do Asyżu. W duszy jednak czuł niepokój, że stał się przedmiotem niezgody w łonie kierowników Kościoła. Zwrócił się do papieża, myśląc wyłącznie o żniwie dusz, jakie zbierze ten odpust. W prostocie swej nie pomyślał, że może w związku z tem wyniknąć jakiś spór. Teraz zaś kardynałowie podnieśli protest, a sam papież był najwidoczniej zaniepokojony aktem, którego dokonał. Około południa doszedł z bratem Masseo do szpitala trędowatych na połowie drogi pomiędzy Perugją a Asyżem, gdzie poprosili o pożywienie i pozwolenie spoczęcia. Znużony drogą i upałem Franciszek zasnął. Zbudziwszy się, odmówił krótką modlitwę, poczem przywołał swego towarzysza podróży i rzekł: „Bracie Masseo, oznajmiam ci w imieniu Boga, że Niebo zatwierdziło odpust, którego na moją prośbę udzielił Ojciec święty“. Z tą pewnością w duszy Franciszek pełen radości udał się w dalszą drogę.

Konsekracja kościółka odbyła się według wszelkich przepisów: siedmiu biskupów brało udział w ceremonji. Franciszek miał kazanie przed kościołem na drewnianej ambonie, z której ogłosił odpust. „Pragnę was wszystkich posłać do raju — rzekł — i ogłaszam wam odpust, który otrzymałem z ust Ojca

---

[1]) Niewiadomo, czy konsekracja kaplicy była już postanowiona przed przybyciem Franciszka do Perugji, czy też nastąpiła na skutek udzielenia odpustu. Uroczystość św. Piotra w Okowach przypada w dniu 1 sierpnia, konsekracja zatem miała się odbyć 2 sierpnia. Według błog. Franciszka z Fabriano, konsekracja odbyła się istotnie 2 sierpnia 1216 r. (Bartholi, *Tract. de Indulg.*, wyd. Sabatier, str. LXIX.)

świętego. Wy wszyscy, którzyście tu dziś przybyli, wszyscy, którzy tu co rok w tym dniu przybędziecie z dobrem i skruszonem sercem, dostąpicie odpuszczenia wszystkich grzechów. Chciałem otrzymać odpust na osiem dni, lecz nie mogłęm go uzyskać"[1]). Poza tem Franciszek nie czynił nic, aby rozgłosić o odpuście. Ogłosił go jedynie, aby być posłusznym rozkazowi bożemu, poza tem zdawał na Boga staranie o dalsze losy Jego dzieła zgodnie z wolą Jego. Sądził, że opór kardynałów osłabnie zczasem, narazie zalecił braciom, aby unikali wszelkiego pozoru sprzeciwiania się pasterzom Kościoła. Uważał, że przychylność duchowieństwa łatwiej pozyskać łagodnością i że w każdym razie takie postępowanie pozwoli uczynić więcej dobra duszom ludzkim[2]). To też zalecił braciom, by narazie nie ogłaszali odpustu, lecz czekali na znak woli Bożej[3]).

Upłynęło wiele lat, zanim bracia mogli się odważyć na ogłoszenie odpustu całemu światu, rzecz jednak stała się wiadoma w Umbrji za pośrednictwem tych, którzy byli obecni podczas konsekracji kościoła. Z drugiej strony bracia nie ukrywali wobec przyjaciół przywileju, który otaczał ich ojca, tak już świętego w ich oczach, nową aureolą. Pielgrzymi, nawiedzający kościół w rocznicę jego konsekracji, wyznawali grzechy i modlili się w murach kaplicy o to całkowite odpuszczenie, które Franciszek dla nich uzyskał. W ciągu lat pięćdziesięciu, które nastąpiły po udzieleniu odpustu, zdawało się, że chwila jego publicznego ogłoszenia nigdy nie nastąpi. Papież i kardynałowie czynili wszelkie wysiłki celem nakłonienia narodów chrześcijańskich do podjęcia wyprawy krzyżowej, główną zaś do niej zachętą był odpust, przywiązany do osobistego uczestnictwa w krucjacie i do ekwipowania armji chrześcijańskiej.

---

[1]) Por. świadectwo Pet. Zalfani w Bartholi op. cit. str. 54. Zalfani był obecny podczas konsekracji. Należał do patrycjatu asyskiego i popierał papieża w walce z Fryderykiem II. Był obecny także przy kanonizacji św. Stanisława w r. 1253 w bazylice św. Franciszka. Por. *Miscell. Franc.* tom X. str. 75.

[2]) Por. II Celano, 146: „*Scitote, inquit, fratres, animarum fructum Deo gratissimum esse meliusque illum consequi posse pace, quam discordia clericorum*".

[3]) Vide świadectwo Giacomo Coppoli w Bartholi, op. cit. str. 52.

Czas był nieodpowiedni zatem, aby ogłaszać nowy odpust, który mógł odwrócić uwagę powszechną od pilnych potrzeb Ziemi Świętej. Należy zaznaczyć również, że znaczna liczba braci, należących do pokolenia, które nastąpiło po Franciszku, skłaniała się w tym wypadku do zdania kardynałów i duchowieństwa oponującego. W okresie bowiem, o którym mówimy, bracia mniejsi wraz z braćmi kaznodziejami byli akredytowanymi agentami Stolicy Apostolskiej do głoszenia wyprawy krzyżowej i zbierania na ten cel funduszów[1]).

Tak więc w ciągu długich lat marzenie Franciszka o wielkim odpuście dla żałujących grzeszników nie miało się urzeczywistnić. Korzystali z niego tylko pątnicy, przybywający z krajów sąsiednich do Porcjunkuli. Pomimo dyskrecji braci doroczna pielgrzymka stawała się coraz liczniejsza. Przed końcem stulecia ze wszystkich zakątków Italji w rocznicę konsekracji napływały do Porcjunkuli tłumy, ożywione nadzieją pozyskania odpustu. W ciągu wieków następnych napływ wiernych zwiększał się stale. Przybywali nietylko z Italji, ale ze wszystkich krajów świata chrześcijańskiego, co w zupełności usprawiedliwiało wiarę i dobroć Franciszka.

Niech mi teraz wolno będzie powiedzieć, co skłoniło, jak przypuszczam, Franciszka, do proszenia o ten odpust. Był to bezpośredni rezultat bezmiernej litości, jaką wezbrało serce Franciszka w okresie soboru powszechnego. Opuścił sobór z sercem i mózgiem przepełnionym wypowiedzianemi przez papieża słowami o sądzie nad światem i o przebaczeniu. Przyjął za swoje ten symbol odnowionego w Chrystusie życia, znak Thau, którym pragnął naznaczyć całą ziemię, o ile ludzie tego zechcą. Uważał wszakże, że misja jego będzie niezupełną, o ile nie będzie mógł dać tym wszystkim, co przyjmą Thau, pełnego przebaczenia winy i kary za grzech, odpustu, udzielonego uroczyście przez papieża tym, którzy bądź osobiście, bądź przez

---

[1]) *Ex iis qui religionem sanctorum Dominici et Francisci professi erant plurimos* (Gregorius) *emisit qui per totam Europam Christianos ad bellum Saracenis inferendum ad hortarentur. (Vita Gregorii IX* w *Conciliorum* (Parisiis, 1644), tom XXVIII, str. 273. Bracia „przebaczający" stali się rysem charakterystycznym systemu kościelnego za Grzegorza IX i jego następców.

przedstawiciela brali udział w krucjacie[1]). Otóż wielu chrześcijan nie mogło korzystać z ofiarowanego odpustu. Franciszek pragnął, aby odpust był przystępny dla większej liczby wiernych. Prawda, że można go było uzyskać nietylko udając się samemu na wyprawę krzyżową, ale także przez składanie ofiar na ten cel. Byli jednak ubodzy, którzy nic dać nie mogli. Nadto obowiązek jałmużny, równoznaczny z ofiarą pieniężną, jakkolwiek słuszny, stawiał jednak odpust poza sferą ubóstwa, ukochanego przez Chrystusa. Wyłączenie ubogiego w tych dniach sądu od korzystania z zupełnego przebaczenia przez Kościół udzielanego, stanowiło w przekonaniu Franciszka zniewagę, wyrządzoną ubogiemu Chrystusowi. Pomyślał wówczas, że Porcjunkula, przeznaczona przez Chrystusa i Jego Matkę Najświętszą na mieszkanie dla Pani Ubóstwa, jest miejscem wybranem do szerszego rozpowszechnienia ogłoszonej łaski.

Mała kapliczka stała się dla niego drugą Ziemią Świętą. Czyż bowiem nie zachęcała ona do krucjaty duchowej głoszonej przez papieża, krucjaty, którą przedstawiał on jako jeden z warunków oswobodzenia Ziemi Świętej? Czyż nie była macierzą nowego życia, które bracia mieli szerzyć na świecie? Podczas tego okresu Franciszek przebywał wiele w Porcjunkuli, w płomiennych głębiach swojej myśli[2]). Ona zjednoczyła jego duszę w sposób ściślejszy i bardziej mistyczny z tem ulubionem miejscem; ona zresztą stanowiła przedmiot jego modłów. Wówczas zstąpiło nań widzenie, odpowiedź na jego modlitwy i wezwanie do papieża.

---

[1]) Labbaeus, tom XXII, str. 955—60.

[2]) Papież mówi, że św. Franciszek opowiadał Ewangelję w Terra di Lavoro, w Abruzzach i Apulji, zanim powrócił do Asyżu. Ale jeśli Mgr. Faloci Pulignani i Montgomery-Carmicael nie mylą się, (a nie widzę potemu powodu), to Franciszek w tym czasie odnawiał kościół St. Maria Maggiore w Asyżu. Por. *Miscell. Franc.*, tom II. str. 33—7; *Franciscan Annals*, luty 1906 r.

[illegible]

[illegible]

[illegible]

KSIĘGA TRZECIA.

ROZDZIAŁ I.

Nowy okres w życiu zakonu.

Czytelnik, który śledził uważnie przebieg niniejszej historji, mógł zdać sobie sprawę, że prędzej czy później musiał nadejść czas, gdy prosta wiara braci w powołanie Franciszka do kierowania zgromadzeniem będzie wystawiona na próbę. Rozproszeni w różnych prowincjach, w codziennej styczności ze wszystkiemi warstwami społecznemi, wobec realności faktów, w zwykłym trybie życia — będą mieli wielką trudność w zachowaniu pierwotnej prostoty i wzniosłego idealizmu.

Życie brata mniejszego stykało się w wielu punktach z życiem świata, to też z konieczności ulec nieco musiało jego wpływowi. Powołanie ich nie było ani przeciwieństwem, ani bezwzględnem potępieniem życia w świecie; zresztą nie dążyło nawet do tego. W każdym bądź razie w wielu sprawach istotnych, jak kwestja własności, którą gardzili, a także w dążeniu do ideału pokoju, bracia mniejsi byli w biegunowej sprzeczności z poglądami epoki. W pierwszych jednak czasach swego istnienia, w pierwszym okresie rozwoju powołanie to podsycały nowe dążenia, które zarówno w sprawach świeckich jak i religijnych zmierzały do obalenia dawnego porządku i żądały zaprowadzenia nowego. Zakon zajął miejsce w świecie jako pierwiastek kierowniczy raczej niż niszczycielski.

U Franciszka romantyczny temperament epoki, który charakteryzowali tak dobrze trubadurzy i krzyżowcy, radosny, przepojony duchowością, oddany został na usługi religji. Zakon nie mógł się zaprzeć swojego z nim pokrewieństwa. To właśnie wraz z wybitną osobowością Franciszka tłumaczy zadziwiający wpływ i szybkie powodzenie ruchu franciszkańskiego. Rzuca to również światło na niepokój, który zapanował nieba-

wem wśród braci i przyczynił Franciszkowi wiele smutku i cierpienia.

Zewnętrznie niepokój ten zrodził się z chwilą, gdy wynikła kwestja nadania zgromadzeniu bardziej określonej organizacji. Można powiedzieć, że dotychczas Franciszek był nietylko przewodnikiem braci, ale i ich prawem. Niewszyscy mogli naśladować go w każdym szczególe życia codziennego, jak brat Jan Prosty, który posuwał się do tego, że klękał, gdy Franciszek padał na kolana, i kasłał, gdy on kasłał[1]), ale w przeżyciach wewnętrznych powołania patrzyli nań jak na księgę żywota. Można powiedzieć bez przesady, że zgromadzenie żyło we Franciszku i patrzyło na świat jego oczyma. W ten sposób ukształtował się pogląd braci na ubóstwo, na śpiew, na cierpienie i na wszystkie dzieła miłosierdzia. Dotychczas nic ich nie krępowało w stosunkach ze światem: znajdował się on bowiem całkowicie poza życiem Porcjunkuli, ukształtowanem przez Franciszka. Gdziekolwiek przebywali, bez względu na oddalenie, wnosili z sobą atmosferę tego życia: była ona ich klauzurą, poprzez którą komunikowali się ze światem zewnętrznym. Wierzyli jeszcze we wszechmoc wiary i miłości, zdolnej zdobyć świat dla Chrystusa i nie troszczyli się o ludzkie środki do osiągnięcia tego celu.

W istocie ich płomienne słowa, życie wypełnione pracą, ogólna życzliwość, jaką przez to zdobywali, stanowiły wystarczające środki ludzkie do osiągnięcia wytkniętego im przez Franciszka celu. Z chwilą jednak, gdy Franciszek wysłał braci na zdobycie świata dla Chrystusa, gdy otwarł dostęp do zgromadzenia ludziom wszystkich kategoryj, zjawiło się trudne zagadnienie, które przy pierwszej nadarzonej sposobności musiało być rozwiązane. Zagadnieniem tem był stosunek braci do świata. Jeden kierownik, choćby najwybitniejszy, nie może rządzić zgromadzeniem, ogarniającem świat cały. Siłą rzeczy nadejdzie chwila, gdy ustali się system rządzenia; nie zmieni on stosunku pomiędzy założycielem i jego uczniami, lecz zmusi ich wszystkich do podlegania prawu, które stanie się koniecznością. W ten sposób zgromadzenie nabierze zbiorowej świadomości,

---

[1]) Por. II Celano, 190; *Spec. Perfect.*, rozdz. 57.

odrębnej od osobowości założyciela, będzie posiadało odmienne od niego poglądy, może nawet czasami mieć sprzeczne z nim przekonania. Niekiedy poza bezpośrednią sprzecznością będzie istniała rzeczywista zgodność celów. Czasami jednak sprzeczność ta będzie istotna. Te przeciwieństwa powstawać będą bądź przez wstępowanie do zgromadzenia żywiołów obcych jego duchowi i celom, bądź przez niezrozumienie ducha samego założyciela. Mogą one również wynikać z tego, że zakon w rozwoju swym pójdzie dalej, niż przewidywały świadome zamierzenia jego założyciela, jakkolwiek ten dalszy rozwój tkwił w samem powołaniu braci.

Z chwilą tedy, gdy zakon rozprzestrzenił się szeroko i daleko i stał się mniej bezpośrednio zależny od Franciszka, owe niepożądane zagadnienia wynikły niezwłocznie. Stało się to tem prędzej, że zakon pochodził nietyle z indywidualności założyciela, ile raczej z ducha epoki. To też w dalszym ciągu niniejszej historji ujrzymy, że wynikną w zakonie kwestje, dotyczące jego stosunku do intelektualnego życia epoki, a także jego koordynacji z innemi czynnikami ogólnego życia Kościoła, z ustalonemi tradycjami, polityką papieską i t. p. Wszystkie te kwestje to zasadzki na słabych, to zwiastuny utrapień.

Kapituła jeneralna w r. 1217 stanowi punkt zwrotny w rozwoju zakonu. Wprawdzie kapituła nie rozstrzygała żadnej z trudnych kwestyj, które niebawem miały stać się przyczyną zamętu, lecz ustanowione przez nią podstawy rozwoju i nowej organizacji prowadziły nieuchronnie do rozluźnienia ścisłej zażyłości pomiędzy Franciszkiem a braćmi i do osłabienia w nich poczucia bezpośredniej od niego zależności.

Kapituła zebrała się na Zielone Świątki. Wielkanoc wypadła owego roku w pierwszych dniach wiosny, to też Zielone Świątki nastąpiły wcześnie, zanim gorące słońce zwarzyło świeżość drzew i ziemi[1]).

Ze wszystkich „miejsc“ i pustelni zakonu przybyli bracia, pomiędzy nimi nowicjusze, którzy nie oglądali jeszcze dotąd

---

[1]) W r. 1217 Zielone Świątki przypadały 14 maja.

oblicza Franciszka[1]). Przybyli oni z Lombardji i Apulji, z Terra di Lavoro i z gór, królujących nad Adrjatykiem, ze wszystkich prowincyj italskich. Dla wielu z nich był to powrót do domu rodzinnego; znali Porcjunkulę i kochali cień otaczającego ją lasu, gdzie się modlili i pojęli urok życia nadprzyrodzonego; bardziej niż gdziekolwiek w tem świętem miejscu życie to wydawało im się bliskie i rzeczywiste. Nowicjusze i ci, co tu jeszcze nie byli, zwracali oblicze swe ku świętemu Syjonowi z niewoli, w której się zrodzili. Chwała powołania skupiała się jeszcze dla nich w osobie Franciszka, żyła w łozinowych szałasach, rozrzuconych w okolicach Asyżu.

Spotykając się, bracia pozdrawiali się wzajemnie, a mowa ich świadczyła o różnicach pochodzenia i wychowania. Jedni wysławiali się z naturalną swobodą, cechą szlachetnego urodzenia; inni wyrażali się z wytwornością, nabytą w szkołach. Byli i tacy, co mówili z trudem, tak, jak zdołali się nauczyć przy ciężkiej pracy na chleb powszedni. Miękki i śpiewny akcent umbryjski mieszał się tu z gardłową gwarą Lombardji i twardą wymową południa. Niekiedy można było spotkać braci, których język zdradzał mieszkańców krajów zaalpejskich; byli to podróżni, którzy, przechodząc przez Italję, napotkali na drodze braci i przyłączyli się do nich; narazie jednak braci z za gór była niewielka garstka.

Po przybyciu do Porcjunkuli podzielili się na grupy i pobudowali sobie szałasy z gałęzi, zebranych w lesie okolicznym. Jakkolwiek zgromadziło się ich wiele setek, nie było w pobliżu świętej kaplicy żadnego gwaru ani hałasu, tak że słychać było jedynie głos kaznodziei. Z reguły bracia mówili zcicha i jedynie wtedy, gdy ich do tego zmuszała konieczność. Wolno im było rozmawiać jedynie w małych gromadkach o rzeczach dotyczących powołania[2]). To milczenie miało wszakże swoją wymowę, podobnie jak cisza, panująca z wiosną na ziemi. Kapituła ta była parlamentem cichym i spokojnym, ale tem niemniej parlamen-

---

[1]) W pierwszych kapitułach mogli uczestniczyć wszyscy bracia zarówno po złożeniu ślubów zakonnych, jak i nowicjusze. Por. *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.* I. str. 6; Eccleston (wyd. Little), str. 80.

[2]) Por. *Spec. Perfect.*, rozdz. 82; *Actus*, rozdz. 20.

tem prawdziwym, ponieważ każdy z braci, nawet najmłodszy nowicjusz, mógł wyrazić swoją opinję, której słuchano z szacunkiem. Była to nietylko parada, ale rzeczywiste zgromadzenie dyskutujące. Zebrali się tu wszyscy, aby przez modlitwę i wymianę myśli poznać wolę bożą w stosunku do siebie: każdy musiał mówić według sumienia, nikt jednak nie myślał dyktować praw innym, ani narzucać zgromadzonym swoich poglądów osobistych. Mało się troszczyli o ostateczne postanowienia kapituły: będzie tak, jak Bóg zechce. Mnóstwo bowiem braci żyło jeszcze wiarą i radością obranego powołania.

Nie ulega wątpliwości, że wśród tłumu zebranych byli ludzie skłonni do krytykowania prostoty zakonu. Były to jednostki kształcone na spekulatywnej nauce szkół, biegli w znajomości dekretałów i jurysprudencji, lub też przywykli niegdyś do przeprowadzania rozmaitych spraw świeckich i nie zapominający o swem dawnem doświadczeniu. Ale zarówno u jednych jak i u drugich duch wiary i czci dla tego, kto przewodniczył zgromadzeniu, hamował krytyczne zapędy.

Modlitwom i rozmyślaniom zebranych polecono dwie kwestje: mianowanie prowincjałów i założenie zakonu poza Italją. Ta druga kwestja oznaczała rozszerzenie czynnego apostolstwa zakonu, ale wywoływali równocześnie pilną potrzebę systematyczniejszej organizacji przez mianowanie prowincjałów.

W żadnym systemie rządzenia niepodobna było zachować pierwotnej prostoty, jaka cechowała dotychczas stosunki braci do przełożonych. Według reguły zgromadzenia, gdy kilku braci mieszkało lub podróżowało razem, musieli wybrać z pośród siebie jednego, którego uważali za namiestnika bożego i któremu winni byli posłuszeństwa[1]). Pojęcia władzy i posłuszeństwa miały ten sam charakter, jaki posiadają w rodzinie, lub w towarzystwie związanem ściśle wzajemnym szacunkiem i dążącem do wspólnego celu. W takich warunkach ciężar władzy i posłuszeństwa znosi się z łatwością, gdyż ponosi go równocześnie cała organizacja.

[1]) Por. *Tres. Soc.* 46

W pojęciu Franciszka rola przełożonego zakonu była podobna do roli matki w rodzinie; pojęcie to było antytezą idei panowania[1]). Chrystus jedynie mógł sprawować tę czynność. Dlatego też słowa Jego, zawarte w regule i w zwykłem prawie Kościoła, stanowiły jedyny bezwzględny autorytet, któremu wszyscy bracia jednakowo podlegali. W każdym jednak razie przełożony miał sobie powierzoną pieczę nad przestrzeganiem tego prawa przez braci; miał on obowiązek interpretować wolę Chrystusa i stosować ją w szczegółach życia codziennego nie w duchu władzy osobistej, — tej bowiem nie posiadał, — lecz jako wykonawca prawa, któremu sam narówni z wszystkimi bezpośrednio podlegał.

Ten zatem, kto piastował tę godność, winien się uważać za sługę zgromadzenia i dawać przykład „prawdziwego i świętego posłuszeństwa", które polega na „dobrowolnych i wzajemnych usługach i uległości". Gdyż źródłem tego posłuszeństwa jest miłosierdzie, miłość Chrystusa i zgromadzenia dla miłości Chrystusa; tylko miłość może skłonić człowieka do dobrowolnego służenia innym, nawet w oddawaniu im najniższych posług[2]). To „prawdziwe i święte posłuszeństwo obowiązywało zarówno przełożonego jak braci, stanowiło część hołdu, jaki zgromadzenie winne było Temu, który nie przyszedł, aby Mu służono, ale służyć"[3]). Władzy sprawowanej w tym duchu jako dzieła mi-

---

[1]) Tak więc Celano mówi o Franciszku i o bracie Eljaszu: *„quem loco matris elegerat sibi"* (I Celano, 98). Patrz także opis brata Pacyfika przez Tomasza z Toskanji w *Mon. Germ. Hist. Script.*, XXII, str. 402. *„Frater Pacificus... ut a beato Francisco pia mater appellaretur.* Ta sama idea zawiera się w ciekawym dokumencie. *„De religiosa habitatione in eremo" (Opuscula,* str. 83—4). Tę samą myśl podkreśla tytuł nadany przełożonym miejscowym, zwanym *custodes,* stróżami, a nie przeorami lub mistrzami, jak w innych zgromadzeniach zakonnych.

[2]) *„Per caritatem spiritus voluntarie serviant et obediant invicem. Et haec est vera et sancta obedientia Domini nostri Jesu Christi". (Reg.* I, rozdz. V.) *Et nullus vocetur prior sed generaliter omnes vocentur fratres minores. Et alter alterius lavet pedes.* (Ibid. rozdz. VI. Por. *Regula* II, rozdz. X.).

[3]) Mat. XX, 28 (Vulgata), przytoczono w *Reg.* I, rozdz. IV. W imię tego posłuszeństwa przełożony był obowiązany dzielić pracę z braćmi.

łości, wolnej od wszelkiej idei przewagi osobistej, poddawano się z głębokim szacunkiem i podlegano jej z czcią, jako władzy samego Chrystusa, tak w swem Bóstwie pokornego. Krytykowanie przełożonego poczytywano za brak lojalności względem samego powołania. Bracia wykonywali znaną sobie wolę przełożonego nawet wtedy, gdy tego specjalnie nie narzucał[1]). Czynili tak przez posłuszeństwo względem Boga, któremu zobowiązali się służyć: w osobie przełożonego podlegali Chrystusowi[2]). To doskonałe posłuszeństwo praktykowano tem łatwiej, im bardziej władza sama była nacechowana słodyczą służby Chrystusowej.

Pojęcie Franciszka o posłuszeństwie powstało na podstawie romansów rycerskich; była to chrześcijańska wierność rycerska, nie zaś niewolnicza uległość, należna prawodawcy.

Ale takie rycerskie pojęcie posłuszeństwa wymaga przedewszystkiem jako niezbędnego warunku — swobody, nietyle ekonomicznej i politycznej, ile swobody ducha, połączonej z wytrwałą wiernością. Ten warunek jednak niełatwo osiągnąć w rozproszonej i licznej organizacji. Należy też niezwłocznie uciec się do objektywnego, nieosobowego poparcia prawa, do jego przymusu, na którym zbudowane są państwa. Podział zakonu na prowincje, rządzone przez prowincjałów, stał się konieczny nietylko ze względu na rozwój zakonu, ale także z uwagi na uczuwaną potrzebę bardziej systematycznej organizacji, zarządu bardziej nieosobowego i objektywnego.

Franciszek, obdarzony subtelnością odczucia, rozumiał, że mianowanie prowincjałów musi wywołać zanik życia braterskiego wśród jego „rycerzy okrągłego stołu"[3]); to też pragnął gorąco, aby w nowej organizacji zachowano duch braterstwa według jego zrozumienia. Przełożeni mieli być nadal zarządcami i „custodes", a nie przeorami lub mistrzami. Ogłaszając rezolucję kapituły, przedstawił jasno ich urząd i obowiązki. „Zarządzający (ministrowie) winni być sługami innych braci, czuwać nad nimi, jak pasterz nad owcami. Winni odwiedzać ich

---

[1]) Por. *Tres. Soc.*, 42.

[2]) Por. II, Celano, 151; „*Subditus, inquit, praelatum suum non hominem considerare debet; sed illum pro cuius amore est subjectus*".

[3]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 72.

często, oświecać ich w rzeczach duchownych i zachęcać ich. Inni bracia ze swej strony winni ich słuchać we wszystkiem, co nie jest sprzeczne z życiem brata mniejszego. Stosunek pomiędzy ministrami a braćmi zasadzać się będzie na tej regule: „Cokolwiek pragniecie, aby inni wam uczynili, i wy im czyńcie, a czego nie chcecie, aby wam uczyniono, tego im nie czyńcie". Niechaj przełożeni pamiętają o słowach Zbawiciela: „Nie przyszedłem, aby mi służono, lecz aby służyć". Niech pamiętają, że powierzone mają zbawienie dusz swych braci, i że jeśli która z nich się zatraci przez winę albo przez przykład przełożonego, będzie on musiał zdać z tego sprawę przed Panem naszym, Jezusem Chrystusem..."[1])

W ten sposób ustanowiono urząd ministra i określono jego obowiązki.

Podział na prowincje nastąpił na podstawie granic geograficznych. Tak więc Italja dzieliła się na prowincje: Umbrję, Toskanję, Marchje Ankońskie, Lombardję, Terra di Lavoro, Apulję i Kalabrję. Bracia mieli nieograniczoną niemal swobodę wyboru prowincji, do której chcieli się przyłączyć, większość ich jednak zdała się na decyzję ministrów[2]). Kulminacyjnym jednak momentem podczas kapituły była chwila, gdy zażądano, aby zgłosili się chętni do podjęcia misji w krajach zaalpejskich. Prawdopodobnie nieliczne z pośród braci jednostki zdawały sobie sprawę z doniosłości mianowania ministrów. Natomiast myśl podjęcia misji po drugiej stronie Alp porwała ich wyobraźnię. Wprawdzie kraje, gdzie miano głosić Ewangelję, t. j. Hiszpanja, Portugalja, Francja, Niemcy, Węgry, (niektórzy dodawali do nich Syrję)[3]) były to kraje katolickie, ale obyczaje ich i język różniły się od mowy i zwyczajów Italji. Bracia, którzy odbywali już podróże poza granice swych prowincyj rodzinnych, było bardzo niewielu, a kraje, położone za Alpami, stanowiły dla nich ziemię nieznaną. To też ludzie, wy-

---

[1]) *Reg.* I, rozdz. IV.

[2]) *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.*, I, nr. 18, str. 7, a także wypadek św. Antoniego z Padwy podczas kapituły r. 1221, rozdz. VII, księga III.

[3]) Syrja w danym wypadku oznaczała kraje położone na terytorjum królestwa Jerozolimskiego, nie zaś ziemie mahometańskie.

braci do głoszenia Ewangelji w tych krajach, budzili wśród pozostałych braci podziw i bojaźń zarazem, nikt bowiem nie mógł powiedzieć, na jakie trudności mogą być narażeni.

Franciszek z niemniejszym entuzjazmem patrzył na swych towarzyszów, wybranych na misję. W sercu odczuwał ponownie radość, jakiej doznał na początku swego powołania, gdy pragnął udać się do obcych krajów. Śmiałość braci porywała go, to też nie mógł się długo opierać temu przykładowi. Odprowadziwszy tedy na stronę kilku z nich, rzekł: „Moi najdrożsi, słusznem jest, abym dla innych był wzorem i przykładem. Wysłałem braci daleko, na uciążliwą pracę, na upokorzenia, głód, pragnienie i inne próby: sprawiedliwość i posłuszeństwo wymagają, abym i ja również udał się do jakiego dalekiego kraju. Będzie dla braci zachętą w przeciwnościach, gdy się dowiedzą, że i ja znoszę takie same. Idźcie więc prosić Pana, aby mnie natchnął, jaką mam wybrać prowincję, aby to było na większą Jego chwałę, ku większemu pożytkowi dusz i ku najskuteczniejszej zachęcie dla braci.“ Bracia oddalili się i zaczęli się modlić, jak im to zalecił. Gdy powrócili, Franciszek przyjął ich z twarzą rozpromienioną radością i nadzieją. „W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, chwalebnej Dziewicy Marji i wszystkich świętych — zawołał — wybieram prowincję francuską. Mieszka tam lud katolicki, który bardziej niż inne żywi cześć dla Ciała Chrystusowego, a cześć ta podoba mi się bardzo. Dlatego też udam się tam chętnie“[1]). Franciszek kochał Francję nietylko dla kultu, jaki żywiła dla Najśw. Sakramentu, lecz także jako kraj dworności i pieśni; z wrodzonym sobie taktem i poczuciem wewnętrznej harmonji wybrał sobie za jednego z towarzyszów podróży misyjnej brata Pacyfika, byłego „króla mowy wiązanej“, poetę laureata[2]).

Niektórzy utrzymują, że kierownikiem misji hiszpańskiej był Bernard da Quintavalle[3]). Misja do Niemiec odbyła się pod przewodnictwem Jana z Penny, nie tego, który miał tak piękne

[1]) *Spec. perf.*, rozdz. 65.
[2]) Por. *Leg. Maj.*, IV. 9.
[3]) Por. *Umbria Serafica* w *Miscel. Franc.*, II, str. 46.

widzenia[1]), lecz innego Jana z Penny w Abruzzach, byłego architekta i inżyniera[2]).

Kapituła zakończyła się nowym porywem zapału, wywołanym przez wyprawy zaalpejskie. Drogi, wiodące do Porcjunkuli, zaroiły się od gromadek, zdążających śpiesznie do prowincyj, powierzonych ich gorliwości[3]).

---

[1]) *Fioretti*, rozdz. 44.

[2]) Por. Fra Egidio Giusti, O. M. Conevnt: *Chi fu veramente l'Architetto della Basilica superiore di S. Francisco in Assisi?*

[3]) W *Series Provinciarum Ord. F. F. M. M., Anno 1217*, przez P. H. Golubovitch w *Archivum Franc. Hist.*, Annus I, fasc. I, str. 2—5; nazwy prowincyj i prowincjałów są podane według Waddinga, jak następuje: Toskanja — prowincjał nieznany; Marchje Ankońskie — prowincjał Benedykt d'Arezzo; Medjolan albo Lombardja — prowincjał Jan ze Strachji; Terra di Lavoro — prowincjał Augustyn z Asyżu; Apulja — prowincjał nieznany; Kalabrja — prowincjał Daniel z Toskanji; Niemcy — Jan z Penny; Francja — prowincjał Pacyfik „król mowy wiązanej"; Prowancja — Jan Bonelli. Hiszpanja — prowincjał Bernard da Quintavalle (?); Syrja — Eljasz. Misja niemiecka nie udała się, i prowincja niemiecka została w rzeczywistości założona dopiero w r. 1221 pod przewodnictwem Cezara ze Spiry. Pod innemi względami również spis ten nastręcza wątpliwości. *Chron. XXIV. Gen.* podaje datę ustanowienia prowincji w Prowancji na rok 1219 (por. *Anal. Franc.*, III, str. 10). Jest także wątpliwe, by brat Eljasz został wysłany do Syrji w r. 1217, nastąpiło to może w roku 1219. Spis Golubovitcha potwierdza Sabatierowskie wydanie *Speculum Perfect.*, rozdz. 65, gdzie czytamy, że podczas kapituły w roku 1217 bracia zostali wysłani *„ad quasdam provincias ultramarinas"*, ale w tekście *Speculum*, wyd. przez Lemmensa, ustęp ten brzmi: *„ad quasdam provincias ultramontanas"*, (wyd. Lemmens, rozdz. 37). W *Tres. Soc.*, rozdz. 16, czytamy, że podczas tej kapituły bracia zostali wysłani *„per universas mundi provincias in quibus fides catholica colitur et servatur"*, lecz niema tam wzmianki o Syrji. Giordano da Giano wyznaje otwarcie, że nie wie, czy Eljasza wysłano do Syrji w r. 1217 czy w r. 1219 (*Chron. Jordani* w *Anal. Franc.*, I, No. 7, str. 3). Glasberger (*Anal. Franc.*, II, str. 9) mówi, że podczas tej kapituły bracia zostali wysłani *„fere per universas provincias orbis in quibus fides catholica viget"*. *Leg. Tres. Soc.* i kronika Glasbergera nie wyłączają niezbędnie Syrji, ponieważ istniało łacińskie królestwo Jerozolimskie i liczne kolonje, założone w Palestynie, a fakt, że kapituła jeneralna w r. 1217 lub 1219 ustanowiła prowincję w Syrji, dowodzi, że Syrja nie była całkowicie uważana za kraj misyjny, lecz za część świata katolickiego.

Zanim wyruszyli w drogę, Franciszek przemówił do nich w te słowa: „W imię Pańskie idźcie po dwóch, skromnie i pokornie; zachowujcie milczenie, w szczególności od świtu do tercji; módlcie się do Pana w sercu i unikajcie słów próżnych lub bezużytecznych. Choć będziecie na obczyźnie, zachowujcie się tak skromnie i pokornie, jakgdybyście się znajdowali w celi waszej w pustelni. Bowiem gdziekolwiek jesteśmy, winniśmy naszą celę mieć ze sobą. Brat ciało jest naszą celą, a dusza jest pustelnikiem, który w niej przebywa i rozmyśla o Panu. Nie na wiele się przyda cela zbudowana ręką ludzką, jeśli dusza nie ma spokoju we własnej celi"[1]). Po tych słowach pożegnał ich.

Te pierwsze misje w krajach po drugiej stronie Alp były, podobnie jak wszystkie pierwsze misje franciszkańskie, wyprawami pełnemi przygód, nacechowanych najczystszym duchem rycerskiej czci i wierności. Bracia szli, aby dać świadectwo wierze, którą mieli w sercu; miłość Chrystusa i Ubóstwa była ich podporą, cierpliwość i wytrwałość miała przynieść im chwałę. Była to naprawdę wyprawa rycerska, a nie manewr chytrej polityki mężów stanu. Ducha, w jakim podjęto te misje, maluje doskonale poemat w prozie, opowiadający o przygodach, jakie zaszły w drodze. Poemat ten mówi, że Franciszek, przed wyruszeniem do Francji, zapragnął odwiedzić groby św. Apostołów, aby im polecić nowe przedsięwzięcie. Wziął ze sobą brata Masseo. Po drodze przybyli do jakiegoś małego miasteczka; dręczeni głodem, weszli do miasta, aby użebrać pożywienie, ale rozstali się i poszli każdy zosobna. „Masseo, który był okazały i pięknej postaci, otrzymał hojną jałmużnę, duże i piękne kawałki chleba, a nawet całe bochenki; Franciszek zaś, którego z racji małego wzrostu i wątłego wyglądu brano za pospolitego żebraka, dostał tylko kilka kawałków suchego chleba". Gdy już dosyć użebrali, udali się razem za miasto, do źródła, gdzie mogli głód zaspokoić. Opodal znajdował się duży płaski kamień, na którym obaj rozłożyli otrzymaną jałmużnę.

Franciszek, widząc, że kawałki chleba brata Masseo są większe i lepsze niż jego, uradował się serdecznie i rzekł: „O bracie Masseo, nie jesteśmy godni tak wielkiego skarbu".

---

[1]) *Speculum Perfect.*, rozdz. 65.

Powtórzył te słowa kilkakrotnie, tak że brat Masseo powiedział: „Ojcze, jakże możesz nazywać to skarbem, gdy jesteśmy w największem ubóstwie i brakuje nam rzeczy potrzebnych, gdy nie mamy ani obrusa, ani noża, ani talerza, ani misy, ani domu, ani stołu, ani służącego, ani służebnej?“ A św. Franciszek odparł: „Wielkim skarbem nazywam to właśnie, że nic nie zawdzięczamy przemysłowi ludzkiemu, lecz że wszystko mamy od Opatrzności Boskiej, jak to widać wyraźnie po chlebie, któryśmy użebrali, po kamieniu, co nam stół zastępuje, i po źródle tak czystem; dlatego też modlimy się do Boga, aby dał nam sercem całem miłować ubóstwo. Jest ono rzeczą tak szlachetną, że Bóg sam zapragnął mu się poddać“. Następnie Franciszek i jego towarzysz odmówili modlitwę, zjedli chleb, napili się wody ze źródła, a potem wstali i udali się w dalszą drogę.

To ścisłe obcowanie z Panią Ubóstwem napełniło serce Franciszka duchową radością. Niebawem ujrzeli kościół. Franciszek rzekł do Massea: „Wejdźmy pomodlić się do tego kościoła“. Gdy weszli, poszedł za ołtarz i zaczął się modlić. Miłosierdzie boże rozpaliło go wówczas tak wielką żarliwością, że dusza jego zapałała ogniem miłości dla świętego Ubóstwa. Po silniejszych rumieńcach na twarzy, po niezwykłem rozchyleniu ust, możnaby sądzić, że tchnie płomieniem miłości. Tak rozpromieniony powrócił do swego towarzysza i rzekł: „A, a, a, bracie Masseo, oddaj mi siebie“. Powtórzył te słowa trzykrotnie, a za trzecim razem podniósł tchnieniem swem brata Masseo w powietrze i odepchnął go od siebie na długość dużej dzidy. Brat Masseo opowiadał później towarzyszom swoim, że kiedy go Franciszek tak podniósł i pchnął swojem tchnieniem, uczuł taką słodycz w duszy i taką Ducha Świętego pociechę, jakiej nie czuł nigdy jeszcze w życiu. Następnie Franciszek rzekł do swego towarzysza: „Mój bracie, chodźmy do świętego Piotra i świętego Pawła i prośmy ich, aby nauczyli nas i pomogli nam posiąść niezmierny skarb świętego Ubóstwa. Jest to bowiem skarb tak przedziwny i boski, że nie jesteśmy godni mieścić go w tak lichem ciele. Jest to zaprawdę boska cnota, mocą której depce się wszystkie ziemskie rzeczy i doczesne, mocą której zrzuca się wszelką troskę z duszy, by mogła swo-

bodnie łączyć się z wiecznym Bogiem. Dzięki niej dusza, mieszkająca jeszcze na ziemi, może mówić z aniołami w niebie. Jest to cnota, która towarzyszyła na krzyż Chrystusowi, która z Chrystusem pogrzebiona została, z Chrystusem zmartwychpowstała, z Chrystusem w niebo wstąpiła. Cnota owa użycza duszom, rozmiłowanym w niej, w tem jeszcze życiu takiej lekkości, że wzlatują w niebo, strzeże ona bowiem prawdziwej pokory i miłości. Módlmy się przeto do świętych apostołów Chrystusa, którzy byli doskonałymi miłośnikami tej perły ewangelicznej, by wyprosili nam łaskę u Pana naszego, Jezusa Chrystusa, iżby w najsłodszem swem miłosierdziu pozwolił nam być prawdziwymi przyjaciółmi, pokornymi uczniami i czcicielami tego tak wdzięcznego, tak ukochanego, tak ewangelicznego ubóstwa"[1]).

Gdyby wysłanie braci do obcych krajów miało tylko ten rezultat, że wywołało tę pochwałę ubóstwa, byłoby to już nie-

---

[1]) *Fioretti*, rozdz. 12 (C. T. S. traduct.); *Actus*, rozdz. 13; *Chron. XXIV. Gen. Anal. Franc.*, tom III, 117; *De Conformit. Anal. Franc.*, IV, str. 608. Można przeprowadzić ciekawe porównanie pomiędzy wyżej przytoczoną pochwałą ubóstwa i modlitwą o otrzymanie daru świętego ubóstwa, przypisywaną przez Waddinga i innych św. Franciszkowi, którą jednak spotykamy po raz pierwszy w *Arbor Vitae* Ubertina de Casale. Montgomery Carmichael mówi o tej modlitwie: „Jakkolwiek on (Ubertino) wkłada tę modlitwę w usta świętego Franciszka, kontekst dowodzi, że usiłuje on raczej odtworzyć uczucia Świętego, niż przytoczyć modlitwę istotnie przez niego napisaną". (Patrz *The Lady Poverty*, str. 193.) Podobne uczucia spotykamy w *Sacrum Commercium*, rozdz. VI; oddźwięk podobny znajduje się w *Raju* Dantego, Pieśń XI, wiersz 71—72. Jest zupełnie prawdopodobne, że przed podróżą do Francji Franciszek udał się do Rzymu. Czynił to, zdaje się, przed każdem ważniejszem przedsięwzięciem. Tak więc, według Waddinga, udał się do Rzymu w r. 1212 w okresie, który obecnie badamy. (Por. II, Celano, 96, 104, 114, 148; *Speculum Perfect.*, rozdz. 67.) Prawdopodobnie będąc w Rzymie Franciszek otrzymał rozkaz zasięgnięcia rady u kardynała Hugolina we Florencji, skoro Hugolino, legat w Umbrji, miał być przedstawicielem Stolicy Apostolskiej w tych dzielnicach. Zapewne w tym charakterze kardynał Hugolino wystąpił po raz pierwszy jako protektor zakonu, aż do chwili, gdy niedogodność posiadania „kilku papieży" w osobach następujących po sobie legatów nie skłoniła Franciszka do prośby, by Hugolino był stałym jego opiekunem. (Por. *Chron. Jordani*, w *Anal. Franc.*, No. 14, str. 5.)

mało, ona bowiem, jak błyskawica ukazuje nam tajemnicę wiernego przywiązania, bezwzględnego oddania się Franciszka jego ideałowi „Pani Ubóstwu".

Gdy wreszcie Franciszek wyruszył w drogę na północ, udał się do Florencji: tu kończyła się podróż, przynajmniej dla niego osobiście. W mieście tem spotkał kardynała Hugolina, legata papieskiego: spotkanie to stało się początkiem nowego rozdziału w historji zakonu.

Hugolin, kardynał-biskup Ostji i legat Stolicy Świętej na Italję północną i środkową, był jednym z kardynałów, mianowanych przez Inocentego III. Przez ojca łączyły go jakieś węzły pokrewieństwa z tym wielkim papieżem[1]). W owej epoce Hugolin miał około lat sześćdziesięciu; był to mężczyzna piękny, silny i dobrze zbudowany, człowiek raczej zręczny niż genjalny, nie obdarzony ani wybitną oryginalnością charakteru, ani polotem natchnienia, które cechowały papieża Inocentego. Tem niemniej był mistrzem w sztuce rządzenia i wytrawnym człowiekiem interesu, jednym z tych, jakich wydawał dwór rzymski w wielkiej liczbie i we wszystkich epokach. Posiadał nadzwyczajną pamięć i jasny pogląd na sprawy, z któremi miał do czynienia. Ponadto był uczonym, biegłym w prawie, w sztukach i w teologji, a także wytrawnym i utalentowanym mówcą[2]).

Dobrze uczynił Inocenty III, że powołał tego krewnego do swej rady poufnej, gdy szukał ludzi, troszczących się raczej o dobro Kościoła, niż o korzyści własne, gdy chciał powierzyć władzę duchowną i świecką jednostkom, będącym przykładem pobożności i poświęcenia. Kardynał Hugolino bowiem był duszą i sercem oddany Kościołowi i podobnie jak papież marzył

---

[1]) Dwa życiorysy Hugolina podaje Muratori, *Rerum Italicarum Script.*, tom III, str. 570-4, i 575-87. Drugi życiorys jest widocznie skreślony przez kogoś, kto go znał dobrze, prawdopodobnie przez jednego z członków dworu. Szczery podziw dla osoby kardynała łączy autor życiorysu z dokładną znajomością szczegółów, której nabyć można jedynie przez stałe obcowanie. Możliwe, że był to Giovanni di Campania, sekretarz papieski.

[2]) Por. Muratori, loc. cit., str. 575: *„Forma decorus et venustus aspectu, perspicacis ingenii et fidelis memoriae praerogativa dotatus, liberalium et utriusque juris peritia eminenter instructus fluvius eloquentiae Tullianae, sacrae paginae diligens observator et doctor"*.

o Kościele, któryby był nietylko dość silny do rządzenia wyłamującym się z pod wszelkiej karności światem, lecz o Kościele oczyszczonym z grzechów i występków, przeniknionym duchem ewangelicznym. On sam wśród blasku oficjalnych ceremonij żył jak asceta: nigdy nie podawano w wątpliwość czystości jego obyczajów ani jego bezinteresowności. Charakter jego stanowił ciekawą mieszaninę sprzecznych czynników; wychowany inaczej, w odmiennych okolicznościach, byłby znalazł więcej zadowolenia w murach klasztoru niż na dworze papieskim. Doznawał niekiedy porywów mistycznych, które rozbijały się o pojęcia, zaczerpnięte z doświadczenia nabytego w stosunkach z ludźmi. W owych chwilach pożądał całem sercem tego życia, nie liczącego się z względami ziemskiemi, dążącego wzwyż za głosem Ducha[1]).

Zręczność polityczna i przyzwyczajenie ważenia wszystkich spraw na szali rozsądku nie ujmowały kardynałowi uczuciowości[2]). Był z natury tkliwy i nie umiał się oprzeć prośbie, skierowanej doń w imię przyjaźni. Lubił rolę protektora i nie opuszczał nigdy tego, do kogo się przywiązał. Przedtem nim spotkał Franciszka we Florencji, żywił już szczery podziw zarówno dla niego jak i dla zakonu; był na dworze papieskim jednym z tych, co go darzyli łaskami. Wiedział, że znajdowali się na dworze i w hierarchji przeciwnicy nowej instytucji[3]); być może, przychodziło mu nieraz na myśl, że jeśli zakon ma przepłynąć bezpiecznie przez rafy intryg i niebezpieczeństw, wynikających z własnego zapału, musi posiadać na dworze papieskim przyjaciela: nie było już kardynała od św. Pawła, możnego opiekuna braci, któryby mógł ich bronić i rad im udzielać, umarł on bowiem poprzedniego roku[4]). Ze swej strony Franci-

---

[1]) Por. I Celano, 75; II, Celano, 63. Bartłomiej z Pizy opowiada, że kardynał zapytał raz Franciszka o radę, czy ma zrzec się swych dostojeństw i zostać bratem mniejszym; Święty jednak nie chciał mu w tej mierze żadnej rady udzielić. Później Franciszek przepowiedział Hugolinowi, że zostanie wyniesiony na tron papieski. (*De Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 454.)

[2]) Patrz jego listy do św. Klary, *Anal. Franc.*, III, str. 183.

[3]) I, Celano, 74; *Chron. XXIV. Gen.* w *Anal. Franc.*, III, str. 10.

[4]) Eubel, *Hier. Cath.*, I, str. 36.

szek znał kardynała ze słyszenia, nietylko ze względu na jego godność kościelną, lecz także z nienagannego życia.

Teraz wszakże, gdy się spotkali po raz pierwszy i zbliżyli w poufałej pogawędce, uczuli wzajemnie w stosunku do siebie najżywszą sympatję. Franciszka, z natury pełnego ufności, pociągał silnie ten człowiek energiczny, przychylnie dla braci usposobiony, który odrazu okazał mu życzliwość. Kardynała podbiła w zupełności prostota Franciszka, jego oderwanie od rzeczy tego świata. W ten sposób pomiędzy tymi dwoma ludźmi tak bardzo różnymi zrodziła się głęboka przyjaźń. Decydujący wpływ kardynała ujawnił się niezwłocznie w tem, że Franciszek zaniechał zamierzonej podróży do Francji: niełatwo to jednak przyszło.

W czasie pierwszej na ten temat rozmowy, gdy kardynał dowodził Franciszkowi, że winien pozostać w Italji, aby stawić czoło kilku prałatom, którzy chcieli przeszkodzić dziełu zakonu, odpowiedział ze zwykłą sobie porywczością: „Mój panie, jakiż to wstyd dla mnie, gdybym wysławszy braci do dalekich krajów nie dzielił z nimi trosk i trudów, które ich czekają". Kardynał odparł, że i braci nie należy wysyłać na możliwą śmierć z głodu i zmęczenia, i że lepiejby uczynili, gdyby zostali w Italji i oddali się spokojnie swemu powołaniu. Wtedy Franciszek zawołał z zapałem: „Czy myślisz, panie, że Chrystus posłał braci tylko do Italji? Zaprawdę, powiadam ci, Bóg wybrał ich i posłał ku zbawieniu dusz wszystkich ludzi, żyjących na świecie. Nietylko wśród wiernych, ale i pomiędzy niewiernymi zostaną przyjęci i pozyskają wiele dusz". Kardynał nie nalegał więcej, uznając może, iż dobrze będzie pozostawić braciom swobodę i nie tłumić ich energji. Powiodło mu się jednak odwieść samego Franciszka od tego zamiaru i skłonić go do wysłania braci z innym kierownikiem do Francji.

Tak tedy bratu Pacyfikowi, poecie laureatowi, przypadła w udziale rola założyciela zakonu w kraju, który Franciszek, po swej rodzinnej Umbrji, kochał najbardziej w świecie[1]).

---

[1]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 65; *Leg. Maj.*, IV, 9; *Chron. XXIV. Gen.*, w *Anal. Franc.*, III, str. 10.

Podobnie jak Franciszek, brat Pacyfik posiadał duszę trubadura poetyczną i żądną przygód. Franciszek poznał go na jakieś pięć lat przedtem, gdy Pacyfik był młodym dworakiem, dumnym ze świeżych laurów. Spotkali się podczas zwiedzania klasztoru mniszek San Severino w Marchjach Ankońskich. Tam usłyszał poeta po raz pierwszy kazanie Franciszka, który zdołał odrazu nawrócić jego serce. Po kazaniu zwrócił się do kaznodziei o udzielenie mu kilku rad duchownych. Franciszek przedstawiał mu wielkość i zaszczytną piękność służby Króla Niebieskiego; Pacyfik zawołał: „Naco mówić więcej? przejdźmy do czynów. Odbierz mnie ludziom i oddaj mnie napowrót Najwyższemu Władcy". I natychmiast w obecności młodzieńców, którzy mu towarzyszyli, Pacyfik został bratem mniejszym.

Swego przewodnika duchownego uważał zawsze za „herolda" Pana Niebios, a w wyobraźni widział go obleczonego w insygnja Jego godności.

Razu pewnego — a było to w chwili owego nawrócenia — ujrzał Franciszka ozdobionego dwoma skrzyżowanemi mieczami, innym razem, przed podróżą do Francji, gdy Franciszek był przejęty nową myślą duchowej krucjaty, zobaczył na czole swego mistrza znak Thau, mieniący się różnemi barwami[1]).

Pacyfik nie był może odpowiedni do tego, aby praktycznym prałatom lub podejrzliwym obrońcom wiary narzucić szacunek dla braci; zresztą nie miał, jak się zdaje, wielkiego w tym względzie powodzenia. Potrafił jednak wszystkim, co chcieli go słuchać, głosić pięknie i przekonywująco poetyczną ewangelję ubóstwa.

Franciszek wrócił do Asyżu: Bóg tak chciał, musiał ulec. Poza tem miał przeświadczenie, że Opatrzność zesłała mu kardynała na pomocnika i doradcę. To też przed rozstaniem z nim prosił, aby prałat przewodniczył na najbliższej kapitule jeneralnej.

Legenda o Trzech Towarzyszach podaje przygody braci, którzy przeszli przez Alpy, w sposób następujący: „W niektórych prowincjach przyjęto ich, lecz nie pozwolono im budować mieszkań. W innych miejscowościach wypędzono ich w obawie, że mogą to być niewierni; bo choć Pan Inocenty III zaaprobo-

[1]) II, Celano, 106; Celano, *Tract. de Mirac.*, 3; *Leg. Maj.*, IV.

wał ich zakon i regułę, jednak nie potwierdził tego na piśmie, z którego to powodu bracia wiele wycierpieli od duchownych i świeckich. Dlatego bracia byli zmuszeni opuścić wiele prowincyj, i tak zakłopotani i zasmuceni, niekiedy obdarci i zbici przez złodziei, powrócili w wielkiem utrapieniu ducha do błogosławionego Franciszka"[1]).

Niektórzy kronikarze podają nam dokładniejsze szczegóły. We Francji wzięto ich za heretyków; zapytywano, czy nie są albigensami. Ponieważ nie wiedzieli, co to znaczy, nie odpowiadali ani tak, ani nie. Milczenie ich potwierdzało podejrzenie, jakie na nich padło. Podobne niepowodzenie spotkało tych, którzy się udali do Portugalji. Przez czas pewien byli zmuszeni błąkać się jak włóczęgi, aż dopóki królowa Urracha, żona Alfonsa II, nie wzięła ich pod swoją opiekę.

Los braci w Niemczech był jeszcze gorszy, gdyż nie znali zupełnie języka niemieckiego. Z pośród mnóstwa dziwacznych dźwięków, jakie słyszeli, zapamiętali tylko jedno słowo, które im coprawda zrazu było bardzo użyteczne. Jakaś dobra dusza, widząc, że są wynędzniali i zdrożeni, zapytała, czy potrzebują schronienia, na co bracia, nie rozumiejąc pytania, lecz zachęceni tą oznaką życzliwości, odrzekli: „ja". Otrzymali też schronienie. Gdy ich potem zapytano, czy są heretykami z Lombardji, odpowiedzieli również „ja", co stało się źródłem ich kłopotów. Zbito ich i odstawiono do granicy. Owi Niemcy byli dobrymi katolikami; ale bracia rozumieli tylko ich gniew i cięgi, to też wrócili śpiesznie do Asyżu, unosząc ze swej podróży przekonanie, że żaden chrześcijanin, o ile nie jest gotów na męczeństwo, nie powinien udawać się do Niemiec.

Na Węgrzech wzięto ich również za heretyków i obłudników; stali się pośmiewiskiem kraju, przez który szli, a nawet musieli znosić najcięższe zniewagi. Jedynie w Hiszpanji doznali, jak się zdaje, dobrego przyjęcia. Jest to fakt godny zaznaczenia, jeśli, jak głosi tradycja, misji tej przewodniczył Bernard da Quintavalle, który już poprzednio kraj ten zwiedzał[2]).

---

[1]) *Tres. Soc.*, 62.

[2]) Por. *Chron. Jordani*, w *Anal. Franc.*, I, No. 4, 5, 6. str. 3; *Chron. XXIV. Gen.* w *Anal. Franc.*, III, str. 10. Glasberger w *Anal. Franc.*, II, str. 9 i nast.

„Tak tedy — powiedział ktoś — cała misja nie osiągnęła celu, może dlatego, że nie nadszedł jeszcze czas odpowiedni potemu, gdyż jest czas na wszystko pod słońcem“[1]). Filozof, który wypowiedział ten pogląd, miał na myśli przedewszystkiem swoją własną prowincję, Niemcy, gdzie bracia pozyskali tylko zasługę przetrwanych cierpień i cierpliwości, z jaką je znieśli. Mimo wielkich trudności, bracia zdołali utrzymać się we Francji, w Portugalji i w Hiszpanji. Było to ostatnie przedsięwzięcie tego rodzaju, podjęte przez zakon jako taki.

Bracia zaczynali pojmować, że aby pozyskać świat, muszą liczyć się z pewnemi jego wymaganiami. Ich niepowodzenie należy przypisać dwom przyczynom: przedewszystkiem nieznajomości języka narodów, do których się udawali, a następnie ich nieświadomości tego, co się działo poza Italją. Główną wszakże przyczyną był fakt, że nie posiadali żadnego upoważnienia od biskupów ani od papieża w czasach, gdy ludzi. głoszących ubóstwo, uważano za heretyków. To wystarczyło, aby obudzić przeciwko nim podejrzenia. Trudno zaprzeczyć, iż to pierwsze zetknięcie z szerokim światem zachwiało nieco ufność braci. Niektórzy, zrażeni prostotą Franciszka, skorzystali z tej sposobności, aby ujawnić niechęć, przedtem ukrywaną. Większość, która pozostała wierną, była przygnębiona tem niepowodzeniem.

Już niektórzy bracia szukali oparcia w kardynale Hugolinie, dla zrównoważenia braku światowego rozsądku u Franciszka, przyczem nieomieszkali opowiedzieć mu historji tej klęski. Franciszek przyjął to wszystko z wielką pokorą. Byłoby mu zapewne przyjemniej, gdyby bracia znieśli niepowodzenie z prostotą wiary, cierpliwie i bez zniechęcenia. Ale od pewnego czasu kardynał Hugolino wziął zakon pod swoją opiekę, a Franciszek, uznając w nim powagę Kościoła, poddał się lojalnie jego kierownictwu. Od tej pory bracia, udający się zagranicę, otrzymywali listy polecające od Stolicy Apostolskiej.

---

[1]) *Chron. Jordani*, loc cit., No. 8, str. 3.

ROZDZIAŁ II.

Kapituła Namiotów.

Dwa lata, które nastąpiły po kapitule jeneralnej z r. 1217, stanowiły dla zgromadzenia, pod względem ewangelizacji, okres wytężonej działalności; dowodzi tego liczebny rozrost zakonu. Na kapitułę w r. 1219 przybyło około pięciu tysięcy uczestników[1]). W okresie tym nie zaszło nic poważniejszego: była to cisza przed burzą. Niema wtedy najlżejszego wiatru, niebo jest pogodne, a jednak wdali na widnokręgu gromadzą się chmury, które prędzej czy później wybuchną nieposkromioną burzą w cichej lecz przeładowanej żarem atmosferze.

Istotnie nowa era rozpoczęła się w dziejach zgromadzenia. Bracia przestali być uważani przez Stolicę świętą za wolne zgromadzenie, działające wprawdzie z upoważnienia papieża, ale nie uznawane za część składową jego armji regularnej.

Kardynał Hugolino, patrząc na położenie Kościoła wzrokiem organizatora, osądził w duchu, że polityka wymaga stworzenia nowej armji kościelnej, złożonej z dwóch zakonów: braci mniejszych i braci kaznodziejów, zależnych bezpośrednio od Stolicy św. Papiestwo, oparte o taką zorganizowaną siłę, mogło istotnie wykonać projekt reformy wewnętrznej, zarówno w hierarchji, jak i w całym Kościele.

Kardynał wiedział dokładnie, jakie mają być te reformy i w jaki sposób zużytkować do ich przeprowadzenia nowe zakony. Kościół potrzebował biskupów nie troszczących się o rzeczy ziemskie, prowadzących życie ascetyczne, którzyby myśleli bardziej o duszach swych owieczek niż o dobrach do-

---

[1]) Por. *Leg. Maj.*, IV, 10; *Spec. Perfect*,. rozdz. 68; Eccleston (wyd. Little), kol. VI, str. 40; *Actus*, rozdz. 20.

czesnych i o ziemskich zaszczytach. Stan zakonny musiał powrócić do dawnej surowości i karności. Umysłowość świata katolickiego rozproszyła się na studja wyłącznie świeckie, brakowało kaznodziejów, mogących stawić czoło heretykom, zbrojnych orężem nienagannego życia i wiedzy teologicznej. W dwóch nowych zakonach Hugolino widział opatrznościowy środek do przeprowadzenia tych najpilniejszych reform. Oczyma duszy widział zakonników, zajmujących stolice biskupie, dających dawnym zakonom przykład surowości zakonnej oraz czynnej pracy dla wiary, wskrzeszających świetność studjów teologicznych. W owym czasie, myśląc o odrodzeniu wiedzy teologicznej, liczył bardziej może na dominikanów. Dominik bowiem uważał naukę za główną podstawę założonego przez siebie zakonu. Pierwszym jego czynem po założeniu zakonu było wysłanie sześciu swych towarzyszów do szkół, aby im ułatwić przyszłą pracę kaznodziejską. On sam, podczas wielkiego postu r. 1217 zyskał poklask dworu rzymskiego za konferencje o listach św. Pawła. Z drugiej strony i bracia mniejsi posiadali w swem gronie dość znaczną liczbę ludzi bardzo wykształconych; kardynał miał zamiar zużytkować ich do przeprowadzenia swych planów.

Rozmawiał już poprzednio z dwoma założycielami o tem, by pozwolili swym braciom zajmować katedry biskupie w miarę tego, jak się potemu nadarzała sposobność. „W pierwszych czasach Kościoła — rozumował Hugolino — pasterze Kościoła byli ludźmi ubogimi, ludźmi płonącymi miłością, a nie chciwością. Czemu nie mamy wybrać naszych kilku braci i uczynić z nich biskupów i prałatów?“ Dominik odrzekł: „Panie mój, bracia moi, jeżeli to rozumieją, są już wyniesieni do zaszczytnej godności, a jeśli mogę tego uniknąć, to nie pozwolę im przyjąć innej“. Franciszek odrzekł: „Moi bracia dlatego nazywają się mniejsi, że nie chcą stać się większymi i wynosić się ponad bliźnich. Nasze powołanie uczy ich, że mają żyć zwyczajnie i wstępować w ślady pokory Chrystusowej, przez co wkońcu zostaną wyniesieni ponad innych w oczach świętych. Jeśli pragniesz, by przynosili owoce w Kościele Bożym, zachowaj ich i zatrzymaj w stanie odpowiadającym ich powołaniu, a nawet sprowadzaj opornych do skromnego poziomu. Dlatego też, ojcze,

proszę cię, byś pod żadnym pozorem nie pozwalał nadawać im godności prałatów, w obawie, iżby nie stali się tem bardziej pyszni, im są ubożsi, i iżby nie gardzili innymi[1]).

Kardynał podziwiał pokorę obu założycieli; pragnął, aby wszyscy bracia myśleli podobnie. Jednakże nie podzielał ich obaw i sądził, że bezpodstawne są ich poglądy, ograniczone właśnie przez przedziwną osobistą pokorę i przez ześrodkowanie umysłu na głównym celu instytucyj. Jak widzimy, zachodziła tu sprzeczność pomiędzy natchnionym celem — bardziej ogólnym i zarazem bardziej wyłącznym, głębszym, a jednak dalszym, niezależnym mimo wszystko od przejściowych metod polityki — a żądaniem prałata, aby przynosili korzyść praktyczną, co odpowiadało najpilniejszym potrzebom społecznym. Hugolino chciał urzeczywistnić swoje natchnione pomysły przeprowadzenia projektowanej przez Stolicę św. reformy. A skoro zatrzymał się na jakiejś myśli, obstawał przy niej z niezłomną stałością.

W danym wypadku dwa powody skłaniały go do przełamania skrupułów założycieli: przedewszystkiem szczera chęć przeprowadzenia planów reformatorskich, powtóre przeświadczenie, że zakony te zdołają się ostać wobec podejrzeń i gwałtownej opozycji jedynie wtedy, gdy się przystosują do bezpośrednich wymagań polityki papieskiej. Obawiał się, że ta opozycja zgniecie oba zakony, on zaś dokładał wszelkich starań, aby pozyskać dla nich łaskawość papieża i przychylność dworu rzymskiego.

Dominikowi nietyle była potrzebna opieka, ile Franciszkowi; cel i charakter zakonu kaznodziejskiego był łatwiejszy do zrozumienia. Stawiali oni sobie za zadanie zwalczanie herezji i obronę wiary. Cel Franciszka był nie tak zrozumiały. Był to duch silny, ciągle czynny, dążący do nieuchwytnych ideałów, co zrażało ludzi rozważniejszych, pospolitszych, zwłaszcza z zewnętrznego punktu widzenia. Trudno było przewidzieć, jak to się skończy i jak daleko on pójść zapragnie. Sam Hugolino nie miał najmniejszej wątpliwości co do stanu umysłu i świętości

[1]) II, Celano, 148; *Spec. Perfect.*, rozdz. 43.

Franciszka; był przekonany, że on jest świętym, z nieba zesłanym reformatorem.

W celu przekonania sceptyków skłonił Franciszka do wypowiedzenia kazania w obecności papieża i dworu papieskiego. Ponieważ pragnął, aby Franciszek wywarł korzystne wrażenie, poradził mu, aby kazanie swoje przygotował naprzód starannie, a potem wyuczył się go napamięć. Święty usłuchał rady, ale w chwili, gdy miał rozpocząć kazanie, wszystko, co miał powiedzieć, wyszło mu z pamięci; stało się prawdopodobnie bardzo dobrze zarówno dla niego, jak dla jego audytorjum. Skupił się bowiem przez chwilę, a potem zaczął mówić tak, jak mu serce dyktowało. Stał się trubadurem, heroldem miłości bożej, przejętym wielkością swego posłannictwa; słowa same rwały mu się z ust z siłą potoku, ze słodyczą przedziwnej harmonji. Nawet nogi wybijały rytm jego wymowy. Zrazu Hugolino wstrzymał oddech z obawy i modlił się całem sercem, aby to kazanie nie okryło przyjaciela śmiesznością i drwinami. Ale obawa jego szybko pierzchła. Zaciekawienie słuchaczy ustąpiło pełnej szacunku uwadze; wielu z obecnych nie mogło powstrzymać łez. Franciszek zwyciężył. Trudno przewidzieć, coby się stało, gdyby był wypowiedział swoją starannie przygotowaną mowę. Był bowiem mówcą wtedy dopiero, gdy mógł być całkowicie i wyłącznie sobą[1]).

Tymczasem w zakonie z dnia na dzień wzrastało niezadowolenie; wielu braci, zwłaszcza z pośród tych, którzy posiadali wykształcenie, sarkało na prostotę Franciszka i na jego skrajny idealizm. Nie posiadali ani jego wiary, ani silnego indywidualizmu. Wiódł ich po nieudeptanych ścieżkach, na których czuli się obcymi rzeczywistości i światu. Franciszek nie doznawał nigdy tego uczucia, gdyż wszystko, co istotnie ludzkie i żywe, było mu instynktowo bliskie. Tamci jednak przywykli widzieć życie tylko w konwencjonalnych i tradycyjnych for-

---

[1]) *Leg. Maj.*, XII, 7; I, Celano, 73. Wadding jest z pewnością bliski właściwej daty, gdy podaje czas tego kazania na rok 1216. Ze słów Celano wynika jasno, że papież Honorjusz i jego dwór nie znali jeszcze dobrze Franciszka. Jak się zdaje, nie znał go jeszcze dobrze w owej chwili i kardynał Hugolino, który inaczej nie byłby radził swemu przyjacielowi, aby napisał zawczasu kazanie.

mach. Poza temi formami czuli się nieswojo: na nowych drogach stąpali z trudem i bez przekonania.

Fakt, że nie umieli podzielić w zupełności pojęć Franciszka, wypływał częściowo z ich temperamentu, częściowo z wychowania, a także na skutek narzucających się poglądów praktycznej rzeczywistości. Umysł Franciszka oddziałał był na nich w większym lub mniejszym stopniu, oddziałał tak, jak to się zdarza w pewnym momencie życia każdemu, czyją inteligencję i uczuciowość rozbudzi jakaś wybitna jednostka. Franciszek przeniknął do ich życia, jak świeży, ożywczy powiew wiatru. Podniecił ich zdolności duchowe, dał im poczucie swobody wewnętrznej. Uniesieni tym podmuchem, porzucili swe świeckie powołania i zaciągnęli się pod sztandar Franciszka. Niewszyscy jednak, co przywdziali jego zbroję, umieli ogarnąć pełnię jego myśli i poruszać się swobodnie w wyjątkowej atmosferze jego ideałów. Instynktowo wracali na utarte i dostępne drogi, gdzie mogli zużytkować wzmożoną pod wpływem Franciszka żywotność duchową. Nie uświadamiali sobie tego, że odprowadzają z właściwej drogi potok życia franciszkańskiego, trwonią skupioną w niem energję. Cel Franciszka był bardzo prosty: pragnął nawrócić świat na drogę mądrości i piękności życia Chrystusowego, jakiego wzór dał nam ubogi i cierpiący Odkupiciel. Miał przekonanie, że zakon został powołany przez Chrystusa nato, aby był przykładem tego życia chrześcijańskiego, wolnego od wszelkiego kompromisu z rozsądkiem świata. To był jego jedyny cel, jedyny obowiązek, jedyna godziwa radość. Niezadowoleni z pośród braci nie odrzucali tego celu, lecz nie godzili się na pojęcia Franciszka co do niedopuszczalności kompromisu z rozsądkiem świata. Uważali, że powinien godzić się z wymaganiami świata w tej przynajmniej mierze, w jakiej czynili to inni zakonnicy.

Franciszek nie potępiał innych zakonników. Rozsądek światowy jest dobry, zwłaszcza, gdy kierować się nim bez przesady. Zresztą inne zakony ponosiły same odpowiedzialność wobec własnego sumienia; Bóg niewszystkich jedną prowadzi drogą. Ale droga braci mniejszych była to ta sama droga, po której szedł Chrystus na ziemi: podobnie jak On byli obowią-

zani żyć w pokorze, miłości i ubóstwie, walcząc jedynie bronią duchową, nie uciekając się do żadnych świeckich wpływów. Gdy bracia nawracać będą narody, powinni być gotowi cierpieć, nie zasłaniając się listami ochronnemi; winni być wygnańcami na ziemi, nie posiadającymi żadnych dóbr ziemskich, w rzeczywistości i nazewnątrz mają być ostatnimi wśród ludzi i nie zajmować nigdy wysokich stanowisk; winni głosić Ewangelję w całej jej prostocie, bez pysznej zarozumiałości nauki świeckiej.

Do tego zapewne okresu, gdy szemrania niezadowolonych braci poczęły niepokoić jego umysł, odnieść należy parabolę Franciszka „o radości doskonałej". Według tradycji była to pora zimowa, i panowały szczególnie silne mrozy. Franciszek szedł drogą z Porcjunkuli do Asyżu w towarzystwie brata Leona, który, nadmienić należy, nie wątpił nigdy o mądrości swego przełożonego. Brat szedł przodem, by nie przeszkadzać Franciszkowi w rozmyślaniu, gdy usłyszał, że Święty go woła. „O bracie Leonie, choćby bracia mniejsi dawali wszędzie wielkie przykłady świętości i zbudowania, mimo to zapisz i zapamiętaj sobie pilnie, że nie to jest jeszcze radość doskonała." Kiedy uszli jeszcze kawałek drogi, Franciszek zawołał Leona kilkakrotnie, przytaczając dar czynienia cudów, znajomość języków i nauk i Pisma św., a nawet umiejętność kazania taką, którаby zdołała nawrócić wszystkich niewiernych na wiarę Chrystusową, i oświadczył, że to wszystko nie byłoby radością doskonałą. Wreszcie brat Leon zapytał: „Ojcze, błagam cię na miłość boską, w czem jest radość doskonała?" A święty Franciszek odrzekł: „Kiedy staniemy u Panny Marji Anielskiej, deszczem zmoczeni, zlodowaciali od zimna, błotem ochlapani i zgnębieni głodem, i zapukamy do bramy klasztoru, a odźwierny wyjdzie gniewny i rzeknie: „Coście za jedni?" — a my powiemy: „Jesteśmy dwaj z braci waszej", a on powie: „Kłamiecie, wyście raczej dwaj łotrzykowie, którzy włóczą się, świat oszukując, i okradacie biednych z jałmużny, precz stąd", i nie otworzy nam i każe stać na śniegu i deszczu, zziębniętym i głodnym, aż do nocy; wówczas, jeśli takie obelgi i taką srogość, i taką odprawę zniesiemy cierpliwie, bez oburzenia i szemrania, i pomyślimy z pokorą i miłością, że odźwierny ten zna nas do-

brze, lecz Bóg przeciw nam mówić mu każe, o bracie Leonie, zapisz, że to jest radość doskonała"[1]).

Niezadowoleni bracia słuchali zapewne z szacunkiem tej paraboli, gdy im ją później opowiadano, ale przyjmując wniosek końcowy jako radę, odnoszącą się do doskonałości osobistej, woleli poprzestać na radościach mniej doskonałych, których użyteczność dla zakonu była bardziej bezpośrednia i widoczna. Ich zdaniem, prostota braci przyczyniała się do zbudowania ludzi tyleż, co i dawna, w ściślejsze ujęta formy, surowa reguła zakonna. Mieli przekonanie, że Franciszek nie docenia radości nauki, natomiast byliby wiele dali za to, aby móc powiedzieć, że wszyscy niewierni zostali nawróceni na wiarę Chrystusową. Franciszek śpiewał pochwałę Pani Ubóstwa dla nowego życia, jakie w niej znajdował, dlatego, że zbliżała go do Pana, którego wielbił; tamci uważali ją za służebnicę, która miała pomagać do przeprowadzenia mniej mistycznych planów.

To też gdy bracia zebrali się na kapitułę Zielonych Świątek (nazwaną później Kapitułą Namiotów z powodu wielkiej liczby szałasów z wikliny, które zbudowali po swem przybyciu bracia), burzliwe elementy, zadatki przyszłej zawieruchy, już stały się groźne[2]). Na samym już początku zaszedł wypadek, który do pewnego stopnia był zapowiedzią nastroju przyszłej kapituły. Franciszek powrócił z podróży misyjnej do Porcjunkuli

---

[1]) *Fioretti,* rozdz. VII; *Actus,* rozdz. 7; por. *Opuscula Admonit.*, V, str. 8. *Fioretti* podają parabolę w tej formie, jak się ona zachowała w tradycji ustnej i jak była powtarzana przez braci, z ideą podkreślenia konkluzji. Ale treść jej zawiera się w Admonicji. Należy zauważyć, że we *Fioretti* Leon otrzymał polecenie zapisania jej. Admonicja zatem może stanowić drugą wersję tejże myśli, podyktowaną przez samego Franciszka.

[2]) Wadding ma prawdopodobnie słuszność, twierdząc, że kapituła z r. 1219 była Kapitułą Namiotów, jakkolwiek Jan z Komorowa nadaje tę nazwę kapitule z r. 1221. (Por. *Anal. Franc.*, II, str. 18, No. 8). Ale *Spec. Perfect.* mówi wyraźnie, że kardynał Hugolino przewodniczył na Kapitule Namiotów, a kardynał Rainerio był przewodniczącym kapituły z r. 1221. (Por. *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.*, I, No. 16, str. 6.) Opis szałasów wiklinowych z r. 1221, podany przez Giordano, jest ścisły w odniesieniu do wszystkich kapituł wcześniejszych.

w chwili, gdy przygotowania, niezbędne do odbycia kapituły, były już w toku. Ku swemu wielkiemu przerażeniu zastał koło kaplicy obszerny kamienny budynek, wzniesiony przez mieszkańców Asyżu na użytek uczestników kapituły. Nie czekali na pozwolenie Franciszka, sądząc, że w ten sposób uprzedzą wszelkie możliwe protesty z jego strony. Ale nawet ze Świętymi, podobnie jak z innymi ludźmi, należy niekiedy postępować taktownie.

Wybudowali zatem schronisko i czekali dalszych wypadków. Wielkie było oburzenie Franciszka na widok tej zniewagi, wyrządzonej Pani Ubóstwu w jej własnym domu. Bez chwili namysłu wszedł z kilkoma braćmi na dach i począł go zrzucać. Uprzedzono o tem pośpiesznie władze miejskie, które wysłały posłów i żołnierzy, aby przeszkodzić burzeniu gmachu. „Ten budynek — wołali do Franciszka — nie jest twój; należy on do miasta.“ Protest ten poparł seneszal kapituły Anglik, brat, nazwiskiem de Bartou. Franciszek odpowiedział z dachu: „Jeżeli rzeczywiście ten dom jest wasz, to nie chcę go tknąć“, — i niezwłocznie zeszedł na ziemię[1]). Cóż mógł więcej uczynić? Ale serce jego przejął niepokój w przewidywaniu mających nastąpić przykrości. Jeśli w samej Porcjunkuli bracia tolerują taki zewnętrzny objaw złamania wiary dobrowolnie obranemu ideałowi ubóstwa, to jakże dochowają mu wierności gdzie indziej?

W pierwszy dzień Zielonych Świątek z rana kardynał Hugolino, który miał przewodniczyć kapitule, przybył z Perugji, gdzie rezydował wraz ze swoim dworem. Przyłączyło się do niego grono szlachty i duchowieństwa. Tłum, złożony z przedstawicieli wszystkich warstw z pośród mieszkańców okolicznych, przybył dla przypatrzenia się temu niezwykłemu zebraniu.

Gdy oznajmiono o zbliżaniu się kardynała, bracia wyszli na jego spotkanie. Hugolino, widząc ich bosych, okrytych grubą odzieżą, uczuł głębokie wzruszenie. Była to istotnie armja Chrystusowa, o jaką się modlił w swych marzeniach o reformie.

---

[1]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 7; II, Celano, 57; Eccleston (wyd. Little), kol. VI, str. 40.

Wiedziony instynktem wodza, stworzonego do kierowania ludźmi, zsiadł z konia, zrzucił bogaty płaszcz i obuwie, i boso, podobnie jak bracia, udał się za nimi do kościoła[1]). Odprawił on sumę, podczas której Franciszek pełnił obowiązek diakona.

Po mszy Franciszek wszedł na ambonę i przemówił do braci. Za tekst kazania obrał pieśń minstrela:

„Przyrzekliśmy wielkie rzeczy,
„Ale większe jeszcze nam przyrzeczone zostały.
„Dotrzymajmy tego, cośmy przyrzekli,
„I wyglądajmy tego, co nam przyrzeczono.
„Chwila rozkoszy i kara wieczna,
„Drobne cierpienia i chwała bez końca."

Na ten temat mówiąc, przedstawił życie brata mniejszego — życie w posłuszeństwie i miłości, w modlitwie, cierpliwości i czystości, w pokoju i zgodzie z Bogiem i ludźmi, w pokorze i słodyczy, oderwaniu od świata i ubóstwie, wreszcie, jako streszczenie wszystkiego, wskazał na zupełne wyrzeczenie się siebie i zdanie się na „Dobrego Pasterza, stróża duszy i ciała, Pana naszego, Jezusa Chrystusa, którego Imię jest błogosławione po wszystkie wieki".

Takie samo kazanie wypowiedział Franciszek na początku, gdy braci było dopiero trzech czy czterech. Nawet wówczas myśl zdania wszystkiego na Boga, bez troszczenia się o rzeczy materjalne wydała się niektórym z nich szaloną. Obecnie świat nie nazywał Franciszka szalonym, świętość jego zanadto biła w oczy. A jednak wątpiono o jego roztropności, gdy wyciągając morał ze swej nauki, nakazał pięciu tysiącom braci nie troszczyć się podczas trwania kapituły o pożywienie i inne potrzeby cielesne, lecz oddać się wyłącznie modlitwie i chwale bożej. Wiara ta została w pełni usprawiedliwiona, bowiem przez czas

---

[1]) *Tres. Soc.*, 61. Por. I, Celano, 100. Bartłomiej z Pizy *(Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 454) mówi, że Hugolino przywdziewał często habit braci, gdy przestawał w ich towarzystwie, i że miał zwyczaj oblekać habit w Wielki Czwartek, podczas umywania nóg braciom. (Por. Salimbene, *Mon. Germ. Hist. Script. XXXII*, str. 680; *Chron. XXIV. Gen.* w *Anal. Franc.*, III, str. 228.)

trwania kapituły drogi wiodące do Porcjunkuli były przepełnione mułami i osłami, obładowanemi zapasami żywności dla tłumnego zgromadzenia braci[1]).

Ten fakt, który uznawano za cud, mógł być dowodem świętości Franciszka, niepodobna jednak było czynić z tego prawidła ogólnego. Było widoczne, że zakonowi potrzebny był zarząd praktyczniejszy: takie przynajmniej było przekonanie wielu obecnych. Ci zwrócili się do kardynała z prośbą, by poparł ich stanowisko. Franciszek odpowiedział wybuchem pełnego oburzenia smutku: „Moi bracia! Moi bracia! Pan powołał mnie drogą prostoty i pokory i wskazał mi zaprawdę tę drogę dla mnie i dla tych, co chcą mi wierzyć i mnie naśladować. Dlatego też nie chcę, byście mi przytaczali jakąkolwiek inną regułę, św. Benedykta, św. Augustyna, albo św. Bernarda, ani inną drogę lub sposób życia, poza tym, jaki w swem miłosierdziu wskazał mi i dał Pan. Pan mi rzekł, że chce, abym był ubogi i nierozsądny na tym świecie i że nie pragnie nas prowadzić inną drogą i według innej zasady. Niech was Bóg przeklnie z waszą nauką i mądrością, i ufam, że za pośrednictwem wykonawców woli Pana zostaniecie ukarani. W uznaniu własnych błędów, czy chcecie, czy też nie chcecie, wrócicie do pierwotnego waszego powołania"[2]).

---

[1]) *Actus,* rozdz. 20; *Fioretti,* rozdz. XVII. Historja, podana w *Acta,* mówi dalej, że św. Dominik został przez fakt powyższy zjednany dla idei bezwzględnego ubóstwa. Dominik jednak w czasie kapituły przebywał w Hiszpanji (por. *Acta SS.*, *Augusti,* t. I, str. 485-6). Nie jest wykluczone, że mógł być obecny na innej kapitule, gdzie zachodziły podobne okoliczności. W każdym razie jest rzeczą znamienną, że Dominik wprowadził do swojego zakonu regułę bezwzględnego ubóstwa w r. 1220, prawdopodobnie pod wpływem przykładu braci mniejszych.

[2]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 68; interpretacja rps. watykańskiego, który czytałem, zgadza się lepiej z Bartłomiejem z Pizy *(Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 143) niż z tekstem rps. Bibl. Mazarina, wkładającym w usta Franciszka słowa: „On (Bóg) chciał, abym stał się nowym zakładem Jego miłości na świecie". To gwałtowne wystąpienie Franciszka bardziej licuje z jego charakterem. (Por. II, Celano, 156). Ponadto można zauważyć zgodność, istniejącą pomiędzy konkluzją tej admonicji a słowami Franciszka do kardynała, przytoczonemi u Celana, 148: *„Tenete illos et ad plana reducite vel invitos"*.

Narazie dysydenci musieli zamilknąć; nie byli jednak przekonani. Ich pogląd na zakon był krańcowo odmienny. W charakterze Franciszka nie leżało logiczne uzasadnienie obranego stanowiska. Był to poeta, dający świadectwo ujrzanej wizji; nie był ani logikiem, ani dyplomatą, umiejącym odeprzeć argumenty przeciwnika. Jego krytycy mogli chwilowo uchylić czoła wobec jego szczerości i zapału. Wielu braci wyobrażało sobie pewno, że burza jest zażegnana, ale kardynał Hugolino, jako znawca ludzi, lękał się o jutro i niewątpliwie dziękował w duchu Opatrzności, że uczyniła go przyjacielem Franciszka i braci wobec ciężkiej przyszłości, jaka ich czekała.

Było rzeczą bardzo łatwą, ale zarówno niedorzeczną, piętnować dysydentów jako ludzi oziębłych w powołaniu i zdrajców wobec Franciszka. Prawda, że wielu z nich na to zasługiwało. Większość jednak szanowała szczerze Franciszka i z dumą uważała go za swego przywódcę. Czuli porywającą siłę jego ducha i w miarę możności usiłowali przystosować się do niego. U tych przeszkody wynikały nie z nich samych; była to wieczna trudność, jaką znajduje większość ludzi, gdy idzie o poddanie się w życiu ideałowi, wymagającemu jasnego poglądu, doskonałego zrozumienia i niepospolitego oderwania się od świata. W takich wypadkach ludzie cierpią z powodu braku prostoty, niezbędnej do doskonałego zrozumienia i urzeczywistnienia ideału życia. W rozterce pomiędzy dwoma obowiązkami, z których każdy wymaga wierności, mogą uchodzić za ludzi mało bohaterskich. A jednak takie jednostki podnoszą ogólny poziom umysłowy i moralny. Urzeczywistniają one życie duchowe tak, jak zwykły inteligentny uczeń powtarza lekcję nauczyciela; genjusz przesiąka do ludzkości za pośrednictwem najpospolitszych umysłów. Zdarza się jednak niekiedy, że uczeń odczytuje tekst fałszywie, bądź co do litery, bądź też, co gorsza, co do ducha. Nie należy jednak dlatego potępiać pracy ucznia ani wątpić o jego szczerości. W ten sposób winniśmy odnosić się do braci dysydentów, o ile zechcemy sprawiedliwie osądzić troskę, która obecnie zachmurzyła życie Franciszka.

Pomimo jednak chmur, które zawisły nad kapitułą, powzięła ona pewne określone decyzje. Zatwierdzono istniejące pro-

wincje i ustanowiono nowe[1]); głównie jednak postanowiono wysłać misje do niewiernych. Grupę braci z bratem Idzim[2]) przeznaczono do Tunisu, drugą, pod przewodnictwem brata Vitale — do Maroka[3]); Franciszek zaś — i było to może niespodzianką dla kapituły — miał udać się do mahometan, do Egiptu.

---

[1]) Tak więc Francję podzielono na trzy prowincje: Francję właściwą, Prowancję i Akwitanję. Jan Bonelli, „bicz Florencji", został mianowany prowincjałem na Prowancję, a Krzysztof z Romandioli — prowincjałem Akwitanji. (Por. Golubovitch, *Arch. Franc. Hist. an.*, I, fasc. I, str. 4.)

[2]) *Chron. XXIV. Gen.* w *Anal. Franc.*, III, str. 78.

[3]) Ibid. Vitale rozchorował się w Hiszpanji i nie dojechał do Marokka; towarzysze jego udali się dalej bez niego pod przewodnictwem brata Bernardo.

ROZDZIAŁ III.

Franciszek udaje się na Wschód.

Ktoś, kto nie zna Franciszka, mógłby uważać przedsięwzięcie przezeń misji do niewiernych w takim krytycznym momencie za nowy dowód braku zdrowego rozsądku. W rzeczywistości decyzja ta wypływa z najwyższej mądrości.

W charakterze Franciszka nie leżało chodzenie ubitemi drogami i podtrzymywanie chwiejnej wiary przez szczególne względy i użyteczne kompromisy. Musiał on dać świadectwo prawdzie wzniosłej, absolutnej, której czystość góruje nad rozsądkiem życia praktycznego i którą pojąć zdolne są tylko jednostki wybrane.

Siła Franciszka tkwiła w jego wierności prawdzie takiej, jak on ją rozumiał, i w niepodzielnem oddaniu się ideałowi, do którego dążył. Ponieważ był to prawdziwy ideał życia, przeto musiał zmusić świat do oddania mu hołdu, nawet gdyby świat nie mógł go całkowicie zrozumieć i przyjąć. Przez to samo ideał ten do pewnego stopnia zapanowałby nad światem. Gdyby Franciszek zboczył z drogi, wiodącej do celu, i wdał się w dyskusję, argumenty jego nie posiadałyby wielkiej wartości, straconoby bowiem z oczu jego ideał. Jego wierność stanowiła o żywotności tego ideału. Teraz bardziej niż kiedykolwiek musiał być sobą, doskonałym przedstawicielem duchowego rycerstwa. Dobremu żołnierzowi nie przystoi w ogniu bitwy rozprawiać o swych zasługach, gdy los sprawy, której ślubował służyć, zależy od jego waleczności. Czuł to Franciszek instynktowo, to też tem bardziej śpieszył podjąć tę nową wyprawę, którą na jego prośbę zatwierdziła kapituła.

Na ten raz kardynał Hugolino nie sprzeciwiał się jego wyjazdowi z Italji. Czy usiłował on z początku wstrzymać Fran-

ciszka i później uległ jego prośbom, czy też przystał odrazu — niewiadomo[1]).

Niepodobna również powiedzieć, o ile interwencja kardynała wpłynęła na mianowanie dwóch wikarjuszów generalnych, którzy mieli rządzić zakonem podczas nieobecności Franciszka.

Jeden z nich, brat Mateusz z Narni, człowiek znanej świątobliwości[2]), miał mieszkać w Porcjunkuli i przyjmować nowicjuszów. Drugi wikarjusz generalny, brat Grzegorz z Neapolu, miał odwiedzać prowincje, „aby pocieszać braci"[3]). W następstwie ten Grzegorz z Neapolu zasłynął z niezbyt pochlebnej strony[4]).

---

[1]) Sabatier przypuszcza, że kardynał nie opierał się w tym czasie wyjazdowi Franciszka, pragnąc mieć większą swobodę postępowania z zakonem; jest to jednak tylko przypuszczenie, oparte na teorji Sabatiera, że kardynał był zdeklarowanym stronnikiem braci dysydentów. (Por. *Vie de St. François*, str. 265 i nast.). Mamy jednak fakty historyczne, dowodzące, że Hugolino usiłował zachować bezstronność w zatargu Franciszka z dysydentami i usunąć dzielące ich różnice. Jako człowiek praktyczny brał często stronę dysydentów, o ile ich poglądy wydawały mu się praktyczniejsze; pragnął jednak gorąco, aby przestrzegano reguły i wprowadzano w życie ideał Franciszka, i starał się o zabezpieczenie zakonu przed rozprzężeniem, nie mającem w sobie nic duchowego. Dowód tego twierdzenia można znaleźć w liście Honorjusza III do braci mniejszych i kaznodziejów, wysłanym do Marokka w r. 1225. List ten był niewątpliwie podyktowany przez Hugolina, jako ich protektora. Okazało się, że bracia nie mogli w tym kraju otrzymać jałmużny w żywności i prosili o dyspensę, zezwalającą na posługiwanie się pieniędzmi. Dyspensę otrzymali, jednak tylko na czas, dopóki nie mogli postępować inaczej: *„quamdiu praescripta vos arctat necessitas... dum tamen fraus non interveniat, sive dolus, vel sinceritatem vestram cupiditas non seducat"*. Sbaralea, *Bull.*, I, str. 26.

[2]) Por. *Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 242.

[3]) *Chron. Jordani*, w *Anal. Franc.*, I, No. 11, str. 4.

[4]) Był on mianowany prowincjałem Francji w r. 1221 lub 1222. Po śmierci Franciszka Eljasz wysłał do niego list. W r. 1240 został złożony z prowincjatu i wtrącony do więzienia za okrucieństwo względem braci (Eccleston, wyd. Little, coll. VI, str. 36). Sabatier utożsamia go z innym Grzegorzem z Neapolu, który został biskupem w Bayeux w r. 1274 (por. *Spec. Perfect.*, str. 333), ale jest to bardzo wątpliwe. (Por. P. Hilarin Felder, *Histoire des Etudes*, str. 181, n. 5.) Co do biskupa z Bayeux, patrz *Gallia Christiana*, str. 369-70; także *Etudes Franciscaines*, XXIV, str. 615 i nast. i XXVI,

Przekonamy się niebawem, w jaki sposób wywiązał się z poleconych mu obowiązków.

Obaj wikarjusze byli dobrymi kaznodziejami; Grzegorz z Neapolu odbył wyższe studja.

Po ukonstytuowaniu w ten sposób zarządu zakonu, Franciszek udał się do Ankony, aby tam wsiąść na jeden ze statków, mających przewieźć krzyżowców na Wschód. Działo się to około 24 czerwca, uroczystości św. Jana Chrzciciela[1]). Towarzyszyli Franciszkowi brat Piotr z Catanji, uczony prawnik, niegdyś wikarjusz Porcjunkuli, brat Iluminat[2]) i Leonard, obaj szlachetnie urodzeni, brat Barbaro, być może ten Barbaro, który przyłączył się do niego w pierwszych dniach istnienia zgromadzenia, i inni. Razem było ich trzynastu; liczba ta mogła być znacznie większa, gdyż wielu braci gorąco pragnęło uczestniczyć w wyprawie[3]).

Po wyjeździe z Ankony mała gromadka dotarła najpierw do Cypru, gdzie Barbaro w dosyć ostrym sporze z drugim bratem stracił panowanie nad sobą i uniósł się gniewem. Niezwłocznie upokorzył się jednak, ku zbudowaniu pewnego

---

str. 411 i nast. Sabatier ogłosił w *Spec. Perfect.*, Append. VII, str. 332, list Grzegorza z Neapolu, pisany rzekomo „*Anno Dni. 1219, 13, Calendas Januar, in festo SS. Fabiani et Sebastiani*". List wymienia warunki, na których bracia mniejsi otrzymują dom w Auxerre. Data listu jednak nie może być autentyczna. Henryk de Villeneuve — wymieniony w liście — był wyświęcony na biskupa dopiero 20 września 1220 r. (por. Eubel, *Hierarch. Cath.*, str. 121); ponadto uroczystość śś. Fabjana i Sebastjana przypada 13 kalend lutowych. Możliwe, że data listu jest MCCXXIIII, a nie MCCXVIIII, jak podaje Sabatier. Grzegorz z Neapolu był prowincjałem we Francji w chwili, gdy Haymo z Faversham wstąpił do zakonu, pomiędzy 22 maja 1222 a Wielkanocą 1224. (Por. Eccleston. wyd. Little, str. 34—35.)

[1]) Por. *Acta SS. octob.* II, str. 611. Sabatier, *Vie de St. François*, str. 258.

[2]) Illuminato był panem Rocca Accarina w dolinie Rieti. (Por. Achille Sansi, *Documenti Storici*, str. 269, przytoczone przez Sabatier, *Spec. Perfect.*, str. 306, n. 3.)

[3]) Bartłomiej z Pizy (por. *Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 481) opowiada, że Franciszek, nie chcąc być stronnym w wyborze towarzyszów, przywołał małe dziecko i polecił mu wskazać braci, którzy mają z nim jechać.

szlachcica z tej wyspy. Około połowy lipca podróżni przybyli do Akry, twierdzy krzyżowców na wybrzeżu Syrji[1]). Stamtąd w kilka dni potem, Franciszek wsiadł na okręt, aby połączyć się w Egipcie z armją chrześcijańską, oblegającą Damiettę. Z tego punktu miał zamiar przedostać się do ziemi niewiernych. Po raz pierwszy w życiu Franciszek zetknął się zbliska z temi wyprawami wojennemi, które dawniej entuzjazmowały jego młodocianą duszę i które zawsze były dlań symbolem śmiałości i zamiłowania do przygód. W jego umyśle sława rycerska łączyła się z temi walkami, staczanemi za wiarę, z bitwami, w których pod murami Damietty uczestniczyło całe rycerstwo chrześcijańskie. Sława ta opromieniała całą armję krzyżową blaskiem mistycznego piękna.

Franciszek przekonał się szybko, że i tu również, w tym obozie, nad którym unosiły się wszystkie oczekiwania, nadzieje, najwznioślejsze wzruszenia świata chrześcijańskiego, najwyższe ideały szły w parze z najniższemi instynktami. Byli tam wprawdzie bohaterowie, nieustraszenie i szczerze oddani sprawie, za którą podjęto wyprawę, gotowi z męstwem męczenników ponieść śmierć dla Krzyża, lecz dla większości krzyż był tylko hasłem wojennem. Krzyżowców pociągała bardziej świecka żądza przygód, lub, co gorsza, chęć rabunku i bezwstydnej obozowej swawoli. W oczach Franciszka bezwstydne występki w armji chrześcijańskiej były haniebnem świętokradztwem wobec świętej sprawy, to też świętego nie dziwiły klęski, które spadły na krzyżowców podczas długotrwałego oblężenia[2]). Dotychczas, pomimo potoków krwi przelanej, szala zwycięstwa wahała się jeszcze. Pod koniec sierpnia krzyżowcy gotowali

---

[1]) Golubovitch, *Biblioteca-Bio-Bibliografica*, str. 93. Według Mariano z Florencji, św. Franciszek przybył również do Krety. Por. ibid., str. 77. Golubovitch twierdzi str. 93, że św. Franciszek rozstał się w Akrze ze swymi towarzyszami, z wyjątkiem brata Iluminata, z którym samowtór tylko udał się do Egiptu. Nie wiem, na jakim autorytecie opiera on swoje twierdzenia, będące, zdaje się, w sprzeczności z II Celano, 30.

[2]) Oblężenie Damietty rozpoczął około 24 sierpnia poprzedniego roku Leopold, książę austrjacki. Legat papieski, kardynał Pelagio, przybył do armji oblężniczej we wrześniu, wiodąc armję italską. Por. Golubowitch, op. cit. str. 89.

się do stanowczego szturmu. Franciszek, natchniony duchem proroczym, wiedział, że atak się nie powiedzie, był więc bardzo zatroskany, nie mogąc się zdecydować, czy ostrzec wodzów, czy też milczeć. Krzyżowcy byli pewni zwycięstwa. „Jeśli im powiem, że czeka ich klęska — rzekł Franciszek do jednego ze swych towarzyszów — wezmą mnie za szaleńca; a jednak jeśli będę milczał, nie ujdę sądu własnego sumienia. Poradź mi, co mam uczynić.“ Brat odparł: „Sąd ludzki jest dla ciebie niczem. Nie po raz pierwszy w życiu nazwą cię szaleńcem.“

Franciszek tedy uprzedził krzyżowców o tem, co ich czeka, ale wojsko drwiło z tych przestróg i ruszyło wesoło do szturmu. Franciszek nie miał odwagi śledzić przebiegu bitwy: dwukrotnie jednak wysyłał swego towarzysza, by mu zdawał sprawę z biegu wypadków. Za każdym razem brat powracał z wiadomością, że nic nie może zobaczyć. Franciszek posłał go po raz trzeci; wówczas wrócił z wieścią, że chrześcijanie cofają się w popłochu. W dniu tym krzyżowcy stracili sześć tysięcy żołnierza w zabitych i jeńcach. Franciszek opłakiwał poległych, zwłaszcza zaś rycerzy hiszpańskich, którzy prowadzili atak z taką brawurą, że niewielu z nich ocalało[1]).

Wodzowie krucjaty wszczęli rokowania z sułtanem Egiptu. Był to jednak z obydwu stron tylko podstęp w celu zyskania na czasie. Krzyżowcy spodziewali się bowiem z dnia na dzień posiłków z za morza; sułtan miał nadzieję, że przez kroki dyplomatyczne wznieci strach w szeregach chrześcijańskich i skłoni je do odstąpienia od miasta. Rokowania te przeciągnęły się do końca września; wreszcie sułtan, zawiedziony co do zamiarów armji chrześcijańskiej, wszczął na nowo kroki wojenne[2]).

Tymczasem Franciszek raz jeszcze zlekceważył zdrowy rozsądek i udał się do obozu sułtana.

Po klęsce krzyżowców poszedł do legata papieskiego, znajdującego się przy armji, i prosił go o pozwolenie udania się do obozu nieprzyjacielskiego i wygłoszenia kazania w obecności sułtana. Legat wysłuchał go z niedowierzaniem. Czyż nie

---

[1]) II Celano, 30; *Leg. Maj.*, XI. 3. Patrz opis bitew podany przez Jakóba de Vitry i innych, u Golubovitcha op. cit. str. 7. Bitwa toczyła się 29 sierpnia.

[2]) Golubovitch, op. cit. str. 94.

wiedział, że sułtan ofiarowywał złotego dukata za każdą głowę chrześcijańską? Nie chciał w tym wypadku brać na siebie odpowiedzialności. Może to być równie dobre natchnienie, pochodzące od Boga, jak i pokusa szatańska. Dlatego też ani nie zachęcał, ani nie odradzał. Niech Franciszek sam decyduje; ale w każdym razie niechaj dba o to, aby nie przynieść wstydu imieniowi chrześcijańskiemu[1]). To Franciszkowi wystarczyło; przejęty żarliwością zbawienia dusz sułtana i jego ludu lub poniesienia śmierci na chwałę Zbawiciela, puścił się niezwłocznie w drogę, biorąc ze sobą brata Iluminata.

Zaledwie wyszli, gdy spotkali na drodze dwa jagniątka. Oblicze Franciszka zajaśniało radością; zwrócił się do Iluminata i rzekł: „Bracie, złóż ufność w Panu, w nas bowiem sprawdzają się słowa: „Zaprawdę posyłam was, jako owce między wilki“. Być może, iż Iluminat potrzebował uspokojenia, Skoro tylko wyszli poza linje wojsk chrześcijańskich, zostali schwytani przez żołnierzy mahometańskich, a ponieważ nie potrafili się porozumieć w obcym języku, obchodzono się z nimi brutalnie. Franciszek jednak wołał ciągle: „Soldan! Soldan!“ więc też dostawiono go do obozu sułtańskiego, gdzie mógł rozmówić się z dostojnikami dworu w „lingua franca“. Objaśnił im cel swego przybycia: pragnął głosić ewangelję Chrystusa w obecności sułtana. Gdyby był oświadczył coś podobnego wobec pospolitych żołnierzy w obozie muzułmańskim, byłby na pewno zamordowany niezwłocznie; w dworskiem jednak, bardziej kulturalnem otoczeniu sułtana, przyjęto jego oświadczenie z wesołą tolerancją. Dworak mahometański był poniekąd racjonalistą i nie gardził rozrywką umysłową, jaką mogło mu dostarczyć przedyskutowanie odnośnych zalet Ewangelji i Koranu. Był to typ, stanowiący ciekawą mieszaninę dzikości i rycerskości, podobnie zresztą, jak jego wróg chrześcijanin. Franciszek tedy, stawiony przed Melek-el-Kamilem, tłumaczył mu Ewangelję Chrystusową.

Sułtan udzielił posłuchania, gdyż była to pewna rozmaitość po całodziennej poważnej pracy. Słuchając jednak Franciszka,

[1]) Por. *Leg. Maj.* IX. 8; *Conformit.* w *Anal. Franc.* IV, str. 481; Bernardi Thesaurarii, *Liber de acquisitione Terrae Sanctae* u Golubovitch'a, op. cit., str. 13 i nast.

zrozumiał, że było to coś więcej niż fanatyczne lub konwencjonalne wyznanie wiary. Przed końcem audjencji poczuł sympatję do kaznodziei, żegnając się z nim, wydał rozkaz, aby w obozie muzułmańskim traktowano go z największą uprzejmością. Prawdopodobnie takich audjencyj było kilka[1]), a Franciszek tak dalece pozyskał szacunek sułtana, że ten zaproponował mu, aby na stałe pozostał przy jego dworze. „Uczyniłbym to chętnie — odrzekł Franciszek — gdybyś wraz z twoim ludem nawrócił się na chrześcijaństwo".

Ponieważ sułtan nie nawrócił się jeszcze, Franciszek zaproponował przeprowadzenie ostatecznej próby. „Jeśli masz jakie wątpliwości co do odnośnej wartości prawa Mahometa i wiary Chrystusowej, rozkaż zapalić wielki ogień, poczem ja i twoi kapłani wejdziemy w płomienie, abyś się przekonał, czyja wiara jest lepsza i prawdziwsza." Melek-el-Kamil odparł, że żaden z jego kapłanów nie przyjmie podobnej próby. „W takim razie, o ile przyrzekniesz, że ty i twój lud przyjmiecie wiarę Chrystusową, jeśli wyjdę z ognia cało — odpowiedział Franciszek — to ja wejdę sam w płomienie; tylko — dodał — jeżeli spłonę, przypisz to moim grzechom, a jeżeli moc boża mnie ochroni, uznaj, że Chrystus jest prawdziwym Bogiem i Zbawcą wszystkich."

Sułtan odparł, że nie śmie przyjąć próby z obawy wywołania rozruchów wśród ludu; jednak prosił Franciszka, by nie przestawał modlić się za niego, iżby mógł poznać prawdziwą wiarę. Zapragnął dać Franciszkowi jakiś dowód swojej dobrej woli i prosił go o przyjęcie hojnej ofiary, jeśli nie dla niego samego, to dla ubogich, których wspierał. Było wielce prawdopodobne, że jedynym rezultatem dalszego opowiadania Ewangelji będą dalsze dary. Franciszek nie poto przybył. Po niejakim czasie ze smutkiem poprosił o pozwolenie powrotu do obozu chrześcijańskiego; stosownie do rozkazu Melek-el-

---

[1]) Por. Jacques de Vitry, *Epist: de captione Damiatae,* u Golubovitch'a op. cit., str. 8: *„Cum multis diebus Saracenis verbum Domini praedicasset"; Historia Occidentalis* (Douai) str. 353; Golubovitch, op. cit. str. 9—10.

Kamila odprowadzono go tam z największą grzecznością[1]). Gdy wrócił do obozu chrześcijan, wielu ludzi wyśmiewało się z jego naiwności; niektórzy jednak czuli, że prosta wiara, z jaką podjął tę próbę, posiadała wartość trwalszą nad bezpośrednie powodzenie. Ci pojmowali już może, iż właśnie z braku takiej wiary krucjata skazana była na haniebną klęskę, choćby nawet Damietta została zdobyta.

Damietta padła istotnie przed końcem zimy, dzięki licznym posiłkom, nadesłanym przez papieża; w święto Oczyszczenia N. M. P., r. 1220, krzyżowcy w uroczystym triumfie weszli do miasta. Wówczas karność w armji upadła całkowicie; większość krzyżowców oddała się rozkoszom i uległa powabom wiosny egipskiej; zapomniano o najprostszym wstydzie[2]).

---

[1]) I Celano, 57; *Leg. Maj.*, IX—8; *Chron. Jordani*, w *Anal. Franc.* I, No. 10, str. 4; por. Golubovitch, op. cit. W „*Verba frat. Illuminati*“ (Golubovitch, *op. cit.* str. 36) znajduje się opis pierwszego posluchania Franciszka u sułtana, który odpowiada całkowicie zwyczajom mahometańskim. Według tego opisu sułtan kazał rozesłać dywan, pokryty krzyżami. „Jeśli będzie szedł po krzyżach — rzekł sułtan — oskarżę go, że znieważa swego Boga; jeśli odmówi przejścia po nich, oskarżę go, że mnie znieważa.“ Franciszek bez wahania przeszedł przez dywan. Gdy mu sułtan zarzucił, że podeptał nogami krzyż, który jakoby czcił, odrzekł: „Powinieneś wiedzieć, że Pan nasz umarł pomiędzy dwoma łotrami. My, chrześcijanie, posiadamy krzyż prawdziwy, a krzyż łotrów zostawiliśmy innym, tych zaś nie wstydzę się deptać.“ Ta odpowiedź jest zupełnie zgodna z charakterem Franciszka. „*Verba frat. Illuminati*“ są podane przez Golubovitcha według *Ms. Vatican. Ottob. lat.* No. 522 z XIV wieku, zbiór opowieści kaznodziei minoryty. Golubovitch czyni uwagę że początkowe źródło tych opowieści nie jest jeszcze odnalezione. Niema żadnej o nich wzmianki w obecnie znanych dokumentach autentycznych. Patrz także opowiadania, przytoczone w *Conformit.* w *Anal. Franc.* IV, str. 483. Por. wyd. 1513, fol. 223a. W zakrystji *Convento Sagro* w Asyżu zachował się róg, jak mówią, ofiarowany przez sułtana Franciszkowi, którym Święty posługiwał się do zwoływania ludu na kazanie.

[2]) *Scordandosi i disagi ed i perigli della guerra, si diedero in braccio alla molezza, alla volutta, ed ai piaceri tutti che loro poteano inspirare la vicinanza della primavera, il clima ed il bel cielo di Damiata*“, Michaud, *Storia*, lib. XII, u Golubovitcha, op. cit. str. 96.

Franciszek pozostał z wojskiem do zdobycia miasta, poczem usiłował daremnie wstrzymać rosnącą falę występku. Wreszcie, widząc, że nic dobrego tam nie zdziała, opuścił krzyżowców i korzystając z żeglugi wiosennej, przeprawił się przez morze do Akry[1]). Pewna liczba duchownych ze świty prałatów-krzyżowców wyrzekła się wyższych dostojeństw kościelnych, aby wstąpić do klasztoru[2]).

W Akrze powitał Franciszka brat Eljasz, prowincjał Syrji, oraz znajdujący się przy nim nowicjusz, brat Cezar ze Spiry, który wsławił się jako jeden z najznakomitszych propagatorów krucjat i musiał uciekać z ojczystej Germanji przed gniewem rodzin tych, których skłonił do przyjęcia krzyża. Nadto Cezar był uczonym teologiem; a przytem posiadał prostą lecz silną wiarę i był gotów oddać życie za świętą sprawę[3]). Przybył z armją chrześcijańską do Syrji, gdzie go Eljasz przyjął do zakonu.

Z Akry Franciszek wyruszył na pielgrzymkę do miejsc świętych w Palestynie z sercem przejętem pełną miłości czcią dla ziemi, po której stąpał jego Boski Mistrz. Niektórzy historycy opowiadają, że Franciszek spotkał w obozie Melek-el-Kamila brata jego, Konradina, sułtana Damaszku, który jakoby zaopatrzył go w specjalne pozwolenie piśmienne na odwiedzanie miejsc świętych. Pozwolenie to zwalniało go od podatków, ściąganych zazwyczaj przez mahometan od pielgrzymów chrześcijańskich[4]). Franciszek puścił się więc w drogę, a wygłaszając nauki w chrześcijańskich kolonjach w Syrji, pozyskał zakonowi licznych zwolenników, między innymi przeora katedry w Akrze. Tradycja podaje, że pod Antjochją zgromadzenie zakonników benedyktynów, porwane jego nauką, uczyniło ślub bezwzględ-

---

[1]) *L'ėstoire de Eracles* u Golubovitch'a, str. 14.

[2]) Por. Jacques de Vitry, loc. cit. str. 8.

[3]) Ostatecznie poniósł śmierć męczeńską za wierność regule franciszkańskiej. Niektórzy utrzymują, że brat Eljasz sam przyczynił się do jego śmierci. Por. Angelo Clareno, *Hist. VII. Tribulat.* u Golubovitch'a, str. 118—19.

[4]) Angelo Clareno, u Golubovitch'a, str. 56; *Conformit.* w *Anal. Franc.* IV, str. 482.

nego ubóstwa i wstąpiło do zakonu braci mniejszych[1]). O tej pielgrzymce mamy jednak mało pewnych danych; w ten sposób jeden rozdział historji Franciszka, nad którym pragnęlibyśmy się zatrzymać, urywa się nagle.

Tymczasem dzieło opowiadania ewangelji, nakazane przez kapitułę r. 1219, otrzymało chrzest krwi. Gdy Franciszek wraz z armją krzyżową znajdował się pod Damiettą, pięciu braci, wysłanych do Marokka, poniosło śmierć męczeńską. Byli to bracia Bernardo, Otto, Piotr, Accurso i Adjutor. Wyruszyli oni w drogę wkrótce po Franciszku. Przybyli do Sewilli w Hiszpanji; miasto to znajdowało się jeszcze pod jarzmem muzułmańskiem. Za próbę wygłoszenia tam nauki zostali pobici, uwięzieni, a ostatecznie wygnani z tego państwa. Wówczas udali się do Marokka. Z gorliwością, która u ludzi o słabszym zapale mogłaby uchodzić za nieumiarkowaną, nie poprzestali na kazaniu na ulicach, lecz udali się do meczetu i tam kazać zaczęli. Ani bicie, ani więzienie nie zdołało pohamować ich żarliwości. W więzieniu usiłowali nawracać swych dozorców. Mahometanie, na prośbę infanta Pedra portugalskiego, przebywającego wówczas na dworze sułtana, nie chcieli stosować do nich całej surowości prawa i skazali tych gorliwych braci na wygnanie. W ten sposób Don Pedro miał nadzieję ocalić im życie i uniknąć powstania ludu przeciwko chrześcijanom.

Ale dyplomacja nie należała do cnót pięciu braci, którzy nie umieli zastosować w życiu zasady „żyć i dać żyć". Mahomet był według nich wrogiem Chrystusa, a dusze mahometan stanowiły zdobycz, należną z prawa ich Boskiemu Odkupicielowi; zaniechanie podjętej misji oznaczałoby w ich przekonaniu dezercję, zdradę wobec Pana. Przy pierwszej więc sposobności, zmyliwszy straże, powrócili do miasta, zjawili się znowu przed meczetem i poczęli wzywać lud, aby wyrzekł się Mahometa.

Ujęto ich znowu, zakuto w kajdany i poddano torturom. Gdy leżeli na rozpalonym ruszcie, darowywano im życie, ofiarowywano podarki, pod warunkiem, by się wyparli Chrystusa i przyjęli mahometanizm. Za całą odpowiedź sławili Chrystusa i na-

---

[1]) *Conformit.*, ibid. str. 483.

kłaniali katów, aby Mu cześć złożyli. Widząc, że wszelkie usiłowania są daremne, sędziowie postanowili wykonać prawo. Bracia zostali ścięci, a ciała ich wyrzucono poza mury miasta na pożarcie psom. Tak tedy oddali życie za Chrystusa, którego miłowali, może nierozważnie, jeśli sądzić będziemy wedle norm przebiegłości ludzkiej, lecz mocno, chwalebnie, w prostocie wiary. Tak przynajmniej osądził ich męczeństwo Don Pedro, infant portugalski. Kazał on zebrać ich szczątki; za jego staraniem przewieziono je do Portugalji, gdzie wśród objawów czci najgłębszej złożono je w kościele Kanoników Regularnych w Coimbra[1]).

W liczbie tych, co przybyli tłumnie pomodlić się przy ich relikwjach, znajdował się młody kanonik regularny, który wysłuchawszy opowiadania o męczeństwie braci, zapragnął wstąpić w ich ślady. W kilka dni poetm zwrócił się do braci mniejszych, mieszkających za miastem, z prośbą, by pozwolili mu przywdziać habit swego zakonu i iść nawracać Maurów. Bracia przyjęli go z radością. W ten sposób Antoni Padewski, jak go w następstwie nazwano, wstąpił do zakonu.

Gdyby męczeństwo pięciu braci miało tylko ten skutek, że zbudziło powołanie Antoniego, to i tak śmierć ich nie byłaby daremna.

Gdy Franciszek dowiedział się o męczeństwie, zawołał w porywie wdzięczności ku Bogu: „Teraz mogę naprawdę powiedzieć, że mam pięciu braci". W dniach, które go czekały, triumf ich prostej wiary był balsamem dla jego duszy. Trzeba mu było takiej pociechy, gdyż zbliżał się szybko wielki smutek jego życia.

Powrócił do Akry jakgdyby z pewnem przeczuciem trosk, które go czekały. W mieście tem spotkał go brat świecki, przybyły z Italji, brat Stefan, który w imieniu pewnej liczby braci błagał Franciszka, aby, jeśli jest przy życiu, wracał natychmiast i ratował swój zakon. Brat opowiedział, że dwaj wikarjusze generalni narzucają braciom obowiązki sprzeczne

---

[1]) Por. *Passio Sanct. martyrum frat. Beraldi*, etc. w *Anal. Franc.*, III, str. 579-96; ibid. str. 15—21; *Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 322-3.

z regułą, nadaną przez Franciszka, i że źle się obchodzą z braćmi, którzy nie chcą się tym obowiązkom poddać, a nawet niekiedy wydalają opornych z zakonu. Sam brat Stefan musiał uciekać w tajemnicy przed wikarjuszami generalnymi. Na potwierdzenie ustnej relacji przywiózł z sobą odpis nowego statutu zakonu, ułożonego przez wikarjuszów na zwołanej przez nich kapitule.

W owej chwili, gdy przedłożono mu ten statut, Franciszek siedział przy stole, na którym postawiono potrawy mięsne. W statucie przeczytał właśnie, że bracia nie mieli prosić o mięso nawet w dniach niepostnych; ponadto mieli pościć w poniedziałki, podobnie jak w inne dni, przewidziane w regule. Franciszek zwrócił się wtedy do Piotra z Katanji i zapytał: — „Panie Piotrze, co mamy czynić? — Ach, panie Franciszku — odparł Piotr — czyń, jak uważasz za dobre, do ciebie należy władza. — W takim razie — powiedział Franciszek — według słów ewangelji, jedzmy to, co przed nami postawiono"[1]).

Franciszek wyjechał do Italji najbliższym okrętem, jaki odpłynął z końcem lata[2]). Zabrał ze sobą braci Piotra z Katanji

[1]) Por. *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.* I, No. 11, 12, str. 4. Angelus Claren., *Hist. VII. Tribulat.* u Golubovitch'a, op. cit. str. 56; *Exposit. super Regulam*, ibid., str. 57; Por. Golubovitch, str. 126—8.

[2]) Dokładny czas powrotu Franciszka do Italji jest punktem spornym. Golubovitch (op. cit. str. 97) dowodzi, że nastąpiło to w marcu—kwietniu 1221 r.; Sabatier (*Vie de S. François*, str. 278) odnosi powrót ten do lata 1220; Herman Fischer (*Der heilige Franziskus von Assisi während der Jahre 1219-21*, str. 20 i nast.) do pierwszej połowy r. 1220. Fakty, któremi się kierujemy przy określeniu tego czasu, są następujące: Franciszek był w Damiecie w lutym 1220 r.; następnie udał się do Syrji i przewędrował tamte strony. Celano daje widocznie do zrozumienia, że Franciszek spędził czas pewien w Syrji, podróżując po tym kraju: *„deinde Syriam deambulans"* (I, Celano, XX, in capite). Ale po Eljaszu, który towarzyszył Franciszkowi w drodze powrotnej do Italji, nastąpił jako prowincjał Syrji Luca di Puggia przed dniem 9 grudnia 1220 r. Por. Sbaralea, *Bull. Franc.* I, str. 6. Z drugiej strony jest godne uwagi, że list, pisany przez Honorjusza do przełożonych zakonu d. 22 września 1220 r. (Sbaralea, op. cit. I, str. 6), nie jest adresowany do Franciszka imiennie, jak zwykle w podobnych listach, ale poprostu: *Dilectis filiis prioribus seu custodibus Minorum.* Nie jest to jednak argument przekony-

i Cezara ze Spiry, czuł bowiem, że będą mu potrzebni ludzie praktyczni i doświadczeni; miał zresztą do tych braci wielkie zaufanie.

wający. Wiemy, że Piotr z Katanji umarł w Porcjunkuli w dniu 10 marca 1221 r. Golubovitch przypuszcza, że Piotr musiał powrócić do Italji przed Franciszkiem; ale Giordano da Giano, który opowiada te wypadki szczegółowo, mówi, że Franciszek zabrał Piotra, Eljasza i Cezara ze sobą zpowrotem do Italji (*Anal. Franc.* I, No. 14, str. 5). Jest tedy prawdopodobne, że Franciszek powrócił okrętem wrześniowym w r. 1220 r.

ROZDZIAŁ IV.

Bunt wikarjuszów.

Musimy teraz cofnąć się o osiemnaście miesięcy wstecz i powrócić do wypadków, które się działy w tym okresie w zakonie w Italji.

Dwa wydarzenia prawie bezpośrednio po kapitule generalnej r. 1219 rzucają dość jaskrawe światło na spór, który wynikł w owym czasie. Pod datą 11 czerwca Stolica święta wystosowała do braci listy polecające; miały one na celu pozyskanie dla nich opieki biskupów w rozlicznych prowincjach, do których mogli być wysłani[1]); w dniu 27 lipca kardynał Hugolino ogłosił swój statut[2]) dla Ubogich Pań, albo, jak je nazywał, Ubogich Mniszek Zakonu San Damiano[3]).

Przyjęcie przez braci listu polecającego Honorjusza III było sprzeczne z wolą Franciszka. Była to w postępowaniu zgromadzenia zmiana, na którą nigdy nie mógł się zgodzić. Pod koniec życia napisał w swoim testamencie: „W imię posłuszeństwa zakazuję stanowczo wszystkim braciom, gdziekolwiek się

---

[1]) Bull. „*Cum dilecti*" w Sbaralea, *Bull.* I, str. 2; Chron. XXIV. *Gen.*, *Anal. Franc.*, III, str. 14.

[2]) Statut Hugolina był datowany: „*Perusii apud monasterium S. Petri, VI Kal. Aug. an. 1219*". Por. Bull. „*Sacrosancta Romana Ecclesia*", z 9 grudnia 1219 r. — Sbaralea, *Bull.* I, str. 3. Pełny tekst statutu znajduje się w bullach „*Cum omnis*" z d. 24 maja 1239 r. (Sbaralea, ibid. str. 263-7) i „*Solet annuere*" z 13 listopada 1245 r. (ibid str. 394-9), a z pewnemi zmianami w bulli „*Cum omnis*" z 5 sierpnia 1247 (ibid. str. 476-83). Por. „*The Life and Legend of the Lady St. Clare*", Introduction, II, str. 11—31.

[3]) „*Moniales pauperes*", „*Pauperes inclusae Damianitae*", „*Moniales ordinis S. Damiani*", oto różne nazwy, używane w bullach papieskich (Sbaralea, *Bull.* I, str. 36, 37, 62, 207 i t. d.).

znajdują, starać się o jakikolwiek list od dworu Rzymskiego czyto osobiście, czy za czyjemś pośrednictwem, czy dla kościoła, czy dla innego miejsca, ani pod pozorem nauczania, ani z obawy prześladowania cielesnego; lecz jeśli ich nie przyjmą w jednym kraju, niech się udadzą do innego, by żyć tam w pokucie, chwaląc Pana"[1]). Po nieudaniu się misji w Niemczech powstała kwestja, czy nie należałoby uzyskać od papieża listów ochronnych. Franciszek zawsze protestował gorąco przeciwko podobnej myśli. „Wy, bracia mniejsi, nie znacie woli Boga i nie chcecie mi pozwolić nawrócić świat cały, jak Bóg chce — powiedział razu pewnego. — Przez świętą pokorę i szacunek pragnę przedewszystkiem nawrócić prałatów; gdy ci zobaczą świętość naszego życia, nasz pokorny względem nich szacunek, sami nas poproszą, abyśmy nauczali i nawracali lud; sami zwołają lud, by przyszedł was słuchać, a będzie to skuteczniejsze, niż wasze przywileje, które co najwyżej napełniają was pychą... Co do mnie, to błagam Pana o jedną tylko łaskę: oto abym nie otrzymał nigdy przywileju od nikogo z ludzi. Nie pragnę zresztą żadnego, prócz przywileju szanowania wszystkich i nawrócenia ludzkości przez posłuszeństwo dla naszej świętej reguły i przez przykład bardziej niż przez słowa"[2]).

Jeśli zapytamy, czemu Franciszek był tak stanowczo przeciwny tym środkom zwykłej przezorności, nie znajdujemy na to pytanie innej odpowiedzi poza tem, że Mistrz jego, Chrystus, nie żądał dla swych uczniów na tym świecie żadnych praw ani przywilejów, lecz posłał ich zbrojnych jedynie w puklerz opieki bożej[3]); a wierność nakazywała Franciszkowi stosować się do Ewangelji tak ściśle, jak tylko to było możliwe.

Ten list Honorjusza III był pierwszym przejawem polityki opieki, jaką Stolica święta otaczać będzie w przyszłości ruch franciszkański. W maju roku następnego papież wystosował drugi list w energicznych słowach do biskupów francu-

---

[1]) *Test. S. Franc.* w *Seraph. Test.*, str. 268; *Opuscula,* str. 80.

[2]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 50; *Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, 471. Por. Ubertino da Casale w Ehrle; *Archiv.*, III, str. 53.

[3]) Por. Mat. X, 14, 23; Marek VI, 11; Łuk. IX, 5. Należy pamiętać, że Franciszek uważał zarówno ten, jak inne podobne ustępy, za bezpośredni osobisty rozkaz dla siebie i dla braci.

skich, którzy dotychczas nie byli jeszcze pewni ortodoksyjności nowego zakonu[1]). Co więcej, weszło w zwyczaj, że niektórzy kardynałowie wydawali własne listy, mające na celu zapewnienie braciom lepszego przyjęcia podczas ich podróży misyjnych[2]).

Kardynał Hugolino protegował niewątpliwie ten sposób postępowania. Stał on na następującem stanowisku: rzecz oczywista, że bracia słodyczą i cierpliwością wobec przeciwności mogą zdobyć wielkie zasługi dla siebie a nawet może zbudować ludzi; z drugiej strony wielu z nich ugnie się pod zbyt ciężkiemi doświadczeniami; poza tem w wielu miejscowościach przez brak ostrożności ze strony braci Kościół może być pozbawiony ich nauki i dobrego przykładu. Franciszek posiadał wiarę heroiczną; nie od wszystkich jednak żądać można cnót heroicznych. Trzeba miarkować wiatr pod wełnę owiec. Poza tem kardynał był biegłym prawnikiem; uważał za słuszne, że bracia będą mogli się wykazać pełnomocnictwami od władzy, która ich wysłała, by nauczali. Jeśli zgromadzenie miało być użyteczne Kościołowi, to powinno było posiadać legalną sankcję i dyrektywy. Bez takiej sankcji prawnej bracia mogli stać się zwykłymi włóczęgami, a dla wielu jednostek jest to rzecz najniebezpieczniejsza. Ten sam wzgląd skłonił kardynała do popierania idei organizacji określonej ściślej, niż dotychczas obowiązująca w zgromadzeniu. Popierał braci, żyjących w większych domach, gdzie prowadzili życie regularne, o charakterze bardziej klasztornym. Dotychczas mieszkania braci miały charakter najskromniejszych schronisk; były to bądź pustelnie, mieszczące się przeważnie w pieczarach skalnych (jakie można dziś oglądać w Greccio, Monte Casale, Celle pod Cortoną i Carceri pod Asyżem), bądź szałasy z łoziny, albo ubożuchne chatki. Pomieszczenia te były przeznaczone tylko dla małej liczby braci, gdyż Franciszek uczył, że Pani Ubóstwu służyć można najlepiej tam, gdzie jest braci niewielu[3]).

---

[1]) Bull. „*Pro dilectis filiis*", Sbaralea, *Bull.* I, str. 5. Por. *Anal. Franc.*, III, str. 14, n. 9.

[2]) *Tres Soc.* 66.

[3]) II, Celano, 70.

Życie klasztorne, w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie istniało. Brat mniejszy, jakkolwiek podlegał przeorowi na mocy posłuszeństwa, był poniekąd wędrowcem, którego życie składało się naprzemian z podróży misyjnych i z okresów przebywania w zaciszu i skupieniu schroniska. Niezłem dlań określeniem była nazwa „wędrowny trubadur Pański". Teraz jednak przełożeni zgromadzenia popierali większą stałość życia zbiorowego[1]). Pierwszym na tej drodze krokiem był uzyskany od Honorjusza III dekret, nakazujący przyjmowanie profesji od braci dopiero po roku nowicjatu; po przyjęciu do zakonu nie wolno im było przejść do innego zgromadzenia; braciom nie wolno było podróżować bez listów polecających od swego prowincjała[2]).

Ten dekret był niewątpliwie racjonalny. Nawet taki zapalony zwolennik braci, jak Jakób de Vitry, przewidział niebezpieczeństwo braku systematycznego przećwiczenia nowicjuszów, gdy liczba braci tak znacznie wzrosła[3]). Na nieszczęście wikarjusze nie poprzestawali na tej rozumnej i potrzebnej organizacji.

Jakeśmy wyżej powiedzieli, wydali oni przepisy, które miały na celu ustanowienie reguły klasztornej, przeciwko której protestował Franciszek, jako sprzecznej z prostotą powołania brata mniejszego. Dodanie jednego dnia postu i ograniczenie używania mięsa nie miało samo przez się takiego wielkiego znaczenia; był to jednak krok w kierunku zmiany specjalnego charakteru zgromadzenia, w kierunku ściślej określonego ascetyzmu, opartego na zwyczajach, przyjętych w dawniejszych zakonach; ideałem Franciszka było literalne stosowanie w życiu

---

[1]) Por. o Hilarin Felder, *Histoire des Etudes*, str. 119: „*Toutefois, c'était là encore la période de transition de la vie nomade à la stabilité*".

[2]) Bulla „*Cum secundum consilium*" z 22 września 1220 r. Sbaralea, *Bull.* I, str. 6.

[3]) Epistola „*de captiono Damiatae*", wydana przez Röhrichta w *Zeitschrift für Kirchengeschichte*, 16, str. 72: „*Hec autem religio valde periculosa nobis videtur, quod non solum perfecti, sed etiam juvenes et imperfecti qui sub conventuali disciplina aliquo tempore arctari et probari debuissent, per universum mundum bini et bini dividuntur*". Tego ustępu nie znajdujemy jednak w tekście, wydanym przez Bongarsa: *Gesta Dei per Francos*, tom I, str. 114-6-9. (Por. Golubovitch, op. cit., str. 7.)

Ewangelji. Możliwem jest, że czyniąc to, wikarjusze mieli na myśli przepisy nadane przez Hugolina Ubogim Paniom, i że ten wpływ na nich oddziaływał. Te przepisy są istotnie dokumentem pierwszorzędnej wartości, gdy idzie o historję rozwoju całej rodziny franciszkańskiej w tym okresie.

Krótko mówiąc, przepisy Hugolina są dziełem prawnika-reformatora, który pragnie zamknąć nowy entuzjazm religijny, rozbudzony przez Franciszka, w ścisłe ramy tradycyjnego ascetyzmu. Autor ich czuł może, iż skrzydła nowego zapału każdy ciężar unieść zdołają. Ideałem jego była reguła zakonna, której surowość i ścisłość mogłaby współzawodniczyć z najsurowszą z reguł dawniejszych.

Przepisy te — to właściwie reguła benedyktyńska, obostrzona przez dozgonną wstrzemięźliwość, ciągłe milczenie i klauzurę. Brakowało im całkowicie owego „słodkiego umiarkowania", jakiem tchną prawa wielkich założycieli zakonów, a także swobody ducha, ożywiającej regułę św. Benedykta. Odznaczają się surowością i zewnętrzną ostrością, jak reguła, która ma na celu karać nadużycia lub zapobiegać im, a nie posiadają ani śladu natchnionego idealizmu, stanowiącego istotne życie zakonu. Nie zgadzają się również z poglądem franciszkańskim, ponieważ dozwalają Paniom Ubogim na posiadanie własności.

Przy układaniu tych przepisów Hugolino był widocznie pod wpływem zwyczajów, praktykowanych u cystersów[1]); jest nawet prawdopodobne, że były one w rzeczywistości dziełem jakiegoś cysterskiego mnicha, któremu kardynał udzielił swego autorytetu i sankcji. Gdyby kardynał był polecił któremu z braci ich zbadanie, przepisy te byłyby nie tak obce duchem sercu Klary i sióstr z San Damiano. Takie, jakie były, stanowiły naprawdę dla zakonnic „wielki smutek"[2]).

Zapewne kardynał nie uważał Ubogich Pań, przynajmniej tych, co nie przebywały w San Damiano, za zgromadzenie pokrewne braciom mniejszym. Nie miały one formalnej sankcji

---

[1]) Przyznaje to w bulli *„Licet velut ignis"*, z 9 lutego 1237 r. (Por. Sbaralea, *Bull.* I, str. 209.) Pierwszym wyznaczonym przez niego wizytatorem Ubogich Pań był cysters Ambrogio (por. Sbaralea, *Bull.* I, str. 46; Wadding, *Annales ad an. 1219.*

[2]) Cozza-Luzzi, *S. Chiara di Assisi,* str. 34.

Stolicy Apostolskiej, większość klasztorów założył on sam, na mocy swej władzy legata. San Damiano zajmowało nieco odmienne stanowisko; ale nawet Klara sama nie otrzymała reguły formalnej. Ślubowała ona, podobnie jak bracia, żyć w ubóstwie; poza tem zachowywała regułę braci o tyle, o ile kobieta była w stanie ją zachowywać. Wykonany przez Klarę ślub ubóstwa zatwierdził i ochraniał specjalny przywilej Inocentego III.

W San Damiano siostry mogły więc zachowywać jako regułę bezwzględne ubóstwo; gdzie indziej wszakże musiały posiadać własność, wystarczającą na ich utrzymanie[1]). Sam kardynał wglądał w to, aby każdy klasztor posiadał odpowiednią własność. Już w r. 1218 Hugolino otrzymał od Stolicy świętej pozwolenie zakładania i wyposażania klasztorów[2]). Klasztory te miały stanowić zawiązek jego schematu reform i spodziewał się, że San Damiano dostarczy mu sił do wykonania tych planów w osobach opatek, które zamierzał obsadzić w nowych domach i w istniejących już zgromadzeniach, mających przyjąć reformy Hugolina: wiele bowiem dawnych klasztorów, które uważały San Damiano do pewnego stopnia za dom macierzysty, były zreformowanemi zgromadzeniami benedyktynek i innych zakonów[3]).

To też wszystkie klasztory Ubogich Pań poza San Damiano nie były pochodzenia czysto franciszkańskiego. Dlatego też może Franciszek nie żądał nigdy jurysdykcji nad niemi tak, jak się tego domagał, gdy chodziło o San Damiano[4]), ale Klara

---

[1]) Por. List „*Angelis Gaudium*", który Hugolino, jako Grzegorz IX, wystosował do błog. Agnieszki z Pragi 11 maja 1238 r. Sbaralea, *Bull.* I, 242.

[2]) Por. Bull. „*Litterae tuae*" z 7 sierpnia 1218 r. Sbaralea, ibid. str. 1.

[3]) San Severino w Marchjach Ankońskich; Spello i Monticelli pod Florencją.

[4]) Wadding *(Annales ad an. 1219)* stwierdza, że Franciszek *przed udaniem się na Wschód* zdał kierownictwo wszystkich klasztorów Ubogich Pań, z wyjątkiem San Damiano, kardynałowi Hugolino; niema jednak żadnego dowodu na to, by uważał kiedykolwiek takie klasztory, jak San Severino, za równie bliskie sobie. Jest pewnem, że w niektórych wypadkach wyznaczał braci na prze-

sama nalegała uporczywie na to, aby im pozwolono obserwować bezwzględne ubóstwo i przyłączyć się do zgromadzenia jeśli tego pragnęły[1]). Prawdopodobnie „wielki smutek“, z jakim Klara przyjęła przepisy Hugolińskie, odczuwała ona nietylko ze względu na siostry, których przepisy te bezpośrednio dotyczyły, lecz ze względu na cały zakon; subtelną intuicją wyczuwała, jaki wpływ te nowe przepisy wywrą na braci. Nie może być najmniejszej wątpliwości, że wikarjusze działali pod tym wpływem przy układaniu przepisów, które wniosły konsternację między wiernych naśladowców Franciszka.

Zdrada wobec ducha Franciszka popełniona przez wikarjuszów omal że nie doprowadziła do rozbicia zakonu. Przepisy wywołały odrazu czynny sprzeciw ze strony tych, których ożywiał duch pierwotny; sprzeciw ten spotkał się z gwałtownemi represjami ze strony wikarjuszów i prowincjałów, którzy podzielali ich stanowisko. „Nietylko nakładano na nich (oponentów) niesłuszne kary, ale jak ludzi złej woli wypędzano ich ze zgromadzenia braci... Wielu dla uniknięcia gniewu błąkało się tu i owdzie, opłakując nieobecność swego pasterza i przewodnika“[2]). Co więcej, zerwawszy węzeł wierności, która dotychczas utrzymywała karność w zgromadzeniu. Prowincjałowie nie byli w stanie utrzymać w posłuszeństwie jednostek niesfornych. Niektórzy bracia wypowiedzieli jawnie posłuszeństwo i poszli własną drogą. Tak jeden z nich brat Jan de Compello stanął na czele bandy włóczęgów obojga płci, wszystkich trędowatych i fanatyków, jakich znajdowało się wiele w owej

---

wodników duchownych Ubogich Pań w innych miejscowościach, np. wyznaczył brata Rogera na przewodnika błogosławionej Filippy w Todi (Wadding *Annales ad an. 1236*), ale ścisła zażyłość, jaka panowała pomiędzy San Damiano a braćmi, jest, jak się zdaje, wyjątkowa.

[1]) Vide np. Listy św. Klary do błog. Agnieszki z Pragi, *Acta SS. Mart.* tom I, str. 505-7, tłum. na ang. przez p. Balfour, *The Life and Legend of the Lady St. Clare,* str. 138—54.

[2]) Angelo Clareno, *Hist. VII. Tribulat.* Golubovitch, str. 56. Por. *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.,* I, n. 13 str. 4: *„Eodem tempore fuit ultra mare pythonissa quaedam... Redite redite quia per absentiam fratris Francisci ordo turbatur et scinditur et dissipatur. Et hoc verum fuit“.*

epoce[1]). Inny sporządził sobie szaty pielgrzymie i wędrował, udając przez pokorę żebraka[2]).

Za powrotem Franciszek nie zdawał sobie zrazu sprawy ze zła, które się stało. Zatrzymał się parę dni w Wenecji, dokąd dowiózł go okręt, gdyż cierpiał zarówno fizycznie jak duchowo. Doznał tam pewnej pociechy. Przechodząc przez bagna, otoczone zaroślami, ujrzał mnóstwo ptaków, które śpiewały radośnie. Zwrócił się do brata, który mu towarzyszył, i rzekł: „Bracia nasi, ptaszki, chwalą Stwórcę, wejdźmy między nich i śpiewajmy nasze godzinki“[3]). Pojawienie się dwóch zakonników nie spłoszyło ptaków. Po chwili jednak, uważając, że głosy ptasząt przeszkadzają mu w śpiewie, kazał im zamilknąć, dopóki nie spełni obowiązku względem Boga. Po skończeniu oficjum Franciszek dał ptakom znak, a one znowu śpiewać zaczęły[4]).

W drodze do Porcjunkuli Franciszek, bardzo osłabiony, uczuł takie znużenie, że musiał wsiąść na osła. Brat Leonard, jego towarzysz, szedł obok niego boso po rozpalonej ziemi. Począł też zazdrościć Franciszkowi i gniewał się w duchu. „W świecie — myślał sobie — rodzina moja nie chciałaby iść obok Bernardona, a ja oto muszę iść w utrudzeniu boso za jego synem, który jedzie.“ Leonard pochodził ze szlachetnego rodu z Asyżu. Zaledwie jednak sformułował w duszy tę skargę, gdy, ku jego zdumieniu, Franciszek zsiadł z osła i rzekł: „Zajmij moje miejsce, bracie: rzeczywiście, nie przystoi, abym ja jechał, gdy ty, człowiek szlachetnego rodu, musisz iść piechotą“. Leonard zmieszany, pełen żalu, padł przed Franciszkiem na kolana[5]).

---

[1]) *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.* I. n. 13, str. 4. Opinja Lempp'a (*Frère Elie*, str. 42), że próba ta zorganizowania pokutników świeckich w łonie ruchu franciszkańskiego, nie może być traktowana poważnie. Zidentyfikował on Jana de Compello z Janem de Capella, jednym z pierwszych dwunastu towarzyszów, (por. *Anal. Franc.*, III, str. 4; Sabatier, *Vie*, str. 270), ale jest to bardzo wątpliwe. Jedynym pozornym związkiem pomiędzy temi imionami jest twierdzenie Bartłomieja z Pizy, że Jan de Capella umarł jako trędowaty. (*Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 178. Por. *Manuscrit de Leignitz* w *Opuscules de Critique*, fasc. II., str. 49.

[2]) II Celano, 32—33. Później powrócił do zakonu.

[3]) *Horae canonicae*, oficjum z brewjarza.

[4]) *Leg. Maj.*, VIII, 9; Wadding, *Annales ad an. 1220.*

[5]) II Celano, 31; *Leg. Maj.*, XI, 8.

W ten sposób, krzepieni swą pierwotną prostotą, podróżowali dalej, aż przybyli do Bolonji. Tam Franciszek dowiedział się dokładnie o zaszłych zmianach.

Gdy dojeżdżali do miasta, powiedziano mu, że bracia wybudowali tam duży klasztor; opis tego domu był dlań prawdziwym ciosem, widział bowiem w tym fakcie dowód zdrady wobec powołania braci mniejszych. Piotr Stacia[1]), prowincjał Lombardji[2]), był doktorem praw uniwersytetu bolońskiego i zbudował ten klasztor w zamiarze założenia w nim uczelni dla braci. W porównaniu z domostwami, jakie zgromadzenie zajmowało dotychczas, klasztor był obszerny[3]), ale w oczach Franciszka najgorszem było to, że prowincjał uważał go do pewnego stopnia za własność zakonu, a przynajmniej pozwalał przypuszczać, że tak uważa. Złamał więc regułę w dwóch punktach istotnych: nie przestrzegając bezwzględnego ubóstwa, podstawowej zasady zgromadzenia, i lekceważąc prostotę ewangeliczną, która jest siostrą ubóstwa. Jak się zdaje Piotr Stacia świadomie zlekceważył intencje Franciszka, podniecony chęcią współzawodniczenia z dominikanami, którzy otworzyli szkołę w Bolonji w r. 1219, t. j. w roku wyjazdu Franciszka na Wschód[4]). Franciszek znał Bolonję i ducha panującego w jej szkołach. Kiedy trzy lata przedtem wysłał do Bolonji Bernarda da Quintavalle, to chciał w ten sposób dać świadectwo prostocie ducha ewangelicznego wbrew oschłości intelektualnej i pychy, zrodzonej w tych szkołach, gdzie studjowano prawo i sztuki, odnosząc się z jawnem lekceważeniem do teologji i Pisma św. Prawdopodobnie Piotr Stacia miał zamiar włączyć teologję do programu nauk braci mniejszych; może nawet chciał otworzyć

[1]) Nazywają go także Janem della Schiaccia (*Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 440), Janem de Sciaca (*Actus*, rozdz. 61), Janem de Strachia i Piotrem Janem de Strachia (Wadding, *Annales, ad an.* 1216, 1220. Piotr Stacia jest to imię nadane mu przez Angelusa Clarenusa, *Hist.* VI, Tribulat.

[2]) Por. Golubovitch, *Series Provinciarum* w *Arch. Franc. Hist.* an I, fasc. I, str. 3.

[3]) Por. Angelus Clareno, op. cit.: Hilarinus a Lucerna, *Histoire des Etudes,* str. 133, nota 2.

[4]) Por. Jordanus de Saxonia, *De initiis Ord. Praedicat.* w Quetif-Echard, *Scriptores Ord. Praedicat.* I. str. 18.

szkołę teologiczną na wzór tej, jaka poczynała już zdobywać sławę dominikanom[1]). Franciszek jednak nie życzył sobie takiej teologii, w której rozumowanie intelektualne góruje nad rozpamiętywaniem Ewangelji w sercu. Narazie jednak nie chodziło o teologję, ale o podstawowe zagadnienie charakteru i celu zgromadzenia: czy bracia mają zachować pierwotne ubóstwo i prostotę? Nowy klasztor w Bolonji był tego zaprzeczeniem: zwiastował on nastanie nowej ery, odmiennej w swym charakterze od ducha ubóstwa, któremu bracia ślubowali służyć[2]). Był to jedyny fakt rzeczywisty, który serce Franciszka pojęło z intuicyjną przenikliwością.

W bolesnem oburzeniu Franciszek nie chciał wejść do klasztoru, lecz szukał schronienia u braci kaznodziejów. Tam począł rozważać zdradę, która go dotknęła. Ten zły przykład nie mógł ujść bezkarnie. Kazał przywołać do siebie Piotra Stacia, wyrzucał mu, że dąży do zguby zakonu, i wzywał nań klątwy niebios. Chciał nakazać pokutę wszystkim braciom w klasztorze, ale jeden z braci kaznodziejów wstawił się za nimi. Jeśli źle postąpili — mówił ten brat — uczynili to przez brak sądu, nie przez złą wolę i pragnęli błąd swój naprawić. Franciszek uspokoił się i kazał im tylko niezwłocznie klasztor opuścić; nie pozwolił tam pozostać nawet chorym braciom[3]). Następnie udał się w dalszą drogę na południe. W podróży dowiedział się o wszystkich troskach, jakie dotknęły braci w czasie jego nieobecności.

W liczbie pierwszych jego towarzyszów znajdował się jeden co najmniej, Filip Długi, który dał się pociągnąć na nową

---

[1]) Jacques de Vitry, *Historia Occidentalis* (Douai), str. 333.

[2]) Czy Piotr Stacia posunął się aż do zebrania pieniędzy na budowę? Jestem skłonny to przypuścić. W rozdziale ósmym reguły z r. 1221 energiczne i drobiazgowe zastrzeżenia Franciszka, zabraniające braciom zbierania pieniędzy na domy lub schroniska, pozwalają się domyślać, że reguła pod tym względem była złamana. Dźwięczy tam ton namiętny, którego nie mogło wywołać przypuszczalne jedynie niebezpieczeństwo i który wywołać mogła tylko rzeczywista zdrada; usprawiedliwiałoby to klątwę, którą rzucił na ministra i której nie chciał cofnąć.

[3]) II Celano, 58; *Spec. Perfect.*, rozdz. 6. *Actus* rozdz. 61; *Conformit.* w *Anal. Franc.* IV, str. 440.

drogę. Był to naprawdę człowiek świątobliwy; jego to wyznaczono na wizytatora Ubogich Pań po cystersie Ambrożym i on uzyskał dla nich od Stolicy świętej listy ochronne, zabezpieczające je od nieprzychylności biskupów.

Wieść o powrocie Franciszka rozeszła się szybko po prowincjach półwyspu. Doszła ona do braci, którzy chronili się w pustelniach górskich, albo ukrywali się od prześladowań panującego stronnictwa w odludnych miejscach. Dla tych wygnańców pojawienie się Franciszka było brzaskiem dnia po strachu nocnym[1]). Rozeszła się była pogłoska o jego śmierci. Zrodziły ją może cierpienia i obawy braci, pozbawionych wszelkiej o nim wieści, a może też było to tylko zniekształcone echo męczeństwa braci w Marokku. W każdym razie wieść o jego powrocie, podawana z ust do ust, budziła wszędzie wybuchy radości[2]).

Prawdopodobnie prześladowani bracia myśleli, że obecnie rzeczy powrócą do dawnego stanu, i wszystko będzie tak, jak było przed buntem wikarjuszów. Franciszek jednak osądził słuszniej położenie. Nastąpiła zdrada; zrozumiał jednak doskonale, że nie może już być tak, jak było. Prostota wiary i wspólność celu nie utrzymywały już braci w spokojnem posłuszeństwie. Stronnictwo panujące przynajmniej nie było już zadowolone z jego kierownictwa i nie będzie z niego zadowolone nigdy; ukrywało się ono poza tymi, co piastowali wysokie godności. Jedno było jasne dla jego prostej duszy: zakonowi potrzebny był kierownik, który będzie rządził opornymi braćmi i postępował z nimi surowiej, niż on potrafił. Nie leżało w jego usposobieniu odgrywać rolę „sierżanta bożego“ i zmuszać ludzi do uległości. Jeśli bracia nie chcą iść za nim z dobrej woli, to

---

[1]) Według Waddinga *(Annales ad an. 1220)* Franciszek zastał kardynała Hugolino w Bolonji i udał się z nim do klasztoru kamedułów w pobliżu Alwernji, gdzie spędzili czas jakiś w odosobnieniu. Na tem twierdzeniu Sabatier buduje teorję, że kardynał umyślnie usunął Franciszka z drogi na czas, kiedy prowincjałowie wykonywali jego plany (*Vie de St. François* str. 277—8). Niema jednak autentycznego dowodu na to, by Franciszek w owym czasie miał przebywać w Alwernji; również nie wynika z *Registri*, aby kardynał był w Bolonji w r. 1220, jakkolwiek bawił tam niewątpliwie w r. 1218, 1219 i 1221 (por. H. Fischer, *Der heilige Franziskus*, str. 67).

[2]) *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.* I, no. 14, str. 5.

nie jest on odpowiednim dla nich kierownikiem[1]). Sumienie jednak nakazywało mu uczynić wszystko, co było w jego mocy, aby ratować zakon, to dziecię jego duszy. W zakłopotaniu tem myśli jego zwróciły się do kardynała Hugolina, jako do człowieka, którego Bóg przeznaczył do popierania mocą powagi, jaką w Kościele posiadał, tej jego rodziny duchowej. To też niezwłocznie udał się do Rzymu[2]). Unikał po drodze spotkania wikarjuszów[3]): pragnął odwołać się do Stolicy świętej.

Po przybyciu do Wiecznego Miasta Franciszek udał się do pałacu Lateraneńskiego i usiadł na ziemi pod drzwiami pokoju papieża, czekając, aż wyjdzie; był bowiem zbyt pokorny, by prosić o posłuchanie. Gdy wreszcie papież wyszedł, Franciszek pozdrowił go: „Ojcze święty, niech Bóg darzy cię pokojem!" Papież odpowiedział: „Niech cię Bóg błogosławi, mój synu!" — i czekał, o co prosić będzie. „Panie mój", — rzekł Franciszek, „jesteś tak wielki i zajęty ważnemi sprawami, że ubodzy nie mogą zbliżyć się do ciebie i mówić z tobą tak często, jakby potrzebowali". A gdy Honorjusz przypomniał mu, że są kardynałowie i biskupi, do których może się zwrócić, Franciszek zawołał: „Dałeś mi wielu papieży; proszę cię, daj mi jednego, z którym w razie potrzeby mógłbym mówić, u którego mógłbym zasięgnąć rady w twojem zastępstwie we wszystkiem, co dotyczy spraw mego zakonu". „Kogo chcesz, abym ci dał, synu?" — zapytał papież. „Daj mi", rzekł Franciszek, „pana kardynała Ostji". W ten sposób, według świadka, kardynał Hugolino stał się protektorem zakonu przy dworze rzymskim[4]).

Inni utrzymują, że Franciszek zwrócił się naprzód do kardynała Hugolina i wyjawił mu swoje obawy, i że następnego ranka kardynał zabrał Franciszka ze sobą do papieża i kazał mu mówić w obecności Ojca św. i kardynałów o wszystkiem, co mu leży na sercu; później dopiero jakoby Franciszek miał

---

[1]) *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.*, I, n. 14, str. 5.

[2]) Honorjusz III przebywał w Rzymie od listopada 1220 r. do kwietnia 1222. Przedtem był w Orvieto przez całe lato i początek jesieni 1220, z wyjątkiem czasu poświęconego na podróż do Mantui w końcu lipca. Por. *Mon. Germ. Hist.* tom I. str. 83 i nast.

[3]) *Spec. Perfect.* rozdz. 71.

[4]) *Chron. Jordani.*

prywatne posłuchanie u papieża i wówczas prosił go rzekomo o wyznaczenie kardynała Hugolina na kierownika zakonu w charakterze przedstawiciela papieskiego[1]).

Jakkolwiek rzecz się miała, odtąd kardynał był stałym doradcą Franciszka i jego „panem apostolskim"[2]). Jego potężny umysł kierował organizacją zgromadzenia.

Pierwszym jego czynem było zmuszenie Jana de Compello do rozpuszczenia swej wędrownej gromady i do powrotu do zakonu. Następnie odwołał „listy ochronne" udzielone „Ubogim Paniom". Ten ostatni rys znamionuje, w jakim duchu podjął swój nowy urząd. Jako najwyższy sędzia zgromadzenia usiłował zawsze dogodzić życzeniom Franciszka, o ile mógł to uczynić ze względu na niezbędną organizację zakonu. On sam, jakeśmy widzieli, nie był idealistą, lecz człowiekiem praktycznym; w charakterze jego jednak tkwił pierwiastek mistyczny, który pociągał doń Franciszka bardziej, niż innych braci. Dla niego idee Franciszka nie były nigdy niepraktycznemi pomysłami, lecz natchnieniem, które usiłował ująć w praktyczne formy: z niewyczerpaną cierpliwością próbował przerzucić most nad przepaścią, pogłębiającą się coraz bardziej pomiędzy duchem założyciela a wielu nowymi kierownikami zgromadzenia. Oddajmy sprawiedliwość jego pamięci. Niezawsze patrzył na rzeczy tak, jak Franciszek, nigdy jednak nie zawiódł świadomie zaufania, jakie on w nim położył.

Franciszek opuścił Rzym dopiero wówczas, gdy doszedł z kardynałem do porozumienia co do dalszego postępowania ze zgromadzeniem. Ustanowiono ponownie Piotra z Cathanii w Porcjunkuli w charakterze wikarjusza[3]) dla zarządzania zwy-

---

[1]) II Celano, 25; *Tres. Soc.* 64—5. Por. I Celano, 100. Punkt zgodności pomiędzy obydwiema wersjami znajdujemy w *Tres. Soc.* 65. Giordano opowiada widocznie epizod końcowy tych pertraktacyj. Hugolino bawił w Rzymie zimą 1220—21 roku.

[2]) Por. *Spec. Perfect.* rozdz. 23: „*Dominus et Apostolicus noster*".

[3]) Zdaje się, że ustanowienie Piotra Cathanii wikarjuszem, wspomniane w II Celano, 143 i w *Spec. Perfect.* rozdz. 39, odnosi się do okresu wcześniejszego, do czasu, gdy Franciszek cierpiał na swą powrotną chorobę. Obaj autorzy mówią bardzo wyraźnie, że wystąpiła ona w parę lat po nawróceniu Franciszka: „*Paucis annis elapsis post conversionem suam*".

klemi sprawami. Franciszek zaś miał przystąpić do rewizji reguły, niezbędnej celem przywrócenia pokoju i porządku. Rewizja ta miała uwzględnić doświadczenie, nabyte w rządzeniu braćmi.

Prawdopodobnie również kwestja „listów ochronnych" doprowadziła do dyskusji o wzajemnych stosunkach pomiędzy braćmi a Ubogiemi Paniami i że kardynał przyznał wtedy specjalne przywileje odnośnie do San Damiano; równocześnie uzyskał zgodę Franciszka na wyznaczanie braci na kierowników innych klasztorów[1]). Jestem skłonny przypuścić, że kardynał rozpatrywał wówczas jeszcze inną ważną sprawę, a mianowicie organizację nowego zgromadzenia pokutników świeckich przeznaczonego dla mężczyzn i dla kobiet — a była ich znaczna liczba, którzy przystali do braci jako wolni naśladowcy ewangelji ubóstwa.

Tymczasem wysłano do wszystkich prowincyj zakonu posłów w celu zwołania braci na kapitułę generalną, odbyć się mającą na Zielone Świątki. Przed rozpoczęciem kapituły umarł Piotr Cathanii, a brat Eljasz, były prowincjał Syrji, został mianowany na jego miejsce. Piotr umarł 10 marca 1221[2]). Trudno

---

[1]) Według Waddinga *(Annales ad an. 1224)*, Franciszek w roku 1224 napisał regułę dla Ubogich Pań. Nie mamy jednak innego dowodu istnienia takiej reguły prócz *Formula vitae* wspomnianej przez Grzegorza IX w jego Bulli *Angelis Gaudium* z d. 11 maja 1238 (Sbaralea, *Bull.* I, str. 242). Naogół przypuszczają, że ta *Formula vitae* zawiera się w rozdziale II reguły św. Klary, zatwierdzonej przez Inocentego IV w dniu 9 sierpnia 1253. (Sbaralea, *Bull.* I, str. 671—8; *Seraph. Legislat. Text* str. 46 i nast.) Prawdopodobnie Franciszek przyjął przepisy Hugolina dla Sióstr w San Damiano z wyjątkiem ustępu dozwalającego na posiadanie własności. Niewątpliwie regułę tę obserwowano w San Damiano jeszcze za życia Franciszka, gdyż on złagodził surowość postów dla wątlejszych sióstr. (*vide Epistola III. S. Clarae ad B. Agnet Bohem. Acta SS. Mart.* tom VII. str. 507. Poza tem w regule św. Klary znajdujemy przepisy Hugolina dotyczące klauzury, nieustannego postu i milczenia.

[2]) Starożytny napis na murach Porcjunkuli głosi: *„anno Domini MCCXXI id Martii corpus fr. P. Cathanii qui hic requiescit migravit ad Dominum"*. Według *Chron. XXIV Gen.* w *Anal. Franc.* III. str. 30., Piotr umarł w r. 1224; Papini (*Storia di San Francesco,* I. str. 187) wykłada powyższy napis jako odnoszący się do 10 marca 1224 r. na tej podstawie, że według przyjętego w średniowieczu obliczenia

przewidzieć, jak byłyby się ułożyły sprawy zakonu, gdyby pomiędzy Franciszkiem a dysydenckimi braćmi stała wierność i doświadczenie Piotra Cathanii. Rządził on bowiem braćmi w Porcjunkuli przez długie lata w czasie nieobecności Franciszka, z wyjątkiem krótkotrwałej podróży na Wschód. On równie jak kardynał Hugolino uświadamiał sobie trudność utrzymania wielkich mas w prostocie pierwszych dni po założenia zakonu[1]), i podobnie jak kardynał, nie stracił nigdy pierwotnego do Franciszka zaufania. Ale, jakeśmy powiedzieli, zmarł on przed rozpoczęciem kapituły.

---

czasu, rok zaczynał się w dniu 25 marca. Jest to jednak bardzo niepewne. Poza tem z opowiadania Giordano da Giano o kapitule 1221 r. wynika, że Eljasz był wtedy przełożonym zakonu. (*Chron. Jordani,* no. 17 w *Anal. Franc.* I, str. 6).

[1]) II Celano, 67.

ROZDZIAŁ V.

Brat Eljasz obejmuje władzę.

Gdy obecnie staniemy na równinie leżącej naprzeciw Asyżu i spojrzymy w kierunku miasta, uderzy wzrok nasz nie średniowieczna twierdza wieńcząca wzgórze, nie mnóstwo dzwonnic, chroniących się w jego cieniu, lecz duży klasztor wznoszący się na lewo, w punkcie, gdzie góra poczyna stopniowo opadać ku Tescio. „Sagro Convento", z powodu nierówności terenu zbudowany na długim szeregu łuków, wygląda raczej na twierdzę feudalną niż na dom zakonny. Widok jego przypomina kościoły-fortece, jak świątynia w Durham, budowana i broniona przez kapłanów-żołnierzy, ludzi walecznych, oddanych służbie Kościoła i państwa. Ilekroć spojrzymy na miasto bez względu na to, z jakiego patrzymy na nie stanowiska, wzrok nasz przyciąga ten klasztor-bazylika, którego białość odcina się plastycznie na tle ciemnych skalistych pagórków.

Jeśli znamy i kochamy legendę franciszkańską, owładnie wówczas nami niezmiennie splot różnorodnych wzruszeń. Przyjdzie nam na myśl, że ten jaśniejący białością klasztor stanowił dla wielu uczniów Franciszka symbol zdrady — dla innych był on wyrazem czci ziemskiej dla wielkiego i umiłowanego Świętego. W sercu naszem odezwą się, być może, oba te uczucia: będziemy szczęśliwi, że świat w najczystszej i najwspanialszej swej sztuce wzniósł świątynię, mającą przyjąć w swe mury ciało tego, który na najwyższy hołd zasługiwał, a jednak równocześnie powstanie w nas bunt na myśl, że świat ów rości sobie podobne prawa do Świętego, który wyżej cenił ubóstwo i przyrodę niż bogactwo i sztukę. Wobec tej sprzeczności własnych uczuć będziemy zapewne mniej surowi dla brata Eljasza, i sądzić go będziemy sprawiedliwiej.

Ten olbrzymi budynek wzniesiony staraniem brata Eljasza, który po śmierci Piotra Cathanii został wikarjuszem jeneralnym zakonu, jest do pewnego stopnia pomnikiem jego genjuszu i wyrazem jego charakteru: jednak niezupełnie. Poza granicami Umbrji, pod Cortoną, znajduje się klasztor Cella, ukryty jak kwiat w dolinie nad szemrzącym strumykiem. Ten również zbudował Eljasz. Budynek ciasny i niski, w którym człowiek wysokiego wzrostu z trudem wyprostować się może, zdradza inną stronę jego charakteru[1]).

Słusznie jednak, czy też nie, „Sagro Convento" jest uważany za symbol umysłowości i zamiarów człowieka, który w owym czasie objął rządy zakonu. Cella w Cortonie wyraża jedynie przejściowe wzruszenie, klasztor w Asyżu wraz z bazyliką jest wyrazem samego człowieka. Jakgdyby gardząc przeszkodami, które przyroda stawiała jego budowie[2]), wznosi się on ze zbocza wzgórza w pełni dumnego i swobodnego piękna. Jest to naprawdę piękne dzieło sztuki, a jednak brak mu świetlanej chwały sztuki. Byłby niewątpliwie symbolem hołdu, złożonego przez świat Franciszkowi, gdyby przez swą dumną potęgę nie urągał najwyższemu oderwaniu się od rzeczy ziemskich tego, kogo uczcić zamierza. Budowla ta nie budzi podobnego uczucia; nie unosi myśli ku temu, co nie jest nią samą. Narzuca się natrętnie, zwracając myśl ku temu, co jest, a nie ku temu, czego niema. Nie poniża się w pokornem uznaniu chwały Świętego, którego ciała strzeże; chwałę jego uważa raczej za swoją przynależność. Tak tedy Sagro Convento, pod pewnym względem doskonały jako dzieło sztuki, posiada cechy nieszczerości i pychy. Jego wyniosła siła panuje nad naszemi zmysłami, ale dusza

---

[1]) Salimbene gani go jednak za to, że wybrał tak prześliczną miejscowość na mieszkanie.

[2]) Colle d'Inferno, na której wznosi się klasztor, dzielił od miasta jar głęboki. Grób trzeba było wykuwać w skale. Dawne mapy ukazują nam taką granicę pomiędzy miastem a klasztorem. Sabatier utrzymuje, że do klasztoru wchodziło się po dwóch mostach zwodzonych, przerzuconych przez wąwóz, co wzmagało jeszcze jego podobieństwo do fortecy. Por. Selincourt, *Homes of the first Franciscans*, str. 22, n. 2.

jest jakgdyby przytłoczona. Nie wiedzieć czemu, ogarnia nas zrazu dziwne uczucie unoszącego się w atmosferze tragizmu.

Tych samych mniej więcej złożonych uczuć doznajemy patrząc na postać samego Eljasza[1]). Jest coś pociągającego w rozmachu jego ambicji, w sile jego woli. Ten syn ubogiego rzemieślnika stał się zaufanym doradcą i ambasadorem papieża i cesarza, faktycznym władcą Cortony. Dążąc do stworzenia z zakonu franciszkańskiego potęgi światowej, do rzucenia jego wpływu na szalę wypadków politycznych[2]), cel swój najzupełniej osiągnął. Udało mu się również pociągnąć braci do uniwersytetów[3]), gdzie odegrali wybitną rolę w życiu umysłowem,

[1]) Por. P. Affo *Vita di frate Elia;* wyd. Lemppa, *Frère Elie de Cortone.* Golubovitch, *Bibliotheca* str. 106 i nast. et alibi. Niestety materjały do życiorysu brata Eljasza nie są obfite i trzeba polegać na opinji jego współczesnych, biorąc pod uwagę namiętność uczuć, zarówno przyjaciół jego jak i wrogów. Pierwsi kronikarze zakonu przez zrozumiałą powściągliwość unikali wypowiadania o nim sądów. Dlatego też brak szczegółów jego życiorysu, jakkolwiek występuje z cienia jaskrawo jego charakter i polityka. Wiele sporów wywołała sprawa miejsca i daty jego urodzenia. Według P. Affo, urodził się w Beviglja pod Asyżem. Najdawniejsze kroniki nazywają go poprostu bratem Eljaszem, bez bliższego określenia. *Chron. XXIV Gen.* (*Anal. Franc.* III. str. 249) nazywa go po raz pierwszy bratem Eljaszem z Asyżu. Pod tem imieniem był znany aż do wieku XVII, kiedy od miejsca jego wiecznego spoczynku poczęto go nazywać Eljaszem z Cortony. Napis na jego grobie w kościele św. Franciszka w Cortonie w XVI wieku nazywał go „*Helias Coppi di Cortone*". (Por. *Anon. Corton.*, str. 36 i 75, w Lemppie str. 36 no. 3.) Salimbene, przyjęty przez Eljasza do zakonu w r. 1238 mówi, że ojciec pochodził z Castel Britti na terytorjum Bolonji, a matka — z Asyżu; dodaje, że Eljasza zwano Bonusbaro lub Bombazone. Por. *Mon. Germ. Hist.* XXXII, par. I, str. 37.

[2]) Np. wysłał Haymona z Favershamu do Nicei dla rokowań w sprawie unji Kościoła greckiego z łacińskim. (Wadding, *Annales ad an. 1232—33*; Eccleston (wyd. Little) str. 357). Pośredniczył pomiędzy wojującemi stronnictwami włoskiemi w sprawie pokoju (por. Lempp, str. 107; appendix II, 2). Sam występował jako ambasador Grzegorza IX w rokowaniach z Fryderykiem II (por. Salimbene op. cit. str. 98). Patrz także Huillard Breholles, *Hist. Diplom.* V, pars. I, str. 346.

[3]) Eccleston (wyd. Little), str. 35—62. Patrz słynne zdanie Salimbene'go: „*hoc solum habuit bonum fr. Helias, quia ordinem fr. minorum ad studium theologiae promovit*", op. cit. str. 104.

a także zapewnić im zaszczytne miejsce w dziedzinie pracy misyjnej na ziemiach mahometańskich[1]).

Eljasz bezwarunkowo był człowiekiem wykształconym. Studjował w uniwersytecie bolońskim, znał prawo o tyle, że mógł sprawować obowiązki notarjusza, miał też zamiłowanie do sztuki, a jeśli wierzyć tradycji, pociągały go nawet tajniki alchemji[2]). Posiadał nietylko wybitną inteligencję, ale w stosunkach z otoczeniem umiał ujmować sobie wszystkich szczerością i szlachetnością, miał dar zaskarbiania sobie zaufania i przywiązania. W tem właśnie tkwiła słaba strona jego charakteru. Dla tych, co potrafili zjednać sobie jego przychylność, był pełen dobroci, ujawniającej się w szczególnych względach i w gotowości do usług; tych jednak, którzy mieli śmiałość przeciwstawić mu się, miażdżył, gdy tylko mógł to uczynić. Ludzi, których nie potrzebował, mijał z obojętnością. Karał bezwzględnie i wtrącał do więzienia tych, co protestowali przeciwko jego polityce po śmierci Franciszka; ręka jego dosięgła nawet najbliższych przyjaciół Świętego[3]). Z biegiem lat stawał się coraz bezwzględniejszy[4]); nie znosił wprost żadnej opozycji. Gdy jego projekty natrafiały na przeszkody, występował gwałtownie przedewszystkiem przeciwko braciom, którzy mu się przeciwstawiali, potem przeciwko papieżowi, który mu czynił uwagi. Po wycofaniu się z służby cesarza, w której przy różnych okazjach odgrywał rolę ambasadora, usunął się poniekąd w zacisze, do miasta Cortony, gdzie lud go uwielbiał; choć wyłączony z zakonu i wyklęty przez Kościół, spędził ostatnie lata życia na

---

[1]) Wysłał misjonarzy do Gruzji, Damaszku, Bagdadu, do Marokka, Tunisu i Alepu. Sbaralea, *Bull.* I, str. 93, 100, 102, 106, 155 itd. Por. Golubovitch, op. cit. str. 113—4.

[2]) Por. Eccleston, str. 36. *Chron. XXIV Gen.* w *Anal. Franc.* III. str. 217 i 695. Mateusz z Paryża (*Chron. ad an. 1239)* mówi, że Eljasz był słynnym kaznodzieją. Przypisywano mu kilka dzieł o alchemji, autorem ich jednak jest prawdopodobnie alchemik Eljasz Canossa. Por. Salimbene op. cit. str. 160; Lempp, str. 121; Golubovitch, op. cit. 116—7.

[3]) Por. Eccleston, (wyd. Little) str. 36. *Chron. XXIV Gen.* w *Anal. Franc.* III. str. 89 i nast. Angelo Clareno, *Hist. VII Trib.* u Golubowitcha, op. cit. str. 118—9.

[4]) Por. Eccleston, str. 84. Salimbene, op. cit. str. 104 i nast.

budowie wielkiej świątyni pod wezwaniem św. Franciszka, gdzie później został pochowany. Za naszych dni oglądać jeszcze można w Cortonie kościół, świadczący o zwichniętem życiu jego twórcy. W kościele tym, chłodnym i bezdusznym, panuje jakgdyby atmosfera zawodu. Lecz dalej, w głębi wąwozu, nad niziutką Cellą unosi się powiew natchnienia. Wypowiadając sąd o Eljaszu, nie należy zapominać o Celli, jakkolwiek on sam, jak się zdaje, gardził nią wkońcu.

Był to istotnie charakter zawiły, który trudno sprawiedliwie osądzić. Ze względu na swą słabość musiał upaść, ze względu na siłę — musiał być bardzo bliski prawdziwej wielkości.

Gdybyśmy zapomnieli o skromnej Celli, moglibyśmy słusznie zapytać, co skłoniło Eljasza do zostania bratem mniejszym. Nie ulega kwestji, że w duszy jego tkwiły zadatki heroicznych poświęceń, a jakkolwiek jego uprzejmość przybierała zazwyczaj szybko charakter protekcjonalny, jednak był zdolny do szczerego przywiązania, czego dowodzi list jego pisany do Grzegorza z Neapolu, prowincjała Francji, w którym donosił o śmierci Franciszka[1]). Te zalety oraz wybitna zręczność w przeprowadzaniu spraw jemu zlecanych zjednały mu zapewne zaufanie Franciszka. Jest mało prawdopodobne, by kardynał Hugolino miał wpłynąć na mianowanie Eljasza wikarjuszem jeneralnym; pewne jest wszakże, że Franciszek darzył go — jeśli nie głęboką przyjaźnią — co jest wątpliwe — to w każdym razie przynajmniej wielkim szacunkiem[2]). Nie ulega też kwestji, że wybór Eljasza na wikarjusza jeneralnego był zgodny z życzeniem Franciszka. Wiemy, że wybrał go na towarzysza w powrotnej drodze z Syrji wraz z Piotrem Cathanii i Cezarem ze Spiry, którzy byli jego powiernikami w okresie niepewności i utrapień[3]). Rzeczywiście zarówno Franciszkowi

---

[1]) Por. *Acta SS*. Octob., II, str. 668.

[2]) Jest w słowach Celano coś więcej, niż pochlebstwo dworaka lub frazes literacki, gdy mówi: *„frater Helias quem loco matris elegerat sibi"* etc. (I Celano, 98). Zarówno tradycja jak historja świadczą, że Franciszek szanował Eljasza, choć następnie nie ufał jego polityce i poznał jego słabość.

[3]) Cezar ze Spiry pomagał Franciszkowi przy rewizji reguły.

jak i kardynałowi mogło się zdawać, że wrodzone zalety Eljasza, wdzięk obejścia i surowość w stosunku do siebie, gorliwość i zręczność czyniły zeń idealnego pośrednika pomiędzy dwiema partjami w zakonie; w oczach zaś kardynała Eljasz posiadał jeszcze jedną ważną zaletę: oto mianowicie otaczał zdrowie Franciszka serdeczną troskliwością[1]).

A jednak smutny był dla braci dzień, w którym Eljasz został wikarjuszem. Duch sekularyzmu, który od czasu kapituły 1217 r. pokutował w zgromadzeniu, nabrał w nim tytanicznej siły, a zręczność Eljasza przyczyniła się w wielkiej mierze do sprowadzenia zakonu z drogi, wiodącej do pierwotnie zamierzonego celu. Zapewnił on braciom miejsce i władzę w świecie; jego genjusz zdobył dla nich znaczenie w dziedzinie życia politycznego i kościelnego; byłby on uczynił więcej jeszcze; byłby przekształcił zakon na potężną organizację polityczną, gdyby nie sprzeciwiał się temu pierwotny instynkt zgromadzenia, tak silny, że stawił mu opór i wreszcie zdołał go przemóc. Jeszcze i wtedy nawet nie był on pokonany; a w dobrowolnie obranej samotni w Cortonie doznawał może pod koniec swego smutnego życia pewnego cynicznego zadowolenia na myśl, że ci, co go wypędzili, mimo protestów są zmuszeni przyjąć dziedzictwo, które im pozostawił.

Ta tradycja jednak kryje się jeszcze za zasłoną przeszłości. W chwili, gdy go wyniesiono na wikarjat, większość braci spodziewała się, że będzie on podporą dla Franciszka, którego zdrowie było podkopane, a pomocą i pokrzepieniem dla wszystkich.

Kapituła jeneralna zebrała się w Porcjunkuli w ostatnich dniach maja 1221 r.[2]). Uczestniczyło w niej trzy tysiące braci i nowicjuszów[3]). Kardynał Hugolino, który przebywał wówczas w północnej Italji, nie mógł jej przewodniczyć, zastępował go kardynał Rainerio, gubernator księstwa Spoleto. Pierwszego dnia odprawił mszę jeden z biskupów; Franciszek służył za diakona. Potem miał kazanie, za którego tekst obrał słowa Psal-

---

[1]) Legendy dowodzą, że Eljasz dbał troskliwie o zdrowie Franciszka. Por. I Celano, 98—105; *Spec. Perf.* rozdz. 115; *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.* I, n. 17. str. 6.

[2]) W r. 1221 Zielone Świątki przypadały 30 maja.

[3]) *Chron. Jordani*, w *Anal. Franc.* I, no. 16, str. 6.

misty: „Błogosławiony Pan Bóg mój, który uczy ręce moje na bitwę“[1]). Tekst ten był doskonale zastosowany do okoliczności.

Franciszek przybył na kapitułę w celu ponownego stwierdzenia pierwotnego celu zakonu. Za radą kardynała Hugolina i przy pomocy Cezara ze Spiry poprawił on regułę. Tę właśnie zmodyfikowaną regułę, przedłożył kapitule do zatwierdzenia. Dysydentów, którzy przypuszczali, że pierwotny program zgromadzenia ulegnie zmianie, spotkało rozczarowanie. Reguła pierwotna pozostała niezmieniona; dodano do niej tylko niektóre dekrety kapitularne, edykty papieskie i przestrogi, mające na celu utwierdzenie braci w życiu, jakie Franciszek pragnął, aby prowadzili[2]). Te dodatkowe przepisy, zawarte w poprawionej regule, dotyczyły ubóstwa i prostoty ewangelicznej. Miały one na celu powrót do trybu życia, jaki wiedli bracia w pierwszych dniach istnienia zakonu, i tchnęły duchem reguły pierwotnej. Tak więc zakazywały one braciom mieszania się do spraw doczesnych nowicjuszów, przyjmowania czegokolwiek z ich majątku, chyba w razie istotnej potrzeby; w tym wypadku wolno im było coś przyjąć, ale tylko tak, „jak innym ubogim“[3]). Przepis, dotyczący pracy ręcznej, utrzymany był w pełni, jednak dla zaznaczenia, że braciom wolno było podejmować się tylko skromnych usług, zakazano im przyjmowania urzędów marszałków dworu, piwniczych lub nadzorców. Nie wolno im było również obejmować stanowisk, które mogłyby wywołać zgorszenie lub przynieść uszczerbek duszy[4]). Jeśli kto-

---

[1]) *Chron. Jordani*, w *Anal. Franc.* I. Tekst zaczerpnięty jest z Psalmu CXLIII, 1 (Wulgata).

[2]) Jest rzeczą pewną, że Franciszek miał zwyczaj przedkładania kapitułom jeneralnym projektowanych przez siebie przepisów. (Por. *Epistola III.* w *Opuscula* str. 109; II Celano 128). Możemy zatem przyjąć, że poprawiona reguła była przynajmniej w zarysie przedłożona kapitule jeneralnej. Prawdopodobnie Cezar ze Spiry nadał jej formę literacką i dodał cytaty z Pisma św. i Ojców Kościoła po kapitule w zamiarze przedstawienia reguły Stolicy św. do zatwierdzenia. Cezar pozostał w ciągu trzech blisko miesięcy w dolinie Spoleto po kapitule. Por. *Chron. Jordani, Anal. Franc.* I, no. 19, str. 8.

[3]) *Regula Prima*, rozdz. 2

[4]) Rozdz. 7.

kolwiek pragnął wstąpić do zakonu, przyjaciel czy wróg, złodziej czy rozbójnik, należało go przyjąć z dobrocią i serdecznością[1]). Bracia powinni się starać, aby nie wyglądali „smutno i ponuro jak hipokryci"; przeciwnie, zalecano im, aby byli weseli, radośni, grzeczni, ale bez przesady[2]). Mieli spowiadać się z grzechów, o ile możności przed księdzem, należącym do zakonu; jeśli to było niemożliwe — przed innym kapłanem; gdy niema w pobliżu kapłana, zalecało im się spowiadać przed innym bratem, lecz w takim razie potem musieli starać się o rozgrzeszenie kapłańskie[3]).

W przepisach tych nie było nic nowego. Te same obowiązki ustanowiły już poprzednie kapituły[4]). To samo odnosiło się do zakazanego braciom jeżdżenia konno, z wyjątkiem wypadków nieodzownej potrzeby posiadania zwierząt jucznych w miejscach swego zamieszkania[5]), mówienia kazań bez pozwolenia przełożonego[6]). Możliwe jest, że przepisy, dotyczące misyj u niewiernych, stanowiły tylko powtórzenie reguły, przyjętej w r. 1219[7]). Znajdujemy tam jednak i nowe zarządzenia, wywołane wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przez zaburzenia dwóch lat ubiegłych. Tak np. nie wolno było braciom przyjmować ślubu posłuszeństwa od kobiety[8]); zakazane było ministrom przybieranie tytułu przeora[9]). Poprawiona reguła stwierdza dwukrotnie „swobodę ewangeliczną" co do pożywienia braci. „Mogą jeść wszelkie pokarmy, które się przed nimi znajdują, zgodnie z Ewangelją"; a dalej: „W razie potrzeby wolno wszystkim braciom, gdziekolwiek się znajdują, jeść wszystko, co ludzie jadają"[10]).

Jeden z artykułów reguły wspomina o karach, wymierzanych przez dysydenckich przełożonych braciom, którzy im się

---

[1]) *Regula Prima*, rozdz. 7.
[2]) Ibid.
[3]) Rozdz. 20.
[4]) Por. *Spec. Perfect.* rozdz. 66; *Actus.* rozdz. 29; II Celano, 128.
[5]) *Regula Prima*, rozdz. 15.
[6]) Rozdz. 17.
[7]) Rozdz. 16.
[8]) Rozdz. 12.
[9]) Rozdz. 6.
[10]) Rozdz. 3—9.

przeciwstawili w czasie wyprawy Franciszka na Wschód. „Jeśli który z ministrów — mówi reguła — nakazuje któremu z braci coś sprzecznego z naszym sposobem życia, albo przeciwnego jego duszy, brat nie jest obowiązany go słuchać, gdyż popełnienie błędu lub grzechu nie jest posłuszeństwem". Bracia winni również upominać przełożonych, o ileby ci postępowali „nie według ducha, lecz według ciała"; gdyby się mimo to nie poprawili, należy donieść o tem kapitule jeneralnej[1]).

W zakazie zbierania pieniędzy zapomocą kwesty „na pewne domy lub pewne miejsca" odnajdujemy z łatwością echo skandalu, jaki zaszedł w Bolonji[2]). Wreszcie w zakończeniu reguła ponawia apel Franciszka do poprzedniej kapituły jeneralnej. „Od Boga Wszechmogącego, Pana naszego Papieża i w imię posłuszeństwa, ja, brat Franciszek, zakazuję ściśle i zabraniam, aby nikt nie ujmował nic z rzeczy, zapisanych w tej regule życia[3]), nie dodawał do nich nic w żadnym sposobie, i aby bracia nie mieli żadnej innej reguły[4]).

Poprawiona reguła nie była traktatem pokoju; było to wyzwanie, rzucone tym, coby chcieli odwieść zakon od jego powołania. Tak też przyjęli ją dysydenccy ministrowie. Jest widoczne, że nie mieli zamiaru jej obserwować. Zwolennicy legalności uważali, że dopóki reguła nie została zatwierdzona formalnie przez Stolicę św., Franciszek nie ma prawa jej narzucać a przez to wiązać sumienia braci[5]).

---

[1]) *Regula Prima*, rozdz. 5.

[2]) Rozdz. 8.

[3]) Rozdz. 8.

[4]) Słowa „Pana naszego Papieża" mogą poprostu oznaczać, że Franciszek nakazywał obserwowanie reguły na mocy władzy, udzielonej mu przez papieża Inocentego III, gdy nastąpiło zatwierdzenie reguły pierwotnej. Ale możliwe, iż zdanie to zamieszczono z myślą przedłożenia reguły do formalnej aprobaty bądź kardynała Hugolina, który reprezentował papieża, bądź do bezpośredniego zatwierdzenia przez Stolicę św.

[5]) Kwestja, w jakim stopniu Franciszek mógł stanowić prawa dla braci bez zgody ministrów, była w dalszym ciągu roztrząsana do r. 1230, gdy Grzegorz IX w bulli *Quo elongati* (por. Sbaralea, *Bull.* I, str. 68—70) oświadczył, że bracia nie są obowiązani na mocy *posłuszeństwa* do podlegania rozporządzeniom, wydanym przez Franciszka bez zgody ministrów, t. j. kapituły jeneralnej. Było to oczy-

Faktycznie ta reguła dotknęła ich bardzo. Jeden z ministrów zapytał Franciszka, co rozumie przez słowa: „Gdy bracia pójdą w świat, nie wezmą ze sobą nic w drogę, ani torby, ani sakiewki, ani chleba“ i t. d.[1]). Franciszek odpowiedział bez wahania: „Chcę, aby je rozumiano tak: Bracia nie powinni mieć ze sobą nic poza habitem, sznurem i spodniami, a, jak wskazuje reguła, tylko tym wolno używać obuwia, którzy będą do tego zmuszeni koniecznością“. „Cóż więc mam począć? — zapytał minister, myśląc o swojej przenośnej bibljotece; — mam bowiem wiele książek, które oceniam na pięćdziesiąt funtów“. Franciszek zawołał: „Bracie, nie powinienem i nie mogę postąpić wbrew memu sumieniu i nauce Ewangelji, którą przyrzekliśmy zachowywać“. Minister bardzo się zasmucił. Franciszek mówił dalej namiętnie: „O bracia, którzy chcecie być nazwani przez lud braćmi mniejszymi i stać się w ich oczach naśladowcami Ewangelji, a jednak chcecie posiadać skrzynie na skarby! Ale ja nie chcę dla waszych książek utracić księgi Ewangelji. Róbcie, co chcecie, ale moje pozwolenie nie może stać się zasadzką dla braci“[2]). Te słowa „Róbcie, co chcecie“ — stały się krzykiem rozpaczy Franciszka wobec stałej opozycji dysydenckich ministrów. Nie mógł ich zmusić, aby poddali się jego kierunkowi; mógł jedynie nadal dawać świadectwo prawdzie, którą uważał za objawioną sobie przez samego Chrystusa. Ci, którzy zapragną, pójdą za nim; co do innych — zrzekał się wszelkiej za nich odpowiedzialności. Ci zaś niezwłocznie zaczęli działać przeciwko regule. Narazie pocichu, lecz tem niemniej wytrwale. Odwołali się do kardynała Hugolina. Ten pod wieloma względami podzielał ich zapatrywanie, lecz nie chciał, aby obrażali Franciszka jawnie i brutalnie. Posiadał on przenikliwość męża stanu, to też chciał uwzględnić te ich żądania, które uważał za słuszne, zachowując jednak podstawowe zasady reguły. Oświadczył też publicznie, że dom

---

wiście słuszne ze stanowiska prawnego. Ale Grzegorz dodawał, że bracia mają zawsze być gotowi zastosować się do rozsądnych intencyj i świętych życzeń Franciszka.

[1]) *Regula Prima*, rozdz. 14.

[2]) *Spec. Perfect.* rozdz. 3; Celano, 62; *Scripta F. Leonis Doc. Antiqua*, wyd. Lemmens, cz. I. str. 80—7; por. Hilarin de Lucerne, *Histoire des Etudes*, str. 87—91.

w Bolonji stanowi własność Stolicy świętej i że nie należy do braci. Na tej podstawie skłonił Franciszka do pozwolenia, aby bracia powrócili tam i zamieszkali[1]).

Niema wątpliwości, że brat Eljasz był stronnikiem opozycji, wywołanej potwierdzeniem przez Franciszka reguły pierwotnej i literalnem jej zastosowaniem. Lecz gdy inni wypowiadali swoje skargi otwarcie i bez wielkiego szacunku, on uciekał się do subtelniejszej dyplomacji. W rzeczywistości lękał się obrazić Franciszka. Coś go onieśmielało w dobrowolnie obranym kierowniku; może jego świętość, może nieustraszoność, a może jedno i drugie razem. Polityka Eljasza, oparta poczęści przynajmniej na szacunku dla Franciszka, polegała na tem, aby pozyskać jego zaufanie i stać się jego przyjacielem. Rozumem stał całkowicie po stronie ministrów dysydenckich, jednak w sercu jego tkwiło jeszcze jakieś pełne szacunku przywiązanie dla człowieka, którego był wikarjuszem. Ponadto niewiadomo, czy Eljasz pochwalał całkowitą niezależność ministrów. Tolerowanie podziału władzy nie leżało w jego charakterze. Instynktowo był on autokratą i jakkolwiek popierał poniekąd żądania ministrów, miał zamiar rządzić kiedyś samowładnie, o czem się później z własnego doświadczenia przekonali[2]). To też polityka Eljasza zmierzała do uspokojenia najgwałtowniejszych protestów dysydentów, do przeprowadzania pod osłoną powagi kardynała-protektora zmian, które uważał za dobre, przy pewnym szacunku dla osobistej woli Franciszka. Ta tragedja, która wystawiała na próbę samo życie zakonu, była mniej widoczna dla współcześnie żyjących braci, niż dla nas, którzy na nią patrzymy retrospektywnie. Naogół nie uświadamiali sobie, że zadano cios pierwotnym zasadom zakonu. Rozumieli, że coś się zmieniło w tym lub owym szczególe administracji, i że w niektórych rzeczach pierwotna prostota ustępowała przed czemś, co uważali za wy-

---

[1]) Kardynał przebywał w Bolonji na początku sierpnia 1221 r. podczas pogrzebu św. Dominika (*Acta SS.* sierpień I, str. 376). Prawdopodobnie około tego czasu nastąpiło ogłoszenie wobec mieszkańców Bolonji tego publicznego oświadczenia.

[2]) Por. Eccleston (wyd. Little) str. 79—98; Salimbene. loc. cit. str. 105 mówi: *„Frequenter mutabat ministros ne nimis radicati fortius insurgerent contra ipsum"*.

magania chwili. Lecz nie zmąciło to zbytnio powierzchni ich życia. Taka zdrada wobec zasad, popełniana przez poszczególne jednostki, nie wzruszała ogółu braci. Było to zawsze radosne towarzystwo trubadurów bożych; entuzjazm pierwotny przygasł wprawdzie nieco, ale pozostało go tyle, że nadawał zgromadzeniu szczególny charakter. Cechowała ich zawsze bujna radość dusz wyzwolonych, cieszyli się swem ubóstwem i pałali żądzą przygód ku chwale Chrystusa. Być może, że dla większości Franciszek stawał się raczej świętym niż przewodnikiem, ale to napawało ich tem większą dumą i radością, że obrali sobie takie, a nie inne powołanie. Później jeden z nich, wspominając ze smutkiem te czasy, pisał w swojej kronice: „Któż zdoła wypowiedzieć miłość, cierpliwość, pokorę, posłuszeństwo, radość braterską, jakie panowały w tej epoce wśród braci?"[1]).

Ta kapituła jeneralna była pamiętna dla wielu braci, nie z racji sporów, dotyczących reguły, ale dla wypadku, który wydarzył się pod koniec obrad. Kapituła trwała siedem dni i miano się właśnie rozjechać, gdy Franciszek przypomniał sobie, że nie poczyniono żadnych zarządzeń celem wysłania braci do Niemiec. Zwołano więc śpiesznie braci; Franciszek, wyczerpany pracą ubiegłego tygodnia tak, że ledwo mógł mówić, nie zabrał głosu; siadł na ziemi i kazał bratu Eljaszowi, by zwrócił się do braci i powołał ochotników na nową misję. Eljasz przedstawił projekt Franciszka w sposób następujący: „Bracia! Brat nasz mówi, że jest pewien kraj, Niemcy, gdzie mieszkają pobożni chrześcijanie, którzy, jak wiecie, przechodzą tędy z długiemi kijami w ręku, obuci w grube buty, po drodze do grobu Apostołów, oblani potem w upalne dni, śpiewają oni ku chwale Boga i Świętych. Ponieważ braci do nich wysłanych spotkało złe przyjęcie, brat nasz nie chce zmuszać nikogo do udania się tam ponownie. Jeżeli jednak ktoś, ożywiony żarliwością ku pracy dla Boga i dla dusz, zechce tam pójść, udzieli on mu podobnej obedjencji, co więcej, rozleglejszej obedjencji, niż tym, co się udają do niewiernych, za morze. Ci, co się zgadzają, niechaj powstaną i odejdą na stronę". Niezwłocznie powstało dziewięćdziesięciu braci, „ofiarujących się na śmierć", tak wielką była

---

[1]) Por. *Chron. Iordani,* w *Anal. Franc.* I. Nr. 16, str. 6.

obawa, którą wzbudzili w sercach braci Niemcy, na skutek złego obejścia się z pierwszą misją.

Był wszakże jeden brat, rodem z Umbrji, którego wysłano na misję niemal wbrew jego woli, co zresztą obróciło się na dobre, jak dowiodły następne wypadki. Słyszał on o męczeństwie braci w Marokku i czuł się bardzo nieszczęśliwy, iż żadnego z nich nie znał osobiście. Teraz, gdy dziewięćdziesięciu braci odeszło na stronę, przypatrywał im się z szacunkiem i z uczuciem zadowolenia, że oto ma przed sobą przyszłych męczenników; nie miał bowiem żadnej wątpliwości co do czekającego ich losu. Od dziecka uczono go modlić się do Boga o to, by zachował jego wiarę przed herezją Lombardów, a ciało przed okrucieństwem Niemców. Nie wystarczało mu wszakże przypatrywanie się męczennikom z odległości: chciał każdego z nich poznać osobiście, aby następnie móc się powoływać na znajomość z nimi. To też wstał, podszedł do nich i zaczął pytać każdego o imię i miejsce urodzenia.

Pomiędzy nimi znajdował się niejaki Fra Palmerio, rodem z Apulji. Zapytany o nazwisko, odrzekł: „Nazywam się Palmerio“, — a potem, chwytając za rękę pytającego, dodał: „Skoro już tu jesteś, należysz do nas i musisz iść z nami“. „Nic podobnego — odparł tamten — nie należę do was i nie mam żadnej ochoty iść z wami“. Ale brat Palmerio trzymał go mocno, gdy braci wyznaczano do różnych prowincyj. Napróżno pojmany brat protestował; wreszcie zgodził się zdać na decyzję brata Eljasza. Gdy jednak Eljasz zapytał go, czy chce pójść do Niemiec, czy też nie, ów zawahał się: uczono go bowiem, że ma iść tam, dokąd go poślą i nie szemrać, a teraz obawiał się, że może złamać regułę. To też odrzekł niepewnie: „Nie pragnę ani pójść, ani też nie pójść“. I Eljasz kazał mu iść. W ten sposób brat Giordano da Giano został posłany do Niemiec[1]). Żył on wiele lat wśród Niemców i wreszcie umarł między nimi w podeszłym wieku; w ostatnich latach życia dyktował kronikę, w której opowiedział historję swego przybycia do Niemiec i przedziwnej czci, z jaką tam tę nową misję przyjęto. W tejże kronice Giordano mówi, że gdy znał Franciszka żywego, nie uważał go za doskonale

[1]) *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.* Nr. 17—18, str. 6—7.

świętego, wolnego całkiem od słabości ludzkich i że dopiero po jego kanonizacji nabrał dlań czci bezwzględnej[1]). To szczere i proste wyznanie wyjaśnia wiele rzeczy tym pokoleniom, którym nie dano było znać Franciszka za życia.

Nowa misja do Niemiec osiągnęła wielkie korzyści. Należy to przypisać przedewszystkiem wytrawnemu kierownictwu Cezara ze Spiry i sławie, jaką już w owym czasie pozyskał wśród swoich rodaków. Wziął on ze sobą tylko dwudziestu pięciu z dziewięćdziesięciu ochotnych braci, w tem dwunastu księży i trzynastu braci świeckich. W tej liczbie było kilku Niemców; pomiędzy księżmi znajdowali się ludzie, którzy następnie mieli zasłynąć w różnych dziedzinach. Był tam Giovanni di Carpine, przyszły badacz krajów tatarskich; Tomasz Celano, autor życiorysu Franciszka; brat Barnaba, znakomity mówca, i wreszcie Giordano, o którym powiedzieliśmy wyżej. Ci misjonarze wyruszyli w drogę ożywieni duchem rycerskim, którym odznaczał się Franciszek i wszyscy prawdziwi franciszkanie; nie dbali oni wcale o wygodę osobistą, przystosowywali się bez szemrania, z gotowością do wszelkich okoliczności, byli odważni, śmiali, radośni, jak opowiada ślicznie kronika Giordana. Jak się zdaje, Cezar ze Spiry łączył prostotę ducha franciszkańskiego z wykształconym umysłem i rozległą znajomością świata, co zresztą spotkać można było często wśród wielu braci w Europie północnej. Zależy to być może od głębszej lojalności i większej powściągliwości temperamentu rasy teutońskiej.

[1]) Ibid. Nr. 5, 9, str. 18.

ROZDZIAŁ VI.

Trzeci zakon.

Fakty z historji Franciszka, do których obecnie przechodzimy, oddalają nas na czas jakiś od ministrów i spowodowanego przez nich zamętu. Rozdział niniejszy przypomni nam, że dzieje Franciszka nie sprowadzają się wyłącznie do historji braci mniejszych. Jak mówił sam ich założyciel, byli oni „rycerzami Okrągłego Stołu", oderwanymi od zwykłych zajęć życia świeckiego w celu szukania Chrystusa Pana. Byli to błędni rycerze, którzy ślubowali nie mieć na ziemi stałego domu.

Do tego nowego związku rycerskiego wstąpiła również pani Klara ze swemi siostrami. W samotni swej strzegły one zwierciadła, w którem odbijał się wiernie uwielbiony ideał ubóstwa, i utrzymywały płomień świętego ognia, jak przystało na prawdziwe dziewice rycerskie.

Ale na drogach świata było wiele ludzi, którzy stanowili wiernych lenników nowego porządku rzeczy. Nie porzucali oni swych domów ani pospolitych obowiązków życia rodzinnego; nie opuszczali zajmowanych w społeczeństwie stanowisk, właściwych ich stanowi. Niektórzy wprawdzie zamykali się w pewnem moralnem odosobnieniu od otaczającego życia, w którem z konieczności musieli odgrywać pewną rolę; niektórzy nawet porzucali świat i żyli w miejscach samotnych[1]), porwani nauką Franciszka, lecz nie wstępowali formalnie do zakonu. Szeregi tych naśladowców Franciszka i Klary[2]) wzrosły liczebnie, bez stałej reguły, niezwiązane ślubem posłuszeństwa.

---

[1]) Pustelnica Praxedis (patrz Celano, *Tract. de Mirac.* 181).

[2]) Autor Legendy o św. Klarze mówi o wielu kobietach, które usiłowały naśladować w domu jej przykład. Por. *Leg. S. Clarae* 10 b: Mrs. Balfour *Life and Legend,* str. 50; F. Pascal Robinson, *Life of St. Clare,* str. 19.

W liczbie tych, na których wpłynęły kazania braci albo przykład ich życia, kwitnącego tak bujnie w Porcjunkuli, w San Damiano i w innych miejscach, znajdowali się ludzie bliscy duchowo zgromadzeniu i pragnący podlegać jego prawom w sposób ściślejszy. Gardząc wygodnem życiem i wszelkim nadmiarem w pożywieniu i odzieży, pragnęli żyć w czystości ciała i ducha, i oddać się szczególnie opiece nad ubogimi i nieszczęśliwymi.

W ten sposób wytworzył się zastęp wiernych naśladowców Franciszka i Klary, nie należący ściśle mówiąc do zakonu, lecz związany z nim węzłami duchownego pokrewieństwa[1]). W liczbie najpierwszych z tych nieformalnych uczniów znajdował się pan Orlando z Chiusi, który oddał do użytku braci Monte Alvernia, i pani Giacoma di Settesoli z Rzymu. O Orlandzie mówiliśmy już wyżej. Był on najbardziej oddanym przyjacielem zgromadzenia. Uważał sobie za zaszczyt, gdy mógł być sługą zakonu, gdy tylko nadarzyła mu się sposobność oddania jakiejś przysługi Franciszkowi lub braciom.

Pani Giacoma[2]) była wdową po Gracjanie Frangipani, szlachetnym patrycjuszu rzymskim, którego ród wywodził się

---

[1]) Nie mogę przyjąć bez zastrzeżeń wniosków p. Sabatier i O. Mandonnet O. P., że w pierwszych dniach istnienia zakonu ci nieformalni uczniowie, którzy następnie stali się zawiązkiem trzeciego zakonu byli uważani za członków zgromadzenia narówni z braćmi i z siostrami z San Damiano. Zdaje mi się, że O. Mandonnet chce dowieść zbyt wiele (patrz *Les origines de L'Ordo de Poenitentia*), i że ten wniosek nie zgadza się z faktem otrzymania przez Franciszka od Inocentego III reguły formalnej w r. 1209 lub 1210, według której miał żyć on i jego bracia. Prawdą niewątpliwą jest, że osoby, które przyjmowały tę regułę, miały początkowo najprostszą organizację; z biegiem czasu stawała się ona ściślejszą. Niema dowodu na to, by ludzie żyjący wedle tej reguły, mieli się podzielić, przyczem jedna grupa miała utworzyć pierwszy zakon, a inna grupa — trzeci. Tego właśnie powinien dowieść O. Mandonnet dla podtrzymania swej tezy.

[2]) Co do pani Giacomy, patrz O. Edward d'Alençon, *Frère Jacqueline;* Sabatier, *Spec. Perfect. Etude spéciale du Chapitre,* 112, str. 273—7. Jest ona pochowana w dolnym kościele bazyliki św. Franciszka w Asyżu przy wielkim ołtarzu. Fresk przedstawia ją w habicie tercjarskim, poniżej widnieje napis: *„Hic jacet Jacoba sancta, nobilisque romana“.*

z epoki mitycznej. Podczas bytności Franciszka w Rzymie w roku 1212[1]) zasięgała jego rady; od tej pory uważała go za swego przewodnika duchowego. Po śmierci małżonka została opiekunką swoich synów i zarządzała majątkiem rodzinnym. Była ona wówczas jeszcze bardzo młoda, posiadała znaczną fortunę, życie stało przed nią otworem. W pierwszych dniach swego wdowieństwa uległa wpływowi Franciszka i postanowiła poświęcić się wychowaniu synów, opiece nad ubogimi i służbie bożej. Chciałoby się wiedzieć o pani Giacomie coś więcej ponad to, co zapisali kronikarze, była ona bowiem poza Klarą jedyną kobietą, w której obecności Franciszek wyzbywał się nieco ścisłej rezerwy, z jaką strzegł swej rycerskiej czystości[2]). Była ona jedną z nielicznych kobiet, którym kiedykolwiek dał dowody przyjaźni. Tym dowodem było jagniątko, które zapewne ocalił od zarznięcia[3]). Giacoma była kobietą o silnym charakterze, prawdziwą córą rasy śmiałej i nieustraszonej[4]). Franciszek nazywał ją bardzo charakterystycznie „Bratem" Giacomą.

Otóż ani pan Orlando ani pani Giacoma nie mogli wyzbyć się swych feudalnych posiadłości, które stanowiły własność rodzinną, a nie osobistą; jednakże duch ubóstwa zawładnął ich sercem, co ujawniało się nietylko we wzmożonem miłosierdziu względem ubogich, lecz i w zmianie stosunku do własności, którą zarządzali, a która była im powierzona przez Boga dla ogólnego dobra; starali się oni wykonywać sprawiedliwie swoje

---

[1]) Wadding, *Annales ad an. 1212.* Tę datę przyjmują ogólnie biografowie Franciszka.

[2]) Ogólnie przypuszczają, że Franciszek miał na myśli Klarę i panią Giacomę, gdy mówił do jednego z braci, iż zna oblicza dwóch tylko kobiet. Por. II Celano, 112. Mówiłem umyślnie o rycerskiej czystości Franciszka, nie wątpię bowiem, że w tem, podobnie jak we wszystkiem, oddziaływał na niego wpływ romantycznej rycerskości.

[3]) *Leg. Maj.* VII, 7; por. ibid., 6. Prawie wszyscy pierwsi biografowie wspominają o przyjaźni św. Franciszka dla pani Jakóbiny. Patrz Celano: *Tract. de Mirac.*, 37—9; *Leg. Maj.*; *Spec. Perfect.*, rozdz. 112; Bernard de Besse, *Lib. de laudibus,* rozdz. 8.

[4]) W żyłach jej płynęła krew Normandów; pochodziła ona z jednego z tych rodów normandzkich, które osiedliły się w Italji przebojem. Por. O. Edward d'Alençon, op. cit., str. 11.

prawa w stosunku do bliźnich, utrzymywać pokój z sąsiadami i wystrzegać się skąpstwa[1]). Na tem istotnie polegała nauka Franciszka o własności[2]). Uczył on tych, co poddawali się jego kierownictwu, że majątek, stanowiący ich wyłączną własność osobistą, winni rozdać ubogim lub ofiarować Kościołowi, zachowując dla siebie tylko tyle, ile niezbędnie było potrzeba na skromne utrzymanie. Nie chciał, aby gromadzili bogactwa[3]), które odrywają od rzeczy duchowych i powodują częstokroć spory i nienawiść pomiędzy sąsiadami. Jesteśmy ponadto przekonani, że ci naśladownicy Franciszka nie uczestniczyli w rywalizacji rodów i w zatargach wewnętrznych, przeciwko którym Święty tak wymownie występował.

Chcąc poznać szczegółowo regułę, normującą ich życie, należy przeczytać „List do wszystkich chrześcijan", napisany przez Franciszka w pierwszych latach jego apostolstwa[4]). Wprawdzie list ten nie miał na celu ustalenia przepisów dla zakonu, ani też nie stanowił reguły życia dla żadnego specjalnego zgromadzenia. Było to ze strony Franciszka poprostu wezwanie do świata chrześcijańskiego, w którem nawoływał duchownych i świec-

---

[1]) W r. 1217 pani Giacoma we własnem i synów swoich małoletnich imieniu sporządziła akt, którego mocą zrzekła się pretensji do majątku, będącego przez jakiś czas przedmiotem procesu sądowego (por. Edward d'Alençon, *Frère Jacqueline*, str. 14—16). O. Edward przypuszcza, że ten akt pokoju sporządzony został pod wpływem Franciszka. Wiemy, że ostatnia reguła tercjarzy nakazywała im unikać rozpraw sądowych. (Por. *Regula Capestrano*, rozdz. X i rozdz. XIII; i Reguła Mikołaja IV, rozdz. XVII).

[2]) Por. *Epist. I*, w *Opuscula*, str. 87.

[3]) Por. Bernard de Besse (op. cit., str. 76): „*Parochiali cuidam sacerdoti dicenti sibi quod vellet suus retenta tamen ecclesia, frater esse, dato vividi vivendi et induendi modo, dicitur indixisse, ut annuatim collectis ecclesiae fructibus, daret pro Deo, quod de praeteritis superesset*". Wszyscy pierwsi tercjarze zwykli byli zatem rozdawać to, co im zbywało. Możemy stąd wywnioskować, że był to zwyczaj tradycyjny, wypływający z nauki Franciszka.

[4]) *Epist. I*, w *Opuscula S. P. F.* (Quaracchi), str. 87; F. Paschal Robinson, O. F. M,. *Writings of St. Francis*, str. 98—108. Boehmer (*Analekten*, str. 49) ogłasza ten list pod wymownym tytułem *Opusculum Commonitorium*. Według Waddinga (*Annales ad an. 1213*) był on napisany w r. 1213; Fr. Paschal Robinson, (l. c.) obstaje przy dacie 1215.

kich, mężczyzn i kobiety, zakonników i ludzi, żyjących w świecie, do życia doskonalszego. Obraz tego życia przedstawiał w tymże liście. Jeśli to pismo stało się w następstwie niejako statutem doskonałości duchowej dla jednostek bliższych zakonowi, to stało się to poprostu dlatego, że uważali je za wyraz przekonań Franciszka i przyjęli zasady w niem zawarte za regułę życia[1]).

List zaczyna się od stwierdzenia, że Franciszek z powodu choroby i słabości ciała nie może odwiedzić każdego; ponieważ zaś jest sługą wszystkich i ma obowiązek służenia wszystkim i udzielania im wonnych słów swego Pana, przeto pragnie napisać do nich list.

„Słowo Ojca, tak wielkie, tak święte i tak pełne chwały, którego przyjście z nieba Ojciec Najwyższy zwiastował przez Archanioła Gabrjela świętej i chwalebnej Pannie Marji, przyoblekło się w jej łonie w ciało naszego człowieczeństwa i naszej ułomności. I On, bogatszy nad wszystkich, zechciał jednak obrać ubóstwo dla Siebie i dla swej Błogosławionej Matki". Poddawszy w ten sposób zasadniczy ton swego pisma, Franciszek nawołuje do przyjmowania sakramentu świętej Eucharystji. „Odkąd Słowo Boże ofiarowało się za nas na Krzyżu, wolą Ojca jest, abyśmy wszyscy byli przez Nie zbawieni, abyśmy przyjmowali Je z czystem sercem i nieskalanem ciałem". I mówi dalej: „Ale nieliczni są ci, co pragną Go przyjąć i być przez Niego zbawieni, choć jarzmo Jego jest słodkie, a ciężar — lekki. Ci, co nie pragną zakosztować, jak słodki jest Pan, i przekładają ciemność ponad światło, ci, co nie chcą wypełniać przykazań Boga, — są przeklęci. O nich mówi prorok: Przeklęci,

---

[1]) Z drugiej strony jednak być może, iż Franciszek był zmuszony do spisania swojej nauki, gdyż ludzie żądali reguły doskonalszego życia chrześcijańskiego. Według *Actus*, rozdz. 16, Franciszek „po raz pierwszy pomyślał o założeniu Trzeciego Zakonu" podczas misji, którą odbył po otrzymaniu wiadomości od Klary i Sylwestra (vide księga II, rozdz. V) i być może miał coś podobnego na myśli, pisząc swój list, jakkolwiek zwrot „o założeniu Trzeciego Zakonu" przedstawia raczej rezultat akcji wolnych naśladowników zakonu, niż określony zamiar Franciszka. Franciszek nie myślał wówczas o trzech zakonach, lecz o rozpowszechnieniu Królestwa Bożego, którego bracia byli apostołami.

którzy nie pełnią Twych przykazań. Lecz jakże szczęśliwi i błogosławieni są ci, którzy miłują Pana i postępują według słów Jego: Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego, z całej duszy twojej, a bliźniego twego jak siebie samego. Miłujmy więc Boga, wielbijmy Go czystem sercem i czystym umysłem, On bowiem sam, stawiając to ponad wszystko, mówi: Prawdziwi słudzy wielbią Ojca w duchu i prawdzie. Gdyż wszyscy, którzy Go wielbią, muszą Go wielbić w duchu prawdy. Chwalmy Go więc dniem i nocą, mówiąc: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech". Winniśmy bowiem modlić się zawsze, a nie słabnąć".

Miłość Jezusa Chrystusa, który zstąpił na świat w ubóstwie, jest zasadniczym tonem pisma Franciszka, lecz charakterystycznem jego dopełnieniem jest naleganie, z jakiem nawołuje do oddawania czci Bogu w duchu i prawdzie. Franciszek mówi dalej, ustalając do pewnego stopnia pozytywne prawa życia chrześcijańskiego. „Winniśmy zaprawdę wyznać wszystkie nasze grzechy przed kapłanem i otrzymać z rąk jego Ciało i Krew Pana naszego Jezusa Chrystusa... Poza tem wydawajmy owoce pokuty, miłujmy bliźniego jak siebie samego. Ale jeśli ktoś nie chce lub nie może[1]) miłować bliźniego, jak siebie samego, niech przynajmniej nie czyni mu krzywdy, a jeśli możliwe, niechaj czyni mu dobrze. Niech ci, co otrzymali władzę sądzenia innych, wykonywają to prawo z miłosierdziem, tak jak pragną od Pana miłosierdzia dostąpić; niech nad tymi, co miłosierdzia nie mają, uczyniony będzie sąd bez miłosierdzia. Starajmy się o miłość i pokorę, dawajmy jałmużnę, gdyż ona obmywa duszę ze skazy grzechu; ludzie bowiem tracą wszystko, co zostawiają na tym świecie, lecz zabierają z sobą nagrodę miłości i jałmużnę, której za życia udzielili i za którą otrzymają od Pana nagrodę odpowiednią swej szczodrobliwości. Winniśmy także zachowywać posty i wystrzegać się występków i grzechów, a także zbytku w jedzeniu i piciu, i być katolikami. Powinniśmy także nawiedzać często kościoły i szanować duchownych, nietyle ze względu na nich samych, o ile są grzesznikami, lecz że są szafarzami Najświętszego Ciała i Krwi Pana naszego Jezusa Chrystusa, które ofiarują na ołtarzu, które

[1]) Kodeks asyski opuszcza słowa „lub nie może".

przyjmują i rozdają innym. Bądźmy przekonani, że możemy być zbawieni jedynie przez Krew Pana naszego Jezusa Chrystusa i przez święte słowa Pańskie, które duchowni podają, powtarzają i stosują, i które oni jedni stosować mogą. W szczególności zakonnicy, którzy wyrzekli się świata, są obowiązani do spełniania najszczytniejszych i najliczniejszych dobrych uczynków, nie zaniedbując przez to innych.

„Winniśmy mieć w nienawiści ciało nasze, z jego występkami i grzechami, gdyż Pan mówi w Piśmie św.: Wszystkie występki i grzechy pochodzą z serca. Winniśmy miłować nieprzyjaciół naszych i dobrze czynić tym, którzy nas mają w nienawiści. Powinniśmy zachowywać prawa i rady Pana naszego Jezusa Chrystusa. Powinniśmy także umartwiać się, zapanować nad ciałem naszem i nagiąć je pod jarzmo posłuszeństwa, jakie każdy z nas przyrzekł Panu. A nikt nie jest obowiązany do posłuszeństwa rozkazom, nakazującym popełnienie grzechu lub błędu.

„Ale ten, komu powierzona jest władza, ten, który ma być najwyższym, niechaj uważa się za najmniejszego i za sługę innych braci. Niech każdemu z nich okazuje miłosierdzie, jakiego pragnąłby na jego miejscu sam dostąpić. Niech nie gniewa się na brata za winę popełnioną, lecz niech z całą cierpliwością i pokorą pouczy go łagodnie i doda mu otuchy.

„Nie bądźmy mądrzy i rozważni według ciała, ale raczej prości, pokorni i czyści. Miejmy w pogardzie nasze ciało, gdyż z własnej winy jesteśmy wszyscy źli i zepsuci, podobni szaleńcom i robakom ziemnym, jak rzecze Pan przez usta proroka: „Jam jest robak, a nie człowiek, pośmiewisko ludzkie i wzgarda pospólstwa".

„Nie powinniśmy nigdy pragnąć wynieść się ponad innych, przeciwnie winniśmy być sługami i poddanymi każdej istoty ludzkiej dla miłości Boga. Na tych wszystkich, co czynić będą te rzeczy i wytrwają do końca, spocznie Duch Boży i obierze sobie w nich mieszkanie; staną się oni dziećmi Ojca Niebieskiego, którego dzieła czynią, są oblubienicami, braćmi i matkami Pana naszego Jezusa Chrystusa. Jesteśmy Jego oblubienicami, gdy przez Ducha Świętego wierna dusza jest poślubiona Jezusowi Chrystusowi; jesteśmy Jego braćmi, gdy pełnimy wolę Ojca

Jego, który jest w niebie; jesteśmy Jego matkami, gdy nosimy Go w naszem sercu i w ciele naszem przez miłość, przez czystość i szczerość sumienia, i wydajemy Go na świat przez święte czyny, które winny jaśnieć przykładem dla innych. O jakże chwalebną i świętą, i wielką rzeczą jest mieć Ojca w niebie! O jakże chwalebną, piękną i miłą rzeczą jest mieć oblubienicę w niebie! O jakże świętą, jak miłą, jak cudowną, uspokajającą, pokorną i słodką, i nadewszystko upragnioną rzeczą jest mieć takiego Brata, który oddał życie za owieczki swoje i modlił się za nas do Ojca, mówiąc: „Ojcze Święty, zachowaj w imię Twoje tych, których mi dałeś!"[1])

Po takiem przedstawieniu zasady życia chrześcijańskiego Franciszek nawołuje w dalszym ciągu namiętnie do chwalenia Boga i do myślenia o sądzie, kładąc specjalny nacisk na występek skąpstwa. Podobne nawoływania musiały się często powtarzać w jego kazaniach. Wreszcie prosi, by wszyscy przyjęli to pismo, a umiejący czytać aby odczytali je nieumiejącym. „A wszystkich zarówno mężczyzn jak kobiety, którzy przyjmą te słowa życzliwie, zrozumieją je i prześlą innym jako przykład, o ile wytrwają w nich do końca, niech błogosławi Ojciec i Syn i Duch Święty. Amen"[2]).

List ten zawiera streszczenie nauk, których Franciszek udzielał swoim uczniom. Była to ogólna formuła życia franciszkańskiego, przeznaczona zarówno dla tych, co żyli w ściślejszej klauzurze ślubów zakonnych, jak i dla tych, którzy prowadzili swobodniejsze życie świeckie. W praktyce ci, co żyli w świecie, zbliżali się mniej lub więcej do tej reguły. Zależało to od stopnia żarliwości i od warunków, związanych z ich stanowiskiem. Ale list ten był dla nich faktycznie regułą życia, do której usiłowali przystosować swoje postępowanie. W ten sposób powstało dokoła zakonu coś w rodzaju zewnętrznego koła pokutników franciszkańskich, którzy, jakkolwiek niezwiązani ślubami za-

[1]) Tu następuje długa cytata z modlitwy Chrystusowej (Jan XVII, 6—24). Czytelnik zauważył, że list ten jest pełen zdań z Ewangelji, zręcznie wplecionych do tekstu.

[2]) To zakończenie jest charakterystyczne. Vide *Regula*, I; *Testamentum S. Franc.*; a także *Epistolae II et IV*; I *Opuscula*, str. 62, 82, 107, 112.

konnemi, byli z nim zjednoczeni duchem i sercem w dążeniu do stosowania w życiu zasad Ewangelji, do czego nawoływał Franciszek. Wskutek przywiązania do nauki Franciszka stali się w znacznym stopniu myślą i czynem obcy otaczającemu ich światu. Ubóstwo braci było symbolem ich pragnień, tak jak rynek i twierdza feudalna stanowiły symbol ambicyj ich krewnych i bliskich. Z początku w ciągu lat kilku nie tworzyli odrębnej od braci organizacji; w szerszem znaczeniu słowa uważano ich za członków zakonu, podobnie jak Klarę i jej siostry.

Prawdopodobnie w czasie pobytu Franciszka na Wschodzie kardynał Hugolino powziął ostatecznie zamiar nadania tym „świeckim" pokutnikom reguły i organizacji odrębnej od organizacji zakonu. Być może, że w okresie zamętu wywołanego przez próbę wikarjuszów, zmierzających do wprowadzenia bardziej klasztornego trybu życia, niektórzy z tych penitentów poczęli się skupiać w jakąś ligę obronną, w tym celu, aby ich uznano za naśladowców Franciszka, i aby bracia nimi kierowali, jak się to niejednokrotnie zdarzało w pierwszych latach po śmierci Świętego[1]). Może być także, że niektórzy z braci własną władzą zaczęli już tworzyć organizacje pokutnicze, jak to uczynił Jan de Compello z trędowatymi[2]). Jeśli podobne próby miały miejsce, to dostarczyły kardynałowi nowych argumentów za niezwłocznem urzeczywistnieniem jego projektów[3]). Prawdo-

[1]) Stronnictwo „konwentualne" w zakonie sprzeciwiało się zawsze wszelkiej formalnej zależności trzeciego zakonu od pierwszego, gdy tymczasem „spirytualiści" sprzyjali ściślejszej łączności. Por. Mandonnet: *Les Règles* w *Opuscules Crit. Hist.* fasc. IV, str. 181 i nast.

[2]) Zakaz zawarty w regule z r. 1221, rozdz. 12: „*Et nulla penitus mulier ab aliquo fratre recipiatur ad obedientiam; sed dato sibi consilio spirituali, sibi voluerit agat paenitentiam*" odnosi się może do takich nadużyć. Prawdopodobniejsze jest jednak, że odnosił się on do średniowiecznego zwyczaju żądania przysięgi posłuszeństwa od uczniów lub penitentów.

[3]) Tak przypuszcza Lempp (patrz *Frère Elie*, str. 42). Ale zgromadzenie trędowatych Jana Compello stanowiło zgoła odrębną i fanatyczną próbę utworzenia zakonu, a nie zmierzało do rozwinięcia franciszkańskiego ruchu pokutnego. Myśl tę nasunęło mu może jakieś pierwotne zgromadzenie czy kongregacja pokutnicza.

podobnie jednak dopiero w czasie podróży do Lombardji w charakterze legata Hugolino powziął myśl utworzenia rozległego zakonu „pokutników świeckich". W owej epoce od kilku już lat prowincja ta udzielała schronienia podobnemu zakonowi, którego reguła, zatwierdzona przez papieża Inocentego III w r. 1201, była dla kardynała podstawą do ustanowienia nowego zakonu, który pragnął założyć.

Ci „Humiliati", jak nazywali się owi pokutnicy lombardzcy, stanowili jeden z najciekawszych przejawów przedfranciszkańskiego ruchu pokutniczego[1]). Znajdujemy ich w Lombardji pod koniec dwunastego stulecia, niepodobna jednak stwierdzić z pewnością, w jaki sposób zgromadzenie to powstało.

Tradycja odnosi ich powstanie do kilku szlachciców medjolańskich, którzy schronili się do Niemiec sto lat przedtem. Ci szlachcice, wziąwszy do serca naukę, jaką im dały przeciwności losu, przestali na wygnaniu zajmować się polityką i zaczęli myśleć o zbawieniu duszy. Ponieważ utrata majątku zmusiła ich do pracy zarobkowej, zajęli się tkactwem i mieszkali wspólnie. Dzielili pomiędzy siebie zysk ze swego rzemiosła i dawali hojne ofiary ubogim. W pewnych chwilach zbierali się na ćwiczenia pobożne. Jeden z nich, wybrany na ministra, wykonywał władzę. Stworzyli oni faktycznie komunizm religijny. Nie byli jednak w ścisłem znaczeniu tego słowa zakonnikami; wolno im było żenić się i mieszkać we własnych domach. Gdy wreszcie pozyskali możność powrotu do Medjolanu, przenieśli ten sposób życia do swej ojczyzny.

Jakkolwiek będziemy się na tę tradycję zapatrywali, pewnem jest, że z początkiem pontyfikatu Inocentego II humiljaci utrwalili się silnie na całem terytorjum medjolańskiem i cały handel wełną spoczywał przeważnie w ich rękach. Posiadali miejsca zebrań, gdzie traktowali sprawy handlowe, a także oddawali się ćwiczeniom religijnym[2]). Nie wszyscy wprawdzie

---

[1]) Co do humiljatów por. Tiraboschi, *Vetera Humiliatorum Monumenta;* Bolland, *Acta SS. Sept.* tom VII, str. 320 i nast. Jacques de Vitry mówi o nich w swoim znanym liście z r. 1216, i w swojej *Historia Occidentalis* (Douai, str. 334—7).

[2]) Te miejsca zebrań nazywały się *convenia* albo *parlatoria;* stąd humiljaci byli znani także pod nazwą *Fratres de convenio.*

prowadzili handel wełną, ale wszyscy wykonywali jakieś rzemiosło. Odziewali się w prostą suknię z szarej wełny.

Pod koniec XII w. z łona humiljatów wyszły dwa stowarzyszenia o charakterze zakonnym. Jednem z nich było zrzeszenie kobiet i mężczyzn, którzy do zwykłych praktyk religijnych dodawali trzy śluby zakonne; drugie — było to zrzeszenie księży, żyjących wspólnie[1]). Reguła, zatwierdzona przez papieża Inocentego III w r. 1201, odnosi się do pierwotnego zakonu świeckiego[2]); tę właśnie miał następnie wziąć kardynał Hugolino za podstawę reguły, którą postanowił nadać nowym zakonom świeckim.

Reguła 1201 r. stawiała swoim adeptom za główny cel naśladowanie Jezusa Chrystusa, jego pokory i słodyczy. Humiljaci mieli zatem być cierpliwi w przeciwnościach, kochać Boga i bliźniego, a nawet nieprzyjaciół, i czynić innym to, co chcieli, aby im czyniono. Byli obowiązani do wynagrodzenia krzywd, które mogli wyrządzić, i do uległości wyższej władzy kościelnej. Reguła ta jest interesująca głównie ze względu na przepisy specjalne, mające na celu zapobieżenie szczególnemu złu, właściwemu danej epoce.

Małżonkowie winni byli wiernie dochowywać przysięgi małżeńskiej, nie wolno im było się rozchodzić „z wyjątkiem wypadku nierządu". Żadnemu z członków nie wolno było pobierać dziesięcin, „gdyż nie jest bynajmniej prawnem, by ludzie świeccy pobierali dziesięcinę". Zresztą dziesięciny i pierwsze zbiory winny były być oddawane Kościołowi. Następnie z tego, co im zostało po złożeniu dziesięcin, winni byli oddać w jałmużnie ubogim; podobnie wszystko, co im zbywało po zabezpieczeniu własnego skromnego utrzymania, obowiązani byli rozdać ubo-

[1]) Organizatorem zgromadzenia księży humiljatów był św. Jan z Midy (vide *Acta SS.* loc. cit.) Należy zaznaczyć, że następnie to zgromadzenie księży poczęto nazywać „Pierwszym Zakonem Humiljatów", jakkolwiek co do czasu była to organizacja późniejsza od dwóch pierwszych. Podobnie zgromadzenia zakonne mężczyzn i kobiet były potem znane jako Drugi Zakon, poczem pierwotna instytucja otrzymała nazwę Trzeciego Zakonu Humiljatów.

[2]) Vide *Epist. Innoc. III, „Incumbit vobis"* z 7 lipca 1201 r. w Tiraboschi, tom II, str. 128—34; Potthast, 1416.

gim. Odziewać się mieli ani zbyt wytwornie ani zbyt niechlujnie, „gdyż ani niechlujstwo ani zbytnia wytworność nie przystoją chrześcijaninowi". Mieli nakazane posty w pewnych czasach i musieli przestrzegać kanonicznych godzin modlitwy, odmawiając na każdą godzinę siedem „Ojcze nasz" dla uczczenia siedmiu darów Ducha Świętego. Musieli pielęgnować chorych braci i siostry, a także być obecnymi na pogrzebach tych, którzy umierali. Wreszcie byli obowiązani zbierać się co sobotę w odpowiedniem miejscu, „gdzie jeden lub kilku braci wypróbowanej wiary i znojomości religji, potężnych zarówno w czynie jak w słowie, za pozwoleniem biskupa diecezjalnego udzielają słów upomnienia braciom, zgromadzonym dla słuchania słowa bożego", zachęcając i nakłaniając ich do dobrego życia i do pobożnych uczynków w ten jednak sposób, aby nie mówili o artykułach wiary i sakramentach św."[1]). Taka była pierwotna reguła humiljatów w tej postaci, w jakiej ją zatwierdziła Stolica Apostolska.

Papież Inocenty III dodał im jednak niezwłocznie prawie nowy przepis: oto humiljatom nie wolno było składać żadnych niepotrzebnych przysiąg[2]). Ten zakaz ma pozornie niezbyt wielkie znaczenie; w następstwie jednak okazał się bardzo doniosłym dla zasad życia pokutniczego. Zakaz ten był wymierzony przeciwko przysiędze feudalnej, która obowiązywała zaprzysiężonego do stania po stronie pana feudalnego lub gminy we wszelkich sporach, nawet niesłusznych. Faktycznie odmowa humiljatów co do składania przysięgi feudalnej postawiła ich niebawem w kolizji z władzami cywilnemi; prześladowania, którym na skutek tego ulegli humiljaci, skłoniły Inocentego w r. 1214 do

[1]) Czyli, że mieli „nawoływać do pokuty" lub dawać nauki moralne, a nie wykładać teologję. Jedynie „kaznodziejom" we właściwem tego słowa znaczeniu wolno było wykładać teologję. Pozwolenie, udzielone humiljatom, było takież samo, jak pozwolenie dane Franciszkowi, gdy Inocenty III polecił mu „nawoływać do pokuty"; tylko pozwolenie Franciszka obejmowało szerszy zakres. Mógł on bowiem nawoływać do pokuty „po całym świecie", nietylko zaś na zebraniach braci. Franciszkańska reguła tercjarska, jak to zobaczymy, udzieliła ministrom tercjarzy przywileju identycznego z przywilejem przysługującym humiljatom.

[2]) Tiraboschi, tom II. str.135—8; Potthast, 1415.

zwrócenia się z ostrem napomnieniem do urzędów miejskich i gubernatorów Lombardji[1]). Ten zakaz obowiązujący pokutników lombardzkich był przejawem genjuszu; stał się on potężną bronią w ręku Kościoła w walce z burzliwym rządem obywatelskim i z samem nawet cesarstwem; trudno się też dziwić, że zarówno urzędy cywilne jak i gubernatorzy cesarscy nie chcieli uznać tego zakazu i karali jednostki, co się nim kierowały[2]).

Ale humiljaci, jakkolwiek działali na zasadzie sankcji Kościoła, byli czasami podejrzani dla władzy duchownej[3]); istotnie wielu z nich przystało do heretyków[4]). Podobnie jak cały pierwotny ruch pokutniczy, nosili na sobie piętno posępnego purytanizmu. Nie rozumieli zgoła ducha piękna i swobody, jakim tchnie Ewangelja; nie posiadali żadnej radosnej pieśni[5]). Dlatego też nie zdołali nigdy pojąć ducha czasu, polegającego na żądzy życia i swobody. Do końca zostali tylko zakonem prowincjonalnym lub sektą religijną.

Często zapewne z właściwą sobie spostrzegawczością kardynał Hugolino musiał porównywać zakon lombardzki z umbryjskim. Jakeśmy to już wyżej zaznaczyli, przywiózł on prawdopodobnie z Lombardji do Rzymu pomysł nowego zakonu świeckiego i przedstawił go Franciszkowi, gdy zobaczył się z nim zimą r. 1220—1221[6]).

Niestety pierwotna reguła Zakonu Pokuty, jak nazwano nowe zgromadzenie, ułożona przez kardynała wspólnie z Franciszkiem[7]), zaginęła, jeśli nie uległa wogóle zniszczeniu; naj-

---

[1]) Tiraboschi, tom II, str. 156; Potthast, 4944.

[2]) Tak np. nałożyli podatek wojenny na tych, co wzbraniali się chwycić za broń na ich rozkaz.

[3]) Por. *Epist. Honorii III* w Tiraboschi, t. I, str. 77.

[4]) *Chron. Burchardii* w *Mon. Germ. Hist. Script.* tom XXIII, str. 376.

[5]) Por. Gebhart, *L'Italie Mystique*, str. 34—5.

[6]) Mariano z Florencji twierdzi, że reguła trzeciego zakonu była napisana w r. 1220 przez Franciszka i Hugolina za ich pobytu we Florencji. Wiadomo jednak, że Hugolina w r. 1220 we Florencji nie było. Por. *Archiv. Franc. Hist.* an. II, fasc. I, str. 96.

[7]) Decydujący udział kardynała Hugolina w założeniu trzeciego zakonu ujawnia się we współczesnych kronikach. Autor pracy *Vita Gregorii IX* w Muratori, *Rerum Ital. Script.*, tom III, str. 575, mówi:

wcześniejsza znana nam jej wersja datuje z r. 1228, t. j. siedem lat po założeniu zakonu[1]), a w tym czasie prawdopodobnie niektóre pierwotne przepisy uległy już modyfikacji. W tej postaci, w jakiej do nas doszła, reguła nie zawiera nic interesującego, chyba, że czytamy ją z myślą o epoce, w której powstała, i o zapale religijnym, który umożliwił jej koncepcję. Jest to kodeks przepisów prawnych wyłożonych jasno i obmyślonych spokojnie, którym prawnik kościelny może się posługiwać przed sądem. Nie ma w sobie nic płomiennego idealizmu pierwszych czasów franciszkańskich; nie posiada nawet tego zapału ewangelicznego, który znajdujemy w regule papieża Inocentego dla humiljatów; jest to poprostu reguła zewnętrznego postępowania. Bracia i siostry są obowiązani do surowej prostoty w odzieży, cena jej i tkanina, z jakiej jest sporządzona, były ściśle określone na sposób średniowiecznych praw dotyczących zbytku. Muszą zachowywać w pewne dni posty i wstrzemięźliwość, a także odmawiać w godzinach kanonicznych pewną liczbę „Ojcze nasz", o ile nie umieją czytać psałterza, z którego mają odmawiać psalmy według zwyczaju dworu papieskiego, a przynajmniej jednakową liczbę psalmów. Winni unikać uczt i przedstawień, które były uznane za niemoralne w życiu publicznem owej epoki. Są obowiązani spowiadać się i przystępować do Komunji

---

„Poenitentium Fratrum et Dominarum inclusarum novos instituit ordines et ad summum usque provexit. Minorum etiam ordinem intra initia sub limite incerto vagantem novae regulae traditione direxit et informavit informem". Hugolino zatem według tego autora *założył* oba zakony, ubogich pań i braci pokutnych (tercjarzy), a organizacją braci mniejszych kierował tylko. Warto zauważyć dwojaką rolę kardynała jako założyciela i kierownika. Hugolino był nietylko doradcą Franciszka w układaniu reguły trzeciego zakonu, a także przy układaniu Konstytucyj Hugolińskich dla ubogich pań; był on w obydwu wypadkach uznanym powszechnie ich autorem. Bernard de Besse, który pisał nieco później, mówi również, że kardynał Hugolino napisał regułę trzeciego zakonu wspólnie z Franciszkiem. Oto jego słowa: *„In regulis seu vivendi formis ordinis istorum dictandis sacrae memoriae dominus papa Gregorius in minori adhuc officio constitutus, beato Francisco intima familiaritate conjunctus, devote supplebat, quod viro sancto in dictandi scientia deerat". Lib. de Laudibus*, wyd. Hilarin a Lucerna, str. 76.

[1]) Jest to reguła Capestrana.

św. trzy razy do roku, oddać zaległe dziesięciny i płacić je wiernie w przyszłości. Nie wolno im nosić broni i z wyjątkiem wypadków, przewidzianych przez papieża, nie wolno składać przysiąg prawnych. Dla rozstrzygania sporów pomiędzy sobą nie wolno im uciekać się do sądów świeckich; są obowiązani sporządzić testament, o ile posiadają jakąś własność, w ciągu trzech miesięcy po wstąpieniu do zakonu. Przed przyjęciem do zakonu nowicjusze winni spłacić długi, a także być w zgodzie z bliźnimi. Nikt podejrzany o herezję nie może być do zakonu przyjęty przedtem, zanim nie zostanie uniewinniony przez trybunał biskupi; do zakonu może być przyjęta kobieta zamężna jedynie wówczas, gdy otrzyma na to zgodę małżonka. Jeśli ktokolwiek z braci będzie winien zgorszenia i nie zechce go naprawić, ma być wydalony i oskarżony przed urzędem miejskim lub gubernatorem miejscowym.

W warunkach politycznych i społecznych w zaraniu XII w. podobne przepisy równały się ciśnięciu przez Kościół wyzwania wszystkim dotychczas przyjętym zwyczajom. Rozporządzenia te zwracały się przeciwko przepychowi w jedzeniu i stroju, jaki pospolicie w owym czasie roztaczano. Godziły również w niepohamowaną żądzę zabaw, która kazała zarówno mężczyznom jak kobietom szukać uciech na turniejach, widowiskach, zabawach publicznych, z uszczerbkiem dla religji i dla rzeczy poważnych, o których całkowicie zapominano. Prawidła te miały na celu zadanie śmiertelnego ciosu zwyrodniałej idei feudalizmu, jak ją w owym czasie pojmowano. Według tego pojęcia ludzie zobowiązywali się przysięgą walczyć za swoje stronnictwo bez względu na to, czy sprawa, o którą walczono, była słuszna czy niesłuszna. Z tego względu reguła jest dowodem zręczności politycznej kardynała Hugolina. Za jej pośrednictwem powszechny zapał religijny, wzniecony przez Franciszka, miał zwalczać współczesne nadużycia społeczne i polityczne, które były orężem świata przeciwko Kościołowi i Ewangelji. Napróżno szukano w tej regule, w obecnej jej postaci, wyrazu bardziej ogólnej idei franciszkańskiej, głoszonej przez samego Franciszka; tak samo nie znajdziemy istoty życia franciszkańskiego w konstytucjach, które kardynał nadał siostrom św. Klary.

Z nowym zakonem stało się to samo, co ze zgromadzeniem Ubogich Pań; konstytucje Hugolina nie zawierały celu ich powołania ani ducha, jakiem tchnęło ich życie; podobnie miała się sprawa z nowym zakonem pokutników. Poza kardynałem stał Franciszek, a jego słowa były tą pełniejszą regułą, która rządziła ich życiem: przed tem zaś prawem sam kardynał skłaniał głowę z serdeczną czcią, choć może bez głębokiego wewnętrznego przekonania. Dlatego też w życiu pierwszych pokutników znajdujemy tę samą miłość ubóstwa, tę samą bezgraniczną miłość bliźniego, będącego w niedoli lub w potrzebie, która tak raduje nam serce, gdy czytamy dzieje pierwszych uczniów Franciszka. Na mocy uznanego prawa zakonu — niewiadomo czy zamieszczonego w regule pierwotnej, czy też stanowiącego prawo niepisane, — pokutnicy mieli rozdawać corocznie między ubogich to, co im pozostało z rocznego dochodu po zaspokojeniu własnych potrzeb[1]). Wielu z wstępujących do zakonu rozdawało odrazu tę część własności, której nie obracali na własne potrzeby. Pielęgnowali oni chorych w ich mieszkaniach, albo też w szpitalach. W ten sposób w miarę możności starali się naśladować życie, jakie bracia wiedli w Porcjunkuli.

Nowy zakon rozwijał się szybko; w całej Italji w ciągu krótkiego czasu powstały kongregacje miejscowe, a pokutnicy stali się *siłą* społeczną, z którą władza świecka musiała się liczyć. Nawet ich odzież była wyzwaniem ciśniętem otaczającemu światu: nie wolno im było nosić jedwabnych ani barwnych strojów, za futra służyły im skóry baranie, noszenie otwartych fruwających rękawów było im wzbronione[2]).

Z drugiej strony stanowili oni korporację religijną, która jako taka nie podlegała sądom świeckim, lecz duchownym. Władze świeckie nie miały prawa zmuszać ich do czynnego

---

[1]) Bulla *„Detestanda"* z 30 marca 1228 r. wspomina o tym fakcie jako o jednej z przyczyn, dla których władze cywilne stawiały trudności pokutnikom. (Por. Sbaralea, *Bull.* I, str. 39—40.)

[2]) *Regula Antiqua,* rozdz. I. Reguła, dotycząca odzieży, dopuszczała znaczną swobodę interpretacji, zależnie od stanowiska danej osoby lub zwyczajów miejscowych, zwłaszcza, gdy szło o kobiety zamężne.

udziału w wojnie, ani narzucać im urzędów publicznych lub ciężarów, sprzecznych z literą lub duchem ich powołania.

Stanowili oni organizację osobną, podobnie jak zakonnicy i zakonnice. W ten sposób gdziekolwiek powstawała kongregacja pokutników, władze świeckie stawały wobec grupy obywateli, korzystających z opieki prawa kościelnego, — zgodnego w tym wypadku z prawem państwowem i komunalnem — pod względem pozostawienia im swobody usunięcia się od spraw świeckich[1]). Urzędnicy i gubernatorzy protestowali, jak to już czynili poprzednio w sprawie humiljatów, i próbowali przeciwstawić się żądaniom nowego zakonu. Lecz Kościół odrzucił ich protesty nietylko ze stanowiska prawnego, lecz i moralnego. Pokutnicy byli ludźmi, którzy czynili pokój według Ewangelji, to też nie można było ich zmuszać do brania udziału w zatargach i wojnach, często sprzecznych z zasadami Ewangelji i z ogólnem dobrem chrześcijaństwa. Byli to nadto ludzie, którzy stawiali zasady sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej ponad wszystkie względy ludzkie, z tego też powodu władze świeckie nie mogły ich zmuszać do wykonywania urzędów publicznych, zarażonych korupcją i stronniczością partyjną[2]). Niepodobna ich było również zmuszać do popierania systemu lichwy i nieuczciwości kupieckiej, z którą związane są często przedsiębiorstwa handlowe[3]).

Urzędy komunalne użyły całej swojej władzy, aby uwikłać jednostkę we wszelakie praktyki niechrześcijańskie; Kościół od-

---

[1]) Stolica święta interwenjowała w sprawie nowych pokutników po raz pierwszy 16 grudnia 1221 r., gdy Honorjusz III zwrócił się z listem *„Significatum nobis"* do biskupa z Rimini, nakazując mu bronić pokutników z Faenza i okolic przeciwko urzędnikom.

[2]) Humbert de Romanis, jenerał zakonu braci kaznodziejów, mówi, że pokutnicy odrzucali „urzędy, do których grzech przywiązany". Por. Sbaralea, *Bull.* I., str. 8.

[3]) Por. bulla *„Significatum est"*, ut supra: *„Nimis patenter"*, z 25 czerwca 1227 r. (Sbaralea, *Bull.* I, str. 30), *„Detestanda"*, z marca 1228 r. (ibid. str. 39—40); *„Nimis patenter"*, z 5 kwietnia 1231 r. (ibid., str. 71); *„Ne is qui bonis"* z 15 marca 1232 (ibid., str. 99); *„Ut cum maiori"*, z 21 listopada 1234 r. (ibid., str. 142). Na podstawie tych bulli pokutnicy byli zwolnieni od przysiąg z wyjątkiem takich, które

powiedział przez usunięcie jednostki, pragnącej życia bardziej chrześcijańskiego, z pod jurysdykcji urzędów komunalnych w sprawach, dotyczących wiary chrześcijańskiej[1]). Tym sposobem w wielu miejscowościach wynikła nowa walka wewnętrzna pomiędzy zwolennikami ustalonego systemu zaburzeń i gwałtów, a tymi, którzy sprzyjali nowej idei pokoju i zgody sąsiedzkiej.

Nie tu miejsce na historję rozwoju zakonu pokuty ani na rozpatrywanie, w jaki sposób stał się on sojusznikiem papiestwa w walce przeciwko cesarstwu; zajmujemy się jedynie jego powstaniem i jego stosunkiem do Franciszka. Jakeśmy widzieli, był to poczęści twór kardynała Hugolina i jako taki należy do dziejów ogólnych Stolicy świętej w wieku XIII; niemniej przeto był to rzeczywisty rezultat franciszkańskiego odrodzenia wiary i prawdopodobnie nie istniałby nigdy, gdyby nie Franciszek.

---

były potrzebne dla wiary i Kościoła i dla sporządzania testamentów; nie wolno ich było zmuszać do służby wojskowej, ani do płacenia specjalnych podatków wojennych, nakładanych na tych, co nie brali czynnego udziału w wojnach, ani do wykonywania urzędów publicznych, a także nie wolno było stawiać im przeszkód w rozdawaniu ubogim tego, co im zbywało. Zresztą pokutnicy niezawsze odmawiali płacenia podatku wojennego, skoro chodziło o obronę ojczyzny. Tak błog. Piotr z Sieny (umarł w r. 1289) nalegał, że chce zapłacić podatek wojenny, choć wobec tego, że był pokutnikiem, urzędnicy nie chcieli go przyjąć. „Te pieniądze — rzekł — należą do mojej ojczyzny, skoro są potrzebne dla jej obrony". (Por. Wadding, *Annales ad an. 1289.*)

[1]) Władza, jaką posiadały urzędy komunalne włoskie nad jednostką, pozostawiała obywatelowi swobodę bardzo ograniczoną nawet w życiu ściśle prywatnem. Było ono bowiem normowane dekretem konsularnym. Wszystko było przewidziane: odzież, mieszkanie, nawet drzewa, które wolno było sadzić we własnym ogrodzie. Emil Gebhart czyni słuszną uwagę, że: „*La cité italienne n'est, en effet, une oeuvre de liberté et d'égalité qu'en apparence. La communauté y surveille et y entrave l'individu, car les franchises de l'association républicaine ont pour garantie l'abdication de toute volonté personnelle.*" (*L'Italie mystique*, str. 21.) Jurysdykcja kościelna w średniowieczu, z początku przynajmniej, pozyskała przychylność opinji publicznej, był to bowiem sposób uniknięcia tyranji świeckiej.

Pierwsza kongregacja pokutników założona została we Florencji, prawdopodobnie za bezpośrednią namową kardynała Hugolina[1]). Należy zauważyć, że znamionuje ona doskonale ducha, w jakim ją założono. Pokutnicy florenccy istotnie założyli niezwłocznie szpital, w którym pielęgnowali sami ubogich chorych[2]). Jakimkolwiek był w następstwie wpływ polityczny i społeczny nowego zakonu pokuty, największa chwała należy mu się za tego wzniosłego ducha miłosierdzia i pokornego zaparcia się siebie, jaki cechuje początki jego historji. Typowym wzorem pokuty franciszkańskiej była św. Elżbieta Węgierska. Zabierała ona ubogich chorych z brudnych lepianek i kazała ich przenosić do swego zamku na Wartburgu. Tam z pomocą swej siostry pielęgnowała ich sama. Pozbywszy się trosk władzy, wyrzekła się zwyczajów i parady dworskiej i zamieszkała w małym domku, gdzie zarabiała na chleb pracą rąk własnych, jak to czynią ubodzy. Później powtarzano chętnie legendę, która mówi, że małżonek jej, książę Turyngji, szukając w jej szatach chleba, który niosła w tajemnicy dla ubogich, znalazł róże białe i czerwone. Róże są symbolem słodkiej miłości, która skromne usługi, oddawane ubogim, zamieniała na źródło najczystszej radości.

Ta słodka miłość otacza promienną aureolą dzieje wszystkich pierwszych pokutników franciszkańskich. Oto np. historja kupca Luchezia, którego tradycja nazywa pierwszym pokutnikiem, przyjętym do zakonu. Gdy go Franciszek spotkał na wiosnę 1221 r., wycofał się on już z handlu i żył na wygnaniu w Poggibonzi na terytorjum florenckiem. Tam jego miłość dla

---

[1]) Mariano z Florencji mówi, że kongregacja florencka została założona 20 maja 1221 r. Być może, iż miał w ręku dokumenty, pochodzące z archiwów miejskich, nam nieznanych. (Por. Bartholdi, *Tract. de Indulgentia,* wyd. Sabatier, *Appendice,* str. 160—1; *Compendium Chron. FF. Min.* w *Archiv. Franc., Hist.* an. II, fasc. I, str. 98. Kardynał Hugolino i Franciszek byli we Florencji w kwietniu 1221 r. (Por. Rob. Davidsohn, *Geschichte von Florenz,* II. Band, I, str. 125—9).

[2]) Por. Wadding, *Annales ad an. 1221;* Sbaralea, *Bull.* II, str. 293. Szpital założono początkowo na placu *Santa Maria Novella.* Następnie został on przeniesiony do kościoła św. Marcina. Stąd pokutników florenckich nazywano braćmi i siostrami od św. Marcina.

ubogich i pobożność były wzorem dla sąsiadów. Niezawsze Luchezio był równie dobrym chrześcijaninem. W młodości zamieszkiwał Cagiano na terytorjum Sieny; jego przedsiębiorstwo handlowe kwitło, on sam był znany z wesołości. Wiedziano powszechnie, że pragnie zdobyć stanowisko w świecie; schlebiał ludziom możnym i wpływowym, którym pożyczał pieniądze i których zabawiał swemi dowcipami. Zaślubił kobietę bardzo piękną i rozumną. Podzielała ona ambitne dążenia małżonka i przyczyniła się wielce do jego popularności. Nazywano ją „Buona Donna“, dobra pani, na który to tytuł zasłużyła w zupełności przez swe zachowanie wobec zmiennych losów, jakie stały się udziałem jej małżonka.

Luchezio był zapalonym politykiem; gdyby nim nie był, nie zasłużyłby na żadne uważanie w społeczeństwie. Lecz oto fortuna, odwróciwszy się od gwelfów, poczęła sprzyjać gibelinom, a Luchezio, dla własnego bezpieczeństwa, musiał ratować się ucieczką i szukać schronienia w gościnnem mieście florenckiem Poggibonzi. Przeciwności i wygnanie były dla niego zbawienną nauką. Odtąd myśl jego zwróciła się ku religji, to też był należycie przygotowany do słuchania słowa bożego, gdy przybył Franciszek na połów dusz. Za zgodą wiernej „Buona Donna“ Luchezio sprzedał swój majątek, z wyjątkiem czterech akrów ziemi, a otrzymane pieniądze rozdał ubogim, poczem mąż i żona otrzymali z rąk Franciszka szary habit pokutników. Od tej chwili Luchezio uprawiał swój kawałek ziemi, którego owoce obracał na zaspokojenie własnych potrzeb. Dom ich stał się schronieniem ubogich. Codzień, podobnie jak to czynił Franciszek, zanim pomyślał o sobie, sam im dawał pożywienie. Częstokroć odbywał daleką drogę w poszukiwaniu chorych; znalazłszy, przenosił ich do siebie bądź na ośle, bądź na własnych barkach. „Buona Donna“ przyjmowała ich i otaczała opieką. Gdy panowała malarja, Luchezio udawał się do zarażonych okolic, niekiedy aż na brzeg morza, rozdając żywność i leki. Gdy nie wystarczały mu własne dochody, zbierał składki wśród sąsiadów, by uzyskać środki na wyżywienie głodnych.

Luchezio i jego żona przeszli do wieczności, służąc ubogim i wypełniając względem Boga i bliźniego czyny bezinteresownej

miłości. Byli sobie wierni za życia i pozostali wiernymi w śmierci, gdyż jednocześnie zachorowali śmiertelnie. „Buona Donna“ modliła się, aby Bóg nie dał jej przeżyć małżonka. Modlitwa jej została wysłuchana; Luchezio powstał z łoża, aby być przy śmierci żony, poczem położył się znowu i umarł. „W śmierci nie byli rozdzieleni“[1]).

---

[1]) Por. *Acta SS. aprilis*, tom III, str. 594 i nast.; *Chron. XXIV Gen.* w *Anal. Franc.* III, str. 27; Wadding, *Annal. ad an. 1213 et 1221.*

ROZDZIAŁ VII.

Bracia zakładają szkołę.

Muszę teraz, szanowny czytelniku, zwrócić twoją uwagę na sprawę szkół przeznaczonych dla braci; sprawa ta pod koniec życia Franciszka przyczyniła mu wiele zmartwienia, a następnie wywołała zażarte spory wśród tych, co o nim mówią. Są tacy, co chcą nas przekonać, że Franciszek był zdeklarowanym nieprzyjacielem wiedzy. Ich zdaniem patrjarcha asyski, gdyby tylko mógł, byłby zakazał nauki szkolnej braciom. Istotnie, łatwo wskazać takie jego słowa, które wzięte w oderwaniu od okoliczności, w jakich zostały wypowiedziane, wyrwane z kontekstu jego życia, mogą stanowić podstawę do podobnego sądu. Ale taki sposób przytaczania czyichś słów dałby jeszcze fałszywsze pojęcie o Franciszku niż o kimkolwiek innym. Należy pamiętać, że Franciszek nie był filozofem przywykłym do wypowiadania oderwanych i ogólnych formuł. Był to przedewszystkiem człowiek czynu, zajmował się bezpośredniem rozstrzyganiem spraw, które się nastręczały. W czasie najzaciętszej walki o zachowanie zakonowi ducha, w jakim go założył, występował najczęściej przeciwko wiedzy książkowej. Otóż w tej walce zwolennikami nauk scholastycznych byli przedewszystkiem ci, co nie żywili zbyt gorącej sympatji dla pierwotnego celu zakonu i szukali jakiegoś kierunku z zewnątrz. Gdyby im się to udało, zakon byłby uległ całkowitej przemianie i stałby się czemś zupełnie obcem własnemu przeznaczeniu, charakterowi i powołaniu. Franciszek znalazł się wtedy w położeniu człowieka, zmuszonego do obrony powierzonego sobie depozytu przeciwko tym, co mu go chcieli wydrzeć i użyć do przewrotnych celów.

W takich okolicznościach przyjacielskie rozmowy z zaczajonym za drzwiami wrogiem równałyby się zdradzie. Z żądaniem, wypowiedzianem przez niektórych braci odnośnie do pozwolenia uczenia się z książek i uczęszczania do szkół, łączyło się mniej lub bardziej jawne pragnienie poddania rewizji ideału ubóstwa, tego ideału, który był podstawą zakonu, i zbliżenia go jak najbardziej do tego, co dysydenci uważali za niezmierną korzyść dla zgromadzenia. W ten sposób sprawa nauk wiązała się z kwestją świeckiej przezorności, co według Franciszka oznaczało zdradę ideału ubóstwa.

Stwierdźmy odrazu wyraźnie, że Franciszek nie potępiał studjów akademickich ani książkowych jako rzeczy złej samej w sobie; uważał jednak, że największy skarb jego powołania tkwił w tej wiedzy serca, którą się zdobywa w walkach życia, w żarliwem dążeniu do triumfu sprawy, której się służy. Zdaniem Franciszka, wszelka nauka obca temu celowi stanowi zbytek umysłowy, zdolny odciągnąć od istotnego celu życia, skłaniający raczej do zadowolenia próżności niż do pracy dla służby bożej.

Stąd też miał przekonanie, że żądanie książek i nauk nie miało nic wspólnego z powołaniem braci, lecz zmierzało do zgoła odmiennego celu. Było to w znacznej mierze przekonanie słuszne, inaczej bowiem nie powstałyby nigdy z tego powodu zaciekłe spory, jakie wynikły w następstwie. Franciszek bowiem nietylko nie był obojętny kulturze umysłowej, ale przeciwnie, miał do niej wrodzony pociąg. Okazywał szczególny szacunek ludziom, którzy opierali swoje sądy na mocnych podstawach wiedzy. Żywił wielkie poważanie dla teologów, zasługujących na tę nazwę, którzy mówili o religji ze zrozumieniem i mądrością: ci, według niego, są panami wśród ludzi i zasługują na cześć naszą[1]). Najwykształceńszym braciom powierzał zazwyczaj najbardziej odpowiedzialne obowiązki w zakonie. Tak np. mianował Piotra Cathanii, doktora praw, swym pierwszym wikarjuszem jeneralnym; wysłał do Francji, jako prowincjała, Pacyfika, poetę laureata. Obaj wikarjusze, wybrani do rządzenia zakonem w czasie jego pobytu na Wschodzie, byli ludźmi pod

---

[1]) Por. *Testamentum S. Franc.: „Et omnes theologos et qui ministrant verba divina debemus honorari et venerare sicut qui ministrant nobis spiritum et vitam“.*

względem umysłowym bardzo wybitnymi. Wiemy, że brat Eljasz zdobył sobie w szkołach bolońskich niejaką sławę.

Sam Franciszek posiadał pewną kulturę umysłową; znajdował się on pod wpływem nowej ówczesnej literatury romantycznej i w instrukcjach dawanych braciom posługiwał się chętnie romansami rycerskiemi. Współzawodniczył również z minstrelami prowansalskimi. Była nawet chwila, że czuł żywy pociąg do poważniejszych studjów[1]). Nie bez znaczenia jest następujące wydarzenie. Razu jednego bracia wyrazili chęć badania Pisma św.; ponieważ posiadano jeden tylko egzemplarz, Franciszek podzielił go na kartki i rozdał je braciom, aby nie musieli czekać, aż cały tom dostanie się zkolei każdemu[2]).

Punkt jednak, na którym Franciszek był najsilniej krytykowany przez licznych uczonych, jacy wstąpili do zakonu — stanowiła jego głęboka pogarda dla teorji, nazywanej dziś „nauka dla nauki". Uważał, że wiedza nabiera wartości dopiero w zestawieniu z charakterem i czynem. Mawiał: Człowiek tyle posiada wiedzy, ile czynów; zakonnik modli się dobrze tylko o tyle, o ile dobrze pracuje: gdyż po wynikach pracy sądzi się pracującego[3]). I mawiał jeszcze: Ci, którzy polegają na nauce z książek, w dniach smutku i walki[4]) przekonają się, że ręce ich są próżne; gdyż nie nauka, lecz wypełnienie obowiązków czyni człowieka duchowo silnym.

Nie cenił zbytnio kazań, opartych bardziej na znajomości ksiąg, niż na doświadczeniu duchowem. Braci — mawiał — nie powołał Bóg nato, aby byli oratorami ku schlebianiu fantazji słuchaczy przez mowę wytworną i dowcipne powiedzenie. ale by opowiadali Słowo Boże. Mają oni głosić posłannictwo Boga. To posłannictwo poznają lepiej modląc się i rozważając w głębi serca prawdę bożą, niż ucząc się z książek. Dodawał jeszcze: „Kaznodzieja winien przedewszystkiem zaczerpnąć w wewnętrznej modlitwie to, co wyraził następnie w świętej

---

[1]) Por. *Spec. Perf.*, rozdz. 4: *„Ego similiter tentatus fui habere libros"* etc.

[2]) Św. Bonawentura *Epist. de Tribus Quaestionibus*, no. 10 w *Opera omnia* (Quaracchi), tom VIII, str. 334 B.

[3]) *Spec. Perf.*, rozdz. 4.

[4]) Ibid., rozdz. 70.

mowie; lepiej, że go będzie wewnętrzny ogień pożerał, niż gdyby wypowiadał nazewnątrz zimne słowa".

Nie nawrócą ludzi piękne słowa, lecz płomienna dusza, to też nie mógł ukryć pogardy dla tych braci, którzy chwalili się, że wygłosili jakieś pracowicie przygotowane kazanie i pozyskali oklaski słuchaczy. „Czemu się chwalicie, żeście nawrócili ludzi, skoro uczynili to moi bracia prostaczkowie przez swoje modlitwy?"[1]). Gniew jego przeciwko tym próżnym erudytom wynikał poczęści z szacunku, jaki miał dla samego życia. Życie, jego wzruszenia i obowiązki były dlań zbyt święte, by mieli sobie z nich czynić igraszkę. Dla nauki, zaczerpniętej w doświadczeniu życiowem, miał uczucie bojaźliwego szacunku; była ona dla niego czemś, co stawiało człowieka w obliczu Boga, źródła wszelkiej Prawdy. Jako przykład czci, którą go napawała ta wyższa wiedza, możemy przytoczyć poszanowanie, z jakiem się odnosił do wszelkiego słowa mówionego lub pisanego, gdyż w jego oczach było ono symbolem objawienia bożego. A wyrażał tę cześć w sposób naiwny. Nie przekreślał nigdy żadnego napisanego przez siebie słowa, choćby nawet było ono zbyteczne dla sensu zdania. Miał zwyczaj zbierania zapisanych skrawków papieru, znalezionych na drodze, i odkładania ich z szacunkiem na bok. Razu jednego zwrócono mu uwagę, — nie bez złośliwej intencji zapewne — że rękopis, który uratował, był pogańskiego autora. Odrzekł, że niema to żadnego znaczenia, gdyż słowa pogan czy też innych ludzi pochodzą wszystkie z mądrości Boga[2]).

Głęboki szacunek, jaki żywił dla pisanego słowa, ujawniał się jeszcze w jego sposobie czytania. Gdy doszedł do miejsca, które zwróciło jego uwagę, nie czytał dalej, lecz zamykał książkę i rozmyślał nad tem, co przeczytał, aby nic nie utracić z dobrej rzeczy. Pragnął, by bracia czytali w ten sam sposób; „jedna dobra książka tak przeczytana jest więcej warta, niż sto szybko przerzuconych traktatów"[3]).

Widzimy więc, że Franciszek nie gardził lekturą, ale życzył sobie, by bracia czytali tylko rzeczy zdolne utwierdzić i roz-

[1]) II Celano, 163—4.
[2]) I Celano, 82.
[3]) II Celano, 102.

palić ich serca, dać im szczególną naukę potrzebną dla ich powołania. Pragnął, by bracia myśleli raczej sercem niż mózgiem. Dla brata mniejszego żyć — znaczyło miłować Jezusa Chrystusa i dla Jego miłości kochać ludzi. Według Franciszka Chrystus, Mistrz zakonu, był jedynym przedmiotem godnym badania. Nie należy jednak rozumieć tego w sposób zbyt ciasny, gdyż do służby Boskiego Mistrza przywiodły Franciszka opowieści o Rolandzie i o rycerzach. Wszystko, co budziło w jego sercu uczucia szlachetne, przypominało mu życie Pana, zachęcało do służenia Mu. Wszystko, co było dobrego i szlachetnego na ziemi bądź w czynach ludzi, bądź w istnieniu innych stworzeń, stanowiło dlań sposobność wzbogacenia wiedzy. Odkrywał on:

„mowę w drzewach, księgi w bieżących strumieniach;
„kazania w kamieniach, a dobro — we wszystkiem".

Wszystkie istoty mówiły mu o tem życiu, którego prawdziwie pożądał. Jest bardzo możliwe, że będąc niesłychanie wrażliwym na głos przyrody, nie doświadczał takiej jak inni potrzeby uczenia się z ksiąg, co jest konieczne dla ludzi o przytępionej wrażliwości, wolno reagujących. Z tego też zapewne powodu nie rozumiał potrzeby, jakiej doznaje wielu ludzi, szukania w dziełach innych wyjaśnienia ich własnych wrażeń. Tem niemniej wszakże, jeśli ten czynnik wywarł jakiś wpływ na jego stanowisko wobec kwestji zakładania przez braci bibljotek, to jednak nie w tem należy szukać przyczyn jego opozycji. Opór jego wynikał z wewnętrznego instynktu, dzięki któremu widział niebezpieczeństwo, na jakie byli narażeni niektórzy bracia, niebezpieczeństwo polegające na możliwości utracenia przez naukę prostoty serca i czystości ideału powołania. Przekładali oni zadowolenie czysto intelektualne nad wiedzę serca, nabytą w przeżyciach i doświadczeniach ducha i w wypełnianiu swych własnych zadań. To wszystko zapowiadało ruinę zakonu. W szkołach dawano głównie wiedzę spekulatywną, dążącą do celów świeckich. To też, gdy do zakonu wstępował człowiek wykształcony, Franciszek mawiał mu, że aby stać się prawdziwym bratem mniejszym winien poniekąd zostawić za drzwiami nabytą w świecie naukę.

Razu jednego wyjawił swój pogląd na dopuszczanie do zakonu ludzi nauki w następujący sposób: „Pragnąłbym, aby przyszedł do mnie człowiek uczony i rzekł: „Widzisz, bracie, żyłem długo na świecie i nie znałem nigdy prawdziwie Boga mego. Daj mi, błagam cię, jakiś kącik zdala od gwaru, gdziebym mógł żałować lat minionych i gdziebym, skupiwszy rozproszoną siłę serca, mógł odnowić duszę i skierować ją ku rzeczom wznioślejszym". Franciszek dodawał: „Po takim wstępie, jak myślicie, co stanie się z tym człowiekiem? Zaprawdę pójdzie prosto do celu z siłą lwa rozpętanego. Po pewnym czasie możnaby powierzyć mu głoszenie słowa bożego. Mógłby wówczas wyrzucać z siebie to, co wrzałoby mu w duszy"[1]). Ten przykład pokazuje, na czem polegała opozycja Franciszka wobec studjów akademickich. Jego zdaniem w szkołach ludzie „nie znają prawdziwie Boga".

Ale bracia, którzy żądali pozwolenia na studja, widzieli w stanowisku Franciszka jedynie twardy i nieuzasadniony opór przeciwko wszystkiemu, co leży w dziedzinie nauki. Franciszek zaś nie posiadał daru przeprowadzenia analizy logicznej i rozplątania powikłanych nici sytuacji. Gdyby nawet potrafił to uczynić, inniby go może nie zrozumieli. Oni również posiadali szczególną umysłowość: nie sięgali wzrokiem poza ograniczony widnokrąg.

Widzieli, co czynili inni, nie należący do zakonu; myśleli, że i oni mogliby dokazać tego samego, gdyby jak inni, bracia kaznodzieje np., studjowali teologję, otwierali szkoły, stawali się powagą w Kościele: czemużby bracia mniejsi nie mieli podobnie postępować? Poczucie władzy kształtowało niepostrzeżenie umysły braci. Mieli poczucie siły ukrytej w łonie zakonu, podobnie jak młody naród pełen zapału drży na myśl o własnej mocy; to też trawiła ich żądza czynu, pragnienie zwycięstwa. Upojeni tem uczuciem chcieli w walce ze światem użyć jego własnej broni. Z drugiej strony wielu braci odczuwało ten pociąg do nauki, który zaczynał ściągać tysiące ludzi do centrów wiedzy, jak Bolonja i Salerno[2]). Trudno było, aby zakon,

[1]) II Celano, 194.

[2]) Bolonja, jak mówią, liczyła wówczas 10.000 studentów. (Por. Denifle, *Die Universitäten des Mittelalters,* I, str. 135—6.

którego członkowie pochodzili ze wszystkich warstw i stanów społecznych, mógł pozostać obcym temu powszechnemu porywowi entuzjazmu dla nauki, ogarnął on bowiem cały świat chrześcijański.

Wiedza, zdawało się wówczas, była czemś przedziwnem. Szkoły wprawdzie były jeszcze bardzo pierwotne, kształcono w nich pamięć i wyobraźnię z pominięciem głębszych, poważniejszych właściwości umysłu, jak np. refleksja. Nauka sama przez się nie była może tak pociągająca i ciekawa, jak forma, w jakiej się wyrażała, i sposób, w jaki ją podawano. Niemniej jednak, takie jakie były, szkoły dawały złudzenie, że dają swobodę umysłu. Jak za skinięciem różdżki czarnoksięskiej przeobrażały tę garść prochu, jaką jest człowiek, na istotę bardziej eteryczną. Było w tem pewne upojenie próżności, którą wybaczą ci, co pamiętają rozkosz swych pierwszych młodzieńczych ćwiczeń umysłowych i smutek, jakiego doznali, gdy znaleźli się nagle w obliczu głębszej rzeczywistości. Liczni bracia, którzy po wyjściu ze szkół poświęcili się zakonowi w chwili, gdy poczynał on nabierać znaczenia wśród ludu, nie przebywali żadnego poważnego przełomu duchowego, któryby wpłynął na uspokojenie ich umysłu; ulegli poprostu ogólnemu, wzbudzonemu przez Franciszka zapałowi. Nauka szkolna była jeszcze przedmiotem ich pragnień.

Pomiędzy nimi a Franciszkiem istniała przepaść, wykopana przez wzajemne niezrozumienie. Obie strony mówiły o wiedzy i nauce w zgoła odmiennem znaczeniu. Fraciszek był tem do głębi poruszony. To gwałtowne domaganie się szkół i książek dowodziło, że umysł tych braci odwracał się od prawdy, której ich uczył, i przywiązywał się do świata zewnętrznego, gdzie nie było wcale miejsca dla ubóstwa. „Uwiedzeni przez ducha złego — wołał — bracia ci porzucą drogę świętej prostoty i najszlachetniejszego ubóstwa. Będą przyjmowali pieniądze, podarunki, zapisy wszelkiego rodzaju. Opuszczą swoje ubogie i samotne schronienia, by w miastach i osadach budować wspaniałe domy, które mówić będą ludziom nie o ich ubóstwie, ale o zbytku panów i książąt tego świata. Dzięki swej zręczności, czysto ludzkiej przezorności, przez natręctwo będą uzyskiwali od Kościoła i od papieża przywileje; nietylko rozluźnią one, ale

nawet zatracą całą czystość reguły, której ślubowali ulegać, i życia, które Chrystus im objawił"[1]).

Sprawa ta wystąpiła w formie dosyć ostrej z powodu klasztoru, zbudowanego w Bolonji przez Piotra Stacia podczas pobytu Franciszka na Wschodzie. Według niego klasztor był symbolem zła, którego nie omieszka sprowadzić nic z nadprzyrodzonością nie mająca wspólnego żądza nauki; sprawi, że bracia zaczną gardzić ubóstwem i prostotą, które stanowiły istotę ich powołania. Czy Piotr Stacia chciał założyć szkołę za przykładem dominikanów, czy też intencją jego było, aby bracia uczęszczali na kursa prawa i sztuk w uniwersytecie bolońskim, — trudno orzec. Jakikolwiek wszakże miał zamiar, postąpił otwarcie wbrew przekonaniu Franciszka z jawną pogardą dla tego ducha, który ożywiał pierwsze czasy istnienia zakonu. Rzucając klątwę na Piotra Stacia, Franciszek przeklął ambicje świeckie, wciskające się stopniowo do zakonu. Klątwa ta przeraziła większość braci, tem bardziej, że nie można było do końca życia nakłonić Franciszka, aby ją odwołał. Nie stłumiło to jednak wcale dążenia do nauki. Zresztą brat Eljasz podsycał je świadomie; pozwalał on nawet braciom świeckim posiadać książki, aby tem łatwiej mogli poświęcać się nauce. Zdaniem Franciszka pozwolenie to było wielkiem złem; odkąd bowiem zaczęły się spory, pokładał całą nadzieję w braciach świeckich, uważając ich za przedstawicieli idei prostoty w zakonie[2]).

To też z bolesnem oburzeniem usłyszał dnia pewnego prośbę jednego z nowicjuszów, który chciał posiadać psałterz. Wikarjusz jeneralny udzielił mu już żądanego pozwolenia, lecz nowicjusz, znając przekonanie Franciszka w tym względzie, nie był zupełnie pewny; a jednak pragnął gorąco mieć ten psałterz, aby móc czytać i uczyć się z niego. „Ojcze — rzekł— byłoby dla mnie wielką pociechą mieć psałterz; jenerał mi na to pozwo-

---

[1]) *Legenda vetus* no. 1 w *Opuscules de critique historique*, t. I fasc. III, str. 87—8. Ten ustęp wyraża niewątpliwie obawy, jakie żywił wówczas Franciszek, ale forma jest raczej dziełem redaktora legendy. Por. z II Celano, 69, 157.

[2]) Por. *Spec. Perfect.*, rozdz. 72; Eccleston (wyd. Little) XIII, str. 88. Polityka Eljasza polegała na faworyzowaniu braci świeckich i przywiązywaniu ich do swojej osoby. Stali się oni w następstwie jego głównymi zwolennikami. Por. Salimbene, loc. cit. str. 99—100.

lił, jednak wolę, abyś o tem wiedział i sam udzielił mi pozwolenia." Na te słowa Franciszek wybuchnął długo powstrzymywanym żalem. „Cesarz Karol — rzekł — Roland i Oliver, starożytni rycerze i wielcy mężowie wsławili się na wojnie, walcząc z poganami, narażając się na trudy, cierpienia, a nawet na śmierć. Odnieśli oni zwycięstwo godne trwania w pamięci ludzkiej. Wreszcie zginęli w walkach za wiarę Chrystusową. Dzisiaj zaś jest wielu, którzyby chcieli zdobyć zaszczyty i sławę, opowiadając tylko o czynach, jakich tamci dokazali. Tak samo pomiędzy nami jest wielu, którzy chcą zasłużyć na zaszczyty i pochwały przez opowiadanie o dziełach Świętych". Nowicjusz odszedł, lecz w parę dni później zwrócił się do niego z tą samą prośbą. Franciszek siedział przy ogniu; gdy nowicjusz wyłuszczył swoją prośbę, odrzekł mu z pewną ironją: „Gdy będziesz miał psałterz, zapragniesz brewjarza; skoro będziesz miał brewjarz, zasiądziesz w stalli jak wielki prałat i zawołasz na brata swego: „Przynieś mi mój brewjarz". Następnie wziął garść popiołu i drwiąc począł nacierać sobie nim głowę i powtarzał głośno: „Oto dla mnie brewjarz, oto dla mnie brewjarz!" Nowicjusz zawstydzony przyglądał się temu. Wówczas Franciszek zwrócił się do niego łagodniej z chęcią przekonania go: „Bracie — rzekł — ja również miałem niegdyś pokusę posiadania książek, ale wtedy nie znałem woli bożej w tym względzie; dlatego też wziąłem Ewangelję i błagałem Pana, aby mi otwarciem księgi objawił swoją wolę. Po skończonej modlitwie trafiłem na te słowa Ewangelji: „Wam jest dane poznanie tajemnic królestwa Bożego, podczas gdy inni mogą je znać tylko w podobieństwach". Po chwili milczenia dodał, zamyślony: „Jest tylu ludzi, co pragną się wynieść przez wiedzę, że zaiste, błogosławiony jest ten, który przez miłość dla Boga stanie się prostaczkiem nieuczonym". W ciągu paru miesięcy nowicjusz nie śmiał nalegać, ale wreszcie pokusa zwyciężyła i przyszedł znowu do Franciszka, który znajdował się w pobliżu swej celi w Porcjunkuli. Franciszek odrzekł mu chłodno: „Idź i czyń w tym względzie, jak ci wskazał przełożony". Zaledwie nowicjusz odszedł, gdy Franciszek pobiegł za nim, prosząc, aby powrócił na to samo miejsce, gdzie z nim mówił. Wówczas rzucił mu się do nóg oskarżając się, że mówił niesprawiedliwie przeciwko regule.

„Bracie — rzekł — źle postąpiłem, ktokolwiek chce być prawdziwym bratem mniejszym, nie powinien nic posiadać z wyjątkiem tego, na co zezwala reguła, to jest habitu, sznura, spodni, a w razie potrzeby, obuwia. W ten sposób zakończył się ten wypadek ku niezadowoleniu nowicjusza[1]).

Kwestja ta pozostawała nierozstrzygnięta pomiędzy Franciszkiem a braćmi, gdy w r. 1221 lub 1222, nie można ustalić ścisłej daty, dom nauki w Bolonji został otwarty na nowo dzięki interwencji kardynała Hugolina[2]). Kardynał z okazji bytności swojej w Bolonji oświadczył publicznie, że dom należy do Stolicy świętej, nie zaś do braci mniejszych, którzy z niego tylko użytkują. Oświadczenie to miało na celu ułagodzenie Franciszka. Niewiadomo, czy przystał on dobrowolnie na ten układ; w każdym razie istota zasady nieposiadania własności pozostała nietkniętą i Franciszek nie opierał się już powrotowi braci do domu.

Kardynał miał głębokie przekonanie, że w interesie Kościoła leży, aby bracia studjowali teologję i posiadali szkoły teologiczne. Istniało potemu kilka przyczyn. Ludzie tacy jak Franciszek i wielu innych w zakonie, obdarzeni wielką wzniosłością umysłu, ludzie heroicznej świętości, mogli jako kaznodzieje obyć się bez wykształcenia scholastycznego; ale inni bracia dalecy byli od tego stopnia wyjątkowego uduchowienia. W każdym razie warunki obecnie się zmieniły. Na początku, nawet niedługo przedtem bracia poprzestawali na głoszeniu „pokuty", czyli prawdziwego życia chrześcijańskiego; nie byli powołani do wykładania dogmatów wiary. Ale wobec postępów herezji kardynał pragnął rozszerzyć zakres działalności kaznodziejskiej braci, chciał, by mogli nauczać lud i zwalczać heretyków. W tym celu musieli posiadać wykształcenie teologiczne. Kościół cierpiał już istotnie z powodu kaznodziejów wędrownych, którzy przez brak znajomości teologji katolickiej nauczali herezji[3]).

---

[1]) *Spec. Perf.*, rozdz. 4; II Celano, 195.

[2]) Hugolino był w Bolonji w lipcu, sierpniu i październiku 1221 r. Por. Guido Levi, *Regestri*, str. 24—38, 108, 121. Przebywał jeszcze w Italji północnej z początkiem r. 1222 i mógł odwiedzić Bolonję w tym samym roku. Niema wszakże żadnych śladów takiej bytności.

[3]) Vide Konstytucja Ottona, biskupa paryskiego, dotycząca nieoświeconych kaznodziejów. Harduin, *Acta Concil.*, VI, str. 1945, no. 41.

Kardynał miał jeszcze inne plany. W owym czasie dawał się najdotkliwiej uczuwać brak szkół teologicznych dla duchowieństwa. Uniwersytety nie zajmowały się teologją, lub też, o ile ją wykładały, to opierały się wyłącznie na zasadach czysto spekulatywnych, co doprowadzało do wszelkich herezyj. W interpretacji Pisma św. filozofja Arystotelesa zażywała takiej samej powagi jak ojcowie Kościoła[1]). Nawet w szkołach zakonnych zajmowano się bardziej prawem i medycyną, niż Pismem św. i teologją[2]). Stolica święta usiłowała zaradzić złemu, zarządzając zakładanie szkół kościelnych; lecz rozporządzenie to pozostało przeważnie martwą literą z braku odpowiednich nauczycieli. Wówczas zajęli się tą sprawą dominikanie, i niezwłocznie starania ich zostały uwieńczone powodzeniem. Kardynał miał nadzieję, że i braciom również się to powiedzie. Ponowne otwarcie domu nauk w Bolonji było pierwszą próbą pozyskania zgody Franciszka na założenie szkoły dla braci[3]).

Jest rzeczą widoczną, że od lata r. 1222 i przez cały rok następny umysł Franciszka był silnie zaprzątnięty sprawą Bolonji. Znajdował się w tem mieście w święto Wniebowzięcia w r. 1222. Na wielkiej *piazza* wobec tłumu słuchaczy, złożonego z obywateli i studentów, wypowiedział jedno ze swoich niezapomnianych kazań. Studenci byli zachwyceni i zdumieni, słysząc, jak człowiek bez jakiegokolwiek wykształcenia szkolnego wnikał swobodnie w tajemnice religijne i wiódł swoje audytorjum po stromych szlakach myśli. Wielu studentów widziało go po raz pierwszy. Gdy mówił o obowiązkach i odpowiedzialności ludzi, którzy mają z aniołami i szatanami wspólny dar rozumu, przypatrywali się ze zdumieniem temu małemu wychudłemu człowiekowi, w połatanej nędznej odzieży; jego wygląd zewnętrzny stanowił dziwny kontrast z jego pełną ciepła i ujmu-

---

[1]) Nauka Amaury de Bena i Dawida de Dinant została właśnie wówczas potępiona uroczyście, a więc konsekwentnie zakazana była i nauka Arystotelesa zarówno w nauce publicznej jak i prywatnej. (Por. Denifle-Chatelain, *Chartul. Universit.*, Paris I, n. 11, str. 70; n. 12 str. 71; n. 22, str. 81).

[2]) Por. Denifle-Chatelain, loc. cit. N. 32, str. 90.

[3]) Por. Denifle, *Die Universitäten*, I, str. 708 A.

jącego wdzięku wymową[1]). Krótko przed Bożem Narodzeniem poruszyła silnie miasto wiadomość o liście Franciszka do braci, który to list polecił im odczytać we wszystkich szkołach bolońskich. W piśmie tem przepowiedział wielkie trzęsienie ziemi, które istotnie nawiedziło Lombardję w dzień Bożego Narodzenia i trwało przez kilka dni następnych. Przez długi czas wspominano ten kataklizm z przerażeniem[2]). W kwietniu Franciszek był znowu w Bolonji, gdzie miał kazanie i przepowiedział nowe trzęsienie ziemi, które nastąpiło w Wielki Piątek[3]).

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa te przyjazdy do Bolonji były związane z założeniem szkoły teologicznej w myśl życzenia kardynała. Tymczasem człowiek opatrznościowy, który miał znaleźć rozwiązanie tego trudnego zadania, pojawił się właśnie w Romanji. Był to brat Antoni, znany później jako święty Antoni Padewski[4]).

---

[1]) Tomasz ze Spalatro, będący wówczas studentem w Bolonji, pozostawił żywy portret Franciszka tak, jak wtedy wyglądał. Por. *Historia Pontificum Salanitanorum et Spalatinorum*, wyd. przez Heinemanna w *Mon. Germ. Hist. Script.*, XXIX str. 580. Sigonius *(De Episcopus Bonon. Opera omnia* III, col. 432) obszedł się bez skrupułów z tekstem Spalatra, dodał datę 1220 r., która została przyjęta przez pisarzy późniejszych. Ale Heinemann dowodzi, że kazanie to miało miejsce w tym samym roku, co wielkie trzęsienie ziemi w Brescji; nastąpiło zaś ono 25 grudnia 1222 r. Licząc rok według zwykłej metody od 23 marca, przekonamy się, że kazanie to wypadnie na dzień 15 sierpnia 1222 r. i tę datę przyjmuje się dziś ogólnie. (Por. Golubovitch, op. cit., str. 98; Boehmer, *Analekten*, str. 106).

[2]) Eccleston (wyd. Little), col. VI, str. 40; por. Muratori, *Annali d'Italia ad an. 1222.*

[3]) Por. Fr. Barthol. della Pugliola, *Chron. di Bologna*, w Muratori, *Rerum Ital. Script.*, XVIII, col. 254.

[4]) O św. Antonim z Padwy, por. *Vita Primitiva*, wyd. Hilaire de Paris, a także inną wersję tej samej legendy w *Portugalliae Mon. Hist. Script.* t. I. Jeszcze inną wersję znajdujemy w wydaniu Josa, *Legenda seu Vita et miracula sancti Antonii* (Bologna, 1883). Por. Rigaldi, *Vita B. Antonii*, wyd. Auraules; *Chron. XXIV. Gen.* w *Anal. Franc.* III, str. 121; Kerval. *S. Ant. de Padua, Vitae duae.* Do badań krytycznych tych źródeł pierwotnych por. Lepitre, *Saint Antoine de Padoue* (Paris, 1901); Bolland, *Acta SS.*, Junii, die 13; P. Nicolo dal-Gal, *S. Antonio di Padova* (Quaracchi, 1907); Hilarin de Lucerne, *Histoire des Etudes*, str. 139 i nast.

Pojawienie się Antoniego w historji posiada odcień romantyczny; zdarza się to często z ludźmi, obdarzonymi wybitnym indywidualizmem. Wiemy, że został bratem mniejszym w kościele kanoników regularnych w Koimbrze, u grobu braci umęczonych w Marokku. Jego jedynem pragnieniem było opowiadać naukę Chrystusową niewiernym, a także, być może, ponieść śmierć męczeńską. Ale rozbicie okrętu, następnie zaś choroba, zawróciły go do Italji w chwili, gdy miała się rozpocząć kapituła 1221 r. Udał się tam w towarzystwie wielu braci. Gdy bracia mieli już się rozejść do swoich prowincyj, zapomniano o Antonim, bracie nieznanym, milczącym, zamkniętym w sobie. Wówczas Gratiano, prowincjał Lombardji, zaproponował mu, aby się tam udał. Myślał, że Antoni może się tam przydać jako kapłan, do odprawiania mszy świętej w samotnej jakiejś pustelni. Wysłano tedy Antoniego do San Paolo w górach, niedaleko Forli w Romanji. Tam, wśród braci, oddawał się rozmyślaniu i pracy domowej. Nikt nie miał pojęcia o rozległości jego wiedzy teologicznej ani o jego talencie kaznodziejskim.

Gratiano i bracia uważali go za człowieka prostego, znającego tyle tylko łaciny, ile było potrzebne do odprawienia mszy św. W kilka miesięcy później miała się odbyć w Forli uroczystość wyświęcenia kapłanów, na którą byli zaproszeni wszyscy bracia z San Paolo. Bracia zebrali się w swoim klasztorze w Forli na wieczerzę; znajdowali się tam także dominikanie, którym udzielili gościny. Po skończonym posiłku gwardjan zwrócił się do dominikanów z prośbą, aby przemówili słów kilka ku zbudowaniu zebranych. Ponieważ żaden z nich nie chciał tego uczynić, kazano mówić Antoniemu poprostu, tak, jak go Bóg natchnie. On również odmówił, ale gwardjan nie ustępował. W imię posłuszeństwa wstał i zabrał głos. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu bracia spostrzegli, że udzielili schronienia człowiekowi genjalnemu, a nie ubogiemu duchem, jak przypuszczali. Wbrew woli Antoniego wyrwano go z jego samotni w San Paolo i w krótkim bardzo czasie lud Romanji zapałał entuzjazmem dla nowego kaznodziei, który tak niespodzianie zabłysnął.

Kazania Antoniego odznaczały się szczególnym charakterem. Miał gorący zapał moralny apostoła, który nawołuje do

pokuty, ale posiadał zarazem jasną, trzeźwą inteligencję, umysł wyćwiczony w argumentacji, dokładną pamięć tekstów Pisma św. i ojców Kościoła. Mieszkańcom Romanji potrzebne były takie właśnie kazania; nigdzie herezja nie poczyniła takich postępów; z powodu heretyków kwestje religijne stały się przedmiotem dysput i sporów.

Spotykano wszędzie katarów, którzy odrzucali władzę Kościoła i ważność sakramentów i głosili, że stworzenie pochodzi częściowo od pierwiastka zła; mieli oni licznych zwolenników i siali zwątpienie w duszach tłumów. W obronie swoich twierdzeń powoływali się na Pismo święte. Przytaczali teksty, które wykładali według metody subjektywnej, jaką posługiwali się zresztą również i kaznodzieje ortodoksyjni. Ta metoda daje możność wypowiadania wszelkich przekonań i pozwala wykładać Pismo święte zupełnie dowolnie. W ten sposób katarowie mogli w każdym niemal tekście Ewangelji znaleźć potwierdzenie nauki, którą głosili, i podawać własne zasady za natchnione słowa Pisma świętego. Istotnie wykładali oni na nowo Pismo „w świetle oświeconego rozumu“[1]). Antoni badał Pismo święte w świetle nauki katolickiej i ojców Kościoła. W sposobie, w jakim dobierał teksty, jaśniała nagromadzona mądrość świętych autorów minionych stuleci. Dzięki jednak głębokim i długotrwałym studjom i rozmyślaniom, mądrość ta stała się jego własnością, wycisnął na niej piętno własnych przeżyć duchowych. To też gdy wykładał tradycyjną naukę swych poprzedników, drgało w jego słowach przekonanie, zaczerpnięte we własnem sercu.

Nazwano Antoniego „młotem heretyków“; należy jednak zaznaczyć, że kazania jego nie miały bynajmniej charakteru dysput; mógł je był wygłaszać równie dobrze wobec zgromadzenia prawowiernych zakonników, jak w katedrze wobec tłumów, albo na placu targowym[2]). W tej postaci, w jakiej je dziś

---

[1]) Por. Felice Tocco, *L'Eresia nel Medio Evo*, str. 128—9. *„Iperfetti cathari parevano animali da una fede più razionale et più studiosi dei sacri testi“*. Podobny sposób interpretacji spotykamy u współczesnych *Christian Scientists*.

[2]) Patrz *Opera omnia S. Antonii*, wyd. de la Haye (Parisiis, 1641), specjalnie zbiór kazań. Niewątpliwie, w tej postaci, w jakiej są zapi-

posiadamy, są to raczej kazania o życiu duchowem niż wykłady nauki katolickiej, mające na celu zwalczanie herezji. W rzeczywistości należy zaliczyć Antoniego do mistyków, a nie do logików. Dyskutował nie dlatego, aby ujawnić silne i słabe strony rozumowania, ale aby narzucić jakąś prawdę niezaprzeczoną, dotyczącą życia wewnętrznego, albo jakąś naukę, której przedmiot stanowiła wiara. Zresztą, czy to idzie o zwalczanie heretyków, czy o utwierdzenie wiernych, właśnie tego rodzaju argumenty wywierają wpływ na ludzi.

Takim był brat, którego wymowa poruszyła Romanję. Już w epoce, gdy Franciszek kazał w Bolonji, opowiadano, że w Rimini, gdzie katarowie i gibelinowie oddawna drwili z Kościoła i nie chcieli słuchać Antoniego, nowego kaznodziei, ten poprosił ich, aby poszli za nim na brzeg morza. Przybywszy tam kazał rybom przypłynąć i słuchać słowa bożego. Na to wezwanie wzburzyła się powierzchnia morza od ruchu ryb, które wypłynęły, by słuchać kaznodziei[1]).

Cuda Antoniego — a czynił dziwne cuda — stanowiły tylko formę kazania, to jest były dowodem tej wiary, która w nim płonęła. Franciszek musiał niewątpliwie wiedzieć o czynach tego ucznia, który dał się ostatnio poznać i który, objawiając się braciom, uczynił cud największy. Nigdy jeszcze, według ich zdania, nie widziano takiego połączenia nauki i prostej wiary z potęgą wymowy i skromnością. Był to zaprawdę teolog według pragnień Franciszka. Później, gdy wybrano Antoniego do nauczania teologji, Franciszek napisał do niego list, zaczynający się od słów: „Bracie Antoni, mój biskupie". Były to słowa, które wyrwały mu się z serca i które świadczyły o radosnym szacunku, z jakim ten wybór powitał.

Prawdopodobnie w czasie zimy r. 1223 nastąpiło powołanie Antoniego na katedrę teologji w Bolonji. Franciszek pisał do niego z tego powodu: „Rad jestem bardzo, że będziesz wykładał braciom teologję, o ile ta nauka nie przygasi w nich ducha

---

sanc, stanowią one tylko schematy jego kazań. Wypowiadając je, czynił prawdopodobnie aluzje lokalne, które nie zostały wcielone do tekstu.

[1]) Rigaldus (*op. cit.*, str. 89) mówi, że cud ten zdarzył się niedaleko Padwy. Patrz Lepitre, rozdz. 4.

modlitwy, jak to nakazuje reguła"[1]). Dość długo utrzymywała się tradycja, że Antoni przed objęciem katedry w Bolonji udał się do Vercelli, aby przygotować się do zadania, które nań włożono. Miasto to było siedzibą nowej szkoły teologicznej, założonej świeżo w opactwie San Andrea. Szkołę tę prowadził Tomasz Gallo, który był, jak wiadomo, wysoko ceniony w kołach współczesnych uczonych teologów. Był on uczniem szkoły teologicznej św. Wiktora w Paryżu i autorem pracy o pismach przypisywanych Dionizjuszowi Areopagicie. Nie jest pewne, czy Antoni studjował w Vercelli, ale nie ulega wątpliwości, że znał kierownika tej szkoły i utrzymywał z nim przyjacielskie stosunki. Oto, co pisał o tem sam Gallo: „Liczni są ci, co wniknęli w tajemnice Trójcy Przenajświętszej. Wiem o tem z osobistej znajomości z Antonim od braci mniejszych, z którym łączyły mnie stosunki przyjaźni. Nie był on bardzo biegły w sztukach świeckich; ale w krótkim czasie nabył tak wielkiej wiedzy w zakresie teologji mistycznej, że miłość boża, którą wewnątrz pałał, promieniowała nazewnątrz w znajomości rzeczy świętych"[2]). To świadectwo tłumaczy dostatecznie, dlaczego Franciszek pozwolił Antoniemu nauczać teologji. Jeśli ta nauka miała być wykładana, to Antoni był właśnie profesorem wybranym wedle serca Franciszka.

Zbliżenie Antoniego i Tomasza Gallo nie było dziełem prostego przypadku; ich przyjaźń wynikała raczej z pewnego po-

---

[1]) Por. *Chron. XXIV Gen.* w *Anal. Franc.*, III, str. 132; II Celano, str. 163. Ścisłe znaczenie tego listu było przedmiotem licznych sporów; to też wydawcy Quaracchi zaliczają go do wątpliwych pism św. Franciszka w swojem wydaniu *Opuscules*, str. 179. Boehmer czyni podobnie, *Analekten*, str. 75. Obaj jednak uznają go za autentyczny co do treści. Tymczasem odkrycie odpisu listu w *rps. lignickim* usuwa, zdaje się, wszelką wątpliwość. Por. *Opuscules de critique hist.* tom I, str. 76. Powołanie się na regułę dowodzi, że był on napisany po jej ogłoszeniu w r. 1223, gdyż słowa: „*Sanctae orationis spiritum non extinguat*" są cytatą pięćdziesiątego rozdziału tej reguły.

[2]) E. Salvagnini, *S. Antonio di Padova e i suoi tempi* (Torino 1887), str. 93. Autor odnalazł ten ustęp w niewydanym rękopisie Gallo w Bibljotece turyńskiej. *Rps. lignicki* podaje inną wersję, loc. cit., str. 76; Glassberger, *Anal. Franc.*, II, str. 34; *Chron. XXIV Gen.* w *Anal. Franc.*, III, str. 131.

winowactwa umysłu. W szkole św. Wiktora dialektyka ustępowała mistyce. Jakkolwiek uczono tam teologji spekulatywnej, która poczynała wchodzić w modę, kładziono silniejszy nacisk na pozytywne nauczanie ojców Kościoła; zajmowano się nietyle przeprowadzeniem analizy prawdy, ile wyrobieniem sobie o tej prawdzie jasnego pojęcia[1]). Mistycy wszystkich czasów utrzymywali, że życia samego nie możemy mierzyć jedynie zdolnością logiczną umysłu, lecz tylko intuicją całej osobowości, przystosowanej do prawdy za pośrednictwem dyscypliny moralnej i umysłowej. Czysty duch franciszkański nie zadowolnił się nigdy szkołą teologiczną, poświęconą wyłącznie dialektyce. Szkołę taką, gdzie panował zimny rozum, dzieliła przepaść nieprzebyta od prawdziwych synów Ubóstwa, którymi rządziły porywy serca. Dusza franciszkańska nie poddawała się nigdy akademickiemu nauczaniu; jest ona zbyt ściśle związana z życiem rzeczywistem, w którem cała dusza ludzka, a nie sama tylko inteligencja, wzrasta i wolność zdobywa.

Ten sam duch kierował życiem umysłowem uczniów św. Wiktora. Uczyli się oni przez ćwiczenie wszystkich władz duchowych. Niedość, że człowiek czyta, trzeba, aby działał i modlił się. Wiedza przyjdzie wraz z doświadczeniem życiowem. Im większe będzie doświadczenie, tem rozleglejsza wiedza, a w szczególności wzrastać ona będzie w miarę zacieśniania się łączności pomiędzy Bogiem a stworzeniem. Taka była ich teorja. Innemi słowy ci mistycy utrzymywali, że doświadczenie życiowe i miłość stanowią źródła jedynej prawdziwej wiedzy. Wyznaczali oni rozumowi rolę zgoła podrzędną, a mianowicie rolę podporządkowania i ujmowania w formuły nabytej tym sposobem wiedzy. W Piśmie świętem, w nauce ojców Kościoła szukali świadectwa praktyk życia duchowego, zachowanych w Kościele katolickim przez Ducha Świętego, który w nim mieszka; lecz twierdzili, że tylko dusza wierząca, pałająca miłością ku prawdzie objawionej, zdolna jest zrozumieć te dowody.

Jakeśmy powiedzieli, istniało powinowactwo pomiędzy temi szkołami mistycznemi a duchem franciszkańskim; to też fran-

---

[1]) Por. Hugon de S. Vict. w Migne, *Bibliotheca*, tom CLXXV—CLXXVII.

ciszkanie mogli śmiało szukać w nich podniety i dyscypliny umysłowej zarazem, o ile brat mniejszy jako student nie upuszczał z uwagi, że istnieje różnica pomiędzy nauką, pożądaną dla franciszkanina, a nauką, udzielaną w szkołach. A oto na czem ta różnica polegała.

Z natury swego powołania brat mniejszy jest zarazem misjonarzem i apostołem; jego zadaniem jest nieść Ewangelję ludowi, bądź słowem, bądź przykładem. Mistyk może w życiu duchowem stanowić kategorję odrębną, różną od tłumu ludzkiego, może wstępować na strome ścieżki, nie mające uroku dla zwykłych śmiertelników, nawykłych do pierwotnych praktyk duchowych. Zdaniem Franciszka zaś, bracia mniejsi muszą zawsze trzymać rękę na pulsie ludzkości w walce, jaką toczą, aby dojść do życia duchowego. Winni się oni wystrzegać, aby w swych studjach duchownych nie tworzyć pewnej arystokracji, lecz przeciwnie — czuwać nad zachowaniem węzłów koleżeństwa moralnego, łączących ich z prostaczkami i z tymi, co nie otrzymali żadnego wykształcenia. Powinni być prości w swych kazaniach i przemówieniach, nie używać długich wyszukanych okresów, z których ubodzy i prostaczkowie nie odniosą żadnej korzyści[1]). Trzeba nadto, aby najuczeńszy brat potrafił zapomnieć o swej wiedzy, aby służyć ludziom w rzeczach najpospolitszych i najniższych, o ile to się okaże potrzebnem. Nauka, choćby najświętsza, nie może nigdy być przeszkodą do życia Ubóstwa, które wymaga serdecznego wniknięcia w życie duchowe, umysłowe i moralne, jakie wiodą ludzie ubodzy. Braciom, posiadającym niejakie wykształcenie, Franciszek przypominał te prawdy z naciskiem; z tej też zapewne racji, razu jednego, gdy któryś z braci wystrzygał mu tonsurę, Franciszek kazał, aby była malutka, „bo chciałbym — rzekł — aby moi prości bracia mieli cząstkę w mojej głowie“[2]). W ten sposób chciał dać do zrozumienia, że bracia - kapłani powinni być uprzejmi dla wszystkich, zarówno dla uczonych jak dla prostaczków.

Franciszek aż do końca śledził organizację szkół dla braci z pewnym wewnętrznym niepokojem. Nie obawiał się Anto-

---

[1]) *Regula II*, rozdz. IX.

[2]) II Celano, 103.

niego ani tych, co byli do niego podobni; co do innych jednak, a było ich wielu, lękał się, że zamiłowanie do nauki zatraci w nich prostotę ducha, właściwą ich powołaniu.

Nie możemy rozpatrywać na tem miejscu późniejszej historji szkół franciszkańskich i ich wybitnego wpływu na rozwój myśli w trzynastem i czternastem stuleciu. Zaznaczymy tylko, że istotę swego wpływu zawdzięczają one temu uporczywemu naleganiu Franciszka na to, aby studja intelektualne były podporządkowane życiu i nie odciągały braci od powołania, które obrali. To właśnie nadawało uczonym franciszkanom wybitną indywidualność myśli, a kaznodziejom franciszkańskim szczególną władzę nad ludem. Usprawiedliwia to zarazem opozycję Franciszka wobec Piotra Stacia i jego zwolenników.

ROZDZIAŁ VIII.

Próba.

Dwa lata, które nastąpiły bezpośrednio po kapitule jeneralnej 1221 roku, mogą słusznie być nazwane agonją Franciszka. Niby chmury brzemienne burzą, troski o los reguły rzucały mrok na jego duszę. Gnębiły go smutne przeczucia, ogarniało znużenie i zniechęcenie. Jego wiara w zakon, który założył, i w powołanie, do którego pociągnął braci, przebywała ciężką próbę.

W pierwszych dniach po nawróceniu pokusy oraz drwiny świata, który porzucał, również były próbą jego wiary, ale wówczas, w udręce nawet znajdował radosną podnietę młodej miłości, nowego ślubu. Przyszłość ukazywała mu się jako przecudna wizja nadziei i wolności. Wizja ta stała się ciałem z biegiem czasu przez utworzenie zakonu, przez piękne życie, jakie wiedli liczni bracia. Aż do chwili, gdy w zakonie zaczęto wątpić o mądrości jego nauki, serce Franciszka przepełniała zawsze głęboka radość.

Wtedy przyszła na niego ta bezmierna troska, jakiej doznaje człowiek, gdy stanie w sprzeczności z tymi, których otaczał pieczą i których miłował, jak życie własne. Utracił teraz swoją beztroskę i swobodę, w mowie jego zadrgała nowa jakaś nuta. Nie był to już wódz pełen niezachwianej namiętnej wiary w zwycięstwo i wierność swoich żołnierzy; nie był już tym, którego słowa wyrażały zaufanie nawet wtedy, gdy brzmiały jak nagana. Stał się niby świadkiem, składającym zeznanie przeciwko zdradzie i brakowi wierności.

Do tej udręki duchowej przyłączyło się osłabienie i wzmagające się cierpienia fizyczne. Podróż na Wschód zrujnowała mu zdrowie; choroba, która niebawem miała położyć kres jego

życiu, zadawała mu istne tortury[1]). Franciszek zniósłby radośnie ból fizyczny, ale cierpienia moralne pogrążały jego duszę w ciemności. Dotychczas widział tak wyraźnie wolę bożą w utworzeniu zakonu; teraz miał wrażenie, że Bóg cofnął swą dłoń kierującą, i że rozpętały się złe moce.

Wynikło stąd zmniejszenie tej swobody ducha, która dotąd stanowiła charakterystyczną cechę jego charakteru. Popadł w obawę zła i grzechu. Swoboda ewangeliczna, którą kochał jako warunek służby miłości, była teraz, jego zdaniem, wystawiona na szwank ze strony świeckości duchowej. Ta właśnie swoboda mogła być przez wrogie pierwiastki użyta ku zburzeniu reguły.

Ta uporczywa obawa złego ujawniała się zarówno w słowach, jak w sposobie postępowania. Zdradzał surowość zupełnie niezgodną ze swem usposobieniem. Z początku, naprzykład, pozwolił braciom w razie potrzeby przyjmować pieniądze dla ulżenia doli trędowatych; teraz zaczął ograniczać tę swobodę, gdyż widział, że wielu braci nie posiada szczerego zaufania do bezwzględnego ubóstwa[2]). Zaszła nawet wybitna zmiana w jego nauce o posłuszeństwie. Dawniej żądał od braci posłuszeństwa opartego na wzajemnej miłości, uległości jednych względem drugich, a także względem wszystkich ludzi, znoszonej i wymaganej z gorącą, czynną miłością. Odtąd zamilkła ta nuta radosna dobrowolnej uległości. Porównywa brata, który ślubował posłuszeństwo, do trupa bez woli osobistej, popychanego tu i tam za wolą innych[3]). Cała siła jego argumentacji kładzie nacisk na samą uległość raczej, a nie na miłość, która winna być jej podstawą.

Nowy dowód zmiany, jaka zaszła w duszy Franciszka, widzimy w jego stosunku do sióstr z San Damiano. Dotychczas uważał je za członków zakonu Ubóstwa, okazywał im rycerskie przywiązanie, równie szczere jak czyste i wolne od wszelkich względów ziemskich. Postępował w stosunku do nich jak rycerz szlachetny, pomagając im w potrzebie, wspierając je na

---

[1]) Por. *Spec. Perfect.*, rozdz. 91.

[2]) Por. Celano, 68. Reguła z r. 1221 zachowuje to pozwolenie, ale reguła z r. 1223 nic o niem nie mówi.

[3]) II Celano, 152; *Spec. Perfect.*, rozdz. 48.

ciężkiej drodze powołania własną odwagą i radami. Istniało pomiędzy nimi wzniosłe obcowanie dusz tak pochłoniętych wizją rzeczy duchowych, że nie odczuwały żadnych niższych pragnień. Trwało to od chwili wstąpienia Klary do zakonu; myśl, że to szlachetne i mądre obcowanie mogłoby zgorszyć innych, nie omroczyła nigdy duszy Franciszka. Teraz czuł się skrępowany obawą, że i w tem także inni mogą obrócić na swe zło duchową swobodę dzieci bożych.

Zaprzestał więc odwiedzać siostry. Gdyby nie interwencja Klary, mógł wówczas łatwo nastąpić rozdział pomiędzy zakonem a siostrami; mogły były być pozbawione wszelkiej rady braci, nawet w dziedzinie duchowej. Instynktem kobiecym odgadła, jaka troska owładnęła duszą Franciszka. Wywnioskowała stąd, jakie to dla niej i dla sióstr sprowadzi konsekwencje. To też odważnie podjęła obronę Franciszka przeciwko niemu samemu. Za pośrednictwem braci zaprotestowała przeciwko jego dobrowolnemu odsunięciu się od San Damiano; zaznaczyła, że jest to złamanie przyrzeczenia zajmowania się siostrami. W trosce swej Franciszek rzekł tym, co mu o tem donieśli: „Nie myślcie, bracia, że nie miłuję ich doskonale; bo też jeśliby było złem miłować je w Chrystusie, to czyż nie większem złem było połączenie ich z Chrystusem? Zaprawdę, nie byłoby złem nie powołać ich, ale nie dbać o nie, skoro się je powołało, byłoby najgorszą złośliwością. Daję wam przykład, abyście sami czynili tak, jak ja czynię“. Skłoniono go wreszcie do tego, by odwiedził siostry i mówił z niemi. Nawet wtedy jednak nie opuścił go niepokój; siostry czekały, że do nich przemówi, a on wziął garść popiołu, posypał nim ziemię dokoła siebie, przysypał nim głowę i odszedł natychmiast, odmówiwszy jedynie psalm „*Miserere*“. Niektórzy autorzy utrzymują, że Klara nakłoniła Franciszka do spożycia obiadu razem z nią i z kilku siostrami, na co on miał przystać, aby dać dowód, że opiekuje się niemi prawdziwie po ojcowsku[1]).

---

[1]) Patrz II Celano, 205—7. Wypadek opisany w *Actus*, rozdz. 15 i we *Fioretti*, rozdz. 25 należy porównać z ustępami, przytoczonemi przez Celano. Autor *Actus* prawdopodobnie upiększył tę historję; ale naogół należy przyjąć, że Franciszek spożył obiad z Klarą, co miało być dowodem wzajemnego przywiązania.

Teraz w swem udręczeniu Franciszek unikał licznego towarzystwa braci. Usuwał się do samotnych pustelni, gdzie w modlitwie walczył przeciwko złu, które spadło na niego i na zakon[1]). Niekiedy, gdy mu donoszono o braciach, którzy schodzili z właściwej drogi, wybuchał bolesnemi skargami. Podobne wieści działały nań tak, jak rozpalone żelazo na krwawiącą ranę. Razu jednego, gdy się dowiedział, że niektórzy bracia w pogoni za nowością zaczęli zapuszczać brody, i że to działało na lud jako dowód surowości obyczajów, wzniósł oczy do nieba i zawołał: „O Panie Jezu, któryś wybrał dwunastu apostołów i który pomimo upadku jednego z nich pozwoliłeś innym przywiązać się do Ciebie i głosić Ewangelję, ożywiając ich duchem Twoim! O Panie, któryś w tej ostatniej godzinie wspomniał na Twe dawne miłosierdzie i wzbudziłeś zakon Braci Mniejszych, aby stał się podporą Twojej wiary i aby przezeń spełniła się tajemnica Ewangelji! Któż da za nich zadośćuczynienie Twemu boskiemu Majestatowi, skoro oni nietylko nie świecą ludziom przykładem, ku czemu zostali powołani, lecz dają świadectwo dziełom ciemności? Niechże będą przeklęci przez Ciebie, o Panie Najświętszy, przez cały dwór niebieski i przeze mnie maluczkiego! Niech będą przeklęci, że przez zły przykład okrywają wstydem i rujnują to, coś Ty zbudował i budujesz przez świętych braci tego zakonu"[2]). Kiedy indziej wołał z goryczą: „Ci synowie ojca żebraka nie będą się wstydzili kiedyś przywdziać szkarłatnych szat wytwornisiów, nie pozostanie im, jak zmienić tylko barwę"[3]).

Nie należy myśleć, że ci niewierni bracia reprezentowali cały zakon, albo że dysydenccy ministrowie pociągnęli za sobą wszystkich braci. Gdyby można było usunąć trudności, apelując do przywiązania braci ku Franciszkowi, niewątpliwie większość

---

[1]) II Celano, 157.

[2]) II Celano, 156. Eccleston mówi, że po kapitule, na której Jan Parenti był wybrany jenerałem zakonu, brat Eljasz usunął się do pustelni, zapuścił brodę i włosy. Dodaje, że symulując w ten sposób świętość *(simulatio sanctitates)*, odzyskał sympatję braci. Por. wyd. Little, str. 81.

[3]) II Celano, 69; *Spec. Perfect.*, rozdz. 15. Celano, 16, używa tego samego zwrotu, mówiąc o młodości Franciszka. *„Qui quondam scarulaticis utebatur"*.

byłaby stanęła po jego stronie.. Ale pomiędzy nimi a Franciszkiem istniał obecnie legalnie zorganizowany zarząd, a wiele głównych stanowisk spoczywało w rękach dysydenckich ministrów; tak przynajmniej było w Italji. Byli to właśnie ludzie najzręczniejsi i najmądrzejsi w rozumieniu światowem, i na tej właśnie mądrości spoczywała ich władza. Oni również mieli swych zwolenników.

Niektórzy z braci wiernych Franciszkowi i pierwotnym obyczajom mieli za złe Franciszkowi, że nie obszedł się surowiej ze swymi przeciwnikami. Ich zdaniem wszystko byłoby dobrze, gdyby Franciszek zgodził się ująć ster zarządu i złożyć z urzędu ministrów dysydenckich. Niekiedy czynili mu wyrzuty, że powierza innym zarząd zakonu. Ale Franciszek, nie zdając sobie z tego sprawy, lepiej jednak ocenił położenie niż jego zwolennicy. Odrzekł raz jednemu z nich na czynione sobie wymówki: „Mój synu, kocham braci, ile tylko mogę; gdyby jednak chcieli iść za mną, kochałbym ich zaprawdę bardziej jeszcze, i nigdy nie stałbym się obcym pomiędzy nimi. Ale są przełożeni, którzy ich kierują na inne drogi, stawiają im przed oczy przykłady starożytnych i mało cenią moje rady; ale wkońcu okaże się wyraźniej, co oni czynią i w jaki sposób postępują"[1]). Franciszek w swojej mądrości wolał zostawić na czas pewien swobodę działania opornym ministrom. Był przekonany, że opozycja upadnie sama i ujawni wyraźnie swoje światowe tendencje. Innym razem, gdy nalegano na niego, by złożył z godności niektórych ministrów, którzy się uporczywie trzymali swych stanowisk i nadużywali pokładanego w nich zaufania, odrzekł: „Pozwólcie im żyć, jak chcą, gdyż potępienie niewielu mniejsze ma znaczenie, niż zatrata wielkiej liczby"[2]).

Sprawa bowiem doszła do tego, że w zakonie mogło bardzo łatwo wytworzyć się odszczepieństwo. Kierunek obrany przez ministrów dysydenckich wywołał rozłam wśród braci, którzy podzielili się na dwa obozy: na zwolenników pierwotnego sposobu życia, przyjętego w zakonie, i na tych, co pragnęli stosować metody bardziej zbliżone do obyczajów świeckich. Poza tem wśród ogólnego nieładu byli tacy, co zatracili zupełnie

---

[1]) I Celano, 188; *Spec. Perfect.*, rozdz. 41.

[2]) Ibid.

poczucie zależności od władzy, i nie zwracając uwagi na przełożonych, szli własną drogą[1]). Zjednoczenie serc, które w pierwszych dniach czyniło ubóstwo lekkiem i radosnem, przestało istnieć. Poznano teraz sprzeczki i słowa gniewu. Zbudziła się skłonność do lekkiego traktowania życia i do unikania pracy[2]).

Wzrost liczby braci przyczynił się w znacznej mierze do tego rozprzężenia karności. Wielu z nich wstąpiło do zakonu nietyle przez chęć zaparcia się siebie, ile pod wpływem ogólnie panującego zapału. Zakon stał się popularny, co dla zgromadzenia religijnego jest zawsze niebezpieczne. Franciszek sam zdawał sobie z tego sprawę. „Dałby Bóg — zawołał raz — żeby było mniej braci mniejszych i żeby świat, widząc ich rzadko, dziwił się, że jest ich tak niewielu!"[3]). A jednak uważał za swój obowiązek otworzyć jak szeroko drzwi zakonu, tak jak Chrystus otwarł narozcież drzwi Kościoła.

To lekceważenie dyscypliny, którego dopuścili się niektórzy bracia, przyczyniło się do zaostrzenia konfliktu pomiędzy Franciszkiem a ministrami. Dało ono broń w rękę tym, co utrzymywali, że idealizm reguły jest zbyt wzniosły dla zwykłych śmiertelników i że należy powrócić do reguł dawniejszych, które łatwiej można było zachowywać.

Nigdy prawdziwa energja Franciszka nie zajaśniała wspanialej, jak w tem trudnem położeniu. Człowiek słabszy, mniej opanowany, byłby uczynił jedno z dwojga: albo, zwątpiwszy o swym ideale, byłby się poddał, albo też przeciwstawiłby się bezwzględnie, co wywołałoby rozłam, a nawet całkowite rozwiązanie zakonu. Franciszek nie zajął żadnego z tych stanowisk. Droższem ponad wszystko było dla niego powołanie Ubóstwa; ale miłość zakonu, który według niego był powołany przez Boga, aby dać świadectwo temu uwielbianemu Ubóstwu, stanowiła nieodłączną część tej najwyższej miłości. Modlitwą, przy-

---

[1]) Por. II Celano, 32; *Conformit.*, w *Anal. Franc.*, IV, 432—3. 18 grudnia 1223 r. Honorjusz III wydał bullę „*Fratrorum minorum*", zawierającą ekskomunikę braci, porzucających zakon. (Sbaralea, *Bull.*, I, str. 19.)

[2]) Por. *Spec. Perfect.*, rozdz. 52; *Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, 445.

[3]) II Celano, 70.

kładem, napomnieniami usiłował z całą lojalnością utrzymać zakon. W rzeczywistości byłby wolał, aby zakon raczej przestał istnieć, niż gdyby miał nie dochować wierności ewangelicznym zasadom Ubóstwa. Zdawało mu się niekiedy, że wierni słudzy reguły będą wydaleni z zakonu, zmuszeni usunąć się do zapadłych w lesie pustelni i żyć w samotności, aby móc przestrzegać Ubóstwa[1]). Obawiał się tej najgorszej ostateczności, to też oświadczył, że o ileby ogół braci porzucił drogę Ubóstwa, upoważnia tych, co pozostali wierni, aby oddzielili się od zgromadzenia i z jego błogosławieństwem zamieszkali gdzie indziej. Razu jednego pewien brat, pochodzący z Niemiec, zwrócił się do niego z następującą prośbą: „Jeżeli za mego życia bracia odstąpią od ścisłego przestrzegania reguły, nadanej przez ciebie z natchnienia Ducha Świętego, rozkaż mi, podobnie jak i braciom pragnącym przestrzegać reguły w całej jej czystości, oddzielić się od tych, co jej zachowywać nie zechcą". Franciszek wysłuchał go z wielką radością. Potem pobłogosławił brata i rzekł: „W imieniu Chrystusa i swojem pozwalam ci na to, o co prosisz"; — a kładąc prawą rękę na głowę proszącego, dodał: „Jesteś kapłanem po wszystkie czasy, według zakonu Melchizedecha"[2]).

Podobno w ostatniej Regule z r. 1223 chciał zamieścić klauzulę, na której mocy wszyscy bracia w podobnych okolicznościach mieliby prawo tak postąpić.

To pozwolenie wszakże odnosiło się do ostatecznego wypadku, w którym bracia uważaliby, że pozostając w zakonie, złamią regułę. W takim razie Franciszek widział tylko jeden obowiązek: wierność przyjętej regule. Ale poza tą ostatecznością Franciszek radził cierpliwość. Wśród wiernych braci było wielu takich, którzy byliby chętnie opuścili przełożonych i w ten sposób zburzyli zakon. Franciszek nie chciał do tego doprowadzić. Lepiej było, jego zdaniem, cierpieć — póki to było możliwe — prześladowanie dla sprawiedliwości. Miał nadto nadzieję, że to prześladowanie, znoszone cierpliwie, oczyści cały zakon i nawróci go do dawnej wierności. Dlatego też ku pouczeniu tych cierpiących braci napisał swoją „Admonicję".

---

[1]) *Conformit.* w *Anal. Franc.*, IV, str. 428.

[2]) *Legenda vetus,* rozdz. 3 w *Opuscules,* str. 96.

„Jeśli przełożony nakazuje bratu coś, co jest sprzeczne z dobrem jego duszy, wolno mu nie posłuchać, ale nie powinien opuszczać przełożonego. A jeśli wskutek tego cierpi prześladowanie od niektórych, niech ich zato tem więcej miłuje. Ten bowiem, kto woli raczej cierpieć prześladowanie, niż rozdzielić się z braćmi, trwa zaiste w doskonałem posłuszeństwie, gdyż życie swoje za nich daje." A ponieważ wiedział, że niektórzy byliby chętnie braci opuścili, nie dla doskonalszego przestrzegania reguły, lecz aby czynić wedle własnej woli, dodał: „Wielu jest bowiem zakonników, którzy pod pozorem szukania rzeczy lepszych, niż te, które im nakazują przełożeni, patrzą wstecz i wracają do wymiotów swej własnej woli. Są to zabójcy; swym złym przykładem powodują zgubę wielu dusz"[1]).

On sam, wierny wizji Jezusa Chrystusa, który był światłem jego życia, przyjął opozycję ministrów i niezbyt nadprzyrodzone skłonności, które ujawniały się wśród braci, z radosną cierpliwością i z pełną odwagi słodyczą, jaką zalecał innym. Gdy go namawiano, aby użył swej prawnej władzy, by zmusić opornych zapomocą kar do przestrzegania reguły, odpowiadał: „Nie mam zamiaru stać się katem, aby ich karać, jak to czynią urzędnicy tego świata. Moja misja jest czysto duchowa, polega ona na pokonywaniu ich wad i dążeniu do ich poprawy przez moje słowa i przykład"[2]).

---

[1]) Admonicja III w *Opuscules*, str. 7. Zarówno w Regule z r. 1221 jak i w Regule z r. 1223 Franciszek zamieścił przepis, nakazujący braciom, którzy nie mogą przestrzegać reguły w duchu, aby się zwrócili do swoich ministrów. „Ministrowie winni ich przyjąć z dobrocią i miłością". *(Reg., 1223,* rozdz. X.) Przepis ten odnosi się według wszelkiego prawdopodobieństwa do tych, którym potrzeba większej swobody w przestrzeganiu reguły, następuje on bowiem po przepisie, nakazującym braciom posłuszeństwo względem przełożonych „we wszystkich rzeczach, które przyrzekli Bogu zachowywać i które nie sprzeciwiają się ani ich duszy ani regule". O. Pascal Robinson w swoim przekładzie Reguły (Patrz *„The Writings of S. Francis,* str. 72) zamieścił w cudzysłowie: „ci, co są winni", jakgdyby ci, co się zwracają do ministrów, popełniali jakąś winę, gdy tymczasem bracia, którzy korzystali z tego pozwolenia, pragnęli właśnie przestrzegać reguły w sposób doskonalszy. Por. *Conformit.* w *Anal. Franc.*, str. 422—23.

[2]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 71. *Scripta Fr. Leonis,* loc. cit. str. 97.

Niekiedy, coprawda, naturalne dążenie do władzy, które zamłodu skłoniło go do przewodniczenia gromadce towarzyszów, przejawiało się w nim znowu. Tak np. razu jednego zawołał: „Jeżeli będę na kapitule, to pokażę im, jaką mam wolę"[1]). Lecz hamował się zawsze, przypominając sobie o pokorze i słodyczy, jaka przystoi bratu mniejszemu. Przy tej sposobności opowiedział, jakby się w danym wypadku zachował. „Zdaje mi się, że nie byłbym prawdziwym bratem mniejszym, gdybym nie uczynił tak, jak wam powiem. Wyobraźcie sobie, że bracia zapraszają mnie na kapitułę i okazują mi wielki szacunek; wzruszony ich poważaniem udaję się tam wraz z nimi. Gdy się wszyscy zgromadzili, zachęcają mnie, aby im głosić słowo boże, i proszą, abym miał kazanie. Mówię, jak mnie natchnął Duch Święty. Wyobraźcie sobie, że po skończonem kazaniu zaczynają wołać: „Nie chcemy, byś rządził nami; nie posiadasz odpowiedniej wymowy, jesteś zaprawdę zbyt prosty i niewykształcony; to wstyd dla nas, że przełożonym naszym jest człowiek tak prosty i zasługujący na pogardę. Nie myśl, że odtąd będziesz naszym przełożonym". W ten sposób odtrącą mnie, obrzucając wyzwiskami i zniewagami. Zdaje mi się, że nie byłbym bratem mniejszym, gdybym się nie radował, że mają mnie za nic i że mnie odtrącają okrytego wstydem"[2]). Widać z tego, że chciał zostać jak najwierniejszym duchowi swego powołania; chciał zwyciężyć zło, które go spotykało, nie jak panowie świata, lecz cierpieniem, jak Chrystus.

Podczas kapituły na Zielone Świątki r. 1223 omawiano ponownie rewizję reguły[3]). Prawdopodobnie kardynał Hugolino przekonał Franciszka o konieczności przerobienia reguły w celu uzyskania od Stolicy świętej ostatecznego i uroczystego zatwierdzenia. Konieczność posiadania reguły zatwierdzonej przez

---

[1]) II Celano 188; *Spec. Perfect.*, rozdz. 41.

[2]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 64.

[3]) Por. *Epistola III „ad quaemdam ministrum* w *Opuscula,* str. 109. List ten był najwidoczniej pisany w r. 1223; czyni on aluzję do tych rozdziałów. Reguły, które mówią o grzechach śmiertelnych (patrz rozdz. V, XIII i XX Reguły z r. 1221) i wspomina o poprawce, która pojawia się w Regule z r. 1223.

niepodlegającą zakwestjonowaniu władzę stawała się rzeczą z każdym dniem pilniejszą.

Wprawdzie Inocenty III sankcjonował regułę pierwotną, ale ta słowna aprobata przez sam swój charakter zawieszała ją w stadjum przejściowem. Dawało to braciom prawną swobodę zmieniania lub rozszerzania jej przepisów na podstawie doświadczenia i pozwalało władzom kościelnym zmieniać jej charakter. Ministrowie, biegli w prawie kanonicznem, znali ten ważny punkt. Z drugiej strony trudno było wymagać, aby reguła przerobiona, z dodatkiem wielu przepisów, mogła, jako taka, uzyskać aprobatę papieską. Autorytet reguły został więc podany w wątpliwość i stał się przedmiotem dyskusji; w ten sposób zakon nie posiadał w swojem łonie władzy, do której mógłby się odwołać. Inaczej było w pierwszych czasach, gdy bracia przyjmowali słowa Franciszka z niezachwianą wiarą. Obecnie zarząd, zasadzający się na zaufaniu, ustąpił administracji, opartej na prawie.

Z prawnego jednak stanowiska Reguła z r. 1221 mogła podlegać wielu zarzutom. Był to dokument bardzo rozwlekły, stanowiący, jakeśmy widzieli, zlepek reguły pierwotnej, dekretów kapitularnych, rozporządzeń papieskich i długich admonicyj; naogół przedstawia ona raczej proroczą wizję doskonałości, niż praktyczny kodeks dyscypliny dla zwykłych śmiertelników, mających wstąpić do tak licznego zgromadzenia. Nie ulega kwestji, że kardynał Hugolino nalegał, aby Franciszek nadał regule ściślejszą, bardziej legalną formę, jakiej wymagać będzie Stolica święta, zanim udzieli ostatecznej aprobaty[1]).

Tak więc Franciszek przystąpił na nowo do napisania reguły. Uczynił to z wielkiem wzruszeniem. Zdawało mu się. że będzie to świętokradzkie dotknięcie Ozy do arki Pańskiej. Pewnej jednak nocy, gdy gnębiła go ta troska, śniło mu się, że zbierał z ziemi drobne okruchy chleba, aby nakarmić tłum zgłodniałych braci. Okruchy te były tak małe, że obawiał się, iż gdy je będzie rozdzielał, wypadną mu z ręki. Wtedy głos

---

[1]) Rolę Hugolina w ostatecznej rewizji reguły wskazuje wyraźnie bulla „*Quo elongati*" z d. 28 września 1230 r. (Sbaralea *Bull.* I, str. 68): „*In condendo praedictam regulam obtinendo confirmationem ipsius per Sedem Apostolicam, sibi astiterimus*".

jakiś przemówił: „Franciszku, uczyń z tych okruchów jeden chleb i nakarm tych, co będą łaknęli“. Tak też uczynił, a bracia, którzy nie chcieli go przyjąć, albo też wziąwszy, odrzucili go z pogardą, zostali dotknięci trądem. Sen ów zdziwił Franciszka, był bowiem jakgdyby odpowiedzią na jego modlitwę, a jednak nie mógł zrozumieć jego znaczenia. Nazajutrz, gdy się modlił, usłyszał głos: „Franciszku, okruchy, któreś widział tej nocy — to słowa Ewangelji; chleb — to reguła, trąd — to grzech“[1]). Franciszek uznał, że sen zawiera rozkaz boży, aby ponownie napisał regułę.

Ale nato musiał usunąć się daleko od hałaśliwego tłumu. Wziął ze sobą dwóch braci, Leona i Bonizza, opuścił Porcjunkulę i udał się do pustynnej miejscowości w górach, niedaleko Rieti, znanej pod nazwą Monte Rainerio[2]). Była to dzika pieczara skalna, położona wysoko w łonie gór; prowadziła do niej stroma ścieżka. Góra była pokryta gęstym lasem; pieczara znajdowała się nad dzikim jarem, w którego głębi szumiał potok górski. Na szczycie góry wznosił się dom, należący do pani Columba. Pozwoliła ona Franciszkowi przebywać swobodnie na górze i zaspokajała jego potrzeby, szanując zarazem samotność świętego.

Przyroda na Monte Rainerio czyni wrażenie jakiegoś bóstwa siły. W ogólnym jej widoku, w spiętrzonych szczytach, które ciemnieją wdali, w Abruzzach, jest jakaś moc niezniszczalna, jakiś wspaniały majestat: głęboka cisza tej pustelni przypomina milczenie wielkiej duszy. To właśnie skłoniło Franciszka do szukania tam schronienia w przełomowej chwili jego wielkiej troski; nigdy bowiem siła nie była mu potrzebna bardziej niż obecnie. Pisząc Regułę, Franciszek modlił się i pościł. Gdy skończył, wrócił do Porcjunkuli i oddał swoją pracę bratu Eljaszowi, wikarjuszowi jeneralnemu, aby odczytał ją ministrom. Stała się wówczas rzecz ciekawa. W kilka dni później Eljasz

---

[1]) II Celano, 209; *Leg. Maj.*, rozdz. 102.

[2]) Obecnie nazywa się *Fonte Colombo*, która to nazwa pochodzi, jak mnie objaśniono za mojej tam bytności, od *Fundus Columbae*, majątku pani Columba. Jednak w *Spec. Perfect.* samotnia św. Franciszka na Monte Rainerio jest nazwana *Eremitorum de Fonte Columbarum*, (rozdz. 67, 110, 115).

powiedział Franciszkowi, że Reguła zaginęła przez czyjeś niedbalstwo. Dziwne zaiste niedbalstwo[1]); nie można się oprzeć myśli, że została ona zniszczona umyślnie przez Eljasza, czy też przez kogoś innego — niewiadomo. Nie ma znaczenia, kto ją istotnie zniszczył; możemy tylko stwierdzić z całą pewnością, że Eljasz i dysydenccy ministrowie nie życzyli jej sobie wcale Nowa Reguła, jakkolwiek bardziej zwięzła, niż Reguła z r. 1221, zawierała jednak wszystkie przepisy, przeciwko którym protestowali ministrowie. Żądali oni, aby braciom wolno było przyjmować i posiadać wspólnie własność, którąby zabezpieczała ich potrzeby[2]). Czemu nie mieli, jak inne zakony, posiadać własności? Franciszek mógł na to odpowiedzieć tylko to, co odpowiadał zawsze, że Bóg powołał go, aby wstępował w ślady Chrystusa na drodze do najświętszego ubóstwa, jak to on i bracia praktykowali z początku, i że nie chce zdradzić swego powołania.

Tak tedy Franciszek udał się znowu do swej pustelni na Monte Rainerio, ciężko zasmucony tą uporczywą opozycją. I znowu modląc się i poszcząc podyktował bratu Leonowi po raz wtóry nową Regułę[3]). Ale ministrowie w wielkiem podnieceniu dotarli do jego samotni, zapowiadając, że nie będą podlegali regule w tej postaci, w jakiej ją napisał. Franciszek przyjął ich słusznem oburzeniem, w którem gniew łączył się ze smutkiem i kazał im opuścić zakon, jeśli nie chcą przyjąć reguły[4]).

---

[1]) *Leg. Maj.*, IV, 11; por. *Spec. Perfect.*, rozdz. I; *Verba S. Franc.* No. 2 w *Documenta Antiqua*, wyd. Lemmens, Cz. I, str. 101. Św. Bonawentura mówi, że Eljasz „utrzymywał, że była zgubiona przez niedbalstwo“, — *„assereret per incuriam perditam“;* ale *Spec. Perfect.*, i *Verba* mówią poprostu, że zginęła, nie czyniąc z tego powodu żadnego zarzutu Eljaszowi. Jest zupełnie możliwe, że Franciszek napisał pierwszy szkic nowej Reguły przed kapitułą Zielonych Świątek i że następnie wysłał do Monte Rainerio swój list *„Ad quemdam ministrum“*, wspomniany wyżej.

[2]) *Verba S. Franc.*, loc. cit., str. 101.

[3]) Por. Ubertino da Casale, *Arbor Vitae,* ks. V, rozdz. 3: *„nam quod sequitor a sancto fratre Conrado praedicto et viva voce audivit a sancto fratre Leone qui presens erat et regulam scripsit“.*

[4]) Por. *Spec. Perfect.* rozdz. 1; *Verba S. Franc.*, loc. cit., str. 101—2. Patrz *Actus S. Franc.* w *Valle Reatina,* dokumecie z XV w. ogło-

Niepodobna ustalić dziś dokładnie zmian, wprowadzonych przez Franciszka do Reguły z r. 1221 w tych dniach bolesnych na Monte Rainerio. Gdy bowiem ukończył swe dzieło, udał się do Rzymu, aby je przedstawić kardynałowi Hugolino, przedtem nim je przedłoży do zatwierdzenia papieżowi. Bardzo możliwe, że kardynał skłonił go do skreślenia niektórych artykułów, przeciwko którym podnosili protest ministrowie. Godnem uwagi w Regule zatwierdzonej ostatecznie przez Inocentego III jest opuszczenie rozdziału Reguły pierwotnej, który mówi słowami Ewangelji: „Gdy bracia idą w świat, niech nie biorą nic w drodze, ani laski, ani taistry, ani chleba, ani pieniędzy“ i t. d. Ta rada ewangeliczna nadała charakterystyczne piętno pierwszym czasom dziejów franciszkańskich[1]). Była ona najpełniejszym wyrazem tej wzniosłej ufności w Opatrzność bożą, na której zasadzało się życie zakonu. Franciszek nie byłby sam skreślił tego rozdziału; mógł to uczynić jedynie na skutek nalegania kardynała i w celu stłumienia skandalu, wywołanego przez opozycję ministrów[2]). W rezultacie kardynał mógł mu powiedzieć, że ponieważ reguła nakazuje bezwzględne ubóstwo, przeto w tym przepisie zawiera się istotnie ów nakaz szczególny.

Franciszek pragnął zamieścić w Regule różne przepisy, których ministrowie nie chcieli przyjąć, jak np. przepis, odnoszący się do Najśw. Sakramentu: „Jeśli w swych wędrówkach po świecie bracia zauważą, że Najśw. Sakrament przechowuje się w cyborjum lub w tabernakulum mało odpowiedniem, powinni upomnieć kapłanów, aby zaradzili temu położeniu, a jeśli kapłani odmówią temu żądaniu, aby bracia sami w ich zastępstwie to uczynili“. W praktyce przepis ten nie omieszkałby wywołać nieporozumień pomiędzy braćmi a duchowieństwem[3]).

---

szonym przez Sabatiera w *Legenda Antiquissima*, str. 255—61; por. *Conformit.* w *Anal. Franc.* IV, str. 516; Angelo Clareno, *Expositio Regulae*, fol. 43b.

[1]) Por. *3 Soc.*, rozdz. 11; *Chron. Jordani* w *Anal. Franc.* I, No. 6, str. 3.

[2]) *„Quia valde timuit scandalum in se et in fratres“* mówi *Spec. Perfect*,., rozdz. 2 .

[3]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 65.

Niepodobna ustalić, czy te punkty były opuszczone w pierwszej redakcji Reguły, czy też Franciszek usunął je następnie. Jednakże jest jeden rozdział, który został, jak się zdaje, zmieniony w czasie rozpatrywania Reguły przez Stolicę świętą. W rozdziale X Franciszek udzielił braciom pozwolenia na przestrzeganie reguły w znaczeniu dosłownem, nawet wbrew życzeniu przełożonych. Papież spowodował zmianę tego punktu, w tym mianowicie duchu, że wolno było przestrzegać regułę literalnie, ale pozwolenia na to mieli udzielać przełożeni; nie zależało to od woli samych braci[1]).

Po długotrwałej i cierpliwej pracy ciała i ducha Franciszek ukończył wreszcie Regułę. Czytając ją, czujemy brak właściwego Franciszkowi życia, entuzjazmu i natchnienia; odnosimy wrażenie, jakgdyby duch jego był skrępowany. Jednakowoż nie odstąpił od żadnej z istotnych zasad powołania. Nowa reguła nakazuje braciom zawsze bezwzględne ubóstwo; postulanci, wstępujący do zakonu, muszą rozdać mienie ubogim; bracia muszą się zadowalniać ubogą odzieżą; winni miłować pokój, być pokorni i unikać sądzenia innych; mają pracować, ale o tyle, aby nie zgasić w sobie ducha modlitwy, a w razie potrzeby mają z ufnością prosić o jałmużnę; nie wolno im posiadać domu ani ziemi, ani czegokolwiek, lecz mają być na tym świecie jako obcy przybysze i pielgrzymi.

W nowej Regule znajdujemy ujęty w formy bardziej umiarkowane ten sam sposób życia, jaki praktykowano pierwotnie. Jednakże przetworzona w sercu pełnem niepokoju i bólu, zyskała na trwałości i mocy, choć może utraciła coś

---

[1]) Por. *Legenda Vetus*, 2, w *Opuscules de Critique*, I, str. 93—5. Już w Regule z r. 1221 (rozdz. 6) znajdował się przepis, że bracia, którzy w jakimś poszczególnym punkcie nie mogą przestrzegać reguły, winni zwrócić się do przełożonego. Ten był obowiązany postępować z braćmi: *„sicut ipse vellet sibi fieri"*. W praktyce przepis ten pojawia się w Regule z 1223 r., ale z następującą różnicą: wyrażenia ostatniej Reguły, odnoczące się do tego, że braciom wolno zwracać się do przełożonych i o obowiązku przełożonych co do wysłuchania prośby braci, są energiczniejsze. Ten nacisk, ta stanowczość wyrażeń w Regule z r. 1223 przemawia za autentycznością historji, opowiedzianej w *Legenda Vetus*. Por. *Hist. VII Trib.* w Ehrle *Archiv.* III, str. 601.

z pierwotnego natchnionego idealizmu. Można powiedzieć, że przejawia się w niej wyraźniej istotny duch Franciszka, niż Franciszek jako postać historyczna danej epoki. Gdy mamy do czynienia z prawodawcą, którego prawo stanowi odbicie jego własnego życia, koniecznem jest oddzielić istotę jego osobowości od jej bezpośrednich i przejściowych przejawów; w ten sposób jedynie to prawo będzie trwałe; wytwarza się to zwykle w ogniu przeciwności. Tak się też stało z Franciszkiem.

29 listopada 1223 r. papież Honorjusz III zatwierdził uroczyście Regułę[1]).

Czy oporni ministrowie byli zadowoleni? Zdaje się, że nie. Eljasz, wikarjusz jeneralny, nie chciał, jak wiemy, uznać, że go ona obowiązuje, powołując się następnie na to, że nigdy nie ślubował tej reguły przestrzegać[2]). Niektórzy ministrowie interpretowali ją w ten sposób, że przyczynili Franciszkowi wiele zmartwienia, właśnie pod koniec jego życia.

Ale od tej pory, stopniowo, wielki pokój wstępował w duszę Franciszka. Uzyskał wreszcie dla dzieci bożych nieodwołalne prawo do bezwzględnego ubóstwa.

Razu jednego, gdy ubolewał nad fałszywymi braćmi, Chrystus natchnął go następującą pociechą: „O biedny człeczyno, czemu się smucisz? Czyż uczyniłem cię pasterzem mojej religji nato, abyś zapomniał, żem ja jest jej najwyższym Opiekunem? Postanowiłem cię nad nią, prostaczku, aby ci, co chcą, mogli naśladować cię w tych rzeczach, które w tobie sprawiłem na przykład dla innych. Ja to ich powołałem; ja, który zachowam ich i wyżywię. Obrócę na dobro odpadnięcie niektórych, aby na ich miejsce powołać innych, a jeśli się tacy nie urodzili, sprawię, że przyjdą na świat. Nie turbuj się tedy i pracuj nad swojem zbawieniem; gdyby bowiem zakon składać się miał z trzech tylko członków, z łaski mojej będzie niewzruszony“[3]).

---

[1]) Tekst znajduje się w Sbaralea, *Bull.* I, str. 15—19; *Seraph. Legislat. Textus*, str. 35.

[2]) Eccleston (wyd. Little) kol. XIII, str. 85.

[3]) II Celano, 158; *Spec. Perfect.*, rozdz. 8; *Leg. Maj.*, rozdz. VIII, 3.

Innym razem, gdy trwał na modlitwie w kaplicy Porcjunkuli, przyszły mu na myśl te słowa Pisma św.: „Franciszku, gdybyś miał wiary tyle, co ziarno gorczyczne, rzekłbyś tej górze, aby się poruszyła z miejsca, a przeniósłbyś ją". Franciszek zapytał: „Jakaż to jest góra, którą mam przenieść?" A głos wewnętrzny odpowiedział: „Górą jest pokusa twoja." Franciszek zalany łzami odrzekł: „Panie, niechaj mi się stanie wedle słowa Twego"[1]).

W ten sposób duch jego odnowił się w pokoju. Był jak człowiek, dręczony najwyższym strachem, który widzi nagle, że przyczyna jego obawy znikła. Cierpienia moralne nie opuściły go jednak, a postępowanie opornych braci nie zalecało ich w jego oczach. W zakonie działo się wiele rzeczy, które stanowiły dla niego nieodgadnioną tajemnicę. Ale sam zakon, nieodparty dowód prawdziwości objawienia Ubóstwa, które było jego życiem, zakon ten przetrwa pod opieką boską. Odtąd pozostało mu tylko dokonać w sobie samym dzieła Boga ku chwale Chrystusa i jako przykład dla tych, co zechcą pójść za nim.

---

[1]) Celano, 115; *Spec. Perfect.*, rozdz. 99. Ta pokusa duchowa, która trwała według Celano „kilka lat", a według *Speculum Perfect.*, „więcej niż dwa lata", wystąpiła widocznie, sądząc z kontekstu, w ostatnich latach życia Franciszka. Miała ona prawdopodobnie związek z oporem ministrów.

KSIĘGA CZWARTA.

ROZDZIAŁ I.

Greccio.

Podróżny, który z doliny Spoleto wchodzi od strony południowej w dolinę Rieti, spostrzega odrazu, że znajduje się w innej okolicy, choć mapy wskazują, że okrąg Rieti, otoczony wysokiemi górami, stanowi część Umbrji.

Zarówno w krajobrazie samym jak i w charakterze mieszkańców jest jakaś dalekość; dalekość zresztą pełna słodyczy. Spotkamy się tam z wesołą gościnnością, z pragnieniem, aby obcy czuł się tam jak w domu. A jednak Rieti otwiera swoje skarby z jakąś wielkopańską wyniosłością; tę cechę spotykamy często u niepokonanych ludów górskich. Spustoszenia, poczynione przez wojnę, przez obce jarzmo, przez rewolucje nieustanne, nie dały się w tych górskich dolinach we znaki tak bardzo, jak na północy, w uśmiechniętej i gęściej zaludnionej dolinie Spoleto.

A jednak i Rieti widziało wojska nieprzyjacielskie przechodzące przez drogi i wąwozy górskie. Ale Rieti, pod strażą naturalnych wałów obronnych w postaci stromych szczytów i bezdennych przepaści, leży zdala od dróg uczęszczanych. Nie znajduje się wszakże zbyt na uboczu. Niegdyś przez jego terytorjum przechodziła droga, wiodąca z Rzymu na północ; w mieście papieże posiadali pałac, gdzie przebywali ze swym dworem, gdy pragnęli odetchnąć ożywczem powietrzem zdala od upalnego i dusznego Rzymu. W miarę, jak nas przenika atmosfera tego miejsca, zaczynamy rozumieć, że nawet papieża przyjmowano tu z pewną wyniosłą swobodą, i że mieszkańcy Rieti, choć umieli ocenić wspaniałość i ożywienie dworu papieskiego, byli przywiązani do swej górskiej doliny z niepozbawionem dumy zadowoleniem. Dwór — obraz zewnętrznego świata —

mógł sobie przybywać i odjeżdżać, ale szczyty górskie pozostaną zawsze na tem samem miejscu. Dziwna rzecz, jak bardzo przenika nas tu uczucie oderwania się od życia świata, zamknięcia w atmosferze mistycznej.

Gdy przybywamy od strony północnej, u wejścia do wąwozów, które rozdzielają obie doliny, widzimy szumne wodospady w Marmore, w miejscu, gdzie rzeka Velino w mgle piany spada z płaskowyżu za wzgórzami na równinę Terni. Jeśli przebywaliśmy przedtem czas dłuższy w Spoleto i przejęliśmy się jego wspomnieniami historycznemi, energją i mocą życia ludzkiego, jakie się tam rozwijało, — to tutaj, wobec potężnego huku spadających wód, zatrzymamy się nagle. Doznamy uczucia, że jest to inna, nowa siła, siła przyrody. Gdy spojrzymy na spiętrzone nad wodami szczyty, uczujemy lęk przed tą tajemniczą, nieobliczalną potęgą. Stamtąd wąwóz górski prowadzi do jeziora Piediluco lub, jak je nazywa kronikarz franciszkański, do jeziora Rieti, otoczonego zwartą ścianą stromych pagórków, za któremi widać góry, pnące się ku śnieżnym szczytom Abbruzzów. Łódź, kierowana zapewne przez mieszkańca jednej z wiosek nadbrzeżnych, pruje leniwie ciche wody.

Wzgórza zniżają się ku hali górskiej, obszernej, uprawnej przestrzeni, otoczonej szczytami. Jest to równina, na której gdzie niegdzie tylko dostrzegamy lekkie falowanie powierzchni; pagórki te można we mgle wziąć za małe wysepki. Wdali na południu widać miasto. Ale mimowoli wzrok zwraca się ku wysokim górom, głębokim wąwozom, pełnym cienia rozpadlinom skalnym; z podziwem patrzymy na wioski, uczepione bezpiecznie na stromych zboczach. W tem rześkiem powietrzu panuje zupełna cisza. Doznajemy dziwnego wrażenia oderwania się od życia, odosobnienia. Niema tu tajemniczych dali doliny Spoleto, które majaczą jednak z poza straży pagórków; niema tu miast-warowni, nasuwających wspomnienia zaciętych walk i ambitnych dążeń; niema szarych nagich gór, wyciągniętych w dwa naprzeciw stojące szeregi i spoglądających na siebie, jakgdyby nawet w spoczynku wyzywały się wzajemnie do walki.

W Rieti bowiem te pochyłe wzgórza, te szczyty górskie przypominają towarzyszów broni, strzegących rozłożonej po-

między nimi doliny. Wyglądają jak ludzie, co czuwają nad bezpieczeństwem swego domowego ogniska. Szczyty i wzgórza otaczają równinę tak zazdrośnie, że z trudem dostrzec można przejścia, łączące ją ze światem zewnętrznym; pomimo to strzegą jej z czułością.

Na niższych zboczach zieleń lasów, kwiaty, któremi usiana jest ziemia, radują oko. Wąskie, dzikie ścieżki wiją się dokoła pagórków; wiodą one do wiosek, ukrytych wśród winnic i gajów oliwnych. W całej dolinie unosi się łagodne, upajające powietrze. Zaprawdę, przyroda chciała tu przykuć do siebie człowieka różnorodnością swych ponęt, ukazując mu swój majestat i straszną potęgę, troskliwość i przezorność, beztroskę i prostotę. Zdaje się, jakgdyby pragnęła w ten sposób oderwać go zupełnie od świata zewnętrznego. Nic też dziwnego, że wieśniak jest tu silny i wesoły. Zarówno wyraz twarzy jak mowa jego znamionują charakter ludzki i dobroduszny; w całej postaci jednak przebija jakaś duma, godność, niezależność, jakby tchnienie innego świata, świata piętrzących się nad nim szczytów.

Gdy Franciszek opuścił Rzym po uroczystem zatwierdzeniu reguły przez Honorjusza III, czuł, że dokonał najważniejszego dzieła swego apostolstwa. Wiedział, że pod wieloma względami znikła prostota pierwszych lat powołania; ale w miarę możności zapewnił tym, co ukochali swobodę życia w ubóstwie, najważniejszą sankcję Kościoła. Czuł, że jego misja jest skończona; teraz miał tylko świecić przykładem. Korzystając z tej swobody, zwrócił się całą tęsknotą ku życiu ukrytemu w Chrystusie, swym Panu. Odtąd wir spraw ludzkich nie zamąci mu już spokoju ducha. Ramię Umiłowanego obejmuje go coraz silniej, a głosy ziemi dochodzić doń będą poprzez życie mistyczne, które jest progiem wieczności.

Za dwa tygodnie przypadało Boże Narodzenie. Franciszek był znowu w dolinie Rieti, prawdopodobnie w grocie Monte Rainerio. Poprosił Jana da Vellita[1]), aby przybył do niego. Jan

---

[1]) Św. Bonawentura *(Leg. Maj.*, rozdz. X, 7) opisuje Jana jako *„Miles quidam virtuosus et verax, qui propter Christi amorem saeculari relicta militia"*. Stąd możnaby wnioskować, że Jan był bratem pokutnym, czyli, jak dziś mówimy, tercjarzem.

mieszkał w Greccio, kilka mil na północ, na drodze, wiodącej do jeziora. Krótko przedtem spotkał był Franciszka w jednej ze swoich podróży misyjnych. Porwany urokiem jego duszy, stał się jednym z jego nieoficjalnych uczniów. Zażywał on pewnego dobrobytu, posiadał własność ziemską w kraju rodzinnym; ponieważ pragnął skłonić Franciszka, aby mieszkał co czas pewien w okolicy, a z drugiej strony znając jego zamiłowanie do samotności, przeznaczył dla niego parę grot na szczycie skały, znajdującej się naprzeciw miasta Greccio. Tam zbudował ubogą pustelnię, która mogła podobać się Franciszkowi, dokoła pieczar, gdzie mogła się pomieścić pewna liczba braci.

Obecnie, tak jak dawniej, miasto Greccio wznosi się na wysokim tarasie skalnym, nad rozległą doliną. U stóp jego widnieją domostwa i winnice, zasłonięte od wiatrów północnych przez nagie skalne urwiska. Przeciwległe zbocze spada pionową ścianą kilkaset stóp wdół ku niższym stokom. Pustelnia, przygotowana przez Jana dla braci, znajduje się na szczycie skały. Dokoła pustelni, bezpośrednio nad urwistem zboczem znajdują się lasy, które chronią od skwaru i łagodzą surową nagość góry.

Franciszek znał tę pustelnię; najgorętszem jego pragnieniem było obchodzić tam święto Bożego Narodzenia. W pokoju ducha przezeń odzyskanym świat cały przeistaczał się pod wpływem idealizmu. Tak więc w czasie adwentu, gdy rozmyślał nad tajemnicą betleemską, miał wrażenie, że nigdy nie pragnął goręcej zjawienia się Chrystusa na świecie. Duszę jego opanowała myśl o cudzie zstąpienia na ziemię Boga. Zatapiał się w kontemplacji opromienionego miłością ubóstwa, którem było otoczone narodzenie Pana. Pragnął ujrzeć tę tajemnicę miłości, obleczoną w kształt ziemski i w ten sposób ziemię z niebem połączyć tak, jak to sobie w duchu wyobrażał. Chciał, aby w ten sposób Bóg zawitał znowu w doczesności. To też gdy przybył Jan, Franciszek rzekł doń: „Pragnąłbym uczcić Dzieciątko, które się narodziło w Betleem, i w jakiś sposób oglądać oczyma cielesnemi niedostatek, jakim było otoczone Jego Dzieciństwo, jak leżał w żłobie na sianie, a wół i osioł stały obok Niego. Jeśli się zgodzisz, będziemy obchodzić to święto w Greccio. Idź naprzód i przygotuj wszystko, jak ci mówię". Jan powrócił tedy

do Greccio. W lesie, położonym przy pustelni, zbudował stajenkę ze żłobkiem, obok żłobka umieścił ołtarz. Franciszek zaś polecił wszystkim braciom z doliny Rieti, aby przybyli na święta Bożego Narodzenia do Greccio.

W dzień Bożego Narodzenia mieszkańcy miasta i doliny udali się tłumnie do pustelni na pasterkę. Mężczyźni i kobiety szli śpiesznie, niosąc zapalone pochodnie, które rzucały na zbocza gór fantastyczne cienie; gdy się zebrali dokoła stajenki, cała ta część doliny wyglądała jak jedno ogromne ognisko. Podczas mszy Franciszek pełnił funkcję diakona, a każdy ruch jego tchnął zapałem i tkliwością matki, kołyszącej swe dzieciątko. Podczas Ewangelji, gdy postąpił naprzód, by powiedzieć kazanie, zebrani mieli wrażenie, jakgdyby jakaś ukryta tajemnica odsłoniła się przed ich oczyma, tak żywo Franciszek umiał przedstawić im obraz Betleemu, który widział oczyma duszy, i narzucić im własne wzruszenie[1]). Zdawało się, że nie widzi zgromadzonego tłumu, lecz jedynie Dzieciątko Boże w ramionach Matki, upieszczone ubóstwem, uwielbione prostotą. Witał czule Boskie Dziecię, zowiąc je „Dzieciątkiem Betleemskiem“ i „Jezusem“. Gdy wymawiał te słowa, zawisały mu one na ustach z niewysłowioną słodyczą. Wymawiając słowo „Betleem“, podkreślał dźwięczność tej nazwy, jakgdyby chciał wyobrazić hołd, składany Zbawicielowi przez stada na wzgórzach Judei. Niekiedy zwracał się w stronę żłobka i pochylał nad nim z miłością. Jan, budowniczy żłobka, zapewniał potem, że widział w żłobku dziecię, które leżało, jak martwe, a które ożyło, gdy Franciszek go dotknął. Ale lud zebrany miał przekonanie, że nocy tej Greccio stało się drugiem Betleem[2]).

---

[1]) Br, Paschal Robinson przypuszcza, że szczególne nabożeństwo Franciszka do tajemnicy betleemskiej datuje od czasu jego podróży do Ziemi świętej. Jest to bardzo prawdopodobne.

[2]) I Celano, I, XXX, 84—86; II Celano, II, VII, 35; Św. Bonawentura, *Leg. Maj.*, rozdz. X, 7. Św. Bonawentura mówi, że Franciszek otrzymał był dawniej od papieża pozwolenie na zbudowanie żłobka *„ne hoc novitati posset ascribi“*. Wynikało stąd, że żłobek, tak dziś rozpowszechniony w kościołach katolickich w okresie świąt Bożego Narodzenia, nie był w tym czasie znany. Wkrótce po śmierci

Franciszek przebył w tej pustelni skalnej do końca zimy, a prawdopodobnie nawet większą część wiosny. Nie unikał jednak bezwzględnie towarzystwa ludzi. Ta sama bowiem miłość, która skłaniała go do szukania umiłowanego Chrystusa w samotności, nakazywała mu, aby opowiadał ludziom, braciom swoim, ewangelję miłości, przez którą Chrystus nas odkupił. Lud z Greccio czcił go jako nauczyciela i proroka. Ten wdzięczny lud opowiadał potem liczne historje o tem, co wśród nich czynił: jak uwolnił ich od wilków i od zarazy, która wniosła żałobę do ich ognisk domowych, i od burz gradowych, co pustoszyły ich winnice, dzięki czemu jego obecność była dla nich okresem wielkiego szczęścia. Powodzenie to trwało dopóty, dopóki w myśl nauk Franciszka służyli wiernie Bogu, i skończyło się z chwilą, gdy powrócili do złych nałogów[1]).

Pamiętali również, że dnia pewnego Franciszek opuścił ich i udał się do Perugji, dumnego miasta na północy. Podczas modlitwy miał bowiem objawienie, że Perugja wysłała przeciwko swym sąsiadom bandy zbrojne jedynie przez żądzę wojny i zdobyczy. Tknięty współczuciem udał się tam co prędzej, aby położyć koniec temu nieszczęściu. Mieszkańcy Perugji nie usłuchali jego głosu. Wówczas Franciszek przepowiedział im, że w krótkim czasie wkradnie się pomiędzy nich niezgoda, że spadną na nich nieszczęścia i śmierć. Tak się też stało[2]). Opowiadanie to wszakże odnosi się prawdopodobnie do wcześniejszego okresu życia Franciszka.

Franciszka na miejscu żłobka zbudowano kaplicę. Istnieje ona dotychczas; w pobliżu znajduje się druga kaplica, większa, zbudowana nieco później. Aż do ostatnich czasów pustelnia w Greccio była jeszcze wiernem odbiciem pierwszych dni życia franciszkańskiego. Ale teraz wystawiono tam duży kościół, przysłaniający pyszną współczesnością pierwotną prostotę pustelni. Należałoby życzyć, aby ustanowiono kościelną komisję ochrony zabytków przeszłości, któraby zapobiegała podobnemu barbarzyństwu.

[1]) Por. II Celano, VII, 35—36.

[2]) II Celano, II, VII, 37. Ludność Perugji walczyła ciągle pomiędzy sobą. W. Heywood *(A History of Perugia,* str. 35—7), wspomina o trzech ważnych wojnach domowych w r. 1214, 1218 i 1223.

Tak tedy bądź w czynnej służbie dusz, bądź w samotnej modlitwie, znalazł Franciszek spokój, spokój zatopienia swego życia w Bogu-Człowieku, który pociągał ku sobie wszystkie pragnienia uwielbiającego Go ucznia. Jedyną jego myślą było nie rozstawać się z Chrystusem, być z Nim czy to w Betleem i Nazaret, czy na drogach publicznych lub na krzyżu Kalwarji. Wkraczał teraz w dziedzinę urzeczywistnienia swych pragnień, o jakiem nawet marzyć nie śmiał. Miłość przywróciła mu swobodę ducha, tem czystszą i pełniejszą, że wiara jego przeszła ogniową próbę doświadczenia.

Święta Wielkanocne zastały go jeszcze w tej cichej pustelni. Przejęty nadzieją chwały życia przyszłego, jaką napełniała mu duszę tajemnica Zmartwychwstania, powracał jednak myślą do tej ziemskiej męki, którą Zbawiciel tę chwałę okupił. Myślał, że jedynie ofiara Tego, który będąc Panem świata, stał się dobrowolnym przechodniem i pielgrzymem na ziemi, otwarła ludziom niebiosa; to też w duchu, ogarnięty ogniem miłości, Franciszek czuł się pielgrzymem, podobnie jak Pan i Mistrz jego.

W dniu tym udał się do refektarza braci. Ujrzał stół zastawiony z niezwykłym przepychem; znajdował się na nim obrus, szkło, słowem to wszystko, co znaleźć można w dostatnim domu. Użyczył tych przedmiotów jeden z przyjaciół braci, którzy przypuszczali, że w ten sposób uczczą dzień uroczysty. Ale te symbole stałego zamieszkania nie zgadzały się z pojęciem Franciszka o życiu jego Mistrza, który był wędrowcem na ziemi. Łagodnie lecz stanowczo wziął na siebie rolę Chrystusa-pielgrzyma. Zaczekał, by bracia rozpoczęli posiłek, poczem stanął w drzwiach refektarza w odzieniu żebraczem, z kijem w ręku, wołając: „Dla miłości Boga, dajcie jałmużnę ubogiemu pielgrzymowi". Na te słowa bracia poprosili, by wszedł. Wówczas Franciszek wziął misę ze stołu i jak pokorny żebrak siadł na ziemi. „Teraz — rzekł do zgromadzonych, których ogarnęło zmieszanie — siedzę jak prawdziwy brat mniejszy. Gdy ujrzałem stół, tak pięknie nakryty i przybrany, pomyślałem, że to nie jest stół ludzi, którzy żebrzą o chleb od domu do domu. Bardziej niż innych zakonników winno nas obowiązywać ubóstwo Syna Bożego." I bracia, przynajmniej niektórzy, wzięli do serca naukę; jeden nawet począł głośno płakać; zda-

wało im się bowiem, że są jak uczniowie w Emaus: Chrystus był pośród nich, a oni Go nie poznali[1]).

W rzeczy samej dla braci, co przebywali z Franciszkiem i kochali go, stawał on się coraz bardziej podobny do Tego, którego dusza jego tak gorąco umiłowała. Okolice, przez które w jego towarzystwie przechodzili, przeistaczały się w ich wyobraźni coraz bardziej, tak, jakgdyby przebywali z Chrystusem samym podczas Jego życia na ziemi. Franciszek bowiem, pochłonięty myślą o Chrystusie, wciągał ich w krąg swego obcowania z Panem. Może ci, którzy stali przy nim i dodawali mu otuchy w dniach próby, doznawali uczucia osamotnienia, widząc, że wystarcza mu zupełnie radość miłości Boga. Część ich miała niekiedy odcień łagodnego smutku; rozumieli, że muszą pozostać przed drzwiami przybytku, do którego wchodził Franciszek. A jednak, ponieważ kochali go tak bardzo, serca ich przejmowała triumfalna radość. Zresztą był jeszcze tak blisko. W tych wioskach, na tych drogach cienistych Greccio i równiny Rieti czuli doskonale, że obcował z nimi w ścisłej zażyłości. Gdy nadszedł czas kapituły Zielonych Świątek, gdy znowu musieli udać się w drogę, myśleli zapewne z utęsknieniem o powrocie do Greccio.

Franciszek miał istotnie wrócić do Rieti. Nie odrazu jednak. W międzyczasie zaszedł bowiem wypadek, który nałożył piętno cudowności na jego przemianę. Skoro powrócił, brat Leon, jego wierny uczeń i przyjaciel, zrozumiał lepiej, nad jaką tajemnicą rozmyślał Franciszek podczas owych cichych miesięcy zimowych.

---

[1]) Por. II Celano, 61; *Leg. Maj.*, rozdz. VII; *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier) rozdz. 20. W *Spec. Perfect.* zdarzenie to odniesiono do Bożego Narodzenia; ale Celano i św. Bonawentura piszą zgodnie, że było to na Wielkanoc, i podają przyczynę tego, wymienioną w tekście. Bardzo możliwe, że, jak przypuszcza Sabatier (l. c. str. 41, No. 5) podobne wypadki zdarzały się w innych okolicznościach, gdyż Franciszek nie wahał się nigdy powtarzać swych nauk. Por. II Celano, 200.

ROZDZIAŁ II.

Stygmaty.

We wrześniu wydarzył się wypadek, który na ciele Franciszka wycisnął niezatarte piętno namiętnego ukochania całego jego życia. Dusza jego dawno już tem piętnem była naznaczona.

W połowie czerwca był obecny na kapitule Zielonych Świątek[1]). Kapituła ta jest pamiętna dla Anglików przez to, że postanowiono wówczas posłać do Anglji w celu założenia zakonu Braci Mniejszych brata Agnellusa z Pizy, człowieka wedle serca Franciszka. Dzieje przybycia Agnellusa i jego braci do Anglji były w ostatnich czasach wielokrotnie opowiadane. Wiemy więc, z jakim zapałem i zręcznością dotarli pod koniec roku aż do Canterbury, Londynu i Oksfordu. Wiemy również, w jaki sposób udało im się nietylko zjednać sobie przychylność mieszkańców, ale także stałe miejsce zamieszkania dla braci[2]). Wylądowali w Dower 10 września 1224 r.[3]). W cztery dni potem

[1]) W r. 1224 Zielone Świątki przypadały 11 czerwca.

[2]) Por. Eccleston, *De adventu FF. Min. in Angliam*, ogłoszone po raz pierwszy przez Brewera w *Mon. Franciscana*, I według Cottona i Yorka. Urywek według kodeksu Lamporta został ogłoszony przez Howletta w *Mon. Franciscana*, II. Wydanie według tych tekstów ukazało się w *Analecta Franciscana*. Nowe wydanie ogłoszone zostało w *Mon. Germ. Script. XXXIII*. Ale ostateczne wydanie ukazało się dopiero staraniem prof. A. G. Little w *Collection des Etudes*, tom VII. Por. także *„The Chronicle of Thomas of Eccleston"*, tłumaczone przez autora niniejszej pracy; *„The Coming of the Friars"* przez Dr. Jessop.

[3]) Wadding, *(Annales ad an. 1220)* na podstawie *Chron. XXIV Gen.*, mówi, że Agnellus był wysłany do Anglji przez kapitułę r. 1219 i przybył tam w r. 1220. Ale Eccleston twierdzi stanowczo: *„Anno Domini M° CC° IIII° tempore domini Honorii papae... feria 3a post festum nativitatis Beatae Virginis quod illo anno fuit die dominica.* Por. Eccleston (wyd. Little), str. 3. Kronika Lanercosta (wyd. Steven-

usłyszeli dzwony canterburyjskie, wzywające lud na mszę w uroczystość Podniesienia Krzyża św. Być może, iż serce Angellusa, odprawiającego wigilję, przeczuło cud, który stał się Franciszkowi.

Nie było dziełem przypadku, że Franciszek na krótko przed świętem Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny udał się na Monte Alvernia, do pustelni położonej na wysokiej górze, którą to pustelnię pan Orlando ofiarował wiele lat przedtem do użytku braci. Działo się w jego duszy coś, co sprawiało, że pożądał bezwzględnego odosobnienia w samotności wyniosłych szczytów.

W owej chwili słodka prostota Greccio więziłaby jego duszę, a wojownicza atmosfera Monte Rainerio nie licowałaby z nastrojem, który go opanował. Duch jego, stęskniony za lżejszem, czyściejszem powietrzem, pożądał bezwzględnego oderwania się od świata. Dlatego też Franciszek udał się na Monte Alvernia, leżącą daleko i wysoko ponad drogami, któremi toczy się życie powszednie. Panuje tam cisza, podobna do ciszy niebios, a powietrze nawet jest tam czyste i lekkie.

Dziś jeszcze nawet, gdy wygodna droga prowadzi pielgrzyma na szczyt góry, gdzie znajduje się obszerny klasztor, Alvernia przez swe oddalenie od miejsc zamieszkałych napawa jakimś niesamowitym lękiem. Wsie i miasteczka wyglądają z oddali jak plamy na roztaczającym się w dole krajobrazie. Obfita zieleń pokrywa niższe wzgórza, zaokrąglając miękko ich kontury. Wyższe jednak zbocza górskie są nagie i skaliste. Tylko na szczycie rośnie kilka drzew, a ich cień zabezpiecza od gorących promieni słonecznych. Dokoła, jak okiem sięgnąć, widać dumne szczyty wpatrzone w niebo. Wznoszą się one w pewnem od siebie oddaleniu, jakby dla stwierdzenia, że każdy z nich potrafi stać bez podpory w otaczającym bezmiarze. Jakeśmy powiedzieli, powietrze jest tam czyste, cisza na tych wysokościach panuje niezmącona.

---

son, str. 30) i roczniki Worcesteru (*Annales Monast.* IV, str. 416) podają ten sam, co Eccleston rok 1224. Prawdopodobnie więc Agnellus był istotnie wysłany nie przez kapitułę r. 1219, lecz r. 1224. Inaczej bowiem ociągałby się 4 lata z wypełnieniem swojej misji, co nie zgadzałoby się ze zwyczajami braci.

Franciszek wybrał na towarzyszów podróży i czuwania najwierniejszych swoich uczniów. Byli to: Leon, mała owieczka Boża, na którym najpewniej mógł polegać; Angelo Tancredi, dworny rycerz; Masseo, towarzysz wielu podróży; Rufin i Sylwester, skłonni do kontemplacji; Illuminato, który odbył z nim krucjatę na Wschód; wreszcie, mojem zdaniem, był tam również Bonizzo, który dodawał mu otuchy podczas ciężkich chwil na Monte Rainerio[1]).

Do tej chwili jednak Franciszek nie miał świadomości tego, co się stać miało. Wiedział tylko, że jego długoletnie pragnienia i tęsknoty mają się urzeczywistnieć i że niebawem otrzyma od Chrystusa nowe objawienie.

W dzień swego przybycia wybrał celę oddaloną od innych; była to pierwotnie sklecona chatka w cieniu buku. Chciał w tem miejscu zdala od oczu ludzkich zdać się na wolę swego Mistrza. Jedynie brat Leon miał w oznaczonej godzinie przynosić mu nieco chleba i wody dla podtrzymania sił. Miał również oddawać mu posługi duchowe. Inni bracia mieli pozostać w oddaleniu, modlić się i nie pozwalać, aby ludzie świeccy, którzyby mogli tam przybyć, zbliżali się do „tajemnej samotni", gdzie Bóg mówił ze swym sługą[2]). Od tej chwili zaczęły się objawienia boże, które sprawiły, że Alvernia stała się dla ludów chrześcijańskich miejscem świętem.

Pewnego dnia Franciszek stał pod bukiem w pobliżu swej celi i podziwiał kształt góry, której szczyt popękany był i podzielony szerokiemi rozpadlinami, jakby naskutek jakiegoś gwałtownego kataklizmu. Potem zatonął w modlitwie. „Wtedy — mówi jeden z kronikarzy — Bóg mu objawił, że te szczeliny, tak dziwne, otwarły się cudownym sposobem w godzinę Męki Chrystusa, gdy według słów Ewangelisty, góry pękały"[3]).

---

[1]) Jan z Parmy powołuje się na Bonizza, jako na szczególnego świadka stygmatów, podczas kapituły jeneralnej w Genui. (Por. Eccleston, wyd. Little, kol. XIII, str. 93—4.) Eccleston nie mówi, że znajdował się on na Monte Alvernia w okresie stygmatów (l. c.). Leon, Masseo, Angelo i Illuminat są wymienieni w *Fioretti, Delle sacre sante Stimate* (III Consid.). Sylwester jest wspomniany w *Addio di San Francesco.* Św. Bonawentura *(Leg. Maj.,* XIII, 4) wymienia także Illuminata.

[2]) *Fioretti, Delle sacre sante stimate,* II. Consid.

[3]) *Fioretti,* loc. cit.

Od tej chwili Alverno stało się dla Franciszka miejscem świętem, wymownym świadkiem Męki Pańskiej. Równocześnie zstąpiło do jego duszy niejakie zrozumienie tej tajemnicy i rozpaliło ją jeszcze bardziej miłością ku Mistrzowi Ukrzyżowanemu; odtąd stał się mniej wrażliwym na rzeczy zewnętrzne i zatonął w kontemplacji. Częstokroć, gdy brat Leon przychodził do niego, zastawał go w ekstazie, uniesionego ponad ziemię, a ciało jego poddawało się porywom ducha. Wówczas duszę Leona przepełniała tkliwość i uwielbienie. Niekiedy zbliżał się i z nieśmiałością całował stopy Franciszka, błagając Boga, aby miał litość nad nim, niegodnym, i dozwolił mu mimo wszystko uczestniczyć w łasce, udzielonej Franciszkowi.

Dnia pewnego przed Wniebowzięciem Franciszek polecił Leonowi, aby stanął przy drzwiach kaplicy, przeznaczonej dla braci. Sam poszedł dalej, a potem zawołał Leona, który mu odpowiedział. Franciszek oddalił się jeszcze bardziej i znowu zawołał; Leon jednak już nie usłyszał. Wtedy Franciszek zawrócił z drogi i oświadczył mu, że ma zamiar zamieszkać przez czas postu świętego Michała (który się rozpoczyna nazajutrz po Wniebowzięciu) w pobliżu tego właśnie miejsca, gdzie głos jego przestał dochodzić do Leona.

Miejsce wybrane przez Franciszka jest złomem skalnym, oddzielonym od góry głęboką przepaścią. Z przeciwnej strony ściana skalista opada prostopadle na sto przeszło stóp ku niższym zboczom. Przerzucono deskę ponad przepaścią, poczem zbudowano szałas z łoziny. Następnie Franciszek udzielił Leonowi i innym braciom wskazówek, mających na celu uszanowanie jego samotności. Nikomu nie wolno było zbliżać się do tego miejsca z wyjątkiem Leona, który miał codziennie przynosić mu trochę wody i chleba; miał również przychodzić o północy na jutrznię. Wszakże i Leonowi wolno było przechodzić przez kładkę dopiero wtedy, gdy Franciszek odpowie na jego sygnał. Otóż sygnałem tym były początkowe słowa officium na jutrznię: „*Domine labia mea aperies*". Gdyby Franciszek nie odpowiedział, Leon miał oddalić się szybko i nie przechodzić przez kładkę[1]).

---

[1]) *Fioretti,* loc. cit.

Sam, na tem urwisku skalnem, Franciszek zstąpił do czyścia, który poprzedza ścislejsze zjednoczenie człowieka z Bogiem. Zdarzało się niekiedy, że doznawał ucisku ducha; złe moce, jakgdyby rozpętane ku jego udręce nawet cielesnej, wystawiały na próbę siłę jego ducha. Była to pokusa ostatnia, pokusa człowieka silnego; zło nie zjawia się wówczas jako słabość osobista, lecz jako rzeczywistość objektywna, tem straszniejsza, że obca naturze ludzkiej. Wtedy to trzeba duszy wiary płomiennej, ufności w rzeczywistość dóbr niebieskich. Przetrwać zwycięsko taką pokusę to może wypełnić akt najwyższego uwielbienia, bezwzględnego oddania się Bogu. Ciało cierpi wówczas narówni z duchem, cała istota człowieka przetwarza się w tym ogniu wewnętrznym.

Działo się to obecnie z Franciszkiem. Razu jednego, gdy przyszedł do niego Leon, Franciszek w rozmowie z nim szukał pociechy. „Gdyby tylko bracia mogli wiedzieć — zawołał z przejęciem — na jakie liczne i ciężkie cierpienia i próby wystawiają mnie szatany, nie byłoby wśród nich żadnego, któregoby nie ogarnęła litość i czułość dla mnie“[1]). Jednakże wśród tych walk i cierpień Franciszek miewał jasne chwile promiennych widzeń, gdy niebo odsłaniało przed nim swe tajemnice, a niekiedy słodycz życia wiecznego zstępowała do jego duszy i napełniała ją niewysłowioną radością. Raz, gdy rozmyślał o szczęściu błogosławionych i pragnął w niem uczestniczyć, zjawił mu się anioł boży w wielkiej wspaniałości. Musiał to być anioł muzyki, gdyż trzymał w ręku wiolę i wydobywał z niej tak przecudne dźwięki, że Franciszek stracił wszelkie czucie ziemskie[2]).

Nie możemy pominąć milczeniem faktu, że samotność Franciszka umilało towarzystwo sokoła, którego gniazdo znajdowało się w pobliżu jego celi. Ten sokół przywiązał się do niego; gdy Franciszek trwał na modlitwie, przebywał przy nim i wyśpiewywał po swojemu chwałę Najwyższego. O północy, gdy zbliżała się chwila, w której Franciszek miał wstawać na

[1]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 99.
[2]) *Fioretti,* loc. cit. Podobne zdarzenie opisuje Celano, II, 126.

jutrznię, ptak latał dokoła jego celi, dopóki nie wyszedł. A Franciszek kochał go bardzo[1]).

Tymczasem brat Leon, wierny strażnik samotni swego mistrza, znając próby, jakie przechodził, i przeczuwając, że spłynie na niego wielka łaska niebios, doznawał serdecznego niepokoju. Pewnej nocy poszedł do kładki i zawołał: *„Domine labia mea aperies"*, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Lęk, który go ogarnął, sprawił, że przełamał nakaz cofnięcia się i nieprzechodzenia przez mostek. Przebiegł kładkę i pośpieszył do celi, lecz była ona pusta. Wówczas udał się do zalesionego miejsca, gdzie, jak przypuszczał, mógł przebywać Franciszek. Był on tam istotnie. W świetle księżyca ujrzał Leon, że klęczy rozmodlony, z obliczem i rękoma wzniesionemi ku niebu, i usłyszał, jak powtarza żarliwie: „Kto jesteś Ty, najsłodszy Boże mój? Któżem jest ja, najpodlejszy robak i bezużyteczny sługa twój?" A Leon pojął, że jest świadkiem jakiejś poufnej rozmowy pomiędzy Franciszkiem a Panem jego; nie mógł zrozumieć jej treści. Patrząc jednak, ujrzał ze zdumieniem płomień, unoszący się nad głową Franciszka, który trzykrotnie podniósł ku niemu ręce. Po niejakim czasie, który Leonowi wydał się bardzo długi, płomień uniósł się napowrót do nieba.

Przerażony własnem zuchwalstwem, Leon usiłował cofnąć się, jak można najciszej; Franciszek usłyszał jednak szelest jego stąpania na liściach i zawołał, by nie odchodził. Wówczas Leona zdjął taki lęk i zawstydzenie, że pragnął niemal, aby się ziemia pod nim rozstąpiła. Obawiał się nadewszystko, aby jego nieposłuszeństwo nie skłoniło Franciszka do wyrzeczenia się jego usług. Na tę myśl poczuł w sercu rozpacz. Ale Franciszek odgadł jego niepokój, i wiedząc, że nieposłuszeństwo jego pochodziło jedynie z wielkiego przywiązania, upomniał go łagodnie i pozwolił mu pozostać. Ośmielony tą łaskawą dobrocią Leon zapytał Franciszka o znaczenie owego boskiego widzenia. Dowiedział się, że zasłyszane przezeń słowa wyrażały akt pokory, gdyż Bóg zażądał od niego niegodnego trzech darów. Pan kazał mu trzykrotnie włożyć rękę w zanadrze, i trzykrotnie

---

[1]) *Fioretti*, loc. cit.; I, Celano, 168; *Tract. de Mirac.*, 25; *Leg. Maj.*, VIII, 10.

Franciszek znalazł tam kulę ognistą, którą ofiarował Jezusowi, nie rozumiejąc zrazu wcale, coby to miało znaczyć. Potem Chrystus mu powiedział, że te kule ogniste oznaczają cnoty ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, które Franciszek posiadał w sercu[1]).

Pomówiwszy o tych rzeczach Franciszek udał się z bratem Leonem do kapliczki, gdzie odprawiała się msza. Tam rzucił się przed ołtarzem na ziemię i modlił się, aby Bóg dał mu poznać swą wolę co do tajemnicy, jaka nad nim ciążyła. Po skończonej modlitwie przeżegnał się, poczem, po namyśle, kazał bratu Leonowi wziąć z ołtarza Ewangelję i odczytać pierwszy ustęp, na jaki wzrok jego padnie.

Miejsce to odnosiło się do Męki Chrystusa. Na prośbę Franciszka Leon otworzył Ewangelję po raz drugi i po raz trzeci. Za każdym razem trafił na opis Męki Jezusa. Franciszek poddał się więc ochotnie i z radością temu, co uważał za znak woli bożej. On również przez mękę osiągnie Królestwo Boże. Duszę jego ogarnęło wielkie pragnienie, aby mógł podzielić Mękę Chrystusa i posiąść tę boską miłość, która sprawiła, że Jezus umarł za ludzi[2]).

Z tą modlitwą w sercu, około uroczystości Krzyża świętego, lub, jak niektórzy utrzymują, w sam dzień tego święta[3]), zbudził się pewnego ranka Franciszek. Jeden z kronikarzy mówi, że w przeddzień, gdy modlił się w swej celi, ukazał mu się anioł i zapowiedział, aby się gotował znieść cierpliwie to, co się Bogu podoba w nim sprawić. Franciszek odrzekł, iż pragnie znieść cierpliwie wszystko, co się Bogu spodoba z nim uczynić. Kronikarz nie mówi o tem, czy anioł uka-

---

[1]) *Fioretti,* loc. cit. Rozpamiętywanie III.

[2]) *Fioretti,* loc. cit.; II, Celano, 92—93; *Leg. Maj.*, XIII, 2.

[3]) Św. Bonawentura (*Leg. Maj.*, III, 3) mówi: „*Quodam mane circa festum Exaltationis sanctae crucis*". *Chron. XXIV Gen. (Anal. Franc.* III, str. 30): „*Circa festum Exaltationis sanctae Crucis vel ut in quodam revelatione divina in eodem festo*". Jest to widocznie to samo objawienie, o którem wspomniano w *Instrumentum de Stigmatibus,* kompilacji brata Filipa, prowincjała Toskanji, z polecenia ministra jeneralnego w roku 1283. Patrz *Anal. Franc.* III, str. 374 i 641. W *Fioretti* czytamy: „*Viene il di seguenete, cioè il di della santissima Croce*". Celano nie daje żadnej wskazówki co do dnia.

zał się jego cielesnym zmysłom, czy też dał mu wewnętrznie poznać swą obecność. Możemy jednak z łatwością uwierzyć, że Franciszek otrzymał jakieś nadprzyrodzone objawienie tego, co miało się wydarzyć[1]).

W tym dniu pamiętnym Franciszek klęczał pogrążony w modlitwie, gdy ujrzał w widzeniu dziwną postać, która zbliżała się ku niemu. Przeraził się bardzo[2]). Skoro to dziwne zjawisko zatrzymało się na leżącym ponad nim kamieniu, ujrzał, że był to człowiek i serafin zarazem. Ramiona jego były rozłożone, stopy złączone, ciało — przymocowane do krzyża. Dwa skrzydła wznosiły się nad jego głową, dwa — były rozpostarte do lotu, dwa wreszcie — okrywały całe ciało[3]). Oblicze jego było nadziemskiej piękności, lecz nacechowane cierpieniem. Patrząc na piękno tej twarzy, Franciszek doznał wielkiej radości, lecz na widok malującego się na niej bólu serce jego przejęło najżywsze współczucie[4]). Nagle, w chwili wielkiego cierpienia Serafin zadał Franciszkowi cios, który ugodził jakgdyby w jego ciało i duszę. Uczuł on wielką trwogę. Serafin jednak przemówił do niego jak przyjaciel, objawiając mu wiele rzeczy dotychczas ukrytych; Franciszek opowiedział to później swoim towarzyszom[5]). Potem, po chwili, która wydawała mu się wiekiem, widzenie znikło[6]).

Gdy Franciszek przyszedł do siebie, pierwszą jego myślą było pytanie, co to widzenie mogło oznaczać; wiedział bowiem, że duch niebieski nie może doznawać cierpień ludzi śmiertelnych. Powstał z klęczek i rozmyślał nad tem, wielce zdziwiony, a dusza jego była pełna smutku i radości zarazem. W tejże chwili pojął znaczenie wizji: na ciele jego pojawiły się rany ukrzyżowanego Serafina. Na rękach i nogach miał blizny i rany, a w bliznach tych widniały ślady gwoździ. Były one tak wy-

---

[1]) *Fioretti,* loc. cit.

[2]) *Leg. Maj.*, XIII, 3; Eccleston (wyd. Little), kol. XIII, str. 93.

[3]) Por. opis serafina u Izajasza VI, 2.

[4]) I Celano, II, III, 94; Celano, *De Miraculis*, II, 4; *Leg. Maj.*, loc. cit.; *Fioretti,* loc. cit.

[5]) Por. Eccleston (wyd. Little) XIII, str. 93.

[6]) *Fioretti*, loc. cit.: *„Disparendo dunque questa visione mirabile dopo grande spazio"*.

raźne, że można je było wziąć za gwoździe krzyża; okrągłe główki ich, zabarwione czarno, wystawały nad dłońmi i stopami, ostrza były pozaginane na wierzchniej stronie rąk i pod stopami. Na boku Franciszek miał ranę od włóczni[1]). Serafin w widzeniu był duchem Ukrzyżowanego, cierpiącym przez miłość; odtąd zawładnął on niepodzielnie Biedaczyną Bożym[2]). Rany zewnętrzne były znakiem i pieczęcią tego posiadania.

W chwili, gdy się to wydarzyło, Franciszek był sam w swej pustelni; nie było nawet Leona[3]). Zrazu pomyślał, że nie wyjawi nikomu cudu, którego dostąpił, jak ktoś, kto tai zazdrośnie w sercu skarb najcenniejszy, nie zwierzając się nawet przyjaciołom. Potem jednak zaczął się wahać. Zdało mu się niepodobieństwem ukryć cud widoczny przed tymi, którzy stale przebywali z nim razem. Skoro zaś było to widoczne, czy nie będzie sprzeciwiał się woli bożej, jeśli zachowa dla siebie wyłącznie to, co Bóg zamierzał może udzielić innym na znak swej

---

[1]) Celano, loc. cit.; *Leg. Maj.*, loc. cit.; *Fioretti*, loc. cit. Co do opisu stygmatów patrz także list brata Eljasza do Grzegorza z Neapolu, donoszący o śmierci świętego Franciszka. (Boehmer, *Analekten*, str. 90.) Patrz także atestacje Grzegorza IX w jego listach *„Non minus dolentes"* i *„Cum saeculi vanitate"* w Sbaralea, *Bull.* I, str. 213 i nast.

[2]) Św. Bonawentura mówi, że zjawił się Franciszkowi Chrystus *sub speci Seraph.* Celano w *Legenda Prima* mówi dość ogólnikowo: *„vidit in visione Dei virum unum quasi seraphim sex alas habentem"*, ale w *Tractatus de Miraculis* powiada ściślej: *„vidit in visione Seraph in cruce positum"*. Ciekawa jest różnica pomiędzy interpretacją stygmatów na pierwszych malowidłach i późniejszych, u Giotta i jego następców. Na pierwszych Święty jest sam; stoi wśród drzew i kwiatów, oznaczających las; na późniejszych Święty jest zazwyczaj przedstawiany w postawie klęczącej na tle skał; brat Leon stoi w pobliżu. Należy jednak zaznaczyć, że stygmaty ukazały się, jak wyraźnie mówi Celano, po widzeniu, gdy Franciszek wstał i rozmyślał nad znaczeniem tego, co widział. Druga różnica ujawnia się w tem, że na pierwszych obrazach Serafin ma konwencjonalną twarz serafina, na późniejszych zaś posiada oblicze Chrystusa. Występuje tu różnica pomiędzy św. Bonawenturą a Celano. Por. Matrod: *Deux Emaus Franciscains au Louvre.*

[3]) Gdyby Leon był tam obecny, Celano nieomieszkałby przytoczyć go jako świadka tak przedziwnego zdarzenia. Nadto św. Bonawentura (*Leg. Maj.*, XIII, 4) mówi, że nikt z bliskich towarzyszów Świętego *(socii familiares)* nie wiedział o tem, co zaszło.

łaski i na pociechę. To też nie wiedział, czy ma mówić, czy też milczeć.

Wreszcie przywołał swoich towarzyszów i w ogólnych słowach zadał im pytanie, czy należy wyjawić czy też zachować w tajemnicy łaskę, której Bóg nam udzieli. Iluminat zauważył, że Franciszek był wielce poruszony, to też domyślił się, że musiało zajść coś niezwykłego. Odpowiedział więc: „Bracie, wiesz, że tajemnice niebieskie są ci objawione nietylko dla ciebie, lecz i dla innych. To też należy się obawiać, że jeśli zamilczysz o łasce, jaką otrzymałeś dla dobra wielu, możesz być uznany za winnego ukrycia talentu"[1]). Wówczas z wielką nieśmiałością i zakłopotaniem Franciszek opowiedział braciom o widzeniu i stygmatach, dodając, że Serafin wyjawił mu wiele rzeczy, o których mówić nie może. Nie ukazał im wszakże ran, zakrywając ręce i stopy habitem. Zgodził się pokazać je tylko Leonowi i to dopiero wtedy, gdy okazało się koniecznem owinąć je płóciennym bandażem dla zatamowania krwi i ulżenia cierpieniom[2]).

Rufinowi, posiadającemu dar kontemplacji, powiedział jednak Franciszek w zaufaniu coś z tego, co mu wyjawione zostało podczas widzenia o losach zakonu. Powiedział mu między innemi, że zakon nie przestanie istnieć aż do dnia sądu, że żaden prześladowca zakonu nie będzie się cieszył długiem życiem, że żaden człowiek złej woli nie pozostanie w nim długo, a także, iż ktokolwiek kochać będzie zakon z całego serca, dozna miłosierdzia bożego przy końcu życia, choćby był największym grzesznikiem[3]).

Na myśl o tem, jak Bóg z nim postąpił, serce Franciszka napełniło się niewysłowioną wdzięcznością; nawet miejsce, na którem doznał cudu, stało się dla niego świętem. Wspomnienie

---

[1]) *Leg. Maj.*, XIII, 4; *Fioretti,* loc. cit.

[2]) *Fioretti,* loc. cit.; *Chron. XXIV Gen.* w *Anal. Franc.*, III, str. 68.

[3]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdział 79; Eccleston, loc. cit.; por. *Fioretti,* III, Rozpamiętywanie, gdzie jest wyrażone obszerniej i gdzie wśród obietnic znajduje się następująca: „Bracia, którzy będą przestrzegać reguły w sposób doskonały, w chwili śmierci wejdą do życia wiecznego, nie przechodząc przez czyściec".

ciosu, zadanego przez Serafina, napełniało go ciągle nowym podziwem. Podobnie postąpił anioł z patrjarchą Jakóbem, zmuszając go do poddania się woli bożej. Postanowił za przykładem Jakóba poświęcić kamień, na którym stanął Serafin, a ponieważ z powodu ran nie mógł sam tego uczynić, kazał Rufinowi umyć go i namaścić oliwą[1]). Odtąd wszystkie następne pokolenia braci uważały ten kamień za święty[2]).

Serce Franciszka było tak przepełnionie radością, że pod wpływem poetycznego uniesienia musiał wyrazić słowami to, co czuł w duszy. Jednakże dziw tej tajemnicy i lęk, który jeszcze nad nim ciążył, krępował mu swobodę, to też mówił urywkowo, jakgdyby nie swojemi słowami. Wziąwszy tedy pergamin i pióro, napisał poemat, któremu dano tytuł: „Pochwała Boga Najwyższego“, lecz który winien być nazwany: „Pochwała Ukrzyżowanego“.

Tyś jest Święty, o Boże, Tyś jest Pan nad pany i jedyny Twórca cudów.
Tyś jest mocny, Tyś wielki i najwyższy; Tyś jest wszechmocny i Oj-
[cem jesteś i Królem nieba i ziemi.
Jesteś w Trójcy i Jedyny; Pan nad pany.
Tyś jest dobro, wszelkie dobro najwyższe; Pan Bóg żywy i prawdziwy.
Jesteś miłością i miłosierdziem; jesteś mądrością i pokorą.
Tyś cierpliwością, Tyś siłą i rozumem.
Tyś jest pewnością i pokojem; Tyś radością i weselem.
Tyś sprawiedliwością i umiarkowaniem; Tyś jest wszelkiem naszem
[bogactwem i obfitością.
Tyś jest pięknem i słodyczą, Tyś opiekunem; Tyś stróżem naszym
[i obrońcą.
Tyś ucieczką naszą i siłą; Tyś naszą wiarą, nadzieją i miłością.
Tyś najwyższą słodyczą naszą; Tyś naszem życiem wiecznem.
Dobroci nieskończona, wielki i przedziwny Panie Boże Wszechmo-
[gący! Zbawco, miłości pełen i miłosierdzia![3])

---

[1]) Eccleston, loc. cit. Późniejsi historycy przypisują ten akt Leonowi (por. *Anal. Franc.* III, str. 67). Ale Eccleston wiedział o tem od Piotra z Tewkesbury, który sam słuszał o tem od Leona.

[2]) Dziś jest on otoczony kratą w kaplicy Stygmatów. Wyryto na nim napis następujący: *„Hic signasti Domine, servum tuum Franciscum“*. Dwa razy dziennie, po jutrzni i po nieszporach, bracia udają się procesjonalnie do tej kaplicy dla oddania czci miejscu świętemu.

[3]) *Opuscula S. Franc.* (Quaracchi), str. 124; Boehmer, *Analekten*, str. 65; *The Seraphic Keepsake*, przez Reginalda Balfoura, str. 54. Autograf oryginalny znajduje się w zakrystji *Sagro Convento* w Asyżu. Na

Tak w porywie radości Franciszek wyśpiewał swoje „Magnificat“.

Mówi się często, że im kto jest bliżej Boga, tem bliższy jest sercu bliźniego. Te słowa sprawdzają się na przykładzie Franciszka w tym dniu jego wyniesienia. W czasie, gdy dokonywał się cud, który miał upodobnić Świętego do jego Mistrza, i gdy doznawał zarazem bólu i słodyczy tego podobieństwa, brat Leon, wierny przyjaciel i sługa Franciszka, przeżywał ciężką próbę osobistą. Powodem jej była właśnie jego poufała zażyłość z Franciszkiem. Był świadkiem męki, jaką znosił jego mistrz ukochany, aby dojść do chwały; dojrzał nieco światłości, opromieniającej życie wybranych. Do duszy jego zakradła się wątpliwość: jakim sposobem on, tak niegodny i mały, może przebywać przy tym Świętym Bożym i mieć nadzieję życia wiecznego? Było mu tak ciężko na sercu, że popadał niemal w rozpacz. W pewnej chwili przyszło mu na myśl zdać się na litość Franciszka; ale wstrzymała go od tego niedorzeczna obawa, że Święty go odtrąci. Czuł się istotnie zgubionym. W tej udręce serdecznej pomyślał, że gdyby Franciszek zechciał własnoręcznie napisać kilka słów z Pisma świętego, któreby stanowiły dla niego, Leona, niby zapowiedź świtu, i gdyby dał mu to pismo, wówczas uznałby to za dowód łaski bożej i nabrałby otuchy w swem zwątpieniu. Ale wahał się poprosić o to, gdyż lękał się odmowy.

Tymczasem Franciszek, pełen radości, pisał swój hymn pochwalny na cześć Zbawcy Ukrzyżowanego. Jego współczujące serce pojęło, co się dzieje w duszy Leona, który stał milczący przy jego boku. Gdy więc napisał swoją modlitwę, odwrócił pergamin i skreślił na nim te słowa z Pisma świętego:

---

jednej stronie arkusza są spisane Pochwały; na drugiej — błogosławieństwo św. Franciszka, udzielone bratu Leonowi. Por. Fr. Paschal Robinson, *Writings of S. Francis,* str. 146-9. Balfour (loc. cit. str. 52) wykazał nieścisłość tytułu, dawanego zazwyczaj Pochwałom. Mówi on: „Tytuł ten wprowadza w błąd, gdyż w „Pochwale Boga Najwyższego“ Franciszek nie kładzie specjalnego nacisku na to pojęcie Wszechmocnego, jakie ludzkość streszcza w słowie „Stwórca“... Święty Franciszek zwraca się... jednem słowem do „Zbawcy“, pełnego miłości i miłosierdzia“.

„Niechaj ci Pan Bóg błogosławi i niechaj cię strzeże.
Niech pokaże Pan oblicze swoje tobie i niech się zmiłuje nad tobą.
Niech obróci Pan twarz swoją ku tobie i niech ci da pokój"[1]).

U dołu dla nadania tym słowom ściślejszego znaczenia, Franciszek dopisał:

„Bracie Leonie, niechaj cię Bóg błogosławi."

Wreszcie, aby uzupełnić jeszcze te słowa, pod formułą błogosławieństwa narysował grubemi linjami głowę ludzką, a nad wszystkiem nakreślił znak *Thau* w ten jednak sposób, że przechodzi on przez wszystkie głoski, składające imię Leona.

Wówczas wręczył pergamin udręczonemu Leonowi, mówiąc: „Weź tę kartę i zatrzymaj ją przy sobie do dnia śmierci". Ku swemu wielkiemu zdziwieniu brat przeczytał na niej te właśnie słowa, które pragnął mieć napisane; ujrzał również, że imię jego jest naznaczone znakiem wybranych. W tejże chwili rozproszyła się jego rozpacz, i odtąd nigdy nie cierpiał z tego powodu[2]).

Franciszek przebywał na Monte Alvernia jeszcze czas pewien po uroczystości św. Michała[3]). W dniu, w którym miejsce

---

[1]) Numeri VI, 24-6. Tłumaczenie według Wulgaty, z której wziął Franciszek zapisany tekst łaciński.

[2]) II Celano, II, XX, 49; *Leg. Maj.* XI, 9; *Fioretti,* loc. cit., Rozpamiętywanie II. W *Kwiatkach* opis pokusy Leona zamieszczony jest przed otrzymaniem stygmatów; ale Celano stwierdza wyraźnie, że błogosławieństwo napisane zostało równocześnie z Pochwałami. Otóż wiemy z własnego świadectwa brata Leona, że Pochwały zostały napisane „po widzeniu Serafina, po rozmowie z nim i po wyciśnięciu na jego ciele stygmatów Chrystusa". Tak mówi Leon w dopisku na tymże pergaminie, który mu dał Franciszek. Rodzaj pokusy Leona, która zdaniem wszystkich kronikarzy była „nie z ciała, lecz z ducha", *„non carnis sed spiritus"*, wskazują słowa błogosławieństwa i znak *Thau* nad głową. Określenie Leona: *„signum Thau cum capite"*, napisane na tej samej karcie, jest pełne znaczenia w interpretacji proroczej. Por. Ezechjel, IX, 6; por. R. Balfour, loc. cit., str. 66 i nast. Montgomery-Carmichael *(La Benedizione di San Francesco)* utrzymuje, że znak, nakreślony ręką, przedstawia krzyż na Monte Alvernia. To przypuszczenie jednak jest sprzeczne z własnym opisem Leona a także ze znanym zwyczajem Franciszka podpisywania swoich listów znakiem *Thau.* Por. Celano, *Tract. de Mirac.* II, 3; por. Edouard d' Alençon, *La Bénédiction de St. François.*

[3]) *Leg. Maj.* XIII. 5.

to opuszczał, przybył ze swego zamku Chiusi pan Orlando, aby go pożegnać. Przyprowadzono osła, na którym umieszczono Franciszka. Wraz z bratem Leonem i wieśniakiem, właścicielem osła, puścił się w drogę powrotną do Porcjunkuli. Przed odjazdem jednak Franciszek wezwał wszystkich, którzy towarzyszyli mu w tych dniach niezapomnianych, i zalecił im, aby trwali w miłosierdziu, modlili się gorąco i mieli staranie o tej świętej górze. Następnie Franciszek, Leon i wieśniak wyruszyli drogą, która przez Monte Acuto prowadzi wdół, ku Borgo San Sepolcro. Bracia tymczasem płakali, wzruszeni rozstaniem ze Świętym i jego serdecznemi słowy.

W drodze Franciszek, zatopiony w modlitwie, nie dostrzegał rzeczy zewnętrznych; gdy przejeżdżali koło Borgo San Sepolcro nie słyszał nawet okrzyków mieszkańców i nie zwrócił uwagi na miasto.

Wieczorem wędrowcy przybyli do pustelni Monte Casale, położonej w górach, wysoko nad miastem. Tutaj Franciszek, tknięty litością, przywrócił zdrowie i spokój jednemu z braci, cierpiącemu na epilepsję. W Monte Casale odpoczął, miejsce to bowiem, rajskiej iście piękności, może natchnąć pociechą i radością. Wkrótce jednak pojechał dalej, do Citta di Castello, na równinie, gdzie mieszkańcy przyjęli go radośnie i przyprowadzili mu chorych, aby ich uzdrowił. Na prośby ludu pozostał tam dni parę; gdy wyjeżdżał, pierwszy śnieg pokrywał już góry, które musiał przebyć w drodze do Porcjunkuli. W nocy zawieja śnieżna zaskoczyła ich w górach i nie mogli jechać dalej. Właściciel osła, na którym jechał Franciszek — nie ten, który wyruszył z Monte Alvernia, lecz inny — począł sarkać, okazując zły humor z powodu zimna. Ale Franciszek ujął dłoń jego, a pod tem dotknięciem uczucie chłodu znikło i człowiek ten spędził noc wśród skał nie doznając żadnej przykrości z powodu zimna[1]).

Następnego dnia puścili się w dalszą drogę i przybyli do Porcjunkuli. Gdy się zbliżali do tego miejsca świętego, wydało się Leonowi, że poprzedzał ich krzyż świetlisty z wizerunkiem

---

[1]) *Leg. Maj.* XIII, 7; *Fioretti,* loc. cit., Rozpamiętywanie IV.

Ukrzyżowanego. Trwało to aż do chwili, gdy weszli poza ogrodzenie[1]).

Tak tedy Franciszek przybył do domu. Nie zwracał on żadnej uwagi na głosy ludzi; lecz cała przyroda mówiła o cudzie, który mu się stał, a dusza Leona pełna była wielkiej radości.

---

[1]) Co do szczegółów tej podróży najpierwszym autorytetem naszym są *Kwiatki*. Cała okolica pomiędzy Alwernją a Asyżem, kędy przejeżdżał Franciszek, jest pełna tradycyj miejscowych, które ludzie podają sobie od wieków z pokolenia w pokolenie.

ROZDZIAŁ III.

Pod wieczór.

Rzecz dziwna, że po powrocie z Monte Alvernia Franciszek, pomimo że złamany był przez chorobę i cierpienia, zapłonął jakgdyby nową energją. Do zaburzeń gastrycznych i wynikającego stąd osłabienia, które wzmogło się znacznie od czasu jego podróży na Wschód, przyłączyły się obecnie cierpienia i wyczerpanie z powodu stygmatów. Każde dotknięcie sprawiało ból w ranach[1]), które często krwawiły; wyniszczało to jeszcze bardziej jego wątłe siły[2]). Rany na stopach i gwoździe z ciała, które się w nich znajdowały, utrudniały mu niezmiernie chodzenie[3]). A jednak w duchu jakgdyby się odmłodził.

Jakkolwiek trudno w to uwierzyć, jednak zaledwie powrócił do Porcjunkuli, udał się znowu na wędrówkę misyjną. Tym razem musiał jechać na ośle[4]). Bracia, tknięci litością, usiłowali go odwieść od tego zamiaru, przekładając mu, że winien troszczyć się o swoje ciało i poddać się leczeniu. Lecz on rozproszył ich obawy beztroskliwemi słowy: cóż się stanie z jego czcią rycerską, jeśli nosząc ślady męki Chrystusowej, będzie usiłował uniknąć bólu i trudów? Przyjął kielich cierpień swego Mistrza i musi go spełnić do dna, aby doznać wszystkiego bólu, jakiego jeszcze nie doświadczył.

W rzeczywistości Franciszek wiedział, że jego ziemskie życie zbliża się ku końcowi. Był jak oblubienica, która myśli jedynie o przygotowaniu domu na godne przyjęcie tego, kogo dusza jej miłuje. Poco tracić czas na zbędne starania? Bracia

---

[1]) II, Celano, 138; *Tract. de Mirac.*, 4; *Leg. Maj.*, XIII, 8.

[2]) I, Celano, 95; II, Celano, 136; *Tract. de Mirac.*, 4.

[3]) Ibid.

[4]) I, Celano, 98.

wiedzieli również, że dni jego są policzone. Dość było spojrzeć na jego wyniszczone ciało. Poza tem pewnej nocy, gdy brat Eljasz zatrzymał się w Foligno w towarzystwie Franciszka, miał tam znamienne widzenie. Oto we śnie ujrzał czcigodnego kapłana w białej szacie, który kazał mu wstać i oznajmić Franciszkowi, że za dwa lata, na wezwanie Pana, pójdzie w drogę, którą odchodzi wszelka istota śmiertelna[1]). Na tę wieść rozradowała się dusza Franciszka, i cała jego istota poczęła z utęsknieniem oczekiwać wezwania Pana. Bracia w swej dla niego tkliwości i w żalu nad sobą starali się tem bardziej otoczyć go najtroskliwszem staraniem i, jeśli możliwe, oddalić dzień rozstania.

Niebawem znaczne pogorszenie zdrowia zmusiło Franciszka do tego, że uległ ich prośbom. Choroba spowodowała takie osłabienie wzroku, że nie mógł znieść światła; cierpiał dotkliwie[2]). Wtedy brat Eljasz począł nalegać usilnie i w charakterze gwardjana kazał Franciszkowi zasięgnąć porady lekarskiej. Co więcej, doniósł o tem kardynałowi, wiedział bowiem, jaki Franciszek żywi dla niego szacunek.

Był to początek lata; kardynał wraz z dworem papieskim przebywał w Rieti[3]). Na dworze znajdował się znany ze swej biegłości lekarz. Kardynał zatem przesłał Franciszkowi pismo, w którem nalegał usilnie, by przybył leczyć się do Rieti. Franciszek uległ; poczyniono zatem odpowiednie przygotowania, aby go tam przewieźć bez zbytnego utrudzenia[4]).

Podróż ta miała pozostać pamiętną ze względu na to, co wydarzyło się na początku i przy końcu; głównie jednak zaznaczył się jej początek.

Pierwszego dnia Franciszek dojechał tylko do San Damiano, położonego o godzinę niespełna drogi od Porcjunkuli, pragnął bowiem bardzo odwiedzić siostrę Klarę zarówno dla pokrzepienia własnej duszy jak dla jej pociechy. W tych dniach pokoju,

---

[1]) I, Celano, 109; *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 121.

[2]) Celano, 98.

[3]) W końcu kwietnia z powodu powstania ludu Honorjusz III był zmuszony Rzym opuścić. Po krótkim pobycie w Tivoli, przybył ze swoim dworem do Rieti, gdzie pozostał do końca r. 1226.

[4]) I, Celano, 99; *Fioretti,* XVIII.

gdy ręka Pańska dotknęła go tak ciężko, a tak słodko zarazem, zwrócił się do Klary, od której bardziej niż od kogokolwiek mógł się spodziewać zrozumienia i współczucia. Nikt na świecie nie był w stanie zrozumieć tajemnicy, którą w sobie nosił; ona jedna mogła wiedzieć, co on sam o tem myślał i czego pragnął. Jej bowiem również w zamkniętym ogrodzie jej serca objawił się Chrystus: ona wiedziała, a wiedząc — wielbiła. Mógł nie obawiać się z jej strony żadnego słowa, któreby zwarzyło kwiat tej „tajemnicy królewskiej". Mógł więc Franciszek mówić z nią tak, jak z nikim nie mówił. Ponieważ znała go dobrze, przeto jej kobiece współczucie nie usiłowało nigdy zachwiać jego postanowienia co do zniesienia najsroższych choćby cierpień, jakie mu Bóg ześle, aby mógł lepiej pojąć miłość, jaka zmusiła Chrystusa do przyjęcia na siebie męki. Dlatego też, gdy ci, co go serdecznie miłowali, lecz nie rozumieli go tak dobrze, pragnęli otaczać staraniem jego ciało jedynie, on sam zwrócił się raz jeszcze do Klary o pokrzepienie ducha.

Odwiedziny te miały być krótkie, gdyż podróżni zamierzali nazajutrz już puścić się w dalszą drogę. W nocy jednak w stanie zdrowia Franciszka nastąpiło znaczne pogorszenie i było widoczne, że narazie nie będzie mógł jechać dalej. Wówczas Klara, odgadując życzenie Franciszka, kazała zbudować dlań w ogrodzie klasztornym szałas, podobny do tego, jaki miał w Porcjunkuli. Bracia Angelo Tancredi, Rufin, Leon i Masseo[1]) przenieśli go tam z tkliwą ostrożnością. Klara darzyła serdeczną sympatją tych pierwszych uczniów ewangelji ubóstwa; panował wśród nich duch koleżeństwa, w którym mogły uczestniczyć nieliczne jednostki z późniejszego pokolenia. Klara musiała dziękować Bogu za to, że w owych dniach cierpienia Franciszek otoczony był opieką towarzyszów pierwszych lat szczęśliwych.

Choroba się wzmogła, a do cierpień dręczących członki i nerwy przyłączyła się stopniowa utrata wzroku.

Nadomiar złego myszy nawiedziły szałas. W zwykłym czasie Franciszek, który lubił wszystkie stworzenia, nawet najniższe, nie byłby zwrócił na to wielkiej uwagi. Ale przy ślepocie

[1]) I Celano, 102; Celano nie podaje ich imion, ale jego opis nie pozostawia żadnych wątpliwości.

i bólach — ich natręctwo wprawiało go w nieznośne naprężenie nerwowe: tym razem ogarnęła go litość nad sobą samym i lękał się, że może stracić cierpliwość. W tej nowej udręce zwrócił się do Boga i błagał, by przyszedł mu z pomocą. Zaledwie jednak wydał tę skargę, gdy otrzymał odpowiedź w postaci pytania: „Powiedz mi, bracie, gdyby ktoś wzamian za twoje choroby i cierpienia ofiarował ci skarb tak wielki i drogocenny, że w porównaniu z nim cała ziemia byłaby niczem, czy nie doznałbyś stąd niezmiernej radości?“ Franciszek odrzekł w zadumie: „Zaprawdę, Panie, byłby to skarb wielki i drogocenny, godny niezmiernego podziwu i zazdrości“. Głos odpowiedział: „Ciesz się więc, bracie, i raduj z twoich cierpień i udręki: możesz być tak pewien mojego Królestwa, jakgdybyś się już w niem znajdował“.

Odtąd jak wędrowiec, który po uciążliwej podróży ujrzy nagle widok tak piękny, że zapominając o znużeniu biegnie pełen nowej radości życia, tak Franciszek, przed którym rozdarła się czarna zasłona zwątpienia, odczuł nagle radość ze skarbów, jakie daje ziemia opromieniona mistyczną obietnicą pełniejszego życia przyszłego. Cała jego istota tchnęła weselem, serce przepełniło się wdzięcznością za świat ten tak piękny, który był zadatkiem świata innego, jeszcze piękniejszego. Przez resztę nocy trwał w uwielbieniu dla Pana; byłby pragnął objąć ziemię i niebo w gorącym uścisku wzamian za otrzymaną obietnicę. W ten sposób spędził noc.

O świcie wstał i przywołał swoich towarzyszów; był tak przejęty radością, że musiał ją z nimi podzielić. „Bracia moi, — zawołał — gdyby cesarz przyrzekł królestwo jednemu z swych lenników, czyż ten nie byłby wielce zadowolony? A gdyby mu dał całe swoje cesarstwo, czyż nie miałby powodu radować się jeszcze bardziej? Winienem więc być zadowolony z moich dolegliwości, cieszyć się ze swych cierpień; winienem radować się w Panu, dziękować wiecznie Bogu Ojcu, Synowi Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi i Duchowi Świętemu za tak wielką łaskę, jakiej mi udzielił. Raczył on bowiem zapewnić posiadanie Królestwa swego mnie, niegodnemu słudze swemu, jeszcze za życia mego na tym świecie. Dlatego też na chwałę Panu, na własną naszą pociechę i ku zbudowaniu bliźnich, ułożę nowy

hymn o tych tworach bożych, które służą naszej codziennej potrzebie i bez których żyćbyśmy nie mogli." Po tych słowach Franciszek siadł i pomyślał, poczem wygłosił w mowie italskiej pieśń następującą:

Najwyższy, wszechpotężny, dobry Panie,
Twoją jest sława, cześć i wszelkie błogosławieństwo.
Jedynie Tobie, Najwyższy, przystoją,
A żaden człowiek nie jest godzien nazwać Ciebie.

Pochwalony bądź, Panie, z wszystkiemi Twemi twory,
Przedewszystkiem z szlachetnym naszym bratem słońcem,
Które dzień stwarza, a Ty świecisz przez nie;
I jest piękne i promienne w wielkim blasku;
Twojem, Najwyższy, jest wyobrażeniem.

Pochwalony bądź, Panie, przez brata naszego, księżyc, i nasze siostry, [gwiazdy;
Tyś ukształtował je w niebie jasne i cenne i piękne.

Pochwalony bądź, Panie, przez brata naszego, wiatr,
I przez powietrze i czas pochmurny i pogodny i wszelki,
Przez które dajesz tworom swoim utrzymanie.

Pochwalony bądź, Panie, przez siostrę naszą, wodę,
Co pożyteczna jest wielce i pokorna i cenna i czysta.

Pochwalony bądź, Panie, przez brata naszego, ogień,
Którym oświecasz noc,
A on jest piękny i radosny i silny i mocny.

Pochwalony bądź, Panie, przez siostrę naszą, matkę ziemię,
Która nas żywi i chowa
I rodzi różne owoce z barwnemi kwiaty i zioły.

Pochwalony bądź, Panie, przez tych, co przebaczają dla miłości Two- [jej
I znoszą słabość i utrapienie.
Błogosławieni, którzy wytrwają w pokoju,
Gdyż przez Ciebie, Najwyższy, będą uwieńczeni.

Pochwalony bądź, Panie, przez siostrę naszą, śmierć cielesną,
Której żaden człowiek żywy ujść nie może;
Biada tym, co konają w grzechach śmiertelnych;
Błogosławieni, którzy znajdą się w Twej najświętszej woli;
Bowiem śmierć wtóra zła im nie uczyni.

Chwalcie i błogosławcie Pana i czyńcie mu dzięki
I służcie mu z wielką pokorą.

Wygłosiwszy ten hymn, Franciszek polecił go napisać i dał mu tytuł: „Pieśń o Bracie Słońcu"; skomponował doń melodję, której nauczył braci[1]).

Tak tedy ta noc cierpienia dała Franciszkowi sposobność utworzenia nowej pieśni, pieśni przebudzenia duszy. Przez wrodzony instynkt świat ceni wielce te pieśni; są one krzykiem osiągniętego życia, tkwiącego w duszy śpiewaka, celu, który stęskniona ludzkość oddawna oglądać pragnęła. Wizja ta nie zatrze się nigdy całkowicie w pamięci ludzkości. Pieśni te przenikają serce świata tak, jak brzask dnia przenika serce ziemi: są one bowiem światłem i ciepłem i barwą, wszystkiem, co czyni życie swobodnem i radosnem.

Pieśń o Bracie Słońcu opiewa braterstwo wszystkich tworów bożych, ojcostwo Boga w stosunku do nich, i radosną swobodę, jaka tkwi dla człowieka w poznaniu prawdy. Jest to krzyk namiętny, który rwie się wprost z serca w chropawym wierszu i bezładnym rytmie. Jest to radosne odkrycie życia tam, gdzie ludzie go nie znajdowali wcale, albo gdzie je wypaczyli. Ci, co przed Franciszkiem opiewali uczucia religijne, boleli nad tyranją zmysłów i uważali, że wolność odzyskać może dusza ludzka dopiero w życiu przyszłem. Dla Franciszka, przeciwnie, ziemia-matka, niebo nad nami i wszystkie rzeczy, przez Boga stworzone, są zakładem życia wiecznego, dowodem Życia Bożego, które rodzi teraźniejszość i przyszłość. Zatonięcie w oceanie wieczności osiągnąć można według niego jedynie przez pogrążenie się w oceanie otaczającego życia. Strzegł zazdrośnie swej duszy od samolubnych pragnień, czuwał nad zachowaniem wiary w Pana swego, Chrystusa, w tem przekonaniu, że w ten sposób jedynie świat stworzony odkryje przed nim swoje tajemnice.

Utwierdzony w ufności ku Bogu, strzeżony od wszelkiego samolubnego uczucia w jedności z Bóstwem, czuł, że umysł jego i serce są swobodne, i cała jego istota wyznawała radośnie

---

[1]) Por. *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 100, 118 i 119; II Celano 213. Pieśń o słońcu jest podana w *Spec. Perfect.*, Etude spéciale du Chapitre 120, str. 277-91; Br. Paschal Robinson, *The Writings of St. Francis,* str. 150-3; Boehmer, *Analekten,* str. LXIII.

wiarę w świat widzialny. Poemat jego był właśnie pochwałą tej wolności, którą osiągnął. Przekonamy się zresztą, że ta pieśń odbiła się głośnem echem w sercu świata chrześcijańskiego, że stała się źródłem odrodzenia uczucia religijnego i sztuki[1]). Przekonamy się, że była to jedna z pierwszych prób tej mowy italskiej, która miała osiągnąć w Dantem Alighieri harmonję doskonałą[2]). W pieśni tej Franciszek nie użył ani łaciny uczonych, ani języka truwerów i trubadurów, jak w poematach, które układał dawniej, lecz wiedziony intuicją prawdziwego poety wyśpiewał ją w języku ludu. Był to jeszcze język bardzo niedoskonały, uważany przez uczonych za kopciuszka. A jednak żaden inny nie byłby dla tej pieśni właściwszym: poeta bowiem prawdziwy może śpiewać szczerze tylko w języku ojczystym.

Czy Klara była obecna podczas tworzenia tego hymnu? Być może, iż zawdzięczamy go jej natchnieniu. Nigdy Franciszek nie był tak szczerze, tak prawdziwie sobą, jak w tych dniach spędzonych w San Damiano. Stał się znowu radosnym trubadurem bożym, jakim był przed swą wielką próbą. Ale z tem duchowem odmłodzeniem Franciszka stało się to, co się dzieje z młodocianą pięknością: pojawia się ona niekiedy uszlachetniona i przeduchowiona w rysach człowieka po długich latach cierpień, jak blask jutrzenki odżywa pozornie w miękkiem świetle zachodzącego słońca. Pragnął coraz żarliwiej podbić świat miłością i poezją, przekonany, że gdy ludzie zdołają pojąć piękno Boga i dzieł Jego, będą zmuszeni kochać Go i Jemu służyć. Dzięki odzyskanej wolności wewnętrznej, w mistycznem świetle promiennego idealizmu, w oczach Franciszka przeistoczył się świat cały.

W tem radosnem przeświadczeniu utwierdziło go następujące zdarzenie. Podczas jego pobytu w San Damiano wybuchł gwałtowny spór pomiędzy municypalnością Asyżu a biskupem. Biskup wyklął ludzi piastujących urzędy w mieście, ci zaś ze

---

[1]) Por. E. Gebhart, *L'Italie Mystique,* str. 282-3; ibid. str. 83-84; Müntz, *Histoire de l'art pendant la Renaissance: Les Primitifs;* Thode, *St. François d'Assise et l'Art Italien.*

[2]) Por. Ozanam, *Les Poètes Franciscains,* str 82; Matthew Arnold, *Essays in Criticism,* str. 243; Monaci, *Crestomazia italiano dei primi secoli,* fasc. I, str. 29—31.

swej strony zakazali obywatelom utrzymywania jakichkolwiek stosunków handlowych z dworem biskupim w sprawach kupna lub sprzedaży. Gdy wiadomość o tym zatargu doszła do Franciszka, przywołał on do siebie brata Pacyfika, poetę i śpiewaka zarazem, a także kilku innych braci, poczem posłał jednego z nich, aby zwołał przedstawicieli władz municypalnych do pałacu biskupa. Przez szacunek dla Franciszka przyjęto niezwłocznie zaproszenie. Gdy zaproszeni przybyli, przyjął ich brat Pacyfik wraz ze swymi towarzyszami i z dworem biskupim. Wówczas, zgodnie z poleceniem Franciszka, bracia odśpiewali „Pieśń o Bracie Słońcu", jak ich on był uczył, dodając wszakże do hymnu następującą strofę, ułożoną specjalnie na tę okoliczność:

Pochwalony bądź, Panie, przez tych, którzy przebaczają dla miłości [Twojej,
I znoszą słabość i utrapienie:
Błogosławieni, którzy wytrwają w pokoju,
Gdyż przez Ciebie, Najwyższy, będą uwieńczeni.

Biskup i przedstawiciele municypalności byli do głębi wzruszeni. Pieśń Franciszka, niby tchnienie pokoju, przygasiła płomień małostkowych sporów, rozjaśniła światłem wiary mgliste tumany wzajemnych uraz. Zawstydzili się i zamilkli; a potem ogarnęło ich uczucie pokory i skruchy; wreszcie, gdy pieśń przebrzmiała, serca ich zapłonęły pragnieniem rzeczy wyższych, a z oczu ich popłynęły łzy żalu. Bez wszelkiej dyskusji pogodzili się i rozstali jak przyjaciele[1]).

Po powrocie braci, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, Franciszek ucieszył się bardzo. Przejęty radością tworzył plany wysłania w świat brata Pacyfika i jego śpiewaków. Mieli oni iść od kraju do kraju, każąc i śpiewając chwałę Pana. Zrazu brat, posiadający dar słowa miał wygłosić kazanie, poczem bracia zaintonowaliby hymn „stworzeń bożych". Po skończonym śpiewie bracia mieli przemówić do ludu: „Jesteśmy kuglarzami Boga; prosimy o zapłatę za to, żeśmy śpiewali, a zapłatą naszą będzie szczera pokuta wasza"[2]).

---

[1]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 101.
[2]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 100.

Upłynęło sześć tygodni, a może nawet więcej, zanim Franciszek mógł udać się w dalszą drogę do Rieti[1]). Klara miała zapewne przeczucie, że były to ostatnie odwiedziny ojca serafickiego w San Damiano. Wiedziała, że rozłąka ta uczyni wielką pustkę w jej życiu codziennem, gdyż w ciągu tych tygodni oddawała się gorliwie niesieniem mu pociechy duchowej i ulgi w cierpieniach fizycznych[2]). Mimo to jednak cieszyła się, gdyż rozumiała jego radość i czuła, że radość ta będzie trwałą. W zażyłem obcowaniu w owych dniach nauczyła się wielu rzeczy, które miały przynieść korzyść w przyszłości, gdy obrona ideału franciszkańskiego spoczęła w jej dzielnych rękach.

Franciszek jechał dalej, słaby ciałem, lecz w duchu pełen entuzjazmu. Przebywał małemi etapami tę drogę, którą znał tak dobrze; wreszcie przybyli do stóp wzgórz lesistych, które wznoszą się w pobliżu Rieti. Tu znowu Franciszek poczuł się tak słaby, iż nie mógł jechać dalej. Bracia zatrzymali się w kościele San Fabiano, którego proboszcz ofiarował gościnę Franciszkowi w swoim własnym domu. Tutaj zaszedł nowy wypadek, który miał upamiętnić tę podróż.

Ksiądz w San Fabiano był bardzo ubogi; główny jego dochód stanowiła mała winnica, leżąca tuż przy domu. Gdy się rozeszła wieść o tem, że Franciszek mieszka u proboszcza, tłumy ludzi poczęły go nawiedzać, dla złożenia mu hołdu; śpieszyli kardynałowie, biskupi, zwykli obywatele, i przez kilka dni dom proboszcza był celem pielgrzymki ku wielkiej krzywdzie biednej winnicy. Bez względu na ubóstwo księdza pielgrzymi zrywali jego piękne winogrona. W ciągu kilku dni zni-

---

[1]) W *Spec. Perfect.* znajdujemy rozmaite wersje co do czasu trwania pobytu Franciszka w San Damiano. Raz czytamy, że trwał on 60 dni; kiedy indziej — 50 dni. Por. *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), str. 195 i nast. *Conformit.* podaje 40 dni. W *Miscellanea Franc.* VI, str. 47 i nast. czytamy: „*ultra spatium 4 dierum*"; ale, jak zaznaczył Sabatier (loc. cit.), jest to nieścisłe i nieprawdopodobne. Polega to zapewne na błędzie kopisty, który powinien był napisać „*ultra spatium 40 dierum*".

[2]) W San Damiano przechowuje się jeszcze para sandałów, sporządzonych przez Klarę dla ulżenia w bólu zranionym przez stygmaty stopom Franciszka.

kły najpiękniejsze owoce. Zrozpaczony proboszcz wobec perspektywy głodu począł żałować swojej gościnności.

Gdy Franciszek dowiedział się o zmartwieniu, na jakie naraził księdza przez swoją obecność, tknięty litością, poprosił go do siebie i rzekł: „Nie martw się, panie; niepodobna nam teraz zmienić tego, co się stało, ale możemy zaufać Bogu, że wynagrodzi stratę, jaką poniosłeś z mojego powodu. Powiedz mi, ile miar wina zbierasz w najlepszych latach". Proboszcz odrzekł, że najobfitszy zbiór nie przewyższał dwunastu miar. „Nie smuć się więc — powiedział Franciszek — przestań narzekać: jeśli w tym roku zbierzesz mniej niż dwadzieścia miar, dopełnię twój zbiór do tej ilości". W kilka tygodni później, gdy nadszedł czas winobrania, uradowany proboszcz zebrał dwadzieścia miar dobrego wina[1]).

Przybycie Franciszka do Rieti było rzeczywiście triumfalną niedzielą palmową. Poprzedziła go wieść o stygmatach; był „świętym", któremu wszyscy hołd złożyć pragnęli. Pewien człowiek, którego stado nawiedziła jakaś choroba, przyszedł do braci i prosił, aby dali mu wodę, w której Franciszek umył ręce i nogi. Po powrocie do domu, pokropił trzodę tą wodą, a choroba znikła[2]).

Po przybyciu do Rieti umieszczono Franciszka w pałacu biskupim; tu przyprowadzano mu chorych, aby ich uzdrawiał przez swoje modlitwy i błogosławieństwo. W ich liczbie znajdował się pewien kanonik, człowiek wielce światowy, nawiedzony ciężkiemi cierpieniami wskutek złego życia. Płakał on żałośnie i błagał Franciszka, aby uczynił nad nim znak krzyża. Franciszek spełnił jego prośbę, dając mu surowe napomnienie: „Dotychczas żyłeś wedle żądz ciała, a nie wedle przykazania bożego. Jakżeż więc mogę uczynić nad tobą znak krzyża? Błogosławię cię jednak w imię Chrystusa: wiedz wszakże, że cze-

---

[1]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 104, *Fioretti,* XVIII. Nowy kościół stanął na miejscu tego cudu. Grzegorz IX poświęcił go w parę lat potem. Był on znany pod wezwaniem Santa Maria della Foresta. W pobliżu zbudowano dom dla braci. Kościół i dom w ostatnich latach były prowizorycznie zamknięte, jak mi mówiono, z powodu braku funduszów na ich utrzymanie.

[2]) *Leg. Maj.*, XIII, 6; Celano, *Tract. de Mirac.*, 18.

kają cię najgorsze nieszczęścia, jeśli powrócisz do swych występków, gdyż grzech niewdzięczności pociąga za sobą karę gorszą niż pierwsza.“ Kanonik wyzdrowiał; niestety jednak wrócił niebawem do dawnego życia i dnia pewnego, gdy bawił się w domu jednego ze swych przyjaciół, został zabity przez oberwanie się sufitu[1]).

Tymczasem Franciszek cierpiał bardzo. Pomimo mąk fizycznych oddawał się słodkiemu rozmyślaniu piękności Boga w dziełach Jego. Cała przyroda śpiewała jego udręczonym zmysłom chwałę Pana. Jest to tem bardziej godne podziwu, gdy sobie uprzytomnimy, że cierpienie fizyczne zamieniać zwykło w gorycz wszelką pociechę. Pewnego dnia, gdy cierpiał silniej niż kiedykolwiek na ból głowy i oczu, zapragnął bardzo posłuchać gry na wioli. Jeden z braci, którzy go pielęgnowali, dawniej w świecie grywał na tym instrumencie. Franciszek przywołał go i rzekł: „Bracie, dzieci świata nie rozumieją rzeczy świętych, a z instrumentów muzycznych, przeznaczonych ku chwale bożej, uczynili igraszkę dla ucha. Otóż chciałbym, abyś w tajemnicy pożyczył wiolę i pocieszył jakąś niewinną melodją brata ciało, tak okrutnie udręczone“. Brat ów nie posiadał prostoty Franciszka, to też odrzekł, że podobny postępek może wywołać zgorszenie. „W takim razie — rzekł Franciszek — nie mówmy już o tem; lepiej wyrzec się dobrych rzeczy, niż dać powód do zgorszenia.“ Dnia tego wszakże dusza jego była przepełniona tajemnicą muzyki. Następnej nocy, gdy leżał bezsennie, myśląc o Bogu, usłyszał nagle dźwięki wioli; kiedy smyczek dotykał strun, wiola wydawała takie przedziwne tony, jakich żaden ziemski instrument wydać nie może, a Franciszek zapomniał o swem cierpieniu. Następnego rana rzekł bratu: „Bracie, Pan, który pociesza strapionych, nie pozostawia mnie nigdy bez pociechy. Nie mogłem słyszeć wioli ludzkiej, lecz słyszałem za to coś daleko słodszego.“ I powiedział, co mu się owej nocy wydarzyło[2]).

Prawdopodobnie dla uniknięcia gwaru świata Franciszek kazał się przenieść do pustelni Monte Rainerio, gdzie poddał

---

[1]) II Celano, 41; *Leg. Maj.*, XI, 5.

[2]) II Celano, 126; *Leg. Maj.*, V, 11.

się przepisanej przez lekarza kuracji. W celu złagodzenia bólu oka, uznano za potrzebne zastosować wypalanie na górnej części policzka. Gdy lekarz powiedział mu o tem, Franciszek odrzekł, iż postąpi zgodnie z tem, co postanowi jego przełożony, brat Eljasz, on sam bowiem nie ma żadnej woli własnej co do swego ciała i zdaje się całkowicie na niego.

Przygotowano żelazo do wypalania. Przez chwilę Franciszek obawiał się, że może się cofnąć przed bólem. Lecz krzepiąc swe ciało przed czekającą je próbą, popatrzył odważnie na żelazo w ogniu i zawołał: „O mój bracie ogniu, najszlachetniejszy i najużyteczniejszy z rzeczy stworzonych, bądź dla mnie życzliwy w tym momencie, gdyż kochałem cię i kochać będę zawsze dla miłości Tego, który cię stworzył". Bracia, którzy go pielęgnowali, mniej odeń odważni, wyszli z pokoju, a Franciszek, czyniąc znak krzyża nad rozżarzonem żelazem, poddał się operacji bez drgnienia. Po jej ukończeniu bracia wrócili. „O, ludzie słabego ducha i małej wiary, czemużeście uciekli? — zapytał; mówię wam prawdziwie, że nie doznałem żadnego bólu ani uczucia oparzenia, a jeśli rzecz się nie udała, to można przypalić lepiej."

Wypalanie to nie przyniosło znaczniejszej ulgi. Później nieco otwarto mu żyły powyżej ucha, ale bezskutecznie. Wezwano drugiego lekarza, który przypalił oba uszy, przebijając je rozżarzonem żelazem, ale i to nie pomogło[1]). Spokojna cierpliwość, z jaką Franciszek znosił te wszystkie operacje, wprawiała w podziw tych, co go pielęgnowali. Jeden z lekarzy powiedział do braci, że obawiałby się stosować tak gwałtowne środki nawet człowiekowi silniejszemu. A jednak Franciszek, tak wyczerpany, tak chory, znosił to bez najmniejszej oznaki cierpienia[2]).

Tajemnica tej cierpliwości tkwiła niewątpliwie w niewysłowionej radości, która go przenikała i która odrodziła jego duszę na Monte Alvernia i w San Damiano. Żył wśród tej radości, za nic mając cierpienia fizyczne. Śpiewał bardzo często, tworząc nowe pieśni, do których układał melodje. W chwili

---

[1]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 115; Celano, *Tract. de Miraculis,* 14.

[2]) Celano, *Tract. de Miraculis,* 14; *Leg. Maj.*, V, 9.

natchnienia widział siebie znowu w szałasie w San Damiano, gdzie dusza jego znalazła ten nowy sposób wyrażania uczuć. Przez pamięć tych chwil posłał Klarze pieśni swego układu; wiedział, jak jej one będą miłe i jak dobrze je zrozumie[1]).

Pragnął z całą żarliwością podjąć nowe trudy dla miłości Pana swego, Jezusa. Zdawało mu się, że teraz dopiero, z posiadanem obecnie doświadczeniem i rozumieniem powinien rozpocząć swoją misję. „Bracia moi — mawiał — zacznijmy służyć Panu Bogu naszemu, gdyż dotąd nie uczyniliśmy nic, lub tyleż prawie, co nic“. Wspominał z rozrzewnieniem pragnienia pierwszych lat swego powołania. Niekiedy chciał znowu powrócić do pielęgnowania trędowatych; kiedy indziej znowu marzył coprawda o tem, aby się usunąć do jakiej odległej pustyni, gdzie nie przeszkadzałyby mu odgłosy świata i gdzie mógłby oddać się niepodzielnie modlitwie. Myślał o tem wtedy zwłaszcza, gdy wspominał przeżyte troski[2]). Ale instynkt misjonarski brał niebawem górę, i wtedy pragnął tylko jednego: iść i głosić miłość Boga i nakłaniać ludzi, aby Go chwalili i wielbili. Ponieważ nie mógł tego uczynić, a nie chciał być milczącym i nieużytecznym heroldem swego Pana, przeto dyktował wezwania pełne wiary, które miały być wysłane w świat i nakłaniać ludzi do miłowania Boga. Takie wezwanie w formie listu skierował do rządzących narodami na całym świecie. W piśmie tem prosił ich, aby czuwali nad oddawaniem czci należnej Najświętszemu Sakramentowi Ołtarza, aby przypominali ludowi co wieczór, bądź przez obwoływanie publiczne, bądź też w inny sposób, że nadeszła chwila chwalenia Boga i dziękczynienia Mu. Kazał również napisać list do gwardjanów braci mniejszych, z usilnem zaleceniem, aby głosili cześć i chwałę Boga i nakłaniali lud, by na dźwięki dzwonów śpieszył wielbić Pana[3]).

---

[1]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 90.

[2]) Celano, 103; *Leg. Maj.*, XIV, I.

[3]) *Opuscula S. P. F.* (Quaracchi); Epist. IV i V, str. 111 i 113; por. Fr. Paschal Robinson, *The Writings of S. Francis*, str. 125 i 127; Boehmer (*Analekten*, str. 70) uważa listy do rządzących za „wątpliwe“, ale dowody wewnętrzne przemawiają za niemi.

Tak upłynęła zima. Zalecane przez lekarzy środki przynosiły tylko chwilową ulgę, nie zdołały jednak zwalczyć choroby. Kardynał Hugolino postanowił, że Franciszek zostanie przeniesiony do Sieny; w mieście tem znajdowali się bowiem słynni lekarze[1]). W pierwszych tedy dniach wiosny wyruszono do Toskanji; wśród otoczenia Franciszka znajdował się lekarz, który ślubował wstąpić do zakonu[2]).

W czasie podróży zaszedł wypadek, który należy do romantycznej historji życia Franciszka. Podróżni przybyli do Toskanji i przejeżdżali przez okolicę falistą pomiędzy Campilia a San Querico, gdy spotkali przy drodze trzy ubogie kobiety. Wszystkie trzy miały jednakowe twarze i jednakową odzież jak siostry. Na widok Franciszka zatrzymały się i powitały go tem nowem pozdrowieniem: „Witaj, Panie Ubóstwo"[3]), poczem poszły dalej. Na to nieoczekiwane powitanie serce Franciszka drgnęło rycerskim zachwytem. Na chwilę zatonął w myślach. Potem, przypomniawszy sobie, że kobiety wyglądały ubogo, poprosił lekarza, by wrócił i ofiarował każdej z nich jałmużnę. Ten usłuchał i dał każdej z kobiet po monecie; gdy jednak połączywszy się z towarzyszami obrócił się wstecz, kobiety zniknęły. W następstwie powstała opowieść, że kobiety owe były to trzy cnoty ewangeliczne: ubóstwo, czystość i posłuszeństwo. Ludzie, którzy opowiadali tę historję, nie byli wcale zdziwieni tym dowodem hołdu dla niezwykłej świętości Franciszka[4]). On sam uważał owe niewiasty za posłanki nieba, świadczące o jego mistycznym związku z Panią Ubóstwem.

---

[1]) I Celano, 105.

[2]) *„Medicum quondam Ordini obligatum"*; II Celano, 93.

[3]) *„Bene veniat, Domina paupertas"*. Jak mówi Montgomery-Carmichael, *Domina* w tym wypadku zgadza się z *Paupertas* i dlatego przybiera rodzaj rzeczownika, z którym jest użyta. W zwrocie do mężczyzny słowa te powinny być tłumaczone przez Panie-Ubóstwo, a nie Pani-Ubóstwo, jak zazwyczaj przekładają ten zwrot tłumacze. Por. Celano, *Legenda secunda in Art* w *Francescan Annales*, lipiec 1911 r., str. 217.

[4]) II Celano, 93; *Leg. Maj.*, VII, 6. Celano przytacza fakt zniknięcia, ale dodaje tylko: *„Plurimum stupefacti mirabilibus (Dei) eventum adnumerant, mulieres non fuisse scientes, quae avibus ocius transvolassent"*.

O pobycie w Sienie należy jedynie powiedzieć, że obywatele tego miasta przyjęli Świętego z pełną czci serdecznością: cisnęli się, aby nań popatrzeć i usłyszeć głos jego. Ktoś z nich, wiedząc, jak lubi ptaki, przysłał mu żywego bażanta[1]); ktoś inny znowu, zakonnik dominikanin, wielce biegły w teologji, przyszedł przedstawić mu swoją tezę[2]); jakiś brat mniejszy przybyły z Brescji, używszy podstępu, zdołał ujrzeć stygmaty[3]). Cała jednak wiedza lekarzy była bezsilna; Franciszek słabł coraz bardziej i widocznem było, że koniec zbliża się szybko. Pewnej nocy dostał krwotoku tak gwałtownego, że bracia, którzy byli przy nim, byli pewni, że umrze. W niezmiernej żałości zebrali się przy nim, wołając: „Ojcze, co poczniemy bez ciebie? Komu zostawisz nas, sieroty? Byłeś dla nas zawsze ojcem i matką, tyś nas spłodził i urodził dla Chrystusa. Byłeś naszym wodzem i pasterzem; tyś nas uczył i karcił bardziej przykładem niż słowem. Dokądże pójdziemy, owce bez pasterza, sieroty bez ojca, ludzie nieuczeni i prości bez wodza?" Tak zawodzili, nie mogąc pomiarkować swego smutku. Wreszcie prosili, by pozostawił przynajmniej wszystkim swym synom błogosławieństwo i jakiś pisany testament, aby w późniejszych czasach bracia mogli powiedzieć: „Te słowa pozostawił umierający nasz ojciec nam, braciom i synom swoim".

Na to Franciszek kazał im przywołać brata Benedykta z Pirato, świętego kapłana, który podczas jego choroby odprawiał za niego mszę świętą. Gdy przyszedł, Franciszek rzekł: „Napisz, jako ja błogosławię wszystkich moich braci, którzy są obecnie w zakonie i którzy wstąpią do niego aż do końca świata. A ponieważ słabość i cierpienia nie dozwalają mi wiele mówić, oświadczam krótko moją wolę i intencję wszystkim braciom obecnym i przyszłym: mianowicie, aby na znak pa-

---

Ale św. Bonawentura, mniej ostrożny, przyjmuje bez wahania wyjaśnienie, oparte na opowiadaniu lekarza i towarzyszów Świętego. Mówi jednak że towarzysze jego (nie zaś sam Święty) widzieli w tem zdarzeniu „coś tajemniczego". On właśnie podaje szczegółową wersję o trzech cnotach ewangelicznych.

[1]) II Celano, 170; *Tract. de Miraculis,* 26.

[2]) II Celano, 103.

[3]) Ibid., 137.

mięci o mnie, o mojem błogosławieństwie i ostatniej mojej woli, miłowali się wzajemnie tak, jak ja ich miłowałem; proszę ich, aby kochali i czcili zawsze naszą Panią Ubóstwo, aby byli wierni i posłuszni prałatom i duchownym świętej Matki-Kościoła"[1]).

Tymczasem posłano po brata Eljasza; ten przybył śpiesznie do Sieny, aby przewieźć Franciszka zpowrotem do Asyżu; wiedział bowiem, że Franciszek pragnął umrzeć tam, gdzie znalazł powołanie; poza tem zdawał sobie sprawę, że lud Asyżu nie darowałby mu nigdy, gdyby pozwolił Świętemu umrzeć gdziekolwiek indziej. Być także może, iż Eljasz marzył już o wspaniałej świątyni, którą miał zbudować dla pomieszczenia ciała Franciszka.

---

[1]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 87.

ROZDZIAŁ IV.

Ostatnia podróż.

Powrót ze Sieny nie odbył się bez trudności. Trzeba było odpocząć kilka dni w Celle, pustelni położonej w jarze niedaleko Cortony[1]). Podczas pobytu naszych wędrowców przybył tam ubogi człowiek, który skarżył się żałośnie na swoją dolę. Żona jego umarła, musiał utrzymywać rodzinę, a nie miał sposobu do życia. Franciszek dał odrazu temu człowiekowi nowy płaszcz, który mu bracia sprawili w miejsce starego, który był darował napotkanemu po drodze żebrakowi. Polecił przytem biedakowi żartobliwie, aby pod żadnym pozorem nie oddawał tego płaszcza nikomu, chyba, gdyby mu zań ofiarowano dobrą cenę. W tejże chwili przybiegli bracia i zażądali zwrotu płaszcza. Spojrzenie Franciszka przywróciło śmiałość ubogiemu, który bronił otrzymanego daru dotąd, dopóki mu zań nie ofiarowano odpowiedniego wynagrodzenia[2]).

Po opuszczeniu Celle Eljasz unikał prostej drogi do Asyżu przez Perugję. Wiedział, że ludność tamtejsza jest bardzo zuchwała i że może bez skrupułów porwać umierającego Świętego, pragnąc, aby jego relikwje wzbogaciły skarby miasta. Udał się zatem przez góry drogą dłuższą, okrążając Gubbio i Nocera; dla większego bezpieczeństwa dał znać do Asyżu, aby wysłano na ich spotkanie straż, któraby im towarzyszyła, gdy wyjadą z gór. To też w Bagnara, ponad Nocera, oczekiwała ich zbrojna eskorta. Mała gromadka w otoczeniu owej straży dotarła do Satriano, zapadłej wioski wśród wzgórz. Tam żołnierze głodni i zmęczeni starali się zakupić żywności, lecz wieśniacy, prawdopodobnie zniecierpliwieni ich natarczy-

---

[1]) I Celano, 105.

[2]) II Celano, 87—88; por. *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 35.

wością, nie chcieli im nic sprzedać. Zakłopotani żołnierze przyszli do Franciszka i rzekli mu ze śmiechem: „Trzeba, abyś podzielił się z nami swoją jałmużną, inaczej będziemy musieli głodować". Franciszek odparł: „Bardzo słusznie, że nic dostać nie możecie, skoro pokładacie ufność w naszych muchach, a nie w Bogu". Przez muchy rozumiał pieniądze. Potem kazał im wrócić do wieśniaków i prosić pokornie o żywność dla miłości Boga. Na taką prośbę wieśniacy dali im, co mieli[1]).

Gdy podróżni zbliżali się do Asyżu, spotkali mieszkańców miasta, którzy wyszli uroczyście naprzeciw nich. Jakkolwiek to się może wydać dziwnem, okazywali nadzwyczajną radość, gdyż Franciszek miał niezadługo umrzeć, a oni o tem wiedzieli. W rzeczywistości dla tego średniowiecznego tłumu Franciszek nie był już człowiekiem lecz Świętym. Śpieszno im było oddać mu cześć należną świętości. Cieszyli się, że będą mieli zaszczyt przechowywać jego ciało i wzywać jego wstawiennictwa w niebie[2]). Lękali się tak bardzo, aby nie utracić tego świętego skarbu, że nie pozwolili zabrać go do Porcjunkuli, położonej na pustkowiu, lecz umieścili go w pałacu biskupim w mieście. Franciszek musiał ulec. Rozumiał on swój lud i nie obawiał się teraz jego hołdów. Szczerze i poprostu odnosił do słodkiego Zbawiciela cześć, jaką świat go otaczał. Uważał się za sługę, którego król zapragnął uczcić; jest to zaprawdę najwyższa pokora doskonałej miłości. To też gdy dnia pewnego jeden z braci w swobodnej poufnej rozmowie zapytał go żartobliwie, za jaką cenę sprzeda Bogu swoją grubą odzież wobec tego, że później jedwabne draperje okryją jego ciało, Franciszek odpowiedział wesoło: „Prawdę mówisz, tak się stanie na chwałę i błogosławieństwo Boga mojego"[3]).

Teraz leżał złożony chorobą; często myśl jego ulatywała ku temu zakonowi, który założył. Myślał o nim z tem większą może tkliwością, że zaniepokojeni bracia prześcigali się wzajemnie w składaniu mu dowodów przywiązania[4]). Niekiedy nawet zapytywali go o radę i decyzję w trudnych warunkach,

---

[1]) Celano, 77; *Leg. Maj.*, VII, 10.
[2]) I Celano, 105; *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), 2.
[3]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatiera), rozdz. 109.
[4]) Ibid. rozdz. 111.

jakie niewątpliwie wynikną po jego śmierci. Franciszek udzielał im odpowiedzi jasno i prosto, nie kryjąc wzruszenia i niepokoju na myśl o różnicy pomiędzy promiennym ideałem, do którego dążył, a rzeczywistością. Jeden z braci, — człowiek wielce pobożny i całkowicie oddany zakonowi, powiada kronika — zapytał Franciszka: „Ojcze, ty odejdziesz, ale rodzina, która za tobą poszła, pozostanie tu na padole płaczu; jeśli możesz, wskaż nam tego, w którym duch twój mieszka i któremu można z ufnością powierzyć urząd przełożonego jeneralnego“. Franciszek odrzekł z wielką serdecznością: „Synu, nie widzę nikogo, ktoby był odpowiedni na wodza tej wielkiej armji, na pasterza tej licznej trzody. Ale postaram się opisać, jak powiadają, odmalować wizerunek człowieka, który mógłby być ojcem tej rodziny.

„Powinien to być człowiek o wzniosłym charakterze, o wielkiej powściągliwości i nieskazitelnej opinji; człowiek bez szczególnych osobistych sympatyj, aby większa miłość, jakąby komuś okazywał, nie stała się powodem zgorszenia dla ogółu; człowiek, dla którego modlitwa będzie przyjacielem; przeznaczy on pewne godziny na modlitwę, a pewne godziny na staranie o trzodę, powierzoną jego pieczy. Bowiem o brzasku dnia będzie obecny na mszy św. i w pobożnem rozmyślaniu poleci siebie i trzodę swoją opiece Boskiej. Ale po modlitwie niechaj idzie do wszystkich, niech wszyscy mogą zadawać mu pytania, a on niech odpowiada uprzejmie i niech chętnie zaspokoi potrzeby wszystkich. Powinien to być człowiek, który nie będzie przyjmował jednostek dla utworzenia szkodliwych partyj, człowiek, który będzie dbał zarówno o małego i prostaczka, jak o uczonego i wielkiego. Człowiek ten może celować w nauce, lecz zarazem w zachowaniu swem będzie wzorem pobożnej prostoty i będzie popierał cnotę. Będzie on miał odrazę i pogardę dla pieniędzy, głównej przyczyny zepsucia dla naszego powołania i doskonałości; będąc głową ubogiego zakonu i przykładem dla innych, nie zrobi nigdy użytku ze skrzyni na pieniądze, gdyż byłoby to niesprawiedliwością. Nie będzie posiadał na własność nic prócz habitu i małej książki, do użytku zaś braci — pudełko piór i pieczęci. Niechaj nie zbiera ksiąg i nie czyta zbyt wiele, aby nie ujmował swo-

im obowiązkom tego, co studjom oddaje. Niech będzie ostatnią ucieczką tych, co są strapieni, niechaj pocieszy smutnych tak, aby choroba rozpaczy nie zmogła chorego dla niedostateczności środków, jakie zastosuje dla przywrócenia mu zdrowia. Aby nagiąć krnąbrnego do pokory, niech sam się poniży i ustąpi coś ze swych praw, aby pozyskać duszę dla Chrystusa. Niech nie zamyka serca dla tych, którzy wystąpili z zakonu, niech postępuje z nimi, jak z zbłąkanemi owcami wiedząc, jak potężne muszą być pokusy, zdolne doprowadzić człowieka do tak wielkiego upadku.

„Chciałbym, aby go czczono powszechnie jako tego, który zastępuje Chrystusa, i aby dostarczano mu chętnie wszystkiego, co mu będzie potrzebne. Ale jemu nie przystoi znajdować przyjemności w zaszczytach, a cieszyć się łaskami bardziej, niż zniewagami. Jeśli z powodu słabości lub znużenia zdrowie jego wymaga delikatniejszego pożywienia, niechaj nie je nigdy na osobności; niech czyni to zawsze publicznie, aby inni chorzy, zmuszeni do dbania o swe zdrowie, nie byli zawstydzeni. Na nim głównie spoczywa obowiązek badania skrytych sumień, wydobywania najaw prawdy i niepodawania ucha gadatliwym. Wreszcie pod żadnym pozorem nie pokala męskiego piękna sprawiedliwości przez chęć zachowania stanowiska, które zajmuje; człowiek ten będzie uważał tę wielką godność za ciężar raczej niż za zaszczyt. Jednakowoż niech z nadmiernej łagodności nie wynika apatja, a przez niewłaściwą pobłażliwość niechaj się karność nie rozprzęga; choć bowiem jest on dla wszystkich przedmiotem miłości, niech budzi postrach w tych, co źle czynią. Chciałbym, aby był otoczony towarzyszami pełnymi dobrotliwości, którzy narówni z nim będą dawali przykład wszelkiego dobra; ludźmi surowymi wobec rozkoszy świata, nieugiętymi wobec przeciwności, a jednak obdarzonymi przystojną wesołością, aby mogli przyjmować świątobliwie a radośnie tych wszystkich, co do nich przyjdą. Oto jaki powinien być jenerał zakonu"[1]).

Tym dniom choroby, która przykuwała Franciszka do łoża, zawdzięczamy przeważnie jego nauki, które do nas doszły;

[1]) II Celano, 184-6; *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 80.

niektórzy bowiem bracia, w przewidywaniu, że bliski jest czas. gdy ojciec ich opuści, zapisywali pilnie jego słowa[1]).

Zbliżał się czas kapituły Zielonych Świątek, w której mieli uczestniczyć ministrowie i bracia wszystkich prowincyj italskich. Franciszek pragnął raz jeszcze znaleźć się między nimi. Ponieważ to było niemożliwe, przeto podyktował list, który miał być odczytany podczas kapituły[2]). Pismo to zawiera głównie namiętne wezwanie, aby bracia „okazywali największy szacunek, oddawali najgłębszą możliwie cześć Ciału i Krwi Pana naszego Jezusa Chrystusa, w którym rzeczy niebieskie i rzeczy ziemskie osiągają pokój i zgodę z Bogiem Wszechmogącym“. W liście tym prosi Franciszek księży, „aby byli czyści, iżby mogli sprawować Ofiarę św. w czystości, w świętej i czystej intencji, nie dla korzyści ziemskiej ani z obawy lub dla miłości ludzi“, lecz z wolą skierowaną ku Bogu.

„Przypomnijcie sobie, bracia kapłani — pisał — co napisano w prawie Mojżesza, jak ci, co grzeszyli choćby materjalnie, umierali z wyroku bożego bez miłosierdzia[3]). O ileż liczniejszych i surowszych kar wart jest ten, który podeptał nogami Syna Bożego, który uznał Krew Testamentu za nieczystą i zelżył łaskę[4]). Gdy człowiek gardzi Barankiem Bożym, kala Go i depce nogami, gdy według słów Apostoła, nie odróżniając Go od innych pokarmów i innych rzeczy, pożywa niegodnie święty chleb Chrystusowy, albo, jeśli jest tego godny, pożywa go lekkomyślnie i bez zastanowienia. Pan bowiem mówi przez usta proroka: „Przeklęty, który czyni sprawę Pańską zdradliwie“[5]). A w innem miejscu w słowach: „Przeklinał będę błogosławieństwa wasze“, potępia kapłana, który nie bierze tego do serca[6]).

---

[1]) Por. *Spec. Perfect.*, rozdz. 87.

[2]) *Opuscula S. P. F.* (Quaracchi); *Epist.* II, str. 98 i 185; Fr. Paschal-Robinson, *The Writings of S. Francis*, str. 109; Ubertino da Casale (*Arbor Vitae*, V, rozdz. VII) mówi, że list ten był napisany *„in fine dierum suorum“*, pod koniec dni jego.

[3]) Do Żydów, X, 28.

[4]) Do Żydów, X, 29.

[5]) Jeremjasz, XLVIII, 10.

[6]) Malachjasz, II, 2.

„Słuchajcie, bracia — mówi dalej Franciszek — jeśli błogosławiona Marja Panna jest tak czczona dlatego, iż nosiła Go w swem najświętszem łonie; jeśli święty Jan Chrzciciel drżał i nie śmiał dotknąć świętego czoła Boskiego; jeśli grób, gdzie czas jakiś spoczywał, jest czcią otoczony; to jakże świętym, godnym i sprawiedliwym winien być ten, kto dotyka rękoma, kto przyjmuje do serca i ust i daje do pożywania innym Tego, który już nie umrze, lecz triumfuje w chwalebnej wieczności, Tego, na którego Aniołowie patrzeć pragną![1]) Zważcie na waszą godność, bracia kapłani, i bądźcie świętymi, jako On Świętym jest[2]). A skoro Pan Bóg uczcił was ponad wszystko przez tę tajemnicę, więc i wy miłujcie Go, czcijcie i szanujcie nadewszystko."

Temi i podobnemi słowy bronił wobec nich raz jeszcze sprawy, o którą walczył od pierwszych dni swego nawrócenia, gdy spłonął wstydem na widok zaniedbania kościołów i braku poszanowania dla Sakramentów Ołtarza[3]).

---

[1]) Por. I Piotr, I, 12.

[2]) Mojż. *Lewit.* XI, 44.

[3]) Jeden ustęp tego listu nakazuje, „aby jedna tylko msza" na dzień była odprawiana tam, gdzie są bracia, choćby w zgromadzeniu znajdowało się kilku kapłanów. Melanchton użył tego ustępu jako argumentu przeciwko mszy prywatnej w swojej Apologji. Por. *Opuscula* l. c. str. 104; Fr. Pascal-Robinson str. 115. Można uważać za rzecz pewną, iż Franciszek nie miał zamiaru wyrażenia nagany dla praktyki, do której Kościół zachęca; był na to zbyt uległym katolikiem. Ale to proste uznanie oczywistej zasady nie rozstrzyga bynajmniej danej kwestji. Najprostszem, zdaje się, wyjaśnieniem jest, że Franciszek ustanowił ten przepis w szczególnym celu, przeciwko jakiemuś złu aktualnemu. Chciał, aby bracia odprawiali mszę „nie dla jakiejkolwiek korzyści ziemskiej" (patrz *Opuscula* l. c. str. 101), lecz skupiając swą wolę ku wypełnieniu woli bożej. Liczne dekrety Kościoła co do ofiar na msze wskazują, przed jakiem niebezpieczeństwem Franciszek pragnął ustrzec braci. Lepsza jest jedna msza odprawiona w intencji czysto duchowej niż wiele mszy o intencji mniej duchowej. Jednem słowem była to reguła zmierzająca do utrzymania czci Najśw. Sakramentu i zachęcenia do niej. Podobnie w pewnych razach kapłan może zalecić mniej częste przystępowanie do Sakramentów św., choć w zasadzie nie potępia częstego ich przyjmowania. Franciszek, idealista, nie był teoretykiem; zawsze mówił i postępował wedle aktualnej potrzeby. Niebezpiecznem jest zatem wyciągać abso-

W tym samym mniej więcej czasie Franciszek napisał inny dokument, mianowicie swoją Ostatnią Wolę i Testament, gdzie również znajdziemy tę samą troskę i tę samą natarczywą prośbę[1]).

Tymczasem jednak, pomimo hartu duszy siły Franciszka słabły szybko. Pewien lekarz z Arezzo, nazwiskiem Buongiovanni, przyszedł go odwiedzić. „Powiedz mi, Bembemgnate — rzekł doń Franciszek poufale — co myślisz o tej mojej wodnej puchlinie?“ Buongiovanni odpowiedział ostrożnie: „Z łaski Boga będzie wszystko dobrze“. „Powiedz mi prawdę — rzekł Franciszek — i nie obawiaj się, gdyż z łaski Boga nie jestem tchórzem i nie obawiam się wcale śmierci. Przez łaskę Ducha Świętego, który działa we mnie, jestem tak zjednoczony z Panem moim, że z równem zadowoleniem przyjmę życie jak śmierć.“ Wówczas lekarz powiedział otwarcie: „Według naszej wiedzy medycznej twoja choroba jest nieuleczalna i przypuszczam, że umrzesz w końcu września lub około czwartego dnia non październikowych“. Na to Franciszek położył się na łóżku i wzniósł ręce ku niebu. „Witaj, Siostro Śmierci!“ — zawołał, a na twarzy jego widniała wielka radość[2]).

Lecz wkrótce po odejściu lekarza popadł w tak niezwykły smutek, że mimo wzniosłości ducha trudno mu było zdobyć się na wesołość. Wtedy jeden z braci, którego imię się nie zachowało, lecz niechaj będzie błogosławione, gdyż w owej ciężkiej chwili okazał się wiernym uczniem swojego mistrza — zbliżył ze słowami pociechy. „Ojcze — rzekł mu — życie twoje i słowa były i są światłem i zwierciadłem nietylko dla braci, lecz dla całego Kościoła; tem samem stanie się i śmierć twoja; i jakkolwiek dla twych braci i dla wielu innych śmierć ta będzie powodem smutku i zgryzoty, dla ciebie samego będzie

---

lutne zasady z jego słów lub czynów; w ten bowiem sposób można łatwo wziąć za zasadę absolutną to, co w jego intencji odnosiło się tylko do jakiegoś poszczególnego wypadku.

[1]) Patrz także *Verba Admonitionis*, I *(Opuscula*, Quaracchi; Fr. Paschal-Robinson, loc. cit. str. 5), a również egzorta *De reverentia corporis Domini (Opuscula*, loc. cit. str. 22); Fr. Paschal Robinson, loc. cit. str. 22).

[2]) *Spec. Perfect.* rozdz. 122.

ona pociechą i radością niezmierną: od ciężkiej pracy przejdziesz do błogiego spoczynku; od pokus i prób do wiecznego spokoju; od ubóstwa ziemskiego, które umiłowałeś i zachowywałeś doskonale, do prawdziwego i niezmierzonego bogactwa, i od tej śmierci doczesnej — do życia bez końca, w którem twarzą w twarz oglądać będziesz Pana Boga twego, którego w tem życiu kochałeś z takim żarem miłości i pragnienia.“ A po chwili ciągnął dalej: „Ojcze, wiedz prawdę, że o ile nie podoba się Bogu zesłać ci uzdrowienia z nieba, choroba twoja jest nieuleczalna i, jak mówią lekarze, masz krótki tylko czas do życia. Lecz powiedziałem to tylko dlatego, abyś mógł się radować zarówno ciałem jak duchem, i aby, gdy bracia twoi i inni przyjdą cię odwiedzić, zastać cię mogli zawsze radującego się w Panu, a także, by po twojej śmierci zarówno dla tych, co widzieli, jak i dla tych, co o tem słyszeli, śmierć twoja mogła być pamiętną, tak, jak są i będą pamiętne na zawsze twoje życie i twoje czyny.“

Na te słowa Franciszek ożywił się w duchu i już z radością w głosie powiedział: „Jeśli ma to być, iż podoba się Panu memu, bym umarł niebawem, tedy przywołaj mi brata Angelo i brata Leona, niech zaśpiewają mi o Siostrze Śmierci“. Przyszli smutni i stroskani i śpiewali Franciszkowi, jak pragnął, „Pieśń o Bracie Słońcu“, zalewając się przytem łzami. Gdy odśpiewali ostatnią strofę, Franciszek, pełen znowu dawnego żaru radości, dodał jeszcze jedną:

„Pochwalony bądź, Panie, za siostrę naszą śmierć cielesną,
Której żaden człowiek żywy ujść nie może;
Biada tym, co konają w grzechach śmiertelnych;
Błogosławieni, którzy znają się w tej najświętszej woli,
Bowiem śmierć wtóra zła im nie uczyni“.

Żołnierze, którzy stali na straży przed pałacem, pilnując z polecenia miasta, aby nie porwano Franciszka, usłyszeli te śpiewy i mówili o tem swym przyjaciołom, tak jak to ludzie chętnie czynią, gdy idzie o rzeczy niezwykłe. Gdyż zazwyczaj nie umiera się ze śpiewem; przynajmniej ludzie nie przypuszczają, aby w ten sposób umierali święci. Teraz jednak, gdy stali na straży, śpiew często dochodził do ich uszu nietylko we dnie,

ale i w nocy. Wreszcie doszło to do brata Eljasza, który troskał się w duchu, aby nie zmniejszyła się przez to sława świętości Franciszka. To też przyszedł do Franciszka i począł go upominać. „Mój drogi Ojcze — rzekł — jestem nad wyraz szczęśliwy zarówno za ciebie, jak za twoich towarzyszów z powodu radości, jaką okazujesz w chorobie. Ale ludzie z Asyżu mają cię za świętego; myślą, że umrzesz wkrótce, to też słysząc te modły śpiewane dniem i nocą, mówią sobie: „Jakże może się tak radować ten, co ma umrzeć? Powinien myśleć o śmierci.“ Franciszek odparł niezwłocznie: „Czy pamiętasz o swem widzeniu w Foligno? Powiedziałeś mi wtedy, jako ci objawiono, że nie będę żył dłużej niż dwa lata. Z łaski Boga przed tem objawieniem rozmyślałem często dniem i nocą o swoim końcu; lecz od czasu owego widzenia tem bardziej we dnie i w nocy myślałem o śmierci. Pozwól mi więc, bracie, radować się w Panu, w Jego pochwałach i w moich ułomnościach, gdyż przez łaskę Ducha Świętego, która we mnie działa, jestem tak zjednoczony z Panem moim i tak z Nim zaślubiony, że z Jego łaski mogę się radować w Najwyższym“[1]).

Cierpiał jednak wielce w tym czasie, i zdawało się, że siły opuściły go zupełnie, tak, iż nie mógł się poruszyć i był całkowicie zależny od tych, co go pielęgnowali. Jeden z braci, tknięty litością, zapytał go, coby wolał, czy te stałe codzienne cierpienia, czy też okrutną śmierć męczennika. „Synu mój — odpowiedział Franciszek — uważałem i uważam zawsze za najmilsze i najbardziej pożądane to, co się Bogu podoba na mnie zesłać; jednakże wobec cierpień, jakich doznaję, ta choroba, gdyby trwać miała tylko trzy dni, jest okrutniejsza niż wszelkie męczeństwo.“ Istotnie wszystkie członki jego ciała podlegały torturującym bólom[2]).

Pewnego dnia zdawało się, że już umiera. Zaniepokojeni bracia zgromadzili się dokoła niego, prosząc, aby ich błogosławił przed śmiercią. Znajdował się tam Eljasz i kilku innych, których Franciszek szczególnie pragnął mieć przy sobie. Gdy się zbliżyli, Franciszek wyciągnął ręce, aby ich błogosławić; nie mógł ich jednak widzieć z powodu ślepoty.

---

[1]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 121.

[2]) I Celano, 107.

Wówczas zaszedł charakterystyczny wypadek. Eljasz znajdował się po lewej stronie Franciszka; niewiadomo, czy stało się to przypadkowo, czy też umyślnie. Od chwili mianowania Eljasza wikarjuszem generalnym zarówno on jak i umierający przełożony uświadomili sobie, że dzieli ich przepaść duchowa. Mimo to Eljasz kochał Franciszka po swojemu i w owej chwili pragnął otrzymać jego błogosławieństwo. Franciszek odgadł, co się dzieje w duszy jego zastępcy. Współczujący i wspaniałomyślny, nie chciał mu odmówić tego dowodu przyjaźni, pragnąc, aby ta przyjaźń istniała naprawdę. Skrzyżował ręce w ten sposób, że ręka lewa znalazła się po prawej stronie, a prawa — po lewej, i zapytał, na czyjej głowie spoczywa jego ręka prawa. „Na głowie Eljasza" — brzmiała odpowiedź. — „Tego właśnie chciałem" — odrzekł Franciszek, poczem wymówił następujące słowa błogosławieństwa: „Synu mój, błogosławię cię we wszystkich rzeczach i przez wszystkie rzeczy, a ponieważ Najwyższy rozmnożył mych braci i synów w twoich rękach, przez ciebie więc i w tobie błogosławię ich wszystkich. Niechaj Bóg, Król Najwyższy, błogosławi cię w niebie i na ziemi. Błogosławię cię, jak tylko mogę i więcej niż mogę; Ten, który może wszystko, niechaj dokona w tobie tego, czego ja nie zdołam."

Z ręką prawą, spoczywającą ciągle na głowie Eljasza, mówił dalej: „Żegnajcie, synowie moi, w bojaźni Boga, przebywajcie w Nim zawsze; gdyż zbliża się wielka pokusa i chwila ucisku nadchodzi. Szczęśliwi, którzy wytrwają w tem, co rozpoczęli, gdyż zgorszenie, które niebawem wyniknie, odstręczy niektórych. Lecz śpieszę do Pana i ufam, że idę teraz do Boga, któremu służyłem zawsze z całej żarliwości duszy"[1]). To straszne proroctwo zaciążyło nad błogosławieństwem.

Wkrótce potem Eljasz uzyskał zgodę miasta na przeniesienie umierającego Świętego do Porcjunkuli, gdyż Franciszek pragnął serdecznie umrzeć tam, w domu, gdzie zaślubił Panią Ubóstwo. Wobec jego nalegania nie śmiano odmówić[2]). To też

---

[1]) I Celano, 108.

[2]) Sabatier wyraża przypuszczenie *(Spec. Perfect.*, str. 243, nota 1), że Eljasz przeniósł Franciszka do Porcjunkuli celem uniknięcia zgorszenia, jakie mogły spowodować radosne pienia umierającego. Być może, iż wzgląd ten grał pewną rolę w zarządzeniu Eljasza; ale

w końcu lata[1]) Franciszek odbył ostatni etap swojej drogi powrotnej do domu. Przez bramę miejską, zwaną Portaccia[2]), wyniesiono go złożonego na noszach; idąc zboczem wzgórza, smutny pochód doszedł niebawem do drogi publicznej[3]). Jak dobrze znał ją Franciszek! Kochał tę drogę przez siłę wspomnień tych czynów i pragnień, jakie wypełniały całą jego przeszłość od chwili nawrócenia; gdy go dziś tą drogą niesiono, wszystkie wspomnienia przesuwały się przed oczyma jego duszy; serce jego wezbrało wzruszeniem, gdy w pamięci jego powstały lata minione; ogarnęła go też serdeczna troska o los umiłowanego zakonu i gorąca wdzięczność dla miasta, w którem się urodził.

Przebyli już blisko połowę drogi i doszli do szpitala Crucigeri[4]), skąd roztacza się widok na miasto. Wówczas Franciszek kazał zatrzymać się niosącym go ludziom i postawić nosze na ziemi, tak, aby twarzą był zwrócony ku miastu, jakgdyby pragnął spojrzeć na nie po raz ostatni: był jednak ślepy. Mimo to z twarzą zwróconą w stronę miasta, uniósł się na noszach, a ci, co go otaczali, usłyszeli, jak modlił się żarliwie: „Panie, to miasto było, jak przypuszczam, w dawnych czasach siedzibą ludzi przewrotnych; dziś widzę, że dzięki obfitości łaski Twojej w czasie, który się Tobie podobał, objawiłeś w niem mnogość miłosierdzia Twego. W mądrości swojej powołałeś je, by służyło za mieszkanie tym, którzy wyznawać Cię będą w prawdzie, którzy głosić będą chwałę Imienia Twego i dadzą poznać wszystkiemu ludowi chrześcijańskiemu słodką woń dobrej sławy, świętego życia, najprawdziwszej nauki i doskonałości Ewangelji. O Panie Jezu Chryste, Ojcze miłosierdzia, błagam Cię, nie

---

ktokolwiek zna Franciszka, musi uznać, że w sprawach dotyczących swego powołania posiadał on wolę nieugiętą. Mieszkał w pałacach jedynie, gdy był do tego zmuszony; trudno przypuścić, aby zgodził się w pałacu umierać.

[1]) I Celano 109, mówi, że Franciszek przebywał przed śmiercią w Porcjunkuli kilka dni zaledwie: „Paucis quievisset diebus".

[2]) Portaccia jest dziś zamurowana. Znajduje się ona pomiędzy Porta di Mojano i Porta S. Pietro.

[3]) Dawna droga wiodąca z Perugji do Foligno znajdowała się bliżej miasta niż nowa; przechodziła pod San Damiano. Dziś jest to zaniedbana ścieżka.

[4]) W miejscu, gdzie się obecnie znajduje Casa Gualdi.

zważaj na niewdzięczność naszą, lecz pomnij na wielką czułość, jaką mu zawsze okazywałeś, iżby było zawsze mieszkaniem tych, którzy wyznawać Cię będą prawdziwie i chwalić błogosławione i najchwalebniejsze imię Twoje na wieki wieków. Amen"[1]). Poczem uroczysty pochód wyruszył w dalszą drogę.

Tak Franciszek powrócił do Porcjunkuli, aby tam umrzeć.

---

[1]) *Spec. Perfect.*, rozdz. 124. Tradycyjne błogosławieństwo, wypisane nad Porta Nuova w Asyżu brzmi: *„Benedicta tu a Domini Sancta Civitas Deo fidelis, quia per te animae multae salvabuntur et in te multi servi Altissimi habitabunt et de te multi eligentur ad regnum aeternum"*. — Por. *Kwiatki*, O najświętszych stygmatach, Rozpamiętywanie IV; Wadding, *Annales ad an. 1226*. Lecz tekst *Spec. Perfect.*, pominąwszy inne względy, bardziej odpowiada duchowi Franciszka. Jest to równocześnie modlitwa za zakon i za miasto. Poza tem przejście od suplikacji do proroctwa czyni tę krótszą wersję podejrzaną. Ten rodzaj zmiennego stylu spotykamy w wersjach późniejszych.

ROZDZIAŁ V.

Testament i śmierć Franciszka.

Gdy Franciszek wrócił po raz ostatni do swej ukochanej kaplicy wśród lasu, zapadał zmrok nad życiem jego, chylącem się ku zachodowi. Nad uchem jego roztaczał się spokój ukończonych trudów dnia.

Lecz choć doliny pogrążone były w cieniu, szczyty wzgórz płonęły światłem. Były to ideały tego wybranego życia, ku którym Franciszek zwracał się przez długie lata z niezmiennem utęsknieniem. Jaśniały one teraz w spokojnym triumfie wśród zapadających ciemności, zatrzymując na sobie ostatnie promienie dnia zachodu i zapowiadając jutrzenkę dnia, co miał zaświtać. Jego dzień ziemski chylił się szybko ku końcowi; były w nim troski, smutki, przeszkody do zwalczenia i pokusy; myślał o nich jednak jako o łaskach Pana miłościwego, który powołał go na drogę krzyża. Przeważnie jednak był to dzień radości, i jako na radość spoglądał nań Franciszek w tem świetle wieczoru. Ziemia dała mu Panią Ubóstwo i zakon; kroczył jej ścieżkami jako herold Pański i w tej pełnej przygód wędrówce znalazł poznanie pragnień swej duszy i nadzieję ich urzeczywistnienia. Zaprawdę, życie ziemskie było dlań okresem przygotowania do uroczystej Mszy życia chrześcijańskiego. Było w nim pokorne wyznanie win i chwała Boża, z lekcją z Pisma świętego i obietnicami Ewangelji. Teraz, gdy nadchodziła chwila offertorjum tej ofiary mistycznej, z wzrokiem pełnym wdzięczności spoglądał wstecz i śpieszył ku przyszłemu życiu, skupiał się w duszy i z niezachwianą ufnością odmawiał swoje Credo. Tem Credo jest Testament, dyktowany

przez Franciszka w ostatnich dniach życia w Porcjunkuli[1]). Pozostanie on dla braci jego pamiątką po wszystkie czasy. Było to jego wyznanie wiary w powołanie, którego głosu usłuchał on i bracia, co za nim poszli. „To jest droga, którą Bóg mnie prowadził — mówi; ufam Jego kierownictwu.“ Tak więc podobnie jak męczennicy, bohaterowie rycerstwa i wszyscy ludzie honoru, w obliczu śmierci wypowiedział swoje Credo.

Oto jak brzmi ten Testament. Wy, którzy go czytacie, ujrzycie w nim, jak w zwierciadle, duszę tej długiej historji życia Franciszka; ażeby dać wam jaśniejsze o nim pojęcie, oznaczyłem na marginesie poszczególne artykuły wiary.

Jego wiara w pożytek służenia trędowatym,

Pan natchnął mnie, brata Franciszka, bym w ten sposób rozpoczął pokutę: gdy bowiem byłem jeszcze w grzechu, widok trędowatych wydawał mi się rzeczą zbyt przykrą, a Pan sam zawiódł mnie pomiędzy nich i obchodziłem się z nimi miłosiernie[2]). A gdy ich opuściłem, to, co wydawało mi się przykrem, zamieniło się w radość duszy i ciała; potem przeczekałem jeszcze czas jakiś, a następnie porzuciłem świat.

w kościoły,

A Pan dał mi taką wiarę w kościoły, że modliłem się poprostu i mówiłem: Wielbimy Cię, o Panie Jezu Chryste, tutaj i we wszystkich kościołach Twoich,

---

[1]) Wadding (*Annales ad an. 1226*) mówi, że Testament został napisany w Celle w Cortonie, gdy Franciszek zatrzymał się tam dla odpoczynku w drodze powrotnej z Sieny. Jest to bardzo wątpliwe z uwagi na to, że w Celle w chorobie wodnej puchliny, na którą cierpiał Franciszek, nastąpiło znaczne pogorszenie (por. Celano I, 105). Byłoby mu trudno podyktować wtedy dokument tak długi. Prawdopodobniejsza jest tradycja, która odnosi powstanie Testamentu do czasu ostatniego pobytu w Porcjunkuli. Grzegorz IX w swojej bulli „*Quo elongati*“ (Sbaralea, *Bull.* I, str. 68) mówi, że Franciszek napisał go „*circa ultimum vitae suae*“, ale zdanie to może się odnosić do jakiejkolwiek chwili w okresie kilku miesięcy, poprzedzających śmierć Świętego.

[2]) W niektórych wersjach czytamy: „Przebywałem wśród nich“ — „*feci moram* (zamiast *misericordiam) cum illis*“. Patrz *Miscell. Franc.* III, str. 70. Ale w I Celano, 17, znajdujemy ustęp przytoczony w tekście.

jakie są na świecie; i błogosławimy Cię, gdyż przez Twój święty Krzyż odkupiłeś świat.

w kapłaństwo i w Kościół Rzymski.

Potem Pan dał i daje mi jeszcze tak wielką wiarę w kapłanów, żyjących wedle praw świętego Kościoła Rzymskiego, z racji otrzymanego przez nich sakramentu, że uciekałbym się do nich nawet wtedy, gdyby mnie prześladowali. A gdybym miał mądrość Salomona, i gdybym spotkał kapłanów skromnych i nieoświeconych, nie kazałbym wbrew ich woli w parafjach, gdzie mieszkają. Pragnę, aby tych i wszystkich innych [kapłanów] szanowano, kochano i czczono, jak moich panów; i nie jestem skłonny upatrywać w nich grzechu, gdyż widzę w nich Syna Bożego i oni są mymi panami. Czynię to, gdyż na tym świecie nie widzę cieleśnie Najwyższego Syna Bożego, lecz tylko Jego Najświętsze Ciało i Krew, które przyjmują i które oni jedynie udzielają innym.

że należy szanować kapłanów;

a także tajemnice ołtarza, i Imiona Słowa Boga;

Pragnę, aby czczono nadewszystko święte tajemnice, aby je szanowano i przeznaczano dla nich godne pomieszczenie.

Ilekroć znajdę Jego najświętsze Imiona i słowa zapisane w niegodnych miejscach, pragnę zebrać je; proszę usilnie, aby je zebrano i pomieszczono w odpowiedniem miejscu.

a również teologów i tych co głoszą nam Słowa Boże.

I winniśmy czcić i szanować teologów i tych, którzy głoszą nam Słowa Boże, jako tych, co dają nam ducha i życie.

Jego wiara dotycząca Reguły

A gdy Bóg dał mi kilku braci, nikt mi nie wskazał, co mam uczynić, ale Najwyższy sam objawił mi, że winienem żyć według reguły Ewangelji świętej: poleciłem spisać ją w kilku słowach i poprostu; a Pan Papież zatwierdził mi ją.

i życia zakonu.

A ci, co przyjmowali to życie, dawali ubogim wszystko, co posiadali, poprzestając na jednej tunice, łatanej od spodu i na wierzchu, a ci, co życzyli sobie, mogli posiadać jeszcze sznur i spodnie; i nie pragnęliśmy niczego więcej. My, cośmy otrzymali

święcenia, odmawialiśmy oficjum jak inni kapłani, bracia świeccy mówili Ojcze Nasz, i dosyć chętnie przebywaliśmy w kościołach. Byliśmy prości i poddani wszystkim. Pracowałem rękoma, pragnę tak pracować (jeszcze) i życzę sobie gorąco, aby wszyscy inni bracia zajmowali się jakąś uczciwą pracą. Niech ci, co nie potrafią, (pracować) nauczą się, nie przez chęć otrzymania zapłaty za swą pracę, lecz dla przykładu i dla odpędzenia próżniactwa. A gdy nie dadzą nam zapłaty za pracę, zasiądźmy do stołu Pańskiego, prosząc od domu do domu o jałmużnę. Pan objawił mi to pozdrowienie, którem mamy ludzi pozdrawiać: „Niech Cię Bóg obdarzy pokojem." Niech bracia wystrzegają się przyjmować pod jakimbądź pozorem kościoły, ubogie pomieszkania lub jakiekolwiek pomieszczenia, zbudowane dla nich, chyba, że przystoją one świętemu ubóstwu, któreśmy ślubowali w Regule, i że zatrzymają się w nich jedynie jako obcy i pielgrzymi. W imię posłuszeństwa nakazuję ściśle wszystkim braciom, gdziekolwiek się znajdują, aby nie prosili ani sami, ani za czyjemkolwiek pośrednictwem o listy polecające u Dworu Rzymskiego, czy to w sprawie jakiego kościoła, czy w sprawie innego miejsca, ani pod pozorem kazania, ani w obawie przed prześladowaniem cielesnem. A gdy ich nie przyjmą w jednem miejscu, niechaj udadzą się do innego kraju czynić pokutę z błogosławieństwem bożem. I pragnę usilnie być posłusznym Ministrowi Jeneralnemu naszego zakonu i gwardjanowi, którego mu się podoba nade mną postawić. I pragnę, aby on tak silnie trzymał mnie w swej władzy, iżbym nie mógł iść ani działać poza posłuszeństwem i jego wolą, gdyż on jest moim panem. I jakkolwiek jestem prosty i słaby, jednakże pragnę mieć zawsze duchownego, który będzie odmawiał za mnie oficjum, jak to zaleca Reguła. A wszyscy inni bracia są obowiązani słuchać gwardjanów i odmawiać oficjum według Reguły. A jeśli

Że bracia mają być katolikami, i że heretyków należy wydawać.

znajdzie się taki, któryby nie odmawiał oficjum według Reguły, i ktoby chciał je zmienić, albo ktoby nie był katolikiem, niech wszyscy bracia, gdziekolwiek są, w imię posłuszeństwa, gdziekolwiekby takiego znaleźli, przedstawią go najbliższemu kustoszowi miejscowości, gdzie taki się znajdzie. A kustosz w imię posłuszeństwa jest ściśle obowiązany strzec go pilnie, jak więźnia dniem i nocą, tak, aby go nie odebrano z jego rąk, zanim osobiście nie odda go swemu ministrowi. A minister jest ściśle obowiązany w imię posłuszeństwa, przesłać go pod eskortą takich braci, którzy strzec go będą dniem i nocą, jak więźnia, zanim oddadzą go panu Ostji, który jest panem, protektorem korektorem całego zakonu.

To nie jest nowa Reguła lecz przypomnienie.

A niechaj bracia nie mówią: „To jest nowa Reguła"; gdyż jest to tylko przypomnienie, ostrzeżenie i napomnienie i testament mój, Brata Franciszka, waszego maluczkiego, dany wam, moi ukochani bracia, nato, abyśmy mogli bardziej po katolicku przestrzegać Regułę, którą przyrzekliśmy Panu zachowywać. Minister Jeneralny, wszyscy inni ministrowie i gwardjani będą obowiązani w imię posłuszeństwa, aby nic do tych słów nie dodawali ani nie ujmowali nic od nich. Zachowają zawsze to pismo razem z Regułą. Na wszystkich kapitułach, gdy odczytają Regułę niech przeczytają również i te słowa. I zalecam ściśle w imię posłuszeństwa wszystkim moim braciom, zarówno duchownym jak świeckim, aby nie dodawali żadnych komentarzy ani do Reguły, ani do tego pisma, mówiąc: „Tak je należy rozumieć". Lecz jak Pan dał mi wysłowić i napisać Regułę i te słowa poprostu i z czystością intencji, tak i wy rozumiejcie je poprostu i zachowujcie je w świętych czynach do końca. A ktokolwiek będzie przestrzegał tych rzeczy, niechaj w niebie napełniony będzie błogosławieństwem Boga Najwyższego, a na ziemi — błogosławieństwem Jego Syna umiłowanego, z Najświętszego Ducha, Parakleta,

Błogosławieństwo.

i wszystkich Mocy niebieskich i wszystkich Świętych. I ja, Brat Franciszek, wasz maluczki i sługa, o ile tylko mogę, potwierdzam zewnętrznie i wewnętrznie to najświętsze błogosławieństwo. Amen[1]).

Franciszek poczynił te ostatnie przygotowania na przyjęcie posła-śmierci na krótko przed dniem św. Michała, wartownika niebieskiego. Umierał tak, jak żył, z pełnią świadomości. A wiedząc, że niewiele mu dni życia zostaje, polecił braciom, wysłać jak najprędzej posła do Rzymu, do pani Jakobiny di Settesoli, tej samej, która tylokrotnie okazała mu przyjacielską pomoc, z prośbą, aby przybyła do niego[2]); prosił ją również, aby przywiozła ze sobą wszystko, co potrzebne do pochowania go: suknię z szarej wełny, chustę do nakrycia twarzy, poduszkę pod głowę, świece woskowe, które palić się będą przy trumnie, a także parę ciastek, jakie niekiedy przyrządzała dla niego u siebie w domu, gdy ją odwiedzał[3]). Pod koniec życia bowiem Franciszek chciał, aby jego ciało miało ucztę i dzieliło radość duszy[4]).

Zanim jednak poseł zdążył wyjechać, bracia usłyszeli tętent koni i gwar licznych głosów. Furtjan przybiegł i śpiesznie oznajmił przybycie pani Jakóbiny wraz z synami i liczną świtą. „Niech będzie błogosławiony Bóg, który nam przysłał brata naszego, Jakóbinę — odrzekł Franciszek. — Otwórzcie bramę i wpuśćcie ją, gdyż reguła, dotycząca kobiet, nie jest dla brata

---

[1]) Por. *Opuscula S. P. F.* (Quaracchi), str. 76—82 i 173—176; Fr. Paschal Robinson, *The Writings of St. Francis*, str. 79 i nast. Autentyczność Testamentu nie ulega kwestji; jest on przytoczony dosłownie w I Celano, 17; II Celano, 163; *Tres. Soc.* VIII, 29; *Leg. Maj.*, III, 2. Tak samo w bulli Grzegorza IX, *„Quo elongati“* (Sbaralea, *Bull. Franc.* I, str. 68) i w św. Bonaw. *Epist. de tribus Quaest.* (Opera Omnia [Quaracchi], tom VIII, str. 335).

[2]) Widoczne jest z Celano, *Tract. de Mirac.*, 37, że pragnął, aby pani Jakóbina odwiedziła go, nie zaś tylko, jak pozwala się domyślać *Spec. Perfect.*, rozdz. 112, aby przysłała mu rzeczy potrzebne do pochowania.

[3]) „Mostacciuolo, ciasto z migdałów, cukru i innych rzeczy“. *Spec. Perfect.*, loc cit.

[4]) Por. również szczegół, dotyczący pietruszki, na którą miał chęć, II Celano, 51.

Jakóbiny." Wprowadzono więc panią di Settesoli do celi, w której leżał Franciszek. Bracia byli wielce zdziwieni, gdy ujrzeli, że przywiozła z sobą wszystko, o co prosił Święty. Pani Jakóbina wyjaśniła im, że gdy się modliła, jakiś głos wewnętrzny kazał jej dostarczyć Franciszkowi to wszystko, co przywiozła. Pani Jakóbina i jej świta uradowani byli bardzo, że zastali Świętego przy życiu. Lecz radość ich mieszała się ze łzami żałości: wyglądało to raczej jak spotkanie rozproszonej przez długi czas rodziny, niż jak przybycie na pogrzeb.

Po przybyciu pani Jakóbiny Franciszek jakgdyby na czas jakiś odzyskał siły, tak, że bracia wbrew wszelkiej nadziei poczęli wierzyć, że koniec nie jest jeszcze tak bliski. Ponieważ pani Jakóbina wyraziła chęć pozostania do końca, Franciszek powiedział jej, aby zatrzymała się do niedzieli, oświadczając, że umrze w sobotę. Odesłała więc część swojej świty i zamieszkała w pobliżu cel braci wraz z synami i kilkoma osobami ze służby[1]).

Za murami San Damiano duch Klary czuwał przy łożu śmierci w Porcjunkuli, z tem żywszem współczuciem, że ona sama była również chora[2]). Uznawała chętnie, że mała kapliczka leśna ma prawo udzielić Franciszkowi ostatniego schronienia: była ona bowiem symbolem powołania Franciszka, świątynią, w której ona sama śluby złożyła. Zgodziła się mężnie na to, by pozostawić umierającemu tę pociechę duchową; wiedziała jednak, że nie ujrzy go i nie będzie już nigdy mogła mówić z nim na ziemi. To też ogarnął ją żal sierocy i płakała gorzko. Jeden z braci doniósł Franciszkowi o jej smutku; na wieść o tem doznał on silnego wzruszenia i zaczął myśleć, w jaki sposób mógłby ją pocieszyć, skoro nie miał możności pójść do niej. Po chwili kazał jednemu z braci napisać te słowa:

„Ja, mały brat Franciszek, pragnę naśladować życie i ubóstwo Najwyższego Pana naszego, Jezusa Chrystusa, i Jego Matki Najświętszej i wytrwać w tem do końca. Zaklinam was, moje panie, i radzę wam, abyście trwały zawsze w tem naj-

---

[1]) Celano, *Tract. de Mirac.*, 37—38; *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 112; Berna Bessa, *Liber de Laud.*, VIII; *Kwiatki*, IV, Rozpamiętywanie.

[2]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 108.

świętszem życiu i ubóstwie. A strzeżcie się bardzo, aby czyjekolwiek nauki lub rady w jakikolwiek sposób i w jakimkolwiek czasie nie zdołały was sprowadzić z tej drogi"[1]).

Pismo to oddał posłańcowi z poleceniem doręczenia go Klarze, dodając: „Idź i powiedz siostrze Klarze, by porzuciła wszelki żal i smutek, bo jakkolwiek nie może mnie widzieć, jednak przed swą śmiercią ujrzy mnie ona i siostry jej, i będą stąd miały wielką pociechę"[2]). Po śmierci Świętego bracia przypomnieli sobie te słowa i, jak to później opowiemy, zanieśli jego ciało do San Damiano, aby Klara i siostry mogły raz jeszcze je zobaczyć. Było to częściowe dopełnienie obietnicy. Jednak dla duszy Klary obietnica ta miała głębsze znaczenie i była dla niej wielką pociechą. Ona, która rozumiała Franciszka jako dusza istotnie pokrewna, wiedziała, że obietnica ta odnosiła się raczej do ducha, niż do ciała. Później, gdy Klara i siostry z San Damiano stały się najpierwszemi obronicielkami ideału Świętego, duch jego przebywał pośród nich, będąc ich ostoją i pociechą. Wiedziały o tem, i to było ich radością. Taką pociechę przyrzekł Franciszek na łożu śmierci Klarze i siostrom: nic nie mogło być dla nich większą pociechą. A Klara zrozumiała jego myśl tak, jak rozumiała wszystko, co dotyczyło tajemnic jego duszy.

Teraz pozostała mu jeszcze jedna, ostatnia troska, a mianowicie sprawa Pani Ubóstwa i mieszkania, jakie sobie obrała w Porcjunkuli. Przywiązanie jego do tego świętego miejsca wzrosło. Był to zaiste szczególny posag, który ustanowił dla swej oblubienicy, i nie chciał, aby kiedykolwiek miał on być od niej odjęty. To też zebrał dokoła siebie braci i zaklinał ich, aby nigdy tego miejsca nie porzucali. „Strzeżcie się, bracia, abyście nigdy tego miejsca nie opuszczali; jeśli wypędzą was stąd jedną stroną, wracajcie drugą: zaprawdę bowiem miejsce to jest święte i jest mieszkaniem Boga. Tutaj, gdy nas jeszcze było niewielu, Bóg nas rozmnożył; tutaj światłem swej Ma-

---

[1]) Tekst ten jest podany w regule Św. Klary, rozdz. VI. Patrz *Leg. Seraph. Textus Originales* (Quaracchi), str. 63; i w *Opuscula* (Quaracchi), str. 76. Por. Tekst S. Clarae, Boll. Acta SS. die 12 Aug., Tom II, str. 747; *Leg. Seraph. Textus*, str. 276.

[2]) *Spec. Perfect.* (wyd. Sabatier), rozdz. 108.

drości oświecił serca swoich ubogich dzieci; tutaj rozpłomienił serca nasze ogniem swojej miłości; tutaj ten, kto prosi pobożnem sercem, zostanie wysłuchany, a ktokolwiek zgrzeszy, będzie surowiej ukarany. Dlatego też, o synowie, zachowajcie to mieszkanie Boże, godne wszelkiej czci, i z całego serca głosem radosnego uniesienia wyznawajcie tu Boga"[1]).

Teraz zmierzch zapadał już szybko, zwiastując ostatni uroczysty akt tej ofiary wieczornej. Minął dzień św. Michała, a Franciszek usłyszał niewątpliwie apel Wodza zastępów niebieskich, którego zwykł czcić z prawdziwie rycerską miłością[2]).

Franciszek gotował się teraz do złożenia ofiary na ołtarzu Pańskim. Lecz pragnąc po raz ostatni dać świadectwo wierności ubóstwu, przywołał braci, kazał, aby go złożyli na gołej ziemi i zdjęli z niego habit. Wtedy z twarzą, zwróconą ku niebu, zakrywając lewą ręką ranę, którą miał na prawym boku, rzekł do tych, co go otaczali: „Uczyniłem to, com miał uczynić; niech Chrystus nauczy was, jak macie wypełnić to, co wam przeznaczono". Na te słowa bracia poczęli głośno płakać. Lecz ojciec gwardjan, odgadując myśl Franciszka, przyniósł mu habit, spodnie i kaptur płócienny i rzekł: „Pożyczam ci ten habit, te spodnie i ten kaptur; abyś wiedział jednak, że nie masz żadnego do tych rzeczy prawa, nie pozwalam ci dawać ich komukolwiek innemu. Na te słowa twarz Franciszka rozpromieniła radość wielka, gdyż w tej pożyczce widział dowód, że dochował wiary Pani Ubóstwu[3]).

W chwilę potem z wielką radością duszy poprosił dwóch braci, których szczególnie miłował, aby zaśpiewali pełnym uniesienia głosem tę strofę „Pieśni o Słońcu", która opiewa chwałę Boga w Siostrze naszej, Śmierci. Gdy bracia śpiewali jeszcze, Franciszek przyłączył głos swój do ich śpiewu i zaintonował psalm 141[4]), który jest hymnem niezachwianej wiary: „Głosem moim wołałem do Pana, głosem moim modliłem się Panu". Każdy wiersz tego psalmu mógłby posłużyć za tekst do opo-

---

[1]) Celano, 106; *Spec. Perfect.*, rozdz. 83.

[2]) Por. Celano, II, 197.

[3]) II Celano, 214; *Leg. Maj.*, XIV, 4. Franciszek używał kaptura dla zakrycia blizn po wypalaniu oczu.

[4]) Według Wulgaty; w autoryzowanej wersji nosi on liczbę 142.

wieści dziejów życia śpiewającego; każdy wiersz bowiem zmierza do modlitwy końcowej: „Wywiedź z ciemnicy duszę moją, ku wyznawaniu imieniowi twemu; na mnie czekają sprawiedliwi, aż mnie nagrodzisz“[1]).

W przypuszczeniu, że koniec już bliski, Bernard da Quintavalle, pierwszy i najbardziej ceniony z jego szlachetnych towarzyszów, rzekł: „Ach, słodki Ojcze, synowie twoi są teraz opuszczeni i odjęto im prawdziwe światło ich oczu. Pamiętaj o sierotach, które zostawiasz, odpuść im winy i pociesz ich wszystkich, zarówno obecnych, jak nieobecnych, udzielając im swego błogosławieństwa.“ Franciszek odrzekł: „Widzisz oto, synu, Bóg mnie wzywa. Przebaczam moim braciom obecnym i nieobecnym wszystkie zniewagi i winy. Rozgrzeszam ich, o ile tylko mogę; oznajmij to im i pobłogosław ich wszystkich za mnie.“ Aby złagodzić ich żal, pocieszał ich i zalecał, aby miłowali Boga i ubóstwo oraz „stawiali Ewangelję ponad wszelkie inne prawa“[2]). Wówczas zbliżyli się, a Franciszek pobłogosławił każdego, kładąc ręce na ich głowy; bratu Bernardowi jednak udzielił błogosławieństwa ze specjalną serdecznością, był bowiem pierwszym z tych, co do niego przyszli, zalecił braciom, aby go otaczali szczególnym szacunkiem jako wodza i naczelnika ich rycerskiej drużyny[3]).

---

[1]) Św. Bonawentura (*Leg. Maj.*, XIV, 5) zamieszcza to śpiewanie psalmu przed samą śmiercią i twierdzi, że Franciszek skonał, śpiewając wiersz ostatni. Tę wersję przyjęli naogół późniejsi biografowie. Jednakowoż w opowiadaniu wypadków, poprzedzających śmierć Franciszka, u Celano, 109 i nast. fakt ten zamieszczony jest przed błogosławieństwem i czytaniem ewangelji. W II Celano, 217, czytamy, że po udzieleniu błogosławieństwa braciom Franciszek żył jeszcze dni parę: *„proinde paucos dies, qui usque ad transitum“*, etc.

[2]) Celano, 216.

[3]) I Celano, 109, nie wymienia Bernarda da Quintavalle z imienia, lecz mówi: *„Frater quidam de assistentibus quem sanctus satis magno diligebat amore“*. Myślę jednak, że niewątpliwie zdarzenie, o którem wspomina, jest identyczne z faktem, opowiedzianym w *„Kwiatkach“*, rozdz. VI, i w *Chron. XXIV Gen.* (*Anal. Franc.* III, str. 42). Prawda, że w II Celano, 216, gdzie wspomniano o tem drugiem błogosławieństwie, powiedziano: *„Incipiens a vicario suo capitibus singulorum imposuit“;* ale Celano pomija szczegóły i w zdarzeniu tem niema nic, coby było sprzeczne z opowiadaniem *Fioretti,* tam bowiem również czyta-

Następnie z myślą stale zwróconą ku naśladowaniu Pana, kazał przynieść chleb, a będąc zbyt słabym, aby móc go połamać samemu, polecił połamać go na małe kawałki i dał po jednemu wszystkim braciom: w ten sposób dał swe ostatnie przykazanie wzajemnej miłości, podobnie jak to uczynił Pan jego, Chrystus, podczas Ostatniej Wieczerzy[1]).

Teraz jego ziemskie troski były skończone; lecz Siostra Śmierć ociągała się jeszcze. Franciszek oczekiwał jej z pieśnią na ustach, radując się, że przyjdzie wtedy, gdy Bóg zechce. Zebrani przy łożu umierającego bracia zaintonowali pieśń, którą lubił najbardziej: „Pieśń o bracie Słońcu".

Wreszcie zrozumieli, że śmierć stanęła na progu. Franciszek powitał ją rycerskiem pozdrowieniem: „Bywaj, Siostro Śmierci!" — zawołał. Potem zwrócił się do lekarza i poprosił, by głośno, jak herold, oznajmił jej przybycie; „gdyż — dodał — jest ona dla mnie bramą życia". Następnie rzekł do braci: „Gdy

---

my, że Franciszek położył najpierw rękę na głowie Eljasza, choć wezwał Bernarda. Następnie, na życzenie brata Bernarda, złożył lewą rękę na głowie Eljasza, trzymając równocześnie prawą na głowie Bernarda, nie uchybiając w ten sposób godności Wikarjusza Jeneralnego. Słowa, podane w I Celano, 109: *„quibus tu haec denuntians, ex parte mea omnibus benedices"*, uwypuklają rozleglejsze pełnomocnictwa, przypisywane Bernardowi w *Fioretti*. Jest rzeczą szczególną, że Franciszek zlecił Bernardowi a nie Eljaszowi przekazanie braciom swego ostatniego błogosławieństwa. Że jednak istotnie zlecenia tego nie dał Eljaszowi, to jest rzeczą oczywistą, skoro Celano, który w *Prima Legenda* rozwodzi się zawsze szczegółowo nad przywilejami, udzielonemi Eljaszowi, nie przypisuje mu tego wyróżnienia. Niema sprzeczności w opowiadaniu *Fioretti* ze znaną historją Franciszka. Jeśli ktoś twierdzi, że nie mógł on powiedzieć: *„Sia il principale de tuoi fratelli"*, etc., to wystarczy przypomnieć, że Franciszek pojmował prawdziwe posłuszeństwo nietylko jako uległość względem prawnych zwierzchników, lecz jako poddanie się bliźniemu, wypływające z miłości. Pragnął on, aby to rozleglejsze posłuszeństwo względem wszystkich praktykowali zarówno przełożeni jak podwładni (por. *Regula* I, rozdz. V), czemuż więc zatem nie względem Bernarda przedewszystkiem, jako względem tego, który po Franciszku był pierwszym bratem mniejszym? Dalej, czyż nie czytamy delikatnego napomknienia o tem w klątwie, rzuconej przez Franciszka według *Kwiatków* na tych, którzyby uchybili Bernardowi, w II Celano, 216: *„Nullus sibi hanc benedictionem usurpet... sed potius ad officium detorquendum"*.

[1]) II Celano, 217; *Spec. Perfect*„ rozdz. 88.

ujrzycie, że już konam, połóżcie mnie na ziemi, jak przed trzema dniami. Gdy umrę, zostawcie mnie tak na taki przeciąg czasu, jakiego trzeba, aby człowiek, nie śpiesząc, przeszedł milę drogi“[1]).

Tak więc, gdy nadeszły ostatnie chwile, bracia położyli go bez odzienia na gołej ziemi. Odgadując jego życzenie, mieli w chwili śmierci czytać mu ewangelję o Męce Pańskiej według św. Jana; lecz Franciszek, nie wiedząc o tem, poprosił sam o to. Gdy skończono czytanie, kazał się położyć na grubem płótnie i posypać popiołem, uprzedzając w ten sposób obrzędy pogrzebowe. W swej dwornej grzeczności pragnął przyjąć śmierć z należną jej surową uroczystością. I gdy bracia stali dokoła przejęci czcią i żałością skonał[2]).

Słońce zaszło było przed chwilą. Przed celą chmary skowronków wśród ciszy wieczornej śpiewały radosną piosenkę[3]). W tej samej chwili jeden z braci, człowiek święty, ujrzał kulę ognistą, która na małym obłoczku, niby na falach wód, unosiła się prosto ku niebu[4]). W celi bracia wpatrywali się z podziwem w to ciało bez życia. Zapomnieli na chwilę o stracie, jaką ponieśli. Gdyż ciało Franciszka, tak długo kurczone bólem, stawało się giętkie, prostowało się i wygładzało. Sczerniała skóra nabierała przedziwnej białości, w oczach, tak długo omroczonych cierpieniem, lśnił odblask jasności dnia. Wtedy też po raz pierwszy wielu z nich ujrzało pięć ran stygmatów; i zdało im się, że patrzą na ciało samego Chrystusa.

Przez noc całą przybywały z miasta tłumy, aby podziwiać cud, ukrywany tak troskliwie przed wzrokiem ludzkim.

---

[1]) II Celano, 217; por. *Leg. Maj.* XIV, 4.

[2]) I Celano, 110; *Leg. Maj.* XIV, 6. Istnieje niezgodność pomiędzy tymi autorami. Według Celano, czytanie rozpoczęto od rozdziału XII *„ante sex dies Paschae“*, według św. Bonawentury — od rozdziału XIII *„ante diem festum Paschae“*. Por. Montgomery-Carmichaël, *The Gospel read to St. Francis in transitus*, w *Dublin Review*, *Anal.* 1903.

[3]) *Leg. Maj.* XIV, 6; Celano, *Tract. de Mirac.*, 32.

[4]) I Celano, 110; *Leg. Maj.* XIV, 6. Według *Chron. XXIV Gen.* (*Anal Franc.*, III, str. 226), był to jakiś brat Jakób. Jest on wymieniony w martyrologji Fortunata Huebera pod dniem 7 czerwca.

Wszyscy płakali, ale w łzach tych więcej było radości niż smutku[1]). Nazajutrz skoro świt przeniesiono ciało Świętego z wielką uroczystością do małego kościołka San Giorgio, położonego w mieście, gdzie Franciszek uczył się czytać i wygłosił pierwsze kazanie. Mieszkańcy Asyżu śpieszyli ze złożeniem ciała w bezpiecznem miejscu z obawy, aby Perugijczycy im go nie zabrali. Zdawało się, że całe miasto uczestniczy w procesji: niektórzy trzymali zapalone świece, większość jednak niosła gałęzie drzew oliwnych i innych. Pochód posuwał się naprzód przy śpiewie hymnów i dźwięku trąb. Nie był to smutny kondukt, prowadzący człowieka na miejsce wiecznego spoczynku, lecz triumfalna procesja, niosąca relikwje Świętego.

Bracia, pamiętając o słowach, jakie Franciszek z łoża śmierci posłał Klarze, nie udali się do Asyżu najbliższą drogą, lecz zboczyli do San Damiano. Gdy tam przybyli, zanieśli ciało do kościoła; potem wyjęli je z trumny i zanieśli przed otwartą kratę, gdzie siostry przyjmowały Komunję św. Klara i siostry wylewały łzy obfite. Słodka obecność Zmarłego była dla nich bolesnem uprzytomnieniem straty, jaką poniosły. Gdy ucałowały zranione dłonie Świętego, procesja uformowała się na nowo i udała się w dalszą drogę do kościoła San Giorgio. Tam złożono ciało na czasowy spoczynek do chwili wybudowania wspaniałego kościoła, który miał stać się chlubą miasta i całej Umbrji. Był to dzień czwartego października 1226 roku[2]).

W niespełna dwa lata potem, 16 lipca 1228 r. Franciszek był kanonizowany przez przyjaciela swego, kardynała Hugolino, wówczas powołanego na Stolicę św. pod imieniem Grzegorza IX[3]). Niezwłocznie też na rozkaz papieża Eljasz poświęcił

---

[1]) Celano, 112, 113. Patrz List brata Eljasza do Grzegorza z Neapolu. (Boehmer, *Analekten*, str. 30.)

[2]) Por. I Celano, 116-18; *Leg. Maj.* XV, 1—6; *Spec. Perfect.*, rozdz. 108; *Fioretti*, Rozpamiętywanie IV. Według zwyczaju kościelnego owych czasów, liczono dzień od zachodu słońca, t. j. od godziny nieszporów, nie zaś od północy. Tak więc według naszego sposobu liczenia dnia, umarł on 3 października, a pochowany został w dniu 4 października.

[3]) Bullę kanonizacyjną ogłoszono 19 lipca. Por. Sbaralea, *Bull.* I, str. 42 i nast.

swój żywiołowy genjusz budowie obszernego kościoła, który miał być grobowcem Świętego a zarazem świadectwem czci, jaką świat go otaczał[1]). Tam też przeniesiono i pochowano potajemnie w dniu 30 maja 1230 ciało Franciszka. Szczegóły jednak, odnoszące się do tego pogrzebu, nie należą już właściwie do historji Franciszka[2]).

Nawet w gorącem pragnieniu uczczenia Świętego, świat musiał postąpić wbrew jego woli, nie mogąc pojąć ducha, który go ożywiał. Nie był on z tego świata. Mimo to świat go kochał i czcił go na swój nieudolny sposób. Tak było za życia Świętego, tak stało się też po jego śmierci. Lecz choć świat czcił go tak nieudolnie, znaleźli się ludzie, a było ich wielu, którzy kochali go i rozumieli. Nie napróżno więc żył Franciszek.

---

[1]) Z upoważnienia papieża pieniądze na budowę kościoła zbierano w całej Europie. Por. Sbaralea, *Bull.* I, str. 46; Glassberger, w *Anal. Franc.* II, str. 56.

[2]) Patrz list Grzegorza IX „*Speravimus*“, Sbaralea, *Bull.*, I, str. 66 i nast.; Eccleston, op. cit. str. 80—82; *Chron. XXIV Gen.* w *Anal. Franc.* III, str. 212.

SPIS RZECZY.

KSIĘGA TRZECIA.

KSIĘGA CZWARTA.

40–